

**Anthony Trollope**

## **DZIEDZICTWO BELTON**

### ROZDZIAŁ I

#### Ostatni potomkowie rodziny Amedrozów

Pani Amedroz, żona pana Bernarda Amedroza, matka Karola i Klary, umarła, kiedy syn miał zaledwie osiem, a córeczka — sześć lat; śmierć jej była największym nieszczęściem, jakie może spotkać dzieci urodzone w tej sferze, zaś w tym wypadku do spotęgowania nieszczęścia przyczynił się niemało dziwaczny charakter ich ojca. Pan Amedroz nie był złym człowiekiem w pospolitym znaczeniu tego słowa: nie miał żadnych nałogów, nie był graczem ani pijakiem, nie dogadzał sobie w takim stopniu, by to mogło zasługiwać na zarzuty, ani nie był obojętny wobec dzieci. Był natomiast leniwym, lekkomyślnym człowiekiem, który w chwili gdy czytelnik go poznaje, miał już lat sześćdziesiąt siedem, ale w życiu nie dokonał jeszcze nic dobrego, był raczej sprawcą wielkiego nieszczęścia, gdyż syn jego, Karol, popełnił samobójstwo, a sytuacja, jaka go doprowadziła do tego strasznego czynu, była w znacznym stopniu wynikiem niedbalstwa jego ojca.

Belton Castle to ładna wiejska siedziba położona w niewielkim, ale pięknie zadrzewionym parku tuż pod łańcuchem wzgórz Quantock, w hrabstwie Somerset, a małe miasteczko Belton rozłożone jest wieńcem dokoła parkowych bram. Anglicy na ogół nie znają dobrze krajobrazu własnej ojczyzny, a uroki pięknego położenia okolic Somersetshire są im może najmniej znane. Wzgórza Quantock są jednak prześliczne; zdobią je żyzne doliny i otaczają wrzosowiska ciągnące się w kierunku Dulverton aż do granic hrabstwa Devon. Wrzosowiska te nie są płaskie

jak równiny salisburskie, przecinają je wąwozy i głębokie potoki oraz gdzieniegdzie zaciszne, faliste dolinki, gdzie rosną stare dęby, których życie zdaje się dopalać do ostatniej iskierki, ale iskra ta tli się jeszcze i stare drzewa z roku na rok zielenią się coraz słabszym listowiem.

Między wzgórzami od Minehead do Taunton biegnie odcinek szosy, zaś o pięć mil od morza znajduje się małe miasteczko, a raczej wioska Belton, i niestary dom pana Amedroza, który ludzie nazywają Belton Castle, czyli Zamek Belton. Wioska — gdyż prawdę mówiąc Belton nie jest niczym więcej, choć dotychczas posiada przywilej urządzania jarmarków i we czwartki odbywa się tam na bardzo małą skalę wolna sprzedaż mięsa i zboża na rynku przed kościołem — liczy około dwóch tysięcy mieszkańców. Niedługo, a nawet nie bardzo dawno temu, wioska oraz cała beltońska parafia należały do rodziny Amedrozów, która odziedziczyła ten majątek od rodziny Beltonów na skutek małżeństwa jednego z Amedrozów z dziedziczką rodu, panną Belton. Parafia była rozległa, gdyż z jednej strony graniczyła z Exmoor, z drugiej docierała prawie do morza i obejmowała także wioskę Redicote, położoną przy głównym gościńcu wiodącym do Taunton. Redicote było prawie miasteczkiem, posiadało nawet własny urząd pocztowy i rozwinęło się szybciej niż Belton, a ponieważ za czasów pierwszych Amedrozów posiadłość ich była aż tak rozległa, rodzina ta cieszyła się dużym poważaniem w całym hrabstwie. Ale granice majątku skurczyły się już za życia dziadka i ojca pana Bernarda Amedroza. Kiedy tenże Bernard Amedroz poślubił niejaką pannę Winterfield z Taunton, uważano, że zrobił dobrą partię, bo spłacił długi hipoteczne pieniędzmi żony, skutkiem czego został właścicielem czystego majątku, który przynosił mu rocznie dwa tysiące funtów dochodu. Zważywszy, że w sąsiedztwie nie mieszkali żadni wielcy panowie, że utrzymanie w miejscowości leżącej na uboczu było tanie, a wyżej wspomniany dochód nie pozwalał na coroczne wyjazdy do Londynu, państwo Amedroz mogli być żyć dostatnio korzystając z tych darów życia, jakie im przypadły w udziale. I gdyby pani Amedroz żyła dłużej, tak by się pewnie stało, gdyż rodzina Winterfieldów była znana z oszczędności. Ale pani Amedroz umarła młodo, a wtedy sytuacja pana Bernarda znacznie się pogorszyła.

Pogorszenie to nastąpiło jednak nie tyle z jego winy, ile z winy jego okropnego syna. Ojciec żeniąc się miał około czterdziestu lat i dotychczas nie dokonał w życiu nic dobrego, ale ponieważ nie zrobił także nic złego, więc przyjaciele rodziny przepowiadali mu pomyślną przyszłość. Gdyby nie pozostawił po sobie syna, nie byłoby już w tej okolicy Amedrozów; na skutek zaś klauzuli zawartej w intercyzie ślubnej z panną Winterfield, a tyczącej jej posagu, zostało przewidziane — Winterfieldowie byli od dawna skoligaceni z Beltonami — że o ile by Bernard Amedroz nie miał syna, majątek jego powinien przejść na własność dalekiego kuzyna, niejakiego Willa Beltona, który od wielu lat nie stykał się z rodziną, ale

który był najbliższym krewnym Amedroza. I oto Will Belton stał się dziedzicem Belton Castle, gdyż Karol Amedroz, syn Bernarda, mając dwadzieścia siedem lat doszedł do przekonania, że utrapienia tego świata są zbyt ciężkie do zniesienia, i położył im kres odbierając sobie życie.

Karol był bystrym chłopcem, w oczach ojca nawet bardzo bystrym. Bernard Amedroz zdawał sobie sprawę, że sam nie grzeszy bystrością, przeto uwielbiał swego syna. Kiedy Karol za pewną chłopięcą psotę został wydalony z Harrow — chcąc się zemścić na sąsiednim farmerze za skargę wniesioną do władz szkolnych z powodu szkód wyrządzonych na jego polu przez bigle, ściał wszystkie korony młodych jodeł w jego zagajniku — ojciec był dumny z wyczynu syna. Gdy chłopiec po raz drugi został wydalony, tym razem z kolegium Trinity, i władze uniwersyteckie wyraziły życzenie, by nazwisko jego wykreślono z rejestrów, wtedy dziedzic był już mniej zadowolony, lecz mimo to wiadomości o wybrykach syna wprawiały go zawsze w dobry humor, a kiedy młody panicz zaczął pędzić w Londynie hulaszczę życie, ojciec nie uczynił nic, by go od tego powstrzymać. I rozpoczęła się stara, znana historia — długi, nie kończące się długi i kłamstwa, niekończące się kłamstwa. Przed śmiercią syna ojciec w ciągu dwu lat zapłacił za niego lub zobowiązał się do zapłacenia około dziesięciu tysięcy franków, przy czym poświęcił polisę asekuracyjną, mającą zabezpieczyć przyszłość córki; poświęcił znaczną część swoich dochodów, słowem, poświęcił wszystko, by za swego życia ocalić majątek przed ostateczną ruiną. Ambicją jego było, by Karol prześcignął świetnością wszystkich Amedrozów. Podczas ostatniej bytności Karola w Belton ojciec wymógł na nim uroczyste przyrzeczenie, że nie pozwoli, by siostra jego została pokrzywdzona z powodu poniesionych dla niego ofiar pieniężnych.

W miesiąc później Karol zastrzelił się w swym londyńskim mieszkaniu, skutkiem czego po śmierci jego ojca cały majątek miał przejść na własność Willa Beltona. Podczas ostatniej rozmowy z ojcem i jego radcą prawnym Karol nie wspomniał ani słowem o długach równających się niemal długom, do jakich się przyznał.

W dodatku okazało się, że miał jeszcze długi honorowe, o których także nie wspomniał, spodziewając się, że najbliższe wyścigi w Newmarket wybawią go z kłopotu. Ale rezultat najbliższych wyścigów w Newmarket okazał się bardziej niefortunny niż kiedykolwiek, a wraz z tym dla Karola Amedroza nastąpił koniec wszystkiego na ziemi.

Zdarzyło się to na wiosnę i ojciec podwójnie zrozpaczony straszną śmiercią syna i ruiną córki oświadczył, że nie pozostaje mu nic innego jak położyć się do łóżka twarzą do ściany i umrzeć. Ale stan zdrowia starego ziemianina, choć daleki od doskonałości, był lepszy, niż mu się zdawało, a uczucia jego, choć bolesne, mniej były bolesne, niż sobie wyobrażał; toteż gdy minął miesiąc, doszedł do przekonania, że byłoby lepiej, by żył dalej, aby jego córka miała kawałek chleba

i dach nad głową. Mimo że bardzo zubożał, miał jeszcze dosyć środków na utrzymanie rodzinnego domu, przy tym powiedział sobie, że musi rządzić się tak, by móc odłożyć rocznie kilka funtów dla Klary. "Sprzedał więc stare cugowe konie, a park aż po ściany domu wydzierzał pewnemu farmerowi. Tyle pan dziedzic zdołał zrobić, lecz co się tyczy odkładania dla córki paru funtów, to należy przyznać, że wszelkie jego usiłowania w tym kierunku pozostały bezowocne.

Belton Castle, prawdą mówiąc, nie był zamkiem. Tuż przy drzwiach frontowych, oddzielona zaledwie szerokością alei wiodącej do bramy wjazdowej, wznosiła się stara, kwadratowa wieża, od której cała rezydencja wzięła nazwę: od trzech pokoleń młodzi Amedrozowie wspinali się na tę wieżę, posługując się przy tym gęstwą bluszczu zarastającego jej ściany i kamieniami wyszczerbionymi na jej węglach. Wieża ta była pozostałością dawnego, prawdziwego zamku, który niegdyś roztaczał opiekę nad wioską Belton. Sam dom był brzydką trzypiętrową rezydencją zbudowaną za czasów Jerzego II, składającą się z niskich pokoi, długich korytarzy i olbrzymiej ilości drzwi. Był to duży, pozbawiony uroku dom — pozbawiony uroku z powodu swoich właściwości — ale zasługujący na uwagę dzięki niewielkiemu, pięknemu parkowi, w którym go zbudowano. Beltoński park obejmował niewiele więcej niż sto akrów, ale powierzchnię miał falistą, pełną pagórków i małych dolinek, a w wielu miejscach spod zieleni wyłaniały się skaliste głazy. Rosło tam tyle starych, karłowatych dębów, miłośnik pięknych krajobrazów znajdował tam tyle uroczych zakątków, że trudno było uwierzyć, iż park ten nie należał do jakiejś wspaniałej, pańskiej rezydencji. Farmer, który park ten wydzierzał, a nie chciał płacić więcej niż siedemnaście szylingów od akra, nie dał się przekonać, że zrobił dobry interes. Ale park beltoński od początku swego istnienia nie był przeznaczony na dawanie dochodu. Farmer Stovey był pierwszym człowiekiem z niższych sfer, któremu wolno było paść owce w beltońskiej „kniei”, jak okoliczna ludność nazywała zalesione grunty majątku.

Lato było w pełnym rozkwicie i minęło już dwa miesiące od czasu, gdy do zamku nadeszła owa straszna wiadomość. Było lato i rolnicy znów powrócili do swych zwykłych zajęć, a w niedzielne wieczory panny sklepowe spacerowały znów ze swymi chłopcami z Redicote pośród parkowych drzew i całe życie w tym zakątku Somersetshire potoczyło się dawną koleją. Nieszczęsny los młodego dziedzica wywarł wielkie wrażenie na okolicznych mieszkańcach i niejeden z nich zaczął się obawiać, że zbliża się koniec świata. Młody Amedroz nie był przez nich lubiany, gdyż wobec prostych ludzi zachowywał się wyniośle; przy tym rozpustny panicz wyrządził niejedną krzywdę, a jego sprawy do niejednego domu wniosły nieszczęście, ale trudno było uwierzyć, że własną ręką targnął się na swoje życie! W dodatku przykro było pomyśleć, że gdy stary dziedzic zamknie oczy, panna Klara zostanie niemal żebraczką! Okoliczna ludność знаła dobrze historię dziedzictwa majątku Belton i wiedziała, że po śmierci jej ojca cały majątek

przejdzie na własność Willa Beltona. A przecież Will Belton nie był dżentelmenem. Przynajmniej tak twierdził beltoński lud, który słyszał, że ich domniemany dziedzic wychowywał się na farmera gdzieś w hrabstwie Norfolk. Will Belton raz tylko przed piętnastu laty jako młody chłopiec przyjechał do Belton Castle, a wtedy wybuchła wielka kłótnia między nim i jego dalekim kuzynem Karolem; wówczas Will, który był gwałtownym i silnym chłopcem, sprawił słabszemu kuzynowi porządne lanie. Cała awantura urosła do rozmiarów przekraczających zwykle chłopięce swary. Will powiedział coś, co świadczyło o tym, że zna dobrze swoje prawa do majątku, za co Karol go znienawidził. Will wyjechał i odtąd nie pokazał się więcej w majątku, który się nazywał tak samo jak - on, ale okoliczni ludzie nie bacząc na jego nazwisko uważali go za intruza.

W oczach tych ludzi, mających krótką pamięć i skąpą znajomość przeszłości, Amedroz był kimś lepszym niż Belton i na nowego dziedzica patrzyli jak na intruza. Dlaczego majątku nie dziedziczyła panna Klara? Przecież panna Klara nie wyrządziła nikomu krzywdy.

Życie potoczyło się dawną koleją i po upływie trzech miesięcy stary dziedzic ukazał się znów w kościele w kolatorskiej ławce. Był wysoki, niegdyś bardzo przystojny i jeszcze teraz, w jesieni lat, zachował cechy męskiej urody. Brodę i włosy nosił długie, przed śmiercią syna były one jeszcze szpakowate, teraz stały się zupełnie białe. Aczkolwiek trzymał się pochyło, jego powolne ruchy cechowała godność, raczej wrodzona niż z trudem nabyta. W gruncie rzeczy nie dokonał w świecie niczego i życie jego było zupełnie bezużyteczne, ale prezencję miał taką, jak gdyby należał do najszlachetniejszych istot w świecie. Mimo postawy pełnej godności był dla wszystkich bardzo uprzejmy i ludzie ubodzy nie lubiliby go chyba więcej, gdyby przez całe życie zgadywał ich życzenia i starał się je zaspokoić; byli dumni z pana dziedzica, aczkolwiek nic dla nich nie zrobił. Wystarczało im to, że wyglądał tak dostojnie, gdy podczas niedzielnych nabożeństw zasiadał w kolatorskiej ławce parafialnego kościoła. Wiedzieli, że był ubogi, lecz twierdzili, że nie bywał nigdy skąpy. Tak, ostatni z Amedrozów był prawdziwym dżentelmenem, dlatego, gdy zjawiał się wśród nich, kłaniali mu się nisko i okazywali mu głęboką cześć, jaką ludzie ubodzy zwykli okazywać człowiekowi stojącemu od nich wyżej na drabinie społecznej, jeśli czują dla niego szacunek.

Klara zawsze towarzyszyła ojcu do kościoła, teraz zaś zaczęła przychodzić na nabożeństwa już o kilka tygodni wcześniej od niego. Straszna wiadomość o śmierci brata nie zastała jej w domu, gdyż w tym czasie przebywała w innym krańcu hrabstwa, w Perivale, u niejakiej pani Winterfield, z domu Folliott, wdowy, która była poniekąd jej ciotką, a naprawdę siostrą człowieka, który ożenił się z ciotką Klary, bowiem liczne związki małżeńskie od dawna łączyły rodziny Winterfieldów, Folliottów, Beltonów i Amedrozów. Klara bawiła właśnie u pani Winterfield, w Perivale, które uważam za najnudniejszą miejscinę w Anglii, gdy jej

ojca zawiadomiono o nieszczęściu, zaś ona sama otrzymała tę wiadomość bezpośrednio z Londynu. Biedna dziewczyna pośpieszyła natychmiast do domu i choć wstrząśnięta straszną wieścią, zrobiła wszystko, by podróż tę odbyć w jak najkrótszym czasie. Zastała ojca pogrążonego w najgłębszej rozpacz, wobec czego z wysiłkiem starała się opanować własny ból i nie dopuścić, by ją także ogarnęło owo pragnienie śmierci, jakie ogarnia przez pewien okres czasu ludzi dotkniętych wielkim nieszczęściem.

Klara Amedroz, usłyszawszy wiadomość o śmierci brata, zdała sobie sprawę, że jej własna egzystencja została doszczętnie zdruzgotana. Wiedziała aż nadto dobrze, jakie życie pędził brat, nie przypuszczała jednak, że takie właśnie będzie zakończenie jego kariery, ku ciężkiej zgryzocie najbliższych. Podobnie jak ojciec zrozumiała od razu, że w oczach świata oboje zostali niemal unicestwieni nie tylko przez dotkliwe cierpienie, ale i przez wstyd, który nie pozwoli jej nigdy podnieść wysoko głowy. Uczucie to nie opuszczało Klary przez długie lata i przeniknęło ją głębiej niż ojca. Zanim jednak dotarła do domu, znalazła w sobie dość siły, by zrozumieć, że obowiązkiem jej jest stłumić uczucie żalu i wstydu, o ile były one możliwe do stłumienia. Brat jej był człowiekiem słabym, a ta jego słabość popchnęła go do tchórzliwej ucieczki od utrapień otaczającego go świata. Ale ona nie powinna być tchórzem! Bez względu na to, jak ciężko potoczy się odtąd jej życie, musi znosić je z hartem ducha, na jaki tylko potrafi się zdobyć. Powziąwszy takie postanowienie wróciła do ojca i zmusiła się do słuchania jego utyskiwań ze spokojem, który okazał się dobroczynny zarówno dla niego, jak i dla niej samej.

— Oboje zginęliście! Oboje! — wołał strapiony ojciec, dotknięty tak srogą niedolą. — Nieszczęsny chłopak zgubił nie tylko samego siebie, ale także i ciebie.

— Nie, ojcze — odrzekła z wyrozumiałością, na jaką zdobyła się z dużym wysiłkiem dla jego dobra. — Mylisz się. Niech myśl taka nie powiększa twego bólu. Mój biedny brat nie skrzywdził mnie, przynajmniej nie w ten sposób, w jaki sądzisz...

— Zgubił nas, zgubił nas wszystkich — jęknął ojciec — zniszczył do samego korzenia: mężczyzn i kobiety, starych i młodych, rodzinny dom i ziemię. Na nim kończy się nasz ród, i to w jaki sposób.

Odtąd ojciec i córka w rozmowach swych przestali wspominać imię tego, który z własnej woli ich opuścił, i Klara zaczęła sprawować obowiązki nowego życia usiłując postępować tak, jak gdyby domu ich nie nawiedziło nieszczęście, jak gdyby burza nie rozpętała się nad jej głową.

Radca prawny rodziny, zamieszkały w Taunton, zawiadomił pana Beltona o śmierci Karola, a Belton potwierdził odbiór listu załączając do odpowiedzi zwykłe wyrazy żalu. W liście swym adwokat wspominał o klauzuli zawartej w intercyzie ślubnej starego Amedroza, dodając, że według wszelkiego prawdopodobieństwa pan Amedroz nie będzie już miał drugiego syna. Na to Belton odpowiedział, że ze

względu na kuzynkę Klarę życzy jej ojcu jeszcze długich lat życia. Czytając to życzenie adwokat uśmiechnął się, mówiąc sobie w duchu, że na szczęście żadne życzenia Willa Beltona nie pomogą ani nie zaszkodzą jego staremu klientowi. Żaden prawnik, ani w ogóle nikt, nie uwierzyłby w szczerść podobnych życzeń, jakie w swym liście wyraził przyszły spadkobierca majątku. A jednak któż znalazłszy się w podobnych warunkach przyznałby się sam przed sobą, że nie takie byłyby jego własne życzenia?

Klara Amedroz nie była już wówczas bardzo młoda. Skończyła dwadzieścia pięć lat i sądząc z jej zachowania, wyglądu i przyzwyczajzeń nie robiła wrażenia młódki. Nie udawała też młodszej, niż była, mówiąc o sobie jako o kobiecie, od której warunki życia wymagają większej dojrzałości, niż by to odpowiadało jej wiekowi. Nie ubierała się młodo, niewiele przebywała w towarzystwie młodzieży, nie prowadziła ożywionej korespondencji z żadną młodą dziewczyną ani spodziewała się, że kiedykolwiek będzie brała udział w rozrywkach właściwych młodemu wiekowi. Życie było dla niej zawsze poważne, ale teraz, wobec strasznej tragedii rodzinnej, stanie się nie tylko poważne, ale i surowe. Pamięć o zmarłym bracie nigdy jej nie opuszczała, jak nie opuszczała świadomość, że ojciec jest człowiekiem zubożałym i ze względu na niego obowiązkiem jej jest dbać o to, by każdy szyling wydany na dom nie został wydatkowany na próżno. Była w tym jakaś mieszanina głębokiej tragedii i drobnych kłopotów, które zdawały się przekreślać dla niej wszelką poezję i przyjemności życia. Tragedia i poezja mogą iść w parze, można by więc także pogodzić zajęcia domowe z przyjemnościami, jakie daje życie, gdyby nie ciemna chmura zgryzoty, o której Klara nie mogła nigdy zapomnieć. Myśląc o tragicznym losie brata musiała sprawdzać rachunek rzeźnika i wykonywać drobne prace gospodarskie, mając w oczach widok martwej twarzy brata: taka już była jej dola.

Musimy tu wtrącić kilka słów, by wytłumaczyć, dlaczego życie panny Amedroz było tak bezbarwne i monotonne, zanim jeszcze owa tragedia zaciążyła nad rodziną. Wspomnieliśmy już nazwisko damy, zastępującej Klarze rodzoną ciotkę. Gdy dziewczyna ma matkę, to ciotka może znaczyć dla niej mało albo zgoła nic. Gdy jednak matka umiera, a wśród krewnych znajduje się jakaś ciotka nie mająca własnych obowiązków rodzinnych, wtedy spadają na nią obowiązki rodzinne, do których się często zabiera z dużym zapalem. Właśnie w takiej sytuacji znalazła się pani Winterfield. Może żadna kobieta na świecie nie była tak sumienna w spełnianiu obowiązków jak pani Winterfield z Prospect Place w Perivale. Nie znaczy to bynajmniej, bym sobie pozwolił na drwiny z tej zacnej damy, była bowiem naprawdę zącną niewiastą: ofiarna, gotowa do wyrzeczeń, szczodra, pobożna, szukająca w religii bezpiecznej ścieżki przez życie, ścieżki na tyle bezpiecznej, na ile tylko upadek Adama pozwala. Była zawsze pełna troski o bliźnich, nie zapominając przy tym o sobie: starała się utrzymać dom w bojaźni

bożej, nienawidziła grzechu i walczyła z własną ludzką słabością, nie pozwalając sobie na uczucie nienawiści do grzeszników. Uważała natomiast, że jej obowiązkiem jest okazywać nieustanną nienawiść do grzechu i przy każdej sposobności potwierdzać to jakimś czynem. Walka z szatanem była jej zadaniem, walka taka była nakazem dla wszystkich żyjących, o ile zechcą oni zrozumieć konieczną potrzebę takiego zadania. Kiedy tego rodzaju ciotka spełnia swój obowiązek wobec osieroconej przez matkę siostrzenicy, skłonna jest uczynić jej życie poważnym.

Nasuwa się tu uwaga, że Klara mogła się zbuntować, a ojciec jej nie był człowiekiem tego pokroju, który by siłą ojcowskiego autorytetu chciał nakazać córce posłuszeństwo wobec ciotki. Oczywiście Klara mogła się przeciw niej zbuntować, i w ogóle nie wiem, czy dotychczas odznaczała się szczególnym posłuszeństwem. W stosunkach z Winterfieldami istniały jednak pewne względy, dla których byłoby Klarze trudno zignorować ową „przyszywaną” ciotkę, nawet wtedy, gdyby sobie tego życzyła. Pani Winterfield miała do dyspozycji dochód wynoszący tysiąc dwieście funtów rocznie i była jedyną spokrewnioną z Amedrozami osobą, od której pan Amedroz miał prawo oczekiwać w przyszłości zapisu na rzecz córki. Pani Winterfield w pewnej mierze rościła sobie pretensję do zajmowania się Klarą, z czego ojciec Klary był bardzo zadowolony, a dziewczyna uznawała, że powinna jakiś czas poświęcić na odwiedziny u ciotki w Perivale. Obowiązki te bez wątpienia wniosły w jej życie dużo powagi.

Życie w Perivale traktowane było bardzo serio. Jeżeli chodzi o tak zwane rozrywki, to na Prospect Place nie uznawano potrzeby zabaw. Jedzenie, picie i ubranie uważano tam za codzienną potrzebę ludzi i zgodnie z porządkiem domowym dostarczano tych rzeczy domownikom w obfitości i w dobrym gatunku. W domach tego rodzaju co dom pani Winterfield kuchnia bywa zawsze wyborna, zapewne dlatego, by potrawy zasługiwały na dziękczynienie, jakie się tam składa przed każdym posiłkiem. Pani domu ubierała się zawsze czarno, w suknie z ciężkiej jedwabnej materii — nie zmiętej ani wytartej przez długie noszenie, ale mające jeszcze połysk świeżego jedwabiu; przy czym suknie te, cokolwiek znoszone, rozdawała dyskretnie innym damom ze swej sfery, których los nie obdarzył tysiącem dwustu funtów rocznego dochodu. Pani Winterfield posiadała jednokonny niski wolant na czterech kołach, w którym odbywała pielgrzymki do ubogiej ludności w Perivale; powoził nim zwykle najstateczniejszy z chłopców stajennych w obszernym białym płaszczu, w pretensjonalnym kapeluszu i białych bawełnianych rękawiczkach. Pojazd ów poruszał się z szybkością pięciu mil na godzinę, a przejażdżki te stanowiły dla pani Winterfield jedyną rozrywkę, natomiast w życie Klary wносиły jeszcze więcej powagi.

Pani Winterfield była wysoka i szczupła, uczesana w drobne loczki ze sztucznych włosów nasunięte na czoło. Stale cierpiąca i słaba miała policzki



obwisłe, oczy zapadnięte, a na twarzy wyraz głębokiego cierpienia świadczący o jej własnych troskach teraz i troskach innych osób w przyszłym życiu. Na twarzy jej malowała się złośliwość, co nie odpowiadało, prawdzie. Zachowywała się jak kobieta markotna i zrzędna, co również nie odpowiadało jej właściwemu charakterowi. Mając jednak tego rodzaju usposobienie potrafiła uczynić życie swych gości niezmiernie poważnym.

Nie potrzebuję chyba dodawać, że panna Amedroz mimo że, jak wspomniałem, ukończyła już prawie dwadzieścia pięć lat, a więc nie była bardzo młoda, nie nakreśliła sobie takiego planu własnej przyszłości, w którym pieniądze ciotki odgrywałyby poważną rolę. Będąc jeszcze młodziutką dziewczyną jeździła do Perivale dlatego, że tak jej kazano, a teraz jeździła tam nadal bądź przez posłuszeństwo, bądź z przyzwyczajenia, bądź z przywiązania. Gdy władza ciotki nad dziewczyną ustala się od wczesnej młodości, to później trudno ją zlekceważyć, nawet wtedy, gdy się posiada silną wolę. Otóż Klara Amedroz posiadała silną wolę i nie należała — przynajmniej w ostatnich czasach — do tej religijnej społeczności, w której ciotka brylowała niczym jaki profesor. Powyższa okoliczność dodawała również powagi jej życiu. W stosunku do majątku ciotki nie żywiła określonych nadziei, i gdy ciotka na kilka dni przed otrzymaniem w Perivale fatalnej wiadomości wypowiedziała się otwarcie na ten temat, Klara, aczkolwiek trochę zdziwiona, nie poczuła się bynajmniej rozczarowana. W grę tu wchodził niejaki kapitan Aylmer, o którym w tym wstępnym rozdziale należy wspomnieć w kilku słowach.

Kapitan Fryderyk Folliott Aylmer był rzeczywistym siostrzeńcem pani Winterfield, zaś Klara Amedroz, prawdę mówiąc, nie była jej siostrzenicą. Kapitan Aylmer był posłem do parlamentu z okręgu małego miasteczka Perivale, a wybrany został wyłącznie w celu popierania interesów Niskiego Kościoła, bowiem z przywiązania do tego Kościoła — i tylko z tego powodu — słynęło Perivale wśród innych miasteczek. Powyższe fakty niemało przyczyniły się do powiększenia wpływów i, prestiżu pani Winterfield w mieście i dodawały jej jednokonnemu wolantowi splendoru, którego może byłby pozbawiony w innych okolicznościach. Ale kapitan Aylmer był tylko młodszym synem sir Anthony'ego Aylmera ożenionego z panną Folliott, rodzoną siostrą naszej pani Winterfield, i miał dziedziczyć majątek po matce. Posiadłość matki i posiadłość pani Winterfield graniczyły ze sobą i leżały w sąsiedztwie miasteczka Perivale i teraz przy sposobności, o jakiej wspomniano wyżej, ciotka uznała za stosowne powiedzieć Klarze, że obie te posiadłości muszą być połączone. Długo o tym rozmyślała, trapiła się wątpliwościami, modliła, wreszcie doszła do przekonania, że takie postanowienie było jej obowiązkiem.

— Jestem pewna, ciociu, że postanowiłaś słusznie — rzekła Klara, aczkolwiek wiedziała dobrze, co się stało z funduszem, który miał zabezpieczyć jej przyszłość,

i wiedziała również, jakie nadzieje żywił ojciec w stosunku do majątku pani Winterfield.

— I ja tak myślę — powiedziała ciotka — ale uważałam za właściwe zawiadomić cię o tym. Jestem także obowiązana powiedzieć o tym Fryderykowi. Miałam w tej sprawie sporo wątpliwości, ale sądzę, że moje postanowienie jest słuszne.

— Masz rację, ciociu. Cóż by on o mnie pomyślał, gdyby się okazało w przyszłości, że mu byłam zawadą?

— Ta przyszłość nie jest bynajmniej taka daleka.

— Mam nadzieję, że się mylisz, ale daleka czy niedaleka, jestem pewna, że postępujesz słusznie.

— I ja tak myślę, moja droga, jestem przekonana, że spełniam swój obowiązek.

Należy pamiętać, że kapitan Aylmer został posłem do parlamentu dzięki poparciu Niskiego Kościoła i dlatego przebywając w Perivale był zdecydowanym jego wyznawcą. Nie jestem pewny, czy tę właśnie cechę demonstrował podczas odwiedzin w Aylmer Castle lub w gronie przyjaciół w Londynie, ale nie było w tym hipokryzji w zwykłym rozumieniu tego słowa. Kobiety w takich sprawach, jeżeli nie mogą być szczerze, potrafią być nieskończenie obłudne, ale mężczyznom posiadającym pewne poglądy polityczne oraz często ryzykowne plany na przyszłość wolno jest w różnych okolicznościach przywdziewać różny strój. Gdy mężczyzna zostaje wybrany do parlamentu dla obrony pewnych specjalnych interesów, to rzecz prosta, że podczas bytności we własnym okręgu wyborczym musi stosować się do sposobu życia jego mieszkańców. Bez względu na to, czy występuje w sprawie ślodu, praw wyborczych czy prohibicji, przebywając wśród swych wyborców powinien okazywać pełne zainteresowanie dla ich spraw; natomiast nie jest pożądane, by te sprawy miały go pochłaniać także wśród przyjaciół w klubie. Gdyby kapitan Aylmer został premierem, to bez wątpienia mianowałby biskupami członków Niskiego Kościoła. Obrony spraw tego kościoła podejmował się chętnie i nie bez pewnych powodów. Potrafił podczas sesji parlamentarnej rzucić jakieś mocne słówko na temat szat sakralnych; występował ostro przeciw używaniu świec w kościele i w podobnych sprawach walczył z całą sumiennością. Nikt nie miał prawa nazywać kapitana Aylmera człowiekiem nieszczerym, ale gdyby ciotka знаła całą historię jego życia, to wątpię, czy uczyniłaby go swoim spadkobiercą, choć myślała, że robi to dla dobra słusznej sprawy.

Znała natomiast całą historię życia siostrzenicy i wiedziała, że Klara nie jest jej oddana całym sercem. Gdyby Klara pod tym względem pozostawiła ciotkę w niepewności, byłaby hipokrytką. Kapitan Aylmer nieczęsto spędzał niedziele w Perivale, ale gdy już tam był, to chodził do kościoła trzy razy dziennie i dobrowolnie poddawał się temu jarzmu. Miał w pamięci głosy wyborców nie mniej

niż pieniądze ciotki i w ten sposób załatwiał własny interes, jak to czynią zwykle mężczyźni. Ale Klara uważała, że w jakiś sposób powinna się temu sprzeciwić, mimo że i ona w niedzielę chodziła trzy razy do kościoła. I to się stało jeszcze jednym powodem, dlaczego pani Winterfield w rozmowie z siostrzenicą uważała za stosowne wymienić przy tej sposobności nazwisko kapitana Aylmera.

— Miałam nadzieję — rzekła — że to będzie bez znaczenia, w jaki sposób rozporządzę swoim majątkiem.

Klara zrozumiała, co te słowa miały oznaczać, i przypuszczam, że czytelnik także zrozumiał.

— Nie wiem — odpowiedziała z uśmiechem — ale zawsze będę przekonana, że ciocia postąpiła słusznie. Po co miałabym stawać na drodze kapitana Aylmera?

— Spodziewałam się, że wasze drogi będą te same — powiedziała stara dama z rozdrażnieniem.

— Ależ nasze drogi nie mogą być te same.

— Nie, bo ty nie zapatrujesz się na pewne sprawy tak jak on. Obawiam się, że to, co dla niego jest sprawą poważną, ma dla ciebie niewielkie znaczenie. Droga Klaro, pragnęłabym, żebyś się poważniej odnosiła do jedynej sprawy, która naprawdę na to zasługuje.

Panna Amedroz nie powiedziała ani słowa na temat powagi kapitana Aylmera, mimo że jej własny sąd o jego religijnych poglądach był bardziej trafny niż sąd pani Winterfield. Ale w tej materii nie wypadało jej zabierać głosu.

— Modłę się za ciebie — mówiła dalej stara dama — i będę się modliła tak długo, jak długo dar modlitwy nie zostanie mi odebrany. Spodziewam się... mam nadzieję... że ty nie przestajesz się modlić za siebie.

— Staram się modlić, ciociu.

— Takie wysiłki, o ile są szczerze, nigdy nie chybiają celu.

Klara nic nie odpowiedziała, a ciotka także zachowała milczenie. Wkrótce potem przed dom zajechał wolant ze sztywnym chłopcem stajennym na koźle i Klara musiała odbyć przejażdżkę po ulicach Perivale, co sprawiało jej wielką przykrość. Wiedziała, że stała się jej krzywda, lecz była to krzywda, na którą nie mogła się skarżyć. Musiała ulegać ciotce i znosić umartwienia, których od niej wymagano, przeto ciotka miała sposobność dostrzec jej wady. Pani Winterfield dostrzegła je i odpowiednio ją osądziła. Kapitan Aylmer jako mężczyzna i poseł do parlamentu nie potrzebował znosić umartwień i dlatego ciotka wad jego nie dostrzegała.

W gruncie rzeczy jednak, z jakiego tytułu Klara miała się spodziewać spadku po pani Winterfield? Rozmyślając o tym nocą w swoim pokoju dziwiła się, że ciotka mogła mówić z nią w ten sposób o tego rodzaju sprawie. Z drugiej strony, ojciec często mówił jej o tym spadku, co bez wątplenia dotarło do uszu ciotki; w Belton często wyrażano nadzieję, że względy, jakimi się cieszyła u bogatej wdowy z Perivale, mogą być dla niej korzystne i stać się przeciw wagą wybryków brata, to

nieporozumienie trwało od bardzo dawna i Klara usiłowała sobie teraz wytłumaczyć, że oświadczenie ciotki było potrzebne.

„Ciotka jest tak uczciwa, że nie chciała budzić we mnie fałszywych nadziei” — powiedziała sobie Klara i w tej chwili poczuła, że lubi ciotkę za jej uczciwość.

Tymczasem zaraz nazajutrz po tej rozmowie, w której ciotka zawiadomiła ją, w jaki sposób zamierza rozporządzić swym majątkiem, nadeszła straszna wiadomość o śmierci Karola. Kapitan Aylmer znajdujący się wówczas w Londynie pośpieszył natychmiast do Perivale i pierwszy zawiadomił Klarę o tym, co się stało. Zamienili ze sobą niewiele słów, ale Klara wiedziała, że kapitan Aylmer jest dla niej życzliwy, a kiedy ofiarował się towarzyszyć jej do Belton, podziękowała mu tak serdecznie, że słowa jej zdawały się świadczyć o większej zażyłości między nimi niż ta, jaka naprawdę między tym dwojgiem istniała. Ale w takich chwilach serdeczne słowa i gorące uściski dłoni nie posiadają takiego znaczenia, jak podobne słowa i uściski zamieniane w innych okolicznościach. Kapitan Aylmer odprowadził Klarę, nie dalej jak do miasteczka Taunton, po czym rozstali się — on udał się do stolicy, a Klara do osieroconego domu ojca w Belton.

## ROZDZIAŁ II

### Spadkobierca zamierza odwiedzić kuzynów w Belton

Lato w Belton było w pełnym rozkwicie i słodki zapach świeżo skoszonego siana unosił się w powietrzu, gdy Klara schylona nad robótką siedziała samotnie na ganku starego domu. Tuż przy drzwiach frontowych, albo raczej między tymi drzwiami i starą wieżą, stał jeden z wozów farmera Stoveya, obecnie pusty, zaprzężony w konia drzemiącego w słońcu. Obok wieży ładowano siano na inny wóz, a kobiety i dzieci gawędząc między sobą zbierały grabiami resztki rozrzuconego siana i układały je w rzędy. W cieniu starej wieży, ale w zasięgu widzenia Klary siedzącej na ganku, leżały baryłki piwa dla kosiarzy, a kilka par grabi stało opartych o szary mur starej wieży. Była godzina jedenasta i Klara czekała na ojca, który jeszcze nie wyszedł ze swego pokoju. Jak zwykle zaniósł mu niedawno śniadanie do łóżka, gdyż na starość zgnuśniał i jednym z ostatnich i ulubionych zbytków, na jakie mógł sobie pozwolić, było leżenie w łóżku. Po chwili stary pan zeszedł na dół trzymając w ręku otwarty list. Klara widziała, że ojciec albo zamierza go jej pokazać, albo z nią o nim pomówić, dlatego tonem zdradzającym zainteresowanie zapytała, od kogo otrzymał list. Ale pan Amedroz był w tej chwili rozdrażniony i zamiast odpowiedzieć na pytanie zaczął się skarżyć na niewłaściwe zachowanie dzierżawcy.

— Jakim prawem postawił tu swój wóz? Przecież nie wydzierżawiłem mu drogi

prowadzącej do drzwi frontowych. Niedługo zaczniesz pakować swoje rzeczy do mojego salonu.

— Ja lubię ten zapach.

Doprawdy? Muszę przyznać, że masz osobliwe gusty, ale ja tego nie lubię.

— Pan Stovey stoi właśnie przy sianie. Czy mam go poprosić, aby przesunął wozy dalej?

— Nie, moja droga, nie. Muszę to znieść cierpliwie, jak znoszę tyle innych rzeczy. Co za różnica? Wkrótce i tak wszystko się skończy. On płaci za dzierżawę i pewnie ma prawo robić, co mu się podoba. Ale muszę przyznać, że mnie to drażni.

— Czy mogę zobaczyć ten list, ojcze? — zapytała chcąc odwrócić jego uwagę od wozu z sianem.

— No dobrze, właśnie przyniosłem go, aby ci pokazać, choć zrobiłbym może lepiej, gdybym go spalił i nic ci o nim nie mówił. To bezczelny list, a ten, kto go napisał, jest bez serca; tak, bez serca.

Klara była przyzwyczajona do podobnych skarg ze strony ojca. Wszystko, co ktokolwiek z jego otoczenia zrobił, nazywał brakiem serca. Tak się litował nad sobą, że wymagał litości od innych i choć powszechnie okazywano mu dużo współczucia, wątpił, czy jest ono prawdziwe. Uważał, że ze strony dzierżawcy było okrucieństwem ustawić wóz tuż przed domem i ranić mu serce przypomnieniem, że nie był już wyłącznym panem terenu znajdującego się przed podjazdem jego domu. Uważał, że kobiety i dzieci postępują okrutnie pozwalając sobie w jego obecności na rozmowy. Oskarżał nieledwie córkę o okrucieństwo za to, że przyznała, iż lubi zapach sianokosów. Wobec warunków, w jakich oboje żyli, czyż nie było z jej strony okrucieństwem, że mogła jeszcze cokolwiek lubić? Zdawało mu się, że całe Belton winno być pogrążone w bólesci z powodu jego nieszczęścia.

— Skąd nadszedł ten list, papo? — zapytała Klara.

— Przeczytaj go. Może to i lepiej, że poznasz jego treść.

Po czym Klara przeczytała co następuje:

„Plaistow Hall, lipiec, 186...”

Mimo, że Klara nie znała charakteru pisma, domyśliła się natychmiast, od kogo pochodził list, gdyż o dworze w Plaistow nieraz już słyszała, była to bowiem nazwa farmy należącej do jej dalekiego kuzyna, Willa Beltona, a ojciec niejednokrotnie z rozdrażnieniem tłumaczył jej, że choć dom, w którym mieszkał Will Belton, nazywają dworem, nie jest jednak niczym więcej jak zwykłym domem farmera. Stary Amedroz nie znał dworu w Plaistow Hall i nigdy nie był w hrabstwie Norfolk, ale mówiąc o dworze nie omieszkwał dodawać, że w tamtej okolicy wszystkie domy farmerów nazywają dworami. Nie można się dziwić, że stary nie lubił swego spadkobiercy ani że po swojemu okazywał mu antypatię. Przeczytawszy adres Klara spojrzała na ojca.

— No, teraz już wiesz, kto napisał ten list — rzekł ojciec.

List brzmiał jak następuje:

Plaistow Hall, lipiec 186...

Szanowny Panie. Nie pisałem do Pana bezpośrednio po stracie, jaka Go spotkała, uważając, że będzie lepiej, bym z tym trochę poczekał, mam jednak nadzieję, że z tego powodu nie posądzi mnie Pan o brak uprzejmości ani o obojętność wobec Pańskiego bólu, Teraz chwytam za pióro w nadziei, że Pan zrozumie, jak bardzo mną wstrząsnęło to, co Pana spotkało. O ile mi wiadomo, jestem obecnie najbliższym Pańskim krewnym i jako taki pragnąłbym gorąco być Panu w miarę możliwości pomocny. Z uwagi na nasze pokrewieństwo i moją sytuację w odniesieniu do majątku uważam za niesłuszne, byśmy nie mieli się wzajemnie poznać. Zapewniam Pana, że o ile się spotkamy, znajdzie Pan we mnie szczerze życzliwego przyjaciela.

Odbyłbym chętnie podróż do Belton, gdyby Pan zechciał przyjąć mnie w swoim domu. Gdyby to Panu odpowiadało, mógłbym przyjechać jeszcze przed żniwami i pozostałbym w Belton przez tydzień. Proszę przekazać serdeczne pozdrowienia kuzynce Klarze, którą pamiętam jako małą dziewczynkę, gdyż wtedy, kiedy będąc młodym chłopcem odwiedziłem Belton, ona bawiła u ciotki w Perivale. Proszę ją zapewnić, że o ile zechce, znajdzie we mnie szczerego przyjaciela.

Oddany kuzyn  
W. Belton

Klara przeczytała list bardzo wolno, starając się poznać dokładnie jego treść i ton, zanim ojciec zapyta ją o zdanie. Wiedziała już z góry: ojciec spodziewa się, że ona list gwałtownie potępi i zarzuci jego autorowi wulgarność, zuchwałość i okrucieństwo. Ale doświadczenie nauczyło ją, że nie powinna ulegać zachciankom ojca. Ze względu na jego dobro powinna mieć własne zdanie, a nawet sprzeciwiać mu się. Gdyby tego nie robiła, jego wieczne lamenty i biadolenia doprowadziłyby go do stanu graniczącego ze zidioceniem. W wielu sprawach powinna była bezwarunkowo zachować własne zdanie, omal nie licząc się z ojcem. Ona jedna zdawała sobie sprawę, w jakim beznadziejnym położeniu znajdzie się, kiedy ojciec umrze. W pierwszych dniach rozpaczy ojciec gorzko sobie wyrzucał, że przyczynił się do majątkowej ruiny córki, ale nawet wtedy pocieszał się myślą o bogactwie pani Winterfield i o jej przywiązaniu do Klary. Z drugiej strony pani Winterfield zawiadamiając Klarę o treści swego testamentu myślała, że ojciec Klary dostatecznie zabezpieczył córkę. Ale dziewczyna ani ojcu ani ciotce nie powiedziała, w jakim się znalazła położeniu. Nie mogła przyznać się ciotce, że wszystko, co było przeznaczone dla niej, ojciec oddał biednemu nicponiowi, który sam zniszczył swoje życie. Gdyby to zrobiła, równałoby się to prośbie o wsparcie.

Nie mogła także powiększyć rozpaczy ojca niweczając nadzieje, które go jeszcze podtrzymywały na duchu. Toteż nie wspominała nigdy o swoim położeniu finansowym, wiedziała jednak, że teraz obowiązkiem jej jest żyć oszczędnie i czujnie, biorąc na swoje barki ciężar pracy w zubożałym gospodarstwie, wypowiadając własne zdanie wbrew ojcu, o ile będzie to uważała za korzystne. Przeczytała więc list w milczeniu i nie odezwała się wcale, choć nieruchomość jej oczu świadczyła, że uporała się już ze swoim zadaniem.

— No i cóż? — zapytał ojciec.

— Nie uważam, by kuzyn Will miał jakieś złe zamiary.

— Nie uważasz? No, ale ja tak uważam. Po jakiego diabła pisząc do mnie napomyka o swojej sytuacji?

— Nie widzę w tym nic złego, papo. Zdaje mi się, że jest względem nas usposobiony przyjaźnie. Przyjdzie dzień, kiedy majątek stanie się jego własnością, i nie widzę racji, dlaczego nie miałby o tym napomknąć, gdy nadarza się po temu sposobność.

— Dalibóg, Klaro, zadziwiasz mnie. Ale w sprawach pieniężnych kobiety nie znają się na delikatności. Macie z pieniędzmi tak mało do czynienia i tak mało o nich myślicie, że nie wiecie, jaka w tych sprawach obowiązuje delikatność.

Klara nie mogła powstrzymać się od myśli, że jej zdaniem temat ten był w ich domu dostatecznie często poruszany, aby się mogła przekonać, że wymaga jak największej delikatności, niestety nie stosowanej w praktyce. Ale tego nie powiedziała.

— A jaką odpowiedź zamierzasz mu posłać, papo? — zapytała.

— Nie dam mu żadnej odpowiedzi. Z jakiej racji miałbym się trudzić pisaniem do niego?

— To ja wezmę ten trud na siebie.

— I co mu odpowiesz?

— Poproszę, by zgodnie ze swoją propozycją tu przyjechał.

— Klaro!

— Dlaczego miałbym tego nie zrobić, papo? Przecież on jest spadkobiercą tego majątku, więc dlaczego nie mielibyśmy pozwolić, by go obejrzał. Istnieje wiele spraw, w których współdziałanie z nim byłoby dla ciebie wygodne. Ja nie umiem ci powiedzieć, czy twoi dzierżawcy i służba postępują wobec ciebie jak należy, ale on potrafi to ocenić, zresztą mam wrażenie, że jest nam życzliwy. Nie widzę powodu, byśmy mieli się z nim poróżnić tylko dlatego, że jest dziedzicem naszego majątku. Przecież to nie jego wina, że tak się stało.

Takie rozumowanie nie trafiło do przekonania pana Amedroza, ale mimo to córka postawiła na swoim. Tego dnia ani następnego list nie został wysłany, wreszcie na trzeci dzień Klara napisała odpowiedź, w której w sposób formalny zawiadomiła pana Beltona, że pan Amedroz będzie rad przyjąć go w Belton Castle.

List ten napisała córka, ale jego chłodny ton narzucił ojciec, gdyż siedział obok Klary podczas pisania listu i ciągle jej przeszkadzał sprzecząc się o każde zdanie i o każde słowo. W końcu Klara miała już tak dość tego, że wahała się, czy nie powinna wysłać innego listu w tajemnicy przed ojcem; wreszcie napisała, krótki bilecik następującej treści:

Szanowny Panie,

Zgodnie z życzeniem ojca donoszę, że będzie on rad przyjąć Pana w Belton Castle w dniu wyznaczonym przez Pana.

Z poważaniem  
Klara Amedroz

List nie zawierał nic więcej, lecz mimo to odniósł pożądany skutek, gdyż odwrotną pocztą nadeszła odpowiedź, że Will Belton przybędzie do zamku piętnastego sierpnia. „Podczas dziesięciu dni mojej nieobecności w domu jakoś dadzą sobie beze mnie radę — dopisał w postscriptum w poufałym tonie, jakiego nie oziębiła chłodna treść zaproszenia. — Żniwa będą w tym roku nieco spóźnione, ale muszę być w domu na tydzień przed rozpoczęciem polowania na kuropatwy.”

— Ależ to człowiek bez serca! Tak, bez serca! — zrzędził pan Amedroz czytając te słowa. — Kuropatwy! Że też w takiej chwili on może mówić o kuropatwach!

W tym wypadku Klara niezupełnie zgadzała się z ojcem, nie mogła jednak oprzeć się wrażeniu, że serdeczny ton odpowiedzi kuzyna był może nie na miejscu wobec chłodnej treści jej listu. W każdym razie miała wkrótce poznać kuzyna osobiście i dopiero wtedy będzie mogła należycie go ocenić.

W pewnym domu w sąsiedztwie, i tylko w tym jedynym domu, miała panna Amedroz przyjaciółkę, z którą łączyła ją pewna zażyłość, lecz owa zażyłość wynikała raczej ze zbiegu okoliczności niż z prawdziwego przywiązania. Klara lubiła panią Askerton i widywała ją niemal codziennie, jednak trudno byłoby powiedzieć, że kochała swą sąsiadkę.

W miasteczku Belton, tuż obok kościoła, stał mały, śliczny domek nazwany willą Belton. Stał tak blisko kościoła, że ludzie z innych stron brali go zwykle za plebanię, ale plebania znajdowała się dalej, o pół mili od miasteczka, na drodze do Redicote, zajmowała okazałą trzypiętrową kamienicę, posiadała własne grunty i była bardzo brzydka. Mieszkał tu pastor, siedemdziesięcioletni stary kawaler, często nieobecny i pozostający stale w złych stosunkach z biskupem. Jego dwaj wikariusze mieszkali w Redicote, gdzie znajdował się jeszcze jeden kościół. Willa Belton, własność Amedroza, obecnie zajęta przez pułkownika Askerton i jego żonę, została wydzierżawiona przed dwoma laty. Pułkownik Askerton był w tych stronach człowiekiem obcym i zupełnie nie znanym mieszkańcom Belton.



Wiedzano tylko, że osiedlił się tu w celach polowania, i dlatego przyjazd jego był zrozumiały. Już przed dwoma laty rezerwowanie terenów łowieckich dla syna dziedzica było zbędne i niewłaściwe, oddano je więc wraz z willą w dzierżawę pułkownikowi Askertonowi. Pułkownik przybył do Belton z żoną i w całym sąsiedztwie nic o nich nie wiedzano. Pan Amedroz z córką złożył im wizytę, po czym z biegiem czasu między Klarą i panią Askerton wywiązała się pewna zażyłość. Ogród przy willi Belton graniczył bezpośrednio z zamkowym parkiem, co bardzo ułatwiało wzajemne odwiedziny. Pani Askerton była kobietą, która wiedziała, jak zdobyć sympatię innej kobiety, osoby w rodzaju panny Amedroz.

Czytelnik powinien wiedzieć, że zanim upłynęło pół roku od przyjazdu państwa Askertonów, w Belton rozeszły się o nich krzywdzące słuchy. W Taunton oddalonym o dwadzieścia mil od Belton pogłoski te rozlegały się dość głośno, a kilka osób znało z rzekomą dokładnością — a zupełnie bez źdźbła prawdy — każdy szczegół z życia pani Askerton. Coś niecoś z tych pogłosek dotarło także do Klary — usłyszała je z ust starego pastora, pana Wrighta, który przepadał za plotkami i był mocno złośliwy.

— To bardzo miła pani — mówił do Klary — ale zdaje mi się, że bardzo trudno ustalić, kto ona jest.

— Ma przecież męża — odparła Klara z oburzeniem, gdyż nigdy nie lubiła pastora.

— Tak, przypuszczam, że ma męża — odpowiedział pastor, po czym Klara powiedziała sobie w duchu, że pastor jest kłamcą, złośliwcem i potwarcą, i stała się dla pani Askerton jeszcze bardziej serdeczna. Ale coś więcej na ten temat usłyszała w Perivale.

— Zanim twoja znajomość z tą panią stanie się bardziej zażyła, uważam, że powinnaś coś o niej wiedzieć — rzekła do Klary pani Winterfield.

— Przecież niejedno o niej wiem. Wiem, że posiada maniery i wykształcenie osoby z towarzystwa i że łączy ją serdeczny stosunek z mężem, który jest do niej bardzo przywiązany. Cóż więcej powinienam o niej wiedzieć?

— Jeżeli wiesz to wszystko, to wiesz bardzo dużo — odpowiedziała pani Winterfield.

— Czy wiesz o niej coś złego, ciociu? — zapytała Klara po chwili.

Zapadło znów milczenie, zanim ciotka odpowiedziała:

— Nie, moja droga, tego nie mogę powiedzieć, uważam jednak, że zanim młoda panna zaprzyjaźni się z inną kobietą, powinna dobrze wiedzieć, z kim zawiera przyjaźń.

— Przecież przyznałaś już, ciociu, że wiem o niej dużo — zauważyła Klara i na tym rozmowa się skończyła.

W tym wypadku Klara nie okazała wiele sprytu, przyznała to sobie w duchu. Zdawała sobie sprawę, że ciotka nie powtarzałaby nigdy pogłosek, o których nie

wiedziałyby z pewnością, że są prawdziwe. Zrozumiała, że ostatnia odpowiedź starej damy była tylko dowodem jej litościwej natury i niechęci do obmowy. Ale Klara postanowiła walczyć w obronie pani Askerton i to małe zwycięstwo sprawiło jej przyjemność. Jeżeli raz już wystąpiliśmy w obronie jakiejś sprawy, to jesteśmy gotowi bronić jej dalej, mimo że sprawa okazuje się niezupełnie słuszna. Toteż Klara dalej przyjaźniła się z panią Askerton, choć w zachowaniu oraz w wyrażaniu niektórych myśli tej damy zauważyła coś, co nie odpowiadało jej pojęciu o doskonałej przyjaźni.

Pan Askerton był spokojnym, miłym człowiekiem i zdawał się zadowolony ze sposobu, w jaki urządził swoje życie. W kwietniu i w maju jeździł na sześć tygodni do miasta, zostawiając żonę samą; ale owe, być może wesołe, wycieczki do stolicy zdawały się nie budzić w niej żalu ani zazdrości. Pierwszego września do willi przyjeżdżał zwykle jeden z przyjaciół pułkownika i zostawał tam sześć tygodni spędzając czas na polowaniu, zaś w zimie pułkownik wraz z żoną wyruszali na dwa tygodnie do Paryża. Takie było ich życie podczas ostatnich dwóch lat, a jak wynikało ze słów pani Askerton, oboje zamierzali prowadzić je dalej bez zmian, dopóki będą mogli dzierżawić willę Belton. Nie mieli żadnego towarzystwa i twierdzili, że wcale go nie pragną. Znajomość z pastorem Wrightem ograniczała się do przypadkowej zamiany kilku słów. Żonaty wikary z Redicote nie pozwoliłby żonie bywać u pani Askerton, zaś drugi wikary był zapracowanym wołem roboczym, parafialnym pastorem zawsze i wszędzie: nie odwiedzał on nikogo z wyjątkiem ubogich i nie komunikowałby się z żadnym mężczyzną, a tym bardziej z kobietą, która nie znosiłaby księżyich admonicji za wykroczenia popełniane przeciw świętowaniu niedzieli. Pan Amedroz nie przyjmował gości u siebie ani nikomu nie składał wizyt. Tylko od czasu do czasu stawał przy wejściu do ogrodu pułkownika i wyliczał całą litanię swoich nieszczęść tak długo, jak sąsiad mógł wysłuchać go stojąc. A więc w Belton nie było żadnego towarzystwa i Klara zdawała sobie sprawę, że jest jedyną osobą, z którą pani Askerton utrzymywała towarzyskie stosunki, nie licząc znajomości zawartych podczas corocznych, krótkich wycieczek do Paryża.

— Postąpiłaś słusznie — orzekła, gdy Klara powiedziała jej o zapowiedzianej wizycie Willa Beltona. — Jeżeli okaże się przyzwoitym człowiekiem, to przyjazd jego może ci przynieść dużo korzyści, a jeżeli nie, to i tak nic na tym nie stracisz. Tak czy inaczej będziecie mogli poznać się wzajemnie, dowiesz się, jak jest względem was usposobiony, a to może wam wyjść na dobre.

— A jeżeli obecność jego będzie drażniła ojca?

— Moja droga, biorąc pod uwagę stan pana Amedroza uważam, że przyjazd kogokolwiek innego będzie go także drażnił, a przynajmniej dostarczy mu powodu do nowych skarg, choć nie wątpię ani na chwilę, że trochę podniecenia sprawi mu więcej przyjemności niż nawet tobie.

- Nie sędzę, żeby ta wizyta miała być dla mnie podniecająca.
- Wizyta młodego człowieka miałyby nie być podniecająca? Bez urażenia twojej niewinności pozwól sobie powiedzieć, że to niemożliwe! Przecież to jasne, że on przyjeżdża po to, by zbadać, czy nie najlepiej byłoby dla wszystkich, gdyby się z tobą ożenił.
- Ależ to nonsens, moja droga!
- Dobrze, niech sobie będzie nonsens, ale dlaczego nie miałyby tego zrobić? Postąpiłby najwłaściwiej. On nie ma żony, a ty, o ile wiem, nie masz ukochanego.
- Oczywiście, że nie mam ukochanego.
- A ten pobożny kuzynek z Perivale pod tym względem na nic się nie przyda.
- Chciałabym, moja droga, żebyś o kapitanie Aylmer nie mówiła w ten sposób. Nie znam człowieka, którego lubiłabym tak jak jego, a raczej którego lubiłabym bardziej od kapitana Aylmera. Ale to dla mnie wstrętne, że młoda panna nie może znać młodego kawalera, by nie łączono ich nazwisk i nie robiono przy tym złośliwych uwag.
- Mam nadzieję, że tego drugiego polubisz jeszcze więcej. Pomyśl, jak by to było cudownie zostać znów panią tego majątku i powrócić do starego rodzinnego nazwiska. Na twoim miejscu powiedziałabym sobie, że nie puszcę go stąd, zanim nie padnie mi do stóp.
- Jeżeli nie przestaniesz tak mówić, to nie powiem ci o nim ani słowa więcej.
- No, może nie do stóp... bo mężczyźni przynajmniej od dwudziestu lat przestali okazywać miłość w tak pokorny sposób. Ale nie wiem, czy kobiety nie zyskały na tej zmianie na równi z mężczyznami.
- Widzę, że nic nie może cię powstrzymać w zapale, kiedy wpadniesz na podobny temat — rzekła Klara. — Ale ja muszą już iść. I dopóki nasz gość nie wyjedzie, nie wspomną o nim ani słowa w twojej obecności.
- Dobrze, ale skoro przyrzekam, że nie będę już o nim mówiła, nie potrzebujesz zaraz odchodzić. — Mimo to Klara wstała i natychmiast wyszła.

### ROZDZIAŁ III

#### Will Belton

Pan Belton przyjechał do zamku, ale w willi nie wspomniano już nic o jego przyjeździe. W tym okresie Klara często widywała panią Askerton, przyjaciółka zaś dotrzymała przyrzeczenia, co dla Klary było niemal przykrym rozczarowaniem. Wprawdzie odrzucała z niechęcią przypuszczenie, że kuzyn przyjeżdża głównie ze względu na nią, jednak ciekawość poznania kuzyna budziła w niej chęć mówienia o nim. Ojciec często miał na ustach nazwisko Beltona, wspominając o nim za

każdym razem, gdy znalazł się w obecności córki. Kilkanaście razy powtarzał, że trzeba być pozbawionym serca, by w takiej chwili przyjeżdżać do tego domu z wizytą, i zawsze wyrażał się o kuzynie jak o człowieku, który popełni wielką niesprawiedliwość stając się dziedzicem jego majątku. Niemniej jednak mówiąc na ten temat dopytywał się gorączkowo, w jakim pokoju gość będzie spał, jakie potrawy będzie jadł, a szczególnie, jakie wino będzie pił. Zapasy wina w piwnicach beltońskiego zamku były niewątpliwie bardzo skromne. Dziedzic wypijał codziennie jeden lub dwa kieliszki porto, miał jeszcze resztki dawnych skarbów, które mogły mu ewentualnie wystarczyć do końca życia, i od czasu do czasu kupiec z Taunton dostarczał mu kilka butelek sherry, ale pan Amedroz twierdził, że Will Belton zapewne będzie miał ochotę na szampana albo wino czerwone, i twierdzenie to podtrzymywał uparcie, choć jednocześnie ubolewał, że kuzyn nie jest niczym więcej niż zwykłym farmerem.

— Jestem pewna, że on lubi piwo — rzekła Klara.

— Piwo? — zawołał ojciec i zatrzymał się, jak gdyby się zastanawiał, czy lepiej będzie drwić z kuzyna, że może posiadać podobnie plebejski gust, czy też wyśmiać córkę za przypuszczenie, że takie proste załatwienie sprawy rozwiąże gospodarskie trudności.

Wreszcie nadszedł dzień przyjazdu i Klarę ogarnęło podniecenie, aczkolwiek postanowiła niezłomnie, że nie będzie się wcale przejmować. Napisała do ciotki list donosząc jej o projektowanych odwiedzinach kuzyna, na co ciotka wyraziła aprobatę pisząc, że spodziewa się, iż przyjazd ten wywoła dobry skutek. Jakiż to dobry skutek miała ciotka na myśli? Prawdopodobnie jedynym dobrym skutkiem okaże się fakt, że krewni tak ściśle ze sobą związani będą mogli bliżej wzajemnie się poznać. Dlaczego ta wizyta miałaby wywołać tyle zamieszania? Mimo wszystko, choć Klara nie okazywała podniecenia na zewnątrz, czuła, że wewnątrz nie jest tak spokojna, jakby sobie tego życzyła.

Gość przyjechał z Taunton dwukółką o piątej po południu. W Belton podawano zwykle obiad właśnie o piątej, ale dziś przesunięto go na godzinę szóstą spodziewając się, że w każdym razie kuzyn do tej pory przyjedzie. Pan Amedroz zdążył już kilka razy posądzić gościa o brak serca za to, że w liście nie określił dokładnie godziny przyjazdu, i z góry bardzo się martwił na wypadek, gdyby kuzyn nie przyjechał przed szóstą, ale utyskiwaniom tym położył kres turkot dwukółki. Pan Amedroz wraz z córką czekali w małym saloniku, którego okna wychodziły na front domu. Pan Amedroz siedział w swoim ulubionym fotelu tuż przy oknie, aby móc widzieć przyjazd gościa. Przez chwilę siedział spokojnie, jak gdyby pragnął okazać, że wizyta kuzyna jest zbyt błahym wydarzeniem, by z tego powodu się fatygować, nie potrafił jednak wytrwać w tej godnej obojętności i zanim kuzyn wysiadł z dwukółki, pośpieszył do hallu na przywitanie.

Klara niemal bezwiednie poszła za ojcem i po chwili zamieniła uścisk dłoni z

przybyszem. Był to mężczyzna ponad sześć stóp wysoki, szeroki w ramionach, grubokościsty, o żywych jasnoszarych oczach; miał szerokie usta i niemal doskonale piękne zęby, kształtny nos, krótką ciemną czuprynę i niewielkie faworyty, które sięgały mu do połowy policzków — słowem zdecydowanie piękny mężczyzna o kwitnącej zdrowiem twarzy; może jednak wygląd jego zdradzał pewną rubasność właściwą farmerom. Ale Klara od razu doznała wrażenia, że równie dobrodusznego człowieka dotychczas nie spotkała.

— A więc to pani jest tą małą dziewczynką, którą poznałem będąc jeszcze uczniem pana Folliotta? — zapytał przyjaźnie.

Jego czysty, choć donośny głos zabrzmiał wesoło w smutnym starym domu.

— Tak, jestem tą samą małą dziewczynką — potwierdziła Klara z uśmiechem.

— Patrzcie państwo! A było to jakieś dwadzieścia lat temu!

— Tak, ale nie powinien pan mi tego przypominać.

— Nie powinienem? Dlaczego?

— Bo to świadczy o tym, że jestem już stara.

— Rzeczywiście... ale tu nie ma nikogo, kto by się tym przejmował. Jakże dokładnie pamiętam ten pokój... i tę staruszkę więź! Nic się tu nie zmieniło.

— Nie zmieniło się może dla obcych oczu — rzekł stary ziemianin.

— Właśnie to chciałem powiedzieć. A więc dopiero teraz zwozicie siano? U nas skończyliśmy sianokosy już trzy tygodnie temu. Nie wiedziałem, że w parku urządziliście pastwisko.

W tym miejscu gość niebacznie i z całą bezwzględnością nastąpił na najczulsze odciski pana Amedroza, lecz nie zauważył tego. I gdy staruszek coś wyjąkał o dzierżawcy i o trudnościach utrzymania we własnych rękach całej posiadłości, Belton byłby dalej podtrzymywał ten temat, gdyby Klara nie zmieniła toku rozmowy. Znalazszy się sam na sam z córką stary dziedzic gorzko skarżył się powtarzając raz jeszcze, że kuzyn okazał się człowiekiem bez serca.

Klara w sekrecie przed ojcem powzięła plan pomówienia z kuzynem przy pierwszej sposobności, kiedy znajdą się bez świadków; postanowiła przeprowadzić tę rozmowę w pół godziny po jego przyjeździe, w chwili gdy przechodził przez hall udając się do swego pokoju.

— Panie Belton — rzekła — sądzę, że nie weźmie mi pan za złe, że korzystając z przywilejów kuzynostwa odsłonię od razu pewną stronę naszego życia. Mój ojciec jest bardzo słaby.

— Od czasu kiedy go ostatnio widziałem, ogromnie się zmienił.

— O, tak. Proszę pomyśleć, ile musiał wycierpieć! Otóż chcę panu powiedzieć, że nie jesteśmy już tak zamożni jak dawniej i musimy prowadzić bardzo skromny tryb życia. Nie weźmie nam pan tego za złe?

— Kto? Ja?

— To bardzo uprzejmie z pana strony, że przejechał pan taki kawał drogi, żeby

nas odwiedzić.

— Przejechałbym chętnie trzy razy tyle!

— Będzie pan musiał pogodzić się z naszym trybem życia, a prawdę mówiąc jesteśmy po prostu w biedzie.

— Chciałem właśnie wiedzieć, jak się sprawy przedstawiają pod tym względem. Nie mogłem przecież pytać w liście, więc zamierzałem to zbadać na miejscu.

— No i przekonał się pan, że tak jest istotnie.

— Jeżeli chodzi o ubóstwo, to według mnie nie ma to znaczenia dla młodych; inna sprawa, kiedy człowiek się starzeje... A teraz chciałbym wiedzieć, jak można by temu zaradzić.

— Jedyne, co pan może zrobić, to okazać ojcu życzliwość. Musieliśmy wydzierżawić park panu Stoveyowi i ojciec nie lubi o tym wspominać.

— Jeżeli nie wolno o tym mówić, to jak można temu zaradzić?

— Kiedy na to nie ma rady.

— To jeszcze zobaczymy. Jestem pani ojcu bardzo życzliwy, przekona się pani sama. Chciałbym jeszcze powiedzieć, że i pani pragnąłbym okazać dużo życzliwości, jeśli mi pani pozwoli. Nie ma już pani brata...

— Niestety, nie mam już brata — odpowiedziała Klara. Belton spojrzał na jej twarz i zauważył, że oczy jej zaszły łzami.

— Teraz ja będę pani bratem — powiedział. — Zobacz pani. Jeżeli coś przyrzekam, to zawsze dotrzymuję słowa. Zastąpię pani brata. — To mówiąc ujął i pogłaskał jej rękę, jakby chcąc pokazać, że nie czuje się wobec niej skrępowany. Zachowywał się w sposób bezceremonialny, mówiąc rzeczy, o których ojciec jej powiedziałby, że są niedelikatne i bez serca, a robił to z całą swobodą, z miejsca niemal zyskując przewagę nad nią. Ale Klara bynajmniej sobie tego nie życzyła. Myślała, że jej kuzyn jest tylko farmerem i choć miał wspanialsze widoki na przyszłość jako dziedzic majątku, zastosuje się w milczeniu do jej wskazówek. On natomiast zachowywał się tak, jak gdyby brał na siebie rolę przodującą w grze, jaką mieli rozegrać między sobą.

— A więc zgadza się pani? — zapytał nie wypuszczając z dłoni jej ręki.

— Jest pan bardzo uprzejmy.

— Chciałbym pani okazać coś więcej niż uprzejmość. Jeżeli pani pozwoli, będę panią serdecznie lubił. Niech pani nie myśli, że przyjechałem tu o tak, aby przyjechać. Przywiązanie do własnej krwi coś znaczy, a pani nie ma nikogo bliższego niż ja. Nie widzę, dlaczego mielibyście być tacy ubodzy, skoro wszystkie wasze długi zostały spłacone.

— Ojciec musiał zaciągnąć pożyczkę a konto dożywocia, które ma na tym majątku.

— Oj, to niedobrze! Ale mniejsza o to. Zobaczymy, czy nie uda się coś w tej sprawie zrobić. A tymczasem proszę nie uważać mnie za człowieka obcego.

Cokolwiek mi dacie, wystarczy w zupełności. Gdyby pani wiedziała, jak ja potrafię zadowolić się byle czym. Umiem poprzestawać na fasoli z boczkiem, a jeżeli nie ma fasoli, to mogę obejść się i bez niej.

— No, ale już czas przygotować się do obiadu. Zwykle przebieramy się, bo papa to lubi.

Mówiąc to dawała mu do zrozumienia, że powinien przebrać się, gdyż ojcu byłoby przykro, gdyby kuzyn zasiadł do stołu bez należytej ceremonii... Will Belton nie był wprawny w odgadywaniu podobnych aluzji, lecz tym razem zrozumiał ją i odpowiednio zmienił strój.

Wieczór był długi i nudny i nie zdarzyło się nic godnego wzmianki prócz zdziwienia, jakie okazał pan Amedroz słysząc, że kuzyn zwraca się do jego córki po imieniu. Belton zrobił to bez wahania, jakby to była rzecz najbardziej naturalna. Był przecież jej kuzynem, a wiadomo, że kuzyni w ten sposób zwracają się do siebie. Klara byстрыm okiem natychmiast zauważyła, że ojciec lekko drgnął ze zdziwienia, ale gość tego nie zauważył. Dziedzic skorzystał z pierwszej sposobności, by nazwać go „panem” Beltonem, kładąc specjalny nacisk na słowie „pan”, ale Will i tego nie zauważył, gdyż w ciągu następnych pięciu minut pięć razy nazwał kuzynkę Klarą. Kuzynka byłaby mu odpowiedziała w ten sam sposób, gdyby nie obawa, że to rozdrażni ojca.

Pan Amedroz oświadczył, że podczas pobytu gościa będzie schodził na dół na śniadanie, i nazajutrz o pół do dziesiątej zjawił się w jadalni. Klara od pewnego czasu już tam czekała, ale kuchnia jeszcze nie było. Wszedł do pokoju zaraz po starym panu, trzymając w ręku kapelusz i ocierając pot z czoła.

— Pan już był na dworze, panie Belton — zauważył gospodarz.

— Tak, obszedłem całe gospodarstwo. Zimą czy latem jestem na nogach o szóstej rano. Po co leżeć w łóżku, skoro ma się już dość snu?

— To właśnie kwestia — rzekła Klara — czy o szóstej rano jest się już wyspanym.

— Kobiety, rzecz prosta, potrzebują więcej snu niż mężczyźni, ale kto chce dobrze gospodarować, powinien wstawać wcześniej. Trawa w nocy rośnie sama, ale skoro świt potrzebuje pielęgnacji.

— Nie wiem, czyby to dużo pomogło tutejszej trawie — powiedział posepnie dziedzic.

— Pomogłoby tak tutejszej, jak każdej innej. Właśnie w tej sprawie miałbym coś do powiedzenia. — Usiadł przy stole bawiąc się widelcem i nożem. — Zdaje mi się, proszę pana, że pan nie ma należytego pożytku z parku.

— Proszę, przestańmy o tym mówić — rzekł dziedzic.

— Nie będę o tym mówił, skoro pan sobie tego nie życzy, ale, dalibóg, uważam, że pan powinien lepiej rozejrzeć się w swoich interesach.

— Co pan chciał przez to powiedzieć? — zapytała Klara.

— Jeżeli ojciec pani nie chce sam gospodarować na całej swojej ziemi, to powinien wydzierżawić ją komuś, kto by na niej wypasał bydło, a nie rok po roku żął trawę, nic w ziemię nie wkładając, jak to zamierza robić ten wasz dzierżawca. Rozmawiałem już ze Stoveyem i wiem, że taki ma plan.

— Tutaj nikt nie ma dość pieniędzy na hodowlę bydła — rozgniewał się dziedzic.

— A więc należałoby poszukać kogoś takiego w innej okolicy. A wie pan, panie Amedroz, że gotów jestem sam się tym zająć. — To mówiąc Belton nałożył sobie dwa duże płaty zimnej baraniny i jadł śniadanie z taką samą energią, jaką wkładał w swoje plany.

— To wykluczone — powiedział dziedzic.

— Nie wiem, dlaczego miałoby to być wykluczone. To będzie korzystne i dla pana, i dla mnie, jeżeli kiedyś ta posiadłość stanie się moją własnością.

Słyszając to dziedzic drgnął, ale nic nie odpowiedział. Ten straszny kuzyn był tak szczery w wypowiedzianiu swego zdania, że biedny stary pan nie był w stanie dotrzymać mu kroku, nawet nie śmiał powtórzyć, że nie życzy sobie mówić o tym dalej.

— Zaraz panu powiem, co teraz zrobię — mówił dalej Belton. — Jest tu ziemi ogrodzonej i nie ogrodzonej około stu pięćdziesięciu akrów. Będę panu płacił funt, dwa szylingi i sześć pensów od akra. Nie będę kosił ani akra trawy w obrębie parku i niewiele skoszę na zewnątrz, tyle tylko, aby mieć trochę paszy dla bydła w zimie.

— I porzuci pan Plaistow? — zapytała Klara.

— Ależ bynajmniej! Mam tam dziewięćset akrów ziemi, przeważnie ornej. Już to sobie wszystko obliczyłem; zaprowadzenie hodowli bydła będzie mnie kosztowało tysiąc funtów, będę tu zaglądał dwa razy do roku i sądzę, że zwrócę sobie koszty, a nawet będę miał trochę dochodu.

Pan Amedroz bardzo się zdziwił. Jak to? Ten człowiek przebywał tu nie dłużej niż jedną noc, a już proponuje wziąć na siebie wszystkie kłopoty? Było mu to nie w smak. Nie lubił, by go posądzano, że sam nie potrafi załatwiać własnych spraw tak dobrze, jak kto inny zrobiłby to za niego. Nie pragnął żadnej zmiany, aczkolwiek przypomniał sobie chwilę, kiedy tak się rozgniewał na farmera Stoveya za te wozy z sianem. Nie życzył sobie, by przyszły spadkobierca już teraz wtrącał się do spraw majątku. Nie miał jednak dość siły, by otwarcie nie zgodzić się na jego propozycję.

— Nie mógłbym w taki sposób pozbyć się Stoveya — powiedział załośnie.

— Już to załatwiłem ze Stoveyem — rzekł Belton. — Będzie rad wyjść z tego interesu z dwudziestoma funtami, które mam mu dać. On by tu nie zarobił ani grosza. Nie ma dość pieniędzy na zaprowadzenie hodowli bydła. A w dodatku musiałby płacić ludziom za koszenie siana! Byłby stracił na tym płacąc nawet tak niską dzierżawę, i zdaje sobie z tego sprawę. Tak, nie będziemy mieli ze Stoveyem żadnej trudności.



Tego dnia w południe pan Stovey przyszedł na wezwanie i zrezygnował z dzierżawy, którą przejął po nim Will Belton, przy czym podwyższył roczną sumę dzierżawną o czterdzieści funtów — w dodatku dżentelmen ten zdążył już załatwić wszystkie interesy związane z objęciem dzierżawy. Zapłacił już Stoveyowi dwadzieścia funtów i w ten sposób transakcja została zakończona. Pan Amedroz siedział w swoim fotelu zdziwiony, przestraszony i — jak sam się wyraził — zaskoczony, kompletnie zaskoczony szybkością decyzji młodego człowieka. A może tak będzie dobrze? Sam nie wiedział. Nie był tego wcale pewny. Ale wobec istniejących okoliczności rodzinnych tego rodzaju pośpiech był co najmniej niedelikatnością. Był zły na siebie za to, że ustąpił, i zły na Klarę za to, że mu na to pozwoliła.

— To nie ma większego znaczenia — oświadczył w końcu. — Przecież i tak niedługo wszystko tu będzie jego własnością.

— Ależ, papo, sądzę, że to dla ciebie naprawdę najlepsze załatwienie sprawy. Przyniesie ci to więcej pieniędzy...

— Pieniądz to nie wszystko, moja droga.

— Chyba będziesz wolał mieć tu własnego kuzyna niż pana Stoveya.

— Nie wiem. Zobaczymy. Sprawa jest załatwiona i wszelkie skargi na nic się nie przydadzą. Muszą jednak powiedzieć, że to z jego strony duża niedelikatność.

Po południu Belton poprosił Klarę, żeby z nim obeszła całe gospodarstwo. On sam oglądał je już po raz drugi, porobił plany i obliczył możliwość strat i zysku.

— Jeżeli pani nie boi się zmęczenia długą przechadzką, to pokażę pani wszystko, co zamierzam tu zrobić — powiedział.

— Ależ ja nie życzę sobie żadnych zmian — rzekł pan Amedroz z nieco afektowaną godnością. — Nie pozwolę usuwać żadnego ogrodzenia ani nic w tym rodzaju.

— Zapewniam pana, że nie zrobię nic bez pańskiej zgody. Będę się rządził tak, jak gdybym był pańskim własnym... ekonomem. — Chciał powiedzieć „synem”, ale w ostatniej chwili przypomniał sobie straszny koniec Karola Amedroza i nie użył tego słowa.

— Kiedy ja nie chcę, żeby pan tu cokolwiek zmieniał — powiedział Amedroz.

— A więc nie wprowadzę tu żadnych zmian. Każę tylko w kilku miejscach zreperować ogrodzenie dla bydła, a wszystko inne zostawię tak, jak było. Ale mimo to może Klara zechce przejść się trochę ze mną.

Klara była gotowa do wyjścia, włożyła już kapelusz i wzięła parasolkę.

— Ojciec pani jest trochę nerwowy — stwierdził Belton, gdy tylko oddalili się nieco od domu.

— Czy jest w tym co dziwnego, skoro się zważy, ile wycierpiał?

— Bynajmniej się temu nie dziwię, nie dziwię się też, że mnie nie lubi.

— Nie uważam wcale, by pana nie lubił.

— Ale tak jest. Oczywiście, że mnie nie lubi. Przecież to ja mam dziedziczyć ten majątek zamiast pani. Jest więc rzeczą naturalną, że mnie nie lubi. Ale to minie. Zobacz pani, że minie. On mnie jeszcze tak polubi, że będzie chciał zawsze mieć mnie w pobliżu. Nic sobie z tego nie robię, kiedy mnie ktoś z początku nie lubi.

— Dziwny z pana człowiek, panie Belton.

— Chciałbym, żeby pani mnie nie nazywała panem Beltonem; zrobi pani oczywiście, jak zechce, ale jeżeli ojciec pani zgodzi się mówić mi po imieniu, czy i pani to zrobi?

— Wtedy tak.

— To nie ma żadnego znaczenia, jak się do kogo mówi, prawda? Ale każdy człowiek lubi okazywać przyjaźń tym, kogo uważa za przyjaciół. Czy pani się to nie podoba, że mówię jej po imieniu?

— Skoro pan zaczął, może pan dalej tak mówić.

— Dobrze. Ja z zasady nigdy się nie cofam. Ojciec pani nie bardzo jest zadowolony, że zgodził się na moją propozycję. Nie mam mu tego za złe. Ale wie pani co? Niech on mówi, co chce, jestem pewny, że nim rok upłynie, znajdą tu duże zmiany. Na przykład tutejszy las mógłby dostarczyć sporo budulca, są również miejsca, gdzie należy koniecznie wykarczować korzenie. To się zawsze opłaca, jeżeli jest dobrze zrobione. Cokolwiek w życiu zrobi się dobrego, zawsze się opłaca.,.

Później Klara często przypominała sobie te słowa, kiedy myślała o charakterze kuzyna. Cokolwiek w życiu zrobi się dobrego, zawsze się opłaca!

— Ale nie powinien pan obrażać ojca nawet wtedy, kiedy pan robi dla niego coś dobrego.

— Rozumiem — odpowiedział. — Nie będę mu następować na odciski. Skąd pani bierze mleko i masło?

— Kupuję je.

— Zapewne od Stoveya?

— Tak, od Stoveya, a konto sumy dzierżawnej.

— To po prostu wbrew naturze mieszkać na wsi i płacić za mleko! Wie pani, co zrobić? Podaruję pani krowę. Będzie to mały prezent ode mnie. — Nie wspomniał o tym, że taki podarunek pociągnie za sobą jeszcze większy podarunek w postaci paszy, którą będzie musiał dawać dla krowy, ale Klara to zrozumiała i starała się do tego nie dopuścić.

— Ach, panie Belton, lepiej nie próbujmy tego robić.

— A jednak spróbujemy. Zobowiązałem się, że nie zrobię nic wbrew woli ojca pani, ale nie przyrzekałem tego w stosunku do pani. Zanim postarzejemy się o kilka dni, będziemy tu mieli krowę. Co za śliczna okolica! Te skały ogromnie mi się podobają. Jak to przyjemnie mieszkać w górzystej miejscowości!

— Tak, ładnie tu.

— Bardzo ładnie. Pani nie ma pojęcia, jaki brzydki jest Plaistow. Teraz grunt nie jest już bagnisty jak niegdyś; prócz tego jest zupełnie płaski. Mamy tam dużą groblę, szeroką na dwadzieścia stóp, która ślamazarnie wlecze się poprzez grunt, tak, po prostu wlecze się. Jest tam także mnóstwo małych grobelek biegnących pod kątem prostym do dużej grobli, a wszystkie pola są kwadratowe. Nie ma żywopłotów, załedwie tu i tam rośnie kilka drzew.

— Jakież smutny obraz pan narysował! Gdybym tam mieszkała, popełniłabym chyba samobójstwo.

— Nie zrobiłaby pani tego, gdyby pani miała tam tyle do roboty co ja.

— A jak wygląda dom?

— Dom wygląda nieźle; jest to staroświecki dworek kryty dachówką, o wysokich ceglanych kominach i trójkątnych ceglanych szczytowych ścianach; ma szerokie kwadratowe okna osadzone w kamiennych framugach. Tak, dom wygląda nieźle, ale położony jest w samym środku folwarcznego dziedzińca. Powiedziałem, że nie ma tam drzew, a jednak jest aleja.

— No, to już zawsze coś.

— Plaistow to stara rodzinna siedziba, a w dawnych czasach lubiono mieć aleje. Ale ta aleja nie prowadzi do frontowych drzwi domu, tylko na gospodarskie podwórze. W ogóle całe otoczenie wyglądało zapewne zupełnie inaczej i niegdyś musiał tam być olbrzymi dziedziniec. W czasach elżbietańskich dwór w Plaistow był znany z wytworności i należał do pewnej rodziny katolickiej, która podupadła, a wtedy Plaistow przejęli Howardowie. Majątek ma swoją bogatą historię, ale mnie te sprawy mało obchodzą.

— A teraz ten majątek należy do pana?

— Do mnie i do mojego wuja, któremu za jego część wypłacam roczną rentę. Jak pani wie, jest on duchownym i mieszka w Lincolnshire, niedaleko ode mnie.

— Czy pan sam mieszka w tym dużym domu?

— Nie, razem z siostrą. Czy pani słyszała o Mary? Wtedy Klara przypomniała sobie o istnieniu panny Mary Belton. Było to biedne, chorowite stworzenie, z krzywym kręgosłupem i garbem na plecach. Powinna była wcześniej o nią zapytać.

— O tak, naturalnie! — rzekła Klara. — Mam nadzieję, że jest teraz zdrowsza.

— Ona nigdy nie będzie zdrowsza, ale jej stan się nie pogarsza, choć wydaje mi się jakby coraz słabsza. Jest starsza ode mnie o dwa lata, a patrząc na nią można by pomyśleć, że to staruszka.

Przez następne pół godziny rozmawiali o Mary Belton i obejrżeli każdy kącik majątku. Podczas tej rozmowy Belton nie zapomniał o gospodarstwie i Klara zauważyła, ile gałązek chrustu usunął po drodze, ile kamieni kopnął na stronę i jak niezmiennie zauważał każdy brak w ogrodzeniu. Jednocześnie mówił dużo o siostrze, zaręczał, że ma złote serce, i wspominając o jej chorobie otarł łzy

Z OCZU.

— A mimo to ona jest bogatsza od nas wszystkich — dodał jeszcze — dlatego że jest tak bardzo dobra.

Kuzyn tak się podobał Klarze, że zaczęła żałować, iż od samego początku nie mówiła mu po imieniu. Był po prostu wymarzoną osobą na kuzyna: wierny, życzliwy, odważny, pewny siebie, może po trosze tyran, jak zwykle mężczyzna w stosunku do swoich bliskich kuzynek; co więcej, był mężczyzną, z którym mogła sobie pozwolić na pewną poufałość bez obawy, że zacznie się do niej zalecać! Przejrzała na wskroś jego charakter i powiedziała sobie, że go rozumie w zupełności. Taki kuzyn to po prostu skarb i ona jak najprędzej zacznie mówić mu po imieniu.

Wędrując tak dokoła znaleźli się przed furtką wiodącą do ogrodu pułkownika Askertona, a tuż przy furtce zastali panią Askerton. Przypuszczalnie czekała na nich lub raczej czekała na Klarę, aby się dowiedzieć, jak się powiodła wizyta kuzyna. Stała więc w furtce i Klara przedstawiła jej pana Beltona. Pan Belton kłaniając się wyjąkał coś niezręcznie i przez chwilę zdawał się zmieszany. Pani Askerton była dla niego bardzo uprzejma, a potrafiła być uprzejma, jak również nieuprzejma. Mówiła o pięknym położeniu i uroku starego gniazda, o tępotcie tutejszych ludzi i o niemożności znalezienia na wsi odpowiedniego towarzystwa i po chwili Belton poczuł się znów swobodnie.

— Jak się miewa pułkownik Askerton? — zapytała Klara.

— Jest w domu. Może państwo wejść, żeby się z nim przywitać? Jak zwykle czyta jakąś francuską powieść. W lecie nie robi nic więcej, tylko czyta. Czy pan, panie Belton, czytuje czasem francuskie powieści?

— Czytuję bardzo mało, a już jeżeli, to tylko po angielsku.

— Jest pan zapewne człowiekiem, który postawił sobie jakiś cel w życiu.

— Sądzę, że tak, o ile można nazwać celem pracę na chleb. Nie ma się czasu na czytanie francuskich powieści, gdy się posiada tysiąc akrów ziemi, nawet jeżeli się zna język francuski, którego ja nie znam.

— Przecież praca na farmie nie trwa bez przerwy.

— Prawie zawsze ma się coś do roboty. Poza tym chodzę na polowanie.

— Pan jest sportsmenem?

— Każdy mieszkaniec wsi jest mniej lub więcej sportsmenem.

— Pułkownik Askerton bardzo dużo poluje. Dzierżawi w Belton tereny łowieckie. Jestem pewna, że byłby niezmiernie rad, gdyby pan tu przyjechał na pewien czas we wrześniu; ale dla pana, mieszkańca Norfolk, polowanie na kuropatwy w Somersetshire nie przedstawia chyba żadnego uroku?

— Nie widzę, dlaczego polowanie na kuropatwy miałyby być tutaj mniej przyjemne niż gdzie indziej.

— Pułkownik Askerton uważa, że ma na tym terenie zupełnie dobry zwierzostan.

— Sądzę, że tak; hodowanie zwierzyny jest łatwe, jeżeli ktoś się na tym dobrze zna.

— Pułkownik Askerton ma doskonałego gajowego i odkąd tu zamieszkał, wsadził w to sporo pieniędzy.

— U siebie jestem sam własnym gajowym i zostanę nim tutaj, a raczej zostałbym, gdybym objął ten majątek.

W tonie pani Askerton wyczuł coś drażniącego i obraźliwego, a może uważał, że niepotrzebnie odgrywa rolę dziedziczki tylko dlatego, że jej mąż dzierżawi tu polowanie za trzydzieści funtów rocznie.

— Mam nadzieję, że pan nas stąd nie wyrzuci — rzekła pani Askerton śmiejąc się.

— Nie mam prawa nikogo stąd wyrzucać ani też przyjmować. To nie moja sprawa.

Zauważywszy, że atmosfera między jej dawną przyjaciółką i nowym przyjacielem staje się naprężona, Klara pomyślała, że czas się pożegnać. Belton odchodząc uchylił kapelusza i Klara doznała wrażenia, że jest nie tylko bardzo przystojny, ale wygląda na dżentelmena, chociaż jest farmerem.

— Do widzenia, Klaro — rzekła pani Askerton — przyjdź do mnie jutro, moja droga. Pamiętaj, że ja pędzę tu takie monotonne życie. — Klara obiecała, że przyjdzie.

— Byłabym niezmiernie rada — dodała żona pułkownika — gdyby pan Belton zechciał nas odwiedzić przed odjazdem. — Na to Belton znów uchylił kapelusza i wyjąkał kilka grzecznych słów, ale tym razem powiedział je inaczej niż poprzednio, gdyż odzyskał już panowanie nad sobą.

— Zdaje mi się, że moja przyjaciółka nie bardzo się panu podobała — rzekła Klara, kiedy się nieco oddalili.

— Nie, to znaczy, że ani mi się specjalnie podobała, ani specjalnie nie podobała. Z początku wziąłem ją za kogo innego, za osobę, którą dawno temu przelotnie poznałem, i jednocześnie pomyślałem o tamtej.

— A jak się tamta pani nazywała?

— W tej chwili nie mogę sobie przypomnieć.

— Pani Askerton jest z domu panna Oliphant.

— Tamta nazywała się inaczej. Ale niezależnie od tego to nie może być ta sama osoba. Tamta była żoną niejakiego pana Berdmore'a.

— Berdmore! — Powtarzając to nazwisko Klara doznała wrażenia, że już je kiedyś słyszała w związku z panią Askerton. Z pewnością albo je kiedyś słyszała, albo widziała napisane, w każdym razie nazwisko to kiedyś padło w obecności pani Askerton albo w jej mieszkaniu. Więcej nie mogła sobie przypomnieć, ale nazwisko usłyszane od kuzyna od razu skojarzyło się w jej pamięci z przyjaciółmi z willi Belton.

— Tak, Berdmore — powiedział Belton. — Wiedziałem więcej o nim niż o niej, wprawdzie i o nim wiedziałem niewiele. Ona była rozwydrzoną panną i jego przyjaciele bardzo nad tym ubolewali. Zdaje mi się jednak, że oboje albo nie żyją, albo się rozwiedli, albo spotkało ich jakieś nieszczęście.

— Czy pani Askerton przypomina ową rozwydrzoną pannę?

— W pewnej mierze tak. Wprawdzie nie pamiętam, jak tamta wyglądała, ale w tej kobiecie jest coś, co mi przypomina tamtą. Nazywała się Vigo, tak, tak, pamiętam — panna Vigo... Poznałem ją dziewięć albo dziesięć lat temu, byłem wówczas niemal wyrostkiem.

— Ona jest z domu panna Oliphant.

— Nie sądzę jednak, by to mogła być ta sama osoba. Rozgniewał mnie sposób, w jaki mówiła o polowaniu. Tak mówią zwykle ci, co polują od święta. Płacą jakieś mizerne trzydzieści albo czterdzieści funtów rocznej dzierżawy, a wydaje się im, że są właścicielami całej posiadłości. Znałem pewnego jegomościa, który lubił chwalić się swoim „dworem”, tymczasem dzierżawił tylko mały folwarczek z niewielkim laskiem, gdzie mógł polować. Są to zwykle sklepikarze z Londynu, fabrykanci wódek albo piwowarzy.

— Ależ, panie Belton, nie przypuszczałam, że pan potrafi tak się złościć!

— Czy potrafię? Kiedy mnie kto rozgniewa, to staję dęba, ale tym razem jeszcze się tak nie rozgniewałem.

— Mam nadzieję, że to nie nastąpi podczas pańskiego pobytu w Somersetshire.

— Nie odpowiadam za to. Zauważyłem na przykład, że pusty wóz Stoveya stoi na tym samym miejscu co wczoraj, choć obiecał mi, że go usunie dziś przed trzecią. Jeżeli tego nie zrobi, będzie miał ze mną do czynienia!

Gdy wrócili do domu, było już koło szóstej i Klara ze zdziwieniem stwierdziła, że spędziła trzy godziny w towarzystwie kuzyna. Przechadzka ta była bardzo przyjemna. Zazwyczaj chodziła sama albo towarzyszką jej przechadzek była pani Askerton, która nie lubiła dłuższych spacerów. Wlokła się za Klarą przez małą godzinę, lecz i takie towarzystwo było lepsze niż zupełna samotność; natomiast teraz Klara obeszła całą posiadłość, przedostawała się przez przełazy, przechodziła przez furtki, wędrowała przez zarośla, aż poczuła się zmęczona, głodna, podniecona i bardzo zadowolona.

— Ach, papo — powiedziała do ojca — zrobiliśmy taki ogromny spacer!

— Myślałem, że mieliśmy zjeść obiad o piątej — zauważył stary pan żałośnie.

— Nie, papo, naprawdę nie, sam powiedziałeś, że o szóstej.

— To było wczoraj.

— Powiedziałeś, że dopóki pan Belton jest u nas, będziemy jadali obiad o szóstej.

— Więc dobrze, skoro tak musi być, to niech będzie.

— A może to z mojego powodu? — zapytał Will. — Ależ ja mogę jeść obiad o

każdej godzinie, o jakiej mi go podadzą. Jeżeli mi czego brakuje, to na pewno nie apetytu.

Tego wieczoru Klara przyszedłszy do pokoju ojca powtórzyła mu, co Belton mówił o polowaniu, gdyż wiedziała, że na tym punkcie pojęcia ojca i kuzyna zgadzają się w zupełności. Pan Amedroz naturalnie skorzystał z tej sposobności, by dalej zrędzić, snując przypuszczenie, że Belton zechce zachować dla siebie prawo polowania jako właściciel majątku. Mimo to Klara osiągnęła swój cel i zanim pożegnała się z ojcem, stary pan zgodził się, że polowanie i zarząd majątkiem powinny być nieodłączne.

— Jestem pewna, że pan Belton nie miał tego na myśli

— powiedziała Klara.

— Nic mnie to nie obchodzi, co on miał na myśli — odpowiedział stary pan.

— Byłoby nieładnie postąpić w ten sposób z pułkownikiem Askertonem — zauważyła Klara.

— Postąpię z nim tak, jak mi się będzie podobało — odparł jej ojciec

## ROZDZIAŁ IV

### Klara czuje się bezpieczna od zalotów

„Mam miłego kuzyna i nie potrzebuję się obawiać, że będzie się do mnie zalecał!” — tak osądziła Klara Willa Beltona leżąc tego wieczoru łóżku. Nie potrafiłbym wytłumaczyć, dlaczego taka gwarancja miałaby być w jej oczach zaletą. Młode panny lubią jednak wmawiać w siebie podobne rzeczy o młodzieńcach, z którymi dzięki przypadkowi znalazły się w pewnej zażyłości — jak gdyby męskie zaloty miały być czymś obraźliwym i burzącym szczęście, a przecież miłość stanowi istotną treść życia.

On nie będzie się do mnie zalecał! Ale czyż pani Askerton nie uważała, że możliwość zalotów Willa podnosi znaczenie jego przyjazdu? Nie mogło być przecież dwóch zdań, że ze światowego punktu widzenia małżeństwo z kuzynem byłoby dla niej nader korzystne. Co więcej, Klara już spostrzegła, że był to człowiek odpowiedni do objęcia kierowniczej roli w małżeństwie: dobroduszny, pogodny, skłonny do robienia przyjemności innym, energiczny, zapobiegliwy, na pewno da sobie radę w życiu i zawsze potrafi trzymać głowę wysoko — słowem, będzie wprost wymarzoną mężem. A mimo wszystko była rada, czując się bezpieczna od jego zalotów. Czyżby wtedy w Taunton uścisk dłoni kapitana Aylmera był aż tak czuły, a jego słowa aż tak wzruszające, że z tego powodu cieszyła się, iż kuzyn nie będzie się do niej zalecał?

A co Will Belton myślał o kuzynce, skoro — jak przypuszczała — nie zamierzał

się do niej zalecać? Tej nocy on również leżał bezsennie, myśląc o przyjaźni z kuzynką, a raczej myślał o niej chodząc po pokoju wpatrzony w jasną pełnię księżyca. Nie kładł się do łóżka, gdyż dla niego położenie się do łóżka było równoznaczne z natychmiastowym zaśnięciem. Na chwilę siadał, potem wstawał lub wychylał się na świeże nocne powietrze; myślał o domu, w którym w tej chwili się znajdował, o siostrze, o widokach związanych z przyszłym objęciem tego majątku; przypominał sobie twarz Klary, jej figurę i stopy — w końcu postanowił, że się z nią ożeni. Nie spotkał dotychczas kobiety, która podobałaby mu się tak bardzo jak ona. Chociaż spędził z nią tylko jeden dzień, był pewny, że ją pokocha, a nawet powiedział sobie, że już ją pokochał. Gdy to sobie powiedział stanowczo, rzucił się na łóżko i w pięć minut później zasnął.

Panna Amedroz była bardzo przystojna: wysoka, dobrze zbudowana, żywa i tryskająca zdrowiem. Poruszała się tak jak gdyby wiedziała, że jej członki stworzone są po to, by się nimi posługiwać, a nie do wygodnego leżenia na kanapie. Miała głowę i szyję osadzoną solidnie na ramionach, a jej kibić nie przypominała bynajmniej osy, z czego dawniej kobiety były bardziej dumne niż teraz, kiedy zdobyły już więcej wykształcenia i smaku. Było w niej coś, co przypominało jej kuzyna, jak gdyby ich wspólna krew przyczyniła się do stworzenia podobnych proporcji i podobnego wdzięku. Jej włosy, podobnie jak jego czupryna, były ciemne. Oczy miała ciemniejsze niż on, może mniej ruchliwe, ale równie błyszczące i pełne tkliwego wyrazu. Jej nos, podbródek i owal twarzy były kształtniejsze, a nieco szerokie, tak jak i jego, wyraziste usta ozdobione były wspaniałymi zębami koloru kości słoniowej. Jak wspomniano wyżej, Klara Amedroz, panna blisko dwudziestosześcioletnia, nie wyglądała bardzo młodo. W oczach wielu mężczyzn stanowiłoby to wadę, ale Belton nie uważał tego za wadę. Nie obcując wiele z kobietami, nie był ich wybrednym znawcą i uważał, że jego przyszła żona powinna być czymś więcej niż dziewczątkiem, które niedawno wyszło z dziecinnego pokoju. Jest człowiekiem zamożnym i stać go na to, by żona jego paradowała we własnym powozie w całym blasku zamożności. Kiedy się ożeni, to tak właśnie zrobi. Przede wszystkim jednak pragnął, by żona była mu pomocnym towarzyszem. Nie powinna uważać, że praca na roli przynosi ujmę, ani być zbyt dumna, by zająć się krowami. Był pewien, że Klara nie ma fałszywej dumy, a jednocześnie wiedział, że pod każdym względem jest damą, która potrafi godnie wystąpić w powozie i światowym blasku, kiedy okoliczności będą tego wymagały. Takie małżeństwo położyłoby kres wszelkim jego skrupułom związanym z objęciem majątku. Wiedział, że zostanie kiedyś panem majątku Belton, i świadomość ta napełniała go satysfakcją, jaką każdy człowiek odczuwa na myśl o przyszłej zamożności. Uczucie to wzmacniały jeszcze jego staroświeckie poglądy na tradycje rodowe. Wiedział, że kiedyś będzie się nazywał Belton na Beltonie i że Beltonowie na Beltonie istnieli już w zamierzchłej przeszłości, której



nie potrafiłby dokładnie określić. Widoki takie nie pozbawione jednak były domieszki przykrości i Willa naprawdę trapiła myśl, że wyrzuci Klarę z ojcowskiego domu. A takie małżeństwo, o którym obecnie rozmyślał, rozwiązałoby całą sytuację.

Kiedy wstał nazajutrz rano, projekt ten podobał mu się nie mniej niż poprzedniego wieczoru, i im więcej o nim myślał, tym więcej był nim zachwycony. Poprzedniego wieczoru stojąc w oknie układał w myśli właściwy plan, według którego należało przeprowadzić tę romantyczną sprawę, i doszedł do wniosku, że lepiej będzie wstrzymać się na razie z oświadczeniami. Miał zostać w Belton zaledwie tydzień, a ponieważ tydzień to zbyt krótki okres znajomości, postanowił wykorzystać ten czas, by przygotować grunt do późniejszych starań o kuzynkę, potem wrócić do domu, a na Boże Narodzenie zakończyć sprawę. Ale podczas golenia wrodzona porywczność charakteru wzięła w nim górę, zaczął myśleć, że taka zwłoka byłaby niepotrzebna, a może nawet niebezpieczna. Było wątpliwe, czy Klara mogłaby mu dać tak szybko decydującą odpowiedź i czy mógłby wrócić do domu jako jej oficjalny narzeczony, ale skoro taka wątpliwość istniała, to dałaby mu tylko pretekst do szybkiego powrotu do Belton. Nie omieszkał powiedzieć sobie, że prawdopodobnie plan jego się nie uda. Nie był mężczyzną, który w sprawach miłosnych jest zawsze pewny powodzenia. Ale w tej sprawie, podobnie jak w innych wymagających sporo osobistego wysiłku, postanowił dać ze siebie wszystko, a wyniki pozostawić losowi. Kiedy rzucał w ziemię ziarno z zastosowaniem całej swej rolniczej wiedzy i wysiłku, jakie kapitał i doświadczenie pozwoliły mu stosować, to tym samym przyczyniał się do osiągnięcia dobrych zbiorów podczas przyszłorocznych żniw, pozostawiając wyższej Mocy wolę dania mu lub niedania nagrody za jego pracę. Przekonał się, że zwykle otrzymywał nagrodę, kiedy pracę wykonał uczciwie. Teraz postanowił zastosować podobny plan, piastując te same nadzieje co do swoich zabiegów miłosnych. Po długich, bardzo długich rozmyślaniach, które trwały przez cały czas szczotkowania włosów i mycia zębów, postanowił, że przede wszystkim rozmówi się z panem Amedrozem. Nie dlatego, by przypuszczał, że ojciec pomoże mu zdobyć córkę. Tę zasługę wolałby przypisać samemu sobie; ale był pewny, że stary dziedzic będzie rad, jeśli najpierw poprosi jego o zgodę. Dziś była niedziela, więc sprawę tę odłoży do poniedziałku, zaś dzień dzisiejszy poświęci na zdobycie dobrej opinii przyszłego teścia oraz na niedzielne modlitwy.

Tę dobrą opinię udało mu się zdobyć, zanim zapadł wieczór. Był człowiekiem, przed którym trudności zdawały się ustępować i który ma na to własne sposoby, gdyż umie żądać, by ustąpiły, i w tym celu działa. Potrafił tak złagodzić nastawienie dziedzica względem siebie, że obaj omówili plan zaprowadzenia hodowli bydła w majątku, a uczynili to z jednakową energią i pan Amedroz bez żadnych trudności wyraził zgodę na zbudowanie szopy dla zimowego tuczu bydła.

Klara słuchając tego pomyślała, że wkrótce Will Belton będzie się rządził w całym majątku, jak sam zechce. Od czasu śmierci brata nie słyszała, by ojciec z kimkolwiek rozmawiał w ten sposób — z wielkim ożywieniem rozprawiał o sprawach leśnictwa.

— My tam w naszych stronach niewiele znamy się na budulcu — powiedział Will — bo prawie nie ma u nas drzew.

— Ja to panu wyjaśnię — rzekł stary dziedzic — znam się na tym, bo przez czterdzieści lat sam kierowałem gospodarką drzewną.

Will Belton naturalnie nie pisał ani słowa o tej gospodarce, której fatalne skutki były oczywiste nawet dla niego.

„Cóż to za kuzyn! — pomyślała Klara — toż to prawdziwy wzór kuzynów! W dodatku ani mu w głowie zaloty! Rozprawia tylko o drzewie, o wołach, ogrodzeniach i paszy zimowej. Ale tak właśnie być powinno i jeżeli ojciec wkrótce nie zacznie mówić mu po imieniu, to zrobię to pierwsza. Tak. To prawdziwy skarb wśród kuzynów!”

— Jaki z pana pochlebca! — powiedziała mu tego wieczora.

— Pochlebca? Ja?

— Tak, pan. Dzięki pochlebstwom papa pozbył się niechęci do pana. Niedługo stanę się zazdrosna, bo będzie myślał więcej o panu niż o mnie.

— Mam nadzieję, że kiedyś będzie myślał o nas obojgu prawie jako o jednakowo bliskich sobie osobach — rzekł Belton tonem na poły poważnym, na poły serdecznym; teraz, kiedy już zdobył się na postanowienie, nie powinien zaniedbywać sprawy ani na chwilę. Ale Klara również zdobyła się na postanowienie i nie przyszło jej do głowy, by słowa kuzyna miały znaczenie więcej niż „kuzynowskie”.

— Doprawdy — rzekła śmiejąc się — to nie bardzo dla mnie pochlebne!

— Przyjechałem tu z postanowieniem, że w każdym razie pozyskam przyjaźń starszego pana.

— I postanowił pan to nie myśląc wcale o mnie. Ale pan przyrzekł, że będzie mi bratem, i ja tego przyrzeczenia nie zapomnę. Doprawdy, doprawdy nie umiem powiedzieć, jak bardzo jestem rada, że pan tu przyjechał, tak ze względu na papę, jak na mnie samą. Ojciec tak się przy panu poprawił, że boję się myśleć o pańskim wyjeździe.

— Niedługo powrócę. Przyjechać tu z Norfolk to dla mnie bagatela. Będziecie mnie tu widzieli aż nadto często jeszcze przed przyszłym latem.

Nazajutrz rano po śniadaniu Belton zabrał pana Amedroza na dwór chcąc mu pokazać miejsce, gdzie miał zamiar wybudować szopę dla bydła, ale przy tej sposobności nie mówił o samej szopie nic bliższego. Natomiast od razu przystąpił do działania w innej sprawie, widząc, że dziedzic nie lubi dyskutować o mniej ważnych kwestiach i pozostawia je do rozstrzygnięcia gościowi.

— Chciałbym z panem pomówić o pewnej szczególnie drażliwej sprawie — zaczął Belton.

Pan Amedroz uważał, że kuzyn od samego przyjazdu porusza same drażliwe sprawy, i perspektywa wszczęcia nowego tematu trochę go przestraszyła.

— Czy nie będzie to coś przykrego?

— Nie, przynajmniej spodziewam się, że nie. Czy nie uważa pan, że byłoby dobrze, gdybym się ożenił z kuzynką Klarą?

Cóż to za straszny chłopak! Pan Amedroz poczuł brak tchu i w tej chwili nie potrafiłby wyjąkać ani słowa odpowiedzi; był naprawdę niezdolny do wykonania jakiegokolwiek ruchu i stał w miejscu, gdzie, niespodziewana propozycja spadła na niego z tak bezwzględną raptownością.

— Naturalnie nie mam pojęcia, co ona o tym myśli — mówił dalej Belton. — Uważałem za stosowne, zanim jej o tym powiem, pomówić najpierw z panem. Zdaję sobie sprawę, że pod wieloma względami ona stoi wyżej ode mnie. Jest bardziej wykształcona, odczytana i umie więcej niż ja. Może wolałaby wyjść za mąż za londyńczyka niż za człowieka osiadłego na wsi, ale nie znajdzie drugiego, który by ją więcej kochał i był dla niej bardziej serdeczny niż ja. A jeżeli chodzi o majątek, to musi pan przyznać, że będzie to doskonale załatwienie sprawy. Czyż to nie radość dla pana wiedzieć, że ta ziemia pozostanie przy pańskiej córce i przejdzie na pańskiego wnuka? Prawda? Przy tym, niezależnie od waszego majątku, sam jestem dość zamożny i mógłbym dać żonie wszystko, czegokolwiek zapragnie. Nie wiem tylko, czyby się zgodziła wyjść za mąż za farmera. — Ostatnie słowa powiedział z melancholią, jak gdyby się przyznawał do jakiejś hańby.

Dziedzic wysłuchał tego wszystkiego i nie przemówił ani słowa. A kiedy Belton skończył, nie wiedział, co ma odpowiedzieć. Do kobiet odnosił się zwykle w sposób rycerski i może trochę staroświecki. Uważał, że młody człowiek zamierzający się ożenić postąpiłby honorowo zwracając się przede wszystkim do ojca panny. Czuł jednak, że w takiej sprawie młodzieniec powinien zwracać się nawet do ojca z największą delikatnością. Powinien użyć tu pewnych omówień. Człowiek, który stara się o pannę, powinien przystąpić do tych starań z pozorną obawą, z wielką nieśmiałością i z widocznym lękiem. Powinien zachować się nieśmiało, trochę się maskować i wypowiedzieć swoje życzenie drżącym, pełnym zwątpienia głosem; powinien mówić w sposób skomplikowany, odbiegając długo od tematu. Powinien podchodzić do fortecy w sposób podstępny, torować sobie drogę wolno i z trudem. Ale młodzieniec, którego dziedzic miał przed sobą, przebywszy w jego domu zaledwie trzy dni, powiedział wszystko, co miał do powiedzenia, głosem bynajmniej nie drżącym i najwidoczniej spodziewał się, że otrzyma odpowiedź od ojca panny równie szybko, jak ją otrzymał w sprawach rządzenia majątkiem.

— Ogromnie mnie pan zaskoczył — powiedział wreszcie stary pan zaczerpnąwszy powietrza.

— Powiedziałem to najzupełniej poważnie. Klara wydaje mi się jakby stworzona na żonę takiego człowieka jak ja. U mnie będzie miała wszystko, cokolwiek kobieta powinna mieć. Dalibóg, wszystko!

— To dobra dziewczyna, panie Belton.

— Wiem, w każdym calu dobra jak złoto.

— Ale pan ją zna tak krótko.

— Dość długo, by móc ją ocenić. Przecież poznałem ją już dawno temu. Wiem, kim jest i skąd pochodzi, a to już dużo znaczy, zapewniam pana.

Słyszając te słowa pan Amedroz wzdrygnął się; było mu przykro, że ktoś mówi o jego córce jak o kimś, kogo się zna i o kim się wie, skąd pochodzi, a wyrażać się w ten sposób o pannie z takiej rodziny było zaledwie zwykłą grzecznością.

— Tak — powiedział chłodno pan Amedroz — to jasne, że pan tyle o niej wie.

— I ona tyleż wie o mnie, proszę pana. A teraz zapytuję, czy pan nie ma nic przeciw temu?

— Doprawdy, panie Belton, zaskoczył mnie pan do tego stopnia, że nie potrafiłbym panu od razu odpowiedzieć.

— A więc odpowie mi pan za godzinę, dobrze?

Za godzinę! Gdyby pan Amedroz miał sam określić czas do namysłu, uważałby bez wątpienia, że i miesiąc by nie wystarczył.

— Może pan sobie życzy, bym najpierw pomówił o tym z Klarą? — zapytał pan Amedroz.

— O nie, wolałbym to zrobić sam, o ile mi pan na to pozwoli.

— I pan nic jej jeszcze o tym nie mówił?

— Ani słowa.

— To dobrze. Miałbym panu za złe, gdyby pan to zrobił będąc moim gościem.

— Uważałem, że powinienem zwrócić się przede wszystkim do pana. Ale skoro od dziś za tydzień muszę być z powrotem w Plaistow, pozostaje mi niewiele czasu do stracenia. A więc, gdyby pan mógł pomyśleć o tym dziś po południu...

Pan Amedroz zupełnie oszołomiony obiecał, że się postara i że ewentualnie jutro rano da mu odpowiedź.

— Myślałem o tym przez całą noc — powiedział nazajutrz pan Amedroz.

— Jestem panu niezmiernie wdzięczny — rzekł Belton, nieco zawstydzony własną gnuśnością, gdy sobie przypomniał, jak doskonale spał tej nocy.

— Czy pan jest zupełnie pewny, że...

— Czy jestem pewny, że ją kocham? Tak, najzupełniej pewny.

— Ale mężczyźni często zmieniają swoje upodobania...

— Ja do takich nie należę. W sprawach poważnych nigdy nie zmieniam postanowień, więc w tej sprawie nie mógłbym się zmienić. Muszę to powiedzieć

sam o sobie, choć może to się panu wydać zarozumiałością.

— Rzecz prosta, że pod względem materialnym takie małżeństwo byłoby dla mojej córki korzystne. Nie wiem, czy panu wiadomo, że nie mogę jej dać żadnego posagu, dosłownie ani grosza.

— Tym lepiej, proszę pana. Jeżeli chodzi o mnie, nie jestem człowiekiem, który uchyla się od pracy licząc na majątek żony.

— Na ogół mężczyźni najchętniej żenią się z posażnymi pannami.

— Ale ja nie chcę niczego — niczego, jeżeli chodzi o pieniądze. Jeżeli ożenię się z Klarą, nigdy nie zażadam od pana ani szylinga.

— Mam nadzieję, że ciotka coś jej zapisze — słowa te stary dziedzic powiedział tonem żalonym, jak gdyby owa nadzieja sprawiała mu przykrość.

— Jeżeli Klara zostanie moją żoną, to pani Winterfield może zapisać swoje pieniądze komu innemu.

Należy dodać, że Belton i pani Winterfield z pewnych powodów nie lubili się wzajemnie i pani Winterfield była nieco urażona, że Belton złożył wizytę w Belton Castle.

— Ale to wszystko jest jeszcze niepewne — dodał pan Amedroz.

— Więc pan pozwala, bym sam pomówił z Klarą?

— No tak, owszem. Nie widzę racji, dlaczego nie miałby pan z nią pomówić. Obawiam się jednak, że pan postępuje zbyt pośpiesznie. Klara zna pana tak krótko; nie wiem, czy pan ma prawo spodziewać się, że od razu da panu taką odpowiedź, jakiej by pan sobie życzył.

Słyszając to Belton zasepił się i twarz mu się wydłużyła. Przyzwyczał się do myśli, że nie będzie odkładał sprawy aż do Bożego Narodzenia, jak to sobie na razie uplanował, ale przystąpi od razu do dzieła i może uda mu się wygrać walkę już w pierwszej rundzie.

— Trzy dni to tak niewiele — zauważył dziedzic.

— Rzeczywiście niewiele — odrzekł Belton.

Uzyskawszy pozwolenie ojca i zbrojny w nie Belton postanowił, że jeszcze przed odjazdem do Plaistow poczyni przynajmniej pierwsze kroki w kierunku zdobycia panny. Czym miały być owe „pierwsze kroki” poczynione przez takiego młodzieńca, jakim był Belton, czytelnik zapewne się domyśla.

## ROZDZIAŁ V

### Klara nie jest bezpieczna od zalotów

— Dlaczego nie mówisz mu po imieniu? — zapytała Klara ojca. Pytanie to zadała mu wieczorem tego poniedziałku, kiedy pan Amedroz wyraził zgodę na

proponowane małżeństwo.

— Miałbym mu mówić po imieniu? Dlaczego?

— Robiłeś to, kiedy był chłopcem.

— Naturalnie, ale to było bardzo dawno temu... Teraz uważałby to za impertynencją.

— Z pewnością nie. Zrobiłoby mu to przyjemność, sam mi to powiedział. Mówić do krewnego per: pan Belton, to bardzo ozięble.

Ojciec spojrział na córkę, jakby przez chwilę podejrzewał, że sprawa małżeństwa między nią i kuzynem została już załatwiona. Ale myśl taka przemknęła mu tylko przez głowę nie pozostając w niej dłużej. Miał do Beltona zaufanie i wiedział, że na córkę może liczyć z całą pewnością. Było niemożliwe, by utrzymała podobną wieść w sekrecie nawet przez kilka godzin. A jednak jakie to dziwne! Ten człowiek po trzech dniach znajomości zakochał się w jego córce, a było widoczne, że i córka gotowa jest go pokochać. Ona taka zwykle powściągliwa i niemal chłodna w obcowaniu z mężczyznami, z natury i na skutek okoliczności niechętnie usposobiona do flirtów, jakże mogła zmienić się w tak krótkim czasie? Stary dziedzic nie mógł tego zrozumieć, ale był skłonny uwierzyć, że sprawa jest na dobrej drodze.

— Zaczynj mówić mu po imieniu, papo, a po tobie i ja będę mogła to zrobić. To taki dobry chłopiec, ogromnie go polubiłam.

Nazajutrz rano pan Amedroz w sposób nie bardzo zręczny zaczął mówić gościowi po imieniu. Klara pochwyciła spojrzenie kuzyna i oboje uśmiechnęli się... W tej chwili Belton poczuł, że kocha Klarę jeszcze bardziej niż dotychczas. Czyż to nie cudowne? Zaraz po śniadaniu udał się do Radicote, gdzie mieszkał pewien przedsiębiorca drobnych robót budowlanych, któremu chciał powierzyć wybudowanie szopy dla bydła; przy tym niemal żałował straconego na to czasu, tak bardzo było mu spieszno rozpocząć starania o pannę. Ale plan został już wyraźnie ułożony i musiał się do niego stosować.

— Sądzę, że uda mi się wrócić koło trzeciej — powiedział do Klary — a potem będziemy mogli pójść na spacer.

— Będę gotowa. Proszę, niech pan wstąpi po mnie do pani Askerton; zaczekam tam na pana i w ten sposób oszczędzę panu drogi powrotnej do zamku. — Tak więc plan na dzień dzisiejszy został ułożony.

Klara obiecała pani Askerton, że ją wkrótce odwiedzi, ale jej samej zależało, by się z nią jak najprędzej zobaczyć, gdyż bardzo ją zaciekało to, co kuzyn mówił o jakiejś pannie Vigo, którą znał kiedyś, i o panu Berdmore, choć było widoczne, że nie przywiązywał do tego żadnej wagi. Podobieństwo pani Askerton do kobiety, którą niegdyś poznał, na razie bardzo go zastanowiło, ale stwierdzenie, że były to dwie różne osoby, zadowoliło go w zupełności; sprawę uważał za skończoną. Inaczej Klara. Wiedziona kobiecą intuicją uważała, że sprawa jest ważniejsza, niż

mu się wydawało, a jej bystry umysł wskazywał możliwości, jakich on nie dostrzegał. Ale dopiero idąc przez park do willi przypomniała sobie, że wszelkie pytania dotyczące przeszłości pani Askerton wprawiały ją w zakłopotanie. Zamierzała zapytać przyjaciółkę otwarcie, czy nazwiska Vigo i Berdmore są jej znane, lecz w pamięci jej stanęły pogłoski dotyczące życia pani Askerton. Tak, musiała w tym tkwić jakaś tajemnica. Wprawdzie pani Askerton czasami wspominała o swej przeszłości, ale w sposób mglisty i ogólnikowy, robiąc aluzję do bolesnych przeżyć lat dziewczęcych; nie dodawała jednak żadnych bliższych szczegółów, nie wymieniała nazwisk ani nie określała dokładniej osób związanych z nią w dzieciństwie. Klara przeczytała kiedyś na książce podpis: Mary Oliphant, i zapytała przyjaciółkę, czy to jej panięńskie nazwisko, na co pani Askerton odpowiedziała twierdząco i w ten sposób Klara dowiedziała się, jak była z domu. Teraz idąc do willi przypomniała sobie, że prócz tej wiadomości nie słyszała nic więcej o jej dotychczasowym życiu. Wobec tego nie wiedziała, jak prosić ją o wyjaśnienia tyczące tych dwóch nazwisk. Z drugiej strony dlaczego nie mogłaby o to zapytać? Jeżeli miała w tej sprawie jakie wątpliwości, to czy nie lepiej byłoby je rozstrzygnąć?

W willi zastała państwa Askerton siedzących razem, więc oczywiście w obecności męża nie mogła żonie zadawać podobnych pytań. Pułkownik był pięćdziesięcioletnim mężczyzną delikatnej, lecz muskularnej budowy, o szpakowatych włosach i brodzie. Robił wrażenie człowieka nie mającego w życiu kłopotów, ale nie spragnionego częstych rozrywek. Prowadził tryb życia niezwykle regularny, ale też niezwykle próżniaczy. Jadał śniadanie o jedenastej, aż do popołudnia czytał i palił fajkę, wyjeżdżał na dwie godziny konno, zjadał obiad, znów czytał i palił fajkę, i kładł się spać. We wrześniu i październiku polował i, jak wspomniano wyżej, dwa razy do roku wyjeżdżał do miasta, by się trochę zabawić. Zdawał się ze swego losu być zupełnie zadowolony i nigdy nie słyszano, by w rozmowie z kimkolwiek użył obraźliwego słowa. Nikt go nie darzył szczególną sympatią, a i on nie wtrącał się do niczyich spraw. Nie bywał nigdy w kościele i od czasu przyjazdu do Belton nie odwiedził nikogo.

— Ach, Klaro! Niedobra dziewczyno! Dlaczego nie przyszaś wczoraj? Czekałam na ciebie cały dzień!

— Byłam zajęta. Odkąd przyjechał nasz kuzyn, zrobiliśmy się wszyscy ogromnie pracowici.

— Podobno ujął w swe ręce całą gospodarkę — powiedział pułkownik Askerton.

— To prawda, teraz ma wybudować szopę i zakupić bydło; sama już nie wiem, co zamierza robić, by znów wprowadzić do nas trochę życia.

— Mam nadzieję, że nie będzie tu urządził polowań?

— Nie, on ma własne tereny łowieckie w Norfolk — rzekła Klara.

— A więc nie będzie tu przyjeżdżał w tym celu? Kiedy usłyszałem o jego

zarządzeniach, zacząłem się już obawiać.

— Nie sądzę, by miał zrobić coś, co byłoby panu niemiłe

— rzekła Klara z zapalem. — Nie spotkałam nigdy człowieka mniej samolubnego niż on.

— Gdyby chciał, miałby pełne prawo objąć tu całe polowanie, oczywiście w porozumieniu z ojcem pani.

— Porozumiewają się doskonale we wszystkich sprawach. Kuzyn zdążył już przewyciężyć wszelkie uprzedzenia papy, a nawet wygląda na to, że będzie po swoim kierował gospodarstwem u nas; nie przypuszczam jednak, by miał wtrącać się do polowania.

— Nie będzie się wtrącał, jeżeli go o to poprosisz — powiedziała pani Askerton.

— Jeżeli pan pułkownik sobie życzy, mogę go zaraz o to poprosić — rzekła Klara.

— Nie, dziękuję — odpowiedział pułkownik — byłoby to wywołaniem wilka z lasu. Może o tym wcale nie pmyślał.

— On myśli o wszystkim — rzekła Klara.

— Ciekawa jestem, czy myśli także o... — pani Askerton urwała, pułkownik spojrział na Klarę ze złośliwym uśmiechem, a Klara poczuła, że się czerwieni. Czyż to nie straszne, że nie mogła powiedzieć słowa w obronie przyjaciela i kuzyna — kuzyna, który obiecał być dla niej bratem — nie wywołując takich spojrzeń i takich uśmiechów? Postanowiła nie ustąpić.

— Jestem zupełnie pewna — powiedziała — że mój kuzyn nie postąpiłby nigdy nieuczciwie albo w sposób nierycerski.

— Nie byłoby w tym nic nieuczciwego ani świadczącego o braku rycerskości. Nie miałbym mu tego bynajmniej za złe, po prostu zabrałbym swoje manatki i już by mnie tu nie było. Proszę, niech mu pani powie, że z całą przyjemnością zobaczyłbym się z nim, zanim stąd wyjedzie. Złożyłem mu wczoraj wizytę, ale go nie zastałem.

— Wkrótce pan go zobaczy, bo ma tu po mnie wstąpić. — W tej chwili przyprowadzono przed dom konia i tym razem pułkownik Askerton nie zawarł znajomości z Beltonem.

— Cóż to za ideał ten twój kuzyn! — powiedziała pani Askerton po odjeździe męża.

— Rzeczywiście wspaniały z niego chłopak! Tyle w nim życia! Zawsze czymś zajęty. On powiada, że gdy się zrobi coś dobrego, to na długą metę zawsze się to opłaci. Niezła doktryna, prawda?

— Widzę, że ten ideał nie pozbawiony jest praktyczności.

— I doskonale wpłynął na zmianę usposobienia ojca. Jestem pewna, że ojciec w tej chwili jest gdzieś na dworze, sprawdzając, co się tam robi, a nie nudzi się jak dawniej w domu. Z początku nie mógł znieść myśli o przyjeździe Willa, a teraz



zaczyna się martwić, że wkrótce nas opuści.

— Mówisz o nim: Will?

— Dlaczego nie? Jest przecież moim kuzynem.

— Tak, dziesiąta woda po kisielu. Byłoby jednak lepiej, gdyby stał się czymś więcej niż kuzynem.

— Z pewnością nie będzie dla mnie niczym więcej.

— Czy jesteś tego pewna?

— Zupełnie pewna... I nie mogę zrozumieć powodu powstania takich podejrzeń tylko dlatego, że los nas zbliżył i że lubimy się nawzajem. Czy jesteśmy kuzynami szóstej, ósmej lub dziesiątej wody po kisielu, to nie ma znaczenia. W każdym razie on jest moim najbliższym krewnym i wobec śmierci biednego Karola spadkobiercą papy. Jest więc zupełnie naturalne, że stał się moim przyjacielem, a to dla mnie wielka pociecha mieć takiego przyjaciela jak on. Doprawdy, bardzo mi przykro, że w takich warunkach mogą powstać podobne podejrzania.

— Podejrzenia? A o co?

— Wszystko mi jedno o co. Jestem gotowa pokochać go tak, jak gdyby był moim bratem. Uważam, że jest jednym z najlepszych ludzi, a może najlepszym człowiekiem, jakiego dotychczas znałam. Energia i dobroduszość — te dwie zalety połączone razem stwarzają zwykle najlepszych ludzi. Jestem dumna, że mam w nim przyjaciela i kuzyna, a teraz możesz sobie podejrzewać, co ci się podoba.

— Ależ, moja droga, dlaczego nie miałyby się w tobie zakochać? Byłoby to rzeczą najwłaściwszą i najdogodniejszą w świecie.

— Nie znoszę rozmów o miłości. Jak gdyby kobieta poznając mężczyznę musiała myśleć tylko o zakochaniu się w nim.

— O czymże ma myśleć kobieta, jak nie o miłości.

— Ja myślę o wielu innych rzeczach i on także.

— A więc to wykluczone, żeby miał się w tobie zakochać?

— Najzupełniej wykluczone. Jestem pewna, że mnie polubił; wnoszę to z wyrazu jego twarzy i tonu jego głosu i sprawia mi to wielką przyjemność, ale to nie jest ten rodzaj uczucia, jaki masz na myśli. Bogu jednemu wiadomo, jak bardzo może mi być potrzebny przyjaciel w niedalekiej przyszłości, a czuję, że mogę mu zaufać. Jego uczucie dla mnie pozostanie zawsze uczuciem braterskim.

— Być może. Nieraz byłam już świadkiem w podobnych okolicznościach takiej braterskiej miłości, która jednak zawsze kończyła się tak samo.

— Mam nadzieję, że między nami nie skończy się w ten sposób.

— Rzecz w tym, że to moje — jak je nazywasz — podejrzenie, które cię tak oburza, jest po prostu radą, by stało się to, co byłoby najlepsze dla was obojga.

— Ale to się nigdy nie stanie i dlatego nie mówmy już o tym. Nie cierpię próżnego bajdurzenia o miłości, czy chodzi o mnie, czy o kogo innego; po prostu wstydzę się mojej płci wiedząc, że rozmawiając z inną kobietą muszę być zawsze

podejrzewana, że kogoś kocham, myślę o miłości, szukam jej albo unikam. Szczęśliwa miłość może dać dużo radości, ale ja mogę się bez niej obejść i czuję się dotknięta, gdy mnie podejrzewają, że to niemożliwe.

— Warto cię zdenerwować, moja droga, gdyż z irytacją bardzo ci do twarzy.

— Wcale tego nie uważam i po takiej rozmowie wstydzę się tylko swojej energii. A teraz, moja droga, przestańmy już mówić o panu Willu Beltonie.

— Czy mogę mówić o nim jako o przedsiębiorczym kuzynie?

— Naturalnie możesz mówić o nim w odniesieniu do wszelkich innych spraw. A wiesz, on powiada, że chyba poznał cię kilka lat temu. — Mówiąc to Klara nie spojrzała wprost na twarz przyjaciółki, mimo to spostrzegła, że pani Askerton zmieszała się. Policzki jej powlokły się bladością, czoło zmarszczyło i przez chwilę nic nie odpowiadała.

— Doprawdy? — zapytała wreszcie — a kiedy to było?

— Zdaje mi się, że kiedyś w Londynie. Zresztą mam wrażenie, że to nie byłeś ty, lecz ktoś do ciebie bardzo podobny. On twierdzi, że osoba ta nazywała się panna Vigo. — Wymawiając to nazwisko Klara odwróciła twarz czując instynktownie, że takt nakazuje jej to zrobić, ze względu na przyjaciółkę.

— Panna Vigo! — powtórzyła pani Askerton i po tonie jej głosu można było poznać, że czuje się nieswojo. —

O ile pamiętam, były dwie panny Vigo, ale nie wiedziałam, że któraś z nich była do mnie podobna.

— On pamięta, że jedna z nich wyszła za mąż za niejakiego pana Berdmore'a.

— Za pana Berdmore'a! — Ton głosu pani Askerton brzmiał równie niepewnie jak poprzednio, było widoczne, że z największym wysiłkiem stara się mówić w zwykły sposób. Wtedy Klara spojrzała na nią, czując, że jeśli tego nie zrobi, to tym samym powiększy zmieszanie swej rozmówczyni. Po twarzy pani Askerton przebiegł cień przykrości, czoło i policzki jej były jeszcze blade, ale uśmiechnęła się i mówiła dalej:

— To mi bardzo pochlebia, bo pamiętam, że każda z nich była uważana za piękność. Czy kuzyn nie wiedział o niej nic więcej?

— Nie, nic więcej.

— Przypuszczam, że musiało między nami istnieć jakieś przypadkowe podobieństwo.

Pani Askerton była kobietą bystrą i w tej chwili niemal zupełnie odzyskała panowanie nad sobą. Tymczasem u drzwi frontowych rozległ się dzwonek i za chwilę do pokoju wszedł pan Belton. Pani Askerton czuła, że wypada jej koniecznie zrobić pewną aluzję do odbytej przed chwilą rozmowy, i od razu przystąpiła do tematu.

— Słyszę właśnie od Klary — rzekła — że jakoby jestem niesłychanie podobna do jakiejś pańskiej dobrej znajomej, panie Belton.

Przed daniem odpowiedzi spojrzął na nią uważnie.

— Nie mam prawa nazywać jej dobrą znajomą — powiedział — gdyż była to powierzchowna znajomość, ale rzeczywiście jest pani niesłychanie podobna do niejkiej panny Vigo.

— Czasem dziwię się, że tak rzadko znajdujemy podobieństwo między dwiema różnymi osobami — zauważyła pani Askerton.

— A jednak takie podobieństwo czasem się zdarza, lecz nie do tego stopnia, by brać jedną za drugą; ale gdybym spotkał panią na ulicy, to przywitałbym się z nią jako z żoną Berdmore'a.

— Zdaje mi się, że w domu państwa słyszałam nazwisko Berdmore lub widziałam je napisane — rzekła Klara.

Cień przykrości znów przebiegł po twarzy pani Askerton. Przed chwilą zdołała odzyskać naturalny ton głosu, ale teraz było widoczne, że znów się zmieszała.

— Mam wrażenie, że znam to nazwisko — powiedziała niepewnie.

— Tak, zdaje mi się, że widziałam je w domu państwa — dodała Klara.

— Mogłaś je słyszeć, a nie widzieć, moja droga. Mam słabą pamięć, ale przypominam sobie, że mój mąż znał niejakiego kapitana Berdmore'a; było to dawno temu, przed naszym ślubem, prawdopodobnie mąż kiedyś w twojej obecności wymienił to nazwisko.

Odpowiedź ta niezupełnie zadowoliła Klarę, ale nie powiedziała już nic więcej. Widocznie pani Askerton miała jakąś tajemnicę, której nie życzyła sobie wyjawić, więc nie należało tego tematu poruszać.

Wkrótce potem Klara wstała, żeby się pożegnać, a pani Askerton usiłowała być znów wesoła, co jej się prawie udało.

— Klara mówiła mi, że pan wraca do Norfolk już w sobotę. Była to bardzo krótka wizyta.

— Tak, ale dla mnie dość długa ze względu na nieobecność w domu. Farmerzy nie mogą sobie pozwolić na przerwanie pracy, lecz mimo to wybieram się tutaj znów, mniej więcej koło Bożego Narodzenia.

— Podobno tutaj zakłada pan również gospodarstwo?

— To bagatela. Klara będzie za mnie doglądała gospodarstwa, prawda, Klaro?

Oboje wyszli, po czym Belton musiał się zastanowić, jak przystąpić do postawionego sobie zadania. Zdawał sobie sprawę, że zbyt ni pośpiech może wszystko popsuć, lecz nie miał pojęcia, od czego zacząć nie poruszając od razu właściwego tematu; zaczął więc mówić o pani Askerton.

— Byłbym przysiągł, że to ta sama osoba.

— Przecież przekonałeś się, że tak nie jest.

— Nie chodzi mi tylko o podobieństwo rysów, ale i głosu. Kiedyś przypadkiem panna Vigo znalazła się w przykrym położeniu w mojej obecności. Spotkałem ją w

towarzystwie pewnego mężczyzny, który... był zupełnie pijany i musiałem ją uwolnić od jego osoby.

— Mój Boże, co za przykra sprawa!

— Było to bardzo dawno temu i nie ma w tym nic złego, że to obecnie wspominam. Ten mężczyzna miał się z nią ożenić, no i ożenił się.

— Co? Więc to był pan Berdmore?

— Tak, on często bywał pijany. A dziś wyraz twarzy pani Askerton tak mi przypomniawszy wyraz twarzy, jaki miała wówczas panna Vigo, że trudno mi uwierzyć, aby to nie była ta sama osoba.

— To niemożliwe, bo ona z pewnością jest z domu Oliphant. Poza tym słyszałeś, co powiedziała.

— Owszem, słyszałem. Czy znacie się od dawna?

— Od dwóch lat.

— Czy jesteście w bliskiej zażyłości?

— W bardzo bliskiej. Ona jest moją jedyną sąsiadką i to, że tu zamieszkała, było dla mnie wielką pociechą; smutno jest nie mieć w pobliżu kobiety, z którą można by od czasu do czasu pomówić, zresztą naprawdę bardzo ją lubię.

— Na pewno wszystko jest w porządku.

— Tak, wszystko jest w porządku — powtórzyła Klara.

Nie mówili już więcej o pani Askerton i Belton przystąpił do dzieła. Wyszedszy z willi przez park znaleźli się daleko od domu i doszli aż do wysokiej skały wznoszącej się dumnie nad okolicą; z jednej strony widać było morze, a z drugiej dalekie pola, aż po wrzosowiska. Znalazszy się tu usiedli oboje.

— Uważam — rzekła Klara — że to najpiękniejszy zakątek w całej Anglii.

— Nie znam całej Anglii — powiedział Belton.

— Nie bądź takim pedantem, Will. Zapewniam cię, że to najpiękniejszy zakątek w Anglii, i nie możesz temu zaprzeczyć.

— A ja cię zapewniam, że jesteś najpiękniejszą dziewczyną w całej Anglii, i ty też nie możesz temu zaprzeczyć.

To tak rozdrażniło Klarę, że niemal pomyślała, iż jej wzorowy kuzyn nie jest taką doskonałością, za jaką go miała.

— Widzę — rzekła — że powiedziałam coś niemądrego i muszę być za to ukarana.

— A więc to dla ciebie kara, kiedy stwierdzam, że jesteś śliczna? — mówiąc to odwrócił się i spojrzał jej prosto w twarz.

— Jest mi przykro, doprawdy bardzo przykro mówić o czymś podobnym. Co byś o mnie pomyślał, gdybym nagle zaczęła prawić ci niemądre komplementy?

— To, co powiedziałem, nie jest bynajmniej niemądre, a poza tym to ogromna różnica. Słuchaj, Klaro, kocham cię więcej niż cokolwiek na świecie!

Spojrzała na niego nie wierząc własnym uszom. Niemożliwe, by po wszystkich

pochwałach, jakich mu nie szczędziła, mogła popełnić taki błąd!

— Wierzę, że mnie kochasz — powiedziała — przecież powinienes mnie kochać, skoro obiecałeś, że będziesz dla mnie bratem.

— Ale teraz to mi już nie wystarczy. Klaro, zostań moją żoną.

— Will! — zawołała.

— Teraz wiesz już wszystko. Jeżeli powiedziałem to zbyt pochopnie, przebac mi.

— Ach, Will, zapomnij, żeś mi to powiedział. Nie mów o tym więcej, bo wszystko między nami musiałyby się skończyć.

— Dlaczego miałyby się skończyć? Czyż jest w tym co złego, że cię pokochałem?

— Co papa na to powie?

— Pan Amedroz już o tym wie i już się zgodził. Powiedziałem mu wprost o swoim postanowieniu i pozwolił mi pomówić z tobą.

— Powiedziałeś to ojcu? Mój Boże, co ja teraz zrobię?

— Więc masz do mnie wstręt? — Mówiąc to podniósł się i stanął przed nią. Był wysoki, doskonale zbudowany i bardzo przystojny, a kiedy bywał, jak w tej chwili, wzruszony, cała jego postać, cała twarz nabierała prawdziwie pańskiego wyrazu.

— Czy mam do ciebie wstręt? Wiedz, że pokochałam cię już jak kogoś bliskiego, że nabrałam do ciebie takiego zaufania, jak gdybyś był naprawdę moim bratem. Ale ty wszystko zepsułeś.

— Czyż nie mogłabyś mnie pokochać jako męża?

— Nie!

Powiedziała tylko to jedno słowo, a on odszedł od niej, jak gdyby to jedno słowo rozstrzygało dla niego sprawę na teraz i na zawsze. Oddalił się na odległość około dwustu jardów, jak gdyby uważał rozmowę za skończoną i zamierzał odejść zupełnie. Widząc, że odchodzi, Klara zapragnęła, by wrócił, by mogła mu powiedzieć jakieś słówko pocieszenia. Nie mogła jednak powiedzieć jedyne go słowa, jakie by go mogło pocieszyć. Usłyszawszy jego oświadczyzny rozgniewała się, sprawił jej zawód i to ją oburzyło. Ale gniew jej szybko stopniał i rozwiął się. Wdzięczna za jego miłość mogła go jeszcze bardziej pokochać, ale nie taką miłością, jakiej pragnął.

Belton jednak nie odszedł całkiem. Zeszedłszy ze wzgórza na wspomnianą odległość, przystanął i zaczął powoli zbliżać się do niej z powrotem. Miał zwyczaj przystawania lub chodzenia zaczepiając kciuki o otwory pach kamizelki i trzymając ręce na piersiach. Przybierał zawsze taką postawę, kiedy bywał przekonany o słuszności swego zdania i kiedy pragnął jak najszybciej znaleźć jakieś wyjście. Klara domyśliła się, że ten gest jest wyrazem nieodwołalnego postanowienia. Podeszedł do niej blisko i powiedział:

— Droga moja, mówiąc ci o swoim uczuciu postąpiłem w sposób raptowny

i grubiański, a teraz muszę cię prosić o przebaczenie.

— Nie, nie, nie! — zawołała.

— Ale w sprawie obchodzącej tak blisko nas oboje chyba nie pozwolisz, by niezręczność stała się powodem mojej krzywdy.

— Nie o to mi chodzi, naprawdę nie o to!

— Posłuchaj mnie, najdroższa. Przrzekłem, że będę dla ciebie bratem, i nie złamię danego ci słowa, chyba że sama mnie do tego upoważnisz. Dając ci to przrzeczenie nie wiedziałem, że pokocham cię tak gorąco. Twój ojciec, kiedy z nim mówiłem, prosił, bym nie działał pośpiesznie, ale ja jestem zawsze taki prędki i nie umiem czekać. Pozwól mi przyjechać tu na Boże Narodzenie po odpowiedź; do tego czasu nie mam wcale zamiaru cię niepokoić i do Bożego Narodzenia będę dla ciebie tylko bratem.

— Bądź mi zawsze bratem.

Gdy Will usłyszał te słowa, ciemna chmura przebiegła mu po czole. Klara patrzyła na niego z niepokojem, śledząc bacznie każdą zmianę w wyrazie jego twarzy.

— Czy pozwolisz mi czekać do Bożego Narodzenia? — zapytał.

Pomyślała, że odmówić takiej prośbie byłoby okrucieństwem, choć była pewna, że czekanie okaże się bezowocne. Belton niezręcznie zabiegał o zdobycie jej miłości i zdawał sobie z tego sprawę. Powinien był tylko sobie wyznaczyć ten okres czekania, nie wymagać od niej decyzji: niech ona czeka i namyśla się. Nie powinien był jej mówić o swej miłości, lecz dać do zrozumienia, że takie oświadczyzny muszą nastąpić, wtedy musiałyby na nie czekać, a jeżeli to czekanie okazałoby się skuteczne, to może uzyskałby jej zgodę. Ale teraz, skoro już się jej oświadczył, było niemożliwe, by mu pozwoliła czekać. Takie przyzwolenie równałoby się zgodzie. Dlatego Klara zdobyła się na okrucieństwo:

— Byłoby niepotrzebne odkładać moją odpowiedź na później, skoro wiem, jaka będzie. Na cóż więc ta zwłoka?

— Uważasz za niemożliwe, byś mnie kiedykolwiek pokochała?

— Nie w ten sposób, jak byś tego pragnął.

— Ale dlaczego? — zamilkł. — To z mojej strony szaleństwo prosić cię o to, a jeszcze większe szaleństwo nalegać na odpowiedź. Więc mam uważać tę sprawę za przesądzoną?

Wstała i dotknęła jego ramienia.

— Ach, Will, nie patrz na mnie w ten sposób!

— Więc sprawa jest przesądzona? — powtórzył.

— Tak, Will, tak. Proszę, uważaj ją za przesądzoną.

Usiadł z powrotem na skale, a ona usiadła obok niego, lecz nie tak blisko jak przedtem. Nie spuszczała z niego oczu, ale nie przemówiła ani słowa. Przez chwilę on również milczał; wzrok miał wbity w ziemię.

— Sądzę, że możemy już wrócić do domu — powiedział w końcu.

— Podaj mi rękę, Will, i powiedz, że będziesz mnie kochał jak siostrę.

Podał jej dłoń.

— Jeżeli chcesz mieć brata, będziesz go miała we mnie.

— I będziesz mnie kochał miłością braterską?

— Nie. Jakże pogodzić te dwa uczucia? Nie mogę przestać cię kochać dlatego, że ty mnie nie kochasz. Zamiast mnie uszczęśliwić moja miłość będzie mnie gnębić. Oto cała różnica.

— Za twoje szczęście oddałabym życie, gdyby to było możliwe.

— Nie możesz poświęcić mi życia w taki sposób, jak bym tego pragnął.

W milczeniu powrócili do domu. Otworzył przed nią drzwi frontowe, a sam został na ganku myśląc o swoim nieszczęściu.

## ROZDZIAŁ VI

### Klara znów czuje się bezpieczna od zalotów

Przez dłuższą chwilę Belton stał na ganku myśląc o tym, co go spotkało, i starając się ochłonać po ciosie, jaki mu wymierzono. Nie wiem, czy miał jeszcze nadzieję, że kiedyś postawi na swoim. Prawdopodobnie nie był tego pewny. Był jednak człowiekiem, dla którego każde niepowodzenie jest klęską nie do zniesienia. W każdym innym wypadku byłby sobie powiedział, że sprawa nie może się nie udać, że będzie wytrwały i musi zwyciężyć. Nie mógł sobie wyobrazić innej sytuacji, w której od początku byłby pewny niepowodzenia, jeżeli sprawa, o jaką chodziło, leżała mu bardzo na sercu. Teraz jednak znalazł się właśnie w takiej sytuacji. Usłyszawszy, że Klara go nie kocha i nigdy pokochać nie może, uwierzył jej. Próbował ją przekonać i nie udało mu się. Gdy tak stał na ganku zatopiony w myślach, doszedł do przekonania, że w życiu jego nastąpił gwałtowny przewrót i że z człowieka szczęśliwego, jakim był dotychczas, stał się człowiekiem nieszczęśliwym.

Stał tam jeszcze, kiedy pan Amedroz ubrany do obiadu zeszedł na dół do hallu i zobaczył go przez otwarte drzwi.

— Will — rzekł podchodząc do niego — za pięć minut podadzą obiad.

Belton drgnął jak obudzony z letargu i oświadczył, że jest gotów, ale przypomniawszy sobie, że musi się przebrać, pobiegł przeskakując trzy stopnie na raz do swego pokoju. Gdy zeszedł na dół, Klara i jej ojciec znajdowali się już w jadalni.

Pan Amedroz, aczkolwiek nie dość bystry w odgadywaniu faktów według

zachowania się tych, z którymi obcował, zorientował się niebawem, że między Klarą i Beltonem wynikło jakieś nieporozumienie. Nie zdążył pomówić z córką, ale był pewny, że się nie myli. Z zachowania gościa łatwo było odgadnąć, że spotkał go gorzki zawód i że gnębi go głęboka troska. Nie starał się nawet tego ukryć, aczkolwiek nic o tym nie wspominał. Przez cały wieczór, choć pozostał przez chwilę sam z dziedzicem i przez pewien czas sam na sam z Klarą, nie zrobił najmniejszej aluzji do tego, że został odrzucony. Ale gnębiło go przeświadczenie, że sam wie, oni wiedzą i cały świat wie, co go spotkało. Mimo to nie zmuszał się do milczenia. Mówił o swojej posiadłości, o swoich planach i tłumaczył, co miało być zrobione podczas jego nieobecności. Raz tylko zrobił pewną aluzję do tego, co go gnębiło.

— Przecież masz do nas przyjechać na Boże Narodzenie — powiedział pan Amedroz w odpowiedzi na uwagę Beltona w sprawie tego, co miało być zrobione po jego wyjeździe.

— Nie wiem, jak to teraz będzie — odpowiedział Will, po czym wszyscy umilkli.

Dla Klary wieczór ten był trudny do zniesienia. Usiłowała rozmawiać, ale widziała, że to niemożliwe. Cała wesołość ostatnich dni znikła i świat wydał się jej smutniejszy i bardziej poważny niż kiedykolwiek. Odmawiając mu nie miała pojęcia, że on tak bardzo weźmie to do serca. Nie pomyślała o tym, decyzja jej powstała tak nagle, że po prostu nie miała czasu się zastanowić. Odpowiadając mu czuła tylko, że nie może zostać jego żoną, jak tego pragnął. Dotąd nie spytała siebie nawet, dlaczego jej odmowa musiała być tak stanowcza, ale odmówiła mu w sposób zdecydowany i ani na chwilę nie zapragnęła osłabić powagi swego postanowienia. Sądząc po jego zachowaniu było widoczne, że on już nigdy do tej sprawy nie powróci, mimo to była zupełnie pewna, że gdyby ją wiele razy zapytywał, odpowiedź jej byłaby zawsze jednakowa.

Pan Amedroz, sam nie wiedząc czemu, stał się markotny, dokuczliwy i wyłajał córkę. W stosunku do Beltona zrobił się podejrzliwy, kapryśny, sprzeciwiał mu się i odpowiadał mu w sposób opryskliwy. Odrzucony konkurent przyjmował to jednak z nadzwyczajną cierpliwością, jak gdyby takie drobne przykrości były bez znaczenia w porównaniu z jego nieszczęściem. Nie zmienił postanowienia co do wyjazdu w sobotę i chciał wykończyć niektóre prace jeszcze przed wyjazdem; teraz jednak myślał o tym jak gdyby z obowiązku i było widoczne, że cała jego poprzednia radość minęła.

Wreszcie rozstali się i Klara, jak to było w jej zwyczaju, poszła do pokoju ojca.

— Papo — zapytała — co to wszystko ma znaczyć? Co myślisz o panu Beltonie?

— Pod jakim względem, moje dziecko?

— Prosił mnie... bym została jego żoną, i powiedział, żeś mu na to pozwolił.

— Dlaczego nie miałbym na to pozwolić? Cóż może być w tym złego? Dlaczego



nie mógłby się z tobą ożenić, skoro cię pokochał? Zdawało mi się, że i ty go bardzo polubiłaś.

Słowa te niezmiernie Klarę zdziwiły. Nie umiała powiedzieć dlaczego, ale była przekonana, że taka propozycja ze strony kuzyna rozgniewa ojca, bardzo go rozgniewa, że ogarnie go gniew na kuzyna, iż podobna myśl przyszła mu do głowy. Tymczasem okazało się, że ojciec gniewa się na nią za to, że nie przyjęła tych oświadczeń.

— Tak, papo, lubię go, ale nie w ten sposób, w jaki by sobie życzył. Nie spodziewałam się, że będzie chciał, bym została jego żoną.

— Dlaczego nie miałabyś zostać jego żoną? Ze względów materialnych byłoby to dla ciebie bardzo dobre małżeństwo.

— Chyba nie chciałbyś, bym wyszła za mąż tylko dla względów materialnych, prawda, papo?

— Zdawało mi się, że go lubisz. Oczywiście nie mogę cię zmusić, byś go lubiła. Chciałem jak najlepiej, a kiedy zwrócił się do mnie z prośbą o pozwolenie, pomyślałem, że postąpił bardzo przyzwoicie i po dżentelmeńsku.

— Przekonana jestem, że zawsze by tak postąpił.

— A gdybym mógł być pewien, że po mojej śmierci zostaniesz tu jako pani naszego majątku, czułbym się szczęśliwy, bardzo szczęśliwy.

Podeszła do niego i wzięła go za rękę.

— Mam nadzieję, papo, że nie będziesz się o mnie martwić. Dam sobie radę. Jestem pewna, że nie chciałbyś, żebym stąd wyjechała i rozstała się z tobą.

— Nie mam pojęcia, w jaki sposób dasz sobie radę. Jeżeli pani Winterfield, twoja ciotka, pragnie zapisać ci coś w testamencie, byłoby uprzejmie z jej strony zawiadomić mnie o tym, w ten sposób oszczędziłaby mi ciągłego niepokoju o twój los.

Klara wiedziała dobrze, w jaki sposób ciotka rozporządzi swoim majątkiem, lecz teraz nie mogła tego ojcu powiedzieć. Czuła, że jest to niemal jej obowiązkiem, ale nie potrafiła się na to zdobyć. Mogła go tylko prosić, by był spokojny o jej przyszłość, dając mu niejasne zapewnienia, że jakoś potrafi sobie poradzić.

— Więc jesteś pewna, że nie zmienisz swego postanowienia co do małżeństwa z Willem? — zapytał w końcu.

— Jestem tego zupełnie pewna, papo — odpowiedziała.

Wtedy ojciec odwrócił się od niej i było widoczne, że jest bardzo niezadowolony.

Zostawszy sama starała się zadać sobie pytanie, dlaczego była tak pewna, że nie zmieni decyzji. Niestety! Prawdę mówiąc nie miała w tej sprawie żadnych wątpliwości. Usiadła, zdecydowana odpowiedzieć sobie na to pytanie. Tak, nie miała wątpliwości. Nie mogła pokochać kuzyna, gdyż serce swe oddała kapitanowi Aylmerowi.

Wiedziała jednak, że uczucie jej nie jest odwzajemnione. Podczas wspólnej

z nim podróży do Taunton, kiedy na wiadomość o śmierci brata niemal zupełnie się załamała, kapitan był dla niej bardzo serdeczny. Bywał dla niej serdeczny także przed tym zdarzeniem. W jego uprzejmym, łagodnym zachowaniu było tak dużo tkliwości, jaką zwykle okazuje się kobiecie w pierwszym stadium zakochania, że myśl o nim jako o przyszłym narzeczonym mimo woli sama się narzucała. Nigdy jednak nie przekroczył granic tej serdeczności, która niekoniecznie musi coś oznaczać, choć czasem znaczy bardzo dużo. Upłynęły już dwa lata od czasu, kiedy po raz pierwszy powiedziała sobie, że kapitan Aylmer jest najdoskonalszym dżentelmenem spośród jej znajomych, i blisko dwa lata od czasu, kiedy pani Winterfield wyraziła nadzieję, że kapitan Aylmer zostanie mężem Klary. Odpowiedziała, że to niemożliwe — każda dziewczyna na jej miejscu odpowiedziałaby tak samo — w konsekwencji, ilekroć rozmawiała z kapitanem Aylmerem w obecności ciotki, traktowała go z takim chłodem, na jaki tylko umiała się zdobyć. Zresztą to całkiem naturalne, że w takich warunkach nie mogła być dla mężczyzny specjalnie uprzejma nawet wtedy, kiedy pani Winterfield nie była przy tym obecna. Od czasu do czasu kapitan okazywał jej dużo sympatii, a w ciężkich chwilach nawet więcej niż sympatię. Ale nic z tego nie wyszło i Klara powiedziała sobie, że widocznie on nie żywi dla niej gorętszych uczuć. Powiedziała to sobie po powrocie ze wspólnej podróży z Perivale do Taunton, dotychczas jednak nie zbadała dokładnie własnych uczuć.

Zaczęła porównywać obu mężczyzn. Doszła do wniosku, że kuzyn Will był hojniejszy, bardziej energiczny i może z natury bardziej uzdolniony. Pod względem urody był od tamtego znacznie przystojniejszy. Miał dużo szlachetnych zalet: pozbawiony samolubstwa, czynny, pełen pomysłów, prawdziwy typ mężczyzny umiającego rozkazywać, gorliwy w pracy dla innych i dla własnego dobra, w dodatku człowiek nie zarażony chłodem i samolubstwem otaczającego świata. Mimo to był nieokrzesany, niezręczny, dość miernie wykształcony i nie posiadał zamiłowań, które Klara tak ceniła. Nie potrafiłby jej czytać poezji, nie wiedział, co się dzieje we współczesnej literaturze ani co się działo w dawnej. Nie wiedział nic o wewnętrznym świecie ludzi kierujących światem. Miała nawet wątpliwości, czy umiałby powiedzieć, jaki jest skład obecnego gabinetu, albo wymienić nazwisko jakiegokolwiek biskupa ordynującego poza diecezją, w której leżała jego własna parafia. Natomiast kapitan Aylmer znał wszystkich, czytał wszystko i rozumiał jakby intuicyjnie wszelkie poczynania świata, w którym się obracał.

Ale jakie znaczenie miały podobne porównania? Gdyby nawet bez cienia wahania doszła do wniosku, że spomiędzy nich dwóch kuzyn Will godniejszy jest miłości i bardziej zasługuje, by mu oddała swe serce, to i wtedy nie zmieniłaby swego stanowiska. Miłość nie ocenia ludzi według ich wartości. Klara powiedziała sobie, że nie kocha kuzyna tak, jak by powinna kochać mężczyznę, który ma zostać jej mężem, lecz niestety! kocha innego!

Wątpię, czy tej nocy Belton spał takim twardym i głębokim snem jak zwykle. W każdym razie zanim zeszedł rano na dół, miał dość czasu, by się zastanowić i powziąć decyzję. Postanowił nie uważać bitwy za przegraną. Doszedł do przekonania, że byłoby słabością i niemal tchórzostwem porzucić plan, jaki sobie ułożył. Był niezręczny i aż przesadnie oceniał teraz swoją niezręczność. Był prędki i do zadania, jakie przed sobą postawił, zabrał się z nieumiarkowaną raptownością. Możliwe, że właśnie w ten sposób popsuł sobie wszelkie szanse powodzenia. Nie poddam się, dopóki żyję, jest nadzieja — powiedział sobie. Nie będzie się gnębił, nie opuści głowy ani nie przywdzieje żałoby. Taki stan ducha nie odpowiadałby ani jego trzeźwości, ani energii życiowej. Nie! Zniesie po męsku zawód, jaki go spotkał, a na Boże Narodzenie powróci tu i raz jeszcze będzie próbował szczęścia.

Toteż przy śniadaniu znikła chmura z jego czoła. Przyszedłszy do jadalni zastał Klarę samą i po prostu, jak zwykle, zamienił z nią uścisk ręki. Nie wspomniał o dniu wczorajszym, a nawet wyglądał tak, jak gdyby wczoraj nie stało się nic ważnego. Klara nie czuła się tak swobodnie, ale jego zachowanie cokolwiek ją uspokoiło. Pan Amedroz zjawiał się prawie natychmiast i Belton skorzystał z tej sposobności, by mu oświadczyć, że przyjedzie tu na Boże Narodzenie, o ile pan Amedroz zechce go przyjąć.

— Naturalnie — powiedział dziedzic. — Przecież to zostało już ustalone.

— Tak jest, chociaż wczoraj wymknęło mi się nierozważne słówko, jakoby to nie było jeszcze pewne. Ale po zastanowieniu się widzę, że będę mógł przyjechać.

— Powitamy cię z radością — rzekła Klara.

— A ja z radością tu przyjadę. Czy pan wie, że już budują szopę?

— Tak, widziałem przejeżdżające wozy naładowane cegłą — odpowiedział tonem kłótliwym dziedzic. — Nie wiedziałem, że ma być użyta cegła, mówiłeś mi, że szopa ma być zbudowana z tarcic i dębowych słupów.

— Przecież potrzebne są fundamenty, proszę pana. Proponuję, by fundamenty były wysokie na półtorej stopy.

— Znasz się na tym lepiej ode mnie, ale uważam, że taka szopa będzie bardzo brzydka.

— Jeżeli po wybudowaniu będzie pan uważał, że jest brzydka, to ją z powrotem rozbierzemy.

— To się nigdy nie stanie.

— Owszem, sam to zrobię, jeżeli nie będzie się panu podobała. Taka rozbiórka nie przedstawia żadnych trudności.

— Spodziewam się, że szopa będzie bardzo ładna — powiedziała Klara.

— Może — mruknął dziedzic. — W każdym razie jest mi obojętne, jak będzie wyglądała. I tak już niedługo będę na nią patrzył.

Brzmiało to dość melancholijnie, ale Belton i to zniósł cierpliwie, wygłaszając kilka wesołych zdań i wyrażając jasne nadzieje na przyszłość. Zarówno Klara, jak

jej ojciec doznali wrażenia, że w znacznej mierze zdołał już przewyciężyć uczucie zawodu, jaki go spotkał poprzedniego dnia. Widocznie w takich sprawach nie był bardzo wrażliwy i krótki okres czasu wystarczał mu, by się uspokoił. I rzeczywiście okres ten nie trwał długo, Will Belton był równie ożywiony jak przedtem.

Wkrótce po śniadaniu zdarzyło się coś, co wywarło na wszystkich pewne wrażenie. Oto na podjeździe, tuż przed drzwiami frontowymi, zobaczyli przyprowadzoną przez chłopca krowę. Była to krowa rasy Aldernay i każdy znający się choć cokolwiek na krowach zauważyłby od razu, że była doskonałym okazem swojej rasy. Miała oczy jasne i łagodne. Nogi jej przypominały nogi sarny, a całe jej zachowanie i chód zadawały niemal kłam jej własnemu rodowodowi, stwarzając pozór, że wywodziła się z bardziej szlachetnego gatunku jakichś leśnych zwierząt niż zwykła swojska krowa, która jest zwierzęciem pożytecznym, ale ciężkiej budowy, i którą wolimy oglądać z pewnej odległości raczej niż z bliska. Ale ta krowa poruszała się z takim wdziękiem, że miało się ochotę uważać ją za dalekiego potomka łosia lub antylopy.

— Co to ma znaczyć? — zapytał z niechęcią pan Amedroz, gdyż nie posiadając własnych krów był nierad, że przyprowadzono mu przed dom to stworzenie. — Przypędzono tu czyjaś krowę.

Klara od razu zorientowała się w sytuacji, ale zrobiło się jej przykro i nic nie odpowiedziała. Gdyby zobaczyła tę krowę przed wczorajszą sceną, byłaby się ucieszyła na jej widok i zapewniłaby kuzyna, że ze względu na niego będzie ją bardzo lubiła. Ale po tym, co zaszło wczoraj, nie mogła tego uczynić. Jakże miała teraz przyjmować od niego podarunki?

Belton potrafił jednak zapanować nad trudnym położeniem, zachowując się bez zbytej skromności ani nie okazując pozornego żalu.

— Obiecałem podarować Klarze krowę — powiedział — i oto jest.

— Na co jej krowa? — zapytał pan Amedroz.

— Jestem pewny, że bardzo się przyda. Klara chyba nie odmówi przyjęcia tego podarunku, prawda, Klaro?

Cóż mogła na to odpowiedzieć?

— Dobrze — odrzekła — o ile papa się na to zgodzi.

— Ale nie mamy gdzie jej trzymać — zauważył dziedzic. — Nie mamy także dla niej trawy.

— Będzie tu miała dosyć trawy — rzekł Belton. — Proszę mnie posłuchać, panie Amedroz; postarałem się o tę krowę dla Klary, niechże więc pan nie psuje mi przyjemności.

Oczywiście prośba jego została wysłuchana i oczywiście Klara podziękowała mu ze łzami w oczach.

Następne dwa dni minęły nie przynosząc nic godnego wzmianki i kuzyn

szkował się do wyjazdu. Podczas bytności w Belton nie zdążył poznać pułkownika Askertona ani nie widział się ponownie z jego żoną. Poszedł raz jeden do willi z wyraźnym celem rewizytowania pułkownika, ale go nie zastał w domu i nie poproszono go do pani Askerton. Nie mówił z Klarą więcej o jej przyjaciółkach, lecz często powracał myślą do nich i doszedł do wniosku, że byłoby dobrze upewnić się, czy rzeczywiście otaczała ich jakaś tajemnica, a jeżeli tak, to jakiego rodzaju. Wiedział, że nie lubi pani Askerton, i czuł, że i ona go nie lubi. To było mu nie na rękę, gdyż w sprawie, która go tak bardzo obchodziła, pani Askerton mogła mieć wpływ na Klarę.

Podczas tych dni nie mówił z Klarą o niczym specjalnie ważnym. Ostatni wieczór nie rozjaśnił atmosfery ani niczym się nie wyróżnił. Pan Amedroz na swój łagodny, ale zręczny sposób martwił się, że Will Belton wkrótce go opuści, gdyż kuzyn wniósł trochę ożywienia do jego życia, ale nie wspomniał o tym; gdy jednak nadszedł czas udania się na spoczynek, żegnając się z gościem uczynił lekką aluzję do przyjemności, z jaką go powita na Boże Narodzenie. Belton miał wyruszyć w drogę bardzo wcześnie, bo przed szóstą rano, i dlatego chciał się pożegnać także z Klarą. Ale Klara powiedziała mu cicho, tak cicho, że ojciec tego nie słyszał, iż jutro wstanie wcześniej, by przed odjazdem przygotować dla niego filiżankę kawy.

— Nie, nie — zaprotestował.

— A jednak wstanę. Chcę cię pożegnać przed twoim wyjazdem.

Nazajutrz rano wstała, zanim się obudził. Nie rozumiała sama, dlaczego to robi. Wiedziała, że powinna unikać dalszej rozmowy na temat, jaki poruszyli podczas spaceru do skały. Wiedziała, że ani ona jego, ani on jej nie potrafi pocieszyć. Zdawało się, że on chce zapomnieć o tej scenie i zachować się tak, jak gdyby wcale się nie odbyła, a ona nie powinna przeszkadzać mu w spełnieniu tak zbawionego postanowienia. Wstała jednak, by mu życzyć pomyślnej podróży — w ten sposób tłumaczyła się sama przed sobą, gdyż nie mogła znieść myśli, że będzie ją uważał za niewdzięczną. Zrozumiała, że objęcie nadzoru nad gospodarstwem, wybudowanie szopy dla bydła i wszystko, czego dokonał w tak krótkim czasie przywracając życie starej siedzibie, płynęło z chęci przyjscia z pomocą tym, którym stanął w poprzek drogi na skutek starego rodzinnego układu, dokonanego niemal przed jego urodzeniem. Za wszystko to pragnęła mu podziękować choć w kilku słowach. Czyż nawet w uniesieniu, kiedy spotkał go zawód — Klara była pewna, że w owej chwili czuł się zawiedziony — czyż nawet wtedy nie powiedział jej, że gdy zapragnie braterskiej opieki, to on jej tej opieki nie odmówi? Czyż wobec tego wszystkiego nie powinna była zrobić dla niego tego, co zrobiłaby dla rodzzonego brata?

Sama przyniosła mu śniadanie do małej jadalni, sama podała filiżankę kawy. Wolant przybyły w nocy z Taunton nie stał jeszcze przed domem, więc pozostawało im parę minut czasu, podczas którego wypadało zamienić parę słów.

Komuż nie było dane widzieć młodej dziewczyny, która wstała raniutko i w oczach tego, dla którego to zrobiła, wydaje się jeszcze ładniejsza, świeższa i bardziej ponętna w rannym niedbałym stroju, niż wtedy, kiedy jest starannie ubrana w modną suknię? I któryż mężczyzna doznawszy takiej łaskowości od dziewczyny nie pokochał jej, choćby przedtem nie był w niej tak zakochany jak biedny Will Belton?

— Jesteś bardzo dobra — powiedział.

— Chciałabym wiedzieć, jak mam być dobra dla ciebie

— odpowiedziała nie orientując się na razie, że wstąpiła na śliski grunt, i zrozumiawszy to dopiero wtedy, kiedy te słowa się jej wymknęły. — Byłeś dla nas taki dobry, tak bardzo dobry dla papy, że powinniśmy zrobić nie wiem co, aby ci się odwdziżyć. Jestem taka rada, żeś obiecał przyjechać do nas na Boże Narodzenie.

Belton postanowił nie okazywać swej miłości aż do zimy, ale wobec serdecznych słów Klary trudno mu było od tego się powstrzymać. Ogarnęła go szalona chęć, by chwycić ją w ramiona, obsypać pocałunkami, przysiąc, że nigdy jej nie opuści, prosić namiętnie, by została jego żoną. Czyż mogła spoglądać na niego tak słodko, czyż mogła stać przy nim tak blisko w całej krasie swej dziewczęcej urody, gdyby nie pragnęła, by ją kochał? Zdołał się jednak opanować.

— Przywiązanie do własnej krwi, krew nie woda — powiedział. — Oto dlaczego tu przyjechałem.

— Doskonale to rozumiem, władnie dlatego, że tak czujesz, jesteś taki dobry. Przykro mi tylko, że wydałeś tutaj tak dużo pieniędzy, a wszystko ze względu na nas.

— Niezupełnie. Pieniądze te zwrócą mi się z pewnością. A jeżeli nawet nie, to cóż z tego? Mam dość pieniędzy i nie pieniędzy pragnę.

Nie mogła go zapytać, czego pragnie, i dlatego zaczęła mówić o czym innym.

— Papa będzie teraz z niecierpliwością oczekiwał zimy.

— Ja także.

— Ale wtedy będziesz musiał przyjechać na dłużej. Nie wyjedziesz po tygodniu, prawda? Powiedz, że nie wyjedziesz.

— Zobaczymy. Teraz nie mogę tego powiedzieć z pewnością. Kiedy szopa zostanie wybudowana, napiszesz mi o tym kilka słów, dobrze?

— Dobrze, i napiszę ci, jak się miewa Bessy (podarowana przez niego krowa). Będę ją bardzo lubiła. Ona już teraz przychodzi do mnie po jabłka.

Pomyślał, że sam by do niej przychodził i trafiłby do niej wszędzie, choć nie spodziewałby się od niej jabłek.

— Ona przychodzi po smakołyki — powiedział. — A wiesz, co zrobię? Kiedy tu przyjadę, przywiozę ci psa, który będzie za tobą biegał przez cały dzień, nie upominając się o jabłka.

Tymczasem na żwirze przed domem rozległ się turkot wolantu i Belton musiał się pożegnać. Przez chwilę zastanawiał się, czy jako kuzyn ma prawo ją pocałować. Miał pod tym względem wątpliwości, jakie w podobnym wypadku miewają wszyscy kuzyni; ostatecznie postanowił, że tego nie zrobi, gdyż ucałowałby ją bynajmniej nie po kuzynowsku. Toteż raz jeszcze się powstrzymał.

— Do widzenia — powiedział tylko wyciągając do niej dużą rękę.

— Do widzenia, Will, i niech cię Bóg prowadzi. Uważam, że mógł być ją pocałować nie zadając sobie pytań, w jaki sposób ją całuje.

Spojrząwszy na nią zauważył w jej oczach łzy i gdy myśląc o tym siadał do powozu, poczuł, że i jego oczy stają się wilgotne. Na Boga, mimo wszystko może ją jednak zdobyć! Był człowiekiem, który przeczytał niewiele romansów. Wszelkie wyimaginowane tajemnice namiętnej miłości były mu obce, gdyż nie zaznajomił się z nimi przez czytanie całych stosów powieści, wiedział jednak, że kobietę można zdobyć wbrew niej samej i że to się zdarza. Wiedział, że nie może porwać jej siłą, może jednak pokonać jej wolę siłą własnej woli. Kiedy przypomniał sobie łzy w jej oczach, ton głosu, uścisk ręki i serdeczność, z jaką wyraziła swą wdzięczność, czuł, że mądrze robi, jeśli nie przestanie jej kochać. Mądrze czy głupio, ale kochał ją jeszcze i nie będzie jego winą, jeżeli Klara nie zostanie jego żoną. Gdy tak jechał, nie widział piękności wzgórz Quantock, bogactwa pastwisk Somersetshire ani całego uroku wczesnego sierpniowego poranka. Widział tylko jej oczy zroszone łzami i zanim dojechał do Taunton, niejedną raz robił sobie wyrzuty, że przed wyjazdem jej nie pocałował.

Klara stojąc w drzwiach patrzyła na oddalający się powóz, zanim nie znikł jej z oczu — patrzyła, o ile pozwalały jej na to łzy. Cóż to za wspaniałe kuzyn! Jaka szkoda, po stokroć szkoda, że ten przykry epizod musiał zniweczyć braterską miłość i siostrzaną ufność, jaka powinna była ich połączyć w tak doskonały sposób! Klara wiedziała — a może zdawało się jej, że wie — jak mężczyźni i kobiety różnią się w ocenie miłości. Gdyby ona kogoś raz pokochała, nie zmieniłaby się nigdy. Tego była pewna. Miłość jej mogła być szczęśliwa czy nieszczęśliwa. Mogła być wzajemna czy nie odwzajemniona — wtedy zniszczyłaby całą nadzieję na szczęście w tym życiu. Bez względu jednak na to, jaka byłaby jej miłość, taka czy inna, owocna w dobro czy w zło, w każdym wypadku byłaby miłością wierną. „Ale mężczyźni — myślała — są pod tym względem inni.” Kiedy Will wyznał jej swą miłość, był bez wątpienia najzupełniej szczerzy w swym uczuciu. I gdyby go przyjął — gdyby mogła go przyjąć — wierzyła, że byłby ją kochał miłością wierną i stałą; taką już miał naturę. Wierzyła jednak także, że ta nie odwzajemniona miłość nie wywrze na niego trwałego wpływu, zdawało się jej również, że Will z całą mądrością i męstwem postanowił uważać ten krótki okres namiętności za miniony i pogrzebany. Jedna noc wystarczyła, by pogrzebał to uczucie. Gdy tak nad tym rozmyślała, łzy spływały

obficie po jej policzkach, a powróciwszy do swego pokoju nie przestawała dalej płakać, aż do chwili kiedy musiała obetrzeć ślady łez i pójść do ojca.

Mimo wszystko była zadowolona, och, bardzo zadowolona, że Will zniósł to tak spokojnie. Teraz już kuzyn będzie unikał dalszych zalotów.

## ROZDZIAŁ VII

### Panna Amedroz jedzie do Perivale

Od dawna już ustalili się zwyczaj, że w listopadzie panna Amedroz jeździła na pewien czas do Perivale. Częste podróże z Belton do Perivale były w jej życiu faktem, z którym się pogodziła na skutek przekonania, że jej powinnością jest dzielić obowiązki rodzinne między ojcem i ciotką. Obowiązek ten był dla niej dość ciężki, gdyż wizyty u ciotki przynosiły jej bardzo mało zadowolenia. Gdyby pani Winterfield zamierzała zapisać jej część majątku, cel tych odwiedzin byłby zrozumiały ze względu na zwyczaje, jakie panują w świecie w podobnych sprawach; ale pani Winterfield nie miała prawa żądać od siostrzenicy tych obowiązkowych wizyt, skoro zgodnie ze swym sumieniem zapisała cały majątek siostrzeńcowi. Klara nie była jednak skłonna do buntu i zgodziła się pojechać do niej jak zwykle w listopadzie, podróżując jak zawsze na koszt ciotki.

Przed wyjazdem dwa zdarzenia zmały jej spokój, nie były to jednak zdarzenia większej wagi. Pastor Wright złożył wizytę w Belton Castle i podczas rozmowy z panem Amedrozem przypomniał mu o złośliwych pogłoskach, jakie od pewnego czasu krążyły o pani Askerton.

Klara nie widziała się z pastorem, ale ojciec powtórzył jej całą rozmowę.

— Czy chcesz przez to powiedzieć, że powinnam zerwać znajomość z panią Askerton? — zapytała niemal rozgniewana.

Jak możesz zadawać mi podobne pytanie! — odpowiedział. — Wiesz dobrze, jak bardzo nie lubię wszelkich kłopotów. Powtarzam ci tylko, co usłyszałem, a ty rób, co ci się podoba.

— Ale to nieładnie z jego strony, papo. Ten człowiek przychodzi tutaj i...

— Ten człowiek, jak go nazywasz, jest proboszczem naszej parafii i znam go od czterdziestu lat.

— Ale nigdy go nie lubiłeś, papo.

— Lubilem czy nie lubilem, to nieważne. Mnie nikt nie lubi, więc dlaczego ja miałbym lubić innych?

— Ale to wszystko, co powiedział pastor, sprowadza się do jednego twierdzenia: ktoś utrzymuje, że państwo Askerton nie nazywają się wcale Askerton i że powinni nazywać się inaczej. Wiemy jednak, że on jako kapitan, a potem jako major



Askerton przez siedem lat służył w naszej armii w Indiach, więc to są nikczemne plotki. Wiem o nim na pewno, że jest pułkownikiem Askertonem.

— A czy wiesz na pewno, że ona jest jego żoną? I właśnie o to zapytywał mnie pastor Wright. Nie umiem na to odpowiedzieć, a w ogóle uważam, że mówić o tego rodzaju sprawach jest wielką niedelikatnością.

— Gdyby mnie zapytano, czy miałam w ręku jej świadectwo ślubu, odpowiedziałabym, że nie, tak jak i ty nie widziałeś prawdopodobnie świadectwa ślubu którejkolwiek z twoich znajomych pań. Wiem jednak, że ona jest jego żoną, czyli tyle, co zwykle wiemy w podobnych sprawach. Wiem także, że była z nim w Indiach, i widziałam różne rzeczy, na których figuruje to nazwisko, którego ona używa przynajmniej od dziesięciu lat.

— Ja tam nic nie wiem o tym wszystkim — odpowiedział pan Amedroz z rozdrażnieniem.

— Ale pastor Wright powinien wiedzieć, skoro mówi o takich sprawach, a teraz powiedział ci coś innego niż to, co mówił dawniej.

— Nie wiem, co mówił dawniej.

— Mówił, że oboje używają fałszywego nazwiska.

— Mnie jest wszystko jedno, jakiego nazwiska używają. Wolałbym, żeby tu nie przyjeżdżali i żeby nie miał z ich powodu przykrości najpierw od Wrighta, a potem od ciebie.

— Oni są bardzo dobrymi dzierżawcami, papo.

— Nie powinnaś o tym mówić, Klaro, i przypominać mi o polowaniu, co mi sprawia taką przykrość.

Klara nie odpowiedziała już nic więcej, tylko po prostu postanowiła, że plotka pastora Wrighta nie będzie miała wpływu na jej przyjaźń z panią Askerton, niemniej jednak nie mogła zapomnieć, co kuzyn powiedział jej o pannie Vigo.

Po raz drugi zaczęły ją niepokoić uwagi pani Askerton o Willu, a raczej drobne słówka, jakie przy każdej sposobności wtrącała, kiedy o nim mówiły. Było widoczne, że pani Askerton nie lubiła go i że pragnęła ją źle do niego usposobić.

— Szkoda, że on cię nie pokochał — powiedziała kiedyś — byłoby to jak w bajce o Pięknej i Bestii. — Czytelnik z pewnością zrozumie, że Klara nie wspomniała jej ani słowem o oświadczeniach kuzyna.

— Chyba nie powiesz, że on nie jest bardzo przystojny — rzekła Klara.

— Nie zwracam nigdy uwagi, czy mężczyzna jest przystojny, czy nie, za to widzę, czy wie, co robić z rękami i nogami, i czy potrafi używać właściwego tonu w rozmowie z kobietą. — Tu Klara przypominała sobie pewne słowa, które kuzyn powiedział do niej, a powiedział je w jak najbardziej właściwym tonie. — Orientuję się od razu — mówiła dalej pani Askerton — kiedy mężczyzna zachowuje się swobodnie jak dżentelmen, a kiedy niezręcznie jak...

— Jak kto? — zapytała Klara — dokończ, co chciałaś powiedzieć.

— Chciałam powiedzieć: jak parobek — odparła pani Askerton.

— Widzę, że masz do niego pretensję, bo powiedział, że jesteś podobna do panny Vigo — odpowiedziała Klara ostro. Pani Askerton tym razem umilkła i przestała już mówić o panu Beltonie aż do czasu, kiedy Klara powróciła z Perivale.

Podróż z Belton do Perivale była zawsze uciążliwa, tym bardziej kiedy odbywała się ją w tak przykrym miesiącu jak listopad. W skromnej oberży w Redicote wynajmowało się tak zwaną „starą landarę”, która dowoziła podróżnych do stacji kolei w Taunton; tym wehikułem zaprzężonym w starego, siwego konia i powożonym przez jeszcze starszego i bardziej siwego woźnicę podróżowały zwykle okoliczne damy, kiedy zachciewało im się wyruszyć z domu. Pojazd ten toczył się z szybkością pięciu mil na godzinę, ale stary, siwy woźnica uważał zawsze, że ma zbyt mało czasu na przebycie tej drogi z wyżej wspomnianą szybkością. — Zdarzają się różne wypadki — skarżył się płacząco — więc czy mogę pozwolić, by biedne konisko z pośpiechu wyskoczyło ze skóry? — Toteż konsekwentnie przyjeżdżał zawsze do Belton o godzinę wcześniej, niż należało, i choć Klara o tym wiedziała, była całkiem bezsilna. Ojciec gderał i niecierpliwił się, woźnica również gderał i niecierpliwił się, a Klarze nie pozostawało nic innego, jak wsiąść do landary i wyruszyć w drogę. Tym razem musiała wyjechać o całą godzinę za wcześnie i po czterech rozpaczliwie nudnych godzinach jazdy wysiadła na stacji w Taunton, gdzie miała jeszcze mnóstwo czasu przed udaniem się w dalszą podróż.

W drodze zdarzył się mały wypadek. Stara szkapą drepcząc leniwie po równym gościńcu potknęła się i upadła. Klara nie zaniepokoiła się, gdyż to samo zdarzyło się jej już kiedyś, zadała sobie jednak pytanie, czy w tych warunkach, nawet mając jeszcze godzinę czasu w zapasie, zdąży na pociąg. Ale stary, siwy woźnica uspokoił ją, zostawił spokojnie leżącego konia na drodze i przysunawszy się do okienka karetki powiedział:

— Widzi panienska, ładnie byśmy wyglądali, gdybym nie zostawił sobie trochę wolnego czasu. — Poszedł do sąsiedniego domu i poprosiwszy o pomoc zdołał konia podnieść i postawić na nogi. Po czym raz jeszcze przysunął się do okienka mówiąc z triumfem: — No i kto miał rację? — A gdy przybyli do Taunton, był markotny, że nie zażądał większej zapłaty z powodu tego wypadku.

Ta godzina w Taunton była dla niej okropna. Nie znam bardziej przykrych godzin niż godziny czekania na stacji. Czas nie mija zgoła i nie można go nazwać uskrzydłonym. W takim wypadku mężczyzna spaceruje po peronie i w tej przechadzce znajduje pewną przyjemność, natomiast kobieta musi siedzieć spokojnie w nudnej atmosferze poczekalni. Niektórzy ludzie w takich warunkach potrafią czytać, ale jest ich niewiele. Myśl powoli usypia, podczas gdy ciało ogarnięte niepokojem znosi z przykrością bezczynność i brak ruchu. Podróżny odczytuje ogłoszenia na ścianach, ogląda mapę jakiegoś rajskiego zakątka —

zakątka, gdzie nieregularnego kształtu staw i kościół są otoczone mnóstwem regularnie zbudowanych will oraz regularnie zasadzonych krzewów — wreszcie zmęczony podróżny czuje, że ani wzgląd na zdrowie, ani taniość miejscowości nie skuszą go do zamieszkania w tym raj. Tragarze kręcą się tu i tam, aż widok ich staje się nie do zniesienia. Wszystko dokoła jest szkaradne, brudne i nieprzyjemne, aż człowiek zadaje sobie pytanie, dlaczego zawiadowcy stacji nie popełniają częściej samobójstwa.

Klara Amedroz przeszła już przez ten okres czekania i zaczęła myśleć nie tyle o zawiadowcy stacji, ile o sobie samej, gdy nad jej uchem zabrzmiał obiecujący dzwonek i zrozumiała, że pociąg wreszcie nadszedł.

W Taunton od głównej linii kolejowej biegła linia boczna w kierunku Perivale. Klara mogła więc zająć spokojnie miejsce w wagonie i zauważyła, że na główny tor nadjeżdża pociąg z Londynu. Obserwowała spokojnie pasażerów londyńskiego pociągu, podczas gdy borykali się z trudnościami przesiadania. Patrzyła na to zaledwie od kilku sekund, gdy nagle na peronie ujrzała kapitana Aylmera.

Cofnęła się natychmiast w kąt wagonu i przestała wyglądać przez okno. Nie ulegało wątpliwości, że jechał do Perivale, ale dlaczego ciotka nie uprzedziła jej o tym? Przecież w Perivale oboje zamieszkają pod jednym dachem, wobec czego niepotrzebnie usiłowała uniknąć teraz tego spotkania. Usiłowanie to okazało się bezowocne i pewnie była rada, że się nie udało. Kapitan wszedł od razu do przedziału, w którym siedziała, i zaczął rozmieszczać swoje płaszcze, pudła i walizki nie zauważywszy, kto jest jego towarzyszem podróży.

— Dzień dobry, panie kapitanie — odezwała się Klara, zanim usiadł.

— Panna Amedroz! Co za spotkanie! Nie spodziewałem się, że panią tu zobaczę! Niespodzianka tym miłsza, że nieoczekiwana!

— Ja również nie spodziewałam się pana spotkać. Pani Winterfield nie wspomniała mi nic, że pan ma przyjechać do Perivale.

— Aż do onegdajszego dnia sam tego nie wiedziałem. Jadę złożyć sprawozdanie z mojej działalności poczciwym periwalczykom, którzy mnie wybrali do parlamentu. Jutro będę na obiedzie u burmistrza, a ponieważ pewna gruba ryba ma być również na tym obiedzie, więc musiałem się pośpieszyć. Jestem zachwycony, że przez pewien czas pani pobędzie z nami.

— O tej porze roku zwykle odwiedzam ciotkę.

— To bardzo ładnie z pani strony. — Po czym zapytał ją o ojca, a Klara opowiedziała mu o wizycie kuzyna, nie mówiąc — jak czytelnik się domyśla — o oświadczeniach Beltona. I tak stopniowo rozwinęła się między nimi ożywiona przyjacielska rozmowa.

— Bardzo się z tego cieszę ze względu na pani ojca — powiedział życzliwie kapitan mówiąc jeszcze ciągle o wizycie kuzyna.

— Naturalnie, i ja również bardzo się cieszę.

— Tak być powinno ze względu na jego sytuację wobec majątku. Więc okazał się przyzwoitym człowiekiem?

— Określenie „przyzwoity” jest niewystarczające. On jest po prostu doskonały!

— Czyżby? Ależ to straszne! Czy pani pamięta, jak to niegdyś Grecy znienawidzili pewnego greckiego patriotę za to, że nie mogli znaleźć w nim żadnej wady?

— Nie pozwolę, by pan znienawidził mojego kuzyna.

— Jak on wygląda?

— Jest niezwykle przystojny, przynajmniej w moich oczach.

— Jeszcze jeden powód, bym go znienawidził. A czy jest inteligentny?

— Hm... nie w tym znaczeniu, jakie pan ma na myśli. Zna się doskonale na rolnictwie, na hodowli bydła...

— To mnie już cokolwiek pociesza.

— Nie chciałabym, by pan mnie źle zrozumiał. On jest inteligentny i cokolwiek robi, robi na swój własny sposób, który okazuje się doskonałym. Budzi zaufanie, że czegokolwiek się podejmie, to wykona po mistrzowsku.

— Nie jestem pewny, czy mógłbym go za to bardziej polubić.

— Ale on nie miesza się do spraw, których nie rozumie. Przy tym jest taki szczodry! Wydał mnóstwo pieniędzy na różne ulepszenia w majątku tylko dlatego, żeby ojcu sprawić przyjemność.

— Więc ma mnóstwo pieniędzy?

— O, tak! Tak mi się przynajmniej zdaje. Sam mi to powiedział.

— Rzadko się zdarza, by ktoś się przyznał, że ma mnóstwo pieniędzy! Szczęśliwy śmiertelnik! Jest piękny, wszechmocny, zna się na rolnictwie i na hodowli bydła. Wolałbym z nim współzawodniczyć niż mu zazdrościć, gdyby mnie nie nauczono, że nie każdemu dane jest zdobyć doskonałość.

— Może pan śmiać się z niego, ale jestem pewna, że gdyby go pan poznał, to by go polubił.

— Opinia kobiety o mężczyźnie nie była nigdy miarodajna. Kiedy mężczyzna opisuje mi innego mężczyznę, to przeważnie wiem, czy mógłbym go polubić, czy nie — szczególnie kiedy mój informator jest mi dobrze znany. Inaczej bywa, gdy informatorką jest kobieta.

— Więc pan nie może mi wierzyć na słowo?

— My, mężczyźni, patrzymy na te sprawy innymi oczami. Nie wątpię, że kuzyn pani jest człowiekiem wartościowym i szczęśliwym jak król Makbet w okresie swej największej pomyślności, gdybyśmy się jednak poznali, nie mielibyśmy sobie nic do powiedzenia.

W tej chwili Klara niemal nienawidziła kapitana Aylmera za to, co powiedział, ale w duchu przyznała mu rację. Will Belton nie był człowiekiem wykształconym i gdyby obaj — kapitan i farmer — spotkali się w jej obecności, czuła, że mogłaby

się nieraz za kuzyna wstydzić. A jednak z nich dwóch on był lepszym człowiekiem. Tak, wiedziała, że był lepszy, a mimo to nie mogła go kochać, tak jak kochała tego.

Po chwili zmienili temat rozmowy i, jak to często czynili dawniej, zaczęli mówić o pani Winterfield. Kapitan Aylmer oznajmił, że musi wrócić do Londynu w sobotę, choć był już wtorek, i Klara stwierdziła, że uchyla się on jak zwykle od naprawdę ciężkich obowiązków poselskich.

— Zauważyłam, że pan nigdy nie spędza niedzieli w Perivale.

— Tak, nieczęsto. Po co miałbym to robić? W niedzielę wszyscy najchętniej siedzą w domu.

— Przecież pan jest kawalerem i nie potrzebuje się liczyć z rodziną.

— Ale niedziela jest dniem, który każdy lubi spędzać na swój własny sposób.

— Właśnie, i dlatego nie spędza pan niedzieli z ciotką. Doskonale to rozumiem.

— A teraz pani jest złośliwa.

— Bynajmniej, chcę tylko przez to powiedzieć, że ja także nie lubię niedziel w Perivale i gdybym mogła, robiłabym to samo co pan. Ale kobiety... szczególnie kobiety w moim wieku, są niewolnicami! Zmuszają nas do posłuszeństwa nie mającego żadnego uzasadnienia albo którego potrzeby nie uznajemy. Nie mogłabym na przykład powiedzieć ciotce, że chcę wyjechać w sobotę.

— Kobiety nie mają interesów, których załatwienie wymaga określonego czasu.

— To znaczy, że na swoje usprawiedliwienie nie mogłabym wynajdywać kłamliwych wymówek. A wszystko to dlatego, że jesteśmy zależne.

— Sądzę, że jest w tym trochę prawdy.

— Nie chcę przez to powiedzieć, że jestem zależna od ciotki. Moja sytuacja jest w ogóle zależna, a sama sobie pomóc nie mogę.

Kapitan Aylmer zorientował się, że trudno byłoby mu na to odpowiedzieć, czuł, że temat ten nie nadawał się do rozmowy z panną Amedroz. Rzecz prosta spodziewał się odziedziczyć majątek ciotki, a każdy zapis uczyniony przez nią na rzecz Klary zmniejszyłby jego udział w spadku. Wiedział także, że pani Winterfield może zapisać siostrzenicy wszystko, co posiada. Stara dama nie była względem niego, któremu miała zapisać majątek, tak szczerą i otwartą jak względem Klary, której obdarować nie zamierzała. Ale kapitan Aylmer wiedział z pewną dokładnością, jak stały sprawy w Belton, i orientował się, że panna Amedroz nie ma żadnych widoków na zdobycie środków utrzymania i że pod tym względem jest zależna od ciotki. Wprawdzie oświadczyła mu, że nie jest od niej zależna, ale kapitan uważał, że się myliła. Był człowiekiem światowym i bynajmniej nie zamierzał zrzekać się należnych mu praw, lecz czuł się niemal obowiązany wyjaśnić, że, jego zdaniem, Klara powinna poddać się woli ciotki.

— Zależność to przykre słowo — powiedział — i nigdy nie wiadomo, co oznacza.

— Gdyby pan był kobietą, wiedziałby pan. A oznacza, że ja muszę spędzać

niedziele w Perivale, natomiast pan może jechać do Londynu czy do Yorkshire.

— O ile zrozumiałem, uważa pani, że obowiązkiem jej jest spełniać wolę ciotki, mimo że obowiązek ten nie jest wcale przyjemny, ale że uchylać się od spełnienia tego obowiązku byłoby nierozsądne.

— To nie to, to wcale nie to! Nie byłoby to nierozsądne, jak pan się wyraził, ale byłoby z mojej strony niesłuszne. Ciotka była dla mnie zawsze bardzo dobra i dlatego powinnam się do jej woli stosować, ale dla pana była również bardzo dobra, a mimo to nie jest pan obowiązany być jej posłusznym. Właśnie na to się skarżę. Pan sobie wyjeżdża pod jakimś zmyślnym pozorem, uważając jednocześnie, że pan spełnia swój obowiązek. Mówi pan, że musi się spotkać z adwokatem, a idzie pan do klubu albo pod pozorem rozmowy z dzierżawcami jedzie pan na polowanie.

— Nie mam żadnych dzierżawców.

— Pan wie dobrze, że mógłby zostać na niedzielę bez ujmy dla nikogo, ale pan nie lubi chodzić trzy razy dziennie do kościoła, a potem słuchać, jak ciotka czyta kazania. Dlaczego nie może pan pozostać w Perivale, a ja pójść do klubu?

— Zgodziłbym się chętnie, gdyby pani potrafiła tego dokonać.

— Ale ja nie mogę chodzić do klubu, nam nie wolno należeć do klubów ani polować, ani robić, co się nam podoba, posługując się wymówką o spotkaniu z adwokatem.

— Jeżeli pani mnie poprosi, to zostanę.

— Ani myślę pana o to prosić. Po pierwsze zasnęłyby pan w kościele, a ciotka obraziłaby się; zresztą wątpię, czy pańskie cierpienia ulżyłyby moim. Nie jestem powołana do tego, by zmieniać świat, ale mam prawo czasem trochę pozzrzedzić.

Pani Winterfield mieszkała w dużym murowanym domu w samym środku miasta. Dom wychodził szerokim frontem na ulicę, gdyż był to nie tylko dom o trzech kwadratowych oknach po każdej stronie drzwi, o siedmiu oknach nad nimi i siedmiu oknach na najwyższym piętrze, ale do głównego budynku przylegała jeszcze duża wozownia wychodząca także na ulicę; na wozowni umieszczony był rodzinny zegar, ceniony przez mieszkańców miasta nie mniej niż zegar miejski, a pomiędzy wozownią i domem znajdowała się szeroka brama wjazdowa prowadząca na dziedziniec i było boczne wejście służbowe. Nikt w Perivale nie wątpił, że dom pani Winterfield jest najokazalszym domem w mieście. Obcy dzielali to zdanie patrząc na front kamienicy. Była to jednak pod każdym względem zwykła miejska kamienica, to znaczy zwykły angielski dom, tak brzydki i szacowny, na jaki tylko złożyć się może nieograniczona ilość cegieł i dużo wapna. Naprzeciwko domu mieszkał najlepszy w mieście lekarz i stary budowniczy nie prowadzący już robót, tak że oczu pani Winterfield nie ranił widok sklepowych szyldów. Sklepy oczywiście znajdowały się w niewielkiej odległości od domu po obu stronach ulicy, ale ponieważ wszystkie najbliższe sklepy należały do niej, więc

sąsiedztwo to było do zniesienia. Gdybym ja tam mieszkał, to widok trawy, usiłującej przebić się przez kamienie tworzące krawężnik ulicy, byłby dla mnie nieznośny. Żadne oznaki stopniowego zamierania życia nie mają w sobie tyle melancholii co widok opustoszałego miejsca, na którym niegdyś rojno było od ludzi. Obecnie w tym zakątku Perivale mało było osób, mało koni. Niegdyś ta ulica stanowiła odcinek głównego gościńca, wiodącego z Salisbury do Taunton, i pełna była wozów, pojazdów i karetek pocztowych; teraz zaś niestety opustoszała niemal zupełnie. Nie widać tu nawet omnibusów, które wożą podróżnych na dworzec kolei żelaznej, chyba że na zamówienie pani Winterfield zajeżdżają przed jej dom. Wydaje mi się jednak, że pani Winterfield znajdowała w tym opustoszeniu pewien melancholijny urok. Odpowiadało to jej duchowemu nastrojowi i poglądom religijnym, gdyż przypominało co dzień, że sprawy tego świata są znikome i szybko przemijają. Była rada mając naoczny dowód, że trawa porasta drogi, którymi chodzą śmiertelnicy, i że nie warto już kłaść nowego bruku pod stopy ludzkie. Zbliżała się już do gościńca, po którym będą stąpać miriady świetlnych sandałów nie uszkadzając go nigdy; doprowadzi on ją do ścieżek wysadzanych drogimi kamieniami, gdzie nie będzie już mogło rosnąć żadne bezużyteczne ziele.

Za domem znajdował się schludnie utrzymany ogródek, podzielony na cztery równoległoboki wysadzone symetrycznie drzewami; z przyjemnością się tu przechadzała, gdy pozwalała na to pogoda. Biedna Klara! Ileż rad ciotczyńnych nasłuchiwała się podczas tych przechadzek! Ileż narzekań z powodu nieodpowiedniego wychowania dzieci ogrodnika! Pani Winterfield nie miała szczęścia do ogrodników. Nietrudno było znaleźć dobrych lokajów, a nawet i stangretów, którzy, specjalnie hojnie opłacani, przychodzili punktualnie na modlitwy, a nawet obiecywali czytać ofiarowane im nabożne książeczki, natomiast ogrodnicy mieli z reguły poglądy świeckie; uważali, że mają prawo do wolności sumienia, i nie chcieli ulegać domowej tyranii pobożnych niedziel. Mieszkali w osobnych domkach i w sprawach kościelnych wyznawali własne, odrębne poglądy. Pani Winterfield zdawała sobie sprawę, że musi drogo opłacać ogrodnika, który by odpowiadał jej wymaganiom. Trzeba mu było płacić wysoką pensję, by zgodził się poddawać codziennemu badaniu własny stan duchowy oraz duszę żony i całej rodziny. Ale, choć płaciła hojne pensje, żaden ogrodnik nie mógł u niej długo wytrzymać. Pewien sumienny człowiek chciał wytargować sobie zwolnienie od obowiązków religijnych podczas mniej ważnych sześciu dni tygodnia, rezygnując w zamian z niedzielnego odpoczynku, lecz pani Winterfield nie mogła się zgodzić na podobną propozycję i ten ogrodnik także odszedł. — Nie mogłem zostać — usprawiedliwiał się — bo jakże miałem doglądać cieplarni, kiedy pani bez ustanku trajkotała mi nad głową, że popadam w grzechy. A zresztą jakież to były grzechy — dodawał. — Chyba to, że z dzieckiem na rękę palił fajkę, zamiast tracić czas na te przeklęte wieczorne kazania.

Biedna pani Winterfield! W młodości miała bardzo silną wolę, toteż zmuszała się do słuchania wieczornych kazań i robiła to z takim hartem ducha, na jaki mało kto mógłby się zdobyć. Tę istic męczeńską odwagę zachowała do późnej starości, znosząc cierpliwie znużenie, choć wydawało się ono nie do zniesienia tym, którzy nie mieli w sobie nic z męczeńskiego ducha. Kazania w Perivale nie były ani jasne, ani krasomówcze, ani nie budziły w słuchaczach otuchy. Wszystko, o czymkolwiek mówił stary proboszcz albo młody wikary, słyszała już setki razy. Umiała to już na pamięć i potrafiłaby wygłosić dla nich kazania lepsze od tych, jakie oni wygłaszali dla niej. Z kazań ich nie mogła nauczyć się nic nowego, a mimo to przychodziła do kościoła trzy razy dziennie, choć w zimie dokuczał jej mróz, wiosną — kaszel, w lecie — upał a na jesieni — bóle reumatyczne; teraz zaś, kiedy doktor zabronił jej przebywać tak długo w kościele, zalecając, by chodziła tam dwa, a nawet raz dziennie, pani Winterfield uważała ten zakaz za krzywdzący. Widocznie dla takiej kobiety jak ona wszystkim w życiu była nadzieja, że kiedyś stapać będzie gościńcem usłanym klejnotami, które nigdy nie ulegną zużyciu jak kamienie pod stopami ludzi. Ale jeżeli miała rację — rację w stosunku do siebie, jak i do bliźnich, to dlaczego ten świat dostarcza ludziom tyle rozkoszy? Dlaczego ziemia rodzi takie słodkie owoce, dlaczego drzewa są takie zielone, a góry takie wspaniałe? Dlaczego kobiety są tak urocze i dlaczego tylko aktywność ludzkiego umysłu decyduje o postępie ludzkości? Słuchanie trzy razy dziennie potoków wymowy periwalskich duchownych nie przyczyniało się oczywiście do wzrostu aktywności umysłowej.

Otóż teraz pani Winterfield bliska już była swej nagrody. Bez wątpienia, zrobiła wszystko, żeby ją sobie zapewnić. Karmiła ubogich, wtlaczała w młode głowy mnóstwo nauk religijnych, a robiła to może niezbyt mądrze, lecz po swojemu aż nadto gorliwie, bo zgodnie z własnym sumieniem. Niewiele dbała o samą siebie, przebaczała krzywdy wyrządzone sobie, nie przebaczała jednak tych, o których sądziła, że wyrządzone zostały Panu Bogu. Żyła niemal tak jak ów męczennik, który przez całe lata stał nieporuszony na słupie, a paznokcie wrastały mu w ciało. Żyła tak, lecz obawiam się, że mimo swej zamożności okazywała ludziom mało istotnej pomocy; nie dbała jednak o własne ziemskie wygody, które w jej przekonaniu były niczym w porównaniu do rozkoszy czekających ją na tamtym świecie.

Dziś siostrzeniec i siostrzenica przybyli do niej razem. Schludny chłopiec w białych bawełnianych rękawiczkach czekał na Klarę na stacji w niskim powozie o czterech kołach. Pani Winterfield była mozną damą i uważała za niewłaściwe, by jej siostrzenica — choć tylko przybrana — zajeżdżała przed jej dom omnibusem. Na stacji kapitan Aylmer odprawił młodego stangreta i sam powoził, a dostarczenie bagaży powierzył dworcowemu tragarzowi.

— Szczęśliwie się złożyło, że przyjechaliście razem — rzekła pani Winterfield



do siostrzeńca. — Nie wiedziałam, kiedy mam cię oczekiwać, bo nigdy nie oznaczasz godziny przyjazdu.

— Uważam, ciotko, że bezpieczniej jest zostawiać sobie trochę czasu w zapasie, kiedy ma się tyle spraw do załatwienia.

— Tak często bywa z panami — odparła pani Winterfield. Klara spojrzała na kapitana Aylmera, ale niczym nie zdradziła swoich podejrzeń. — Wiedziałam jednak — mówiła dalej starsza pani — że Klara przyjedzie właśnie tym pociągiem. Panie mogą być punktualne, niechże potrafią choć to.

Pani Winterfield należała do rzędu niewiast, które zawsze uważają, że kobiety pod każdym względem są czymś niższym od mężczyzn.

## ROZDZIAŁ VIII

### Kapitan Aylmer spotyka się ze swymi wyborcami

Pierwszego dnia pobytu u ciotki kapitan Aylmer był dla niej niezmiernie uprzejmy. Zdawał sobie sprawę z wagi każdej drobnej uprzejmości i potrafił je umiejętnie stosować, a Klarę bawiło obserwowanie go: siedział godzinami przy ciotce, odpowiadał na jej błahe pytania i robił drobne uwagi zgodne z jej poglądami. Tego wieczoru Klara brała niewielki udział w rozmowie, słuchała w milczeniu, myśląc, że Will Belton byłby w rozmowie mniej zręczny, ale bardziej szczerzy. Zresztą dlaczego kapitan Aylmer nie miałby rozmawiać z ciotką? Gdyby Will Belton miał ciotkę, rozmawiałby z nią także, ale mówiłby raczej o tym, co jego interesuje, a nie ciotkę, i Klara wahała się, czy może nazwać kapitana Aylmera człowiekiem szczerym czy nieszczerym. Nazajutrz kapitan Aylmer był nieobecny przez cały ranek, gdyż składał wizyty swoim wyborcom, a o trzeciej po południu miał wygłosić w ratuszu przemówienie. Na galerii zostały zarezerwowane specjalne miejsca dla pani Winterfield i jej siostrzenicy i stara dama postanowiła być obecna na tym przemówieniu. W miarę jak mijały godziny, ciotka stawała się coraz bardziej zdenerwowana i niespokojna, czy będzie miała dość siły, by wejść na schody wiodące do ratusza, ale uparła się, że tam pójdzie, i brakowało dziesięć minut do godziny trzeciej, gdy siedziała już na swoim miejscu.

— Przypuszczam, że zebranie rozpocznie się od modlitwy — powiedziała do Klary, która nie mając pojęcia, jak odbywają się podobne zebrania, odpowiedziała, że chyba tak. Żona radcy miejskiego siedząca po drugiej stronie pani Winterfield ośmieliła się zwrócić uwagę, że ponieważ kapitan Aylmer będzie mówił o polityce, modlitwy nie będzie. — Ale przecież w parlamencie zaczynają rozprawy od modlitwy — odpowiedziała pani Winterfield bardzo rozgniewana. Na to żona radcy miejskiego, onieśmielona oburzeniem wielkiej damy, oświadczyła cicho, że

naprawdę o tym nie wiedziała. Pani Winterfield nie przestawała jednak ludzić się, że wszystko pójdzie po jej myśli, aż do chwili kiedy estrada zapełniła się i uroczystość się rozpoczęła. Po czym zaczęła ubolewać, że periwalczycy stali się zgrają bezbożników, i żałować, że jej siostrzeniec ma z nimi coś wspólnego. — Nie wyniknie z tego nic dobrego — powiedziała gorzko, zaś Klara od początku obawiała się, że z wizyty ciotki w ratuszu nie wyniknie nic dobrego.

Sprawa od razu ruszyła z miejsca i kapitan Aylmer używając od początku kwiecistego stylu wygłosił swoje przemówienie; przemówienie podobne do tych, jakie często słyszeliśmy i czytaliśmy, było specjalnie dostosowane do usposobienia mieszkańców Perivale. Kapitan był konserwatystą i oczywiście oznajmił słuchaczom, że zbliżają się dobre czasy, że zarówno on sam, jak cała jego rodzina wezmą się rażno do roboty i niebawem Perivale dowie się o rzeczach, które zadziwią miasto. Podatek od słołu zostanie zniesiony, a rolnikom będzie dozwolony wolny handel piwem; argumenty strony przeciwnej nie wyszły poza przewidziany dla nich zasięg, słowem, stara Anglia będzie znów dawną starą Anglią. Pan poseł, jak wszyscy podobni dżentelmeni, wywiązał się ze swego zadania nieźle i Perivale, z wyjątkiem jednej osoby, było zadowolone ze swego przedstawiciela. Osobą tą była pani Winterfield, która słuchając przemówienia z największą uwagą, zauważyła, że siostrzeniec dotychczas ominął jedyną sprawę godną poruszenia. Wreszcie wspomniał w paru słowach o małżeństwie i sądzie rozwodowym, potępiając niemoralność obecnego prawa, przeciw któremu całe Perivale gwałtownie protestowało za pomocą petycji i licznych wieców. Słyszając to pani Winterfield zaczęła stukać parasolem i wyrażać pochwały swoim słabym starczym głosem. Zgromadzeni słuchacze podchwycili ten głos i niebawem cała sala od końca do końca rozbrzmiewała okrzykami uznania, aż ciotce przyszło do głowy, że posłannictwem jej siostrzeńca jest zmienić bezbożne prawo uchwalone przez parlament i przywrócić więzi małżeńskiej jej pierwotną sztywność. Gdy kapitan Aylmer odprowadził ją do powozu, ciotka poklepała go po ramieniu dziękując mu i zachęcając do dalszej pracy, a w powrotnej drodze do domu w rozmowie z Klarą wieszowała sobie, że ma takiego siostrzeńca, który po jej śmierci zajmie jej miejsce w Perivale.

Tego wieczora kapitan Aylmer był na obiedzie u burmistrza i pani Winterfield mogła swobodnie o nim pomówić.

— Wprawdzie nieczęsto widuję młodych ludzi — powiedziała do Klary — ale nawet nie słyszałam o młodzieńcu, który byłby do niego podobny.

Klara znów pomyślała o kuzynie. Will nie był nic a nic podobny do kapitana Aylmera, ale czyż nie był lepszy od niego? Pomyślawszy tak przypomniała sobie, że nie zgodziła się wyjść za kuzyna, bo kochała właśnie tegoż Fryderyka Aylmera, którego w myśli potępia.

— Jestem pewna — rzekła — że on doskonale wywiązuje się ze swych

obowiązków posła do parlamentu.

— To by mi jeszcze nie wystarczyło, ale on łączy obowiązki z wyższymi zadaniami, a to już jest bardzo dużo. Mówiono mi, że obecnie w parlamencie niewielu jest posłów wierzących.

— Ach, ciociu!

— Po prostu straszno o tym myśleć.

— Ależ, ciociu, przecież oni muszą składać przysięgę czy coś w tym rodzaju na dowód, że są chrześcijanami.

— Teraz już nie, moja droga, poniechali tego, odkąd mamy posłów Żydów. Teraz w parlamencie mogą zasiadać ateiści; słyszałam, że to są przeważnie ateiści albo niewiele lepsze od nich niedowiarki. Pamiętam jeszcze czasy, kiedy żaden papista nie mógł zasiadać w parlamencie. Ale zdaje mi się, że już z tym skończyli. To dla mnie wielka pociecha, że Fryderyk jest taki, jaki jest.

— Słusznie, ciociu.

Po czym nastąpiła przerwa, podczas której pani Winterfield nie dała jednak do zrozumienia, że uważa rozmowę za skończoną. Klara dobrze знаła sposób bycia ciotki, była więc pewna, że rozmowa potoczy się dalej, i czekała cierpliwie nie powracając do czytania książki.

— Wczoraj rozmawiałam z nim o tobie — powiedziała wreszcie pani Winterfield.

— To go zapewne nie bardzo interesowało.

— Dlaczego? Czy sądzisz, że on nie interesuje się tymi, których ja Kocham? Naturalnie, że to go interesowało, powiedział mi to, o czym przedtem nie wiedziałam i o czym ty powinnaś była mi powiedzieć.

Klara, nie zdając sobie sprawy dlaczego, zaczerwieniła się i zmieszala.

— Wydaje mi się, że nic przed ciocią nie zataiłam z tego, co powinnam była powiedzieć.

— Mówił mi, że suma przeznaczona dla ciebie przez ojca została całkowicie roztrwoniona.

— To bardzo niegrzecznie z jego strony, że użył tego słowa — powiedziała rozgniewana Klara.

— Nie wiem, czy użył właśnie tego słowa, ale nie był niegrzeczny; on nigdy nie bywa niegrzeczny. Przeciwnie, był wspaniałomyślny.

— Nie wymagam od niego wspaniałomyślności.

— Nonsens, moja droga. Jeżeli powiedział mi prawdę, to dlaczego zależy ci na tym, by mi tego nie był powiedział?

— Nie zależy mi na niczym. Przykro mi tego słuchać.

— Klaro, dziwię się, że mówisz coś podobnego. Gdybyś miała siedemnaście lat, byłoby to z twojej strony nierozsądne, ale w twoim wieku jest to nie do wybaczenia. Kiedy ja i twój ojciec umrzemy, kto ci da na utrzymanie? Czy może

twój kuzyn pan Belton, który ma objąć wasz majątek?

— Tak, on by to zrobił — gdybym mu pozwoliła, ale ja naturalnie nigdy się na to nie zgodzę. Ciociu, proszę cię, nie mówmy już o tym. Wolałabym raczej cierpieć głód.

Zapadło znów milczenie; Klara wiedziała jednak, że rozmowa jeszcze się nie skończyła; wiedziała również, że daremnie próbowałyby poruszyć inny temat. Tak bardzo była zdenerwowana, że nie potrafiłaby mówić o niczym innym.

— Na czym opierasz swoje przypuszczenie, że pan Belton byłby taki hojny? — zapytała pani Winterfield.

— Sama nie wiem. Nie umiałabym tego wytłumaczyć. On jest moim najbliższym krewnym; ze wszystkich ludzi, jakich znam, jest najlepszym, najszlachetniejszym i najmniej samolubnym człowiekiem. Kiedy do nas przyjechał, papa był do niego usposobiony po prostu wrogo, nie lubił nawet wspominać jego imienia; ale Will był dla niego taki dobry, że po pewnym czasie papa z przykrością myślał o jego wyjeździe.

— Klaro, co ty mówisz!

— Tak było naprawdę.

— Sądzę, że wiesz, jak bardzo jestem do ciebie przywiązana.

— Wiem, ciociu, i mam nadzieję, że i ty wierzysz w moje przywiązanie do ciebie.

— Czy łączy cię z panem Beltonem coś więcej niż bliskie kuzynostwo?

— Nie, nic.

— Bo gdyby tak było istotnie, nie potrzebowałabym martwić się o twój los.

— Nie, nic nas nie łączy, lecz nie chciałabym być przedmiotem twojej troski.

Przez chwilę Klara była niemal zdecydowana wyznać ciotce całą prawdę, przypomniała sobie jednak, że postąpiłaby nieładnie wobec kuzyna, gdyby opowiedziała ciotce historię odrzuconych oświadczeń.

Znów zapadło krótkie milczenie, po czym pani Winterfield mówiła dalej.

— Fryderyk uważa, że powinnam zapisać ci pewną sumę w testamencie. Byłoby to oczywiście to samo, jak gdyby on ci tę sumę ofiarował. Powiedziałam mu, że tak zrobię, i wczoraj wieczorem przeczytałam mu swój testament. Oświadczył, że to nie robi różnicy, i poradził mi dodać kodycył. Na moje zapytanie, ile ci mam zostawić, odpowiedział, że tysiąc pięćset funtów. Tyle zostanie po opłaceniu kosztów pogrzebu i nie zaciąży to na majątku. Musisz przyznać, że okazał się bardzo szczodry.

W głębi serca jednak Klara nie poczuła wdzięczności za szczodrość kapitana Aylmera. Pragnęłaby mieć od niego wszystko albo nic. Było jej przykro myśleć, że temu, który już dwukrotnie zdawał się być bliski propozycji, by dzieliła z nim wszystko w życiu, zawdzięczałaby tylko zapomogę, wystarczającą, by uchronić ją od przytułku dla ubogich. Inną miłością kochała Willa niż jego; a jednak

zapewnienie Willa, że otoczy ją braterską opieką, było jej miłsze niż starannie przemyślana rada, jaką Fryderyk Aylmer w jej sprawie udzielił ciotce. W swym obecnym nastroju nie życzyła sobie, aby ktokolwiek ją wspomagał i udzielał pomocy materialnej; w poczuciu serdecznego zawodu, jakiego doznała, pociechą była jej myśl, że kiedy zostanie sama na świecie, będzie lekceważona przez wszystkich przyjaciół. Wyimaginowany obraz jej przyszłego osamotnienia krył w sobie pewien urok, którego nie chciała się pozbawiać za cenę siedemdziesięciu funtów rocznie, ofiarowanych jej przez kapitana Fryderyka Aylmera. Pozbawienie kogoś poczucia krzywdy jest ostatecznym i wstrętnym ciosem, pod wpływem którego najbardziej odporny duch ugina się i gorzknieje, a najsilniejsze ramiona opadają.

— Tak, tak, moja droga — mówiła dalej pani Winterfield, kiedy Klara nie kwapiła się z udzieleniem jej żądanej pochwały.

— Trudno mi o tym mówić, ciotko. Cóż ja mogę powiedzieć prócz tego, że nie chcę być ciężarem dla nikogo.

— Tylko niewiele kobiet może dojść do takiej pozycji, mam na myśli kobiety samotne.

— Uważam, że byłoby dobrze udusić wszystkie samotne kobiety, kiedy dobiegają lat trzydziestu — rzekła Klara z dziką energią, która po prostu ciotkę przeraziła.

— Klaro! Jak możesz mówić coś równie niemoralnego? Tak wstrętnie niemoralnego!

— Nie mogłoby mnie spotkać nic gorszego niż podobne lekceważenie. Czy to moja wina, że nie jestem mężczyzną mogącym zarabiać na swoje utrzymanie? Ale mogę zostać pokojówką i kapitan Aylmer się o tym przekona. Wolałabym raczej zostać pokojówką żyjącą tylko z własnej pensji niż wziąć pieniądze, które, jak mówisz, gotów mi ofiarować. Byłoby to zbyt uczciwe, ciociu, gdyż pieniędzy tych nie przyjąłabym.

— To ja ci je zostawiam. Nie będzie to podarunek od Fryderyka.

— To wszystko jedno, ciociu, przecież on ci to poradził, a przed chwilą sama powiedziałaś, że pieniądze te zostaną wyjęte z jego kieszeni.

— Zrobiłabym to dawno sama, gdybyś mi powiedziała prawdę o stanie majątkowym ojca.

— Jakże mogłabym ci to powiedzieć? Raczej odgryzłabym sobie język. Ale teraz powiem ci całą prawdę. Gdybym wiedziała, że czeka mnie tu rozmowa o pieniądzach i że będziesz mówiła z kapitanem Aylmerem o naszym ubóstwie, to bym nie przyjechała do Perivale. Wolałabym raczej narazić się na twój gniew i żebyś myślała, że o tobie zapomniałam.

— Nie mów tak, Klaro; pamiętaj, że prawdopodobnie są to twoje ostatnie odwiedziny.

— Nie, nie, wcale nie ostatnie. Ale nie mówmy już o tym. Byłoby jednak lepiej, gdybym tu przyjeżdżała wtedy, kiedy jego tu nie ma.

— Miałam nadzieję, że umierając zostawię was oboje razem jako męża i żonę.

— Takie nadzieje nigdy nie bywają spełnione.

— Wydaje mi się jednak, że on sobie tego życzy.

— Mylisz się, ciociu, gdyż naprawdę żadne z nas sobie tego nie życzy.

Kłamstwo w ustach kobiety znajdującej się w podobnych okolicznościach nie powinno być uznawane za kłamstwo; zostało powiedziane w niebłałym celu i jest jedyną zasłoną, za którą w razie potrzeby kobieta kryje własną słabość.

— Z tego właśnie, co mi mówił wczoraj — ciągnęła dalej pani Winterfield — wnioskuję, że to twoja wina.

— Proszę, proszę cię, ciociu, nie mów tak. Nie jest niczyją winą, jeśli dwoje ludzi nie chce się pobrać.

— Rzecz prosta, nie zadawałam mu konkretnych pytań. Byłoby to z mojej strony niedelikatnością; z tego, co mówił, można jednak wywnioskować, że ceni cię wysoko.

— Nie wątpię, że tak jest naprawdę. Ale ja również wysoko cenię pana Possitta.

— Pan Possitt jest wzorowym młodzieńcem — rzekła poważnie pani Winterfield. Pan Possitt był jej ulubionym wikarym w Perivale i zwykle w niedziele bywał u niej na obiedzie w przerwie między dwoma nabożeństwami; wtedy pani Winterfield usilnie starała się, by dla pokrzepienia wypić dwa kieliszki jej doskonałego porto. — Ale pastor Possitt nie ma nic więcej poza wikariatem.

— Bądź spokojna, ciociu, tu nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo.

— Nie rozumiem, co nazywasz niebezpieczeństwem. Fryderyk twierdzi, że zawsze jesteś dla niego ostra. Chyba nie chcesz się z nim pokłócić dlatego, że ze wszystkich ludzi na świecie jego kocham najwięcej.

— Ach, ciociu, jak mogłaś powiedzieć mi coś tak okrutnego, nie myśląc o tym, że mnie to rani.

— Nie zamierzałam być okrutna, ale nie będę już o nim mówiła. Jak ci wspomniałam poprzednio, nie chciałam uszczuplać niewielkiego majątku, jaki zostawiam Fryderykowi, wtedy jednak myślałam, że suma, którą twój ojciec przeznaczył dla ciebie, nie została naruszona; dobrze się stało, że w końcu dowiedziałam się całej prawdy, bo będę mogła natychmiast posłać po mojego radcę prawnego, żeby zrobić poprawkę w testamencie.

— Droga ciociu, dziękuję ci.

— Nie wymagam od ciebie podziękowań, Klaro, po prostu staram się zrobić to, co uważam za swój obowiązek. Nie czułam się nigdy niczym więcej niż włodarzem swoich pieniędzy; wiem dobrze, że włodarząc nimi często robiłam błędy, ale któż nie robi błędów przy spełnianiu obowiązku?

Pani Winterfield usiadła głębiej w fotelu, przymknęła oczy, ściskając w rękę

książkę do nabożeństwa, którą zamierzała czytać przed zaczęciem rozmowy. Klara zorientowała się, że rozmowa została zakończona i że w tej chwili nie powinna przeszkadzać ciotce. Widząc postawę pani Winterfield i jej przymknięte oczy można było sądzić, że zasnęła; ale lekki ruch warg wskazywał na to, że ciotka szuka ukojenia w modlitwie.

Klara była niezadowolona z samej siebie i całego świata. Wiedziała, że siedząca obok niej starsza pani była bardzo dobra i że wszystko, co powiedziała, wynikało jedynie z jej dobroci oraz pragnienia, by sumiennie spełnić swój obowiązek. Była też niezadowolona, że podziękowała jej niezbyt serdecznie, nie okazała jej więcej uczucia i wdzięczności. Pani Winterfield była równie uczuciowa jak dobra i chłod siostrzenicy, o czym Klara wiedziała, dotknął ją boleśnie. A jednak cóż Klara mogła powiedzieć albo zrobić? Przecież po prostu nie mogła wybuchnąć głośnymi pochwałami na cześć kapitana Aylmera, a tego rodzaju objawów wdzięczności oczekiwała pani Winterfield. Klara nie czuła wdzięczności dla kapitana Aylmera i nie chciała przyjąć od niego nic, co by świadczyło o jego wspaniałomyślności. Pobiegnęła myślą do innego fragmentu rozmowy z ciotką. Czy to możliwe, by ten człowiek był jej naprawdę oddany, a zniechęciło go jej własne zachowanie? Uprzytomniła sobie, że w rozmowach z nim lubiła się droczyć, prowadzić słowne utarczki w zupełnie obojętnych sprawach i oceniać jego postępowanie w danej sprawie w sposób na pół żartobliwy, na pół poważny. Czy to możliwe, by sama pozbawiła się tego, co było — jak to sobie otwarcie powiedziała — jedynym skarbem, jakiego pragnęła? Jak powiedziano wyżej, już dwa razy zdawały się drzeć na jego ustach słowa, które mogły być rozstrzygnąć o jej całym życiu, i w obu wypadkach ona sama spłoszyła śmiechem cenne słowo, które miała usłyszeć. Ale gdyby on myślał o niej tak poważnie, jak tego pragnęła, to żaden śmiech nie byłby go odstraszył. Czyż mogła śmiechem odstraszyć Beltona od oświadczyn?

Wreszcie wargi ciotki przestały się poruszać i Klara zorientowała się, że tym razem pani Winterfield naprawdę zasnęła. Biedna staruszka źle sypiała po nocach; ale natura domagała się swych praw i zsyłała jej taki odpoczynek, jakiego zwykle zażywała w fotelu przed kominkiem. Obie panie siedziały w dużym salonie składającym się z dwóch pokoi w amfiladzie na pierwszym piętrze; zwyczajem panującym w tym domu rozpalano w zimie ogień na dwóch kominkach; świece paliły się w pokoju od tyłu, natomiast panie siedziały w pokoju frontowym, którego okna wychodziły na ulicę. W ten sposób pani Winterfield mogła chronić oczy przed blaskiem świec, a jednak w razie potrzeby być w zasięgu światła. Klara siedziała nieruchomo w ciemności, starając się nie mącić snu ciotki; chciała być przy niej, gdyby się obudziła. Kapitan Aylmer obiecał wrócić wcześniej z obiadu u burmistrza i panie miały czekać z podaniem herbaty do jego powrotu. Klara była już bliska zaśnięcia, gdy drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł kapitan Aylmer.

— Cicho — szepnęła wstając ostrożnie z krzesła i podnosząc palec do góry.

Kapitan zobaczył ją w słabym świetle ognia i bezszelestnie zamknął drzwi. Klara przesunęła się do sąsiedniego pokoju, a kapitan stąpając na palcach podążył za nią.

— Tej nocy prawie nie spała — rzekła Klara — a dzisiejsze niezwykle wrażenia bardzo ją zmęczyły, więc lepiej jej nie budzić.

Pokoje były duże i oboje mogli usiąść w takiej odległości od śpiącej, by ich ciche słowa jej nie obudziły.

— Czy po powrocie do domu była bardzo zmęczona? — zapytał.

— Nie bardzo, ale od tego czasu dużo mówiła.

— Czy mówiła co o testamencie?

— Owszem, mówiła.

— Przypuszczałem, że tak będzie.

Umilkł, jak gdyby oczekiwał, że teraz ona zacznie mówić na ten temat. Ale Klara, nie chcąc rozmawiać z nim o testamencie ciotki, przerwała milczenie, zadając błahe pytanie:

— Czy nie powrócił pan do domu wcześniej, niż pan zamierzał?

— Było bardzo nudno, nie mieliśmy już nic więcej do powiedzenia. Wszedłem wcześniej i może było to niegrzecznie z mojej strony. Chyba pani oceni, jaki się w tym kryje komplement.

— Ciocia go oceni, kiedy się obudzi. Będzie uradowana, że pan już wrócił.

— Ja nie śpię — rzekła pani Winterfield. — Słyszałam, kiedy Fryderyk wszedł do pokoju. To bardzo ładnie z jego strony, że wrócił tak wcześniej. Klaro, moja droga, każ podać herbatę.

Podczas picia herbaty panie prosiły kapitana Aylmera, by im opowiedział o dzisiejszej uroczystości u burmistrza, jak to proboszcz odmówił modlitwę przed obiadem, a pastor Possitt po obiedzie i jak zupa była niejadalna.

— Czy podobna — zawołała pani Winterfield — a przecież żona burmistrza była dawniej gospodynią w domu, gdzie życie było dostatnie.

W sferze, do której należała pani Winterfield, kobiety pozwalały sobie na przyjemność robienia tego rodzaju złośliwych uwag, czego bez wątpienia nieraz żałowały, rozmawiając z przyjaciółkami o swych własnych strasznych wadach. Kapitan Aylmer wspomniał dalej, że u burmistrza wzniesiono toast na jego cześć, i ciotka zapytała, czy odpowiadając nań miał sposobność wypowiedzieć się przeciw fatalnemu prawu o rozwodach, uchwalonemu przez parlament. Na to pytanie kapitan Aylmer musiał odpowiedzieć przecząco i rozmowa toczyła się dalej, dopóki nie wypili herbaty. Pani Winterfield z wielkim zainteresowaniem wypytywała siostrzeńca o jego działalność w parlamencie i w Perivale, wpatrując się w niego z tą zadziwiającą miłością, jaką starzy ludzie o gorącym sercu obdarzają swoich ulubieńców. Klara zauważyła to wszystko i pomyślała, że ciotka jest w nim po prostu zaślepiona.

— Chyba pójdę już spać, moi drodzy — powiedziała ciotka po wypiciu herbaty.



— Zmęczyły mnie te niewygodne schody w ratuszu i wolę znaleźć się już w sypialni.

Klara zaproponowała, że ją odprowadzi, ale ciotka jak zwykle tej propozycji nie przyjęła. Zadzwoniono na służbę, stara pokojówka odeszła ze swą panią, a panna Amedroz i kapitan Aylmer zostali sami.

— Nie sądzę, by jeszcze długo mogła żyć — powiedział kapitan Aylmer, kiedy drzwi za nimi się zamknęły.

— Tak, muszę z przykrością stwierdzić, że istotnie bardzo się zmieniła.

— Trzyma się dzielnie i zdaje sobie sprawę, że nie powinna się poddawać, lecz do końca pełnić swój obowiązek. Mimo wszystko jednak widzę, jak bardzo zmieniła się od lata. Czy pani pomyślała, jak smutno będzie jej umierać samotnie?

— Ma przy sobie Martę, która jest jej bliższa niż ktokolwiek z wyjątkiem, może, pana.

— Czy nie mogłaby pani pozostać u niej podczas świąt Bożego Narodzenia?

— Ja? A mój ojciec? Jakże by sobie sam dał radę? Przecież jest równie stary, a przynajmniej prawie tak stary jak ciotka.

— Ale on jest zdrow.

— Papa jest bardzo samotny. Byłby bardziej samotny od niej, bo nie ma przy sobie takiej służącej jak Marta. Zdaje mi się, że kobiety są zaradniejsze niż mężczyźni, kiedy dochodzą do wieku ciotki.

Po czym zaczęli mówić o kobiecie, z którą byli tak ściśle związani. Mimo jednak wysiłków Klary, by uniknąć rozmowy na ten temat, kapitan Aylmer nie przestawał mówić o sprawie pieniędzy i o zmianach, jakie należy zrobić w testamencie na rzecz Klary. W końcu Klara musiała mu przerwać.

— Kapitanie Aylmer — rzekła — ten temat jest dla mnie taki przykry, że jestem zmuszona prosić, by pan przestał o nim mówić.

— W mojej obecnej sytuacji muszę o nim mówić.

— Oczywiście nie mogę wpłynąć na bieg pańskich myśli, ale zapewniam pana, że niepotrzebnie się pan tym zajmuje.

— Przykro mi, że między nami może powstać taka przepaść.

Powiedział to po chwili milczenia, a mówiąc to odwrócił od niej wzrok i wpatrzył się w płomień kominka.

— Nie uważam, by między nami istniała jakaś przepaść — odrzekła.

— Owszem, przepaść taka istnieje, i to z pani winy. Ilekroć próbuję pomówić z panią jak przyjaciel, pani odwraca się ode mnie i zamyka w sobie. Wiem, że nie zazdrość jest tego przyczyną.

— Zazdrość? Ależ, panie kapitanie!

— Mam na myśli zazdrość o ciotkę.

— Ależ nie, doprawdy.

— Pani jest na to zbyt dumna, jednak pewny jestem, że ktoś obcy widząc pani

zachowanie pomyślałby, że pani jest zazdrosna.

— Sama już nie wiem, co powinnam robić, a czego nie powinnam. Wszystko, cokolwiek zrobiłam w Perivale, było zawsze niewłaściwe.

— Pani i ja powinniśmy być przyjaciółmi. Cóż bardziej naturalnego?

— Nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy być nieprzyjaciółmi, panie kapitanie.

— Zawsze jednak, kiedy odważam się mówić z panią o jej przyszłości, pani mnie odpycha, jak gdyby pragnąc dać mi do zrozumienia, że nie moją rzeczą jest o to się troszczyć.

— Właśnie to pragnę dać panu do zrozumienia. Pan jest lub kiedyś będzie bogatym człowiekiem i posiada pan wszystko, cokolwiek życie może dać. A ja jestem albo kiedyś będę bardzo biedna.

— Czyż to powód, dla którego miałbym nie interesować się pani przyszłością?

— Tak, najważniejszy powód. Nie jesteśmy z sobą spokrewnieni, chociaż łączy nas obopólna przyjaźń z drogą panią Winterfield. I według mnie, nic nie może być bardziej przykre niż zależność kobiety w moim wieku od mężczyzny w wieku pana, zwłaszcza że nie łączą nas węzły krwi. Powiedziałam to wyraźnie, gdyż pan mnie do tego zmusił.

— Tak, bardzo wyraźnie — odpowiedział.

— Jeśli powiedziałam coś, co pana uraziło, to proszę mi wybaczyć, ale byłam do tego zmuszona.

Klara wstała i wzięła ze stołu lichtarz ze świecą.

— Nie obrażała mnie pani — rzekł kapitan również wstając.

— Dobranoc, panie kapitanie.

Ujął ją za rękę mówiąc:

— Proszę powiedzieć, że jesteśmy przyjaciółmi.

— Dlaczego nie mielibyśmy być przyjaciółmi?

— Jeżeli chodzi o mnie, nie widzę powodu, dlaczego nie mielibyśmy się stać serdecznymi przyjaciółmi — odrzekł.

— Gdyby mnie pani tak nieustannie nie zniechęcała, powiedziałbym: najserdeczniejszymi przyjaciółmi.

Mówiąc to trzymał ją nadal za rękę i nie spuszczał oczu z jej twarzy. Przez chwilę stała wytrzymując jego spojrzenie, jak gdyby spodziewała się, że powie coś więcej. Wreszcie cofnęła dłoń z uścisku i spokojnie życząc mu dobrej nocy opuściła pokój.

## ROZDZIAŁ IX

### Kapitan Aylmer składa ciotce przyrzeczenie

Co kapitan Aylmer miał na myśli mówiąc: „moglibyśmy się stać najserdeczniejszymi przyjaciółmi”; mówiąc aż tyle i nie dodając nic więcej? Pytanie to postawiła sobie Klara, gdy po pożegnaniu z kapitanem znalazła się sama w sypialni. Dała sobie na nie dwie odpowiedzi — odpowiedzi, które różniły się między sobą i jedna przeczyła drugiej. Po pierwsze doszła do wniosku, że kapitan powiedział tyle i nic więcej, bo był człowiekiem podstępny — zaspokajało to jego próżność, że mógł budzić nadzieje, których nie miał zamiaru spełnić lub prawić piękne słówka, które w gruncie rzeczy nie miały żadnego znaczenia. Taka była jej pierwsza odpowiedź. Natomiast w drugiej odpowiedzi robiła sobie tyleż zarzutów co w poprzedniej kapitanowi. Była wobec niego chłodna, obojętna i szorstka. Jak już ciotka zauważyła, zwracała się do niego ostro i zachowywała się odpychająco wobec jego uprzejmości. Jakim prawem mogła spodziewać się wyznania, że ją kocha, skoro sama na każdym kroku zniechęcała go, gdy tylko próbował się do niej zbliżyć? Najmniejszy gest z jej strony — dobrze to wiedziała — doprowadziłby całą sprawę do pomyślnego rozwiązania. Sama myśl jednak o tym wydawała jej się przykra, a nawet odpychająca. Gest taki, jeżeli był w ogóle potrzebny, powinien pochodzić od niego. Ale było oczywiste, że jeżeli miał w tej sprawie poważne zamiary, to nie umiał ich zrećcznie wyrazić. Kuzyn Will Belton potrafiłby to znacznie lepiej.

Nazajutrz rano wszystkie jej myśli dotyczące kapitana Aylmera rozwiały się pod wrażeniem wiadomości przyniesionych przez Martę. Ciotka zachorowała. Marta obawiała się, że pani jest bardzo chora. Nie śmiała na własną odpowiedzialność posyłać po lekarza, ponieważ pani Winterfield miała szczególne uprzedzenie do lekarskich wizyt i tegoż ranka zaznaczyła, że nie życzy sobie takiej wizyty. Nazajutrz miał przyjechać doktor, który zwyczajem ustalonym od lat przez panią Winterfield odwiedzał ją regularnie co pewien czas; chora bowiem nie życzyła sobie, by cokolwiek zostało zmienione w normalnym trybie dnia. Marta jednak oświadczyła, że gdyby była w domu sama z panią, posłałaby po doktora, i prosi Klare o decyzję. W kilka minut później Klara znalazła się przy łożu ciotki, a wkrótce potem doktor mieszkający po drugiej stronie ulicy stawił się również.

Wybiła już dziesiąta, gdy kapitan Aylmer i panna Amedroz wyszli z pokoju chorej i znaleźli się sami przy śniadaniu. Doktor oświadczył kapitanowi, że pani Winterfield jest chora, bardzo chora, a nawet bardzo ciężko chora. Staruszka nie powinna była udawać się do zimnego, nie przewietrzonego ratusza, zwłaszcza że był to listopad i wyprawa ta zbytnio ją zmęczyła.

Pani Winterfield przyznała się również Klarze, że zdaje sobie sprawę, jak bardzo

jest chora.

— Już wczoraj poczułam się niedobrze — rzekła — gdy rozmawiałam z tobą; pogorszyło mi się jeszcze, kiedyśmy się rozstały po herbacie. Żyłam już dosyć długo. Niech się stanie wola boska. — Mówiąc o swoim długim życiu zapomniała o zamierzeniach w sprawie testamentu, przypomniała sobie jednak o tym, zanim Klara wyszła z pokoju.

— Powiedz Fryderykowi — rzekła — by natychmiast posłał po pana Palmera.

Klara wiedząc, że pan Palmer był radcą prawnym ciotki, postanowiła nie powtarzać kapitanowi podobnego zlecenia, jednak pani Winterfield kazała wezwać siostrzeńca, który odszedł od niej przed chwilą, i osobiście wydała mu to polecenie. W ciągu ranka z kancelarii adwokata nadeszła wiadomość, że pan Palmer wyjechał z Perivale, ale wróci nazajutrz i natychmiast stawi się u pani Winterfield.

Podczas śniadania kapitan Aylmer i panna Amedroz rozmawiali wyłącznie o stanie zdrowia ciotki. Wobec zamieszania, jakie powstało w domu, musieli zaniechać wszelkich dalszych aluzji na temat serdecznej przyjaźni. Oboje zdawali sobie jasno sprawę, że doktor nie spodziewa się, by pani Winterfield mogła jeszcze wyzdrowieć; Klara zaś wyczuła, że i ciotka jest tego świadoma.

— W tej sytuacji trudno byłoby mi teraz wrócić do domu — rzekła Klara.

— Byłoby ładnie z pani strony, gdyby pani mogła pozostać.

— A pan?

— Pozostanę do niedzieli włącznie. Jeżeli do tego czasu będzie się czuła lepiej, pojedę do miasta i powrócę przed końcem tygodnia. Wiem, że pani nie wierzy, ale mężczyzna ma naprawdę pewne sprawy do załatwienia.

— Ależ wierzę, panie kapitanie.

— Ale jeżeli wyjadę, prosiłbym, by pani codziennie do mnie pisała.

Klara wyraziła na to zgodę, dodała przy tym, że ma jeszcze inne listy do pisania, musi bowiem zawiadomić kuzyna, że nie wie, czy będzie mogła spędzić święta Bożego Narodzenia w domu, a jednocześnie prosić go, by przyjechał do Belton do ojca, gdzie będzie tym bardziej mile widziany.

— Czy pani teraz pójdzie do niej? — zapytał widząc, że Klara wstała zaraz po śniadaniu. — Przez całe rano będę w domu i gdybym był potrzebny, proszę mnie zawiadomić.

— Może ciotka będzie chciała pana zobaczyć.

— Od czasu do czasu będę zachodził na górę, ale nie chcę zostawać przy niej dłużej, żeby jej nie przeszkadzać.

Kapitan wziął do ręki gazetę i usadowił się wygodnie przy kominku, a Klara poszła do pokoju ciotki, by tam objąć swe przykre obowiązki.

Nazajutrz ani dnia następnego adwokat nie zjawił się, a rankiem trzeciego dnia wszelkie ziemskie troski pani Winterfield zakończyły się. Umarła wczesnym rankiem w niedzielę, zaś późnym wieczorem w sobotę adwokat Palmer przysłał

zawiadomienie, że został zatrzymany w Taunton i że stawi się u pani Winterfield w poniedziałek z samego rana. W piątek biedna chora z niepokojem mówiła o testamencie, ale siostrzeniec pocieszył ją zapewnieniem, że sprawa zostanie załatwiona zgodnie z jej wolą bez względu na to, czy kodycył będzie dołączony do testamentu, czy też nie. Do Klary na ten temat nie mówiła już więcej; kapitan Aylmer czuł również, że w takiej chwili nie może jej dać w tej sprawie żadnego zapewnienia. Klara jednak zdawała sobie sprawę, że testament nie został zmieniony, i aczkolwiek w tej chwili nie myślała o sprawach pieniężnych, to jednak wiedziała jasno, jak ma dalej postępować. Nic nie zdołałoby ją skłonić do przyjęcia od kapitana Aylmera podarunku w postaci tysiąca pięciuset funtów ani nawet tysiąca pięciuset pensów. Podczas choroby ciotki przestawali dużo razem i nikt nie potrafiłby być dla niej bardziej uprzejmy i delikatny niż kapitan Aylmer. Zaczął mówić jej po imieniu, jak to robią zwykle ludzie, których łączy ten sam obowiązek, i w ogóle był dla niej czuły i serdeczny. Zdawało jej się, że pragnie otoczyć ją opieką i miłością przybranego brata. Ale Klara bynajmniej nie chciała widzieć w nim przybranego brata. Każdy z dwóch mężczyzn, których lubiła najbardziej w świecie, rościł sobie prawo do zajęcia w jej życiu niewłaściwego miejsca: czuła, że w żadnym z nich nie znajdzie prawdziwego przyjaciela.

W sobotę po południu oboje zdawali sobie sprawę, że życie pani Winterfield zbliża się ku końcowi, i kapitan Aylmer zawiadomił adwokata Palmera, iż przybycie jego w poniedziałek może okazać się daremne. Wy tłumaczył mu również, co należało dalej uczynić, i wyjaśnił, że w każdej chwili jest gotów naprawić błąd popełniony w testamencie. Adwokat Palmer był również zdania, że takie załatwienie sprawy będzie nawet korzystniejsze niż dopisanie kodycyłu w ostatnich chwilach życia pani Winterfield; wobec tego obaj panowie uważali ten temat za wyczerpany.

Niemal większą część sobotniej nocy kapitan Aylmer i Klara spędzili przy łożu chorej; w pewnej chwili, gdy zaczęło już świtać i zbliżała się ostatnia godzina, pani Winterfield powiedziała kilka słów zrozumiałych dla obojga, w których błagała ukochanego siostrzeńca, by otoczył Klarę Amedroz braterską opieką. Nawet w tej chwili Klara odrzucała wszelką myśl o zapisie, czując w głębi duszy, że Fryderyk jest świadomy, jakiego rodzaju opiekę jest jej winien, jeżeli w ogóle poczuwa się do opieki nad nią. Kapitan przyrzekł ciotce, że spełni wszystkie jej życzenia, wobec czego Klara nie śmiała wyrzec się głośno zapisu. Nie powiedziała jednak ani słowa, pozwoliła tylko, by jej ręka razem z jego ręką spoczęła tuż przy suchej, szczupłej dłoni umierającej. Przez chwilę, kiedy została sama, Klara okazywała ciotce jak największą czułość, całowała ją, ze łzami w oczach dziękowała i prosiła o przebaczenie za wszystko, czym mogła ją obrazić.

— Moja śliczna, moje kochanie — szeptała staruszka podnosząc dłoń nad głowę klęczącej dziewczyny, która kryła w poduszce zalane łzami oczy. Nigdy w życiu

ciotka nie okazała Klarze tyle serdeczności co teraz w przededniu śmierci. Po czym wyraziwszy w żarliwych, namiętnych słowach swoje przekonanie co do tego, jakie powinny być obowiązki religijne kobiety, pani Winterfield pożegnała się z siostrzenicą. Odbyła jeszcze długą rozmowę z siostrzeńcem i wraz z tą rozmową uwolniła się od wszelkich doczesnych trosk.

Niedziela minęła w posepnym, pogrzebowym nastroju jaki zwykle towarzyszy podobnym okolicznościom. Nie można powiedzieć, by Klara lub kapitan Aylmer byli wstrząśnięci bólem, jaki odczuwamy zwykle po śmierci najdroższych osób, tak bardzo przez nas kochanych, że nie możemy pogodzić się z myślą o rozstaniu z nimi. Oboje czuli żal w zwykłym znaczeniu tego słowa, ale ból ich był umiarkowany i nie łamał ich serc, jak to bywa, kiedy pozostali przy życiu czują, że na ich cierpienia nie ma lekarstwa. Mimo to sytuacja wymagała smutnych twarzy, powściągliwości w słowach, które należało mówić szeptem, powstrzymania się od wszelkiej wesołości, a nawet od zajęć, i zupełnego oddania się żalowi. Oboje przebywali w wielkim domu sami, pozbawieni innego towarzystwa, spożywając wspólnie obiady i inne posiłki, ale w tym dniu zamienili ze sobą zaledwie kilka słów, a i te słowa zawierały niewiele treści. W poniedziałek kapitan Aylmer wydał zarządzenia w sprawie pogrzebu i wyjechał do Londynu, postanawiając powrócić w przeddzień żałobnej uroczystości. Klara była raczej zadowolona z jego wyjazdu choć obawiała się zostać sama w wielkim domu. Była rada, że wyjechał, gdyż byłoby jej trudno rozmawiać z nim swobodnie. Wiedziała, że kapitan będzie się starał odegrać wobec niej rolę protektora, niemal opiekuna, zgodnie z wyraźnym życzeniem ciotki, postanowiła jednak stanowczo, że opieki takiej nad sobą nie przyjmie. Wobec tego im krótszy będzie czas na rozmowy na ten temat, tym lepiej.

Pogrzeb miał się odbyć w sobotę, a podczas czterech dni poprzedzających tę uroczystość pastor Possitt odwiedził ją awukrotnie. Pastor był bardzo powściągliwy w słowach i Klara była nierada, że słowa jego nie zrobiły na niej wrażenia. Powiedziała sobie, że były one zdawkowe; doszła jednak do wniosku po pierwszej jego wizycie, że nie powinna spodziewać się od niego nic prócz zdawkowych słów. Czyż często można znaleźć człowieka, który w takich okolicznościach potrafiłby powiedzieć coś więcej niż zdawkowe słowa, coś, co zdolne jest naprawdę podnieść ducha i przynieść słuchającemu prawdziwą pociechę? Ktoś bardziej pokorny mógłby znaleźć pociechę nawet w zdawkowych słowach, ale Klara nie była wcale pokorna i wyrzucała sobie własną pychę. Kiedy przyszedł po raz drugi, usiłowała przyjąć go cieplej niż za pierwszym razem i uważnie wysłuchać tego, co mówił. Ale musiała stoczyć ze sobą ostrą walkę i kiedy ją poprosił, by uklękła i pomodliła się razem z nim, przez chwilę wahała się między buntem a obłudą. Postanowiła jednak być uległą i tym razem obłuda odniosła zwycięstwo nad buntem.

Co powiedziałby duchowny w wypadku, gdyby osoba, nad którą w danej chwili roztacza opiekę duchową, od opieki tej się uchylała, zaznaczając, że chwila obecna

nie jest do modlitwy stosowna; co by powiedział, gdyby osoba wezwana do modlitwy zapragnęła wiedzieć, co ma być przedmiotem owej modlitwy, choćby nawet czuła się w nastroju odpowiednim do spełnienia tego zadania? Człowieka uchylającego się od odmówienia modlitwy pastor uważałby za bezbożnika, natomiast człowieka, który zgodziłby się wziąć udział w modlitwie pod pewnymi warunkami, uważałby za pyszałka sprzeciwiającego się łasce bożej, a stan jego ducha za gorszy niż stan ducha bezbożnika. Ludzie świadomi, że będą osądzeni w ten sposób, padają obłudnie na kolana bez żadnego przygotowania i klęcząc nie zdobywają się na żaden wysiłek; uważają oni, że sumienia ich zostały już uspokojone, o ile podczas trwania danej ceremonii czują się oszołomieni konwencjonalną czcią.

Tak właśnie czuła się Klara, gdy pastor Possitt ze zdawkową pobożnością modlił się wraz z nią nie zdając sobie sprawy, że ze wszystkich zadań, jakich człowiek może się podjąć, najtrudniejszym zadaniem jest modlitwa.

— Jest to dla mnie wielki cios — rzekł pastor Possitt po półgodzinnej bytności u Klary, która niejako zmusiła się do odmówienia modlitwy. — Tak, to dla mnie wielki cios — powtórzył.

Pastor Possitt, drobny, słabowity człowieczek o bladej twarzy, pracował tak ciężko w parafii, że każdego dnia nie wyłączając niedziel kładł się do łóżka nie mniej zmęczony niż rolnik po pracy w polu.

— Mało kto orientuje się — ciągnął dalej pastor — jaka jest dola duchownych, tylko nasza droga przyjaciółka dobrze to rozumiała.

Jeśli miał w tej chwili na myśli swoje dwie niedzielne szklaneczki wina, któż mógłby mu to mieć za złe?

— To była naprawdę zacna dusza — rzekła Klara.

— Tak, istotnie, i pełna troski o drugich. Któż by wątpił, że zasługuje na najwyższą nagrodę nieba? Odkąd ją znałem, żyła jak święta. Przypuszczam, że nie zostało jeszcze ustalone, kto zamieszka w tym domu?

— Nie, jeszcze nie.

— Chyba kapitan Aylmer nie zatrzyma domu dla siebie?

— Nie mam pojęcia; jako poseł do parlamentu musi mieszkać w Londynie, zaś jesienią jedzie zwykle do hrabstwa York, toteż wątpię, czy go zatrzyma.

— Pewnie nie. Smutno będzie, gdy dom ten zostanie pusty. O, nigdy nie zapomnę, jak bardzo była dla mnie dobra. — I pastor powierzając Klarze swoją małą tajemnicę dodał poufnym tonem: — Czy pani wie, że na Boże Narodzenie zwykła była posyłać mi dziesięć gwinei na moje własne potrzeby? Rozumiała bowiem, tak dobrze zresztą jak wszyscy, jak bardzo ciężko jest dżentelmenowi wyżyć za siedemdziesiąt funtów rocznie. Pojmuje pani teraz, jaką poniosłem stratę?

Trudno dżentelmenowi wyżyć za siedemdziesiąt funtów rocznie, ale jeszcze

trudniej wyżyć kobiecie bez żadnych dochodów w ogóle, a taki los przypadł w udziale pannie Amedroz.

W piątek wieczorem kapitan Aylmer powrócił i, prawdę mówiąc, Klara była z tego bardzo zadowolona. Minęło już trochę czasu od śmierci ciotki i Klara mogła już powiedzieć Marcie, że będzie czekała na niego z obiadem, mogła już pomyśleć o zapewnieniu mu domowych wygód. Ludzie muszą jeść i pić nawet wówczas, kiedy w domu zapanuje Król Smutek, i z prawdziwą ulgą przystępują do wykonania codziennych czynności, które zwykle są dla nich takie ważne. Kobiety, kiedy są same, nie wykazują zbyt dbałości w tym kierunku, natomiast obecność mężczyzny od razu jest doskonałym pretekstem do zajęcia się obiadem. Toteż Klara robiła przygotowania na jego powrót i powitała przybysza w zwykły miły sposób. Kapitan Aylmer również powitał ją z przyjemnością; opowiadał o swoich planach i zwracał się do niej tak, jak gdyby było naturalne, że winien ją zainteresować swoim dalszym losem.

— Jutro, kiedy powrócę — powiedział — będziemy musieli przystąpić do otwarcia i odczytania testamentu. Najlepiej zrobimy to tutaj.

Siedzieli po obiedzie w jadalni przy kominku i Klara wiedziała, że ta aluzja do jutrzejszego powrotu dotyczy jego powrotu z pogrzebu. Nic jednak na to nie odpowiedziała, gdyż nie chciała ani jednym słowem poruszać sprawy testamentu ciotki.

— Później zaś — ciągnął dalej — pozwoli pani, że wyjdziemy razem na spacer dla zaczerpnięcia świeżego powietrza.

— Czuję się zupełnie dobrze — odrzekła — i nie mam ochoty na spacer.

— Przecież pani nie wychodziła z domu przez cały tydzień.

— My, kobiety, jesteśmy do tego przyzwyczajone i nie odczuwamy tego tak jak wy, mężczyźni. Zresztą, jeżeli pan sobie życzy, możemy pójść się przejść.

— Oczywiście, pójdziemy się przejść, następnie zajmiemy się omówieniem naszych planów na przyszłość. Czy pani już wyznaczyła dzień swego wyjazdu? Rzecz prosta, że im dłużej pani tu zostanie, tym milej jest pani widziana.

— Nie jestem tu nikomu potrzebna.

— Jest pani potrzebna mnie, ale ja jestem dla pani niczym. Chciałbym postanowić, co mam uczynić z tym domem. Droga, kochana staruszka! Wiem, że życzyła sobie, bym utrzymał ten dom we własnych rękach, z myślą, że kiedyś, w przyszłości, w nim zamieszkać; ale oczywiście nie mam tego zamiaru.

— Dlaczegożby nie?

— A czy pani będąc na moim miejscu zamieszkałaby tu?

— Nie jestem posłem do parlamentu, i to z Perivale, i nie będę nigdy pierwszą osobą w mieście. Pan odgrywałby tu rolę udzielnego księcia. Przyjdzie dzień, kiedy odziedziczy pan majątek także po matce, a wtedy byłby pan bliżej swoich dzierżawców.



— Ale pani nie odpowiedziała na moje pytanie. Czy zdecydowałaby się pani tu zamieszkać, gdyby dom ten należał do pani?

— Czemu nie?

— Bo to taka śmiertelnie nudna dziura, nie ma tu żadnych rozrywek. Bo to ostatnie miejsce, w którym chciałoby się zamieszkać. Nikt nie powinien mieszkać w prowincjonalnym miasteczku, chyba tylko ci, co tu zarobkują.

— A co mają robić ich żony i córki, szczególnie wdowy? Jeżeli chodzi o mnie, czułabym się tu doskonale, gdybym miała przy sobie kogoś, kogo bym lubiła. Nie chciałabym na przykład być skazana wyłącznie na towarzystwo pastora Possitta.

— Przekonałaby się pani, że on jest jeszcze najlepszy.

— Podczas swoich dwukrotnych odwiedzin on również zapytywał mnie, co pan zamierza uczynić z domem.

— Cóż pani na to odpowiedziała?

— Co mogłam mu odpowiedzieć? Powiedziałam po prostu, że nie wiem. Przypuszczam, że chciał się dowiedzieć, czy pan tutaj zamieszka i czy pan będzie go zapraszał na niedzielne obiady.

— Pan Possitt jest bardzo przyzwoitym człowiekiem — zauważył kapitan poważnie; kapitan Aylmer, zgodnie ze swoimi zasadami, zachowywał zawsze powagę, gdy chodziło o sprawy związane z kościołem w Perivale.

— Pastor Possitt w pełni zasługuje na to, by go zapraszano na niedzielne obiady — rzekła Klara — pod tym względem nie dałam mu jednak żadnych nadziei. Czyż mogłam postąpić inaczej? Wiem przecież, że pan nie będzie tu mieszkał, choć mu tego nie powiedziałam.

— Nie, nie mam tego zamiaru, ale widzę jednak wyraźnie, że, zdaniem pani, powinienem tu zamieszkać.

— Według moich staroświeckich przekonań mężczyzna powinien mieszkać we własnej posiadłości. To wszystko. Oczywiście było to korzystne dla całego Perivale, nie wyłączając pana Possitta, że ciocia tu mieszkała, i gdyby dom został zamknięty lub wynajęty komuś obcemu, wszyscy odczuliby jej stratę tym boleśniej. Nie sędzę jednak, by pan musiał się dla nich poświęcać.

— Gdybym miał się ożenić — rzekł kapitan wolno i cicho — musiałbym stosować się do życzeń żony.

— Ale gdyby pańska żona jeszcze przed ślubem wiedziała, że pan tu zamieszkał, to chyba nie śmiałyby prosić, żeby pan opuścił swój dom.

— Uważałyby może, że tu jest bardzo nudno.

— Musiałaby się nad tym zastanowić, zanim zgodziłaby się zostać pańską żoną.

— Bez wątpienia; nie zazdrozczę jednak żadnej kobiecie, która wyszłaby za mąż za człowieka ściśle związanego z Perivale. Cóż mają do roboty ludzie mieszkający w Perivale?

— Zarabiają na życie.

— Właśnie przed chwilą sam to powiedziałem. Ale ja nie mógłbym zarobić tu na życie.

— Mam wrażenie, jak gdybym mówiła o domu mojego ojca — powiedziała Klara zmieniając nagle temat rozmowy. — Często myślę, co się stanie z Belton Castle, gdy ojca zabraknie. Kuzyn mój posiada własny dom w Plaistow i nie przypuszczam, aby miał zamieszkać w Belton Castle.

— A gdzie pani zamieszka? — zapytał.

Zanim zdążył to powiedzieć, Klara już zaczęła żałować, że nieostrożnie odważyła się poruszyć własne sprawy. Z przyjemnością słuchała, jak roztaczał przed nią swoje plany, i była zdecydowana nie mówić mu nic o własnych. Lecz teraz to, co sama powiedziała, sprawiło, że kapitan zaczął wypytywać o jej plany na przyszłość. Na razie nie odpowiedziała mu na pytanie, ale on je powtórzył:

— A gdzie pani zamieszka?

— Mam nadzieję, że przez pewien czas nie będę musiała o tym myśleć.

— To niemożliwe, aby pani nie myślała o takich sprawach.

— Zapewniam pana, że dotychczas o tym nie myślałam, sądzę jednak, że trzeba będzie spróbować... sama nie wiem, co będę usiłowała zrobić.

— Czy nie chciałaby pani przyjechać i zamieszkać w Perivale?

— Dlaczego właśnie tutaj bardziej niż gdzie indziej?

— Powiedziałem to z myślą o tym domu.

— To by mi bardzo odpowiadało — jak pan uważa? Obawiam się, że pastor Possitt nie znajdzie we mnie dobrej sąsiadki. Prawdę mówiąc, wydaje mi się, że kobieta mająca tu zamieszkać powinna być starsza ode mnie. Periwalczyki nie będą okazywali młodej kobiecie tyle szacunku, ile go okazywali starszej pani mieszkającej w tym domu.

— Powiedziałem to w przypuszczeniu, że pani nie będzie tu mieszkała sama — rzekł kapitan.

W tej chwili Klara wstała i przeprosiwszy go wyszła z pokoju.

Tego wieczoru nic więcej sobie nie powiedzieli, w każdym razie nic określonego. Usłyszawszy pytanie, czy zechce zamieszkać sama w Perivale, Klara zmieszkała się; później jednak, kiedy wspomniał, że mogłaby zamieszkać z kimś. poczuła, że na tym powinna przerwać rozmowę. Mimo to wiedziała, że taka sytuacja powstaje między nimi zawsze. Czasem kapitan mówi jej słowa świadczące o tym, że za chwilę znajdzie się u jej stóp, i nagle urywa. Ona zaś słysząc te słowa — aczkolwiek pragnęłaby go mieć u swych stóp — cofa się i przeszkadza mu w dalszym wypowiedaniu ich. Klara nadal robiła uparcie porównania i stwierdziła, że kuzyn Will mówiłby dalej, nie zważając na żadne przeszkody z jej strony.

Tego wieczoru jednak Klara pozostawszy sama pocieszała się myślą, że postąpiła słusznie. We frontowej sypialni z opuszczonymi żaluzjami, której drzwi znajdowały się naprzeciw drzwi jej pokoju, w uroczystej powadze śmierci,

spoczywało jeszcze ciało zmarłej ciotki! Co by staruszka pomyślała, gdyby wiedziała, że siostrzenica jej słucha miłosnych zwierzeń mężczyzny i zgadza się zostać jego żoną, w chwili gdy jej ciało znajduje się jeszcze w tym domu? Klara nie domyślała się, że tydzień temu w tym samym pokoju kapitan zobowiązywał się wobec tej, której ciało czekało jeszcze na ostatnie wyprowadzenie, iż zdobędzie się na decyzję, jakiej Klara oczekiwała na poły z nadzieją, na poły z obawą.

Nie mógł mieć na myśli nic innego, kiedy wyraził przypuszczenie, że nie zamieszka sama w tym ogromnym domu. Nie mogła się powstrzymać od myślenia o tym, aczkolwiek chwila była niestosowna. Czyż mogła nie rozmyślać nad tą sprawą mimo stanowczego postanowienia, że się od tego powstrzyma? Przyznała się sama przed sobą, że go kocha i że najgorętszym jej życzeniem było, żeby on również ją pokochał. Nasunęło się jej jednak nagle podejrzenie — coś jak gdyby błysk we śnie — że człowiek, którego kocha, kieruje się tu raczej poczuciem obowiązku niż szczerą miłością. Możliwe, że on się czuje niejako zniewolony do zaproponowania jej małżeństwa, do czego zmusza go szczególna sytuacja, w jakiej znalazł się w stosunku do niej. Jeżeli tak, jeżeli właśnie takie były jego pobudki i ona się o tym przekona, to nie ulega wątpliwości, jak będzie brzmiała jej odpowiedź.

## ROZDZIAŁ X

### Wyjaśnia, jak kapitan Aylmer dotrzymał przyrzeczenia

Dzień następny był, rzecz prosta, niezmiernie smutny. Klara oświadczyła, że zamierza odprowadzić ciotkę na cmentarz, dokąd udała się wraz z wierną służącą Martą. W kondukcje żałobnym znalazło się kilka powozów, którymi przybyły zaprzyjaźnione rodziny z Taunton. Niektóre z tych osób miały być obecne przy odczytywaniu testamentu. Trudno opisać całą melancholię tej żałobnej uroczystości, która odbyła się z należytą powagą; obfite śniadanie przygotowane dla przybyłych panów minęło w podniosłym nastroju, a pan Palmer odczytał testament w zupełnej ciszy. Testament zawierał kilka znaczniejszych zapisów dla służby — suma, jaką zmarła zostawiła starej Marcie, była tak duża, że spowodowała omdlenie tej ostatniej. Po przyjściu do siebie stara pokojowa zawołała, że jeżeli istnieją na ziemi anioły, to jednym z nich była niewątpliwie jej pani, a przecież stara służąca miała z nią niejedno nieporozumienie. Odczytano również zapis w wysokości dwustu funtów przeznaczony dla jednego z przyjaciół, którego wraz z kapitanem Aylmerem zmarła wyznaczyła na wykonawcę testamentu. Testament nie zawierał innych klauzul prócz najważniejszej, mocą której zmarła testatorka zapisywała ukochanemu siostrzeńcowi Fryderykowi

Folliott Aylmerowi wszystko, cokolwiek posiadała. Testament został sporządzony w chwili, kiedy Klara swoim niewczesnym wybuchem niezależności rozgniewała ciotkę, wobec czego jej imię nie było wymienione. Fakt, że Klara nie otrzymała żadnego zapisu, zadziwił krewnych przybyłych z Taunton. By im oddać sprawiedliwość, należy przyznać, że dla siebie nie spodziewali się niczego. Nie wiedzieli, w jaki sposób majątek zostanie rozdzielony między siostrzeńcem i przybraną siostrzenicą, zaś fakt, że nazwisko panny Amedroz nie zostało w testamencie wymienione, wywołał wśród nich żywe poruszenie, zresztą niezupełnie przykre. Kiedy ludzie ubolewają nad jakąś okrutną niesprawiedliwością, która nie dotyczy ich osobiście, ubolewanie to jest na ogół zmieszane z nie ujawnionym i podświadomym uczuciem satysfakcji.

Podczas odczytywania testamentu kapitan Aylmer stał przy kominku, a gdy dokument został z powrotem włożony do koperty, zabrał głos.

— Ciotka moja — powiedział — pragnęła dodać do testamentu pewien kodycyl, którego treść znana jest dobrze panu Palmerowi. Wyraziła życzenie, by panna Amedroz, jej siostrzenica, otrzymała tysiąc pięćset funtów. Śmierć jednak zaskoczyła ją, zanim zdążyła wykonać to postanowienie. O postanowieniu tym — ciągnął dalej — wiedział zarówno adwokat Palmer, jak i ja. Sprawę tę poruszam teraz, gdyż jestem zdania, że legat dla panny Amedroz posiada taką moc prawną, jak gdyby został umieszczony w ostatniej woli zmarłej. W kwestii tej nie mogą powstać wątpliwości natury prawnej; jest oczywiste, że prawa panny Amedroz do spadku są nie mniej legalne niż moje. Nie może tu być mowy o akcie hojności z mojej strony.

Przemówienie to wywołało wśród obecnych szmer uznania i na tym zebraniu się zakończyło.

Niejaka pani Folliott, starsza osoba spokrewniona z obojgiem zainteresowanych, przybyła umyślnie z Taunton, aby się dowiedzieć, jak sprawy stoją. Jako osoba lubiąca karty i wesołe zebrania towarzyskie, bywała zawsze odmiennego zdania niż pani Winterfield i tryb jej życia różnił się nieskończenie od życia, jakie pędziła pani na Perivale. Pani Folliott była pierwszą osobą, która powiadomiła Klarę o treści testamentu. Rzecz prosta, Klara przyjęła tę wiadomość zupełnie obojętnie. Od wielu miesięcy wiedziała, że ciotka nie zamierza jej nic zapisać, a jedynym jej pragnieniem było uniknąć wszelkich wyrazów współczucia i uwag na ten temat. Pani Folliott, potrząsając kilkakrotnie głową, powiedziała jej, jak to ciotka pominęła ją w testamencie i jak wspaniałomyślny okazał się kapitan Aylmer.

— Pomyśleliśmy sobie wszyscy — rzekła pani Folliott — że ciotka mogła zrobić coś więcej dla pani, a przynajmniej nie powinna była pozostawić pani w zależności od kapitana Aylmera. — Kapitan Aylmer był jak jego ciotka ściśle związany z Niskim Kościołem, wobec czego pani Folliott nie darzyła go życzliwością.

— Obie z ciotką rozumiałyśmy się doskonale — powiedziała Klara.

— Być może. Jeżeli tak było istotnie, była pani jedyną osobą, która mogła ją zrozumieć. Nie wątpię, że postąpiła słusznie, jeżeli będziemy ją uważali za świętą, ale my, ludzie grzeszni, jesteśmy zdania, że postąpiła nieładnie sporządzając taki testament i uzależniając panią po swojej śmierci od czyjejś wspaniałomyślności.

— Ależ, proszę pani, tu nie ma mowy o czyjejkolwiek wspaniałomyślności.

— On może nie dać pani ani grosza, jeżeli nie zechce.

— Toteż nie będę go nigdy o nic prosiła.

— Nie sądzę, by chciał cofnąć przyrzeczenie, jakie wypowiedział publicznie.

— Droga pani Folliott — powiedziała Klara poważnie — proszę, nie mówmy już o tym. To zupełnie zbyteczne. Nigdy nie spodziewałam się spadku po ciotce i zawsze wiedziałam, że będzie po niej dziedziczył kapitan Aylmer, jako jej naturalny spadkobierca. Pani Winterfield w rzeczywistości nie była moją ciotką i prawnie nic mi się po niej nie należy.

— Wszyscy jednak oczekiwali, że ona panią zabezpieczy.

— Ja tego nie oczekiwałam, więc nie ma to żadnego znaczenia.

Pani Folliott wycofała się z dyskusji w przekonaniu, że spełniła wobec Klary swój obowiązek, i odtąd zadowolala się krytykowaniem testamentu pani Winterfield w towarzyskich kołach Taunton.

Tego samego dnia wieczorem, kiedy goście już się rozeszli i w domu zapanował spokój, kapitan Aylmer uznał, że nadeszła stosowna chwila, by wytłumaczyć Klarze testament ciotki oraz sposób, w jaki będzie mogła odziedziczyć sumę, którą zmarła zamierzała jej zapisać. Kiedy Klara okazała niecierpliwość i usiłowała przerwać rozmowę na ten temat, zaczął ją przekonywać, że chodzi tu o sprawę natury czysto materialnej i że powinna go wysłuchać.

— W tym wypadku nie robi to różnicy — ciągnął dalej kapitan — i w każdym razie powinna pani być rada, że ciotka do ostatniej chwili życia myślała o pani. Ale teraz obowiązkiem pani jest zapoznać się ze stanem własnych interesów, zaś moim obowiązkiem jako wykonawcy testamentu jest to pani wyjaśnić; może jednak byłoby lepiej, gdyby pani pomówiła o tych sprawach z adwokatem Palmerem.

— O, nie! Proszę mi tego oszczędzić!

— Niechże pani zrozumie, że po tej rozmowie wypłacę jej sumę tysiąca pięciuset funtów, jak tylko testament się uprawomocni.

— Nic podobnego! Zdaję sobie sprawę, że gdybym tę sumę przyjęła, byłby to tylko podarunek od pana, na co nie mogę się zgodzić.

— Ależ, Klaro!

— To nie ma sensu! Chociaż nie znam się na prawie wiem jednak, że nie należy mi się nic, o czym nie wspomina testament; a ja nie przyjmę niczego, co mi się prawnie nie należy. Moje postanowienie już zapadło i nie życzę sobie, by ta sprawa była jeszcze kiedykolwiek poruszana. Nie znam nic bardziej przykrego niż rozmowa o sprawach pieniężnych.

Prawdopodobnie w tej chwili kapitanowi Aylmerowi przyszło do głowy, że w przykrzejszej sytuacji znajdują się ci, co nie posiadając pieniędzy, w ogóle nie mogą na ten temat dyskutować.

— No cóż — rzekł kapitan — pozostaje mi tylko poradzić żeby pani pomówiła o tej sprawie z kimś, komu pani może zaufać. Niech się pani zapyta ojca albo pana Beltona, a każdy z nich przyzna na pewno, iż pani jest uprawniona do podjęcia legatu tak, jak gdyby ów legat został rzeczywiście wspomniany w testamencie.

— W sprawie tej nie zamierzam radzić się nikogo; pan nie może wypłacić mi pieniędzy, dopóki nie wyrażę na to zgody, a ja z pewnością tego nie uczynię. — Usłyszawszy to uśmiechnął się, a Klara pomyślała, że kapitan przyzwyczajony jest przybierać czasem ton wyższości; po czym rozmowa na ten temat wygasła.

Klara zdawała sobie jednak sprawę, że będzie musiała poruszyć tę kwestię z ojcem, i na samą myśl o tej rozmowie poczuła się nieswojo. Napisała już do ojca, że zamierza powrócić do domu w dwa dni po pogrzebie, o czym zawiadomiła kapitana Aylmera. Człowiek tak dbały o pozory jak kapitan Aylmer uważał za niewłaściwe, by młoda dziewczyna gościła dłużej w jego domu, i dlatego nie sprzeciwiał się jej wyjazdowi. Klara żałowała, że nie oznaczyła daty wyjazdu na następny dzień po pogrzebie i że nie zdecydowała się odbyć podróży w niedzielę. Bała się dnia wyjazdu i byłaby rada, gdyby kapitan Aylmer pozostawił ją samą i wyjechał do Londynu. On jednak oświadczył, że zamierza zostać w Perivale przez cały tydzień wobec czego będzie musiała przetrwać ten dzień cierpliwie. Miała ochotę zaprosić pastora Possitta na tradycyjny niedzielny obiad, nie śmiała jednak zaproponować tego panu domu. Chociaż kapitan Aylmer uważał pastora za człowieka pełnego zalet, Klara nie sądziła, by zechciał wznowić zwyczaj świątecznych obiadów tak rychło po śmierci ciotki. Tak czy inaczej, chodziło przecież tylko o jeden dzień, postanowiła więc spędzić go możliwie pogodnie.

Przy łożu śmierci ciotki kapitan złożył przyrzeczenie, że poprosi Klarę Amedroz, by została jego żoną, i nie zamierzał złamać danego słowa, tak jak nie zamierzał zrezygnować z majątku, jaki odziedziczył. Nie był jednak pewien, czy Klara zechce wyjść za niego. Bez wątpienia był młodzieńcem ani specjalnie zdolnym, ani specjalnie zarozumiałym, nie miał może opinii człowieka pełnego wzniosłych zasad, natomiast był rozumny w zwykłym znaczeniu tego słowa, umiał bronić własnych interesów, choć wiedział, że pieniądz nie zawsze jest decydującym czynnikiem w życiu. Był człowiekiem sprawiedliwym zgodnie z ogólnie przyjętymi pojęciami o sprawiedliwości. Siedząc przy łożu umierającej ciotki nie po raz pierwszy pomyślał o małżeństwie z Klarą. Chociaż dotąd nie powziął ostatecznej decyzji, że się z nią ożeni — chociaż dotąd nie zdecydował się na tak ważny krok — często o tym myślał i zdawał sobie sprawę, że Klara bardzo mu się podoba. Był w niej zakochany o tyle, o ile pozwalała mu na to jego natura. Nie należał do ludzi, którym miłość łamie serce, ani do tych, którzy potrafią wytrwale

walczyć o kobietę, jak pan Belton, zdecydowany walczyć o miłość do ostatka. Po pierwszej odmowie oświadczyłby się raz jeszcze w przekonaniu, że pierwsza odmowa nie wyraża ostatecznej decyzji, a prawdopodobnie ponowiłby oświadczenia po raz trzeci, tłumacząc sobie następną odmowę w podobny sposób. Należy jednak wątpić, czy za pierwszym, drugim albo trzecim razem w słowach jego zabrzmiałaby nuta wielkiej namiętności, a ci, co go dobrze znali, nie obawiali się, że zawód miłosny ugodzi go śmiertelnie w serce.

Kiedy po raz pierwszy pomyślał o małżeństwie z panną Amedroz, wyobrażał sobie, że żona będzie z nim dzieliła majątek odziedziczony po ciotce, i trwał w tym przekonaniu aż do ostatniej choroby pani Winterfield. Związek ten wydawał mu się równie rozsądny, jak pożądany, a chociaż ciotka nie wywierała na niego nacisku, znane mu było jej życzenie. Na kilka dni przed śmiercią powiedziała mu po raz pierwszy, że zapisuje swój majątek wyłącznie jemu, a dowiedziawszy się, że Klara po śmierci ojca zostanie bez środków do życia, powzięła postanowienie obdarzenia jej pewną sumą pieniędzy i o tym postanowieniu wyraźnie mu powiedziała. Tym razem nie wymagała od niego żadnego przyrzeczenia. Jednak później, kiedy zdała sobie sprawę, że umiera, zapytała, jakie są jego uczucia względem Klary, zaś on, chcąc uczynić zadość jej ostatnim życzeniom, dał jej przyrzeczenie, które pragnęła usłyszeć. Zgodził się na to z łatwością. Spełniał w ten sposób zarówno życzenie ciotki, jak własne. Nie ulegało wątpliwości, że z punktu widzenia finansowego, w obecnej sytuacji mógłby ożenić się korzystniej, ale pieniądz to nie wszystko. Bardzo lubił Klarę i czuł, że gdyby została jego żoną, byłby z niej dumny. Pochodziła z dobrej rodziny i otrzymała staranne wychowanie, toteż związek ten byłby ze wszech miar wskazany. Może gdy zobaczył, jak rzeczy obecnie wyglądają, przyszło mu do głowy, że teraz on dawałby bez wątpienia więcej, niż otrzymywał, a myśl ta wywarła może pewien wpływ na sposób, w jaki miał się oświadczyć; nie z tego jednak powodu obawiał się, czy zostanie przyjęty. Klara Amedroz była dumną dziewczyną, może nawet zbyt dumną. Było to istotnie jej wadą. Gdyby zaś ta duma wpłynęła na dalsze jej losy, nie byłoby to jego winą, lecz jej własną, on zaś spełniłby swój obowiązek zarówno względem niej, jak i wobec ciotki. Oświadczenia swoje zamierzał powtarzać wytrwale i w sposób jak najbardziej łagodny, a gdyby i wtedy mu odmówiła, wina byłaby nie po jego, lecz po jej stronie.

Prawdopodobnie takie myśli snuły się po głowie kapitana Aylmera, kiedy obudziwszy się w niedzielę rano postanowił, że jeszcze tego dnia dotrzyma swego przyrzeczenia. Należy pamiętać, że byłby przystąpił do spełnienia tego zadania z większym animuszem, gdyby Klara traktowała go w sposób cieplejszy i bardziej zachęcający. Czuł, że wysiłki, na jakie zdobywał się w celu przypodobania się pannie, były przyjmowane oziębłe — nie zdawał sobie sprawy z istotnego stanu jej uczuć. Należy przypuszczać, że gdyby wiedział, co czuła naprawdę, przystąpiłby

do spełnienia swego zadania z nie mniejszym zapalem niż każdy inny zakochany młodzieniec. Ale nie należał do ludzi zadufanych w sobie, aczkolwiek zdawał sobie sprawę z wartości, jakie przedstawiał z światowego punktu widzenia, czuł jednak pewien respekt przed Klarą, gdyż uznawał jej wyższość umysłową.

Obiecał jej, że w sobotę po odczytaniu testamentu zabierze ją na przechadzkę, zamierzając zaprowadzić ją przez ogrody do folwarku, który obecnie stał się jego własnością. Folwark ten leżał na skraju miasta i był oddany w dzierżawę pewnej wdowie, starszej wiekiem od zmarłej pani Winterfield. Przechadzka nie doszła jednak do skutku, gdyż zapadł zmrok, zanim wyjechali ostatni goście z Taunton. W niedzielę rano zaproponował jej znów spacer zaraz po drugim śniadaniu.

— Przypuszczam — rzekł — że nie pójdzie pani do kościoła.

— Nie, nie pójdę. Dziś nie mogłabym się na to zdobyć.

— Słusznie, ja jednak pójdę. Mężczyźni są bardziej opanowani niż kobiety. Ale chyba później przejdzie się pani ze mną?

Na to zgodziła się i cały ranek spędziła samotnie. Spaceru tego nie obawiała się. Przechadzka we dwoje z kapitanem Aylmerem była rzeczą naturalną; mogliby również odbywać takie przechadzki, gdyby pani Winterfield jeszcze żyła. Bała się natomiast długiego zimowego wieczoru, który będzie musiała spędzić sam na sam z nim jako jego gość. Wiedziała, że te długie zimowe godziny nie upłyną bez rozmów, jak również i to, że nie potrafi rozmawiać z nim w sposób swobodny i naturalny. Cekał ją wszakże tylko jeden taki wieczór, więc jakoś potrafi go znieść.

Po drodze wstąpili do domku pani Partridge, dzierżawczyni, i zamienili z nią kilka uprzejmych słów. Pani Partridge już wiedziała, że kapitan Aylmer zostanie nowym właścicielem, ale ponieważ dotychczas widywała częściej pannę Amedroz niż kapitana, uważała, że siostrzenica byłej właścicielki jest nierozłącznie związana z posiadłością, i dlatego zwróciła się do młodej pary, jak gdyby oboje byli wspólnymi właścicielami majątku.

— Pewnie już niedługo będę państwu przysparzać kłopotu — rzekła staruszka.

— Jestem pewna, że kapitanowi Aylmerowi byłoby bardzo przykro rozstać się z panią — powiedziała Klara głośno i prawie do ucha staruszce, która była głucha.

— Nigdy nie spodziewałam się, że ją przeżyję. Nigdy, panno Klaro. Tak, tak, mój Boże! A teraz przypuszczam, że zamieszkacie państwo w tym dużym domu, prawda?

— Ależ, pani Partridge, ten duży dom należy do kapitana Aylmera — rzekła Klara natężając z przykrością głos.

Na to kapitan coś mruknął, ale tak niewyraźnie, że trudno było go zrozumieć.

— Aha! To dom należy do kapitana? Ludzie mówią, że tak stało w testamencie, ale zdaje mi się, że to bez różnicy.

— Tak, to istotnie nie stanowi różnicy — zauważył wesoło kapitan.

— No, niezupełnie — usiłowała uśmiechnąć się Klara, mówiąc ciągle



podniesionym głosem.

— Nie rozumiem, o co tu chodzi, ale chyba zamieszkacie tam razem i będziecie dla biednych ludzi tak dobrzy jak nieboszczka. No, no, nie myślałam, że będę jeszcze chodziła po świecie, kiedy ona spoczywa już pod kamienną płytą w starym kościele.

Kapitan Aylmer postanowił oświadczyć się Klarze w powrotnej drodze z folwarku; zamierzał nawiązać rozmowę do słów pani Partridge w sprawie domu. Dzień był słoneczny, choć chłodny, drogi osuszone przez wiatr, więc spacer przy takiej pogodzie zapowiadał się przyjemnie.

— Moglibyśmy przejść przez mostek — rzekł kapitan, gdy minęli folwark — uważam, że widok na kościół w Perivale jest najpiękniejszy, gdy go się ogląda z mostu na rzece Creevy.

Kościół w Perivale, zbudowany na wzniesieniu w środku miasta, miał spiczastą wieżę, o której mieszkańcy Perivale twierdzili, że w proporcjach jest piękniejsza od wieży katedry w Salisbury, aczkolwiek jest od tamtej nieco niższa. Rzeczka Creevy, nie szersza od strumyczka, płynęła przez przedmieście, później opadała koło Creevy Grange — tak nazywał się folwark pani Partridge — gdzie przecinał ją mały drewniany mostek, skąd rozciągał się widok nie tylko na kościół, ale na cały stok wzgórza, na którym widoczny jak na dłoni wznosił się duży ceglany dom pani Winterfield. Młodzi doszli spacerkiem do mostku, stanęli na nim i oparci o balustradę patrzyli na panoramę miasta.

— Jakże znany mi jest każdy dom i każdy zakątek oglądany z tego miejsca — powiedział kapitan.

— Niejeden z tych domów należy lub będzie należeć do pana — zauważyła Klara — i dlatego powinien pan je znać.

— Gdy będąc chłopcem łowiłem tu ryby, uważałem zawsze, że dom ciotki Winterfield jest największy w całym hrabstwie.

— Nie jest chyba jednak tak duży jak dom pańskiego ojca w Yorkshire.

— Oczywiście, że nie. Aylmer Park jest rozległą siedzibą, chociaż dom nie rozpościera się tak szeroko jak ten i nie stoi na wzgórzu, jak gdyby chcąc podkreślić całą swą okazałość. Wozownia, stajnie i stary browar zdają się zajmować pół wzgórza. Kiedy byłem chłopcem, czułem znacznie więcej szacunku do ceglanoego domu ciotki w Perivale niż do domu w Aylmer Parku.

— A teraz dom ciotki należy już do pana.

— Tak, teraz jest moją własnością i cały szacunek, jaki miałem do niego, minął. Uważałem dawniej, że w żadnej rzece w Anglii nie łowi się ryb tak dobrze jak w Creevy, ale dziś nie dałbym ani pensa za wszystkie okonie, jakie w niej złowiłem.

— A może chętka na okonie również panu minęła?

— Tak, podobnie jak chętka na konfitury. Nigdy nie miałem takiego zaufania do spiżarni w Aylmer Parku jak do spiżarni ciotki.

- Nie wątpię, że i w tej chwili jest dobrze zaopatrzona.
- Spodziewam się; nie będę jednak nigdy dość ciekawy, by się o to zapytać. Do licha, chciałbym wiedzieć, co mam zrobić z tym domem!
- Przypuszczam, że pan go nie sprzeda.
- Nie, o ile będę mógł w nim zamieszkać lub go wynająć. Szkoda, żeby stał pusty.
- Przecież nie potrzebuje pan decydować od razu.
- Właśnie zamierzam to zrobić. Chcę zdecydować natychmiast.
- W takim razie widzę, że nie mogę panu służyć radą. Wydaje mi się nieprawdopodobne, by pan miał przyjechać i zamieszkać tu sam. Właściwie mówiąc nie jest to bynajmniej wiejska rezydencja.
- Oczywiście nie będę tu mieszkał sam. Słyszała pani co przed chwilą powiedziała pani Partridge?
- A co powiedziała pani Partridge?
- Chciała wiedzieć, czy dom ten należy do nas obojga, czy też do mnie samego. Powiedz, Klaro, czy ma to być nasza wspólna własność?

Podczas gdy to mówił, stała przechylona przez poręcz mostu wpatrując się w spokojny nurt wody. Usłyszawszy jego słowa podniosła głowę i spojrzała wprost na niego. Była w pewnym stopniu przygotowana na tę chwilę, aczkolwiek nie można powiedzieć, że się jej teraz spodziewała. Podświadomie postanowiła, że gdyby kiedykolwiek miał się zwrócić do niej z taką propozycją, nie będzie to dla niej zaskoczeniem, więc teraz, kiedy padło pytanie, potrafiła zachować spokój. W pierwszej chwili doznała uczucia triumfu, co jest zrozumiałe u każdej kobiety, gdy ukochany mężczyzna zwraca się do niej z prośbą, by została jego żoną. Spojrzała w twarz kapitanowi Aylmerowi, zaś jego oczy starały się uniknąć jej spojrzenia; choć powinien był triumfować, nie był pewny, czy ten triumf oznacza ostateczne powodzenie.

- Co ma być naszą wspólną własnością? — zapytała.
- Dom, twój dom i mój. Czy możesz mi powiedzieć, że będziesz mnie kochała i zostaniesz moją żoną?
- Spojrzała znów na niego, a on powtórzył pytanie:
- Klaro, czy potrafisz mnie kochać na tyle, by wyjść za mnie za mąż?
- Potrafię — odpowiedziała.

Dlaczegoż miałyby się wahać i odgrywać rolę nieśmiałej dziewczyny, udając, że trapią ją jakieś wątpliwości, które naprawdę nie istniały. Kochała go i z całą powagą przyznawała się do tego sama przed sobą. Wówczas gdy jego słowa mogły budzić pewne wątpliwości — że może jedynie udaje miłość do niej — Klara niczym nie zdradziła swoich uczuć. Zachowywała się wobec niego w taki sposób, że zwątpił, czy zostanie przyjęty. Ale dlaczego miałyby się wahać w tej chwili? Stało się tak, jak się tego spodziewała, a nawet jak zaledwie śmiała się spodziewać.

Kochał ją.

— Potrafię — rzekła i zanim zdążył powiedzieć coś dalej, powtórzyła swoje słowa z jeszcze większym przejęciem.

— Oczywiście, że potrafię, i to całym sercem.

Jeśli chodzi o nią, zachowała się z godnością; gdyby jednak wiedziała, jakie uczucia żywią w podobnych okolicznościach zarówno mężczyźni, jak kobiety, nie kwapiłaby się z okazywaniem tego, co czuje. Czyż nie bywa, że to, czego pragnie zarówno mężczyzna, jak kobieta, traci naraz połowę swego uroku, kiedy pragnienie się urzeczywistni? Wino ceni się według jego ceny, a nie aromatu. Otwórz drzwi przed Jonesem czy Smithem, a bynajmniej nie będzie im zależało na tym, by wejść. Spróbuj z całą stanowczością zamknąć przed nimi drzwi, a użyją wszelkich dyplomatycznych wybiegów, żeby dostać się do wnętrza. Słyszac gorący ton, jakim mu odpowiedziała panna, kapitan Aylmer zaczął niemal powątpiewać, czy postąpił rozsądnie przeznaczając najskrytszy zakątek swej piwnicy na wino, które okazało się takie tanie. Nie dlatego, by zamierzał się wycofać. Na przeszkodzie temu stała jeżeli nie miłość, to zasada.

— A więc sprawa domu jest rozstrzygnięta — powiedział wyciągając rękę do Klary.

— Teraz ani trochę mnie ten dom nie obchodzi — odpowiedziała.

— To nieładnie.

— Myślę wyłącznie o panu i o sobie. Jakież znaczenie ma teraz ten stary dom?

— Ależ dom jest w doskonałym stanie — odpowiedział.

— Niech się pan ze mnie nie śmieje. — Prawdę mówiąc bynajmniej się z niej nie śmiał. — W tej chwili to, co dotyczy domu, jest mi obojętne. Czuję się tak, jak gdybym otrzymała wszystko, czegokolwiek pragnęłam. Czy źle robię mówiąc to?

— Skądże znowu! Ani trochę! Dlaczegożby miało być w tym coś złego?

Nie powiedział jej jednak, że on również otrzymał wszystko, czego pragnął. Ten brak entuzjazmu z jego strony nie zdziwił jej ani z początku uraził. Wiedziała, że jest człowiekiem ostrożnym w słowach — znał ich wartość — nie mówił niczego pośpiesznie, jak to czynił jej kochany kuzyn Will. W gruncie rzeczy wątpiła, czy pośpiesznie powiedziane słowa są tyleż warte, co wymówione powoli i z namysłem. Bądź co bądź, pomimo gwałtownego zakochania i zawodu, jakiego doznał, Will Belton wyjechał najwidoczniej w dobrym usposobieniu. Jego zapał był krótkotrwały. Lubiła go tak bardzo, że nawet cieszyła się, że ów zapał tak szybko przeminął.

— Gdy pan mnie zapytał, czy chcę zostać jego żoną, nie mogłam odpowiedzieć nic innego, jak tylko prawdę — mówiła z uśmiechem.

Prawda jest rzeczą miłą, kapitan wolałby jednak, aby objawiła mu się mniej raptownie. Kiedy ciotka zaproponowała mu małżeństwo z Klarą, od razu pomyślał, że zdobycie jej nie przyjdzie z łatwością. Była kobietą ceniącą się wysoko i

niełatwą do zdobycia dla niego czy kogokolwiek. Tak sądził wtedy, teraz jednak przekonał się, że nie miał racji. Powrotna droga minęła nieciekawie, aczkolwiek dla Klary był to krótki okres niewysłowionej błogości. Żadne wątpliwości nie przyćmiewały jej szczęścia i „cała była pogrążona w bezgranicznej radości”. Dobrze się stało, że w podobnej chwili oboje zachowali milczenie. Nie dalej jak wczoraj złożono do grobu starą przyjaciółkę obojga, która ich ze sobą zapoznała i tak bardzo pragnęła ich przyszłego szczęścia! Zaś Klara Amedroz nie była przecież dziewczęciem gotowym skakać z radości, bo znalazła sobie narzeczonego. Mogła doznawać uczucia statecznego szczęścia nie dając mu natychmiast wyrazu w słowach. Po przyjsciu do domu, kiedy znaleźli się razem w salonie, Klara znów wyciągnęła dłoń do Aylmera i pierwsza przemówiła:

— A pan czy jest zadowolony? — zapytała. Któż nie zna triumfalnego uśmiechu, z jakim dziewczyna zadaje w takiej chwili podobne pytanie.

— Czy jestem zadowolony? Owszem. Chyba tak!

Ale nawet te słowa nie wzbudziły w niej wątpliwości.

— Jeżeli pan jest zadowolony — odrzekła — to ja także. A teraz zostawiam pana samego aż do obiadu, aby pan się zastanowił nad swoim postępkami.

— Już zastanawiałem się — odpowiedział. Po czym nachylił się i pocałował ją. Uczynił to po raz pierwszy, ale pocałunek ten był tak chłodny i poprawny, jak gdyby byli małżeństwem od szeregu lat! Ale jej to wystarczyło. Udała się do swego pokoju szczęśliwa niczym królowa.

## ROZDZIAŁ XI

### Panna Amedroz jest zbyt szczerą

Klara rozstawszy się w saloniku z konkurentem, którego oświadczyły przyjął, udała się do swego pokoju, gdzie przed ponownym spotkaniem z nim spędziła dwie godziny na rozmyślaniach — były to dwie godziny pełne radości.

Czuła się bardzo szczęśliwa. Wierzyła szczerze człowiekowi, który miał zostać jej mężem, była pewna, że posiada on wszystkie zalety potrzebne, jej zdaniem, do tego, by uczynić ich małżeństwo szczęśliwym. Niekiedy pokpiwała z niego, czyniąc mu zarzut, iż jego życie nie zawsze odpowiadało wyobrażeniu, jakie sobie o nim wyrobiła ciotka. I gdyby tryb jego życia sprostał wymaganiom ciotki, byłby mniej w guście Klary. Podobało się jej stanowisko Aylmera w świecie, z przyjemnością myślała, że jest on człowiekiem wpływowym, kto wie, czy nie uważała go za światowca. Nie był piękny, ale zawsze zachowywał postawę dżentelmena, był dobrze wychowany, wykształcony, rozsądny, trwały w swych upodobaniach, w pełni zasługiwał na zrobienie w życiu kariery i — kochała go.

Obawiam się, że w tym miejscu czytelnik pomyśli, że Klara nie powinna była pokochać takiego człowieka. Na razie nie upieram się przy tym oskarżeniu, pragnę jednak zapytać, czy właśnie tego rodzaju mężczyźni nie budzą miłości w kobietach? Sporo już zostało powiedziane na temat tego, jak kobiety pochopnie oddają swe serce, sądzą jednak, że nie należy uogólniać podobnego oskarżenia. Częściej dziwi mnie rozsądek dziewcząt niż ich lekkomyślność. Kobieta trzydziestoletnia często bywa skłonna do zakochania się bez pamięci i bez rozwagi, natomiast wydaje mi się, że panny dwudziestoletnie cenią usposobienie stateczne, przyzwoite zachowanie i odpowiednie środki finansowe. Oczywiście dobrze, że tak jest, ale skoro już tak jest, niechże nie domagają się skłonności do namiętnych i szlachetnych porywów głosząc hasło, że Miłość jest Panią Życia. Klara nie miała lat dwudziestu, lecz była w tym wieku, kiedy nie traci się jeszcze upodobań do statecznego usposobienia i przyzwoitego zachowania. Poseł do parlamentu, posiadający niewielki domek niedaleko Eaton Square i skromne dochody, zamiłowany w służbie publicznej oraz umiejący co pewien czas napisać jakiś artykuł, a niekiedy czytający wnikliwie Dantego, był dla niej wzorem męża. Dla takiego męża chętnie czytałaby jego poselskie publikacje, przepisywałaby mu artykuły, a jego komentarzy uczyłaby się na pamięć. Przy takim mężu czułaby się bezpieczna i obce byłyby jej wstrząsy życiowe, jakich doznawał jej brat. Taki wzór męża, jaki opisano wyżej, nie wydaje nam się wzorem zbyt szlachetnym, mimo to uważam, że jest on w Anglii ideałem męża dla panien ze sfery, do której należała Klara.

Podczas tych dwóch samotnych godzin Klara powzięła szereg decyzji w różnych sprawach. Przede wszystkim oczywiście już następnego dnia powróci do domu. Nie należało przewidywać, by kapitan Aylmer prosił ją o zmianę tego postanowienia, ale gdyby nawet tego zażądał, jej zamiar nie ulegnie zmianie. Chciała mieć jak najprędzej przyjemność oświadczenia ojcu, że wszystkie jego troski o nią już się skończyły. Istniał jeszcze jeden wzgląd, dla którego jej dalszy pobyt w tym domu stał się mniej właściwy niż dotąd. Wzgląd ten polegał na tym, że kapitan Aylmer został jej narzeczonym. A co zrobi, jeżeli kapitan Aylmer będzie naglił o przyspieszenie ślubu? Śmierć ciotki to dostateczna przyczyna, by odłożyć ślub na kilka miesięcy; zresztą byłoby najlepiej, gdyby ślub odbył się po zakończeniu obecnej sesji parlamentu. Była jednak skłonna ustąpić kapitanowi, gdyby sam wyznaczył dzień ślubu wkrótce po świętach Wielkanocy. To jasne, że zamierza on utrzymać dom w Perivale jako swoją wiejską rezydencję.

Klara nie lubiła Perivale ani domu, mimo to nie sprzeciwiała się jego decyzji. Zresztą dlaczego miałyby to uczynić? Nie wносиła przecież do wspólnego majątku nic prócz siebie samej. Myśląc o tym kochała go jeszcze gorzej, a nawet zaczynała się zastanawiać, czy dostatecznie go kocha i okazuje mu wdzięczność.

Ubierając się do obiadu, stwierdziła, że zabiera się do tego ze szczególną

starannością. Uczesała się z większą dbałością niż zwykle i uprzytomniła sobie, że pragnie wyglądać jak najładniej. W ostatnich czasach zwykła była ubierać się czarno, toteż śmierć ciotki nie wprowadziła żadnej zmiany w jej ubiorze. Ciężka żałoba, do której ostatnio przywykła, przestała ją wprowadzać w uroczysty nastrój. Jednak w niej samej i w całym pokoju było coś, co napełniło ją powagą i przypomniało, jak ostatnio śmierć krążyła wśród jej najbliższych i najdroższych; usiadła więc niemal przestraszona własnym brakiem serca i tym, że w takich chwilach może czuć się szczęśliwa. Ciotkę jej złożono do grobu dopiero wczoraj, śmierć brata nastąpiła w warunkach szczególnie bolesnych i to wszystko zdarzyło się w ciągu jednego roku, a mimo to czuła się szczęśliwa, triumfująca i niemal zatopiona w poczuciu własnego szczęścia. Przez chwilę siedziała w fotelu trzymając na kolanach czarną suknię i pogrążyła się w zadumie nad własnym stanem duchowym. Jeżeli w takich chwilach mogła czuć się szczęśliwa, czy oznaczało to, że miała zimne serce? Czyż wspomnienie o biednym bracie miałyby gasić wszelką radość w jej życiu? Czyż śmierć ciotki winna była aż tak ją zdruzgotać i uczynić niezdolną do odczuwania radości z powodu własnego powodzenia? Czy, gdy oświadczył się jej na moście, powinna była mu powiedzieć, że w chwilach tak bolesnych nie należy mówić o żenieniu się ani o wychodzeniu za mąż? Nie wiem, czy zdołała uznać tę prawdę, że nie należy pozwolić, by ból gasił radość, że sam z siebie — pominawszy konwencjonalne pojęcia — ból nie musi tak się przejawiać, że nie należy podsycać bólu, jak gdyby miał w sobie coś boskiego czy godnego pochwały. Nie wiem, czy Klara dostatecznie to przemyślała, aby zrozumieć, że tylko miłość jest czymś boskim, że miłość zraniona przez śmierć lub rozłąkę rodzi cierpienie, nad którym człowiek mógłby zapanować, gdyby był dostatecznie silny, jednak nie może tego dokonać na skutek ludzkiej słabości. Wątpię, czy wszystko to było dla niej jasne, gdy nad tym rozmyślała siedząc w fotelu przed gotownią i trzymając żałobną suknię zwisającą z jej kolan na podłogę. Jednak coś z powyższej argumentacji przeszło jej przez myśl. Czuła w sobie pełnię radości i nie chciała jej tłumić tylko dlatego, że wypadało uważać się za nieszczęśliwą. Powiedziała sobie, że czyni coś, co jest dobre dla innych i dla niej samej, co jest dobre dla ojca, a w miarę jej sił i możliwości okaże się też dobre dla tego, który ma zostać jej mężem, śmierć brata zawisła nad Klarą jak czarna chmura, której chyba nic rozproszyć nie zdoła. Czuła, że ta czarna chmura ciąży nad nią, czyni ją poważną, posępną, postarza ją, pomimo jej wysiłków, by się temu przeciwstawić. Chmura ta stała się tak czarna, że niemal wykluczała możliwość pomyślnego zwrotu, który teraz nastąpił w jej życiu. Powiedziała sobie jednak, że z tego mroku wypływa dla niej raczej krzywda niż pożytek i że teraz ma obowiązek wobec narzeczonego — jeżeli nie wobec siebie — rozproszyć ten mrok i nie pozwolić, by ją ogarnął całkowicie. Zejdzie do niego w nastroju radosnym, choć nie wesołym, i wyzna mu szczerze, że gdy usłyszała jego zapewnienie miłości,

otrzymała wszystko, co miało dla niej jakąkolwiek wartość w życiu. Dotychczas była niezależna. Zwłaszcza jemu starała się dowieść, że postanowiła być od niego niezależna. Teraz tego zaniecha i da mu do poznania, że uznaje w nim nie tylko pana i władcę, ale i małżonka. W ojcu nie znajdowała żadnego oparcia i dlatego musiała polegać na własnych siłach. Obecnie będzie zależna od tego, który ma zostać jej mężem. Tak jak dotychczas niemal z lekceważeniem odrzucała wszelką jego pomoc, tak teraz przyjmie ją bez skrupułów, uważając go za swego przewodnika w każdej sprawie. Porzuci już ten drwiący ton, z jakim przywykła traktować wszelkie jego poczynania, i będzie mu ufać tak, jak żona winna ufać mężowi.

Takie były postanowienia Klary w pierwszych chwilach samotności po zaręczynach. Postanowienia rozsądne — miały jednak tę stronę ujemną, że silniejszy poddawał się słabszemu, większy mniejszemu, uczciwy mniej uczciwemu, a prawda fałszowi. Pogląd na małżeństwo, według którego żona z pełnym miłości poddaniem winna ulegać mężowi, jest bardzo piękny, pod warunkiem, że mąż okaże się silniejszy i bardziej wartościowy od żony. Pogląd ów oparty jest na podobnej hipotezie, a hipotezy często nie znajdują potwierdzenia. Zwykle małżeński okręt sam chwyta równowagę, a ster ujmuje silniejszy niezależnie od tego, czy nosi strój kobiecy czy też męski; często jednak okręt ulega rozbiciu — zdarza się to wtedy, gdy kobieta przed ślubem postanawia być uległa mężowi, zaś po ślubie przekonuje się, że jej piękny królewicz posiada ciało ze spiżu, ale nogi z gliny.

Kapitan Aylmer po rozstaniu się z Klarą miał również sporo tematów do rozmyślań; pozostawało mu jeszcze dwie godziny przed ponownym zobaczeniem jej, nie mając zaś nic specjalnego do roboty udał się na mostek, na którym oświadczył się Klarze. Doszedł spacerkiem do mostku pozornie zatopiony w myślach, nie zdając sobie jednak dokładnie sprawy, o czym myśli, i pozwalając, by myśli toczyły się bez ładu.

Oczywiście ożeni się. To już zostało postanowione. Był z siebie zadowolony, że zdecydował się bez zbytniego pośpiechu, przy czym nie postąpił lekkomyślnie, aczkolwiek nie doznawał uczucia pełnej satysfakcji. Od dawna przywykł do myśli, że Klara Amedroz zostanie jego żoną; od dawna zamierzał się jej oświadczyć i nie żałował, że zastosował się do woli ciotki, która na łożu śmierci wymogła na nim to przyrzeczenie. W chwili gdy ciotka go o to prosiła, sam, z własnej woli, zamierzał to uczynić. Wobec tego jak mógł nie spełnić jej prośby? Skoro zaś dał już owo przyrzeczenie, winien je wypełnić. Był człowiekiem tego rodzaju, że straciłby do siebie szacunek i pogardzałby sobą, gdyby kiedykolwiek złamał dane słowo, od którego nie mogłaby go zwolnić żadna siła ludzka. Postąpił więc słusznie dając przyrzeczenie, a skoro je dał, musi je spełnić, i to natychmiast. Klara miała dobry charakter, była rozsądna, przystojna i z pewnością nie przyniesie mu nigdy wstydu;

ponieważ zaś pod względem materialnym nie wносиła nic, a tylko otrzymywała, więc prawdopodobnie pozwoli mu się łatwo prowadzić i zastosuje się do takiego trybu życia, jaki on jej narzuci. W związku z tym postanowił, że podczas sesji parlamentarnej będzie mieszkał w Londynie, Klara zaś pozostanie sama w tym dużym czerwonym domu, na który on właśnie teraz spogląda. Takie wygodne życie będzie w pewnym stopniu zadośćuczynieniem za ofiary, jakie niewątpliwie składał. Gdyby go pociągało małżeństwo jako takie, to niewątpliwie mógł być znaleźć lepszą partię. Jego widoki na przyszłość stan majątkowy oraz pozycja towarzyska były tego rodzaju, że uprawniały go do szukania wybranki w wyższych sferach tak pod względem urodzenia, jak i pod względem zamożności. Rodzina Aylmerów była majątna, a on sam, aczkolwiek młodszy syn, posiadał więcej, niżby mu się z tytułu działów rodzinnych należało. Jego stanowisko jako posła do parlamentu było niezachwiane, obracał się w najwyższych sferach towarzyskich; wobec takich warunków bogaty ożenek stałby się ukoronowaniem jego kariery. A przy tym jakiegoż ze wszech miar pożądanego blasku dodałaby jego domowi jakaś lady Mary albo Emily zasiadająca na honorowym miejscu przy jego stole! Lady Emily Aylmer! Tak. Brzmiałoby to bardziej wytwornie, znał nawet pewną lady Emily, która odpowiadałaby tym warunkom. W tej chwili poczuł lekki powiew żalu i zapomniał, że ta lady Emily nie posiada złamanego grosza.

Tak jest, ogarnął go lekki powiew żalu, choć powtarzał sobie, że postąpił właściwie. Szczęście, które mu zwykle sprzyjało, tym razem nie okazało się zbyt szczodre. Bez wątpienia los Klary Amedroz do pewnego stopnia zaciążył na nim. Czyż to, że Klara na jedno słowo o małżeństwie rzuciła się w jego ramiona, nie wskazywało mu jasno, że słowo takie było dla niej zbyt cenne, by miała z niego zrezygnować? Czy ogrodnik ceni owoc, który sam spada z drzewa, choć jest w najlepszym gatunku? Gdy nieledwie łamiąc sobie kark sięgnie po jabłko z najcieńszej i najwyższej gałązki — zazwyczaj niedojrzałe jabłko — to ów zerwany przez siebie owoc będzie uważał za najcenniejszy. Dziś rano, kiedy kapitan Aylmer powracał do domu z kościoła, był jeszcze pełen wątpliwości, jaką odpowiedź otrzyma od Klary. Wówczas jeszcze owo jabłko wisiało wysoko na cienkiej gałązce. Teraz zaś spadło mu pod stopy i bez zastrzeżeń mógł sobie powiedzieć, że należy już do niego i że oczywiście zawsze mogło do niego należeć. W każdym razie jabłko było w dobrym gatunku, a chociaż miało plamki, chociaż nie nadawało się na pokaz ani nie byłoby najpiękniejszym okazem przy deserze, zasługiwało jednak na przechowanie i spożycie oraz bez wątpienia okaże się bardzo smaczne.

Doszedłszy do takiego wniosku kapitan Aylmer powrócił do domu, umył ręce, zmienił obuwie i wszedł do jadalni w chwili, gdy podawano do stołu.

Klara, promieniejąca radością, przywitała go kładąc mu dłoń na ramieniu.

— Marta nie wiedziała, że cię jeszcze nie ma — rzekła — i kazała podać obiad.

— Mam nadzieję, że nie musiałaś na mnie czekać.



— Ależ bynajmniej. A gdyby nawet? Kobiety zwykle nie dbają o to, że obiad stygnie, tylko mężczyźni mają pod tym względem wymagania.

— Mnie na tym nie zależy, a jednak...

Oboje przeszli do jadalni, a ponieważ służący był obecny podczas całego obiadu, więc rozmowa ich nie zawierała niczego, co byłoby godne uwagi. Po obiedzie pozostali w jadalni i zasiedli po obu stronach kominka. Klara uważała, że w tak uroczysty wieczór jak dzisiejszy nie powinna zostawiać kapitana samego przy poobiednim kieliszku porto.

— Chyba mogę z tobą pozostać? — zapytała.

— Ależ oczywiście! Będę ci za to wdzięczny. Nie ślubowałem samotności. — Po tych słowach nastąpiła chwila milczenia.

— To bardzo szczęśliwie, ponieważ masz zamiar złożyć inne śluby.

W słowach tych wypowiedzianych cicho zabrzmiała nuta powstrzymywanej radości, która powinna była trafić mu prosto do serca i napełnić je błogością.

— Ależ tak — odpowiedział. — Oboje je złożymy. Chyba się nie boisz, Klaro?

— Kto? Ja? Ja miałabym się bać? Ależ nie! Nie mam żadnych wątpliwości, żadnych skrupułów i nic nie mąci mojego szczęścia. Jeśli o mnie chodzi, wszystko ułożyło się tak, jak tego pragnęłam. Ach, nie rozumiałeś wcale, dlaczego pozornie byłam wobec ciebie tak szorstka od chwili naszego poznania.

— Rzeczywiście — odparł — nie rozumiałem.

Tak było istotnie, ale stałoby się lepiej, gdyby mu tego nie powiedziała. Klara jednak postanowiła być wobec niego szczerą do końca i ciągnęła dalej:

— Nie wiem, jak ci to wytłumaczyć, jednak nasza obecna sytuacja wymaga, bym ci powiedziała wszystko.

— Tak, istotnie, ja również jestem tego zdania — odpowiedział kapitan.

Aylmer należał do gatunku mężczyzn, którzy uważają, iż skoro już są zaręczeni, mają prawo słyszeć, widzieć i znać każdy drobny szczegół z życia wybranej kobiety, i uważalby się za pozbawionego swoich przywilejów, gdyby ta wybrana kobieta cokolwiek przed nim ukrywała. Gdyby przed ośmiu laty jakiś mężczyzna szepnął Klarze miłe słówko, to teraz owo miłe słówko winno mu być przez nią powtórzone. Obawiam się, że tacy mężczyźni słyszą nieraz różne kłamstewka, dziwię się jednak, że ich dawne awanturki miłosne nie stały się dla nich przestrogą. Kiedy James w noc księżycową otacza ramieniem kibić Mary, później zaś widzi, jak ją John prowadzi do ołtarza, czyż nie przychodzi mu do głowy, że jakiś John tulił do siebie Annę, właśnie tę Annę, którą on sam prowadzi do ołtarza? O te sprawy nie należy wypytywać zbyt natrętnie, ale w tej dziedzinie ciekawość niektórych mężczyzn bywa bezgraniczna. Na ogół kobiety lubią zwierzenia, nie chcą jednak, by je zmuszano do powiedzenia więcej, niż same tego pragną.

— Chciałbym, żebyś miała do mnie pełne zaufanie — rzekł kapitan Aylmer.

— Posiadasz je całkowicie — odpowiedziała Klara.

— Sądzę, że powinnaś powiedzieć mi wszystko, co miałabyś do powiedzenia.

— Powiem ci tylko to, że pokochałam cię, zanim się przekonałam, że moja miłość jest wzajemna.

— A więc tylko to? — rzekł kapitan Aylmer tonem; w którym zabrzmiała nuta pewnego rozczarowania.

— Tak, Fred, tylko to. Czy w takich warunkach mogłam okazywać ci serdeczność, czy też szukać u ciebie pomocy? Czy wówczas mogłam przewidzieć to, o czym wiem obecnie?

— Oczywiście nie mogłaś.

— I dlatego byłam dla ciebie szorstka. Nawet ciotka zwróciła mi na to uwagę.

— Nie ma w tym nic dziwnego, przecież ciotka pragnęła, byśmy się pobrali.

Po tych słowach Klara zmieszała się lekko, jak gdyby orientując się, że zawierają one pewną aluzję do interwencji ze strony pani Winterfield. Czy kapitan Aylmer oświadczył się jej tylko dlatego, że obiecał to ciotce?

— Czy wiedziałeś, że jej tak bardzo na tym zależało? — zapytała.

— Tak jest, a raczej domyślałem się tego. To było zupełnie naturalne, że oboje pomyśleliśmy o tym. Zresztą widząc nas tak często razem musiała dojść do wniosku, że powinniśmy się pobrać.

— Ciotka zwykła była mówić, że jestem dla ciebie szorstka, twierdziła nawet, że przykra. Czyż mogłam być inna? Powiem ci, Fred, kiedy po raz pierwszy zrozumiałam, że cię kocham. Mówię ci to w sekrecie i nie powiedziałabym tego nikomu innemu ani nawet tobie, gdyby nie to, że postanowiliśmy się pobrać. Kuzyn Will będąc w Belton oświadczył mi się.

— Doprawdy? Nie powiedziałaś mi jednak tego wówczas w pociągu, kiedy tak go przede mną chwaliłaś.

— Oczywiście, że nie. Po cóż miałabym o tym mówić? Wtedy jeszcze nie musiałam ci wyjawiać moich sekretów.

— A więc oświadczył ci się?

— Czy jest w tym coś dziwnego? Ale dziwne czy niedziwne, oświadczył mi się.

— A ty go nie przyjęłaś?

— Oczywiście, że nie.

— Nie byłaby to zła partia. O ile to, co mi mówiłaś o jego zamożności, odpowiada prawdzie.

— Skoro już poruszasz ten temat, przyznam, że istotnie byłaby to bardzo dobra partia; może sądzisz, że odmawiając mu postąpiłam nierozsądnie?

— Nie, tego nie powiedziałem.

— Tak uważał mój ojciec. Ale wtedy nie mogłam powiedzieć ojcu całej prawdy jak tobie teraz. Nie mogłam mu również powiedzieć, że moje serce już nie należy do mnie i że nie mogę go oddać Willowi; trudno mi było także wyjawić Willowi powód odmowy. Biedny Will! Oznajmiłam mu tylko bez ogródek, że go nie chcę.

— Więc przyjąłabyś go, gdyby nie wzgląd na mnie?

— Nie, Fred, zbyt pochlebnie mnie oceniasz. Gdybyś mnie nie pokochał, nie wiem, co by mi serce podyktowało. Kto wie? Bardzo lubię Willa Beltona i mam nadzieję, że i ty go polubisz...

— Musiałbym go wpierw poznać.

— Oczywiście, ale jak już mówiłam, wątpię, czy i w innych okolicznościach zgodziłabym się zostać jego żoną. Jednakże tak jak się wówczas rzeczy miały, byłoby to niemożliwe. Teraz już wiesz wszystko i sądzę, że byłam wobec ciebie zupełnie szczerą.

— Tak, byłaś bardzo szczerą.

Kapitan Aylmer nie odczuł wdzięku ani żartobliwego tonu, z jakim Klara mu to wszystko powiedziała. Wiedziała, że kapitan nie ma poczucia humoru, było jej jednak przykro, że jej szczerłość i otwartość nie wywołały w nim należytego oddźwięku. Wobec tego niełatwo jej było prowadzić dalej rozmowę, więc zaproponowała, by udali się na górę do bawialni. Taka zmiana ułatwi jej przejście na inny temat i pozwoli uniknąć dalszych aluzji do Willa Beltona. Klara zorientowała się, aczkolwiek nie wiedziała dlaczego, że jej szczerłość wobec przyszłego małżonka była zbyt szczera, i zaczęła żałować, iż w ogóle wspomniała nazwisko kuzyna. Przeszli więc na górę i zasiedli w fotelach po obu stronach kominka, trudno im jednak było nawiązać z powrotem rozmowę. Klara uważała, że teraz kapitan powinien rozpocząć rozmowę, natomiast kapitan miał po prostu ochotę poczytać dzienniki. Właściwie nie miał jej już nic więcej do powiedzenia. Tego ranka podczas golenia myślał o czekającej go ważnej rozmowie z nią i tak go to wówczas zdenerwowało, iż drżącą ręką zadrasnął się w policzek. Zostało to już jednak powiedziane, więc przestał się denerwować. Tak, zostało to już powiedziane, a wszystko ułożyło się tak pomyślnie, że aż dziwił się własnemu rannemu zdenerwowaniu, nie widział jednak potrzeby, by zaraz rozpocząć dalszą rozmowę. Klara myślała już o wyznaczeniu daty ich ślubu i powzięła drobne decyzje, o których czytelnikowi już wiadomo, ale myśli takie były kapitanowi najzupełniej obce. Przecież prosił kuzynkę, by została jego żoną, spełniając w ten sposób wolę zmarłej ciotki, więc nie było już powodu do pośpiechu. Zresztą „dosyć ma dzień na swej nędzy”.

Nie sądzę jednak, by ten szczęśliwy kochanek istotnie przemawiał do siebie w podobny sposób ani też, by wyobrażał sobie, że związek z Klarą będzie dla niego raczej złem niż błogosławieństwem. Uczucia jego były już dostatecznie zaangażowane w danym kierunku, nie był skłonny do dawania dalszych przyrzeczeń i bynajmniej nie pragnął angażować się dalej w sprawie małżeństwa przez wyznaczenie daty ślubu. Klara wyczuła, że jej towarzysz bez zachęty z jej strony nie rozpocznie na nowo rozmowy, toteż zaczęła zadawać mu zwykłe pytania o jego rodzinę, o brata, siostrę, o jego nawyki domowe, o stary dom w Yorkshire i

czekała na odpowiedzi, które ją tak bardzo interesowały. Jednak nawet na takie pytania udzielał skąpych odpowiedzi i nie kwapił się do dawania wyczerpujących wyjaśnień, jak by sobie Klara tego życzyła. W końcu doszło do wymiany pytań i odpowiedzi zawierających zaledwie kilka słów, przy czym jedna z ostatnich odpowiedzi głęboko Klarę uraziła.

— Zawsze sobie wyobrażałam — rzekła Klara — że twoja matka musiała być kiedyś bardzo piękna.

— Jeszcze teraz jest piękna, mimo że ma już ponad sześćdziesiąt lat.

— Podobno jest wysokiego wzrostu?

— Tak, jest wysoka i ma w sobie coś... co nazwałbym dystynkcją.

— Mam nadzieję, że nie jest wyniosła?

— Nie wiem, co nazywasz wyniosłością.

— Wyniosła nie w złym znaczeniu tego słowa. Jestem pewna, że taka nie jest. Bywają jednak panie, które zdają się o tyle przewyższać poziom innych kobiet, że budzą lęk w nas, zwykłych śmiertelnikach.

— Istotnie moja matka nie jest zwykłą kobietą — powiedział kapitan.

— Natomiast ja jestem — rzekła Klara z uśmiechem. — To bardzo ciekawe, jak się do mnie odniesie, a raczej, co sobie o mnie pomyśli. — Nastąpiło milczenie, a po chwili Klara ciągnęła dalej nie przestając się uśmiechać: — Widzę, Fred, że nie usiłujesz dodać mi odwagi, jeżeli chodzi o twoją matkę.

— Powiedziałbym, że jest raczej wymagająca — rzekł kapitan.

Klara wyprostowała się i przestała się uśmiechać. Nazwała siebie kobietą zwykłą z tą połowiczną szczerością, jaką wszyscy stosujemy, kiedy mówimy o własnych zaletach i wadach, bynajmniej jednak nie pragnąc, by nasi rozmówcy uważali to za szczerą prawdę lub by słowa te były echem ich własnej ustalonej o nas opinii. A właśnie w tym wypadku kapitan Aylmer, choć może mimo woli, niemal tak się do tego odniósł.

— W takim razie powinna bym raczej trzymać się od niej z daleka — rzekła Klara poważnie.

— Rzecz prosta, po naszym ślubie będziesz musiała złożyć jej wizytę.

— Widzę, że nie obiecujesz mi przyjemnej wizyty, sądzę jednak, że jakoś dam sobie z tym radę. Przecież poślubiam ciebie, a nie twoją matkę; a dopóki ty nie traktujesz mnie wyniośle, jej wyniosłość nie powinna mnie obchodzić.

— Nie wiem, co rozumiesz pod słowem wyniosłość.

— Musisz przyznać, że wyrażasz się o niej jak o kimś budzącym lęk.

— Twierdzę, że jest wymagająca, i taka jest w istocie. Ponieważ zaś mój szacunek dla jej zdania równa się mojej miłości do niej, spodziewam się, że dołożysz wszelkich starań, by pozyskać jej uznanie.

— Nie zwykłam się starać o podobne rzeczy. Jeżeli nie możemy zdobyć czyjegós uznania bez wysiłku, to traci ono wszelką wartość.

— W tym wypadku bynajmniej się z tobą nie zgadzam, a zwłaszcza dlatego, że mówisz o mojej matce, która ma zostać twoją świekrą. Mam nadzieję, że zdobędziesz się na taki wysiłek z pomyślnym wynikiem. Lady Aylmer nie jest kobietą, która by pochopnie cię pokochała tylko dlatego, że zostajesz żoną jej syna. Oceni cię według twojej wartości i nie zawaha się potępić, o ile się przekona, że na to zasługujesz.

Nastąpiło dłuższe milczenie i w sercu Klary powstał bunt, mimo że był to pierwszy dzień jej narzeczeństwa. Opanowała jednak podniecenie i już ani słowem nie wspomniała o lady Aylmer ani nie wszczęła dalszej rozmowy, dopóki nie zmusiła się do uśmiechu.

— No, Fredzie — rzekła kładąc mu dłoń na ramieniu — zrobię wszystko, co w mojej mocy, żadna kobieta nie może obiecać więcej. A teraz dobranoc, zanim się położę, muszę jeszcze zapakować rzeczy przed jutrzejszą podróżą.

Kapitan Aylmer wstał i pożegnał ją chłodnym pocałunkiem, po czym Klara opuściła pokój.

## ROZDZIAŁ XII

### Panna Amedroz wraca do domu

Nazajutrz Klara wyjechała z Perivale pociągiem odchodzącym o ósmej rano, więc nie było czasu na dłuższą rozmowę. Przez całą noc starała się stłumić w sobie niechęć do narzeczonego i uczucie rozżalenia. Prawdopodobnie — tłumaczyła sobie — przypisuje jego słowom większe znaczenie, niż on tego pragnął, mówiąc, jak powinna się zachować; zresztą czyż to nie naturalne, że wysoko ceni matkę i niepokoi się, jak przyjmie jego żonę? Niechęć do narzeczonego udało się jej stłumić, nie zdołała jednak opanować uczucia rozżalenia. Nie tyle chodziło jej o to, co kapitan mówił o matce, choć słowa jego bardzo ostudziły jej radość, ile o to, że przez cały wieczór tyle było chłodu w jego słowach zwróconych do niej, że chłód ten wyczuła prawie podświadomie. Serce jej ogarnął smutek, choć powtarzała sobie, że powinna się przecież cieszyć. Czuła również niejasno, że kapitan nie odnosi się do niej jak człowiek zakochany, że stał się mniej czuły, odkąd wyznała mu szczerze, że pierwsza go pokochała. Powinna była być mniej uczciwa, a bardziej powściągliwa, mniej odważna; powinna się była raczej zachować jak przeciętna kobieta. Zrozumiała to wieczorem podczas pakowania walizek, a rano, ubierając się, raz jeszcze stwierdziła, że tak było istotnie. Jej szczerłość okazała się zbyt uczciwa i Klara zaczęła żałować, że nie zdobyła się na większą wstrzeźliwość w wypowiedziach i nie zachowała się tak jak inne kobiety udające wstydliwą obojętność wobec wielbicieli. Była po prostu zbyt uczciwa i doszła do wniosku, że

szczerłość jest złą polityką. Inna sprawa, że jest wątpliwe, czy ta polityka w gruncie rzeczy nie była właśnie słuszna, ponieważ zaznajomiła ją po raz pierwszy z właściwym charakterem człowieka, który stał się jej tak drogi.

A teraz obowiązkiem jej było zachować się stosownie do okoliczności, zesła więc na dół z uśmiechem na ustach, gotowa do powiedzenia kilku miłych słów. Gdy weszła do małej jadalni, kapitan Aylmer już się tam znajdował. Była tam również Marta, a obecność służącej sprawiła, że miłe słowa zostały przyjęte obojętnie. Po wyjściu służącej kapitan przybrał uroczysty wyraz twarzy i rozpoczął krótkie, poważne przemówienie uprzednio przygotowane. Ale już po pierwszych słowach przerwał i zaczął mówić coś zupełnie innego, niż pierwotnie zamierzał.

— Klaro — powiedział — to, co wczoraj zaszło między nami, sprawiło mi dużą przyjemność.

— Bardzo mnie to cieszy, Fred — odparła starając się, by głos jej brzmiał mniej poważnie niż słowa narzeczonego.

— Tak, zrobiło mi to dużą przyjemność — ciągnął dalej — i skłonny jestem mniemać, że okoliczności i sytuacja, w której znaleźliśmy się, usprawiedliwiają nas; na chwilę zapomnieliśmy o smutnym żalobnym nastroju tego dnia.

Gdy sobie uprzytomnię, że nie dalej jak onegdaj odprowadziłem drogą ciotkę do grobu, to nie mogę się nadziwić, że już wczoraj zaproponowałem ci małżeństwo.

Do czego zmierzał mówiąc to z takim namaszczeniem? Klara miała w tej sprawie własne zastrzeżenia, pewne wyrzuty sumienia, gdy wspomniała starą przyjaciółkę, przy której czuwała po nocach; ale myśli takie były właściwe podczas nocnego czuwania, nie należało ich wyrażać w blasku dnia. Kapitan przerwał i z kolei ona winna była coś powiedzieć.

— Jedynym naszym usprawiedliwieniem jest to, że ciocia sobie tego życzyła.

— Tak jest, takie było jej życzenie. Istotnie... i wobec tego...

Nie dokończył zdania czując, że wstępuje na śliski grunt. Klara nie spuszczała z niego oczu i przez chwilę milczała, jak gdyby oczekując, że dokończy zdania. Czekala jednak na próżno i sama za niego dokończyła.

— I wobec tego... poświęciłeś się.

Serce jej nabrzmiewało bólem i nie mogła się powstrzymać od sarkazmu.

— Tak jest — odparł — a raczej — ściśle mówiąc... niezupełnie. Nie twierdę, że było to z mojej strony poświęcenie, gdyż istotnie, jak już wspomniałem, wszystko poszło po mojej myśli. A jednak dzień wczorajszy powinniśmy byli uważać za dzień uroczysty, więc skoro nie uznaliśmy go za taki...

— Uważam, że był dla nas bardzo uroczysty.

— Chciałem tylko powiedzieć, że usprawiedliwia mnie fakt, iż właśnie to jej obiecałem.

— A co jej obiecałeś, Fred?

— Obiecałem spełnić jej życzenie.

— A jakie było to życzenie? Dotychczas mi o tym nie wspomniałeś. — Ostatnie słowa powiedziała bardzo cicho, lecz doszły one wyraźnie do uszu kapitana.

— Powiedziałem ci już przecież, że jeżeli chodzi o mnie, było to zgodne z moim własnym życzeniem.

— Fred — zaczęła — posłuchaj mnie. Wczoraj postanowiliśmy, że się pobierzemy.

— Istotnie, tak postanowiliśmy.

— Posłuchaj mnie, kochany. Uważam, że to nasze postanowienie bynajmniej nie kolidowało z uroczystym nastrojem wczorajszego dnia. Nawet wobec śmierci nie powinniśmy zapominać o życiu, a gdybyśmy oboje pragnęli naszego związku, byłoby szaleństwem powstrzymać się od takiego postanowienia tylko dlatego, że ciotka zmarła w ubiegłym tygodniu. Może jednak być i sędzę, iż tak było istotnie, że postąpiliśmy zbyt pochopnie z powodu śmierci ciotki.

— Nie rozumiem dlaczego?

— Chciałeś po prostu spełnić wolę ciotki, nie biorąc dostatecznie pod uwagę, czy w ten sposób zdołasz sobie zapewnić szczęście, jeżeli zaś chodzi o mnie...

— Jeżeli chodzi o ciebie, nie wiem; wiem jednak, że we własnych sprawach sam jestem najlepszym sędzią.

— Widzę, że zbyt pochopnie uwierzyłam w to, w co chciałam wierzyć.

— Co chcesz przez to powiedzieć, Klaro?

— Chcę powiedzieć, że winniśmy uważać nasze zaręczyny za zerwane, niekoniecznie na zawsze. Ale więzy łączące nas obecnie muszą być rozwiązane. Jesteś znów wolny.

— Ale ja bynajmniej nie chcę być wolny.

— Gdy się nad tym zastanowisz, dojdiesz do wniosku, że tak będzie najlepiej. Dotrzymałeś uczciwie danego słowa nawet kosztem poświęcenia siebie. Szczęściem dla ciebie, a nawet może dla nas obojga, cała prawda wyszła na jaw i możemy spokojnie rozważyć, jakie wyjście okaże się dla nas najlepsze, niezależnie od danej przez ciebie obietnicy. Rozstaniemy się jak najszczerzy przyjaciele, nie narzeczeni, którzy mają zostać mężem i żoną.

— Klaro, przecież jesteśmy zaręczeni i nie chcę słyszeć o zerwaniu!

— Przed zawarciem małżeństwa, Fred, kobieta ma zawsze ostatnie słowo. W tym wypadku musisz mi ustąpić. Jestem pewna, że po zastanowieniu się uznasz moją decyzję za słuszną. Nie jesteśmy już zaręczeni. Odtąd uważać się będę za zwolnioną od danego ci słowa i urządzę sobie życie według własnego uznania. Ty oczywiście również jesteś wolny.

— Będzie tak, jak sobie życzysz.

— Tak jest, życzę sobie tego, Fred.

— Więc mamy zapomnieć o wczorajszym dniu?

— Niezupełnie. Ja nie zapomnę, gdyż wyjawiałam ci za dużo moich sekretów.

Natomiast nic z tego, o czym wczoraj mówiliśmy lub co postanowiliśmy, dziś nas nie obowiązuje.

— Czy ubiegłej nocy powzięłaś taką decyzję?

— W każdym razie taka jest obecnie. Chodźmy już, Fred; jeżeli zaraz nie zasiądziemy do stołu, będę musiała wyjechać bez śniadania. Czy mam ci teraz podać herbatę, czy też wolisz wypić ją w spokoju po moim wyjeździe?

Kapitan Aylmer zjadł z Klarą śniadanie, odwiózł ją na stację i zachowywał się wobec niej z wielką uwagą i kurtuazją, po czym wrócił samotnie do swego dużego, pustego domu w Perivale. Ani jedno słowo nie padło między nimi na temat narzeczeństwa i kapitan pogodził się z faktem, że nie jest już związany z Klarą jako jej przyszły małżonek. Istotnie nie mógł nie pogodzić się z tym faktem wobec stanowczości jej tonu i zdecydowanej postawy. Jego twierdzenie, że narzeczeństwo powinno trwać nadal, było bez znaczenia. Oświadczyła mu przecież, że jej głos jest tu decydujący, i on sam czuł, że jest nim w istocie. Czy tak nie będzie dla niego lepiej? Dotrzymał słowa danego ciotce i zrobił wszystko, co było w jego mocy, by Klara Amedroz została jego żoną. Jeżeli wołała przeciwstawić się własnemu szczęściu tylko dlatego, że powiedział kilka słów, które uważał za wskazane, czy nie lepiej będzie wziąć ją za słowo?

Tak myślał na razie. Jednak w miarę upływu dnia obudziło się w nim coś szlachetnego, coś, co graniczyło z uczuciem prawdziwej miłości. Teraz, kiedy nie należała już do niego, zapragnął ją odzyskać. Teraz, kiedy trzeba było znowu coś przedsięwziąć dla jej zdobycia, ogarnęło go na nowo męskie pragnienie czynu. Nie powinien był wspominać jej o obietnicy danej ciotce. Zdawał sobie sprawę, że słowa, które jej wtedy powiedział, wyrwały mu się przypadkowo, i że wobec tego postanowienie Klary nie było bezpodstawne. Da jej więc nową sposobność; przed udaniem się na spoczynek powziął postanowienie: odczeka dwa tygodnie, po czym napisze do niej ponawiając swoje oświadczenia z całą siłą uczucia, jaką tylko potrafi wyrazić. W drodze powrotnej do domu Klara nie była zadowolona ani z siebie, ani ze swego obecnego położenia. Podczas tych kilku szczęśliwych chwil była pełna radości na myśl, że będzie mogła ucieszyć ojca pomyślną nowiną. Wiadomość, którą zamierzała mu przynieść, uwolniłaby go od dalszej troski o jej przyszłość — tak sobie planowała. Natomiast to, co może mu powiedzieć teraz, bynajmniej go nie ucieszy. Będzie musiała wytłumaczyć, że ciotka nie zostawiła dla niej żadnego zapisu, oto wszystko, co ma do zakomunikowania. Co zaś dotyczy sumy tysiąca pięciuset funtów, to o sprawie tej nawet nie wspomni. Kiedy uprzytomniła sobie, co zaszło między nią a kapitanem Aylmerem, powzięła niezłomne postanowienie, że nie dotknie ani tych pieniędzy, ani żadnych innych, które by od niego pochodziły. Nie wspomni także ojcu, że jednego dnia zaręczyli się, a już nazajutrz uznali zaręczyny za niebyłe. Dlaczegoż miałyby powiększyć jego troskę mówiąc mu o tym, jaka dobra przyszłość ją czekała, gdyby potrafiła



zachować się rozsądnie. Nie, powie mu tylko o testamencie i pocieszy go, jak będzie umiała.

Jeżeli chodzi o jej stosunek do kapitana Aylmera, to im więcej o tym myślała, tym bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że między nimi wszystko się skończyło. Wprawdzie powiedziała mu, że ostateczne zerwanie nie jest konieczne, uczyniła to jednak w chwili, gdy usiłowała raczej osłabić stanowczość własnego postanowienia niż pozostawić sprawę otwartą.

Była pewna, że kapitan Aylmer będzie rad z możliwości wycofania się i że nigdy już nie znajdzie się w sytuacji, na jaką naraziła go ciotka uzyskując od niego obietnicę, która mogła okazać się dla niego fatalna. A co się tyczy jej samej, aczkolwiek kochała go — kochała go tak bardzo, że kryjąc łzy pod welonem wtuliła się w róg wagonu, rozmyślając o tym, co straciła — to jednak nie przyjęłaby go nawet wówczas, gdyby z całą żarliwością ponowił oświadczenia. Nie! Z pewnością nie! Żaden mężczyzna nie będzie jej uważał za brzemie, które zaciążyło na nim wskutek wymuszonej obietnicy! Co takiego? Ona miałaby pozwolić, by mężczyzna z poczucia obowiązku poświęcił dla niej życie? Zaczęła sobie powtarzać te przykre słowa, aż przyszła do przekonania, że padły one raczej z jego ust, a nie z jej własnych.

Pisząc do ojca z Perivale wspomniała tylko o śmierci pani Winterfield i o swoim zamierzonym powrocie do domu. Na stacji w Taunton czekał na nią tak dobrze znany jej stary wehikuł, z tak dobrze znanym jej stangretem, który zawiózł ją jak zwykle do domu. W miarę zbliżania się do Belton ogarniała ją coraz głębsza rozpacz, aż wreszcie zaczęła się lękać spotkania z ojcem. Co miała odpowiedzieć, gdy ojciec — jak się tego spodziewała — znów zacznie ubolewać nad czekającym ją ubóstwem?

Po przyjeździe do domu dowiedziała się, że ojciec jest na górze w sypialni. Służąca powiedziała, że był ostatnio chory i choć nie leżał w łóżku, nie schodził jeszcze na dół. Pobiegła więc do pokoju ojca i znalazła go siedzącego w starym fotelu przy kominku; uklękła u jego stóp, wzięła go za rękę i zapytała o zdrowie.

— Co pani Winterfield zapisała ci w testamencie? — Były to pierwsze słowa, jakimi ją powitał.

— Nie mówmy teraz o testamencie, papo. Przede wszystkim powiedz mi o sobie.

— Ależ to nonsens, Klaro. Odpowiedz na moje pytanie.

— Ach, papo, wolałabym, żebyś tak ciągle nie myślał o pieniądzach dla mnie.

— Mam o tym nie myśleć? Dlaczegoż bym miał o tym nie myśleć? A o czym mam myśleć? Powiedz mi natychmiast, co ci zapisała. Powinnaś była napisać mi o tym zaraz po otwarciu testamentu.

Nie było już wyjścia i prawda musiała wypłynąć na wierzch.

— Ciotka zapisała cały majątek kapitanowi Aylmerowi, papo, i sędzę, że

postąpiła słusznie.

— Czyżby zapisała mu wszystko?

— Zostawiła legaty dla służby.

— A tobie nic nie zapisała?

— Nic, papo.

— A więc naprawdę nic ci nie zostawiła? Absolutnie nic? W zachowaniu starego pana nastąpiła gwałtowna zmiana, twarz jego wyraziła tyle energii, energii wywołanej przez gniew, że Klara przestraszyła się i nie zdobyła na odpowiedź w tonie stanowczym, w jakim zwykle zwracała się do niego, kiedy pragnęła, by ją usłuchał.

— Więc nie zapisała ci nic, nic? — powtarzając te pytania odsunął córkę od swych kolan i z wysiłkiem wstał, opierając się o poręcz fotela.

— Drogi papo, niech cię to tak nie martwi.

— Doprawdy nic?

— Nic, papo. Pamiętaj jednak, że pani Winterfield nie była moją prawdziwą ciotką.

— Nie pleć głupstw, dziewczyno. Jak możesz mówić mi takie bzdury? A w dodatku chcesz, żebym się nie martwił! Dowiaduję się, że za rok czy dwa staniesz się żebraczką, a może nawet za parę miesięcy. I ma to mnie nie doprowadzać do rozpacz! Okazało się, że pani Winterfield była niegodziwą kobietą.

— Ach, papo, nie mów tak!

— Niegodziwą, nawet podłą. Tak zawsze postępują ci, co uważają siebie za bardziej świętych od swoich bliźnich. Była niegodziwa, gdyż zwabiła cię do siebie budząc w tobie fałszywe nadzieje.

— Ależ nie, papo, nie! Nie mogę się na to zgodzić! Nie dawała mi żadnych podstaw do takich nadziei.

— Powtarzam, że dawała, nawet jeżeli ci nic nie obiecywała. Tak jest, dawała. Czyż wszyscy dokoła nie byli przekonani, że ty właśnie będziesz jej spadkobierczynią?

— Nie wiem, co o tym ludzie mówili, nikt jednak nie miał prawa wyrażać takiego przekonania.

— Znow mówisz nonsensy, Klaro. Wiesz dobrze, że ja spodziewałem się tego, i ty także.

— Ależ nie, nie!

— Klaro, nie mów mi takich rzeczy!

— Domyślałam się, że nic mi nie zapisze, zresztą oznajmiła mi to, kiedy byłam u niej na wiosnę.

— Tak ci powiedziała?

— Tak, papo. Powiedziała mi wręcz, że kapitan Fryderyk Aylmer odziedziczy cały jej majątek. Dała mi do zrozumienia, co zamierza uczynić, i moim zdaniem

postanowienie jej było słuszne.

— Dlaczegoż więc wtedy, gdy wróciłaś do domu, nie powiedziałaś mi o tym ani słowa?

Drogi papo....

— Tak, drogi papo... Nazywasz mnie drogim papą, a sprawiłaś mi taki zawód.

— Nic dobrego by z tego nie wynikło, gdybym ci była powiedziała. Nic byś na to nie poradził.

— Postąpiłaś wobec mnie bardzo nielojalnie. Co zaś do niej, jej okrucieństwo i brak serca po prostu mnie zaskoczyły! Tak, zaskoczyły!... Doprawdy!... znając dobrze twoje położenie i tak często goszcząc cię u siebie, jakże mogła zostawić taki testament! Niegodziwa! Okazała się istotą zupełnie pozbawioną serca.

Klara poczuła, że ze względu na pamięć ciotki powinna ojcu coś więcej powiedzieć. Tymczasem cokolwiek by powiedziała, spotęgowałoby tylko jego przygnębienie i pogłębiło trudność jej własnej sytuacji. Gdyby wyszło na jaw, że ciotka zamierzała obdarzyć ją sumą tysiąca pięciuset funtów, naraziłoby to ją na nieskończone debaty na temat, iż powinna była sumę tę przyjąć od kapitana Aylmera. Czowała jednak, że teraz wolałaby raczej wyciągać rękę żebrząc o kawałek chleba niż skorzystać ze wspaniałomyślności byłego narzeczonego. Z drugiej strony jednak, jakże mogła wytłumaczyć ojcu, że pani Winterfield nie orientowała się w położeniu siostrzenicy — ojcu przecież mogłoby się wydawać, że córka oskarża go, że ją obrabował. Musiała jednak coś powiedzieć, gdyż pan Amedroz nie przestawał lamentować, że pani Winterfield nie miała serca, powtarzając to płaczącym tonem, który bardziej jeszcze ranił Klarę niż uprzedni wybuch jego gniewu.

— Bez serca — powtarzał — niegodziwa, bez serca, bez serca!

— Co tu długo mówić, papo — rzekła w końcu Klara — ciotka wspominając mi o swoim testamencie nie wiedziała, że nie posiadam żadnego zabezpieczenia ze strony mojej rodziny.

— Ależ, Klaro!...

— Przecież tak było naprawdę, papo; tak ciotka rozumiała moją sytuację. Nie mogłam wyprowadzać jej z błędu, bo to by pociągnęło za sobą prośbę o pieniądze.

— Przecież ciotka wiedziała wszystko o tym nieszczęsnym chłopcu.

Powiedziawszy to osunął się na fotel i ukrył twarz w dłoniach.

Po tych słowach Klara znów uklękła u jego stóp. Czowała, że postąpiła okrutnie, gdyż broniąc stanowiska ciotki nie oszczędziła własnego ojca, zarzucając mu nieopatrność i czyniąc mu wymówkę, że jej wyrządził krzywdę.

— Papo — zawołała — kochany... nie mów już więcej o tym. To nie przyda się na nic. Pieniądze to nie wszystko! Nie dbam o pieniądze! Zobaczysz, gdy przestaniemy mówić na ten temat, poczujemy się różniej.

— Jakże możemy przestać?

— Wcale nie musimy o tym mówić. Po co mielibyśmy poruszać temat tak dla nas przykry w sytuacji, której nie możemy zmienić?

— O Boże, Boże! — zaczął kołysać się w fotelu, lamentując nad własnym i córki losem oraz nad swoją nierozwagą w przeszłości, a łzy strumieniem ciekły mu po twarzy. Klara klęczała nadal u jego stóp, wpatrując się w ojca błagalnym, pełnym miłości spojrzeniem, prosząc go, by się uspokoił, i zapewniając, że wszystko znów będzie dobrze, muszą jednak zapomnieć o tej sprawie, a przede wszystkim przestać o niej mówić. Ale pan Amedroz biadał dalej oplakując jak dziecko swój los i odtrącając wszelką pociechę.

— Tak, wiem — rzekł — wszystko to z mojej winy, ale jak mogłem temu zaradzić? Co miałem zrobić?

— Ależ, papo, nikt nie twierdził, że to twoja wina, ani nikt tak nie myślał.

— Nigdy nie wydawałem pieniędzy na siebie. Nigdy... nigdy... a jednak, a jednak....

— Zdobądź się na większą odwagę, ojcze. Przecież nic by się nie stało, gdybym zaczęła zarabiać na kawałek chleba jak inne młode kobiety. To mnie nie przestrasza.

W końcu ogarnęła go apatia, jak gdyby zabrakło mu już sił, by dać wyraz swej rozpacz, a Klara wyszła z pokoju i zaczęła rozglądać się po domu, żeby sprawdzić, jak się sprawy układały podczas jej nieobecności. Od służby dowiedziała się, że ojciec niedomagał niemal od chwili, gdy wyjechała. Pan Amedroz kazał podawać sobie posiłki w sypialni i nie pamiętano, by podczas nieobecności córki wyszedł choć raz na przechadzkę. Kilkakrotnie zapytywał o pana Beltona i wydawało się, że pragnie jego odwiedzin; dowiadywał się również o stan bydła i prace w majątku. Klara powróciwszy do jego pokoju starała się nawiązać rozmowę na temat kuzyna. Pan Amedroz był jednak zbyt przejęty złą wiadomością o testamencie pani Winterfield, by pozwolił skierować rozmowę na inny temat, i w przykrym nastroju spędzili oboje ten wieczór w jego sypialni. Klara miała własne zmartwienia oraz troskę o ojca i ze względu na warunki, w jakich się znajdowała, nie mogła mieć pogodnego spojrzenia na świat. Zdobyła ukochanego, aby go zaraz utracić, w dodatku utraciła go w okolicznościach, które zraniły boleśnie jej kobiecą dumę. Aczkolwiek przez jeden wieczór byli zaręczeni, jednak nigdy nie kochał jej prawdziwie. Prosił, by została jego żoną, jedynie dlatego, że chciał spełnić wolę umarłej ciotki! Im dłużej o tym myślała, tym większą goryczą napełniało się jej serce. Jednocześnie trudno było nie myśleć o kuzynie. Biedny Will! Ten w każdym razie kochał ją prawdziwie, chociaż — jak wmawiała w siebie — miłość ta była krótkotrwała. Gdy myślała o nim, wydawało się jej, że to zaledwie wczoraj siedziała z nim na skale w parku. Natomiast myśląc o kapitanie Aylmerze czuła, że wieczność dzieli ją od chwili, kiedy się rozstali, mimo że dopiero wczoraj był jej narzeczonym i dopiero dziś rano zaręczyny te zostały

zerwane.

Nazajutrz był posepny, chmurny, listopadowy dzień. Klara poszła na przechadzkę do parku, pozostawiając ojca leżącego jeszcze w łóżku, i po pewnym czasie skierowała się do willi Askertonów. Zastała panią Askerton jak zwykle samotną w małym saloniku, siedzącą przy oknie z książką w ręku. Klara od razu spostrzegła, że przyjaciółka wcale nie czyta, ale siedzi zapatrzona w chmurne niebo, i widać było, że myśli jej błądzą gdzieś daleko. Klara zazdrościła pani Askerton, że mimo wielu godzin spędzanych samotnie była prawie zawsze w pogodnym nastroju, czasem jednak ogarniała ją melancholia i w takich chwilach nie mogła nagiąć się do normalnego trybu życia — wtedy przyznawała się, że dnie, tygodnie i miesiące dłużą jej się nieskończenie.

— A więc wróciłaś — rzekła pani Askerton, gdy wymieniły pierwsze słowa powitania.

— Tak, wróciłam.

— Przypuszczałam, że nie zostaniesz tam długo po pogrzebie.

— Nie, po cóż miałabym tam siedzieć?

— Ale kapitan Aylmer jeszcze pewnie stamtąd nie wyjechał?

— Gdy wyjeżdżałam, był jeszcze w Perivale.

Nastąpiła chwila milczenia; pani Askerton zawahała się, zanim zadała następne pytanie.

— Czy mogę wiedzieć, jak się przedstawia sprawa testamentu?

— Mam już dość tej sprawy! Gdybyś wiedziała, jak przykry jest ten temat dla mnie, nie zadawałabyś podobnego pytania. Nie sądz jednak, że temat ten jest dla mnie tak przykry dlatego, że testament o mnie nie wspomina.

— A więc nic ci nie zapisała?

— Nic. Ale nie dlatego nie znoszę tego tematu. Cała ta sprawa budzi we mnie odrazę. Powiedziała ci już wszystko, wszystko, co było do powiedzenia, choćbyśmy nawet mówiły przez cały tydzień. Bądź tak dobra i nie wspominaj mi już o tym ani słowem.

— Tak mi przykro.

— O, właśnie. Czy nie uważasz, że wyrazy współczucia w tym wypadku po prostu mnie obrażają? Bynajmniej nie życzę sobie, byś mnie żałowała.

— Nie mogłam się od tego powstrzymać!

— Ale nie musisz mi o tym wspominać. Przecież ja nie przychodzę tu po to, by wypytywać cię o twoje domniemane troski. Ty jesteś bogata, ale gdybyś była tak biedna, że mogłabyś pozwolić sobie tylko na suchy kawałek chleba, bynajmniej nie sprawdzałabym stanu twojej spiżarni. Udawałabym przed tobą, że możesz sobie pozwolić na drób i inne frykasy.

— O nie, kochanie, nie postąpiłabyś w ten sposób, gdybyś mnie kochała, jak ja kocham ciebie.

— A więc żałuj mnie, skoro chcesz, i dajmy już temu spokój. Pamiętaj jednak, ile muszę wycierpieć z powodu nieustannych rozmów na ten temat z biednym papą.

— O tak, wyobrażam sobie.

— A on ciągle nie domaga. Oczywiście, nie widziałas go od chwili mojego wyjazdu.

— Nie, nigdy go nie widuję, chyba że przechodzi obok naszej furtki.

Nastąpiła znów chwila milczenia.

— A co słyhać z kapitanem Aylmerem? — zapytała pani Askerton.

— Co chcesz o nim wiedzieć?

— Czy został jedynym spadkobiercą?

— Tak, jedynym.

— I to wszystko?

— Tak, to wszystko. Cóż więcej miałabym do powiedzenia? Stary dom w Perivale zostanie chyba zamknięty.

— Stary dom nic mnie nie obchodzi, choćby dlatego że ty w nim nie zamieszkaasz.

— Oczywiście. Dom ten nie będzie moim domem.

— Były jednak dwa sposoby, aby dom stał się twoim.

— Gdyby nawet było dziesięć sposobów, nie skorzystałabym z żadnego z nich,

— Jesteś taka skryta, że gdybyś miała nawet coś więcej do powiedzenia, nie powiedziałabyś nic.

— Powiedziałabym ci wszystko, co uważałabym za stosowne, teraz jednak nie widzę nic, co bym mogła ci powiedzieć stosownego albo niestosownego.

— Czy w tym, że pan Belton ci się oświadczył, było coś stosownego lub niestosownego? Wiedziałaś z pewnością, że tak będzie, przecież mówiłam, że ci się oświadczy. Czyż to jest aż tak niestosowne, żeby o tym nie można było wspomnieć?

Klara poczuła, że rumieniec, jaki wystąpił na jej twarzy, wyklucza wszelką próbę zaprzeczenia i że cokolwiek odpowie, będzie przyznaniem się, że tak było istotnie.

— Nie sądzę — rzekła — by panna postępowała taktownie względem konkurenta rozpowiadając takie historie.

— Wobec tego mogę ze swej strony stwierdzić — rzekła pani Askerton — że znane mi panny bywały na ogół nietaktowne.

— Ale któż mógł ci o tym powiedzieć?

— Kto mi powiedział? Moja pokojówka; oczywiście dowiedziała się od twojej pokojówki. O takich rzeczach ludzie od razu się dowiadują.

— Biedny Will!

— Doprawdy, biedny Will! On podobno ma znów tu niebawem przyjechać i może już nie być „biednym Willem”, jeżeli zechcesz. Ale co do mnie, bynajmniej

nie będę występować w roli jego adwokata. Mówię ci szczerze, że ten twój biedny Will nie bardzo mi się podoba.

— Według mnie jest bardzo miły.

— Musisz go nauczyć, że powinien być grzeczniejszy względem kobiet, to wszystko. Mogłabym ci jeszcze powiedzieć coś o tym biednym Willu, ale nie w tej chwili. Kiedyś dowiesz się o nim trochę więcej.

Klara nie zamierzała zadawać więcej pytań na temat tego, co pani Askerton ma do powiedzenia, więc pożegnała się i odeszła.

## ROZDZIAŁ XIII

### Pan William Belton przechadza się po okolicy

Klara Amedroz popełniła duży błąd w ocenie kuzyna Willa Beltona, kiedy zdawało się jej, że może przyjąć jego przyjaźń bez obawy, iż przyjaźń ta przeobrazą się w miłość. Drugim nie mniejszym błędem jej było przekonanie, że miłość jego była równie krótkotrwała jak gwałtowna. Podczas powrotnej podróży do Plaistow Will Belton nie myślał o niczym innym jak o swoim uczuciu do Klary i postanowił wytrwać, to powtarzając sobie, że w końcu wysiłki jego zostaną uwieńczone powodzeniem, to bojąc się, że spotka go jedynie rozczarowanie i ból jego na nowo się odrodzi. W każdym razie powiedział sobie stanowczo, że cokolwiek nastąpi, on musi wytrwać. W jego przekonaniu brak wytrwałości w dążeniu do jakiegokolwiek raz obranego celu byłby oznaką niemęskiej słabości i pozbawiłby go szacunku do samego siebie. Gdy go ogarniał żartobliwy nastrój, zwykł był mówić, że o ile nie udałoby mu się osiągnąć tego czy owego, przestałby sam ze sobą rozmawiać.

Z żadnym mężczyzną nie mówił o swojej miłości z takim uniesieniem, istniała jednak pewna kobieta, której opowiadał o swojej miłości, i aczkolwiek nie zdobyłby się na poruszenie tego tematu w sposób żartobliwy, treść jego słów świadczyła, że nie zmienił swego nastawienia. Zostać ostatecznie odrzuconym i móc się z tym faktem pogodzić to budziłoby w nim niemal wzdęty do samego siebie.

Kobietą tą była jego siostra, Mary Belton. Może czytelnik pamięta, że o tej osobie wspomniano już wyżej. Była od niego starsza o rok czy dwa, mieszkała zawsze razem z nim, nie miała jednak tych cech młodzieńczych, jakimi odznaczał się jej brat. Była biedną kaleką, niezdolną do wychodzenia poza obręb własnego ogrodu, słabowitego zdrowia, drobna, niemal karliczka, pozbawiona wszystkich zwykłych uciech na skutek fizycznej ułomności, co sprawiało, że życie stało się dla niej ciężarem. Przyjmowanie posiłków przychodziło jej z trudem, jeżeli nawet nie wywoływało bólu. We śnie nie znajdowała pokrzepienia, a zmęczenie, któremu

ulegała za dnia, sprawiało, że noce dłużyły jej się w nieskończoność. Była jedną z tych istot, które budzą w nas refleksje co do nierówności ludzkich przeznaczeń oraz wątpliwości, czy kiedykolwiek nastąpi za to nagroda.

Panuje przekonanie, że te drobne, garbate istoty odznaczają się złośliwym charakterem i ich usposobienie jest tak przykre jak ich wygląd. Nikt jednak nie powiedziałby tego o Mary Belton. Przyjaciół miała wprawdzie nielicznych, ale ci, co ją dobrze znali, kochali ją za jej zalety i gotowi byli przysiąc, że jest istotą po prostu doskonałą. Największą radość dawało jej przekonanie, że wśród tych kilku przyjaciół znajdował się jej brat. Miłość Willa Beltona do siostry graniczyła z uwielbieniem, a jego przywiązanie do niej było tak gorące, że we wszystkich okolicznościach życiowych na pierwszym miejscu stawiał dobro siostry. Ze swej strony Mary, wiedząc o tym, obawiała się, że stanie się zawadą w jego karierze czy też kamieniem na drodze do jego szczęścia. Czasem zdawało się jej, że Will ożeniłby się wcześniej, gdyby nie stanowiła dlań przeszkody. Czasem groziła mu żartobliwie — a żartować potrafiła — że go opuści, jeżeli nie wprowadzi nowej pani do dworu w Plaistow.

— Zamieszkać u wuja Roberta — zwykła była mówić. Wuj Robert, o którym już wspominaliśmy, był pastorem w Lincolnshire. Zarówno on, jak i jego żona należeli do tych kilku przyjaciół, którzy w Mary pokładali niezachwiane zaufanie. — Pójdę do wuja Roberta — powtarzała — a wtenczas będziesz musiał znaleźć sobie żonę.

— Gdyby kiedykolwiek moja siostra miała opuścić mój dom, bez względu na to, czy byłaby w nim moja żona, czy też nie — odpowiedział Will — to już nigdy nie odzyskałbym zaufania do żadnej kobiety.

Dom, a raczej dwór, w Plaistow był okazałym ceglany budynkiem o architekturze sięgającej czasów Tudorów, z mnóstwem przycółków i niezliczoną ilością wysokich kominów. Dom ten, bardzo malowniczy dla oka, nie był jednak tak wygodny jak obecne współczesne dwory zamożnego angielskiego ziemiaństwa. Istotnie, dom ten mógł być przedmiotem krytycznych uwag, które w pewnej mierze usprawiedliwiały sarkazm pana Amedroza, z jakim się doń odnosił, nazywając go po prostu domem farmera. Ogrody należące do domu były rozległe i piękne, jednak nie otaczały go dokoła, a budynki folwarczne przylegały doń z dwóch stron. Drzwi, które powinny były służyć jako drzwi frontowe, prowadziły bezpośrednio z największego pokoju, przemienionego obecnie z hallu na kuchnię, wprost na dziedziniec folwarczny. W najdalszym końcu dziedzińca rosła wspaniała aleja wiązów, ciągnąca się poprzez pastwisko aż po żywopłot w głębi. Że między dwoma rzędami drzew znajdowała się ongiś droga, było rzeczą oczywistą, i istotnie dawniej długa aleja prowadziła do domu z tej strony. Obecnie jednak nie było już śladu po tej drodze i główne wejście do dworu Plaistow Hall znajdowało się przy końcu wąskiej ścieżki wiodącej poprzez ogród od strony nowoczesnej szosy, którą



jakby na przekór zbudowano tuż koło domu. Takim był dwór w Plaistow i taka była jego pani. Co do pana domu, sędzę, że czytelnik tak dużo już o nim wie, że dalszy opis staje się zbyteczny.

Belton, powracając późnym sierpniowym wieczorem ze stacji kolejowej do domu, postanowił opowiedzieć siostrze całą historię o Klarze Amedroz. Siostra zawsze pragnęła, by się ożenił, a teraz on sam zamierzał to uczynić. Chociaż Mary miała niewiele sposobności do poznania stosunków towarzyskich, panujących między ludźmi, ani żadnego w tym względzie doświadczenia, Beltonowi wydawało się, że siostra zawsze wie, jak należy postąpić w danych okolicznościach życiowych, że zawsze będzie dla niego serdeczna i potrafi mu dodać otuchy, nawet wtedy gdy nie może mu dać nadziei. Co więcej, Mary można było powierzyć tajemnicę, a Belton, podobnie jak inni mężczyźni, odczuwał boleśnie fakt, że jakaś kobieta mogła odrzucić jego miłość. Kobiety zakochane bez wzajemności często pragną niemal, by wszyscy o tym wiedzieli. Lubią tajemniczo wspominać o swych porażkach, opowiadają własne dzieje pod zmyślonymi nazwiskami i odczuwają przy tym rodzaj gorzkiej rozkoszy, zrodzonej z bólu swego romantycznego przeżycia. Natomiast mężczyzna odepchnięty, odepchnięty ostatecznie, z czego dobrze sobie zdaje sprawę, niechętnie zwykł mówić lub słuchać o tym i rad by wymazać ten epizod z pamięci, gdyby to tylko było możliwe.

Nie pierwszego wieczoru jednak zamierzał mówić z siostrą o Klarze Amedroz. Nie chciał, by Mary wiedziała, że jego serce jest tak przepełnione miłością, iż niezdolny jest myśleć o niczym innym. Mary nie spała jeszcze, oczekując jego przybycia z przygotowaną dlań kolacją — herbatą ze śmietanką i owocami.

— Mary — powitał ją — dlaczego jeszcze nie śpisz? wiedziałaś przecież, że przyjdę do ciebie na górę.

Wy tłumaczyła mu z uśmiechem, że nie mogła sobie odmówić przyjemności spędzenia z nim małej godzinki zaraz po jego powrocie.

— Naturalnie — rzekła — byłam ciekawa dowiedzieć się, jakiego rodzaju są ci ludzie.

— Pan Amedroz — odpowiedział Will — jest starszym przystojnym panem, a jego córka młodą, przystojną panną.

— Określenie to jest wprawdzie obrazowe, ale krótkie.

— On jest słabego zdrowia i niezbyt mądry, ona zaś silna i...

— Mam nadzieję, że nie jest również niemądra?

— Wszystko, ale nie to. Powiedziałbym nawet, że jest bardzo mądra.

— Obawiam się, że ci się nie spodobała.

— Ależ owszem.

— Doprawdy?

— Tak, naprawdę.

— A czy miło cię przyjęła?

— Bardzo miło. Była mi nawet wdzięczna, że przyjechałem.

— A pan Amedroz?

— On również był rad z mego przyjazdu.

— Doprawdy? Mimo tak chłodnego listu?

— Tak jest. Opowiem ci to wszystko po kolei. Wziąłem cały majątek w dzierżawę i mam tam powrócić na Boże Narodzenie. A co się tyczy starszego pana, pragnąłby, o ile to możliwe, abym tam zamieszkał na stałe.

— Dlaczego, Will?

— Czy to niedziwne? Jestem rad, że po otrzymaniu jego listu nie zaniechałem tej podróży. A teraz doprawdy sam nie wiem, co mam robić.

Te ostatnie słowa powiedział wolno i głosem przyciszonym, a Mary od razu zorientowała się, że nie wszystko jest tak, jak być powinno.

— Czy coś się stało, Will?

— Nie, nic złego się nie stało, to znaczy, wcale nie żałuję, że tam pojechałem. Sądzę nawet, że uczyniłem dla nich dużo dobrego.

— Pojechałeś tam po to.

— Chcieli mieć przy sobie kogoś, kto byłby im tak bliski, jak gdyby należał do rodziny. On już jest za stary i zbyt schorowany, by mógł zajmować się prowadzeniem gospodarstwa, a wszyscy dokoła oczywiście go okradali. Wydaje mi się, że położyłem temu kres.

— A więc wracasz tam na Boże Narodzenie?

— Tak. Wujostwo poradzą sobie beze mnie, a i ty będziesz z nimi. Wydzierżawiłem ziemię, kupiłem już trochę bydła i mam zamiar dokupić jeszcze więcej.

— Mam nadzieję, że nie przyniesie ci to strat.

— Nie, to znaczy niekoniecznie. Muszę doprowadzić majątek do dobrego stanu, a odzyskam swój wkład po śmierci pana Amedroza w ten czy inny sposób. Zresztą te niewielkie pieniądze nie mają znaczenia. Jestem im to winien za to, że pozbawiam ją dziedzictwa.

— Ależ ty bynajmniej nie pozbawiasz jej dziedzictwa.

— A jednak to dla niej ciężkie przeżycie.

— Więc ona bardzo nad tym cierpi?

— Jakikolwiek są jej uczucia w tej sprawie, jest zbyt dumna, by je okazać.

— Ciekawa jestem, czy ci się spodobała.

— Tak, bardzo mi się spodobała, pokochałem ją ponad wszystko w świecie, nawet goręcej niż ciebie, Mary. Poprosiłem ją, żeby została moją żoną.

— Ach, Will!

— Ona zaś odrzuciła mnie. Teraz wiesz już wszystko — wszystko, co robiłem, gdy mnie tu nie było.

Staął przed nią, wsunawszy kciuki w wycięcie pach kamizelki, w postawie

poważnej, niemal uroczystej, aczkolwiek uśmiech nie zniknął z jego twarzy.

— Ach, Will!

— Chciałem ci powiedzieć wszystko, Mary, nie zamierzałem jednak uczynić tego już dzisiaj: po prostu słowa wymknęły mi się, jak się to mówi: z szczerego serca mego mowy moje.

— Gdyby cię nie pokochała, nigdy bym jej tego nie przebaczyła.

— Dlaczego? To do ciebie niepodobne, Mary. Dlaczego musi mnie pokochać? Czy tylko dlatego, że ja ją pokochałem?

— Czy ona kocha innego?

— Tego nie wiem. Nie pytałem jej o to. Nie zapytałbym za nic w świecie, aczkolwiek oddałbym wszystko, żeby wiedzieć.

— Czy jest taka piękna?

— Piękna? To nie dość trafne określenie, chociaż jest naprawdę piękna, ale... ale, nie wiem dlaczego, jest to jedyna dziewczyna na świecie, którą pragnąłbym mieć za żonę. Tak już jest.

— Drogi mój!

— Nie chcę cię męczyć przez całą noc. Ale powiem ci jeszcze coś. Otóż nie pozwolę, by miłość złamała mi serce. Dodam jeszcze, że mimo wszystko nie myślę o rezygnacji.

Zdaje mi się, że się zachowałem jak szalony. Naprawdę oszalałem. Zabrałem się do tego jak do kupna konia i zaproponowałem sprzedawcy cenę, którą mógł przyjąć lub odrzucić. Jakże mogłem przypuszczać, że w ten sposób zdobędę dziewczynę, szczególnie taką jak Klara Amedroz?

— Byłbyś jednak dla niej doskonałą partią.

— Nie jestem tego taki pewny, Mary. Jest ode mnie znacznie bardziej wykształcona i mogłaby wyjść za kogoś stojącego znacznie wyżej ode mnie. Dziś nie powiem już na ten temat ani słowa, za to jutro, jeżeli będziesz się dobrze czuła, będę ci o tym mówił przez cały dzień.

W chwilę później zaprowadził siostrę na górę do jej pokoju, łamiąc oczywiście dane przyrzeczenie, że nie przemówi już ani słowa, po czym wyszedł, by przy świetle księżyca obejść cały dwór. Błądził po ogrodzie, dziedzińcu i alei, udając sam przed sobą troskę o swą posiadłość, lecz myślał o niej raczej niewiele, natomiast więcej o własnych sprawach miłosnych. Całym sercem pragnął miłości, lecz wydawało mu się, że miłość ta jest nie do osiągnięcia, absolutnie nie do osiągnięcia. Czuł się słaby i wyczerpany tęsknotą, podobnie jak Achab był wyczerpany pożądaniem winnicy Nabota\*. Czym był dla niego świat cały wobec tego, że nie mógł zdobyć przedmiotu swej miłości? Zapewniał siostrę, że miłość ta

\* Achab (IX p.n.e.) – król Izraela: kazał ukamienować Nabota za to, że ten nie chciał sprzedać mu swojej winnicy.

nie złamie mu serca, i nie wątpił, że tak będzie istotnie. W jego przekonaniu mężczyzna czy kobieta, mający serce złamane miłością, z miłości tej powinni umrzeć, on jednak czuł, że taki los nie będzie jego udziałem. Czuł niemal namacalnie dotkliwą pustkę w piersiach i zdawał sobie sprawę, że nigdy już nie zazna szczęścia, o ile nie zdobędzie Klary Amedroz. Stał oparty o drzewo, zacisnąwszy dłonie, buntując się przeciwko własnej słabości, która doprowadziła go do takiego stanu. Cóż wart jest mężczyzna, który nie umie zapanować nad samym sobą tak jak on w danej chwili?

Po pewnym czasie wrócił przez dziedziniec do domu, wszedł drzwiami kuchennymi, które zamknął na klucz i zaryglował, a następnie usiadł w drewnianym fotelu, stojącym zwykle obok ogromnego komina, wziął z półki krótką fajkę, napełnił ją tytoniem, prawie bezwiednie zapalił i głęboko zaciągnął się dymem. Poczł głęboką niechęć do Plaistow Hall i już zatęsknił do Belton, które dopiero dziś rano opuścił. Tak, jeszcze tego ranka przyniosła mu kawę, spoglądając na niego z takim słodkim wdziękiem, tak mile, gdy mu usługiwała. Mógł był wtedy szepnąć jej jedno słowo, jedno błagalne słówko, nie był jednak dość zręczny, by to właściwe słowo znaleźć. Czyż nie ta jego niezręczność sprawiła, że doprowadził się do tak rozpaczliwego stanu? Jakim prawem spodziewał się, że jakakolwiek dziewczyna zakocha się w człowieku takim jak on od pierwszego wejrzenia, nie badając nawet własnego serca? Dlaczego mając ją tak blisko, że mógł pochwycić ją w ramiona, pozwolił Klarze odejść nie próbując nawet jej pocałować? Zdawało mu się, że gdyby choć raz ją pocałował, byłoby to dla niego pociechą w obecnym strapieniu.

— A niech to diabli... — zawołał w końcu, zrywając się z miejsca; kopnął fotel i rzucił fajkę w popiół paleniska.

To chyba zrozumiałe, iż przekleństwo to skierował do samego siebie, a nie do ukochanej, wołając w tak ordynarny sposób: „A niech to diabli!” — Kopnął jeszcze raz fotel, żeby mu nie stał na drodze, i położył się do łóżka.

Ciekaw jestem, czy serce Klary zmięknęło, czy też, przeciwnie, opancerzyło się jeszcze bardziej, gdyby usłyszała to przekleństwo, i czy zrozumiałaby myśli Willa oraz motywy, jakimi się kierował?

Nazajutrz rano Mary Belton czuła się zbyt słaba, by zejść na dół, zaś jej brat spędził dzień na farmie, przebywając wśród żniwiarzy i stert pszenicy aż do dziewiątej wieczorem. Tego dnia o Klarze Amedroz nie rozmawiano już więcej. Nadeszła niedziela i nastąpiła chwila, kiedy oboje musieli poruszyć temat, który ich tak bardzo interesował. Will udał się do kościoła i, jak było ich zwyczajem, natychmiast po jego powrocie zasiedli do obiadu; po czym, ponieważ dzień był bardzo ciepły, wyprowadził siostrę do ogrodu, do jej ulubionego zakątka, i nastąpiła chwila, kiedy już nie mogli powstrzymać się od dalszej rozmowy.

— Więc naprawdę zamierzasz powrócić tam na Boże Narodzenie? — zapytała Mary.

— Oczywiście pojedę, przecież obiecałem.

— Wobec tego jestem pewna, że pojedziesz.

— Będę musiał jeździć od czasu do czasu, bo wydzierżawiłem tam ziemię. Zawarliśmy coś w rodzaju umowy, że będę prowadził gospodarstwo pana Amedroza.

— A czy ona życzy sobie, byś do nich przyjeżdżał?

— Tak, tak przynajmniej mówi.

— Zdaje mi się, że dziewczęta nie zawsze wierzą w stałość męskiej miłości. Sądzą, że mężczyzna po otrzymaniu rekuzy potrafi przestać kochać i że wszystko może się ułożyć tak jak przedtem.

— Mam wrażenie, że ona tak właśnie o mnie myśli — powiedział z żalem.

— Chyba tak albo chce mieć możliwość poznać cię bliżej i polubić.

— Nie, nic podobnego. Ona jest szczerą jak złoto.

— Chyba nie życzyłaby sobie twego przyjazdu, gdyby nie była przekonana, że potrafisz przewyciężyć swoją miłość albo jej obojętność. Pewnie nie chciałaby, byś tam przyjechał i czuł się nieszczęśliwy.

— Zanim prosiłem, by została moją żoną, przyrzekłem, że będę jej bratem. I tak się stanie, jeżeli tylko będzie kiedyś potrzebowała brata. Nie opuszczę jej dlatego, że nie może spełnić tego, czego pragnę, i stać się dla mnie tym, kim bym chciał. Zresztą ona to rozumie i to nie będzie powodem nieporozumienia między nami.

— Nie miałyby jednak serca, gdyby zachęcała cię do przyjazdu tylko po to, byś jej pomógł, wiedząc jednocześnie, że w jej obecności czujesz się nieszczęśliwy.

— Ależ ona nie jest bez serca.

— W takim razie sądzi, że ty jesteś bez serca.

— Klara pewno myśli, że nie zależy mi tak bardzo na tym. Oświadczając się jej, ogromnie ją zaskoczyłem i wydaje mi się, że wzięła mnie wtedy za wariata.

— A czy ponawiałeś swoje oświadczyzny?

— Nie, ani słowem. Nie dziwiłbym się nawet, gdyby o tym zapomniała, zanim zdążyłem wyjechać.

— To byłoby wprost niemożliwe.

— Nie mówiłabyś tego, gdybyś wiedziała, w jaki sposób to zrobiłem. Stało się to wszystko w ciągu pół godziny, a ona dała mi taką odpowiedź, że nie mogłem już dodać ani słowa. Tego ranka kiedy wyjeżdżałem, wydała mi się nieco łaskawsza.

— Ciekawa jestem, czy jest zajęta kim innym.

— I ja często o tym myślałem. Ale przecież nie mogłem jej o to zapytać. Nie miałem prawa wdzierać się w jej tajemnice. Kiedy wyjeżdżałem, wstała, aby mnie pożegnać, wtedy poczułem gwałtowną chęć, by ją zanieść do bryczki i porwać.

— Nie przypuszczam, by to się na co przydało.

— Zdaje mi się, że tu już nic nie pomoże. Wiemy, jak to bywa z dzieckiem, któremu zachciało się gwiazdki z nieba. Dzieciak musi obyć się bez tej gwiazdki. Idzie spać i zapomina, ale gdy ja się kładę, to nie mogę zapomnieć,

— Biedaku!

Belton wstał, otrząsnął się, przeszedł kilka kroków po ogrodzie, nie oddalając się zbyt od krzesła, na którym siedziała siostra. W duszy jego toczyła się ciężka walka, starał się opanować własną słabość zrodzoną z miłości, obstając jednak przy postanowieniu, że miłości tej nie wyrzeknie się.

— Wolałbym, żeby dziś był dzień powszedni — rzekł w końcu — mógłbym zabrać się do jakiejś pracy. Gdybym wiedział, że nikt mnie nie widzi, po prostu chętnie załadowałbym wóz czy dwa nawozem, mimo że dziś jest niedziela. Słuchaj, pójdę się przejść aż do Denvir Sluice i wrócę na herbatę, chyba nie masz nic przeciw temu?

— Przecież do Denvir Sluice jest aż osiem mil!

— Właśnie, to mi zajmie cokolwiek więcej niż trzy godziny.

— Ale dziś jest szalony upał!

— To mi dobrze zrobi. Potrzebuję czegoś, co by zwróciło moje myśli na inne tory. Wiem, że powinienem zostać i poczytać ci trochę, ale nie jestem wprost w stanie. Dręczy mnie jakiś niepokój, rozumiesz mnie. Gdyby teraz zapalił się jakiś stóg siana lub coś w tym rodzaju, to by mi dopiero pomogło.

I w ciągu trzech godzin odbył spacer do Denvir Sluice i z powrotem. Droga z Plaistow do Denvir Sluice nie była zajmująca. Przebiegała przez równinę pozbawioną zupełnie drzew. Cała droga była zbudowana na wale obok szerokiej grobli i ciągnęła się przez pięć mil prosto jak strzelił. Trudno by znaleźć w całej Anglii drogę równie niemalowniczą, prócz tego była pełna kurzu, a słońce paliło w głowę. Niemniej jednak szedł wytrwale naprzód, aż dotarł do wodospadu zwanego Denvir Sluice i dotknąwszy go laską zawrócił w powrotną drogę nie zwalniając kroku i idąc cały czas z szybkością przeszło pięciu mil na godzinę. Mówi się zwykle, że zimny pudding ostudza męską miłość, ale recepta, którą zastosował Belton, polegała na szesnastomilowym poobiednim spacerze drogą pełną kurzu w sierpniowe upalne południe. Widocznie zrobiło mu to dobrze. Powróciwszy do domu wypił spory haust piwa domowego wyrobu, następnie poszedł na górę, aby się przebrać.

— Jak się czujesz? — zapytała Mary, gdy ukazał się na chwilę w bawialni.

— Przez całą drogę tam i z powrotem szedłem z szybkością pięciu mil na godzinę.

Mary wywnioskowała z tej odpowiedzi, że ruch zrobił mu dobrze, bo cieszył się ze swego wyczynu piechura.

— Mam nadzieję, że po tym spacerze nie dostaniesz gorączki — rzekła.

— Tylko ludzie, którzy nie używają ruchu, dostają gorączki — odpowiedział

Belton. — Wysilek fizyczny nigdy nikomu nie zaszkodzi. Gdyby John Bowden odbywał codzienny spacer, robiąc pięć mil na godzinę, nie miałby tak często ataków podagry.

John Bowden był ich sąsiadem z najbliższej parafii i Mary cieszyła się, widząc, że brat jest dumny ze swego wyczynu.

Stopniowo panna Belton zapoznała się ze wszystkim, czego brat dokonał w Belton Castle, i mogła mu służyć radą.

— Widzisz więc — rzekła — że kobiety są inne niż mężczyźni i nie mogą sobie pozwolić na zakochanie się od pierwszego wejrzenia.

— Nie wiem, czy ktokolwiek potrafi się przed tym obronić. Miłość to nie skok do rzeki, kiedy można skoczyć lub nie, jak kto woli.

— A mnie się zdaje, że miłość ma coś wspólnego ze skokiem do rzeki, i że można się przed nią obronić. Natomiast nie można nie zanurzyć się, gdy się już raz skoczyło do wody.

— Ależ, do licha, nie. Z tej rzeki nie można się wydostać.

— A kobiety nie skaczą, dopóki się nie zastanowią, co je czeka dalej. Może postąpiłaś wobec niej zbyt porywczo.

— Masz rację. Oczywiście zachowałem się jak wariat, a w dodatku jak brutal.

— Brutalem z pewnością nie byłeś i nie przypuszczam, byś zachował się jak wariat, natomiast byłeś zbyt porywczy. Widzisz, kobieta nie zawsze może się zakochać w jednej chwili tylko dlatego, że ktoś jej się oświadcza. Musi mieć trochę czasu, by się zastanowić, zanim da odpowiedź.

— A ja nie dałem jej na to ani minuty.

— Ty nigdy nie czekasz ani minuty na odpowiedź, czy tak nie jest, Will? Masz tam jednak powrócić na Boże Narodzenie, a do tego czasu Klara będzie mogła przemyśleć całą tę sprawę.

— Więc przypuszczasz, że mogę mieć jeszcze nadzieję?

— Oczywiście.

— Mimo że tak zdecydowanie mnie odrzuciła?

— Mówiła to, co myślała i czuła wówczas. Ale wszystko zależy od tego, czy nie jest zajęta kim innym. Może już się z kimś zaręczyła.

— Oczywiście, to możliwe.

Tu Belton wyobraził sobie najskrajniejszą możliwość w przekonaniu, że każdy kawaler, zobaczywszy Klarę, chciałby ją poślubić, natomiast nie widział żadnego mężczyzny, który byłby godny jej miłości.

W dwa tygodnie po powrocie do domu nadszedł do niego list od Klary, który wydał mu się prawdziwym skarbem. Co prawda Klara donosiła mu jedynie o ukończeniu obory dla bydła, o zdrowiu ojca i o tym, że ofiarowana przez niego krówka daje już mleko, ale list był podpisany słowami: „Twoja oddana kuzynka”, co mu sprawiło wielką radość. List był zakończony dwoma wierszami

postscriptum, które mu niezmiernie pochlebily: „Papa oczekuje z niecierpliwoscia Bozego Narodzenia, kiedy do nas tu przyjedziesz, i ja rowniez.” Prawde mowiac Klara pisala ten list przed wyjazdem do Perivale i przed smiercia pani Winterfield. Oczywiscie niejedno zdarzylo sie w jej zyciu w okresie miedzy wyslaniem tego listu a pobytem Willa Beltona w Belton Castle.

Wreszcie nadeszlo tak dlugo wyczekiwane przez Willa Boze Narodzenie, kiedy mogl juz wyruszyc w droge. Przy tej sposobnosci mial zatrzymac sie przez caly tydzien w Londynie, by zobaczyc sie ze swoim radca prawnym, mial tez nadzieje, ze spedenie kilku wieczorow w teatrach stolicy pozwoli mu zapomniec o milosnych troskach.

## ROZDZIAŁ XIV

### Pan William Belton przechadza się po Londynie

W czasie gdy rozwija się moja opowieść, w dzielnicy Lincoln's Inn, w Stone Buildings, prowadził kancelarię pewien ceniony adwokat, niejaki pan Green, pracujący z dużym pożytkiem dla siebie samego i swojej rodziny, jak również na pożytek i dobro liczego grona klientów. Był to człowiek szanowany w okolicach Chancery Lane oraz bez wątpienia lubiany w okolicach Bushey, gdzie w uroczym wiejskim otoczeniu posiadał milutką willę i ozdobny ogródek. Z prywatną siedzibą pana Greena nie będziemy mieli dalej nic wspólnego, natomiast należy zapoznać czytelnika z jego osobą w kancelarii w Stone Buildings. Był to człowiek blisko czterdziestoletni, o bardzo jeszcze młodzieńczym usposobieniu, miły towarzysz, jak również dobry prawnik, znający doskonale ludzi oraz stosunki londyńskie, co jest często spotykaną cechą przyjemnych, rozumnych ludzi w rodzaju pana Józefa Greena. Otóż pan Green, a przed nim jego ojciec, byli radcami prawnymi rodziny Amedrozów, a nasz pan Józef Green doświadczył niejednej przykrości z powodu Karola Amedroza w ostatnich latach życia tego nieszczęsnego młodzieńca. Prawnicy jednak potrafią wytrzymać takie przykrości, znosząc wybryki i kłopoty, a nawet podłości ze strony niektórych członków rodzin swoich klientów z godną podziwu cierpliwością. Teraz skończyły się tego rodzaju sprawy między panem Greenem a rodziną Amedrozów i pan Green usiłował już tylko uratować dla pana Amedroza resztkę jego mienia.

Był on również radcą prawnym naszego przyjaciela Willa Beltona, gdyż między ich rodzinami istniały pewne związki pokrewieństwa, i nieraz usiłował zapewnić starego klienta w Belton Castle o swoim głębokim przekonaniu, że przyszły spadkobierca jest człowiekiem wspaniałomyślnym, któremu we wszystkim można zaufać. Ale stary ziemianin puszczał to mimo uszu, gdyż z natury nie dowierzał



nikomu.

— Rozumiem — zwykł był mówić do córki. — Wszystko to rozumiem. Belton i pan Green byli zawsze serdecznymi przyjaciółmi i dlatego nie mogę już mieć zaufania do mojego radcy.

Świadczyło to o niewdzięczności starego pana. Należy jednak podkreślić, że podejrzewał on wszystko i wszystkich aż do chwili, gdy Belton przyjechał z wizytą do rodzinnego majątku.

Kilka dni przed Bożym Narodzeniem zjawił się u pana Greena klient, znany już czytelnikom, a był nim ni mniej, ni więcej tylko pan poseł z okręgu Perivale. Po wyjeździe Klary do Belton Castle kapitan Aylmer zdecydował się ponowić swoje oświadczyzny listownie. Od tego czasu minął już miesiąc, a list dotychczas nie został wysłany. Mimo to postanowienia nie zmienił. Był człowiekiem rozważnym i nie zwykł był załatwiać podobnych spraw tak szybko jak jego rywal. W tym wypadku uważał za stosowne postąpić ostrożnie i niejednokrotnie zastanowić się nad tą sprawą, zanim poweźmie stanowczą decyzję. Dotychczas nie rozporządził również sumą tysiąca pięciuset funtów, które miał ofiarować Klarze z woli ciotki i którą to sumę Klara wzbraniała się przyjąć. W końcu wypłacił ją, nabywając za tę sumę obligacje państwowe na jej nazwisko, i udał się do pana Greena, aby ten jako radca prawny Klary powiadomił ją o tym.

— Sądzę, że sprawa ta jest załatwiona? — zapytał kapitan Aylmer.

— Z mojej strony tak — rzekł adwokat. — Oczywiście napiszę do niej i wytłumaczę, jak ma odbierać procenty od tej sumy. Jestem bardzo rad, że ciotka panny Klary pomyślała o niej przed śmiercią.

— Pani Winterfield byłaby już dawniej ją zabezpieczyła, gdyby wiedziała, że cały majątek został roztrwoniony przez tego nieszczęsnego młodzieńca.

— Wszystko dobre, co się dobrze kończy. Tysiąc pięćset funtów to lepiej niż nic.

— Czy ta suma nie wydaje się panu wystarczająca? — spytał kapitan czerwieniąc się.

— Nie do mnie należy wyrażać o tym opinię, panie kapitanie. Zależy to od praw, które sobie ktoś rości, a te znów zależą od stosunku, jaki łączył zmarłą panią Winterfield z jej siostrzenicą.

— Czy panu wiadomo, że panna Amedroz nie była wcale siostrzenicą pani Winterfield?

— Niech pan nie sądzi, że pozwalam sobie wyrażać ujemne zdanie o wysokości zapisu. Cieszę się, że jest choć taki, gdyż inaczej panna Amedroz nie otrzymałaby nic, dosłownie nic.

— Napisze pan wprost do niej?

— Tak, napiszę wprost do niej. Ona ma lepszą głowę do interesów niż jej ojciec. A zresztą suma ta należy wyłącznie do niej i może nią rozporządzać, jak jej się

podoba.

— Chyba nie może odmówić przyjęcia tej sumy?

— Odmówić?

— Gdyby nawet nie chciała jej przyjąć, suma ta prawnie należy do niej, jak gdyby rzeczywiście była zapisana w testamencie, prawda?

— Hm, sam nie wiem. Przecież pan mógłby odmówić wypłacenia tej sumy. Ale skoro pan to już uczynił, sprawa jest załatwiona.

W tej chwili do pokoju wszedł urzędnik i wręczył pryncypałowi kartę wizytową.

— Otóż i spadkobierca we własnej osobie — powiedział pan Green.

— Jaki spadkobierca?

— Will Belton, przyszły dziedzic majątku będącego w posiadaniu pana Amedroza.

Kapitan Aylmer pośpiesznie oświadczył, że dotąd nie zna osobiście pana Beltona, ale słyszał o nim tyle, że pragnąłby go poznać. Wobec tego wprowadzono naszego przyjaciela Willa do pokoju i dwaj rywale do ręki Klary zostali sobie przedstawieni. Każdy z nich słyszał dużo o drugim i każdy słyszał to od tej samej osoby. Jednak kapitan Aylmer wiedział dużo więcej o Beltonie niż Belton o nim. Kapitanowi było wiadomo, że Belton oświadczył się Klarze i że został odrzucony, wiedział również, że Will wybiera się raz jeszcze do hrabstwa Somerset.

— Podobno pan zamierza spędzić święta u naszych wspólnych przyjaciół w Belton Castle — rzekł kapitan.

— Tak, właśnie tam jadę. Zdaje mi się, że i pan zna ich dobrze!

Później nastąpiły wyjaśnienia o pokrewieństwie z rodziną Winterfieldów, kilka uwag o słabym stanie zdrowia starego ziemianina, kilka słów pozdrowień ze strony kapitana Aylmera, które oczywiście były bez znaczenia, po czym kapitan pożegnał się.

Po wyjściu kapitana Green i Belton nawiązali przyjacielską rozmowę, mówiąc sobie po imieniu, gdyż od dawna łączyła ich serdeczna przyjaźń. Poruszyli różne sprawy w swobodnym tonie różniącym się bardzo od tonu, w jakim zwykle rozmawiają mężczyźni o interesach.

— Aylmer przyniósł mi dobrą nowinę dla twojej kuzynki, panny Amedroz — rzekł adwokat.

— Jaką nowinę?

— Pani Winterfield zostawiła jej tysiąc pięćset funtów. A raczej nie zostawiła, lecz na łożu śmierci wyraziła życzenie, by jej tę sumę wypłacono.

— To chyba wszystko jedno.

— Oczywiście, to znaczy wszystko jedno, o ile osoba upoważniona do wypłacenia jej tej sumy nie ma przeciw zapisowi żadnych zastrzeżeń. Świadczy to o tym, że jednak sumienie starej pani w końcu się obudziło. Mówiąc między nami, suma jest znikoma i powinna być przynajmniej trzykrotnie wyższa.

— Tysiąc pięćset funtów? Więc to wszystko, co Klara będzie posiadała po śmierci ojca?

— Tak, ani pensa więcej, Will. Resztę ty zabierzesz.

— Wolałbym, żeby i tego nie miała.

— Dlaczego? Dlaczego, u licha, właśnie ty miałbyś jej zazdrościć tak skromnego źródła utrzymania, tym bardziej że nie ty masz jej te pieniądze wypłacić?

— Jakież to utrzymanie? Czyż to mogłoby wystarczyć dla takiej kobiety jak ona?

— Lepiej tyle niż nic. Tak byś uważał, gdyby była twoją córką.

— Będę ją traktował jak córkę, siostrę czy kimkolwiek chcesz ją nazwać; nie myślisz chyba, że zabiorę cały majątek i pozwolę, by znosiła głód utrzymując się z marnych procentów od tysiąca pięciuset funtów rocznie?

— Najlepiej ożeń się z nią od razu.

Tu Will Belton zaczerwienił się, mówiąc:

— Łatwiej to powiedzieć niż zrobić. To już nie ode mnie zależy, nawet gdybym tego pragnął, natomiast mogę zrobić coś innego.

— Słuchaj, Will, przyjmij ode mnie radę i nie dawaj żadnych romantycznych obietnic, kiedy znajdziesz się w Belton Castle. Później będziesz tego żałował.

I pamiętaj że prawdę mówiąc panna Amedroz nie może rościć do ciebie większych pretensji niż jakakolwiek inna kobieta w całej Anglii.

— Czy nie jest moją kuzynką?

— Tak, prawda. Jest twoją kuzynką, ale dosyć daleką, a to nie uprawnia jej do domagania się czegokolwiek od ciebie.

— A od kogóż miałyby się czegokolwiek domagać jak nie ode mnie? Jestem jej najbliższym krewnym. Poza tym, czy nie ja mam objąć cały ten majątek, który powinien należeć do niej?

— Właśnie o to mi chodzi. Tu nie ma mowy o żadnej „powinności”. Ta posiadłość jest tak samo twoją własnością jak ten pogrzebacz — moją. Właśnie przed tym błędem chciałem cię ostrzec. Jeżeli ją kochasz i pragniesz ją poślubić, to bardzo pięknie, o ile nie zamierzasz żenić się z posażną panną.

— Sama myśl o małżeństwie dla pieniędzy jest mi wstrętna.

— Masz rację. W takim razie ożeń się z panną Amedroz. Ale nie staraj się pochopnie zostać jej ojcem, bratem czy też wujem lub ciotką. Z takich romantycznych pomysłów wynikają zwykle kłopoty.

— Kiedy już się stało.

— Jak to?

— Powiedziałem jej już, że chcę być jej bratem, i dopóki będę miał w kieszeni jednego szylinga, do niej będzie należała połowa. Dotrzymam słowa. Ty uważasz to za romantyczne pomysły, co wynika po prostu stąd, że jesteś prawnikiem.

— Dziękuję uniżenie, Will,

— Gdy ktoś idzie do apteki, dostaje lekarstwa i musi się nawąchać aptecznych

zapachów.

— Dziękuję ci raz jeszcze.

— Aptekarz może jednak być u siebie w domu całkiem miłym człowiekiem, który ma pełen kredens słodczy oraz kwiatki w ogródku. Tak czy inaczej, jeśli chodzi o mnie, już się stało i niemal żałuję, że Klara dostaje tę znikomą sumę. Tysiąc pięćset funtów! To zaledwie tyle, by nie musiała mieszkać w przytułku dla ubogich, i nic poza tym.

— Gdybyś wiedział, ile kobiet w jej położeniu dziękowałoby Bogu, gdyby im spadło z nieba tysiąc pięćset funtów!

— Może być. W każdym razie ja nie odbiorę jej tych pieniędzy. A teraz chciałbym ci jeszcze coś powiedzieć. Czy pamiętasz niejakiego Berdmore'a?

— Filipa Berdmore'a?

— Może miał na imię Filip, Daniel czy Jeremiasz, a może jeszcze inaczej. Ale Berdmore, o którym myślę, lubił zaglądać do kieliszka.

— Ach, to był Jack Berdmore, brat Filipa. Tak, pamiętam go. On już nie żyje. Zapił się na śmierć gdzieś w Indiach.

— Czy służył w wojsku?

— Tak, a jaki czasami potrafił być miły! Często widuję Filipa i jego żonę, ale nie wspominamy nigdy o Jacku.

— Czy Jack nie ożenił się już po tym, jakeśmy go poznali?

— Tak, on i Filip ożenili się z dwiema siostrami. To smutna historia.

— Pamiętam, że kiedyś spotkałem się z nim i z nią, a także z jej siostrą, już po zaręczynach; Jack tak się upił, że musieliśmy go wyprowadzić. Było nas wtedy w Richmond spora paczka, ale zdaje mi się, że ciebie tam nie było.

— Ale słyszałem o tym.

— Czy narzeczoną jego była panna Vigo?

— Tak, istotnie. Często widuję jej młodszą siostrę. Filip jest niezamożny i mają mnóstwo dzieci, mimo to czuje się bardzo szczęśliwy.

— Co się stało z drugą siostrą?

— Z żoną Jacka?

— Tak, co się z nią stało?

— Nie mam pojęcia. Przypuszczam, że nic dobrego, gdyż nigdy się o niej nie mówi.

— A jak dawno Jack umarł?

— Mniej więcej trzy lata temu. Dowiedziałem się od Filipa tylko tyle, że jest w żałobie po bracie. Opowiadał mi o nim przez chwilę, a z jego słów wywnioskowałem, że Jack do końca nie zmienił trybu życia. Jeżeli ktoś zaczyna pić w kraju, w Indiach nigdy się z tego nie wyleczy.

— I ja tak myślę.

— Nigdy.

— A teraz chciałbym się czegoś dowiedzieć o wdowie po Jacku.

— Dlaczego?

— Nie jestem pewny, czy mogę ci powiedzieć dlaczego. A raczej jestem pewien, że nie powinienem. Jednak sądzę, że mógłbyś mi w tym pomóc.

— Mnóstwo ludzi dobrze znało siostry Vigo — odpowiedział adwokat.

— Tak, znało je całe mnóstwo osób, a mimo to nie potrafiłbym powiedzieć nic bliższego o tych ludziach.

— Zaczęły bywać w Londynie pod opieką ciotki, o której nikt nic nie wiedział. Zdaje mi się, że nigdy nie miały ani ojca, ani matki.

— Obie były bardzo ładne.

— A jak świetnie tańczyły! Nie znałem chyba żadnej innej panny, która by tańczyła tak uroczo, a przy tym z taką prostotą jak Mary Vigo.

— Było jej na imię Mary — rzekł Belton, przypominając sobie, że pani Askerton ma na imię Mary.

— Jack Berdmore ożenił się z Mary.

— A teraz, Joe, musisz się dla mnie dowiedzieć, co się z nią stało. Czy była z mężem w chwili jego śmierci?

— Nikogo wtedy przy nim nie było, tak mi powiedział Filip. Nikogo prócz młodego porucznika i służącego. To było bardzo smutne. Umarł na delirium tremens czy coś w tym rodzaju.

— A gdzie ona była wtedy?

— O ile wiem, w Jerycho.

— Czy możesz się o tym czegoś dowiedzieć?

Pan Green przez chwilę zastanawiał się, co mógłby uczynić w tym względzie, i umówiwszy się z przyjacielem na obiad w klubie ostatniego wieczoru przed wyjazdem Willa z Londynu, oznajmił w końcu, że o ile mu się zdaje, będzie mógł zasięgnąć informacji od pewnych wspólnych przyjaciół, którzy przed laty dobrze znali Berdmore'ów.

— Jest jednak faktem — rzekł adwokat — że świat jest dobroduszny, a nie — jak powiadają — złośliwy, i zwykł zapominać o tych, co chcą być zapomniani.

A teraz powróćmy na chwilę do kapitana Aylmera i jego spraw. Pozostawiwszy sobie cały miesiąc do namysłu nad sytuacją, w jakiej się znalazł w stosunku do panny Amedroz, uczynił wreszcie dwa postanowienia. Przede wszystkim wypłaci jej natychmiast sumę, która jej przypadła z woli ciotki, a następnie ponowi oświadczenia. Do powzięcia tego postanowienia skłoniły go sprzeczne pobudki, które połączone razem zwykle bywają skuteczne. Sumienie mówiło mu, że powinien tak postąpić, a również to, że po zdobyciu Klary znów ją utracił, spotęgowało pragnienie zdobycia jej na nowo. Była jeszcze inna przyczyna, która skłaniała go również do pójścia w tym kierunku. Zasięgnął rady matki, a matka z całą stanowczością oświadczyła mu, że powinien zerwać wszelkie dalsze stosunki z

panną Amedroz. Lady Aylmer miała szczerzy żal do zmarłej siostry za wtrącanie się do tej sprawy i usiłowała wytłumaczyć synowi, że został zwolniony z danego przyrzeczenia, gdyż formalnie już się z niego wywiązał. Lecz tutaj odezwało się jego sumienie, poparte przez własne chęci, i powziął postanowienie, o którym wspomniano wyżej. Po opuszczeniu kancelarii pana Greena wrócił do siebie i napisał list następującej treści:

Mount Street, grudzień 186...

Najdroższa Klaro!

Przed odjazdem Twoim z Perivale wyraziłaś o naszych zaręczynach pewne zdanie, które dziś rozumiem lepiej niż wówczas.

Wspomniałem wtedy o rozmowie, jaką miałem z ciotką o Tobie, i o tym, że wyjawilem jej swoje zamiary. Nadmienilem coś o przyrzeczeniu i przypuszczam, że właśnie to słowo zrobiło Ci przykrość. W takiej rozmowie, jaką prowadziliśmy wówczas, kiedy ciotka zdawała sobie sprawę, że jest bliska śmierci, mówi się rzeczy, które w innych okolicznościach byłyby nie do pomyślenia. Teraz mogę Cię tylko zapewnić, że dane jej wtedy przyrzeczenie było zgodne z tym, co już dawniej sam postanowiłem. Jeżeli możesz uwierzyć w szczerłość słowa, które umieściłem w nagłówku tego listu, powinno to wystarczyć i rozchwiać uczucia, które doprowadziły Cię do zerwania naszych zaręczyn.

Obecnie raz jeszcze proszę, byś została moją żoną, i zapewniam Cię, że czynię to całym sercem. Nie miej mi za złe, że mówię Ci o tym, ale nie mogę zapomnieć i zawsze zachowuję we wspomnieniu Twoje słodkie zapewnienia o uczuciu dla mnie. Ponieważ wiem, że nie stało się nic, co by mogło zmienić Twoją opinię o mnie, piszę ten list w nadziei, że osiągnie on pożądaný skutek. Wierzę, że powodował Tobą lęk o moje uczucia dla Ciebie, a nie Twoje dla mnie. Jeżeli tak jest istotnie, mogę Cię zapewnić, że nie masz żadnych podstaw do obaw tego rodzaju.

Nie potrzebuję dodawać, że odpowiedzi Twojej oczekuję z wielkim niepokojem.

Twój najgoręcej oddany  
F. F. Aylmer

P. S. Dziś poleciłem kupić na Twoje imię pakiet obligacji na sumę tysiąca pięciuset funtów, jako sumę przypadającą Ci z zapisu ciotki.

Jednocześnie z tym listem Klara otrzymała od pana Greena list w sprawie pieniędzy. Dowiedziawszy się już tyle o stanie rzeczy w Belton Castle, możemy powrócić do Willa spożywającego obiad w towarzystwie adwokata Greena.

— Więc czego dowiedziałeś się o pani Berdmore? — zapytał Belton natychmiast po przywitaniu się z adwokatem.

— Pragnąłbym wiedzieć, dlaczego ci tak na tym zależy.

— Nie chciałbym nikomu wyrządzić krzywdy.

— A czy chcesz komuś zrobić coś dobrego?

— Coś dobrego? Nie mogę powiedzieć, że mam na myśli coś specjalnie dobrego. Zdaje mi się, że wiem, gdzie się ta pani obraca, i że mieszka pod fałszywym nazwiskiem.

— W takim razie wiesz o niej więcej niż ja.

— Nie wiem nic pewnego, to tylko przypuszczenia. Pragnąłbym wiedzieć, ponieważ pani, o którą chodzi, mieszka w pobliżu moich przyjaciół.

— Czy chcesz ją zdemaskować?

— Bynajmniej! Ale nie cierpię oszukaństwa. Uważam jednak, że każdy człowiek żyjący gdziekolwiek pod fałszywym nazwiskiem powinien być zdemaskowany albo zmuszony do ujawnienia swego prawdziwego nazwiska.

— Dowiedziałem się, że pani Berdmore opuściła męża na kilka lat przed jego śmiercią. Nie ma w tym nic dziwnego, gdyż był on człowiekiem, z którym żadna kobieta nie mogłaby dłużej przebywać. Obawiam się jednak, że opuściła go w sposób przynoszący ujmę jej dobrej sławie.

— Jak dawno to się stało?

— Nie wiem. Kilka lat przed jego śmiercią.

— A kiedy on umarł?

— Mniej więcej trzy lata temu. Mój informator przypuszcza, że ona od tego czasu wyszła za mąż. A teraz wiesz już wszystko, co ja wiem.

W ten sposób Belton doszedł do wniosku, że pani Askerton, mieszkająca w willi w pobliżu Belton Castle, była panną Vigo, którą poznał przed laty.

Po spożyciu obiadu, podczas którego nie zaszło nic, co miałoby znaczenie dla naszej opowieści, nadeszła chwila rozstania. Dopiero gdy obaj panowie stali już w drzwiach klubu, adwokat powiedział parę ważkich słów.

— A więc jutro wyjeżdżasz? — zapytał.

— Tak, jadę ekspresem.

— Życzę ci przyjemnej podróży. Ale, ale, muszę ci powiedzieć, że nie potrzebujesz się już kłopotać, czy masz zostać ojcem, matką, wujem czy też ciotką panny Amedroz.

— Dlaczego?

— Przypuszczam, że to żaden sekret.

— Co nie jest sekretem?

— Że ona ma wyjść za mąż za kapitana Aylmera.

Will Belton drgnął tak nagle, a twarz jego przybrała wyraz tak gwałtownego

gniewu, że wszystko stało się jasne dla pana Greena.

— Kto ci to powiedział? — zapytał. — Nie wierzę.

— Obawiam się, Will, że to jednak prawda.

— Kto ci to powiedział?

— Kapitan Aylmer był dziś u mnie i sam mi to powiedział. W tym wypadku jest chyba najlepszym źródłem informacji.

— Więc powiedział ci, że żeni się z Klarą Amedroz?

— Tak.

— A z jakiego powodu przyszedł do ciebie, by ci to powiedzieć?

— Przyszedł w sprawie pewnej sumy pieniężnej, którą miał jej wypłacić, ale uważa, że wobec powstałych okoliczności może jej tej sumy nie płacić. W sprawach tego rodzaju często zasięga się rady adwokata. Nie mówiłbym ci o tym, gdybym nie przypuszczał, że to dobra wiadomość.

— To nie jest dobra wiadomość — powiedział pośepnie Belton.

— W każdym razie, mój stary, w tym, że ci to powiedziałem, nie ma nic złego.

I tak byłbyś się wkrótce dowiedział.

Mówiąc to adwokat położył serdecznie, niemal tkliwie, dłoń na ramieniu przyjaciela. Ale Belton odsunął się gniewnie. Rana zadana mu nagle zaboląła go tak dotkliwie, że nie mógł wybaczyć dłoni, która go zraniła.

— Bardzo mi przykro, Will, że z tobą jest aż tak źle.

— Co chcesz przez to powiedzieć? Nie jest ze mną wcale tak źle. Czuję się zupełnie dobrze. Zachowaj współczucie dla tych, co go potrzebują.

Po czym przeszedł przez szeroką ulicę, na wprost drzwi klubowych, zostawiając przyjaciela bez słowa pożegnania, i skierował się w stronę St. James's Square; jasne było dla pana Greena, że Belton zapuścił się w pierwszą napotkaną uliczkę, by jak najprędzej zniknąć mu z oczu.

„Wzięło go, i to mocno — mruknął do siebie adwokat patrząc na odchodzącego. — Biedaczysko! Powinienem był domyślić się tego z jego słów. Dotychczas nigdy nie słyszałem, żeby był zajęty jakąś kobietą.”

Pan Green włożył rękawiczki i udał się do domu.

Pójdźmy teraz w ślad za Willem Beltonem, a przekonamy się, że jest to człowiek bardzo nieszczęśliwy. Wiedział oczywiście, że panna Amedroz odrzuciła jego oświadczenia, i liczył się z tym faktem, często też wyrażał wobec siostry przekonanie, iż odmowa ta jest nieodwołalna. A jednak, mimo tak wyrażanego przekonania, nie tracił nadziei. Dopóki nie należała do innego mężczyzny, mógł ją zdobyć, i zdobyłby ją w końcu dzięki swej wytrwałości. W każdym razie mógł działać dla osiągnięcia upragnionego celu, a w tych staraniach mógłby nawet znaleźć pewną ulgę. Nie cierpiałby tak dotkliwie nad jej utratą i nad tym, że nie może jej zdobyć — miał dość siły, by przyznać się do tego przed samym sobą, zanim ukończył tego wieczora wędrówkę — gdyby nie świadomość, że ona



zostanie żoną innego. Często mówił sobie, że Klara oczywiście zostanie żoną jakiegoś mężczyzny, ale dotychczas nie zdawał sobie sprawy, czym stanie się dla niego świadomość, że została żoną jakiegoś określonego rywala. Tamtej księżycowej nocy, chodząc po alei w Plaistow, był już bardzo smutny, i oparłszy się o drzewo zaciskał dłonie na myśl o swoim wielkim cierpieniu, ale smutek, jaki odczuwał wtedy, był niczym w porównaniu z obecną udręką. Teraz wszystko było stracone i znał rywala, który zajął jego miejsce.

Jakże go nienawidził! Z jakim niechrześcijańskim uczuciem myślał o tym pełnym godności kapitanie, gdy tak wędrował przez St. James's Square, Piccadilly i Bond Street, nie zdając sobie sprawy, dokąd idzie. Z wielkim żalem myślał o tym, że nowoczesne społeczeństwo nie uznaje pojedynków, zapominając jednak, że gdyby nawet stare prawo obowiązywało dotychczas, zachowanie człowieka, którego tak nienawidził, nie dawało mu powodu do wyzwania go. Pogrzyżył się jednak zbyt głęboko w swym cierpieniu i nienawiści, by w rozmyślaniach nad tą sprawą zachować rozsądek. Kapitan Aylmer udaremnił spełnienie jego najgorętszych marzeń i w danej chwili Will chętnie by go ukrzyżował, gdyby to było w jego mocy. Aż do momentu gdy minął Oxford Street i powędrował daleko na Portman Square i Baker Street, w głowie jego nie powstała myśl, że i Klara Amedroz mogła być zainteresowana w sprawie, która zaprzętała wszystkie jego myśli. Mieszkał w hotelu na Bond Street i raczej z przyzwyczajenia niż świadomie szedł w jego kierunku; minął jednak drzwi hotelu, czując, że w obecnym nastroju nie byłby w stanie położyć się do łóżka. Mijając dom na Bond Street był pochłonięty myślą o usunięciu ze świata kapitana Aylmera i niemal postanowił, że ponieważ nie może wpłynąć na to, by kapitan Aylmer przeniósł się do wieczności, jemu samemu pozostaje tylko pójście tą drogą.

Nie było już mowy o tym, by miał pojechać do Belton. Tę stanowczą decyzję powziął przechodząc przez Oxford Street. Miałby tam pojechać, choć postąpiła z nim w taki sposób!/? Nie, oczywiście, że nie! Ona już teraz nie potrzebuje brata. Powierzyła swój los innemu mężczyźnie, a Will Belton nie będzie się już mieszał w jej sprawy. W wyobraźni jego powstał obraz przyszłości; widział kapitana Aylmera jako człowieka zrujnowanego, który prawdopodobnie porzuci żonę i stanie się przedmiotem odrazy wszystkich swoich znajomych. Należy wprawdzie przyznać, że nic w przeszłości kapitana Aylmera nie dawało powodu do powstania podobnego obrazu. Jednak spojrzenie na ów stworzony przez siebie obraz zmiękczyło serce artysty w stosunku do obiektu, który złożył w ofierze na wymagowanym malarskim płótnie. Jeżeli Klara zostanie zrujnowana na skutek podłości i nikczemności tego nędznika, za którego ma wyjść za mąż, gdyż okazała się dość słaba i dość szalona, by mu powierzyć swoje życie — wtedy on się wmiecha i zostanie znów jej bratem, wprawdzie bratem o złamanym sercu, ale zdolnym do odpędzenia wilka przed drzwiami biednej kobiety i jej... dzieci. Kiedy już

w ten sposób wyobraził sobie załazek rodziny kapitana Aylmera i jego przyszłe, pozbawione środków do życia sieroty — przed chwilą w myślach uśmiercił kapitana, zadając mu śmierć haniebną, choć niejasno określoną nawet we własnej wyobraźni — kiedy pomyślał o tych czekających go zobowiązaniach, wynikających z miłości tak dla niego gorzkiej, biegł z burzą w sercu przez ulice, tworząc w duchu nedorzeczne widziadła, o jakie nie posądziłby go nikt znający pana Williama Beltona z Plaistow Hall, żyjącego pomyślnie wśród nizin Norfolk.

Nie można jednak oceniać charakteru człowieka na podstawie wyimaginowanych przez niego obrazów ani na podstawie fantazji rodzących się w jego mózgu podczas samotnych godzin. Ludzie, którzy w sprawach tego świata działają na ogół z najwyższą mądrością, często w myślach zamierzają postąpić w sposób nedorzeczny, zanim ukształtują się w nich rozsądniejsze postanowienia. Proszę zatem ocenić i krytykować pana Beltona na podstawie jego zachowania następnego ranka, kiedy po nocnych wędrówkach, które zaprowadziły go w końcu aż na New Road, nastąpiło kilka spokojnych godzin spędzonych w pokoju na Bond Street, gdyż ostatecznie powrócił tam i po prostu położył się do łóżka. Położył się do łóżka nieco uspokojony przez nocne zmęczenie i w końcu zasnął splakany jak małe dziecko.

Nie zachowywał się jednak jak małe dziecko, gdy nazajutrz wczesnym rankiem pojechał na dworzec Paddington i zdecydowanie, jak przystoi mężczyźnie, kupił bilet do Taunton. Miał dość czasu, by przyjść do przekonania, że nie było powodu do poróżnienia się z kuzynką dlatego, że wybrała innego mężczyznę, a nie jego. Przyszło mu to do głowy około drugiej w nocy, gdy wracał z powrotem przez New Road i poczuł, że nogi ma już bardzo zmęczone.

I rzeczywiście doszedł do wniosku, że nie zawsze słuszość była po jego stronie, wreszcie zasnął, skrapiając łzami poduszkę. Przede wszystkim potraktował niewłaściwie Joe Greena i w obecności przyjaciela zachował się jak głupiec. Nie miało to jednak większego znaczenia ze względu na to, że Joe Green był człowiekiem wrażliwym i miękkiego serca. Belton jednak nie omieszkał z tego powodu przyznać się, iż popełnił błąd. Następnie zrozumiał, że nie godziło się łamać obietnicy danej panu Amedrozowi i jego córce bez słowa przeproszenia, dlatego tylko że Klara zrobiła to, do czego miała niezaprzeczone prawo. Rozpoczął w Belton pewne roboty wymagające jego obecności, więc pojedzie tam i dokończy pracy, jak gdyby nie zaszło nic, co by mu stanęło na przeszkodzie. Trzymanie się na uboczu świadczyłoby, że stchórzył. Byłoby to niegodne mężczyzny. Ze wszystkiego tego zdał sobie sprawę, gdy wyimaginowane obrazy zaczęły blednąć w jego wyobraźni. Jeżeli chodzi o kapitana Aylmera, Will miał nadzieję, że nigdy się z nim nie spotka. Miał tę nadzieję jeszcze wtedy, gdy zdecydowanym ruchem wkładał koszuły do walizki przed wyruszeniem w podróż. Sądził, że będzie miał dość siły, by spotkać się z Klarą i złożyć jej życzenia na nową drogę życia, nie

dając po sobie poznać, ile go ten wysiłek kosztuje. Staremu ziemianinowi będzie usiłował zrobić przyjemność, mówiąc o pozbyciu się wszelkich trosk, na co pozwoli mu małżeństwo Klary z kapitanem Aylmerem, gdyż teraz, po ochłonięciu, zorientował się, że kapitan Aylmer nie jest człowiekiem zdolnym doprowadzić do ruiny siebie samego, żonę i dzieci. W stosunku do kapitana jednak nie będzie się mógł zdobyć na powiedzenie kilku miłych słów lub na złożenie mu uprzejmych życzeń. Klara, która miała zostać żoną kapitana Aylmera i która go kochała, musiała oczywiście opowiedzieć mu o tym, co zaszło na skałach w beltońskim parku — a skoro tak było rzeczywiście, każde spotkanie z kapitanem Aylmerem byłoby dla Willa niewypowiedzianie przykre.

Myśląc o tym wszystkim odbył podróż do Taunton i myśląc o tym wszystkim wyruszył w dalszą drogę do Belton Park.

## ROZDZIAŁ XV

### Złe słowa

Klara Amedroz otrzymała jednocześnie dwa listy: jeden od adwokata, drugi zaś od kapitana Aylmera, a treść tych listów jest nam już znana. Przyjęła ponownie przez ukochanego propozycję małżeństwa, uznając słuszność jego rozumowania i ufając w pełni jego zapewnieniom. Uczyniła to nie zasięgając niczyjej rady. Do kogóż mogłaby się zwrócić o radę w podobnej sprawie? Czyż miała w Belton kogoś takiego? Że ojciec będzie ją prosił o przyjęcie oświadczyn kapitana Aylmera, było rzeczą pewną, wiedziała również, że pani Askerton doradzi jej to samo. Nikogo nie pytała o radę, lecz zabrawszy oba listy do swego pokoju, usiadła, by się nad ich treścią zastanowić. To, co dotyczyło pieniędzy ciotki, w połączeniu z postscriptum listu kapitana Aylmera w tej samej sprawie, nie miało najmniejszego znaczenia, o ile zdecyduje się dać przychylną odpowiedź na propozycję zawartą w drugim liście. Gdyby jednak nie była skłonna tego uczynić, gdyby zawahała się uczynić to od razu, wtedy musiałaby w stanowczych słowach napisać do adwokata, że nie chce mieć nic wspólnego z tymi pieniędzmi. W takim wypadku nie mogłaby wspomnieć ojcu ani słowa zarówno o jednej, jak i o drugiej sprawie.

Dlaczego jednak nie miałyby przyjąć uczynionej jej propozycji? Przecież kapitan Aylmer stwierdzał, że postanowił prosić o jej rękę, zanim przyrzekł to pani Winterfield. Jeżeli to było prawdą, wtedy główny powód, dla którego z nim zerwała, zostałby usunięty. Dlaczego miałyby nie przyznać się sama przed sobą, że go kocha i że ma do niego pełne zaufanie? Usiadła więc i odpowiedziała na oba listy, pisząc najpierw do adwokata. Oznajmiła mu, że w sprawie pieniędzy lub procentów nie powinien przedsięwziąć żadnych kroków, dopóki nie zobaczy się z kapitanem Aylmerem albo nie otrzyma od niego wiadomości. Potem napisała do

kapitana Aylmera list krótki, ale bardzo szczery, z tą samą otwartością, z jaką do niego mówiła i którą on tak źle przyjął. Oczywiście zgadza się zostać jego żoną i czyni to bez wahania, skoro wie, że on wyraża swoje własne życzenie, a nie życzenie ciotki. „O ile chodzi o pieniądze — pisała — to byłoby oczywistym nonsensem mówić teraz o nich. W każdym razie pieniądze te należą do Ciebie i raczej użyj ich tak, jak Ci się podoba. Napisałam niejasny list do pana Greena, który go zaskoczy; jeżeli chcesz, możesz pójść do niego i list ten przeczytać.” W postscriptum dodała, że teraz bezzwłocznie zawiadomi ojca, gdyż wieść ta rozproszy jego troskę o przyszłość córki. Wiemy już, że kapitan Aylmer udał się do pana Greena, jak również wiemy, że zawiadomił go o swoim zamierzonym małżeństwie.

Kapitan nie wspomniał nic o dacie ślubu, ale było to zupełnie naturalne. Prawdopodobnie żaden mężczyzna nie oznacza daty ślubu, dopóki nie wie, czy został przyjęty. Klara rozmyślając o całej tej sprawie była skłonna uznać, że raczej sama zawiniła niż ukochany, i zapominając o jego chłodzie i sztywności w Perivale pamiętała tylko o oświadczeniach i ostatnio otrzymanym zapewnieniu, że postanowił prosić ją o rękę jeszcze przed rozmową z ciotką. Przypisywała winę sobie, wmawiała w siebie, że poróżniła się z nim bez dostatecznej przyczyny, a gorąca, pełna miłości szczerłość jej listu świadczyła o tym samooskarżeniu.

— Papo — powiedziała po odejściu listonosza z Belton, gdy odwołanie listów stało się już niemożliwe — mam ci coś do powiedzenia, co sprawi ci chyba przyjemność.

— Nieczęsto mi się to zdarza — odrzekł.

— Tym razem sprawi ci to z pewnością przyjemność. Doprawdy. Wychodzę za mąż.

— Dokąd wychodzisz?

— Wychodzę za mąż, papo. To znaczy, o ile otrzymam twoje przyzwolenie. Oczywiście każda tego rodzaju propozycja, na którą ja się godzę, powinna zyskać jeszcze twoją aprobatę.

— I nic mi o tym nie mówiłaś!

— Zaczęło się to w Perivale i wtedy nie mogłam ci o tym powiedzieć. Nie pytasz się mnie, kto ma zostać moim mężem?

— Czy nie Will Belton?

— Biedny Will! Nie, nie on. Fryderyk Aylmer. Przypuszczam, że będziesz wolał, żeby on został twoim zięciem niż kuzyn Will.

— Nie, wcale nie będę wolał. Dlaczego miałbym woleć człowieka, którego nawet nie znam, który mieszka w Londynie i zabierze cię stąd, a ja już cię więcej nie zobaczę?

— Ależ, drogi papo, nie mów o tym w ten sposób. Myślałam, że z radością dowiesz się o czekającym mnie takim... takim... takim szczęściu.

— Ale dlaczego ma się to stać tak nagle? Dlaczego nie zwrócił się najpierw do mnie? Pierwszą myślą Willa było przyjść z tym do mnie.

— Nie mógł przecież odbyć podróży do Belton, szczególnie, że ciebie wcale nie zna.

— Jednak Will przyjechał.

— Och, papo, nie stwarzaj trudności. Przecież to nie to samo. Will bawił już tutaj, kiedy się zdecydował, i doprawdy zbytnio się nie zastanawiał.

— Zrobił wszystko, co było w jego mocy.

— Oczywiście. Sama już nie wiem, jak się to mogło stać. — Tu Klara niemal roześmiała się widząc, jakie trudności piętrzą się ze wszystkich stron. — Kochany Will, on bardziej nadaje się na kuzyna niż na męża.

— Wcale tego nie uważam. Kapitan Aylmer nie będzie właścicielem Belton ani Plaistow Hall.

— On jest dość majątny, by zapewnić byt żonie. Całe Perivale będzie należało do niego, chyba wiesz o tym.

— Nic nie wiem. Według moich pojęć o tym, co jest właściwe, powinien był najpierw pomówić ze mną. Jeżeli nie mógł przyjechać, mógł załatwić to listownie. Bez wątpienia moje poglądy są staroświeckie, a słyszałem, że kapitan Aylmer jest młodzieńcem nowomodnym.

— Bynajmniej, papo. On ciężko pracuje jako poseł do parlamentu.

— Nie uważam, by z tego względu miał być czymś lepszym. Istnieje przekonanie, że jeżeli ktoś jest posłem do parlamentu, to może robić, co mu się podoba. Na przykład taki Thompson, poseł z Minehead, który kupił jakąś posiadłość gdzieś na wrzosowiskach. Nigdy w życiu nie widziałem równie ordynarnego i upartego głupca. Być posłem to coś znaczyło za moich młodych lat, lecz dziś stanowisko to nie robi z człowieka dżentelmena. Teraz, zdaje się, tylko piwowary, handlarze łojem i prawnicy kandydują do parlamentu. Will Belton mógłby być posłem, ale jest na to za mądry. Nie chce robić z siebie głupca.

Nie było to Klarze przyjemne, ale znała ojca i pozwoliła mu dalej zrzedzić. Stopniowo da się przekonać i choć nie zechce się z tym zdradzić, będzie skłonny przyznać, że córka zamierza postąpić rozsądnie.

— Kiedy to ma nastąpić? — zapytał.

— W tej kwestii nic jeszcze nie zostało ustalone.

— Powinniście to zrobić jak najprędzej, abym mógł jeszcze tego doczekać.

Świadczyło to o tym, że staruszek czuł się bardzo chory. Od powrotu Klary nie wychodził z domu, a chociaż zawsze grymasił przy posiłkach, teraz ledwo można go było nakłonić do przełknięcia odrobiny potrawy, podanej mu na jego życzenie.

— Oczywiście, papo, posłuchamy twojej rady, zanim cokolwiek zostanie postanowione.

— Kochanie, nie chciałbym nikomu stawać na drodze.

— A czy mogę zawiadomić Fryderyka o twojej zgodzie?

— Czy potrzebna tu jest moja zgoda lub niezgoda? Gdybyś chciała mi dogodzić, wybrałabyś kuzyna Willa.

— Ależ, papo, jakże mogłabym zgodzić się na małżeństwo z człowiekiem, którego nie kocham?

— Zdawało mi się, że z początku bardzo ci się podobał, i muszę przyznać, że nieładnie z nim postępowałaś.

— Papo, papo, jak możesz mówić coś podobnego!

— Cóż ja na to poradzę? Ty mówisz do mnie, a przecież ja także nie mogę trzymać języka za zębami. — Nastąpiła chwila milczenia. — No cóż, moja droga, jeżeli chodzi o moją zgodę, to oczywiście możesz ją otrzymać, o ile ta moja zgoda ma dla ciebie jakieś znaczenie. Nie słyszałem nigdy nic złego o kapitanie Aylmerze.

Nie słyszał nigdy nic złego o kapitanie Aylmerze! Opuszczając ojca Klara czuła się dotknięta. Choć mogła może mieć powody do niezadowolenia z ukochanego, w jej przekonaniu był on człowiekiem, którego każdy ojciec powinien z dumą przyjąć jako konkurenta córki. Był człowiekiem, o którym nie krążyły nigdy złośliwe plotki, o którym wiadano, że nie popełnił nigdy nic złego ani nierozważnego, który zawsze zasługiwał na szacunek i którego towarzyskiemu stanowisku nie można było nic zarzucić. Miała prawo spodziewać się najgorętszych powinszowań ze strony ojca, on zaś wiadomość tę przyjął tak, jak gdyby córka zamierzała poślubić człowieka, którego charakter i stanowisko były tego rodzaju, że ojciec mógłby wahać się z daniem przyzwolenia. Wszystko to było ciężkie do zniesienia; poszła więc do siebie na górę z poczuciem doznanej przykrości i rozmyślając nad tym gorzko zapłakała.

Nazajutrz wybrała się do willi, by odwiedzić panią Askerton. Poszła tam, zamierzając opowiedzieć przyjaciółce o swoich zaręczynach, w nadziei, że może usłyszy życzliwe słowa, których ojciec jej poskapił. Gdyby ojciec przyjął inaczej wiadomość o jej zaręczynach, nie wspomniałaby o tym pani Askerton aż do chwili, gdy w sprawie małżeństwa wszystko zostanie już ustalone, ale spragniona była życzliwych słów i chciała, by ktoś dodał jej otuchy, jakiej zwykle łakną zakochane kobiety, przynajmniej ze strony najbliższej przyjaciółki. Gdy jednak znalazła się sam na sam z panią Askerton, nie wiedziała, jak jej to powiedzieć, i na początku w ogóle nie mogła poruszyć tego tematu, widząc, iż przyjaciółka pała chęcią powiedzenia jej czegoś ciekawego.

— Kiedy spodziewasz się przyjazdu kuzyna Willa? — zapytała, gdy tylko Klara usiadła.

— Pojutrze.

— A czy on jest teraz w Londynie?

— Być może. Przypuszczam, że tak, ale nie wiem nic pewnego.

— A więc ja ci mówię, że on tam jest. Mój mąż słyszał, że Will znajduje się w Londynie.

— Mówisz o tym tak, jak gdyby w tym było coś złego. Dlaczego nie miałby pojechać do Londynu, jeżeli mu się tak podoba?

— Ależ bynajmniej. Wolę raczej, żeby był tam niż tutaj.

— Dlaczego? Czy jego przyjazd byłby dla ciebie przykrością?

— Nie lubię go. Bardzo go nie lubię. No, powiedziałaś ci, co czuję. Ty w niego wierzysz, a ja nie. Uważasz go za porządnego chłopca i dżentelmena, a ja nie.

— Ależ...

— To twarde słowa, wiem.

— Tak, bardzo twarde.

— Tak, moja droga. Jest jednak faktem, Klaro, że my obie żyjąc tu nieledwie pustelnicznym życiem, odwiedzając się tak często i nie widując nikogo innego możemy być wzajemnie dla siebie albo prawdziwymi przyjaciółkami, które mówią sobie to, co naprawdę myślą, albo niczym. Nie możemy prowadzić dalej bałamutnych pogawędek towarzyskich, prawiąc sobie grzeczne słówka i nie wychodząc poza nie. Dlatego postanowiłam powiedzieć ci prosto z mostu, że nie lubię twego kuzyna i nie wierzę mu.

— Nie wierzysz mu? Co chcesz przez to powiedzieć?

— Wierzę tobie. Czasem zdaje mi się, że ty mi wierzysz, a czasem obawiam się, że nie. Uważam cię za dobrą, prawą i uczciwą i dlatego lubię patrzeć na twoją twarz i słuchać twojego głosu, chociaż nieczęsto słyszę od ciebie przyjemne słowa.

— Czy ja ci kiedy mówię nieprzyjemne słowa?

— Nie będę się z tobą sprzeczała, chociaż trudno mi się od tego powstrzymać. Jakim prawem pan Belton spaceruje po Londynie i wypytuje się o mnie? Co mu takiego zrobiłam, żeby mnie zaszczycił w ten sposób?

— Czyż on się o ciebie wypytywał?

— Tak, wypytywał. Jeżeli ty lubisz mnie taką, jaka jestem, jeżeli to, co wiesz o mnie, wystarczy ci, to dlaczego on chce wiedzieć więcej? Jeżeli chcesz zadać mi jakie pytania, to ci na nie odpowiem. Ale jakie prawo ma Belton wypytywać obcych o mnie?

Klara nie miała pytań do zadania, a jednak nie mogła powiedzieć, by była z przyjaciółki zadowolona. Byłaby bardziej zadowolona, gdyby wiedziała o niej więcej, lecz dotychczas nie zniżyła się nigdy do zadawania jej pytań. Teraz ciekawość jej wzrosła, bo istotnie zachowanie pani Askerton było tak dziwne, gwałtowność tak niezwykła, skwapliwość do poruszania niebezpiecznych tematów tak niepodobna do jej normalnej spokojnej rozmowy, że Klara nie wiedziała, jak ma jej odpowiedzieć.

— Nic nie wiem o tym, żeby Will miał się o ciebie wypytywać.

— Jestem pewna, że nie wiesz. Gdybym myślała, że wiesz, to jakkolwiek bardzo cię lubię i cenię twoje towarzystwo na tej pustyni, już nigdy nie odezwałabym się do ciebie ani słowem. Lecz pamiętaj, jeżeli ty chcesz mnie o coś zapytać, odpowiem i nie będę ci miała tego za złe.

— Ale ja nie chcę cię o nic zapytać.

— Może kiedyś jeszcze zechcesz, a wtedy przypomnisz sobie, co ci powiedziałam.

— Czy mam przez to rozumieć, że zamierzasz posprzeczać się z Willem?

— Posprzeczać się z nim! Nie przypuszczam, że go w ogóle zobaczę. Po tym, co ci powiedziałam, nie sądzę żebyś go tu przyprowadziła, a na wypadek, gdyby sam przyszedł, wydałam polecenie służbie, by mu powiedziano, że mnie nie ma w domu. Na szczęście nie spotkał się z mężem, gdy był ostatnio u nas z wizytą.

— To najdziwniejsza historia, jaką zdarzyło mi się słyszeć.

— Zrozumiesz ją lepiej, moja droga, kiedy on sam ci to opowie.

— Co ma mi opowiedzieć?

Zobaczysz, że będzie ci miał coś do zakomunikowania.

Okazał się tak zawzięty i taki bystry, że nie wątpię, iż będzie miał ci o mnie dużo do opowiedzenia. Ale pamiętaj, Klaro, że jeżeli to, co on ci opowie, wpłynie na twoje uczucia względem mnie, wówczas, mam nadzieję, przyjdiesz do mnie i otwarcie mi o tym powiesz. Jeżeli on będzie miał coś do oświadczenia, to pozwól, że i ja uczynię to samo. Mam prawo domagać się tego po tym, co ci przyrzekłam.

— Bądź pewna, że tak postąpię.

— To wszystko, czego pragnę. Mam do ciebie pełne zaufanie, bez żadnych zastrzeżeń. Powtarzam, że wierzę ci całkowicie. Jeżeli postarasz się trzymać pana Beltona z dala ode mnie podczas jego bytności w tych stronach, będę zupełnie zadowolona.

Przez pewien czas pani Askerton chodziła po pokoju, a gdy skończyła mówić, usiadła, jakby dając do zrozumienia, że temat został przedyskutowany i wyczerpany. Przez chwilę starała się odzyskać swój zwykły spokój i uśmiechnąć się, jak gdyby chcąc ośmieszyć wybuch własnej energii.

— Wiedziałam, że gdy przyjdiesz, zachowam się jak wariatka — powiedziała — i tak się też stało.

— Nie uważam, żebyś zachowała się jak wariatka, ale widzę, że może zostałaś wprowadzona w błąd.

— No cóż, moja droga, zobaczymy. To dziwne, jak od pierwszego wejrzenia poczułam niechęć do tego człowieka.

— A ja go tak lubię!

— Zdobył sobie podstępem ciebie i twego ojca. Rada tylko jestem, że nie udało mu się jeszcze bardziej pozyskać twojej sympatii. Powinnaś była znać cię lepiej i nie posądzać, że możesz oddać swoje serce człowiekowi, który...



— Przestań go obrażać.

— ...który jest tak niepodobny do tego rodzaju ludzi, z jakimi obcuje. To jedno w każdym razie mogę ci powiedzieć.

— Trudno mi o tym sądzić. Dotychczas mało obcowałam z ludźmi z wyjątkiem ojca, ciotki i ciebie.

— Ale potrafisz poznać w człowieku dżentelmena.

— Dość już. Nie zniosę tego dłużej. Zdawało mi się, że wyczerpałaś ten temat, a teraz powracasz do niego na nowo. Przyszłam tu po to, by ci powiedzieć coś ważnego, ważnego przynajmniej dla mnie. Ale będę musiała odejść, o ile nie przestaniesz obrażać mego kuzyna.

— Nie powiem już o nim ani słowa, w każdym razie nie teraz.

— Jestem pewna, że zostałaś wprowadzona w błąd.

— Dobrze, dobrze, a ja jestem pewna, że ty się mylisz. Przestańmy o tym mówić i przejdźmy do tej ważnej wiadomości.

Klara czuła jednak, że trudno jej będzie oznajmić tę wiadomość po takiej rozmowie, jaka się między nimi odbyła. Wchodząc do pokoju miała myśli zajęte własną sprawą i mogła bez trudu znaleźć odpowiednie słowa, ale teraz myśli jej rozproszyły się i nie wiedziała, jak przystąpić do tematu swego narzeczeństwa. Dlatego przez chwilę milczała i siedziała pełna wątpliwości i wahania, rozmyślając, w jaki sposób uniknąć dalszej rozmowy na ten temat.

— Zamieniam się cała w słuch — rzekła pani Askerton, a Klarze wydawało się, że w głosie przyjaciółki zabrzmiała nuta sarkazmu i kpiny.

— Chyba odłożymy to na kiedy indziej — rzekła.

— Dlaczego? Czy sądzisz, że to, co jest dla ciebie ważne, nie jest ważne i dla mnie?

— Oczywiście, jednak...

— Chcesz powiedzieć, że cię rozdrażniłam?

— Hm... może trochę.

— Więc rozpogódź się i bądź nadal moją drogą, szczerą Klarą. Ja również byłam nieco podrażniona, ale będę już spokojna jak domowy kotek. — Pani Askerton wstała i usiadła obok Klary na kanapce. — No, a teraz nie odejdziesz stąd, kochanie, dopóki nie powiesz mi wszystkiego, a jeżeli zawahasz się przez chwilę, będę sądziła, że chcesz się ze mną znów poróżnić.

— Przyjdę do ciebie jutro.

— Nie, nie, musisz mi to dziś powiedzieć. Jutrzejszy dzień spędzisz na przygotowaniach do przyjęcia twego kuzyna.

— Cóż ty wygadujesz!

— Albo przyjdiesz tu po to, by go bronić, a w takim razie na pewno nie dojdziemy do porozumienia. Powiedz mi dzisiaj, o co chodzi. Nie możesz odejść nie zaspokoiwszy mojej ciekawości.

— Słyszałaś pewnie o kapitanie Aylmerze?

— Oczywiście.

— Ale nie poznałaś go osobiście?

— Jak dotąd nie.

— Mówiłam ci już, że on przebywał w Perivale, kiedy pani Winterfield była umierająca.

— A teraz oświadczył ci się i ty go przyjmiesz? To istotnie ważna nowina. Powiedz, prawda to? Ale przecież sama wiem, że tak jest. Dlaczego nic nie mówisz?

— Skoro już wiesz, to po co mam ci o tym mówić?

— Więc tak jest naprawdę? Och, Klaro, jakże jestem rada! Winszuję ci z całego serca, z całego serca. Moja najdroższa Klaro! Jak pomyślnie wszystko się ułożyło. Jak się udało! Tak właśnie powinno się było stać. Zacny, kochany człowiek! W jaki delikatny sposób położył kres drobnym rodzinnym kłopotom.

— Nie wiem, czy można powiedzieć, że się udało. Komu miało się udać?

— Oczywiście tobie.

— Czyli, że to nie jemu się udało?

— Nie bądź niemądra, Klaro!

— Rzecz prosta bardzo mi się udało, jeżeli wyjdę za człowieka, którego kocham.

— Nie mów głupstw, Klaro. Oczywiście jest to wasza sprawa i nie mam najmniejszych wątpliwości, że wszystko stało się tak, jak się stać powinno. Gdyby kapitan Aylmer był starszym, a nie młodszym bratem i nie Perivale, lecz cała posiadłość Aylmerów należała do niego, sądzę, że nie wyszłabyś za niego, gdybyś go nie kochała.

— Przypuszczam, że nie.

— Jestem tego pewna. Skoro panna, nie posiadająca żadnych dochodów, pokocha człowieka, którego roczny dochód wynosi dwa czy trzy tysiące funtów, i pozyska sobie jego wzajemność zamiast miłości pierwszego lepszego wiejskiego lekarza czy też pastora — można to nazwać, że się jej udało, a przyjaciele jej będą zawsze tego zdania. Skoro jednak panna wychodzi za mąż za dżentelmena, w dodatku za posła do parlamentu, a nie za... no cóż, nie będą tu robić żadnych osobistych aluzji... to przyjaciele będą jej winszować stanowiska narzeczonego. To, co mówię, jest może niemoralne i wyrachowane, i tak dalej, ale tym się rządzi świat.

— Nie chcę nawet słyszeć o tym, czym się rządzi świat.

— Moja kochana, wszystkie przyzwoite panny, takie jak ty, czują podobnie. Zauważyłam jednak, że panny w twoim rodzaju nigdy nie walczą przeciw uprzedzeniom świata. Doskonale wiesz, że poślubiając człowieka nie posiadającego żadnych dochodów, postąpiłabyś źle i nierozsądnie.

— Mogłabym w ogóle nie wyjść za mąż.

— A z czego byś wtedy żyła? Słuchaj, Klaro, nie będziemy się o to sprzeczały. Nie wątpię, że on jest czarujący i piękny, i...

— Nie jest bynajmniej piękny, a jeśli chodzi o to, czy jest czarujący...

— W każdym razie oczarował cię.

— Wzbudził we mnie przekonanie, że mogę mu wierzyć bez zastrzeżeń i kochać go z całą ufnością.

— Wspaniały mężczyzna! A jego dochody dodają mu jeszcze uroku; pozwolisz, że tak to określe?

— Nie, nie pozwolę.

— A kiedy to się ma stać?

— Och, może za sześć, a może za siedem lat.

— Klaro!

— Może wcześniej, ale jeszcze nie było o tym mowy.

— Czy pan Amedroz nie jest zachwycony?

— Nic a nic. Niemal mnie wyłajał, kiedy mu o tym powiedziałam.

— Dlaczego? Czegóż on chce?

— Znasz przecież ojca.

— Wiem, że lubi zrządzić na wszystko, nie przypuszczałam jednak, że będzie zrządził w tym wypadku. A kiedy tu przyjeżdża?

— O kogo się pytasz?

— O kapitana Aylmera.

— Nie wiem, czy w ogóle tu przyjedzie.

— Musi przecież przyjechać na ślub.

— Wszystko to jest jeszcze bardzo dalekie. Nie chciałam ci o tym wspominać, ale nie sądz, że skoro ci o tym powiedziałam, cała ta sprawa została już ustalona. Nic jeszcze nie wiadomo.

— Nic prócz tej jednej rzeczy?

— Nie, nic więcej.

Klara wyszła dopiero po upływie całej godziny i ze zdziwieniem zauważyła, że pułkownik Askerton podąża za nią. Zapadł już zmrok, był to okres, gdy dni są najkrótsze, i o tej porze pułkownik zwykł był jeździć konno lub powracał z przejażdżki. Klara bawiła w willi ponad dwie godziny i zauważyła, że przez ten czas pułkownik nie wychodził z domu. Okazało się, że pułkownik wcale konno nie wyjeżdżał, a ponieważ koń, jak zauważyła, stał uwiązany przed oknem, przyszło jej od razu na myśl, że pan Askerton pozostał w domu jedynie w tym celu, by podążyć za nią gdy ona wyjdzie. Podeszedł do niej tuż przy furtce i podał jej prawą rękę, a lewą uchylił kapelusza. Każdemu z nas zdarza się w życiu, że pozostaje w zażyłości a raczej w pozornej zażyłości, z kimś, kogo w istocie prawie nie zna. Takich ludzi spotykamy często, jemy i pijemy w ich towarzystwie, znamy ich dobrze z widzenia i mniej więcej wiemy wszystko, co ich dotyczy, nigdy jednak

nie nawiązujemy z nimi bliższych rozmów ani nie stosujemy naszego trybu życia do trybu ich życia. Łączy nas przypadek i w pewnym sensie są oni naszymi przyjaciółmi. Możemy im okazywać drobne uprzejmości lub oczekiwać od nich tego samego, a mimo to nie mamy ze sobą nic wspólnego, jak gdyby istniało między nami milczące porozumienie, że nic nas nie będzie łączyło. Podobna przyjaźń istniała między panną Amedroz a pułkownikiem Askertonem. Widywała go często i nieraz wymawiała jego nazwisko, jednak rzadko z nim rozmawiała, zaś jego przyzwyczajenia знаła tylko z opowiadań żony. Toteż gdy minawszy furtkę ogrodową weszli do parku, zorientowała się, że pułkownik ma jej coś specjalnego do powiedzenia.

— Obawiam się, że będzie pani musiała iść po ciemku — zagaił rozmowę.

— Muszę tylko przejść przez park i drogę tę znam doskonale.

— Tak, oczywiście. Zauważyłem, że pani wychodzi, i ośmieliłem się towarzyszyć pani, by zamienić z nią kilka słów. Podczas bytności pana Beltona tutaj nie miałem przyjemności poznania go.

— Przypominam sobie, że wówczas panowie minęli się.

— Tak, to prawda. Dowiedziałem się od żony, że pan Belton ma tu znów przyjechać za parę dni.

— Ma tu przyjechać pojutrze.

— Pani mi wybaczy, gdy powiem, że byłoby pożądanym, byśmy się i tym razem nie spotkali.

Słyszając słowa pułkownika Klara czuła, że ze wzburzenia krew napływa jej do twarzy. Mówił wolno, jak było jego zwyczajem, nie używając gwałtownych słów, jakimi posługiwała się jego żona, lecz może właśnie dlatego słowa te nabierały większego znaczenia. William Belton był kuzynem Klary i takie oświadczenie pana Askertona, powiedziane rozważnie i nie poprzedzone żadnym wyjaśnieniem, wydało jej się niemal obelgą. Ale nie wiedząc w tej chwili, co ma odpowiedzieć, milczała. A pułkownik Askerton mówił dalej:

— Zapewniam panią, że nie zwróciłbym się do niej z tak dziwną prośbą, gdybym nie miał po temu ważnych powodów.

— Istotnie prośba jest dość dziwna.

— Tylko głębokie przeświadczenie o słuszności leżącej po mojej stronie mogło mnie do tego skłonić.

— Skoro pan nie życzy sobie widzieć się z moim kuzynem, to mógł pan unikać spotkania z nim, nie mówiąc mi nic o tym.

— Wtedy nie zrozumiałaby pani tak jasno, jak bym sobie życzył, dlaczego trzymam się od niego z daleka. Robię to ze względu na moją żonę i... jeżeli pani pozwoli, również... ze względu na panią. Nie chciałbym, by doszło do otwartej sprzeczki, ale gdybyśmy się spotkali, taka sprzeczka stałaby się nieunikniona. Prawdopodobnie Mary wyjaśniła pani, w jaki sposób nas obraził.

— Pani Askerton wspomniała mi coś o tym, ale jestem pewna, że została wprowadzona w błąd.

— Nie powiem ani słowa więcej, gdyż nie chcę pani źle usposobić względem kuzyna. Jesteśmy już blisko pani domu, więc pozostaje mi tylko życzyć dobrej nocy.

Pułkownik pożegnał Klarę i odszedł w swoją stronę.

Rozmyślając o tym wszystkim Klara zastanawiała się nad tym, co kuzyn usiłował sobie przypomnieć o pannie Vigo i o panu Berdmore. Cóż z tego, że Will chciał sprawdzić, czy jego wspomnienia odpowiadają prawdzie? Było to całkiem zrozumiałe. Później nasunęły się jej refleksje, że ludzie na ogół nie okazują tak gwałtownych sprzeciwów, gdy zadaje się im pytania dotyczące ich przeszłości, jak to czynią oboje państwo Askerton. Jednego była pewna. Jej kuzyn Will nie zasięgałby informacji, jakich nie powinien był zasięgać, oraz nie robiłby z nich niewłaściwego użytku.

## ROZDZIAŁ XVI

### Drugi przyjazd spadkobiercy do Belton

Klara zaczynała wątpić, czy jakikolwiek układ zdarzeń w jej życiu można było uważać za pomyślny. I kapitan Aylmer, i Will Belton byli mili jej sercu, aczkolwiek każdy w innym stopniu i w odmienny sposób. Jej stosunek względem obu stał się taki właśnie, jakiego sobie życzyła. Pierwszy z nich, ten, którego kochała, był z nią zaręczony, drugi, którego także kochała, ale miłością siostrzaną, miał do niej przyjechać w pełnym zrozumieniu swojej roli brata. A jednak wszystko szło na opak! Ojciec, choć już teraz nie wyrażał się źle o kapitanie, okazywał na różne sposoby, w których tak celował, że małżeństwo córki z kapitanem jest mu niemiłe, i ubolewał, że Klara nie wychodzi za mąż za Willa. Równocześnie opodal, w willi, Belton był przedmiotem gorzkiej niechęci, tak gorzkiej, że Klara niemal żałowała, iż Will ma do niej przyjechać.

A jednak kuzyn przyjechał. Tak jak i poprzednim razem przybył z Taunton i zajechał przed dom dwukółką. Wtedy jednak przybył w samo południe, wozy z sianem stały przed domem i odczuwało się całe piękno pogodnego, letniego dnia. Teraz była zima, zaczynał prószyć śnieg, dokoła starej wieży jęczał wiatr i całe otoczenie domu widziane z hallu wyglądało smutno i posepnie. Ponieważ zmierzch zapadał wcześniej po południu, stary ziemianin wydał służbie dokładne rozporządzenia, aby przygotowano Willowi wygodny pokój, obawiając się, że Klara, zajęta nieustannie myślami o jego rywalu, może o tych rzeczach zapomnieć. W swej troskliwości posunął się tak daleko, że podreptał na wyższe piętro, aby

sprawdzić, czy w pokoju Willa napalono. Tego dnia po raz pierwszy od dłuższego czasu stary pan wyszedł ze swego pokoju i wydał dokładne polecenie, co należy podać na obiad. Wszystkie te przygotowania odbywały się w zupełnie odmiennym nastroju niż wówczas, kiedy Will przyjechał z pierwszą wizytą, którą starszy pan uważał za dowód braku serca i delikatności, za postępek omal nieprzyjazny.

— Szkoda, że nie będę mógł zejść na dół, aby go powitać — mówił płacząco pan Amedroz — sądzę, że nie weźmie mi tego za złe.

— Z pewnością nie będzie miał do ciebie pretensji.

— Może będę mógł zejść jutro.

— Drogi papo, nie myśl o tym, dopóki się nie ociepli.

— Ociepli się! Czy o tej porze roku może się ocieplić?

— Przecież on przyjdzie do ciebie na górę, papo.

— On jest dobry. Wiem, że jest dobry. Nikt inny nie okazał mi tyle serca co on.

Klara rozumiała doskonale, co to wszystko oznacza. Oczywiście była rada, że ojciec jest tak przyjaźnie usposobiony wobec kuzyna i tak się cieszy z jego przyjazdu, ale każde słowo ojca chwaliące Willa Beltona było jednocześnie wyrazem niechęci wobec kapitana Aylmera oraz wyrzutem, że córka odmówiła ręki pierwszemu, a zaręczyła się z drugim.

Kiedy kuzyn przyjechał, Klara była w hallu i gdy wszedł otulony w mokry od deszczu płaszcz, przyjęła go mówiąc:

— Jak to ładnie z twojej strony, żeś przyjechał w taką pogodę.

— Uważam, że jak na tę porę roku, pogoda jest wcale niezła — powiedział.

Miał ten sam budzący otuchę serdeczny głos, który tak bardzo pomógł mu utorować sobie drogę, kiedy po raz pierwszy przybył do Belton Castle. Głosy, do których Klara przywykła, były kłótniwe, jak gdyby ich właściciele uważali, że świat jest niemiłym miejscem zamieszkania. Natomiast głos Beltona zdawał się mówić o pełnych radości dniach i szczęśliwych przyjaciółach, i o tych wszystkich rzeczach, które nadają wartość życiu. Niemniej jednak dopiero niecałe dwie doby minęły od chwili, gdy wędrował przez ulice Londynu w takiej rozpacz, że niemal przeklinał godzinę, w której się urodził. Rozpacz nie opuściła go jeszcze i była równie głęboka jak wtedy, a mimo to w głosie jego brzmiała radość. Zwykliśmy mówić, że chore ptaki kryją się w dziuplach, by tam umrzeć samotnie i niepostrzeżenie; ranione zwierzęta ukrywają się, by towarzysze nie widzieli ich bólu. Człowiek posiada ten sam instynkt, który go skłania do utajenia słabości, płynącej z jego cierpienia — jeżeli jednak jest prawdziwym mężczyzną, chowa ból we własnym sercu, dając mu folgę w chwilach samotności i podczas bezsennych nocy, a zewnętrznemu światu pokazuje twarz, z której stara się zmasać wszelkie oznaki cierpienia.

— Pewnie dowiesz się z przykrością, że ojciec jest zbyt słaby, by mógł zejść na dół.

— Doprawdy? Jakże mi przykro. Słyszałem, że jest niezdrów, ale nie wiedziałem, że do tego stopnia źle się czuje.

— Może wyobraża sobie, że jest słabszy, niż jest istotnie.

— Musimy się postarać, by go z tego wyleczyć. Mam nadzieję, że będę go mógł zobaczyć?

— Ależ oczywiście! Przecież oczekuje cię z wielką niecierpliwością. Możesz natychmiast wejść na górę. Zaprowadzę cię.

Will zdjął już okrycie i oświadczył, że jest gotów towarzyszyć Klarze do pokoju starego pana.

— Jakże mi przykro, że pan czuje się niezdrów — powiedział.

— Czuję się marnie, Will, bardzo marnie — rzekł pan Amedroz, wyciągając rękę w taki sposób, jak gdyby nie mógł unieść jej znad kolan. Tutaj należy przypomnieć, że zaledwie pół godziny temu starszy pan sam przeszedł przez korytarz.

— Musimy się postarać, aby pan jak najprędzej przyszedł do siebie — rzekł Will.

Stary pan potrząsnął głową wolnym, pełnym melancholii ruchem, nie podnosząc oczu.

— Nie wiem, czy jeszcze kiedykolwiek będę zdrowy — dodał. A jednak pół godziny temu zapewniał, że jutro już zejdzie do jadalni. — Niedługo już będę wam ciężarem, wkrótce obejmiesz tutaj wszystko, nie płacąc mi dzierżawy.

Te przykre słowa omal nie udaremniły wysiłków Willa, choć tak chciał być serdeczny. Nie zniechęcony tym jednak odrzekł:

— Upłynie jeszcze dużo czasu, zanim nadejdzie ów dzień.

— Łatwo to powiedzieć. Ale mniejsza z tym. Dlaczego miałbym jeszcze chcieć żyć, gdy doczekam chwili, że los Klary będzie należycie ustalony? Kiedy zostanie panią własnego domu, nie będę miał już po co żyć.

W tej sprawie Belton nie chciał zabierać głosu. Klara stała tuż obok niego i wiedział, że jest zaręczona z kapitanem Aylmerem. Czyż mógł w tych warunkach wypowiadać się co do dalszego losu Klary? Było oczywiste, że będzie miał coś do omówienia ze starszym panem, a coś z Klarą, jednak absolutnie nie mógł mówić o przyszłości Klary w obecności ich obojga.

— Choroba nastraja ojca nieco melancholijnie — rzekła Klara.

— Oczywiście, oczywiście tak bywa zwykle — odpowiedział Will.

— Sądzę, że się poczuje lepiej, gdy się trochę ociepli.

— Sam dobrze wiem, jak się czuję — powiedział pan Amedroz. — Ale nie zatrzymuj tutaj Willa dłużej, gdyż z pewnością chętnie zjadłby obiad. A teraz zostawcie mnie już samego.

Will udał się do swego dawnego pokoju i w kwadrans później zasiadł z Klarą do stołu, a gdy upłynął drugi kwadrans, byli już po obiedzie i oboje przysunęli krzesła

do kominka.

Żadne z nich nie wiedziało, od czego zacząć. Klara mogła nie wspominać kuzynowi o swoich zaręczynach, czuła jednak, że byłoby to nieładnie z jej strony. Gdyby Will nie popełnił błędu prosząc, by została jego żoną, byłaby mu o tym powiedziała, uważając to za rzecz zupełnie naturalną. Gdyby przypuszczała, że Will zamierza swój błąd powtórzyć, czułaby się zobowiązana mu to powiedzieć, aby mu oszczędzić niepotrzebnej przykrości. Nie przypisywała mu co prawda takich zamiarów, jednakże nie mogła zapomnieć sceny, która się rozegrała wśród skał. A dalej czy należało poruszyć sprawę Askertonów? Czy może lepiej tego nie robić? Will również był w trudnej sytuacji. W gruncie rzeczy nie wierzył, żeby usłyszane od przyjaciela wiadomości wymagały potwierdzenia, a jednak trzeba mu było usłyszeć od niej samej, że przyrzekła rękę komu innemu; czuł również, że powinien koniecznie powiedzieć jej kilka słów o ich dalszym wzajemnym stosunku i przyjaźni.

— Pewno chciałbyś wiedzieć, co słyhać w gospodarstwie — rzekła Klara.

Przez ostatnie kilka dni nie myślał w ogóle o sprawach związanych z gospodarstwem w Belton i wcale by się nie zmartwił, gdyby się dowiedział, że całe bydło padło od zarazy. Nurtowała go myśl o konieczności prowadzenia dalej sprawy raz już rozpoczętej, ale chodziło mu raczej o zasadę a nie o konkretne poczynania. Nie mógł jej tego wszystkiego wytłumaczyć i dlatego odpowiedział beznamiętnie:

— Gospodarstwo... mówisz o bydłe. Tak, pójdę tam jutro rano i wszystko obejrzę. Sądzę, że żadna sztuka nie padła.

— Pudge twierdzi, że bydło chowa się doskonale. — Pudge był najlepszym robotnikiem rolnym w Belton i Will najął go do pilnowania gospodarstwa.

— To dobrze. Sądzę, że Pudge zna się na rzeczy nie gorzej ode mnie.

— Ale pańskie oko konia tuczy.

— Oko Pudge'a jest równie bystre jak moje, a może nawet bystrzejsze, gdyż zna doskonale całą okolicę.

— Często mówiłeś, że każdy winien dbać o własne interesy.

— Toteż ja o nie dbam. Jutro pójdę z nim i obejrzę każdą sztukę z osobna. Będę przy tym udawał mądrego i wmawiał w niego, że znam się na rzeczy lepiej niż on. W hodowli bydła najważniejszą rzeczą jest nie hodować zbyt dużo sztuk. Mówi się nawet, że kto hoduje pół stada, ten ma cały zysk, a kto hoduje całe stado, osiąga tylko połowę zysku. Jeżeli bydło ma pod dostatkiem paszy, a dzierzawa nie jest zbyt wysoka, stado samo przysparza właścicielowi zysków.

— Ale zwierzęta tak często chorują.

— Ja je zawsze ubezpieczam.

Klara odczuła, że temat o bydłe nie odpowiada obecnej sytuacji. Podczas pierwszej wizyty Belton o niczym innym nie mówił tak chętnie, jak o szopie dla



bydła, o roli i o wyborze odpowiedniej rasy, ale temat wówczas nowy teraz mu spowszedniał i farmera przestały interesować rozmowy o jego farmie. W poszukiwaniu tematu, który by nie był przykry, Klara na odmianę zaczęła mówić o krowie.

— Nie możesz sobie wyobrazić, jak polubiliśmy naszą Bessy; zachowuje się tak, jak gdyby była pewna, że należą jej się jakieś szczególne przywileje i że wolno jej wszędzie wchodzić i robić, co jej się podoba.

— Mam nadzieję, że postarano się, by miała dość zimowej paszy.

— Dość zimowej paszy! Przecież Pudge, inni parobcy i w ogóle wszyscy domownicy raczej by głodowali i pozwolili głodować reszcie bydła, niż dopuściliby do tego, by Bessy zabrakło paszy. A Pudge zwykle mówi, potrząsając znacząco głową, że Bessy jest ulubienicą młodego pana.

— Po prostu rasa aldernejska wymaga szczególnej opieki. W obecnej trudnej sytuacji Bessy oddała Klarze nie lepszą przysługę niż mniej arystokratyczne stado zwykłego bydła. Nastąpiła chwila milczenia, po czym Klara zapytała :

— Jak się miewa twoja siostra, Will?

— Tak samo jak zwykle. Zdaje mi się, że w tym roku zniosła lepiej pierwsze mrozy niż w roku ubiegłym.

— Ogromnie chciałabym ją poznać.

— Może kiedyś ją poznasz. Ale nie przypuszczam, aby to kiedykolwiek nastąpiło.

— Dlaczego nie?

— Teraz jest mało prawdopodobne, byś kiedyś miała przyjechać do Plaistow, a Mary nigdzie nie wyjeżdża, chyba tylko do wuja.

Klara od razu zorientowała się, że Will słyszał o jej zaręczynach, nie miała jednak pojęcia, skąd się o tym dowiedział. Coś w tonie jego głosu, w szczególnym podkreśleniu słowa „teraz” świadczyło, że tak było istotnie.

— Gdybym mogła, chętnie bym do niej pojechała — rzekła z tą specjalną hipokryzją, właściwą i dozwoloną kobietom — ale, rzecz prosta, nie mogę opuścić ojca w jego obecnym stanie zdrowia.

— Gdybyś nawet mogła opuścić ojca, nie przyjechałabyś do Plaistow.

— Nie przyjechałabym, o ile nie zaprosilibyście mnie.

— Nie przyjechałabyś nawet, gdybyśmy cię zaprosili. Jakże mogłabyś przyjechać?

— Co chcesz przez to powiedzieć, Will? Mówisz, jak byś miał do mnie urazę.

— Doprawdy? Czuję urazę, ale nie do ciebie.

— Mam nadzieję, że nie masz urazy do nikogo z moich bliskich.

Wiedziała, że chwila ta musiała nastąpić, że tematem rozmowy stanie się jej przyszłość, i zaczęła się obawiać, że rozmowa ta nie będzie łatwa. Nie wiedziała jednak, jaki jej nadać kierunek. Obawiała się, że Will się rozgniewa, a jednak nie

rozumiała, dlaczego miałby się rozgniewać. Przecież przyjął spokojnie jej odmowę i nie mógł mieć do niej urazy, że teraz zaręczyła się z kapitanem Aylmerem.

— Green powiedział mi, że wychodzisz za męża.

— A skądże pan Green mógł się o tym dowiedzieć?

— Dowiedział się, w każdym razie musiał wiedzieć, skoro mi o tym powiedział.

— To dziwne.

— Przypuszczam, że ta wiadomość jest prawdziwa?

Klara nie zaraz odpowiedziała i Will powtórzył pytanie:

— A więc ta wiadomość jest prawdziwa?

— Tak, to prawda; jestem zaręczona.

— Z kapitanem Aylmerem?

— Tak, z kapitanem Aylmerem. Wiesz, że znamy się od dawna. Chyba nie masz do mnie żalu, że cię o tym nie zawiadomiłam. A jednak to dziwne, żeś już o tym słyszał, chociaż stało się to dopiero przed tygodniem, a gdybym napisała do ciebie, musiałabym list zaadresować tutaj, do Belton.

— Nie o to mi chodzi. Nie zależało mi specjalnie na tym, byś do mnie napisała. Nie zmieniłoby to sytuacji.

— A jednak czuję, że powinnam była to zrobić, gdyż oceniam twoją życzliwość i... twoje względy dla mnie.

— Względy? Co mi przyszło z tych względów?

— Nie będziesz się ze mną sprzeczał, Will, bo... bo...bo... Gdybyś naprawdę stał się dla mnie bratem, jak kiedyś mi obiecałeś, to tylko pochwaliłbyś moje postępowanie.

— Ale ja nie jestem twoim bratem.

— Ach, Will, nie bądź tak okrutny.

— Nie jestem twoim bratem i nie mam prawa ani pochwalać, ani też ganić twojego postępowania.

— Nie mogę powiedzieć, bym uzależniała swoje zaręczyny z kapitanem Aylmerem od twojej zgody. To nie byłoby przyzwoicie względem niego i postawiłoby mnie w fałszywym położeniu.

— Czyż mogłem wymagać od ciebie tak absurdalnej ofiary?

— Posłuchaj mnie, Will! Tego nie mogłabym zrobić, ale z wyjątkiem tego zrobiłabym wszystko, by ciebie zadowolić. Tak bardzo sobie cenię twoje zdanie, twoją dobroć i twoje uczucie. Lubię cię tak szczerze, że... Ach, Will, powiedz mi jakieś serdeczne słowo!

— Serdeczne słowo! Ale jakiego rodzaju miałyby być ta serdeczność?

— Powinieneś wiedzieć, że kapitan Aylmer...

— Nie wspominaj mi o kapitanie Aylmerze. Czy powiedziałem coś przeciw niemu? Czy ośmieliłem się stawiać mu jakie zarzuty? Oczywiście uznaję jego wyższość nade mną. Wiem, że jest światowcem, a ja nim nie jestem, że jest

człowiekiem wykształconym, a ja ignorantem, że posiada stanowisko, a ja nie mam żadnego, że ma dużo do ofiarowania, a ja — nic. Widzę dobrze całą różnicę między nami, ale to mnie bynajmniej nie pociesza.

— Will, ależ ja go pokochałam, zanim ciebie poznałam.

— Dlaczegoś mi tego nie powiedziała? Wtedy nie miałbym żadnej nadziei i wyjechałbym z kraju. Jeżeli wasze małżeństwo było już wówczas postanowione, to dlaczego mi o tym nie powiedziałaś? Oszczędziłabyś mi cierpienia i złudnych nadziei.

— Wtedy jeszcze nic nie było postanowione. Sama jeszcze nie zdawałam sobie sprawy z własnych uczuć, a jednak kochałam go. Widzisz! Czy nie możesz tego zrozumieć? Czy ci to nie wystarcza?

— Tak, rozumiem.

— A czy masz do mnie żal?

Zanim jej odpowiedział, zapadła chwila milczenia.

— Nie, nie mam do ciebie żalu. Nie powinienem winić nikogo prócz samego siebie. Musisz zrozumieć mój stan. Byłem taki szczęśliwy, a teraz jestem taki zrozpaczony.

Nie znalazła słów, aby go pocieszyć. Nie rozumiała wcale uczuć tego człowieka, a nawet mylnie pojęła samą istotę jego męskiej natury. Teraz dużo już rozumiała i mogła sobie powiedzieć, że gdyby знаła go lepiej, nie dopuściłaby do jego ponownego przyjazdu albo postarała się, by dowiedział się prawdy od niej samej przed przyjazdem. Teraz mogła tylko czekać, by się opanował i ukrył swe cierpienie, jak przystało mężczyźnie.

— Nie mogę ani słowem sprzeciwić się temu, co robisz — rzekł — ani słowem. Ale powinnaś zrozumieć, co miałem na myśli mówiąc, że jest mało prawdopodobne, byś przyjechała do Plaistow.

— Może kiedyś, kiedy się ożenisz...

— Może... ale pozwól, byśmy o tym teraz nie mówili. Gdy się ożenię, sytuacja się zmieni. Tymczasem ścieżki naszego życia rozminą się. Ty prawdopodobnie zamieszkaż z nim w Londynie, ja zaś pójdę... w diabły.

— Jak możesz mówić coś podobnego? Czy tak przemawia brat?

— Moje uczucia dla ciebie nie są bynajmniej braterskie. Wybacz mi i przestańmy o tym mówić. Rozlanego mleka nie wiejesz z powrotem do garnka, a mój garnek został rozbity. To wszystko. Czy nie sądzisz, że powinniśmy już pójść do ojca?

Nazajutrz Belton i pan Amedroz poruszyli ten sam temat, ale rozmowa ich potoczyła się zupełnie spokojnie. Will postanowił nie zdradzać swej słabości przed ojcem, jak to uczynił przed córką. Kiedy stary ziemianin niepewnym głosem wyraził ubolewanie, że wybór córki padł na kogo innego, Will zdobył się na odpowiedź, że co się stało, nie odstanie się. On również nad tym ubolewał, ale

teraz już to minęło, a kiedy pan Amedroz chciał wtrącić jakieś złośliwe słówko o kapitanie Aylmerze, Will powstrzymał go zapewniając, że kapitan Aylmer jest człowiekiem bez zarzutu.

— Byłbym taki szczęśliwy, gdybym miał nadzieję, że mój wnuk będzie żył w starym domu swoich przodków — wyszeptał pan Amedroz.

— Jeszcze nie wiadomo, czy tak się nie stanie — odpowiedział Will — ale nasze nadzieje bywają tak złudne, że trudno opierać na nich nasze szczęście.

Po czym Belton wyszedł, by obejrzyć gospodarstwo, i zanim upłynęły trzy dni, Klara przekonała się, że wbrew temu, co powiedział, zajął się bydłem tak troskliwie, jak gdyby tylko w ten sposób mógł zapracować na kawałek chleba.

Dotychczas nie było jeszcze mowy o Askertonach i Klara postanowiła, że pierwsza nie wspomni ich nazwiska. Pani Askerton twierdziła, że Belton będzie miał Klarze coś do powiedzenia o niej, i Klara chciała się przekonać, czy Will z własnej inicjatywy poruszy ten temat. Upłynęły jednak trzy dni, a kuzyn nawet nie wspomniął o willi i jej mieszkańcach. Dziwiło ją to, gdyż Askertonowie byli w całym sąsiedztwie jedynymi przyjaciółmi, z jakimi Klara utrzymywała stosunki, zaś Belton poznał panią Askerton osobiście. Taka była sytuacja, kiedy pewnego razu pan Amedroz w obecności Klary i Willa wspomniął coś o pani Askerton, a oni oboje pominęli ten temat milczeniem w taki sposób, że Klara zrozumiała, iż należało unikać wszelkich rozmów o Askertonach. Czwartego dnia Klara spotkała panią Askerton, ale nazwisko Willa Beltona nie zostało nawet wspomniane. W ten sposób wytworzyła się między nimi atmosfera pewnej tajemniczości, w której obie czuły się nieswojo, i nie wiadomo było, jak z tego wybrnąć. Klara utwierdziła się w przekonaniu, że kuzyn nie zasięgał niepotrzebnych informacji i że choć może zdobył jakieś wiadomości, nie robi z nich niewłaściwego użytku, ale o tym przekonaniu nie mogła wspomnieć ani słowem.

Minęły trzy tygodnie i wydawało się, że wizyta Beltona dobiegnie końca w niezakłóconym spokoju. Od czasu do czasu wspomniano coś o kapitanie Aylmerze, lecz mówiono o nim niewiele i Belton nie robił żadnych aluzji do własnych uczuć. Dał do zrozumienia, że pobyt jego nie będzie trwał dłużej niż miesiąc. Dla obojga okres ten mijał wolno, nie przynosząc żadnemu z nich specjalnej przyjemności z wzajemnego obcowania. Stary ziemianin schodził czasem na dół na godzinę lub dwie i przez cały czas gorzko się użalał. Wszystko szło źle i wszyscy mu dokuczali. Sprzeczał się nawet z Willem i starał się wynajdywać powody do sprzeczki o wszystko, co się działo w gospodarstwie, choć jednocześnie nie przestawał robić gościowi wymówek, że wyjeżdża i zostawia go samego. Belton znosił to wszystko tak spokojnie, że owe dąsy i sprzeczki nie doprowadzały do niczego, wymagało to jednak z jego strony sporo pogody i zdrowego rozsądku, by nie dopuścić do poważniejszych przykrości i nieporozumień.

Podczas bytności Willa w Belton Klara otrzymała dwa listy od kapitana

Aylmera, który spędzał okres Bożego Narodzenia u rodziców, zaś w przeddzień wyjazdu Willa nadszedł trzeci list. W żadnym z tych listów kapitan nie wspominał wiele o ojcu, natomiast pełno w nich było wiadomości o lady Aylmer. Pierwszy list był napisany w gorącym, intymnym tonie człowieka zakochanego i dlatego szczęścia Klary nie zamąciły pewne drobne uwagi wyrażające nadzieje lady Aylmer, poglądy lady Aylmer i obawy lady Aylmer. Ale przecież nie panią Aylmer miała poślubić, zresztą sądziła, że da sobie radę z każdą świekrą, gdyby stanęła z nią twarzą w twarz. Drugi list nieco zepsuł jej humor, gdyż zawierał kilka drobnych nauk moralnych dotyczących jej postępowania, inspirowanych niewątpliwie przez jej lordowską mość. Tutaj muszę przyznać, że dla młodej narzeczonej nie ma nic bardziej drażniącego, niż rady udzielane jej przez mamusię przyszłego męża. Jeżeli narzeczona jest naprawdę zakochana, to przyjmie spokojnie każdą uwagę od ukochanego, o ile jest pewna, że uwaga ta pochodzi od niego. Może on sobie pozwolić na wtrącanie się do jej sposobu ubierania. Może jej zalecać należenie do Wysokiego czy Niskiego Kościoła, o ile — co się na ogół często zdarza — sam nie musi raczej słuchać cudzych zaleceń w tym względzie niż udzielać ich innym. Może jej niemal narzucać swą wolę przy wyborze lektury — pod warunkiem jednak, że sam będzie dostarczał odpowiednich książek. Może nawet krytykować styl tańca narzeczonej i zalecać jej lub zabronić, by tańczyła z tym lub innym partnerem. Nie powinien jednak gwałtem narzucać przyszłej żonie zdania swojej matki. W odpowiedzi na drugi list Klara starała się nie okazać, że jest nim dotknięta. Prawdę mówiąc nie poruszyła wcale tej sprawy, ale właśnie tym zdradziła się, że jest dotknięta, i kapitan Aylmer to zrozumiał. Wtedy nadszedł trzeci list, a ponieważ poruszał sprawy związane z naszą opowieścią, przytaczam go w całości i sądzę, że dla panów, zamierzających się żenić, posłuży on za przykład, jak nie należy pisać do wybranek serca.

Aylmer Castle, 19 stycznia 186...

Najdroższa Klaro!

Wczoraj otrzymałem Twój list z 16 b. m. i jest mi bardzo przykro, że nie powiedziałaś w nim nic, co sądzisz o poglądach mojej matki, dotyczących domu w Perivale. Dowiedziała się, że otrzymałem wiadomość od Ciebie i czuła się urażona, gdy musiałem jej powiedzieć, że w liście swym nie wspomniałaś o sprawach przez nią poruszonych. Niepokoi się o Ciebie i skoro wyraziła zgodę na nasze małżeństwo, rada by się dowiedzieć, że jej przyjazne uczucia są odwzajemnione. Zapewniłem więc ją, że moja droga Klara jest ostatnią osobą, którą można by posądzić o niedbałość w takiej sprawie, i przypomniałem jej, że na ogół młode panny rzadko kiedy starannie odpowiadają na listy. Pamiętaj zatem, że teraz ja

jestem niejako odpowiedzialny za Twoje postępowanie, i przyślij mi parę słów usprawiedliwienia, które by mnie mogły przed nią wytłumaczyć.

Gdy opowiedziałem jej o przewlekłej chorobie Twego ojca, nad czym bardzo ubolewa, oraz o przedłużającej się wizycie Twego kuzyna w Belton Castle, zdawała się uważać, że wizyty tej nie należy przeciągać dłużej. Na moją uwagę, że Belton jest Twoim najbliższym kuzynem, odpowiedziała, że kuzyni są takimi samymi mężczyznami jak inni ludzie — i ma rację. Wiem, że moja drogaj Klara nie będzie się doszukiwała w tych słowach ukrytego znaczenia. Bynajmniej tak nie jest. Ponieważ niestety nie masz już własnej matki, będziesz pewnie rada poznać poglądy mojej matki w sprawach tak blisko Cię obchodzących.

A teraz przechodzę do innego tematu, który, jak sądzę, ogromnie Cię zdziwi. Może pamiętasz, że miałem pewną rozmowę z ciotką Winterfield o Twoich sąsiadach, państwie Askerton. Przypominasz sobie pewnie, że ciotka, której poglądy w takich sprawach zawsze bywały słuszne, trochę się obawiała, czy Twój ojciec zasięgnął o nich dostatecznych informacji, zanim pozwolił im osiąść jako dzierżawcom w waszym najbliższym sąsiedztwie. Teraz okazuje się, że pani Askerton... nie jest tego rodzaju osobą, jaką być powinna. Moja matka sama zamierzała Ci o tym napisać, jest jednak trochę zmęczona i wobec tego postanowiła, że będzie lepiej, jeśli ja Ci o tym napiszę. Podobno pani Askerton była dawniej żoną niejakiego kapitana Berdmore'a i jeszcze za życia męża opuściła go dla pułkownika Askertona. Zdaje się, że pułkownik i pani Askerton wzięli później ślub. Kapitan Berdmore umarł w Indiach mniej więcej cztery lata temu i jest możliwe, że państwo Askerton istotnie się pobrali. Wobec tego rodzaju okoliczności, zdaniem mojej matki, zrozumiesz od razu, że wszelka znajomość między Tobą a tą panią musi ulec zerwaniu. Istotnie, własne wyczucie tego, co przystoi Tobie jako młodej pannie czy jako mojej przyszłej żonie lub w ogóle kobiecie, pozwoli Ci zrozumieć, że tak powinnaś postąpić. Na Twoim miejscu powiedziałbym o tym wszystkim panu Amedrozowi, pozostawiam to jednak do Twego uznania. Mogę Cię zapewnić, że lady Aylmer posiada pełne dowody na potwierdzenie, że to, co Ci powiedziałem, jest prawdą.

W lutym wracam do Londynu. Wątpię, czy uda mi się zobaczyć z Tobą wcześniej niż podczas ferii letnich, w lipcu lub w sierpniu, sądzę jednak, że jeszcze przed tym będziemy mogli oznaczyć dzień, w którym uczynisz mnie najszcześliwszym z ludzi.

Twój szczerze kochający  
F. F. Aylmer

Niedobry to był list, przykry od początku do końca. Nie było w nim jednego słowa, które nie raniłoby uczuć Klary, ani jednej myśli, która nie budziłaby w niej

obaw o jej przyszłe szczęście. Natomiast zawarte w nim wiadomości o Askertonach — owe „informacje”, jakby sama pani Askerton je nazwała — kazały Klarze na chwilę niemal zapomnieć o lady Aylmer i jej bezczelności. Czy ta cała historia mogła być prawdziwa? A jeżeli była prawdziwa, to jak dalece powinna była zastosować się do owej wskazówki, a raczej rozkazu, jaki otrzymała? Co powinna była uczynić, by dowiedzieć się prawdy? Wtedy przypomniała sobie obietnicę pani Askerton: „Jeżeli będziesz chciała zadać mi jakieś pytanie, to ci na nie odpowiem.” Informacje, jakich spodziewała się pani Askerton, istotnie nadeszły, jednak nie za pośrednictwem Willa Beltona, o którym wyrażała się tak obelżywie, lecz kapitana Aylmera, którego tak głośno wychwalała. Myśląc o tym Klara nie mogła rozeznąć się we własnych uczuciach, nie pozbawionych pewnej dozy triumfu. Wiedziała, że Belton nie wystąpiłby z atakiem na kobietę. Kapitan Aylmer to uczynił, co Klarę nie bardzo zdziwiło. A jednak kochała właśnie jego! I przyrzekła, że zostanie jego żoną. Ale prawdę mówiąc nie bardzo wiedziała, którego z nich kocha!

List nadszedł w niedzielę rano i tego dnia Klara i Belton wybrali się do kościoła. Nazajutrz wczesnym rankiem Belton miał wyruszyć do Taunton. W kościele spotkali panią Askerton, która tam rzadko bywała. Robiło to wrażenie, że przyszła umyślnie w tym celu, by spotkać się z Willem podczas jego bytności w Belton Castle. Przy wyjściu z kościoła skinęła mu głową na przywitanie i było to jedyne spojrzenie, jakie zamienili przez cały miesiąc, podczas którego Belton przebywał w Somersetshire.

— Przyjdź do mnie jutro, Klaro — rzekła pani Askerton, kiedy przechodzili razem przez wieś.

Klara mruknęła coś w odpowiedzi, gdyż sama jeszcze nie postanowiła, jak ma się wobec niej zachować. Nazajutrz z samego rana Belton miał wyjechać i Klara znów wstała wcześniej, by mu podać śniadanie. Tym razem nie myślał o ucałowaniu jej. Wyjechał nie usłyszawszy od niej ani słowa o pani Askerton, po czym Klara usiadła i pogrążyła się w rozmyślaniach. Co powinna była zrobić w związku z wiadomością otrzymaną od kapitana Aylmera?

## ROZDZIAŁ XVII

### Aylmer Park

Park i duży dom Aylmerów tworzyły poważną, a według pojęć niektórych nawet imponującą wiejską rezydencję. Park był rozległy, bo obejmował jakieś trzysta do czterechset akrów, żyły tam z rzadka rozsiane, nieliczne stadka arystokratycznej zwierzyny: sarny i jelenie. Park był otoczony arystokratycznym ogrodzeniem, zaś u

wejścia w trzech różnych punktach wznosiły się arystokratyczne pawilony dla stróżów. Stada owiec były liczniejsze niż stada zwierzyny, gdyż sir Anthony, mimo znacznych dochodów, znajdował się w niełatwym położeniu finansowym. Grunt był w Aylmer Parku zupełnie płaski i mimo że rosły na nim wąskie pasy zwykłych drzew i gdzieniegdzie kępy ozdobnych okazów, park był słabo zalesiony. Nie odznaczał się też szczególną pięknnością, a do jego imponującego wyglądu przyczyniały się głównie ogromne rozmiary, trzy kompleksy pawilonów dla stróżów i od dawna ustalona fama znakomitej rodowej siedziby w hrabstwie. Dom był zbudowany z kamienia, z portykiem wspartym na jońskich kolumnach, które wyglądały tak, jak gdyby nie należały do budynku, wyniośle rozpościerającego swe dwa pretensjonalne skrzydła, co nadawało mu prawo do nazwy pałacu. Utrzymanie domu w porządku wymagało dużej ilości służby, a utrzymanie w porządku licznej służby wymagało nadzoru doświadczonej ochmistrzyni o prawie tak imponującej postaci jak sama lady Aylmer. Była tam kareta i otwarty powóz, kamerdyner i dwóch lokajów, i trzech leśniczych, i czterech ogrodników, i był tam stangret, i byli chłopcy stajenni, i kilkoro niższej służby, mężczyzn i wyrostków, do wykonywania robót, od których stronili ogrodnicy, leśnicy i chłopcy stajenni. Z biegiem czasu wszyscy oni stawali się opaśli, leniwi i głupi, a zarazem pełni godności, wobec czego czytelnik od razu zrozumie, że Aylmer Park był utrzymany we właściwym angielskim stylu. Sir Anthony często rozmawiał ze swym rządcą o ograniczeniu wydatków na utrzymanie domu, a lady Aylmer zawsze była obecna przy tych rozmowach i prawdopodobnie nimi kierowała, dochodzono jednak do wniosku, że w tej sprawie nic nie można zmienić. Każda próba zwolnienia jednego z leśniczych lub ogrodników spowodowałaby zachwianie równowagi w całej gospodarczej machinie Aylmer Parku. Każda redukcja pociągnęłaby za sobą konieczność opuszczenia rezydencji, skutkiem czego zbladłaby chwała rodu Aylmerów. Położenie seniora rodu nie było jednak aż tak złe. Ogrodnicy, chłopcy stajenni i leśnicy pozostali na swoich miejscach: każdego dnia dziesięcioro osobistej służby zasiadało czterokrotnie w jadalni służbowej do obfitych posiłków, zaś lady Aylmer nie przyjmowała prawie nikogo i musiała się zadowolić skąpym śniadaniem i mizernym obiadem spożywanym w towarzystwie męża i córki. Z powyższego widać, że lady Aylmer spełniała swój obowiązek żony angielskiego ziemianina i zachowywała się z całą godnością, jaka przystoi małżonce baroneta.

Sir Anthony był postawnym mężczyzną powyżej lat siedemdziesięciu, cierpiał na podagrę i nie potrafił się zdobyć na żaden wysiłek, który by mu zapewnił trochę przyjemności. Był ongiś zamiłowanym myśliwym i dobrym strzelcem, nie miał jednak tej żyłki sportowej, jaką zwykle odznaczają się sportsmeni bez względu na wiek. Już od dawna i dziś jeszcze piastował urząd sędziego pokoju hrabstwa, nigdy jednak nie odznaczył się specjalnie w sali sądowej i obecnie rzadko kiedy sprawiał kłopoty hrabstwu swoim brakiem kompetencji prawniczej. Lubił dobre obiady i



dobrze wina i jeszcze teraz, przy okazji, starał się zażyć tej przyjemności, ale podagra i pani Aylmer to już było za wiele jak na niego, więc rzadko miał sposobność wypełnienia pustki swego życia rozkoszami kuchni i piwniczki. Był wysoki, barczysty, czerwony na twarzy, miał bujną, siwą czuprynę i lubił dokuczać służbie. Stawał oparty na dwóch laskach na schodach przed frontowymi drzwiami swego domu i obrzucał wyzwiskami każdego, kto tamtędy przechodził — sprawiało mu to pewną przyjemność. Nie mógł jednak tego robić w obecności lady Aylmer, a służba, znając jego obyczaje, w złośliwy sposób stroniła od tej części domu, którą nawiedzał. Ze starszym synem, jego imiennikiem, nie łączyły go dobre stosunki i choć nie powstawały między nimi wyraźne sprzeczki, jego spadkobierca rzadko kiedy zjawiał się w Aylmer Parku. Był natomiast dumny z drugiego syna, Fryderyka, i prawdopodobnie do najlepszych dni swego życia zaliczał te, które kapitan Aylmer spędzał w domu. Stół bywał wtedy zastawiony nieco obficie, a wizyta ta stwarzała pretekst do podawania specjalnego gatunku porto, które niezmiernie lubił. Na ogół życie jego nie było godne zazdrości i chociaż urodził się baronetem z rocznym dochodem ośmiu tysięcy funtów, jako właściciel Aylmer Parku, nie sądzę, by można było kiedykolwiek nazwać go człowiekiem szczęśliwym.

Lady Aylmer była bardziej szczęśliwa. Miała zajęcia, o których mąż nic nie wiedział i do wykonania których sam nie był zdolny. Lady Aylmer nie mogła dokonać redukcji wśród służby, natomiast mogła i potrafiła prowadzić domowe rachunki. Sir Anthony mógł tylko łąać służących, gdy który z nich był na tyle nieostrożny, by znaleźć się w jego pobliżu, ale w obecności żony i od tego musiał się powstrzymać; natomiast lady Aylmer miała dostęp do służby tak w dzień, jak i w nocy. Nie cierpiała na podagrę, która by jej przeszkadzała w należyтым dozоровaniu domu i całego gospodarstwa, i mogła docierać do miejsc, jakich dziedzic nigdy nie oglądał. W dodatku codziennie pisywała kilka listów, podczas gdy sir Anthony nie brał nigdy pióra do ręki. Lady Aylmer znała wszystkie chaty ubogich w całej wsi i wszystkie ich grzechy popełniane skutkiem niedbalstwa i niestosowania się do zleceń. Codziennie, latem czy zimą, w deszcz czy pogodę, wyjeżdżała powozem i zużywała olbrzymie ilości wełny i przędzy, nadsyłane jej co miesiąc z Yorku. Towarzyszyła jej zawsze córka, natomiast sir Anthony był pozbawiony wszelkiego towarzystwa. Dokądkolwiek wyjeżdżała lady Aylmer, wyjeżdżała z nią także panna Aylmer, co uprzyjemniało te wyjazdy, które bez towarzystwa córki byłyby niezmiernie nudne. Lady Aylmer była kiedyś pięknoscią w wielkim stylu i uważała, że uroda jeszcze teraz daje jej prawo do zachowania dumnej postawy. Trzymała się prosto, miała szerokie czoło i imponujący nos i aczkolwiek powab własnych włosów musiała zastąpić sztuczną grzywkę, to nawet ta grzywka dodawała jej dystynkcji, choć może nie urody.

Panna Aylmer, która była najstarszą z młodego pokolenia i łagodnie zanurzała

się w swoje czterdzieste lata, nie odziedziczyła silnego charakteru matki, ale uwielbiała sposób jej bycia i naśladowała ją we wszystkim... z zachowaniem pewnego umiaru. Była bardzo cnotliwa — jak cnotliwą była również pani Aylmer — miała wysokie poczucie obowiązku oraz świadomość, że nie powinna się odnosić pobłażliwie do własnej osoby. Nie miała żadnych rozrywek i unikała wszelkich wydatków. Zdawała sobie sprawę, że ponieważ dla zachowania w hrabstwie prestiżu Aylmer Parku konieczne jest utrzymywanie tam całego pułku leniwej i żarłocznej służby, to sami Aylmerowie nie powinni być ani leniwi, ani żarłocznicy. Nikt nie był tak ostrożny w wydawaniu swych nielicznych szylingów jak panna Aylmer. Przerwała nawet korespondencję z jedyną dawną przyjaciółką, by nie opłacać porta za listy wysyłane do Włoch. Wiedziała, że dla podtrzymania honoru rodziny jeden z braci powinien zasiadać w parlamencie, i chętnie odmawiała sobie sprawienia nowej sukni, gdyż wobec dużych wydatków związanych z wyborami należało ponosić pewne ofiary. Wiedziała, że zrzędzeniem losu musi odbywać powolne przejażdżki powozem, mając przed sobą jednego, a za sobą drugiego lokaja w liberii, a potem jeść obiad, którym pogardziłaby dziewczka kuchenna. Wiedziała, że obowiązkiem jej jest poddawać się we wszystkim matce, znosić zły humor ojca i obojętność brata, słowem, możliwie najmniej wykazywać własnej indywidualności. Wiedziała, że nigdy nie wzbudziła w mężczyźnie uczucia miłości i że nie ma prawie nadziei, by mogła zdobyć przyjaciół na starość. Mimo wszystko była ze swego losu zadowolona i znajdowała pocieszenie w świadomości, że należy do rodu Aylmerów. Czytała dużo powieści i wolno nam przypuszczać, że ogarniał ją żal na myśl, iż sama nigdy nie zaznała ani nigdy nie zazna romantycznych przeżyć. Roniła łzy nad miłością wielu kobiet, aczkolwiek sama nie zaznała ani szczęścia, ani goryczy. Czytała o radości, aczkolwiek jej samej nie spotkała nigdy żadna radość, a przecież musiała wiedzieć, że gdzie indziej życie nie było takie posępne jak w Aylmer Parku. Mimo to bez skargi godziła się na życie, jakie jej było przeznaczone, i modliła się do Boga, prosząc go, by pozwolił jej zachować pokorę na wysokim stanowisku, na jakie podobało mu się ją powołać. Nienawidziła radykałów i była przekonana, że *Essays and Reviews* oraz biskup Colenso\* pochodzą wprost od diabła. Uczyła małe dzieci w parafii i szczególnie

\**Essays and Reviews* – zbiór esejów na tematy religijne wyd. w r. 1860, zawierający krytyczne rozważania o doktrynie chrześcijańskiej, który wywołał wielkie oburzenie w społeczeństwie angielskim i spowodował proces o herezję.

John William Colenso (1814-1883) – biskup anglikański, którego krytyczny komentarz do Starego Testamentu wywołał gorzką opozycję w Anglii i nawet ściągnął na autora ekskomunikę, później unieważnioną.

dbała o to, by pozdrawiały grzecznie członków jej rodziny. Słowem, biedna kobieta

była niewykształcona, potulna i głupia, podobnie jak wiele innych kobiet, z którymi możemy się spotkać gdziekolwiek w Europie.

Można by sądzić, że dla kapitana Aylmera, przyzwyczajonego do komfortu w swoim klubie i do londyńskiego trybu życia, przebywanie pod ojcowskim dachem będzie nudą nie do zniesienia. W rzeczywistości nie bardzo lubił Aylmer Parku, lecz posiadał więcej cierpliwości niż na ogół mężczyźni w jego wieku i na jego stanowisku; rozumiał także, że należy zachować piąte przykazanie, jeśli się chce przedłużyć dni własnego życia na tej ziemi. Dlatego przyjeżdżał do domu w pewnych ustalonych terminach, urywając sobie przy tym po parę dni na początku i pod koniec pobytu, którego trwanie było określone przez tradycję rodzinną, co matka pragnęła utrzymać. Wrzesień należało zawsze spędzać w Aylmer Parku z powodu polowań. We wrześniu zwykł był tam przebywać starszy syn we własnej osobie, ewentualnie w towarzystwie jednego lub paru przyjaciół, a nawet stara, opasła służba zaczynała się wtedy raźniej krzątać i w Aylmer Parku budziło się trochę życia. Podczas świąt Bożego Narodzenia kapitan Aylmer był w domu jedynym gościem, a okres świąteczny trwał zwykle od połowy grudnia do dnia otwarcia parlamentu. Należy jednak wyjaśnić, że tym razem przyjazd jego miał na celu pertraktacje i zawarcie ugody. Nie przyjeżdżał wcale do Aylmer Parku, zanim matka nie wyraziła pewnego rodzaju zgody na jego małżeństwo z Klarą Amedroz. Lady Aylmer była temu małżeństwu niechętna i w tej sprawie napisała do syna kilka poważnych listów. Belinda Aylmer, siostra kapitana, zniosła wtedy dużo przykrości broniąc sprawy brata, przy czym między matką i córką padło niejedno ostre słowo, jednak ostatecznie sprawa została załatwiona i, jak zwykle bywa w tego rodzaju sporach, matka ustąpiła synowi. Dlatego kapitan Aylmer przyjechał na kilka dni przed Bożym Narodzeniem z bogobojnym uczuciem, iż winien jest matce wdzięczność za jej łaskawość, i niemal postanowił być przykry dla Klary, aby w ten sposób odpokutować wobec swej rodziny za nierozsądne pragnienie poślubienia jej.

Lady Aylmer mówiła bez ogródek o wszystkich ujemnych stronach Klary, całkiem bez ogródek i tonem inkwizytorskim.

— Chyba nigdy nie będzie miała ani grosza, prawda?

— Tak, madame. — Kapitan Aylmer zawsze nazywał swą rodzicielkę „madame”. — Będzie miała tylko te tysiąc pięćset funtów, o których ci już wspomniałem.

— Więc można powiedzieć, że otrzymasz zwrot pieniędzy, które jej dałeś. Tak się to zwyczajnie po angielsku nazywa. — Tu lady Aylmer podniosła brwi i zrobiła mądrą minę.

— Właściwie tak.

— Nie można uważać, by te pieniądze były jej własnością. W gruncie rzeczy ona jest bez grosza.

— Na nic się nie przyda ciągle powracanie do tego samego tematu — zauważył kapitan niemal ostro.

— Masz rację, mój drogi, na nic się nie przyda. Oczywiście sam spojrzaleś prawdzie w oczy. Będiesz biedakiem zamiast stać się bogatym człowiekiem; będziecie mieli jednak z czego żyć, o ile nie obdarzy cię bardzo licznym potomstwem, co z pewnością uczyni.

— Dam sobie doskonale radę, madame.

— Dasz sobie doskonale radę, jeżeli zamieszkacie na uboczu w Perivale, utrzymując nadal stary dom rodzinny, co nie pociągnie za sobą dużych wydatków, ale i tam nie będzie się przelewało z powodu twojego poselskiego mandatu i konieczności spędzania pół roku w Londynie. Naturalnie ona nie będzie ci tam towarzyszyć. Na to nie może liczyć, ale lepiej ustalić to wszystko już dziś.

Ta rozmowa była źródłem listu w sprawie domu w Perivale, zawierającego rady lady Aylmer w tej kwestii, na które Klara wcale nie odpowiedziała.

Aczkolwiek lady Aylmer wyraziła już zgodę na to małżeństwo, jednak nie traciła nadziei, że nie dojdzie ono do skutku. Może oboje młodzi zrozumieją swój błąd i szaleństwo swojego postępowania, zanim będzie już za późno, a może nieprzerwany potok rad udzielanych przez lady Aylmer pomoże otworzyć oczy, jeżeli nie pannie, to w każdym razie młodzieńcowi. Miała wielkie zaufanie do własnej siły przekonywania, wiedziała również, że kropla padająca nieustannie na kamień potrafi go wydrążyć. Syn jej nie zdradzał nadmiernej gorliwości, by w pośpiechu wykonać zamierzenia, które zniweczyłyby jego widoki na przyszłość. Wobec tego miała przed sobą dużo czasu, a była kobietą umiejącą czekać. W listach syna i za jego pośrednictwem dawała Klarze rady dotyczące domu w Perivale, a polegające na tym, że miała ona wyrazić zgodę na zamieszkanie tam samotnie, gdy tylko mężowi wypadnie wyjazd do Londynu czy dokądkolwiek indziej; potem przystąpiła do innych spraw związanych z rodziną Amedrozów, a mianowicie udało jej się zdobyć pewne zbliżone do prawdy wiadomości o biednej pani Askerton i jej kłopotach. Na początku ogarnęło ją uczucie przyjemnego przerażenia z powodu nieprawości, którą udało jej się odkryć; była tak miło tym zgorszona, tak osłupiała, aż uwierzyła, że fakty ujawnione przez nią wystarczą, by małżeństwo nie doszło do skutku.

— Nie przypuszczasz chyba — rzekła do Belindy — by żona Fryderyka mogła przyjaźnić się z taką kobietą. — Lady Aylmer siedziała w tej chwili w swoim pokoju na piętrze, zajęta przeglądaniem domowych rachunków. Mówiąc ostatnie słowa podniosła w górę duże tłuste dłonie oraz potężne tłuste ramiona, potrząsnęła głową i sztuczną grzywką, dając w ten sposób wyraz zadowoleniu zmieszanemu z rozpaczą.

— Przypuszczam, że Klara nic o tym nie wiedziała — rzekła córka w przekonaniu, że nazywając pannę Amedroz Klarą czyni akt miłosierdzia względem

tej, na której małżeństwo z bratem rodzina dała przyzwolenie.

— Nie wiedziała? Przecież żyły z sobą tak blisko, że z pewnością zwierzały się sobie z wszystkiego. Zresztą zawsze byłam zdania, że kobiety są odpowiedzialne za swoje przyjaciółki.

— Jeżeli ona zgodzi się zerwać z nią natychmiast, jeżeli solennie przyrzeknie, że odtąd nie przemówi do niej ani słowa, uważam, że Fryderykowi powinno to wystarczyć; rzecz prosta, mam, o ile ona nie ma z tą historią nic wspólnego.

— Wobec tego jakże mogę mieć do niej zaufanie? I oczywiście nic jej nie wierzę. Zdaje mi się, że ona zawsze była bardzo przebiegła i że po prostu starała się złapać męża.

— Przypuszczam, że bardzo pragnęła wyjść za Fryderyka, ale to przecież zrozumiałe.

— Pragnęła wyjść za niego! A przypomnij sobie, jak ona tam pojechała właśnie wtedy, gdy Fryderyk miał się spotkać ze swymi wyborcami. Nie rozumiem, jak młoda panna może odważyć się na coś podobnego? I jak młody człowiek może nie widzieć tego, co się dzieje tuż pod jego nosem. A i to jeszcze, że nakłaniała do rozmów z Fryderykiem moją biedną, drogą siostrę, gdy ta była już umierająca! Nie przypuszczałam, że twoja ciotka mogła być aż tak słaba.

Widać z tego, że między matką a córką toczyły się na ten temat poufne i zgodne rozmowy.

Wiemy już, jakie postanowienia zostały powzięte w związku z odkryciem lady Aylmer i jak cała rodzina czekała na odpowiedź Klary. Aczkolwiek lady Aylmer mówiąc o Klarze przypisywała jej tyle sprytu i podłości, jednak spodziewała się, że w tym wypadku młoda panna okaże raczej stanowczość, i liczyła na to, że owa stanowczość posłuży jej jako środek do zerwania narzeczeństwa, do czego wciąż zamierzała doprowadzić. Byłoby wskazane, i raczej pożądane, by list kapitana Aylmera był utrzymany w tonie ostrzejszym i bardziej autorytatywnym, ale matka nie mogła go sama napisać i czuła, że gdyby go sama napisała, jej list nie wywołałby gniewu Klary na narzeczonego.

Natomiast udało się jej wzbudzić w synu uczucie zgrozy wobec niemoralności Askertonów i wpłynąć na niego, by wybuchnął szlachetnym oburzeniem, a może... może wtedy błakająca się po manowcach Klara okaże się na tyle głupia, że wtrąci jakieś słówko w obronie swej utraconej przyjaciółki. Tak przedstawiała się obecna sytuacja i stwarzała pewne podstawy do zachowania nadziei.

Wszyscy więc czekali na odpowiedź Klary. Lady Aylmer obliczyła dokładnie szybkość poczty w doręczaniu listów i wiedziała, że oczekiwany list może nadejść w środę rano.

— Nie będzie naturalnie pisała w niedzielę — rzekła do syna — ale masz prawo spodziewać się, że nie zaniedba zrobić tego następnego dnia.

Kapitan Aylmer rozumiejąc, że Klara została wystawiona na próbę, potrząsnął

niecierpliwie głową i na razie nic nie odpowiedział. Lady Aylmer czując, że mocno trzyma w garści winowajcę, udała, że tego nie zauważyła. Robiła przecież wszystko, co w jej mocy, dla jego szczęścia, podobnie jak kiedy był dzieckiem, robiła wszystko dla jego zdrowia, każąc mu wypić odpowiednią dawkę rabarbaru lub senesu; podobnie jednak jak nie spodziewała się wówczas, by mu te ziółka smakowały, tak i teraz nie spodziewała się by był zadowolony z leczniczych zabiegów, jakim go poddała.

List nie nadszedł w środę, nie nadszedł także w czwartek i panie z Aylmer Parku zdecydowały, że już przyszedł czas, kiedy należało o tym pomówić. Belinda, pod wpływem matki, przystąpiła do ataku nie w jej obecności, lecz gdy znalazła się sama na sam z bratem.

— Czy to nie dziwne, Fryderyku, że Klara dotąd nie odpisała w sprawie tych państwa w Belton?

— Somersetshire leży po drugiej stronie Londynu i listy stamtąd idą dość długo.

— Tak, ale gdyby napisała w poniedziałek, to list powinien był nadejść w środę rano, a już z pewnością miałbyś go w czwartek wieczorem, bo mama posłała do Whitby po dzisiejszą pocztę.

Biedna Belinda była kiepskim adiutantem i zdradzała zbyt wiele sztuczek obmyślonych przez starszego rangą zwierzchnika, a świadczących o tym, ile kalkulacji i starań puszczono w ruch w związku z oczekiwanym listem.

— Skoro ja jestem spokojny, to i wy nie powinnyście się niepokoić — odpowiedział brat.

— A jednak sprawa wydaje mi się bardzo poważna. Jeżeli ona nie dostała twojego listu, to trzeba będzie, byś koniecznie napisał do niej jeszcze raz, aby... aby wymazać tę hańbę możliwie jak najprędzej. — Kapitan Aylmer potrząsnął głową i oddalił się.

Nie ulega wątpliwości, że gotów był zapłonąć gorącym oburzeniem — nawet bardzo gorącym oburzeniem — jednak dotknęło go słowo „hańba” zastosowane do jego przyszłej żony.

— Fryderyku — rzekła do niego matka nieco później, ale tego samego dnia, gdy zmordowany chłopiec stajenny powrócił z niczym z pobliskiego urzędu pocztowego — uważam, że musisz zrobić coś w tej sprawie.

— Co mam zrobić, madame? Czy powinienem pojechać do Belton?

— Nie, nie, tego oczywiście sobie nie życzę. Po pierwsze byłoby to bardzo niewygodne dla ciebie, a po drugie niewłaściwe ze względu na nas. Wcale nie to miałam na myśli. Ale uważam, że coś należałoby tu zrobić. Trzeba, żeby zrozumiała sytuację.

— Zapewniam cię, że ona rozumie sytuację nie gorzej niż ktokolwiek inny.

— Sądzę, że ma dość sprytu w tego rodzaju sprawach.

— W jakiego rodzaju sprawach?

— Nie bądź uszczypliwy, Fryderyku, przecież ja troszczę się o twoją żonę.

— A więc, co chcesz, abym zrobił? Napisałem do niej, a teraz mogę tylko czekać na jej odpowiedź.

— Być może, że ona krępuje się pisać do ciebie w takiej sprawie, więc ja powinnam... Krótko mówiąc, jeśli się zgodzisz, napiszę do niej sama.

— Nie uważam, by z tego mogło wyniknąć coś dobrego. To by ją tylko obraziło.

— Obraziło? Fryderyku! Czyż mogłoby ją obrazić otrzymanie listu od przyszłej świekry, ode mnie? Zastanów się, Fryderyku, coś ty powiedział.

— Jeżeli doszła do przekonania, że ją zbytnio dręczymy tą sprawą, od razu zacznie się przeciw nam buntować.

— Buntować! Co mam myśleć o młodej panie, która od razu buntuje się dlatego tylko, że matka człowieka, którego — jak mówi — kocha, ostrzega ją przed niewłaściwymi znajomościami, przed bardzo niewłaściwymi znajomościami?

Elokwencję lady Aylmer mógłby ocenić tylko ten, kto ją słyszał. Nie wystarczyłoby powiedzieć, że podnosiła pulchne ramiona i pulchne dłonie oraz potrzasała sztuczną grzywką, tym bardziej imponującą, że była to stara, nieco zmierzwiona i potargana grzywka, którą lady Aylmer nosiła zwykle rano. Trzeba było słyszeć, z jaką emfazą to mówiła, i trzeba było widzieć jej dostosowane do sytuacji gesty.

— Gdybyż istniały jakiegokolwiek wątpliwości — ciągnęła dalej — ale tu żadnych wątpliwości nie ma. Istnieją za to potężające dowody.

Są w słownictwie mężczyzn pewne wyrazy, które kobiety w rodzaju lady Aylmer z rozkoszą stosują w specjalnych wypadkach, gdy dramatyczne okoliczności wymagają dramatycznych słów. Mówiąc to sięgnęła ręką pod stół, przyciskając go w widoczny sposób do swojej dostojnej postaci, ale tym samym wskazywała miejsce, gdzie w szufladzie jej biurka był zamknięty pewien cenny list.

— Jeśli chcesz, możesz ten list napisać, sądzę jednak, że powinnaś jeszcze kilka dni poczekać.

— Dobrze, Fryderyku, poczekam. Będę czekała do niedzieli. Nie chcę przedsięwziąć niczego, czego byś nie zaaprobował. Jeżeli list nie nadejdzie do niedzieli rano, to napiszę do niej w poniedziałek.

W sobotę po południu atmosfera stała się nie do opisania ciężka i kapitan Aylmer zaczął rozmyślać nad możliwością ucieczki z Aylmer Parku. Mimo umowy z matką, którą kapitan Aylmer rozumiał w ten sposób, że nie będą rozmawiali na temat krnąbrności Klary przynajmniej do nadejścia niedzielnej poczty, lady Aylmer już w sobotę przypuściła dwukrotny atak i wyraziła zdanie, że sprawa ta budzi poważne obawy. Belinda błędziła po domu z miną pełną melancholii, nie odrywając oczu od ziemi, jak gdyby w proroczym przeczuciu, że brat utraci całkowicie prawo do szacunku. Nawet Sir Anthony podniósł w górę oczy

i potrzęsnał głową, gdy przy otwieraniu worka z pocztą, coi zwykle osobiście

czyniła lady Aylmer przy śniadaniu, jej lordowska mość zawołała: „I znów nie ma listu!” — Wówczas kapitan Aylmer pomyślał o ucieczce i postanowił, że w razie ucieczki wyda specjalne zlecenie urzędowi pocztowemu w Whitby, by jego korespondencję kierowano gdzie indziej.

Wieczorem po obiedzie, kiedy panie wyszły z jadalni, zaczął mówić o tym z ojcem.

— Zdaje mi się, że będę musiał pojechać w poniedziałek do miasta — powiedział.

— Tak wcześnie? O ile wiem, miałeś pozostać tu do dziewiątego.

— Mam w Londynie parę spraw, których muszę dopilnować, i dlatego najlepiej będzie, jeśli wyjadę stąd zaraz.

— Matka ogromnie się tym zmartwi.

— Bardzo mi przykro, ale trudno, interes jest interesem.

Ojciec napełnił sobie kieliszek i podał butelkę synowi. Sam również był nierad, że syn ma wyjechać przed umówionym terminem, ale nie powiedział ani słowa. Spojrzał na rozżarzone węgle na kominku i przez głowę przemknęła mu mglista myśl, że — gdyby to było możliwe — i on chętnie by uciekł z Aylmer Parku.

— Jeżeli pozwolisz, wezmę w poniedziałek mały powozik i pojedę do Whitby, żeby złapać express do Londynu.

— Oczywiście, możesz go wziąć, ale...

— Ale co?

— Czy mówiłeś już o tym z matką?

— Jeszcze nie, powiem jej o tym później.

— Obawiam się, Fred, że ją to trochę rozniewa.

Gdy to mówił, głos starego człowieka zabrzmiał jakąś nieśmiałą ufnością i choć nie był to jego zwykły ton, syn go zrozumiał.

— Czy nie uważasz, że ją to... trochę, hm, hm, rozniewa? — powtórzył ojciec.

— Nie powinna była mówić ze mną w ten sposób o Klarze — powiedział kapitan.

— Przypuszczam, że miała do tego jakiś powód. Czy nie napijesz się porto?

— Oczywiście wiem, że ma zawsze najlepsze intencje — rzekł syn oddając ojcu butelkę.

— O tak, ona ma zawsze najlepsze intencje.

— Jest najlepszą matką w świecie.

— Tak, Fred, możesz to śmiało powiedzieć... jest także najlepszą żoną.

— Ale jeżeli nie może postawić na swoim... — tu syn umilkł, a ojciec potrząsnął głową.

— Oczywiście lubi zawsze postawić na swoim — przytaknął sir Anthony.

— W niektórych sprawach wychodzi to na dobre.

— Tak, w niektórych sprawach wychodzi to na dobre.



— Istnieją jednak sprawy, w których mężczyzna powinien sam decydować.

— Przypuszczam, że takie sprawy istnieją — rzekł sir Anthony, nie odważając się pomyśleć, w jakich to sprawach mógłby sam decydować.

— Na przykład kiedy chodzi o małżeństwo...

— A w ogóle, Fred, nie rozumiem, po co ty chcesz się żenić. Czyż w twoim obecnym stanie nie czujesz się szczęśliwy? Dalibóg, nie znam człowieka szczęśliwszego od ciebie! Gdybym był na twoim miejscu, wiedziałbym...

— Ale widzisz, ojczy, to zostało już postanowione.

— Jeżeli zostało postanowione, nie ma już o czym mówić.

— Na nic się nie zda, że matka tak mnie dręczy, mówiąc ciągle o tym samym.

— Mój kochany, twoja matka dręczy mnie — jak ty to nazywasz — już od czterdziestu lat. Ale taka już jest. Przecież — jak to stwierdziliśmy — to najlepsza kobieta na świecie, ale taka już jest. I taka jest większość kobiet. Zrobią wszystko, by postawić na swoim. Wszystko. Najlepiej jest znosić to, jeżeli się musi. Ale po co, u licha, miałbyś się żenić, wiedząc, że nie jesteś najstarszym synem i masz wszystko, czegokolwiek pragniesz, będąc kawalerem? Tego już nie mogę zrozumieć. Na Boga, naprawdę, Fred, tego już nie rozumiem.

Po czym sir Anthony westchnął głęboko i przez chwilę siedział w zadumie, myśląc o londyńskim klubie, do którego należał, lecz nigdy w nim nie bywał; o dniach, kiedy był panem siebie we własnej kawalerce, niedaleko St. James's Street; o starych przyjaciółkach, których teraz wcale nie widuje i nigdy nic o nich nie słyszy, chyba że — jak to się zdarza rok po roku — któryś z nich wymknie się od żony w ten świat, gdzie nikt się nie żeni ani nie wychodzi za mąż.

— No a teraz — rzekł — może byśmy przeszli do salonu. Skoro mówisz, że to postanowione, widocznie tak już jest. Wydaje mi się jednak, że matka robi wszystko możliwe dla twego dobra. Tak mi się wydaje.

Tego wieczora kapitan Aylmer nie wspomniął matce o wyjeździe, lecz kiedy w ciszy swego pokoju zaczął rozmyślać nad przyszłością, poczuł do ojca szczerą wdzięczność za troskliwość, jaką sir Anthony mu okazał. Nieczęsto zasięgał ojcowskiej rady, lecz teraz, gdy ją otrzymał, potrafił ocenić jej wartość. Zdawał sobie sprawę, że Klara była samowolna, a w każdym razie ufna we własne siły, że nie jest bynajmniej skłonna do tej uroczej kobiecej uległości, jaką rad byłby u niej widzieć. Rzecz prosta, nie życzył sobie być przez żonę „dręczony”. Znał siebie samego dość dobrze, by być pewnym, że nie mógłby tego wytrzymać nawet przez jeden dzień. We własnym domu on będzie panem, a jeżeli przyjdą burze, to potrafi je uciszyć, przynajmniej tyle mógł sobie obiecać. O ile matka jego była silna, o tyle ojciec — słaby, ale on — jak to sobie z wdzięcznością uświadomił — odziedziczył raczej siłę charakteru matki niż słabość ojca. Ale w gruncie rzeczy po co w ogóle miałyby być burze? Chociaż mężczyzna potrafi uciszyć domowe burze, to jednak w domu nie ma wówczas spokoju. Znów przypomniał sobie, z jaką łatwością

zdobył Klarę. Pragnął być sprawiedliwy w stosunku do ludzi, a również w stosunku do Klary. Pragnął być dla niej wspaniałomyślny — ale wspaniałomyślny w sposób umiarkowany — jednak ponad wszystko w świecie pragnął nie być wystrychnięty na dudka. A nuż naprawdę było tak, jak kilkakrotnie twierdziła matka: może Klara namówiła ciotkę do odegrania tej sceny na łożu śmierci? Nie wierzył w to. Był pewny, że tak nie było. A jednak może tak było naprawdę? Chciał być wspaniałomyślny i ufny, ale pragnął tego dość umiarkowanie, natomiast za nic w świecie nie chciał być oszukany i okłamany. Ostatecznie może byłoby dobrze poczekać cokolwiek dłużej i upewnić się, jak Klara zamierza zachować się w tej nagle wynikłej sprawie Askertonów? A może jednak matka miała rację?

W niedzielę nadszedł oczekiwany list, ale zanim poznamy jego treść, byłoby dobrze powrócić do Belton i zobaczyć, co Klara zrobiła w sprawie wiadomości przesłanych jej przez ukochanego.

## ROZDZIAŁ XVIII

### Historia pani Askerton

Otrzymawszy od kapitana Aylmera list, od którego tak wiele miało zależeć, Klara postanowiła nie mówić o tym nikomu, a w miarę możliwości unikać nawet myśli o liście aż do chwili odjazdu Willa. Nie mogła wspomnieć o tym kuzynowi, bo chociaż raczej byłaby się zwróciła o radę do niego niż do kogokolwiek innego, nawet w sprawie tak delikatnej, jednak nie mogła tego uczynić, gdyż w tym wypadku informatorem był jego szczęśliwy rywal. Dlatego też, kiedy pani Askerton po wyjściu z kościoła poprosiła jak zwykle, by ją nazajutrz odwiedziła, Klara nie wiedziała, co ma jej odpowiedzieć, bowiem jeszcze nie postanowiła, czy ma lub też nie ma bywać nadal w willi Askertonów. Oczywiście przyszło jej na myśl, czyby nie zwrócić się po radę do ojca lub też raczej powiedzieć mu o swym kłopotcie, wiedziała jednak, że cokolwiek mu powie, ojciec zacznie dawać rady, do których będzie jej trudno się zastosować i którym nie mogła zaufać. I po co miałyby powtarzać ojcu przykrą historię o sąsiadach?

Po wyjeździe Willa miała przed sobą długi, samotny ranek, więc usiłowała uporządkować myśli i nakreślić sobie dalszą linię działania. Gdyby uznać tę historię za prawdziwą, to jakie miałyby to znaczenie? Oczywiście bardzo duże. Jeżeli prawdą było, że ta kobieta porzuciła męża i wyjechała z innym, to z powodu takiego postępowania — w każdym razie w okresie, w którym postępowanie to trwało — byłaby nieodpowiednim towarzystwem dla młodej panny, pragnącej zachować w oczach świata nieskazitelną imię. Klara byłaby poniechała dalszych dociekań w tej sprawie nawet we własnych myślach, gdyby nie to, że w danym

wypadku nie mogła sobie pozwolić na żadne wątpliwości. Nie potępiając nawet nieszczęsnej ofiary, zdawała sobie sprawę, że ze względu na tych, którzy byli jej drodzy, jeżeli nie ze względu na samą siebie, nie powinna pozostawać w ścisłej zażyłości z osobą znajdującą się w takiej sytuacji. Zasady, jakimi rządzi się świat, są tak jasno określone, że w podobnej sprawie nie mogła sobie pozwolić na własny, odrębny sąd. Ale jeżeli jej przyjaciółka — której zdarzyło się podobne nieszczęście — zdołała później odzyskać lub też częściowo odzyskać pozycję towarzyską przez drugie małżeństwo, czy należało zawsze pamiętać o jej przeszłości i twierdzić, że plama na jej honorze nie da się wymazać? Klara czuła, że gdyby wcześniej wiedziała o tej historii, unikałaby prawdopodobnie wszelkiego zbliżenia z panią Askerton. Byłaby wtedy usprawiedliwiona, decydując, czy taką zażyłość wolno jej utrzymywać, czy też nie, i powzięłaby decyzję zgodną z opinią świata. Teraz jednak było już na to za późno. Pani Askerton od wielu lat była jej przyjaciółką i Klara musiała zadać sobie takie pytanie; czy było to konieczne teraz, czy jej kobieca skromność wymagała zerwania z przyjaciółką dlatego, że ta ostatnia splamiła w przeszłości swe życie niewłaściwym zachowaniem?

Bądź co bądź było jasne, że tego oczekuje od niej, a raczej kategorycznie wymaga ten, który ma zostać jej mężem i panem i któremu w przyszłości będzie winna posłuszeństwo. Bez względu jednak na to, jaka będzie jej chwilowa decyzja, gdy zostanie jego żoną, będzie miał prawo żądać, by kierowała się jego sądem. Czuła, że już teraz miał takie prawo, chyba że ona dojdzie do przekonania, że on takiego prawa nie ma i nigdy go mieć nie będzie. Było jeszcze w jej mocy powiedzieć, że nie podda się jego kierownictwu, ale otrzymawszy jego rozkazy musi je spełnić lub odmówić mu posłuszeństwa. I nie rozpatrując sprawy logicznie, lecz powodując się nagłym impulsem, postanowiła, że w każdym razie nie będzie posłuszna radom lady Aylmer i w żadnej podobnej sprawie nie będzie się z nią liczyła. Lady Aylmer nie stanie się dla niej wyrocznią. Sprawa domu w Perivale dotknęła ją boleśnie. Wiedziała, że bez skargi potrafi znieść nudę samotności w Perivale, jeżeli po ślubie okoliczności będą wymagały wyjazdów męża. Natomiast fakt, że żądają od niej zgody na to jeszcze przed ślubem, że narzeczony targuje się o możliwość pozbycia się jej towarzystwa, że rodzina Aylmerów stara się wszystko tak urządzić, by po ślubie mąż przebywał z nią możliwie najrzadziej — fakt ten napełniał ją wielkim bólem. Próbowała znaleźć pociechę w przekonaniu, że nie Fryderyk, lecz raczej lady Aylmer była temu winna, ale nawet ta pociecha miała przykrą skazę: przecież słowa te były pisane własną ręką Fryderyka. Czy Will Belton mógłby napisać podobny list do swojej przyszłej żony?

W obecnym wypadku musi kierować się własnym sądem czy też własnym instynktem, a nie słuchać rozkazów Aylmer Parku. Jeżeli za jej ewentualne postępowanie spotka ją potępienie ze strony kapitana Aylmera, odpowie na to, będzie musiała odpowiedzieć potępieniem kapitana Aylmera i jego matki. Inaczej

być nie może. Cokolwiek postanowi, będzie lepsze niż podłe, służalcze posłuszeństwo wobec despotycznej pani Aylmer Parku.

Jak jednak powinna się zachować w stosunku do pani Askerton? Zaczynała wierzyć, że opowieść była prawdziwa, a w przekonaniu tym utwierdziło ją przyrzeczenie dane jej w swoim czasie przez panią Askerton: „Jeżeli zechcesz mi zadać jakie pytanie, odpowiem ci.”

Przyrzeczenia takiego nie dawałaby z własnej inicjatywy, gdyby nie miała do powiedzenia czegoś szczególnie ważnego. Byłoby może dobrze poprosić panią Askerton, by to przyrzeczenie spełniła, lecz w takim razie musiałyby się przyznać, skąd czerpie swoje wiadomości. Pani Askerton powiedziała jej, że „informacja” pochodzi od Willa Beltona, ale kuzyn wyjechał nie powiedziawszy o niej ani słowa, zaś „informacje” nadesłał kapitan Aylmer.

W poniedziałek i wtorek dni były słotne i deszcz posłużył jej za wymówkę, by nie pójść do willi. W środę ojciec zachorował, co ją znów skłoniło do pozostania w domu, ale w środę wieczorem nadeszła kartka od pani Askerton:

Niedobra dziewczyno, dlaczego do mnie nie przychodzisz? Pułkownik wyjechał wczoraj rano, a ja powoli zapominam brzmienia własnego głosu. Nie chciałam Cię fatygować, dopóki Twój boski kuzyn nie wyjechał — i nie bez powodu — ale jeśli teraz nie przyjdiesz, to pomyślę, że jego boska osoba jest dla Ciebie ważniejsza ode mnie. Mój mąż bawi w Irlandii w sprawie jakiejś posiadłości i powróci dopiero w przyszłym tygodniu.

Klara posłała przez posłańca odpowiedź i obiecała przyjść, a nazajutrz rano, włożywszy szal i kapelusz, zabrała się do spełnienia swego trudnego zadania. Wychodząc z domu nie zdecydowała jeszcze, co zrobi. Z początku wsunęła list narzeczonego do kieszeni, by w razie potrzeby móc się nań powołać, lecz po namyśle schowała go z powrotem do szuflady biurka, obawiając się, by przyjaciółka nie skłoniła jej do pokazania go lub odczytania jakiegoś urywka. Po deszczu chwycił tęgi mróz i ziemia stała się twarda i sucha. Chcąc w ostatniej chwili zyskać trochę czasu do namysłu, nie poszła prosto do willi, lecz obeszła dookoła park przechadzając się między skałami, przy czym, choć powietrze było mroźne, usiadła na chwilę na tym samym kamieniu, na którym siedziała wtedy, gdy kuzyn Will wykrztusił to wyznanie o niedoli swego serca. Usiadła tam, by móc o nim pomyśleć, by odnaleźć we wspomnieniu jego postać, dźwięk głosu, spojrzenie i wyraz twarzy. Co za mężczyzna! Czuł, a jednak mocny, gotów zawsze służyć innym, a umiejący i sobie samemu dać we wszystkim radę. Podświadomie jedno tylko miała mu do zarzucenia — że kochał i szybko zapomniał o tej miłości. Myślała tak podświadomie, gdyż starała się w sobie wmówić, że widzi w tym raczej jego zasługę niż winę — ale teraz, zdając sobie w pełni sprawę z tego, co robi (choć nie leżało to wcale w jej intencjach), rozgrzeszyła go z tej jedynej winy. Obecnie, gdy go mogła rozgrzeszyć, przyznała,

że byłaby to jednak wina. Zakochać się i tak szybko zapomnieć!

O nie, kochał ją naprawdę, i niestety był człowiekiem niezdolnym zapomnieć! Wreszcie wstała i poszła do willi, myśląc po drodze raczej o kontraście między tymi dwoma mężczyznami niż o sprawie, w której miała o nich mówić.

— A więc w końcu przyszałaś! — przywitała ją pani Askerton. — Zanim dostałam twoją kartkę, myślałam, że stało się jakieś straszne nieszczęście.

— Jakie nieszczęście?

— Jakieś straszne nieszczęście. Często przewiduje się coś bardzo złego nie wiedząc, co może się stać. Przynajmniej mnie się to zdarza. Zawsze spodziewam się jakiejś katastrofy, gdy jestem sama, a tak często bywam samotna.

— To po prostu oznaka jakiegoś przygnębienia.

— Nie, moja droga, to oznacza coś więcej.

— Nie sądzę, by to oznaczało wiele więcej.

— Kiedyś, gdy byliśmy w Indiach, mieszkaliśmy w pobliżu prochowni i ciągle spodziewaliśmy się, że wylecimy w powietrze. Czy mieszkałaś kiedy w pobliżu prochowni?

— Nie, nigdy, o ile takiej prochowni nie ma w Belton. Ale sądzę, że to musiało być bardzo denerwujące.

— Był także kiedyś pewien jegomość, który miał zawsze nad głową miecz, zawieszony na włosku.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Nie rób takiej niewinnej miny, Klara. Wiesz dobrze, co chcę powiedzieć. Jaki był ostateczny rezultat pilnej działalności twego kuzyna w roli detektywa?

— Wyrządzasz memu kuzynowi wielką krzywdę. Będąc tutaj ani razu nie wymienił twego nazwiska, nie zrobił żadnej aluzji do ciebie ani do pułkownika Askertona.

— Doprawdy?

— Nie, ani razu.

— To przepraszam go. Niemniej jednak wiem, że rozpytywał się o mnie.

— Ale dlaczego mówisz o grożącym ci wybuchu prochu albo o mieczu wiszącym nad twoją głową?

— Hm... dlaczego?

I oto był temat gotów do podjęcia, a mimo to Klara nie wiedziała, jak ma go rozwinąć. Teraz zdawało się jej, że byłoby łatwiej przystąpić do niego, gdyby pani Askerton nie zaczęła pierwsza. Skoro tak się stało, Klara nie wiedziała, jak naprowadzić rozmowę na list kapitana Aylmera, i niemal zamierzała czekać, spodziewając się, że pani Askerton bez tego wstępu sama zacznie opowiadać swoje dzieje.

To jednak nie nastąpiło. Pani Askerton powiedziała coś o mrozie, po czym

zaczęła narzekać na Irlandię i ubolewać, że mąż jej był zmuszony narazić się na trudy podróży w zimie, by tam przeprowadzić kontrolę nad swoimi dzierżawcami.

— Co miałaś na myśli mówiąc o mieczu zawieszonym nad twoją głową? — zapytała wreszcie Klara.

— Zdawało mi się, że wyraziłam się dość jasno, ale skoro mnie nie zrozumiałaś, jaśniej wyrazić się nie mogę.

— To dziwne, że powiedziawszy już tak dużo, nie chcesz powiedzieć więcej.

— Ach, więc z kolei ty rozpoczynasz badania?

— Gdybyś była na moim miejscu, zrobiłabyś to samo. Czy mogłam postąpić inaczej, gdy wspomniałaś o mieczu? Oczywiście sama wywołałaś pytanie: co znaczy ów miecz?

— Czy jestem obowiązana zaspokoić twoją ciekawość?

— Jeszcze przed przyjazdem kuzyna powiedziałaś mi, że jeżeli zadam ci jakieś pytanie, to mi na nie odpowiesz.

— Czy mam uważać, że teraz właśnie zadajesz mi takie pytanie?

— Tak, o ile cię to nie obrazi.

— Cóż z tego, że mnie to obrazi... głęboko obrazi. Któż lubi, by go badano?

— Ale przecież pozwoliłaś mi na takie badanie.

— Nie, Klaro, tego nie zrobiłam. Zaraz ci powiem, na co ci pozwoliłam. Dałam ci tylko do zrozumienia, że jeżeli trzeba będzie, byś poznała moje dotychczasowe życie — pewne sprawy, o które pan Belton rozpytywał się w sposób według mnie niedopuszczalny — to ja opowiem ci moją historię.

— I zrobisz to nie mając do mnie żalu za moje pytanie?

— Oczywiście myślałam, że nie stanie się to powodem do gniewu między nami. Gdybym chciała ci coś opowiedzieć, zrobiłabym to bez żadnych badań z twojej strony.

— Zdawało mi się czasem, że pragniesz mi coś opowiedzieć.

— Tak, czasem pragnęłam tego nieledwie.

— Ale teraz już nie pragniesz?

— Powinnaś to zrozumieć. Czy to nie naturalne, że ktoś tak samotny jak ja — pozbawiony kobiecych przyjaźni, ba, nawet znajomości, prócz ciebie — spragniony jest często pociechy, jaką dałaby mi pełna szczerłość między nami.

— A więc dlaczego...

— Chwileczkę. Czy nie możesz zrozumieć, że choć tak czuję, mam jednak wstręt do tego, by mnie badano? Wszyscy lubimy opowiadać o własnych zmartwieniach, ale kto lubi, by go o nie wypytywano? Niejedna kobieta, pałająca chęcią pełnego wypowiedania się, będzie milczała jak grób przed policjantem.

— Przecież nie jestem policjantem.

— Ale jesteś zdecydowana zadawać mi pytania niczym policjant.

Na to Klara nie od razu odpowiedziała. Czowała, że postąpiłaby niemal obłudnie

zadając dalsze pytania, gdyż w gruncie rzeczy знаła wszystkie okoliczności, o których pani Askerton mogła jej opowiedzieć; nie wiedziała jednak, jak ma się do tego przyznać i jak się wytłumaczyć. Pragnęła szczerze wyznać pani Askerton całą prawdę, ale rozmowa przybrała taki obrót, że zadanie jej stawało się niełatwe do spełnienia. Świadomość własnej hipokryzji była dla niej tak przykra, że starała się tę trudność pokonać za pomocą pośpiesznych, żarliwych słów, które w każdym razie usunęłyby między nimi wszelkie wątpliwości.

— Moja droga — powiedziała uroczyście. — Wiem wszystko i nie potrzebujesz mi niczego opowiadać. Wiem, jaki miecz wisi nad twoją głową.

— I cóż takiego wiesz?

— Wiem, że dawno temu wyszłaś za mąż za pana Berdmore'a.

— A więc pan Belton zrobił mi ten zaszczyt, że mówił o mnie podczas swojej tu bytności. — Powiedziawszy to pani Askerton podniosła się z krzesła i z płonącymi oczami stanęła przed Klarą.

— Nie mówił ani słowa. Nie wspomniał nawet twojego obecnego nazwiska ani nazwiska, jakie niegdyś nosiłaś.

— W takim razie kto ci to powiedział?

— Nie sądzę, by to miało jakie znaczenie. Po prostu dowiedziałam się.

— I cóż więcej?

— Nie wiem nic więcej, tyle tylko mi powiedziano, a ponieważ upoważniłaś mnie do zapytania, zwracam się wprost do ciebie, prędzej uwierzę w to, co mi sama opowiesz o sobie, niż w to, co mi powie ktokolwiek inny.

— A gdybym ci odmówiła?

— Nie powiem już ani słowa więcej.

— I co wtedy zrobisz?

— Tego jeszcze nie wiem. Ale dlaczego jesteś dla mnie taka przykra, kiedy ja tak bardzo staram się okazać ci życzliwość? Czy nie orientujesz się, że cała ta sprawa została mi narzucona... po części przez ciebie samą?

— A po części przez kogo? Kto ci tę sprawę narzucił? Kto cię o tym poinformował? Jeżeli uważasz się za wspaniałomyślną, to bądź wspaniałomyślna do końca. Czy to mężczyzna, czy kobieta zadaje sobie trud grzebania się w starych smutkach, by oczernić moje dobre imię? Ale mniejsza z tym. A więc: byłam żoną kapitana Berdmore'a. Porzuciłam go i wyjechałam z moim obecnym mężem. Przez trzy lata byłam jego kochanką, nie żoną. Gdy tamten nieszczęśnik umarł, wzięliśmy ślub i zamieszkaliśmy tutaj. Teraz już wiesz wszystko, wszystko, choć nie ulega wątpliwości, że twój informator ułożył z tego piękniejszą historię. Wobec tego postępowałam może szkaradnie zatruwając moją obecnością powietrze, jakim oddychasz.

— Dlaczego tak mówisz... do mnie?

— Nie, nie wiesz jeszcze wszystkiego. Nikt nie może wiedzieć, jak bardzo

cierpiałam, zanim zdecydowałam się na ucieczkę, a także, ile dobroci doznałam od tego, który... który... który... — pani Askerton odwróciła się od Klary, podeszła do okna i stanęła tam, starając się ukryć łzy i tłumiąc szloch, nie pozwalający jej mówić dalej.

Przez kilka chwil, które każdej z nich wydawały się nieskończenie długie, Klara w milczeniu siedziała na miejscu nie śmiąc przemówić słowa i choć bardzo pragnęła okazać współczucie, nie wiedziała, co ma powiedzieć. W końcu wstała i podeszła do okna. Nie mówiła nic, tylko łagodnie objęła panią Askerton ramieniem i stała tak przy niej patrząc przez okno na puste zimowe klomby i nie odważając się podnieść oczu na towarzyszkę. Dotknięcie jej ramienia z początku bardzo lekkie stawało się coraz mocniejsze, aż w końcu przytuliła do siebie przyjaciółkę gorącym, długim i serdecznym uściskiem. Pani Askerton na razie próbowała leciutko uwolnić się z objęć przyjaciółki, ale gdy uścisk stawał się coraz gorętszy, biedna kobieta poddała mu się i odważyła się ukryć twarz na ramieniu Klary. Stały tak bez słowa, nie usiłując powstrzymać łez, zasłaniających im wzrok, i spoglądając jak przez mgłę na smutny, zimowy krajobraz roztaczający się przed ich oczami. W tej chwili myśl Klary pracowała bardzo żywo, gdyż postanowiła, że w obecnej sytuacji nie przyjmie żadnych pouczeń ani od lady Aylmer, ani od któregośkolwiek innego członka rodziny Aylmerów. A jeśli chodzi o zasady, jakimi rządzi się świat, to w miarę możliwości postara się im podporządkować, ale takie posłuszeństwo nie zmusi jej nigdy do nieludzkiego okrucieństwa, jakim byłoby opuszczenie kobiety, którą znała i lubiła, a obecnie pokochała z dotychczas nie znaną siłą.

— No, teraz usłyszałaś już wszystko — powiedziała wreszcie pani Askerton.

— Czy tak nie jest lepiej?

— Ach, nie wiem. Skąd mogę wiedzieć?

— Naprawdę nie wiesz? — Mówiąc to Klara przytuliła ją do siebie jeszcze mocniej. — Jeszcze tego nie czujesz? —

I obróciwszy się ku przyjaciółce zamknęła ją w ramionach całując w czoło i usta. — A teraz także nie czujesz?

— Ale ty wyjedziesz stąd i ludzie zaczną cię przekonywać, że postąpiłaś niesłusznie.

— Jacy ludzie? — zapytała Klara mając na myśli całą rodzinę z Aylmer Parku.

— Powie ci to twój mąż.

— Nie mam męża; jeszcze nie mam męża, który mógłby mi rozkazać, bym myślała tak czy inaczej.

— No tak, jeszcze go nie masz, ale kiedyś wszystko mu opowiesz.

— On wie wszystko. To on mi o tym napisał.

— Co? Kapitan Aylmer?

— Tak, kapitan Aylmer.



— I cóż ci napisał?

— Mniejsza o to. Kapitan Aylmer nie jest moim mężem, przynajmniej jeszcze nim nie jest. Jeżeli chce mnie poślubić, musi mnie wziąć taką, jaką jestem, a nie taką, jaką chciałby, abym była. Lady Aylmer...

— A czy lady Aylmer także o tym wie?

— Tak, lady Aylmer jest jedną z tych twardych, surowych kobiet, które nigdy nie przebaczą.

— Ach, teraz wszystko widzę jaśniej i wszystko rozumiem. Klaro, zapomnij o mnie i przestań do mnie przychodzić. Twoja szlachetność nie powinna zniszczyć ci życia.

— Zniszczyć? Jeżeli niezadowolenie lady Aylmer może zniszczyć moje życie, to będę musiała się z takim zniszczeniem pogodzić. Nigdy nie zgodzę się, by mną kierowała. Jestem na to za stara i od dawna postępuję według własnego uznania. Nie pozwól, by myśl taka cię nękała. W tej sprawie tylko ja jestem własnym sędzią i wyrok już wydałam.

— A twój ojciec?

— Papa nic o tym nie wie.

— Ale mu wszystko opowiesz?

— Tego jeszcze nie wiem. Biedny ojciec jest bardzo chory. Gdyby nie to, byłabym mu wszystko powiedziała, a on podzieliłby moje zdanie.

— A twój kuzyn?

— Sama mówiłaś, że on wie wszystko.

— Tak mi się zdaje. Czy wiesz, że poznałam go od pierwszej chwili, gdy go ujrzałam, ale co miałam robić? Kiedy wymieniłaś moje dawne nazwisko, moje prawdziwe dawne nazwisko, czy mogłam zachować się uczciwie? Zmuszona byłam popełnić czyn, który uniemożliwił mi uczciwość. Moje życie stało się kłamstwem, a ja nie mogłam nic na to poradzić. Przecież muszę gdzieś żyć, a życie zmusza mnie do kłamstwa.

— A jednak to takie smutne.

— Tak, naprawdę smutne. Ale co miałam zrobić? Oczywiście postąpiłam źle od początku, ale trudno mi tego żałować, skoro właśnie temu zawdzięczam pozyskanie takiego męża, jakiego mam obecnie. Gdybyś mogła wiedzieć wszystko, sądzę, że byś mi przebaczyła.

Stopniowo opowiedziała jej wszystko, a Klara została jeszcze kilka godzin słuchając jej opowiadania.

Sądzę, że czytelnikowi nie zależy na dowiedzeniu się czegoś więcej, niż już wie, a i Klara nie pragnęła poznać bliższych szczegółów tej historii i choć trudno jest zdobyć czyjeś pełne zaufanie, to jeszcze trudniej jest powstrzymać wartki potok czyichś zwierzeń. Więc pani Askerton opowiadała dzieje swego życia; mówiła o swoim pierwszym tak lekkomyślnie zawartym małżeństwie, o tym, jak z początku

wierzyła, że się mąż kiedyś poprawi, jak stopniowo traciła tę wiarę, o rozpacz, jaką przeżywała z powodu jego nałogu, o swojej ucieczce i wstydzie, o tym, z jaką ulgą doczekała się wdowieństwa, i o swoim drugim małżeństwie. A mówiąc o tym wszystkim przy każdej sposobności podkreślała szlachetność tego, który stał się jej mężem.

— Powiem mu o tobie — rzekła w końcu — tak jak zawsze mówię mu o wszystkim. Chcę, by się dowiedział że mam prawdziwą, wierną przyjaciółkę.

Podczas opowiadania często wypytywała Klarę o kuzyna Beltona, ale Klara mogła ją tylko zapewnić, że nie wie, do jakiego stopnia znana mu jest jej historia. Jest możliwe, że wie o wszystkim, ale wiadomości te zachowuje dla siebie.

— A teraz co zrobisz dalej? — zapytała pani Askerton, gdy wreszcie Klara zabierała się do odejścia.

— Co mam dalej zrobić? Nic.

— Ale napiszesz do kapitana Aylmera?

— Tak, napiszę.

— I zawiadomisz go o tym?

— Tak, sądzę, że powinnam mu o tym napisać.

— A co mu napiszesz?

— Tego ci nie powiem. Chciałabym sama wiedzieć, co powinnam mu napisać. Gdybym pisała do jego matki, napisanie listu przyszłoby mi z łatwością.

— A co byś jej powiedziała?

— Powiedziałabym, że odpowiadam za moich przyjaciół. Ale muszę już odejść. Papa będzie się skarżył, że tak długo zostawiam go samego.

Tu nastąpiła druga seria uściśnień i w końcu Klara ruszyła w drogę do domu i znalazła się w parku.

Zdawała sobie jasno sprawę, że czekają ją duże trudności. Stała całkowicie po stronie pani Askerton i nie mogła już znieść myśli o posłusznym poddaniu się wyrażonym jasno zleceniom kapitana Aylmera. Wiadomości, jakich jej udzielił, były najzupełniej prawdziwe, lecz aczkolwiek były prawdziwe, zamierzała nadal utrzymywać znajomość z panią Askerton. Pod tym względem nie miała już innego wyjścia. Jej zachowanie w willi i to, co mówiła, było wynikiem nagłego porywu, lecz nie żałowała tego. Nie mogła uwierzyć, by obowiązkiem jej było odwrócić się od kobiety, którą pokochała, i to tylko dlatego, że kiedyś ta kobieta w przystępie rozpaczycy zboczyła ze ścieżki cnoty. Ale jak miała o tym napisać?

Gdy znalazła się w domu, ojciec zaczął się skarżyć na jej nieobecność i niemal wyłajał ją, że tak długo przebywała w willi.

— Nie rozumiem — powiedział — co ty widzisz w tej kobiecie, że tak lubisz z nią przestawać.

— To moja jedyna sąsiadka, papo.

— Wolałbym, byś nie miała żadnej niż właśnie taką, o ile całkowitą prawdą jest

to, co ludzie o niej mówią.

— To, co ludzie mówią, nigdy nie jest całkowitą prawdą.

— Nie ma dymu bez ognia. Nie jestem pewny, czy to dla ciebie dobrze, że tak często ją widzisz.

— Ależ, papo, nie mów do mnie jak do dziecka.

— Jestem za to pewny, że to dla mnie niedobrze, że na tak długo wychodzisz z domu. Tak rzadko widuję cię w ciągu dnia, jak gdybyś była nie tutaj, ale w Perivale. Ale, jak sądzę, wkrótce wyjedziesz stąd na zawsze, więc powinienem się do tego przyzwyczać.

— Jeszcze nie wyjeżdżam stąd na zawsze, papo.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Że w tej chwili nie ma żadnego powodu, bym miała stąd wyjechać.

— Przecież jesteś zaręczona i masz wyjść za mąż.

— Ale te zaręczyny będą trwały długo. Są to jedne z takich zaręczyn, kiedy żadnej ze stron nie zależy na szybkiej zmianie losu.

W głosie Klary, gdy to mówiła, zabrzmiała nuta gorzkości, co starszek zauważył, lecz niezupełnie zrozumiał. Klara pozostała przy ojcu do końca dnia; zeszła tylko do jadalni na kilka minut, by zjeść obiad, potem powróciła do niego i czytała mu głośno, podczas gdy on drzemał. Zimowe wieczory w Belton Castle nie były bardzo wesołe, ale Klara przywykła do nich i nie skarżyła się.

Rozstawszy się z ojcem przed nocą, usiadła przy biurku i zaczęła przygotowywać się do napisania listu do narzeczonego. Postanowiła nie kłaść się spać, zanim go nie skończy; tak też się stało, choć napisanie listu kosztowało ją dużo trudu i trwało do późnej nocy. A oto treść listu:

Belton Castle, czwartek wieczorem.

Drogi Fryderyku. Otrzymałam Twój list w niedzielę, ale nie mogłam odpisać wcześniej, gdyż odpowiedź moja wymagała poważnego namysłu oraz ze względu na pewne informacje, które otrzymałam dopiero dziś. Na temat projektowanego zamieszkania w Perivale nie mam dziś dużo do powiedzenia, gdyż całą moją uwagę pochłonęła inna sprawa. W każdym razie mogę Ci przyrzec, że nigdy nie będę się starała przeciwstawić Twoim planom. Kuzyn Will wyjechał stąd w poniedziałek, wobec czego obecność jego nie będzie już Twojej matki niepokoiła. Towarzystwo jego wpływa dobrze na ojca i dlatego żałuję, że już odjechał.

Mogę Ci zapewnić, że w tym, co kiedyś o nim powiedziałaś, nie widzę nic osobliwego. Will jest moim najbliższym krewnym i sądzę, że jesteś rad, że go lubię, a istotnie lubię go bardzo.

A teraz przystępuję do tej drugiej sprawy, która, muszę przyznać, jak zresztą się tego spodziewałaś, bardzo mnie zmartwiła. Chodzi o panią Askerton. Było mi

trudno oddzielić w Twoim liście to, co wyraża opinię Twojej matki, od tego, co stanowi Twoje własne zdanie. Oczywiście pragnę oddzielić te dwie opinie, gdyż każde Twoje słowo bardzo sobie cenię. Dotychczas nie poznałam osobiście lady Aylmer i dlatego nie potrafię o niej myśleć tak jak o Tobie, a nawet gdybym ją kiedyś dobrze poznała, nie mogłabym mieć dla niej tyle względów, co dla człowieka, który ma zostać moim mężem. Piszę o tym, gdyż obawiam się, iż w sprawie pani Askerton nie będę mogła się z nią zgodzić.

Przekonałam się, że Twoje informacje o pani Askerton są w zasadzie prawdziwe. Natomiast wydaje mi się, że osoba, która Ci tych informacji udzieliła, nie wiedziała nic o prowokacyjnym traktowaniu, na jakie pani Askerton była narażona. Kapitan Berdmore obchodził się z nią bardzo źle, bo był niestety strasznym pijakiem, tak że w końcu pożycie z nim stało się dla niej niemożliwe. Wyjechała więc. Nie umiem Ci opisać, jakie to wszystko było okropne, jestem jednak pewna, że gdybym potrafiła Ci to wytłumaczyć, łatwiej by Ci przyszło ją usprawiedliwić. Po śmierci kapitana Berdmore'a wyszła zaraz za męża za pułkownika Askertona, a ślub odbył się przed ich przyjazdem do Belton. Sądzę, że weźmiesz to pod uwagę. Wszystko to działo się w Indiach i doprawdy nie wiem, w jakim celu mielibyśmy teraz zajmować się badaniem tej całej sprawy.

W każdym razie ponieważ znam ją od dawna, i to bardzo blisko, i ponieważ jestem pewna, że za wszystkie swoje winy pani Askerton już odpokutowała, nie sądzę, bym teraz powinna z nią zerwać; zresztą przyrzekłam jej, że tego nie zrobię. Uważam, że obowiązkiem moim jest powiedzieć Ci całą prawdę, i taka właśnie jest ta prawda.

Proszę, byś przekazał ode mnie Twojej matce słowa szacunku; powiedz jej, że jestem pewna, iż będąc na moim miejscu osądziłaby tę sprawę inaczej, niż czyni to teraz. Ta biedna kobieta nie ma tutaj żadnych przyjaciół prócz mnie, a kimże ja jestem, bym miała prawo ją potępiać? Tego zrobić nie mogę. Drogi Fryderyku, proszę, nie gniewaj się na mnie za to, że w sprawie tej postępuję według własnej woli. Chyba rad będziesz widząc, że posiadam własne zdanie. W moim obecnym położeniu muszę mieć własne zdanie, gdyż teraz jeszcze odpowiedzialność za wszystko, co robię, spoczywa tylko na mnie samej. Byłoby mi bardzo, bardzo przykro, gdyby przekonania nasze różniły się, lecz mimo to nic mnie nie zmusi do uznania, że postępuję źle. Szkoda, że Cię tu nie ma i że nie możemy o tym wszystkim porozmawiać, bo sądzę, że zgodziłbyś się ze mną.

Jeżeli sprawy Twoje pozwolą Ci przyjechać do nas na Wielkanoc lub kiedy indziej i jeżeli praca w parlamencie nie będzie wymagała Twojej obecności w Londynie, będziemy niezmiernie radzi Cię zobaczyć.

Oddana Ci, drogi Fryderyku,

Klara Amedroz

ROZDZIAŁ XIX

## Przed panną Amedroz otwiera się nowa szansa

W niedzielę rano list Klary nadszedł do Aylmer Parku i Fryderyk Aylmer siadając do śniadania znalazł go na swoim talerzu. Z biegiem lat domowe zwyczaje w Aylmer Parku utrwalały się, aż wreszcie stały się niezmiennie, zaś jeden z tych zwyczajów polegał na codziennym, wspólnym odmawianiu rannej modlitwy o godzinie ósmej minut czterdzieści pięć. Punktualnie o ósmej czterdzieści zjawiała się lady Aylmer w jadalni, by zaparzyć herbatę i otworzyć worek z pocztą, a ponieważ o tej porze zawsze bywała w jadalni sama, więc lepiej znała korespondencję innych, niż inni znali jej własną. Po skończeniu tych czynności dzwoniła, a wtedy cały domowy personel, już ustawiony rzędem w hallu, wkraczał do jadalni i zajmował ławki dla służby stojące obok kredensu, zaś po modlitwie ławki te wносиła odchodząca procesja. Lady Aylmer zawsze sama odmawiała modlitwę, gdyż sir Anthony zjawiał się w jadalni nie wcześniej niż w połowie śniadania. Belinda zwykle dopiero po usłyszeniu dzwonka zbiegała pośpiesznie na dół, wywołując wśród armii oczekującej w hallu pewne zamieszanie. Fryderyk, gdy był w domu, rzadko kiedy przychodził przed skończeniem modłów. Nie ulega wątpliwości, że w Perivale zachowywał się bardziej poprawnie, przecież w Perivale miał specjalne wpływy i interesy, których nie posiadał w Aylmer Parku. W ciągu owych pięciu minut lady Aylmer rozkładała listy przy nakryciach domowników, rzucając okiem na stemple pocztowe na kopertach, więc i tym razem położyła list Klary przy nakryciu syna.

Nadejście tego listu zostało Fryderykowi oznajmione, zanim zdążył usiąść.

— Fryderyku — rzekła jej lordowska mość złowieszczym tonem — jakże rada jestem, że wreszcie nadszedł ów list z Belton.

Nie odpowiedział od razu, ale zajmwszy wolno miejsce, wziął list, obrócił go w rękę i włożył do kieszeni, po czym spokojnie zabrał się do śniadania. Przez trzy minuty matka robiła lub udawała, że robi to samo, jednak wkrótce cierpliwość jej wyczerpała się i zaczęła synowi zadawać pytania.

— Nie przeczytasz listu, Fryderyku?

— Ależ oczywiście, że go przeczytam, madame.

— Dlaczego jednak nie czytasz go zaraz, skoro wiesz, jak nam zależy na dowiedzeniu się, co zawiera.

— Bywają listy, które chętniej odczytuje się w samotności.

— Ale nie wtedy, gdy sprawa jest taka ważna — rzekła Belinda.

— Sprawa jest ważna dla mnie, nie dla ciebie — odparł brat.

— Chcemy tylko wiedzieć — mówiła dalej siostra — czy ona w tej sprawie przyrzeka zastosować się do twojej woli, i oczywiście jesteśmy pewne, że ci to przyrzeka.

— Jeżeli jesteście pewne, to powinno wam to wystarczyć.

— Uważam, że niepotrzebnie sprzeczasz się z siostrą — wtrąciła lady Aylmer — dlatego że jest niespokojna o to, czy osoba, którą zamierzasz uczynić swoją żoną, godna jest szacunku, tak, nie znajduję innego słowa: czy jest godna szacunku. Mogę cię zapewnić, że ja również jestem o to niespokojna, nawet bardzo niespokojna.

Na to kapitan Aylmer nic nie odpowiedział, ale listu z kieszeni nie wyjął. W milczeniu wypił herbatę i w milczeniu podał matce filiżankę do ponownego napełnienia, a matka w milczeniu ją napełniła. Zgodnie ze swym zwyczajem zjadł dwa jajka i trzy grzanki, a skończywszy jeść, jak zwykle pozostał jeszcze kilka minut w jadalni. Następnie wstał, by udać się do swego pokoju, trzymając w kieszeni nie rozciętą kopertę.

— Przypuszczam, że pójdziesz z nami do kościoła? — zapytała lady Aylmer.

— Nie obiecuję ci tego, ale gdybym zdecydował się pójść, to poszedłbym przez park, w ten sposób nie będziesz potrzebowała na mnie czekać.

Matka i siostra zrozumiały, że pan poseł z Perivale nie zamierza dziś pójść do kościoła. Sir Anthony bywał zawsze na rannym nabożeństwie, gdyż zwyczaje obowiązujące w Aylmer Parku były dla niego bardziej niezłomne niż dla jego syna.

Gdy rodzice i siostra powrócili z kościoła, kapitan Aylmer przeczytał już list, lecz po przeczytaniu go otrzymał nową wiadomość z Belton Castle: wiadomość ta na chwilę usunęła potrzebę wypowiedzenia się co do treści listu i niemal odsunęła list na dalszy plan w jego własnych myślach.

Gdy matka weszła do biblioteki, stał przy kominku trzymając w ręku kartkę papieru.

— Gdy byliście w kościele, otrzymałem telegram — oznajmił.

— Co było w tym telegramie, Fryderyku? Nie przerażaj mnie, jeżeli to nic ważnego.

— Nie powinnaś się przerażać, madame, gdyż nie znałaś tego człowieka. Pan Amedroz umarł.

— Czy być może? — zawołała lady Aylmer siadając na krześle.

— Umarł? — powtórzyła Belinda podnosząc obie ręce do góry.

— Boże miłosierny! — zawołał baronet, który w tej chwili wszedł za paniami do pokoju. — Więc umarł! A przecież był o pięć lat młodszy ode mnie!

Kapitan Aylmer przeczytał głośno treść telegramu: „Pan Amedroz umarł dziś o piątej rano. Zawiadomiłem radcę prawnego i pana Beltona.”

— Kto wysłał telegram? — zapytała lady Aylmer.

— Pułkownik Askerton.

Lady Aylmer umilkła, potrząsnęła głową i w zakłopotaniu poruszyła nogą po dywanie. Wiadomość ta nie zawierała nic niezwykłego, lecz źródło, z którego pochodziła, w przekonaniu jej lordowskiej mości było widocznie nieczyste, gdyż

wydała kilka okrzyków wyrażających zarazem gniew i żal.

— Nie miała przy sobie nikogo bliższego — odezwał się kapitan Aylmer, jak gdyby na usprawiedliwienie Klary.

— Czyż w tamtej parafii nie ma żadnego pastora?

— Pastor mieszka gdzieś bardzo daleko, a wiadomość należało wysłać natychmiast.

— A czy w domu nie mają służby? To wygląda... to wygląda... Jestem jednak chyba ostatnią osobą, która by w takiej chwili mogła surowo potępić młodą kobietę. A co napisała ci w liście, Fryderyku?

Kapitan Aylmer poświęcił dwie godziny medytacji nad listem, zanim nadszedł telegram i skierował jego myśl w innym kierunku. Przez te dwie godziny nie zdołał jednak znaleźć w tym dokumencie żadnej pociechy. Uważał, że list jest dowodem uporczywości, nieustępliwości, braku posłuszeństwa, a nawet buntu. Zawierał jawne wyzwanie wobec jego matki i zdradzał poglądy niewątpliwie sprzeczne z ustaloną moralnością. Obudził w nim wątpliwości, czy powinien poślubić kobietę, która wyznawała tego rodzaju zasady i mogła napisać taki list. Jeżeli wątpliwość tę ma rozstrzygnąć na niekorzyść Klary, to najlepiej będzie natychmiast pokazać list matce i pozwolić, by jej lordowska mość przystąpiła za niego do walki, a wiedział dobrze, że jej lordowska mość nie omieszkła skwapliwie zabrać się do dzieła. Nie zdołał jednak powziąć w tej sprawie ostatecznej decyzji, gdy nadeszła depesza i zmąciła mu myśli. A więc pan Amedroz umarł i cała sprawa przyjęła inny obrót. Klara będzie musiała opuścić Belton, rozstać się z panią Askerton i jakby rozpocząć życie na nowo. W takim wypadku przed Klarą otwierały się inne perspektywy, wobec czego nie należało śpieszyć się z potępieniem jej. Widocznie lady Aylmer podzielała jego zdanie, gdyż nie ponawiała pytań, na które nie chciał jej dać odpowiedzi.

— Sądzę, że teraz będzie musiała opuścić Belton — powiedział sir Anthony.

— Cały majątek przejdzie na własność jej dalekiego kuzyna, Williama Beltona.

— A dokąd pójdzie? — zapytała lady Aylmer. — Zdaje mi się, że nie ma takiego domu, który mogłaby nazwać własnym.

— Czy nie byłoby dobrze zaprosić ją do nas? — rzekła Belinda.

Taka propozycja ze strony panny Aylmer brzmiała dość pochopnie. W wyborze gości zapraszanych do Aylmer Parku rzadko zasięgano jej rady, przy tym powinna była zrozumieć, że w tym specjalnym wypadku tego rodzaju propozycję należało pozostawić do uznania lady Aylmer, zanim usłyszy ją Fryderyk.

— Sądzę, że to doskonały pomysł — zauważył wspaniałomyślnie kapitan Aylmer.

Lady Aylmer potrzęsła głową.

— Zanim ją tu powitam, chciałabym wiedzieć, co napisała w sprawie tej niefortunnej znajomości. Fred na pewno przyzna, iż powinnam tak postąpić.

Ale Fred wyszedł z pokoju nie pokazawszy jej listu. Wyszedł z pokoju, by poszukać samotności i raz jeszcze zastanowić się, jaką ma powziąć decyzję. Włożył płaszcz, kapelusz i rękawiczki i wyszedł nie zjadłszy lunchu, by w spokoju rozważyć całą sprawę. Klara Amedroz nie miała już własnego domu, a jej możliwości urządzenia sobie innego domu były bardzo ograniczone. Jeżeli pragnął ją poślubić, jego obowiązkiem było jak najprędzej stworzyć jej ów dom. Zdawało mu się, że trzy domy mogłyby przed nią otworzyć swoje podwoje: jednym z nich, i w obecnych warunkach najbardziej właściwym, był Aylmer Park, zaś dwa pozostałe to: Plaistow Hall oraz willa państwa Askertonów w Belton. Gdyby zgodziła się przyjąć to ostatnie schronienie, to między nim i nią wszystko musiałoby zostać zerwane. Pod tym względem nie miał żadnych wątpliwości. Nie mógł ożenić się z panną pozostającą pod opieką pani Askerton ani wymagać, by w tych warunkach matka przyjęła ją w swym domu. Plaistow Hall byłoby, jego zdaniem, niemal równie niewłaściwe, aczkolwiek może lady Aylmer miałyby takiemu projektowi mniej do zarzucenia. Gdyby Klara zamieszkała w Plaistow Hall, między nimi wszystko byłoby skończone. Tego też był najzupełniej pewny. Wyjął z kieszeni jej list i przeczytał go raz jeszcze. Przyznała, że historia tej kobiety była prawdziwa — i to taka historia! — a mimo to nie zgodziła się z nią zerwać, ba, nawet przyrzekła jej, że nigdy z nią nie zerwie. Po czym raz jeszcze i jeszcze przeczytał ustęp listu, w którym Klara domagała się prawa do posiadania w tego rodzaju sprawach własnego sądu. Jakże to było niedelikatne, jak niewłaściwe ze strony kobiety, która miała zostać jego żoną! Zaczął dochodzić do przekonania, że lepiej będzie, jeśli list ten pokaże matce i zgodzi się, by małżeństwo zostało zerwane. Po otrzymaniu depechy zmiękło mu wprawdzie serce, ale to minęło po długim zastanawianiu się nad treścią tego upartego, tak nie po kobiecemu nieustępliwego listu. Wreszcie przypomniał sobie, że nic jeszcze nie zrobił w sprawie przekazania Klarze tysiąca pięciuset funtów ciotki, przypomniał sobie także, że w obecnej chwili będzie ich bardzo potrzebowała. Nie jest wykluczone, że William Belton pośpieszył jej z pomocą, ale myśl ta była mu solą w oku, aczkolwiek już niemal postanowił zrezygnować z dalszych konkurów. Obliczył, że tysiąc pięćset funtów przyniesie nader znikomy dochód, i żałował, że nie doradził ciotce, by sumę legatu podwoiła. Dużo myślał o tej sumie, o tym, jak można by ją najkorzystniej zużytkować, i we właściwy sobie chłodny sposób szczerze troszczył się o zapewnienie Klarze dostatniej egzystencji. Gdyby mógł ukształtować jej dalszą przyszłość, jak również własne życie zgodnie ze swymi obecnymi życzeniami, sądzę, że oboje pozostaliby w stanie bezzennym, a on wziąłby na siebie obowiązek otoczenia jej opieką oraz pozwoliłby sobie wyrażać odpowiednie zdanie w sprawie pani Askerton tak często, jakby mu się podobało. Powrócił wreszcie do domu i napisał do adwokata Greena list, prosząc go, by natychmiast przekazał panie Amedroz całoroczny procent od sumy tysiąca pięciuset funtów.



Zdawał sobie sprawę, że sam, nie tracąc ani chwili, powinien do niej napisać, ale cóż miał pisać, gdy sytuacja przedstawiała się tak niejasno? Czy miał wyrazić jej słowa współczucia z powodu śmierci ojca, nie wspominając ani słowem o grzesznym życiu Askertonów? Ale wtedy oznaczałoby to, że przebacza jej wszystko, co się stało, i uznaje jej poglądy za słuszne i właściwe. Pociągnęłoby to za sobą jeszcze gorsze skutki. Pisząc tak straciłby grunt pod nogami, jeśli chodzi o zerwanie narzeczeństwa, o czym właśnie rozmyślał.

Jakim wyrachowanym i bez serca nędznikiem musiał być ten człowiek! Taki wydalibyśmy o nim sąd, ale sąd ten byłby niesprawiedliwy. Miał może chłodne serce i był wyrachowany, nie był jednak nędznikiem w tym znaczeniu, jakie w obecnych czasach nadaje się temu słowu. Miał może chłodne serce, ale na tyle zdolne do miłości, że potrafiłby się okazać dobrym synem, dobrym mężem, a także dobrym ojcem. I aczkolwiek z natury nieskłonny do szczodrości, nie był jednak ani skąpy, ani nadmiernie chciwy. Był człowiekiem sprawiedliwym, który nie pożądał tego, co mu się uczciwie nie należało. Co prawda artyści, malując twarze naszych przyjaciół, zwykli omijać wszelkie skazy i piętna, jakie praca czy zbyt długie życie mogą na nich wyryć, więc odwracamy się z niesmakiem od portretu, na którym chropowatość skóry i pryszcze są uwydatnione.

Było jednak jasne, że teraz musi się na coś zdecydować, i zanim podano obiad, pokazał matce list Klary.

— Matko — zaczął zasiadając w jej małym pokoju na piętrze, a lady Aylmer poznała po tonie jego głosu i po sposobie, w jaki się do niej zwracał, że nadeszła chwila uroczysta i sposobność do poważnej narady nad rodzinną trudną sytuacją.

— Matko — powtórzył — rzecz prosta, zamierzałem cię zawiadomić, w jaki sposób Klara odpowiedziała na mój list.

— Rada jestem, Fryderyku, że między nami nie ma tajemnic. Wiesz dobrze, jak bardzo nie lubię, by w rodzinie istniały jakieś tajemnice. — Mówiąc to chwyciła z rąk syna list z pośpiechem graniczącym z łapczywością. Gdy czytała, stanął obok niej śledząc pilnie jej oczy, przebiegające przez pierwszą stronę, potem przez drugą i trzecią, aż wreszcie skończyła czytać cały list. Ustęp, w którym Klara wspominała o kuzynie Willu, lady Aylmer niezupełnie zrozumiała, a ponieważ temat ten niewiele ją obchodził, nie zwróciła nań szczególnej uwagi. Natomiast doszedłszy do fragmentu poruszającego sprawę pani Askerton, w którym mieściły się aluzje do jej własnej osoby, starała się zrozumieć znaczenie i wagę każdego słowa.

— Dlaczego ona odróżnia moją opinię od twojej? — zapytała. — Dlaczego miałyby być różne? Więc w sprawie pani Askerton nie zgadza się ze mną! Czyż to możliwe, by przyzwoita młoda panna nie zgadzała się ze mną? W tego rodzaju sprawie nie ma miejsca na żadne wątpliwości! Przecież cała ta historia jest prawdziwa. Oczywiście najzupełniej prawdziwa. Czyż ona nie wie, że wiadomość

nie wyszłaby od nas, gdyby nie była prawdziwa? Więc mąż rzekomo ją prowokował! Żle się z nią obchodził? Odjechała od niego? Więc wyszła za pułkownika Askertona, gdy tylko dowiedziała się o śmierci kapitana Berdmore'a! Słuchaj, Fryderyku, przecież to niemożliwe, by w domu nie uczono jej podstawowych zasad moralności. I taka dziewczyna przestawała często z moją biedną siostrą! — Tutaj czytelnik powinien się orientować, że zmarła pani Winterfield i lady Aylmer nie mogły nigdy zgodzić się w sprawach dotyczących religii. — Po cóż ona prosi, byśmy pamiętali, że państwo Askerton wzięli ślub? Dlaczego mielibyśmy pamiętać o tego rodzaju szczególe? Nie wpływa to w najmniejszym stopniu na zmianę naszej opinii o charakterze tej kobiety. Odpokutowała! Skąd Klara może wiedzieć, czy ona naprawdę odpokutowała, czy nie? Ale to nie ma nic wspólnego z całą sprawą. Nie chce się z nią poróżnić, jak to nazywa. Nie opuści jej. Wobec tego, jeżeli chodzi o ciebie, Fryderyku, jest oczywiste, że między wami wszystko skończone. — Przeczytawszy list zwróciła go synowi, potrząsając głową w sposób niemal triumfalny. — O ile mam prawo wydawać sąd o charakterze młodej panny, mogę ci dać tylko tę jedną radę — dodała lady Aylmer uroczystym tonem.

— Sądzę, że powinniśmy dać jej jeszcze jedną szansę — powiedział kapitan Aylmer.

— Jakąż inną szansę moglibyśmy jej dać? Zdaje mi się, że ona uparcie dąży do własnej zguby.

— Mogłabyś zaprosić ją tutaj, jak to radziła Belinda.

— Belinda zachowała się bardzo nierozsądnie, dając taką radę bez zastanowienia.

— Przypuszczam, że moja przyszła żona zostałaby tu przyjęta życzliwie.

— Tak, Fryderyku, oczywiście. Kogo mielibyśmy przyjąć bardziej życzliwie niż ją? Ale czy ona zostanie twoją żoną?

— Jesteśmy zaręczeni.

— Czyż taki list nie jest powodem do zerwania narzeczeństwa? Czyż treść jego nie wystarcza, by o małżeństwie tym nie mogło już być mowy? A ty, Fryderyku, co o tym myślisz?

— Myślę, że powinniśmy dać jej jeszcze jedną szansę. Co by Klara sobie pomyślała, gdyby mogła słyszeć tę rozmowę między lady Aylmer i swym narzeczonym i gdyby wiedziała, że jej ukochany proponuje dać jej „jeszcze jedną szansę”? Na szczęście rzadko wiemy, co mówią o nas nasi najlepsi przyjaciele, kiedy rozpatrują za naszymi plecami nasze wady.

— Jakąż szansę może mieć jeszcze? Przecież ona wie wszystko o tej okropnej kobiecie, a mimo to nie chce z nią zerwać. Czyż wobec tego może mieć jakąkolwiek szansę?

— Jestem zdania, że mogłabyś ją tu zaprosić i pomówić z nią.

W odpowiedzi na to lady Aylmer tylko potrząsnęła głową. I miała zapewne prawo przypuszczać, że wobec takiej propozycji potrząśnięcie głową jest wystarczającą odpowiedzią. Na co zdałaby się rozmowa, gdy miało się do czynienia z taką panną Amedroz? Po cóż miałyby daremnie rzucać perły przed wieprze?

— Powinniśmy albo ją tu zaprosić, albo będę musiał sam do niej pojechać — rzekł kapitan Aylmer.

— Nie uważam, Fryderyku, by to było konieczne.

— A ja myślę, że tak być musi. Wobec tego, że ona obecnie nie ma własnego domu, byłoby okropne, gdyby musiała zamieszkać u tej kobiety tylko dlatego, że nie ma gdzie się schronić.

— Mogłaby na razie pozostać tam, gdzie znajduje się obecnie.

— Przecież wiesz, że jest zupełnie samotna, a tam musi być bardzo ponuro, zresztą kuzyn może zażądać, by się natychmiast wyprowadziła.

— Wszystko to nie jest powodem, by miała przyjechać tutaj, o ile...

— Oczywiście, rozumiem to doskonale. Ale nie możesz się dziwić, że uważam jej położenie za bardzo ciężkie.

— A z czyjej winy położenie jej stało się tak ciężkie?

Widzisz, Fryderyku, w sprawie tej opieram się na jej liście, na jej własnoręcznym liście. Jakże mogę zaprosić do siebie młodą pannę, która otwarcie przyznaje, że w takiej sprawie moje zdanie nie ma dla niej żadnego znaczenia! Powiedz sam, jak ja mogę to zrobić? Belinda może sobie proponować to czy tamto, ale jak ja mam to zrobić? Odpowiedz mi na to pytanie.

W końcu lady Aylmer sama zdecydowała się odpowiedzieć sobie na to pytanie, i tak też uczyniła. Nie zrobiła tego jednak w niedzielę ani w poniedziałek, ani nawet we wtorek. Sprawa została odłożona na później. Wreszcie troskliwa matka zorientowała się, że bezpieczniej będzie zaproszenie wysłać niż tego zaniechać. Kapitan Aylmer w końcu oznajmił swoje postanowienie, że o ile zaproszenie nie zostanie zaraz wysłane, on sam uda się do Belton; wyjazd taki stanowiłby groźbę, że kapitan Aylmer nigdy już się nie zjawi w Aylmer Parku, zanim nie będzie mógł tam przyjechać z Klarą Amedroz jako swoją żoną. Sytuacja była niezmiernie trudna, lecz w grze tej chodziło o tak wysoką stawkę, że należało zdobyć się na ryzyko. Jest możliwe, że Klara nie przyjmie zaproszenia, a wtedy upór jej w dużym stopniu przyczyniłby się do wygranej. Ale jeżeli zaproszenie przyjmie? No cóż? Lady Aylmer przypuszczała, że w takim razie gra będzie trudna, bardzo trudna i kłopotliwa, ale może być rozegrana, a nawet wygrana. Lady Aylmer należała do kobiet mających do siebie ogromne zaufanie. Do tego stopnia nie traciła wiary w zwycięstwo w podobnych sprawach, że nie obawiała się skrzyżować szpady z panną Amedroz pod własnym dachem, skoro okoliczności tego wymagały.

Dlatego zaproszenie napisała sama i wysłała je w kopercie zawierającej list syna.

Po wielu naradach i wątpliwościach uchwalono w końcu nie poruszać na razie sprawy pani Askerton. — Należy dać jej szansę — mówiła raz po raz lady Aylmer, powtarzając słowa syna. — Tak, należy dać jej szansę. — Dlatego w liście swym lady Aylmer ograniczyła się ściśle do wysłania zaproszenia, dając jednocześnie do zrozumienia, że ponieważ Klara nie ma teraz własnego domu, czasowy pobyt w Aylmer Parku będzie dla niej nader korzystny. W liście swoim kapitan Aylmer dodał niewiele więcej. Zdawał sobie sprawę, że słowa, jakie pisał, są chłodne i nie dodadzą Klarze otuchy i że w podobnej sytuacji, choćby nie miały jej pocieszyć, powinny być bardziej ciepłe. Gdyby jednak chciał w swoje słowa włożyć więcej uczucia, to list taki powinien był wysłać natychmiast, a nie zwlekać z napisaniem go od niedzieli do środy. Nie mógł w ogóle do niej pisać, zanim, w sprawie tak ważnej jak zaproszenie, nie zapadła decyzja.

Gdy to wszystko zostało ustalone, wyjechał do Londynu, skąd na podstawie porozumienia z matką, o ile Klara przyjąłaby zaproszenie, miał powrócić z nią do Aylmer Parku.

— Czy pojedziesz po nią do Belton? — zapytała matka.

— Nie, nie uważam, by to było konieczne — odrzekł syn.

— I ja tak sądzę — powiedziała matka.

## ROZDZIAŁ XX

### William Belton nie jedzie na polowanie

Pójdziemy teraz w ślad drugiego zawiadomienia, wysłanego do hrabstwa Norfolk, które dotarło do rąk Beltona dopiero w poniedziałek rano. Siedział właśnie z siostrą przy śniadaniu, gotów wyjechać na polowanie, gdy do pokoju przyniesiono telegram. Wiadomości telegraficzne nie były częstym zjawiskiem w Plaistow Hall i budziły jeszcze uczucie pewnej grozy, nieodłączne w dawnych czasach od nadejścia depechy.

— Proszę pani, depecha dla pana Williama — powiedziała dziewczyna patrząc na panią domu szeroko otwartymi oczami i wręczając panu ową niezwykle ważną kartkę papieru.

Will odłożył na bok nóż i widelec, którymi w tej chwili krajał szynkę, i szybko otworzył depechę. Miał na sobie bryczesy, długie buty i czerwoną kurtkę, w którym to ubraniu w oczach siostry był najpiękniejszym mężczyzną w całym Norfolk.

— Ach, Mary! — wykrzyknął.

— Co się stało, Will?

— Pan Amedroz umarł.

Panna Belton nie odezwała się ani słowem, zanim nie sięgnęła po depechę, jak

gdyby po przeczytaniu jej mogła lepiej ocenić jej treść niż po usłyszeniu z ust brata.

— Tak nagle! Tak strasznie nagle! — powiedziała.

— Nagle, istotnie nagle. Gdy się z nim rozstawałem, nie był może zupełnie zdrow, powiedziałbym jednak, że pożyje jeszcze ze dwadzieścia lat. Biedny staruszek! Nie umiałbym wprawdzie powiedzieć dlaczego, ale bardzo go polubiłem.

— Ty potrafisz polubić każdego, Will.

— O nie! Znam takich, których nie lubię! — mówiąc to Will Belton miał na myśli kapitana Aylmera i mocno stuknął obcasem o podłogę.

— Więc pan Amedroz nie żyje! To strasznie niespodziewane. Co ona teraz robi, Will?

— Właśnie nad tym się zastanawiam.

— Oczywiście, kochanie, że musisz się nad tym zastanowić. Chciałabym teraz... życzyłabym sobie...

— Żadne życzenia na nic się nie przydadzą, Mary, ani też nic tu nie pomogą. Gdybym mógł sobie czegoś życzyć, doprawdy nie wiedziałbym czego.

— Wolałabym, żebyś mniej nad tym rozmyślał, Will.

— O mnie bądź spokojna. Dam sobie radę. Ale co się z nią teraz stanie? Co pocnie? Czy nie mogłaby przyjechać tutaj? Jesteś teraz jej najbliższą krewną. — Mary spojrzała na niego tak żalonym i pełnym niepokoju wzrokiem, że od razu wyczuł, że nie pochwała jego propozycji. — Ja mógłbym stąd wyjechać — mówił dalej — a ona mogłaby zamieszkać z tobą nie będąc narażona na widywanie mnie.

— A dokąd byś wyjechał, Will?

— To nieważne. Chyba gdzieś do diabła.

— Ależ, Will, Will!

— Wiesz sama, co mam na myśli. Pojechałbym dokądkolwiek. Byleby ona miała schronienie aż do czasu... do czasu, kiedy wyjdzie za mąż.

Zanim wypowiedział ostatnie słowa, na chwilę umilkł, lecz postanowiwszy nie cofnąć się przed wymówieniem ich, powtórzył je tak głośno i twardo, że oboje zdali sobie sprawę z powagi i znaczenia owych słów. Will czuł do siebie pogardę w chwilach, gdy usiłował ukryć przed samym sobą rozpacz, jaka go czekała. Kochał ją i nie mógł tego uczucia stłumić. Zawładnęła nim namiętność niczym paraliż, dla przewyciężenia którego zabrakłoby mu fizycznych sił. Przyłgnęła do niego, towarzysząc mu wszędzie z jakimś bolesnym i nekającym uporem, przeciw któremu od czasu do czasu usiłował walczyć; przysięgał sobie, że nie podda się jej więcej, a jednak walka kończyła się porażką. Namiętność ta nie opuszczała go i podczas polowania. Myślał o niej nawet w chwili, gdy zmierzał się do zrywającego się przed nim ptaka. Podczas doglądania orki nie zwracał uwagi, czy parobcy i konie drążą w ziemi dość równe i głębokie bruzdy — myślą był przy niej, a nie

przy orce, jak to bywało dawniej. Wtedy odwracał twarz i przystawał samotnie w polu, z oczami zamglonymi łzami, płacząc nad własną słabością. A gdy był zupełnie sam, uderzał bezsilnie stopą w ziemię, wyciągał w górę ramiona i przeklinał samego siebie. Spadła nań jakaś koszula Nessosa i osłabiła go od stóp do głowy.\* Wykonywał machinalnie czynności dnia powszedniego. Strzelał, polował, wydawał rozkazy, wypłacał ludziom pensje, lecz wszystko to robił w jakimś odrętwieniu miłości, które go nie opuszczało. Pożądał Klary i nie mógł tego pożądania opanować. Nie mógł znieść myśli i przyznać się samemu sobie, że ta, której poświęcił tyle uczucia, nie będzie nigdy do niego należała. Siostra rozumiała to wszystko, lecz jej wnikliwość budziła w nim czasem gniew. Wczuwała się w jego nastroje, a on czasem gotów był odrzucić jej współczucie, jak gdyby było wyrzutem.

„Gdzie ona znajdzie schronienie — zapytywał siebie — aż do chwili, gdy wyjdzie za mąż?”

Dotychczas nie padło między rodzeństwem ani jedno słowo dotyczące majątku, który stał się teraz jego własnością. On nazywał się teraz Belton z Beltonu i zdawałoby się, że oboje powinni byli o tym pamiętać. A mimo to na ten temat nie zamienili dotychczas ani słowa. Teraz jednak siostra musiała zapytać:

— Czy ona nie mogłaby na razie pozostać w Belton Castle?

— Co? Zupełnie sama?

— Przecież mieszka tam teraz.

Tak — powiedział — oczywiście mieszka tam teraz. Teraz! Pamiętaj, że ta wiadomość nadeszła drogą telegraficzną. On umarł dopiero wczoraj rano i oczywiście ona tam jeszcze mieszka, lecz nie sądzę, by pozostawanie tam dłużej było dla niej dobre. Przecież nie ma przy sobie nikogo prócz tej pani Askerton, a to niedobrze, że w takiej chwili nie ma przy niej innej zaprzyjaźnionej kobiety.

— Nie przypuszczam, by pani Askerton miała być dla niej przykra.

— Nie będzie dla niej przykra i dopóki Klara nie dowie się o niej całej prawdy, pani Askerton przyda się jej nie gorzej niż każda inna. Ale jednak...

— Czy ja nie mogłabym do niej pojechać, Will?

— Nie, najdroższa, taka podróż w zimie byłaby dla ciebie zabójcza. Zresztą on byłby z tego niezadowolony. Musimy się z nim liczyć ze względu na Klarę. A to taka zimna, bezwzględna, tępą kreatura. Wiem, że jest właśnie taki.

\* Mowa tu o koszuli przepojonej zatrutą krwią centaury Nessosa, którą Dejanira posłała swemu niewiernemu mężowi i która go zabiła.

Skąd wiesz, że jest aż taki zły?

— Nie potrafię tego wytłumaczyć! Wiem jednak, że się nie mylę. Ale mniejsza o to. Po co mamy o nim mówić? Sądzę, że Klara będzie musiała pojechać tam... do Aylmer Parku. Sądzę, że zaraz po nią poślą i zatrzymają u siebie aż... aż do końca. A wiesz, Mary, co ci powiem? Podaruję jej ten cały majątek.

— Co? Belton Castle?

— Dlaczego nie? Czy ten majątek potrzebny jest tobie albo mnie? Czy chcesz stąd wyjechać i tam się osiedlić?

— Ja nie, ale ze względu na ciebie.

— Czy sądzisz, że ja mógłbym tam zamieszkać? Zresztą dlaczego miałbym ją pozbawić ojcowskiego domu?

— Chyba on nie będzie na tyle podły, by miał przyjąć ten majątek,

— On jest zdolny do każdej podłości. A zresztą już ja bym się postarał, żeby majątek został przepisany na jej imię.

— To nonsens, Will, oczywisty nonsens. Nazywasz się teraz William Belton z Beltonu i tak już powinno pozostać.

— Mary, wolałbym nazywać się Will Belton, mieć u boku Klarę Amedroz i iść z nią razem przez życie niż korzystać z dochodów z wszystkich akrów ziemi w Belton Castle czy Plaistow Hall. I wierzę, że byłbym w końcu bogatszy, jeśli już o bogactwa chodzi.

Wyszedł z pokoju i Mary słyszała, jak przeszedł przez kuchnię i bocznymi drzwiami poszedł na folwarczny dziedziniec w kierunku stajni. Zdawało się, że mimo wiadomości o tej śmierci nie zaniechał wyjazdu na polowanie. Było to dla Mary przykre, lecz nie odważyła się go od tego powstrzymać. Z przykrością stwierdziła również, że nic nie zostało postanowione w sprawie napisania listu do Klary. Ale ona weźmie to na siebie i podczas nieobecności brata napisze do niej.

Will skierował się wprost do stajni nie zdając sobie sprawy, dokąd idzie i co zamierza zrobić; w boksie zastał swego wierzchowca już osiodłanego i gotowego do drogi. Wtedy przypomniał sobie, że musi zdobyć się na decyzję, czy pojedzie, czy nie. Konia, którego miał dosiąść na polowaniu, posłał już na punkt zborny, gdyby jednak nie miał go użyć, winien był wysłać jakieś zawiadomienie co do powrotu konia. Ale Will był na pół zdecydowany pojechać, aczkolwiek zdawał sobie sprawę, że opinia uznałaby go za człowieka bez serca, gdyby wybrał się na polowanie natychmiast po otrzymaniu takiej wiadomości, jaka nadeszła tego rana. Przyszło mu na myśl, że w podobnej sytuacji z przyjemnością rzuciłby wyzwanie opinii. Niechże raczej Fryderyk Aylmer przywdzieje żałobę po człowieku, który umarł. Niech Fryderyk Aylmer zatroszczy się o córkę, która pozostaje sama w starym domu. Wprawdzie to on, Will Belton, odziedziczył po zmarłym majątek i dlatego, zgodnie z obowiązującymi w tych sprawach zwyczajami, a w każdym razie ze względu na przyzwoitość, winien w okresie żałoby zachować się z pewną

powściągliwością. Ludzie nie powinni widzieć go na polowaniu tego samego dnia, kiedy otrzymał tak ważną wiadomość jak zawiadomienie o spadku. Ale w obecnym nastroju nie chciał odgrywać roli spadkobiercy. Dziedzictwa tego bynajmniej nie pragnął. Byłby wolał uniknąć wszelkich zobowiązań wynikających z prawa do objęcia na własność tego majątku. Nie wolno mu było zostać opiekunem córki starego ziemianina i dlatego niechętnie się odnosił do wszystkiego, co dotyczyło jego spraw.

Wszedł do stajni, odwiązał konia i wyprowadził go na dziedziniec, jak gdyby zamierzał na niego wsiąść. Lecz oddał lejce stajennemu chłopcu i odszedł w kierunku folwarcznych budynków nie zdając sobie sprawy z tego, co robi. Chłopak stał z otwartymi ustami, patrząc za odchodzącym i nie mogąc zrozumieć, dlaczego jego pan jest dziś taki niezdecydowany. Wiedział, że punkt zborny myśliwych znajduje się stąd o czternaście mil, wiedział także, że Belton zwykle pozostawia sobie na tę jazdę nie więcej niż półtorej godziny czasu. Zwykle wskakiwał na siodło i ruszał z kopyta, jak gdyby każda sekunda miała dla niego znaczenie. Spoglądał bacznie na zegarek i wymierzał sobie tempo jazdy, jak gdyby uważał każdą minutę za zbyt cenną, by ją miał zmarnować. Teraz jednak odszedł roztargniony i chłopak zorientował się, że coś nie jest w porządku.

— Wydawało mi się, że on myślał o tej białej krowie, co to udławiła się brukwią, która wpadła między sieczkę — mówił chłopiec opowiadając później o swoim panu starszemu stajennemu.

W końcu jednak pewna myśl zaświtała w głowie Beltona.

— Wsiądź na konia — rzekł do chłopca — pojedź do Goldingham Corner i powiedz Danielowi, żeby przyprowadził konia z powrotem. Nie będę dziś polował. Sądzę, że będę musiał wyjechać. Jeżeli wyjadę, to pamiętajcie, aby konie wyprowadzać każdego ranka. Powiedz mu także, by nie dawał koniom fasoli. Możliwe, że będę polował dopiero w przyszłym miesiącu. — Po czym wrócił do domu i wszedł do bawialni, gdzie siedziała siostra. — Nie pojedę dziś na polowanie — powiedział.

— Wiedziałem, Will, że nie pojedziesz — odrzekła.

— Nie dlatego, bym widział w tym coś złego.

— Nie byłoby w tym może nic złego, lecz w takiej sytuacji lepiej zachować się tak jak inni.

— To zawracanie głowy.

— Nie, Will, mylisz się. Kiedy w społeczeństwie, w którym żyjemy, jakieś zwyczaje przekształcają się w stałe zasady, to rozsądek nakazuje, byśmy się do nich stosowali, o ile nie wymagają one od nas popełnienia czegoś złego. Nie należy lekceważyć przesądów świata, nawet wtedy, gdy zdajemy sobie sprawę, że to są przesady.

— Nie dlatego wróciłem do domu, Mary. Wiesz co? Zdaje mi się, że mimo



wszystko powinienem pojechać do Belton.

Mary nie wiedziała, co mu na to odpowiedzieć. Chodziło jej przede wszystkim o brata. Pragnęła gorąco, o ile to było możliwe, by zapomniał o Klarze Amedroz, lecz w takiej chwili wyjazd jego do Belton nie był bynajmniej drogą wiodącą do zapomnienia. Pomyślała sobie, że Klara może nie życzy sobie go widzieć. Gdyby Will był tylko jej kuzynem, taka wizyta byłaby najzupełniej na miejscu, ale on usiłował stać się dla niej czymś więcej niż kuzynem i dlatego taka wizyta byłaby niewłaściwa. A zresztą mogłoby się to nie spodobać kapitanowi Aylmerowi. Tu Mary pomyślała, że w tej sprawie musi się liczyć nawet z tym, co się kapitanowi Aylmerowi podoba lub nie podoba. Mimo wszystko jednak nie lubiła w niczym sprzeciwiać się bratu.

— To będzie długa podróż — zauważyła tylko.

— I cóż z tego?

— Prawdopodobnie okaże się daremna.

— Dlaczego miałyby okazać się daremna?

— Dlatego że...

— Że co? Czemu nie kończysz? Nie potrzebujesz obawiać się, że mnie urazisz. Cokolwiek byś powiedziała, nic nie zdoła bardziej pogłębić mego bólu.

— Drogi Will, tak bardzo pragnęłabym ci pomóc.

— Ale nie możesz. Nikt nie może mi pomóc. Przecież przyrzekłem jej, że gdyby kiedyś znalazła się w potrzebie, to do niej przyjadę. Chcę być wart tyle, ile warte jest moje słowo. Przyrzekłem, że będę dla niej bratem, i będę nim. Tak mi Boże dopomóż!

Wybiegł z pokoju, z całym impetem rzucając się do drzwi, jakby chciał je rozwalić, i pośpieszył na górę do swojej sypialni. Tam zrzucił z siebie myśliwskie ubranie, przebrał się z największym pośpiechem, wrzucił stos różnych rzeczy do dużej walizy i zabrał się do pakowania tak szybko, jak gdyby wszystko na świecie zależało od tego, czy zdąży na dany pociąg. Podszedłszy do biurka, otworzył szufladę, wyjął książeczkę czekową i włożył ją do kieszeni. Zadzwonił gwałtownie i naciskając z całej siły wieko walizy zamknął ją. Wydał polecenie, którą klacz mają zaprzęgnąć do której bryczki i żeby ktoś ze służby przygotował się do odwiezienia go na stację w Downham. Po upływie dwudziestu minut od chwili, gdy wbiegł na górę, zjawił się znów u siostry ubrany w zimowy płaszcz z przewieszonym przez ramię podróżnym pledem.

A więc wyjeżdżasz dziś jeszcze? — zapytała Mary i— Tak, chcę zdążyć do Downham na pośpieszny o 11,40. Na co by się przydał mój wyjazd, gdybym nie wyjechał od razu? Jeżeli będę tam potrzebny, to w pierwszej chwili. Możliwe, że nie ma przy niej nikogo, kto by przyszedł jej z pomocą.

— Przecież jest tam pastor i pułkownik Askerton, o ile kapitan Aylmer tam nie przyjechał.

I pastor, i pułkownik są dla niej niczym. A jeżeli ten Aylmer już tam jest, to ja zaraz wrócę do domu.

— Ale się z nim nie pokłócisz?

Dlaczego miałbym się z nim kłócić? Czy mam jakiś powód do kłótni? Nie jestem takim wariatem, aby się z kimś kłócić tylko dlatego, że kogoś nienawidzę. Jeżeli go tam zastanę, zobaczę się z nią przez chwilę i zaraz wyjadę.

— Widzę, że na nic się nie przydadzą perswazje, żebyś tam nie jechał.

— Absolutnie na nic. Gdybyś знаła całą sytuację, nie próbowałabyś mi niczego perswadować. Zanim postanowiłem prosić ją, by została moją żoną — a postanowiłem to bardzo prędko — otóż zanim się oświadczyłem, powiedziałem jej, że jeśli kiedykolwiek będzie potrzebowała braterskiej pomocy, to ja jej taką pomoc okażę. Myślałem wówczas o majątku, o tym, żeby kiedyś, niczym żebraczka, nie została pozbawiona ojcowskiego domu. Nie miałem jeszcze wtedy żadnego określonego planu. Czy mogłem go mieć? Dałem jej do zrozumienia, że kiedy ojciec jej umrze ja staną się dla niej tym, czym jestem dla ciebie. Czy nie pośpieszyłbym do ciebie, gdybyś kiedy była smutna i samotna?

— Ale ja prócz ciebie nie mam nikogo, Will — Mary wyciągnęła rękę w stronę brata.

— To nie ma znaczenia — odpowiedział niemal ostro. — Przyrzeczenie jest przyrzeczeniem, a ja od razu uważałem, że bez względu na doznany zawód muszę dotrzymać słowa. Ach, Boże drogi, kiedy pomyślę, że od czasu gdy jej to przyrzekłem, wszystko tak się zmieniło...

Do pokoju weszła służąca i oznajmiła, że koń i bryczka są gotowe do wyjazdu.

— Zdamę akurat na pociąg — rzekł spoglądając na zegarek. — Mam jeszcze więcej niż godzinę czasu. Niech Bóg ma cię w swojej opiece, Mary, nie zabawię tam długo, możesz być pewna.

— To jeszcze nie wiadomo, Will.

— Cóż mogłoby mnie tam zatrzymać na długo? Będę musiał po drodze zobaczyć się z Greenem, w ten sposób połowa celu podróży będzie osiągnięta. W Somersetshire nie zabawię dłużej niż jedną noc.

— Będziesz musiał wydać jakieś rozporządzenia w sprawie majątku.

— Na ten temat nie powiem ani słowa, przynajmniej tam na miejscu. Jadę po to, by zaopiekować się Klarą, a nie majątkiem.

Will ucałował siostrę i nie upłynęła minuta, a już w odpowiednim tempie skręcił za rogiem dziedzińca na drogę, biorąc ostro zakręt z szybkością, jakiej konie z Plaistow Hall w prędkim czasie nauczyły się od swego pana. Koń jest zwierzęciem ściśle zespolonym z człowiekiem; wykonuje obroty, kłusuje, i dostosowuje całe swoje zachowanie do bicia serca swego pana. Gdy koń nie chce wykonać skoku, zdarza się to zwykle wówczas, kiedy wewnętrznie ja człowieka również przeciw temu protestuje, chociaż pozornie zdawałoby się, że owemu człowiekowi bardzo

zależy na dokonaniu tego wyczynu.

Belton, który na ogół był bardzo rozmowny ze służbą i jadąc bryczką z którymś ze swych ludzi zwykł był gawędzić z nim o polu, bydłe czy uprawie roli, w tym wypadku nie odezwał się ani słowem do towarzyszącego mu chłopca. Miał niemało spraw do obmyślenia, zanim dojedzie do Londynu, toteż zaczął się nad nimi zastanawiać już wtedy, gdy wyjechawszy z dziedzińca skręcił na szosę. Co się tyczy majątku Belton, który obecnie stał się jego wyłączną własnością, to w tej kwestii zawsze miał skrupuły i odczuwał niesmak, nie wyrzuty sumienia, lecz raczej niesmak, przy czym w sprawach rodzinnych był bardzo ambitny. Jego przodkowie od najdawniejszych czasów byli Beltonami z Beltonu. Mówiono mu, że istnienie jego rodu sięga zamierzchłej epoki, że ród ten był znany jeszcze przed Plantagenetami, i choć pod tym względem wiadomości jego były bardzo mgliste, podobąca mu się myśl, że on sam jest właśnie tym, który przywróci rodowemu nazwisku dawny splendor. Obecnie warunki układały się dla niego w sposób tak korzystny, że mógł objąć majątek Belton otoczony nimbem takiej zamożności, jaką od dawna nie odznaczał się żaden z właścicieli. Gdyby się okazało, że wskazane jest tam się osiedlić, mógłby przebudować stary dom, założyć nowe ogrody i w ogóle otoczyć się przyjemną okazałością zamożnego angielskiego ziemianina. Nie potrzebowałby ciułać grosz do grosza ani skąpić sobie, ani się wahać, czy stać go na kupno powozu, ani zastanawiać się, czy to rozsądne dbać o zwierzostan. Wszystko to otwierało przed nim rozkoszne perspektywy, nawiedzało go także pewne mgliste pragnienie, by wznieść się ponad stan zwykłego farmera, do którego, zdaniem wielu ludzi z jego otoczenia, teraz się obniżył. Wprawdzie uprawiał ziemię, która tylko w połowie była jego własnością — i nawet w Plaistow był człowiekiem zamożnym, lecz Plaistow Hall z całym swym dobytkiem było tylko farmą, a jego ambicja wymagała, by został czymś więcej niż farmerem.

Mimo wszystko jednak czuł, że obejmując na własność majątek Belton okrada kuzynkę Klarę i zabiera jej wszystko, co powinno należeć do niej. Warto także przypomnieć, że nie wychowano go jako przyszłego właściciela majątku Belton. Cała jego ambicja w tym kierunku zrodziła się wraz z nieszczęsną śmiercią brata Klary. Czyż mógł z przyjemnością zabrać wszystko, co mu przypadło w udziale na skutek takiej smutnej okoliczności — takiej oplakanej katastrofy? Rozmyślając nad tym buntował się w duszy przeciw własnym pragnieniom i przyznawał przed sobą samym, że dziedzictwo, jakie mu przypadło, splamione jest krwią. Nie było to oczywiście jego winą, ale czyż mógł zażywać przyjemności w cieniu Belton, nie myśląc jednocześnie o tragedii, na skutek której objął w posiadanie ten majątek? Takie to sprzeczne i zwalczające się nawzajem myśli i pragnienia skłoniły go do złożenia pierwszej wizyty kuzynce Klarze. Wiemy, jaki był rezultat tych odwiedzin i za pomocą jakiego miłego planu usiłował przewyciężyć te trudności, co pozwoliłoby mu stać się panem Beltonu, a Klarze Amedroz pozostać panią tego

majątku. Taki był jego plan, który po dwóch dniach bliższej zażyłości z Klarą zdawał się pod każdym względem zapewniać mu spokój i szczęście. Przyjechał jednak za późno i plan taki był niemożliwy do urzeczywistnienia. Mimo to majątek przeszedł na jego własność, ale cóż miał z nim począć? Klara należała teraz do jego rywala, więc w jaki sposób powinien się do niej ustosunkować? Gdy dojeżdżał do stacji kolejowej w Downham, rozmyślał jeszcze nad okrucieństwem losu, który rzucił między niego a Klarę osobę kapitana Aylmera.

— Odprowadź konia wolno, Jem — powiedział do stajennego.

— Może pan być spokojny, że odprowadzę go wolno — odrzekł chłopiec.

— I powiedz Comptonowi, by przygotował dla mnie próbki jęczmienia. Mogę każdego dnia być z powrotem, a tej wiosny rozpoczniemy siewy wcześniej.

Wyskoczył z bryczki, a w ślad za nim pośpieszył tragarz, który gorliwie zajął się jego bagażem, wiedząc, że pan Belton nie poskąpi mu dobrego napiwku, i po pięciu minutach jechał już dalej.

Przyjechawszy do Londynu udał się natychmiast do kancelarii swego przyjaciela, pana Greena, i na szczęście zastał go w biurze. W razie gdyby go tam nie znalazł, zamierzał pójść do jego prywatnego mieszkania, a wtedy mógłby wyjechać do Taunton nie wcześniej niż nazajutrz rano. Na szczęście obecność adwokata w kancelarii umożliwiła mu powiedzenie przyjacielowi tego, co pragnął mu powiedzieć, i usłyszenie tego, co pragnął usłyszeć, po czym nocnym pociągiem mógł wyruszyć w dalszą drogę. Chodziło mu o to, żeby Klara odczuła, z jakim pośpiechem i bez chwili zwłoki podążył do niej. Obawiał się, że nie zda się to na nic. Wiedział, że tak będzie. Cokolwiek by zrobił, nic nie zdołałoby zmienić jej uczuć ani nie okazałoby się dla niego korzystne, Klara przyjęła oświadczyzny tego człowieka i nie mogła już nic zmienić, nawet gdyby tego pragnęła. Mimo wszystko odczuwał jednak pewną satysfakcję na myśl, że będzie musiała stwierdzić, iż to on, Belton, jest bardziej stały w swoich uczuciach, bardziej gorliwy w okazaniu pomocy, bardziej troskliwy i przyjacielski w tych trudnych dla niej chwilach niż ten, którego zgodziła się wziąć sobie za męża. Kapitan Aylmer prawdopodobnie przyjedzie do Belton, ale Willowi bardzo zależało na tym, żeby przybyć tam pierwszy, niezmiernie mu na tym zależało, aczkolwiek wiedział, że to i tak na nic, Wszystko to nie było ładnie z jego strony. Wiedział, że nie było ładnie, i robił sobie wyrzuty, że jest takim egoistą. Lecz te wyrzuty nie pomogły mu uwolnić się od niedobrych uczuć. Jeżeli to możliwe, on pierwszy przybędzie do Belton przed przyjazdem kapitana Aylmera i jeżeli to możliwe, da Klarze do zrozumienia, że aczkolwiek nie jest posłem do parlamentu, aczkolwiek nie ma literackich zamiłowań, aczkolwiek jest tylko zwykłym farmerem, to jednak ma przynajmniej tyleż serca i rozumu, co wytworny dżentelmen, którego ona przeniosła nad niego.

— Przypuszczałem, że przyjedziesz — przywitał go adwokat — ale nie spodziewałem się ujrzeć cię tak szybko.

— Powinienem był przyjechać o jeden dzień wcześniej, ale w niedzielę depesz nie doręczają.

Belton nie zdjął zimowego płaszcza, a jego zachowanie świadczyło o tym, że nie zamierza pozostać tu dłużej niż parę minut.

— Zjesz dziś ze mną obiad? — spytał pan Green.

— Nie mogę, bo dziś jeszcze jadę pocztowym pociągiem dalej.

— Nie widziałem w życiu podobnego dziwaka! I co ci z tego przyjdzie? Oczywiście powinieneś zdążyć na pogrzeb, ale nie sądzę, by go miano pochować wcześniej niż za tydzień.

Ale Belton ani przez chwilę nie pomyślał o pogrzebie. Kiedy przed wyjazdem zapewniał siostrę, że zamieni tylko parę słów z Klarą i zaraz powróci do domu, nie pamiętał, że ma się tam odbyć żałobna uroczystość albo że może go tam dłużej zatrzymać jakaś inna konieczność.

— Nie pomyślałem o pogrzebie — rzekł Belton.

— Bo też będziesz się tam czuł nieswojo.

— Oczywiście będę się tam czuł nieswojo.

— Czy wiesz, że tymczasem nie będziesz mógł wydawać żadnych rozporządzeń co do majątku.

— Jakie rozporządzenia masz na myśli? — zapytał Belton rozdrażnionym tonem.

— Nie możesz jeszcze objąć w posiadanie całego majątku, w każdym razie nie wcześniej niż po pogrzebie. Byłoby to niewłaściwe.

— Więc myślisz, że jestem jakimś drapieżnym ptakiem węszącym z daleka zapach uczt i że pośpieszyłem do zwłok zmarłego, który przed chwilą wydał ostatnie tchnienie?

— Nie pomyślałem o niczym podobnym, mój drogi.

— Tak pomyślałeś, inaczej nie mówiłbyś, że byłoby to niewłaściwe. Nie dbam ani trochę o to, co jest właściwe czy nie! Jeżeli jutro będę mógł zrobić coś pożytecznego, to zrobię to, choćby całe Somersetshire uważało to za niewłaściwe. Nie jadę tam po to, by załatwiać własne interesy.

— Zdejm wreszcie ten płaszcz, Will, usiądź i nie patrz na mnie z taką złością. Wiem, że nie jesteś bynajmniej chciwy. Powiedz mi, co zamierzasz teraz zrobić, a ja zobaczę, czy będę mógł ci w czym pomóc.

Belton posłuchał rady, zdjął płaszcz i usiadł przy kominku.

— Nie wiem, czy będziesz mi mógł w czymkolwiek pomóc — powiedział — w każdym razie jeszcze nie teraz. Muszę tam jechać, by się nią zaopiekować. Może została zupełnie sama.

— Przypuszczam, że nie ma przy niej nikogo.

— Więc on tam nie pojechał?

— Kto? Kapitan Aylmer? Z pewnością nie pojechał. Jest obecnie w Yorkshire.

— Bardzo mnie to cieszy.

— Nie będzie się śpieszył. On się chyba nigdy nie śpieszy. Dziś rano otrzymałem od niego list w sprawie panny Amedroz.

— I cóż napisał?

— Prosi, bym jej przesłał siedemdziesiąt pięć funtów jako procent od sumy, którą zapisała jej ciotka.

— Siedemdziesiąt pięć funtów! — zawołał Belton pogardliwie.

— Tak, uważał, że może będzie zaraz potrzebowała pieniędzy, i dziś wysłałem jej czek na tę sumę. Czek odejdzie tym samym pociągiem, którym ty tam pojedziesz.

— Siedemdziesiąt pięć funtów? Więc jesteś pewny, że sam do niej nie pojechał?

— Jest mało prawdopodobne, by napisał do mnie tego samego dnia, w którym przejeżdżałby przez Londyn, choć bez wątpienia byłoby to możliwe. Zapewne nawet nie znał osobiście starego Amedroza, wobec czego nie ma racji, żeby jechał na pogrzeb.

— Tak, nie ma żadnej racji — powtórzył Belton, czując, że obecność kapitana Aylmera w Belton byłaby dla niego osobiście rodzajem zniewagi. — Nie wiem, co, u diabła, miałyby tam do roboty, choć uważam go za człowieka, który chętnie wścibia nos tam, gdzie nikt go nie prosi.

A jednak Will w głębi serca pogardzał kapitanem Aylmerem za to, że nie pośpieszył z pomocą dziewczynie, którą rzekomo kochał.

— Chyba wiesz, że on jest z nią zaręczony — rzekł cicho adwokat.

— Cóż to za różnica dla takiego typu jak on, dla takiej zimnokrwistej ryby, co to nie myśli o niczym innym na świecie jak o tym, by nie uchybić własnemu dostojeństwu. Zaręczony z nią! A niech go diabli wezmą!

— Nie mam nic przeciwko temu. Nie przypuszczam jednak, by przyjechał do Belton przed tobą. Nie ulega wątpliwości, że napisał do niej. Mam wrażenie, że ona teraz pojedzie do Aylmer Parku.

— Po co miałyby tam pojechać?

— Czy nie byłoby to dla niej najbardziej odpowiednie miejsce?

— Nie, najodpowiedniejszym miejscem dla niej byłby mój dom. Jestem jej najbliższym krewnym. Dlaczego nie miałyby przyjechać do nas?

Pan Green obrócił swoje krzesło i zaczął poprawiać pogrzebaczem ogień na kominku; zanim odpowiedział, przez dłuższą chwilę nerwowo grzebał w palenisku.

— Mój drogi — powiedział wreszcie — powinieneś wiedzieć, że to niemożliwe. Tak — powtórzył — musisz wiedzieć, że to niemożliwe.

— Czy moja siostra nie mogłaby przyjąć panny Amedroz równie dobrze jak ta stara kobieta w Yorkshire?

— Jeżeli pozwolisz, to ci na to odpowiem.

— Oczywiście, proszę cię bardzo.

Mimo wszystko panna Amedroz jest zaręczona i ma wyjść za mąż za syna tej starej kobiety, natomiast nie jest zaręczona ani nie ma wyjść za mąż za brata twojej siostry. Sprawa jest załatwiona i wszelkie wtrącanie się do niej nic ci nie pomoże. Co się tyczy jej samej, to uważam, że wielki ciężar spadł z twoich barków.

— Jaki ciężar masz na myśli?

— Wobec jej zaręczyn z kapitanem Aylmerem niesłusznie przypuszczasz, że potrzebuje pomocy materialnej. Powiedziałeś mi kiedyś, że czujesz się zobowiązany dopilnować tego, by jej na niczym nie zbywało.

— I nadal czuję to samo.

— Ale teraz zaopiekuje się nią kapitan Aylmer.

— Zaraz ci to wyjaśnię, Joe. Otóż postanowiłem załatwić sprawę posiadłości Belton w ten sposób, by należała do niej, a on nie mógł tknąć ani grosza z dochodów. Odziedziczy ją ten, kto będzie nosił moje imię i nazwisko: William Belton. Chcę, byś właśnie tak załatwił dla mnie tę sprawę.

— Po twojej śmierci?

— Nie, teraz, natychmiast. Nie chcę pozbawiać jej majątku. Nienawidzę go i wszystkiego, co się w nim znajduje. Oczywiście nie jej samej. Nie mam żadnego powodu jej nienawidzić.

— Drogi Will, ależ to nonsens!

— Dlaczego nonsens? Chyba mam prawo darować swoją własność, komu mi się podoba?

— Nie możesz zrobić nic podobnego. W każdym razie nie przy mojej pomocy. Mówisz tak, jak gdyby cały świat kończył się na tobie, jak gdybyś nie miał się nigdy ożenić ani mieć własnych dzieci.

— Nie ożenię się nigdy.

Nonsens, Will, nie rób z siebie głupca, przypuszczając, że nigdy nie zdołasz przejść do porządku nad tą sprawą. Ożenisz się i będziesz miał dwanaścioro dzieci do wykarmienia. Belton Castle obejmie twój najstarszy syn i wszystko będzie tak, jak być powinno.

Z kolei Belton wziął do ręki pogrzebacz i w milczeniu uderzał nim o węgle, potem wstał, sięgnął po kapelusz i włożył płaszcz.

— Oczywiście — rzekł — nie możesz mnie zrozumieć, a w każdym razie nie od razu. Nie jestem osłem do tego stopnia, by pozbawiać się należnej mi własności tylko dlatego, że pewna dziewczyna ma wyjść za mąż za człowieka, którego nie lubię. Nie jestem też takim osłem, by darować majątek właśnie jemu, gdyż byłaby to darowizna, z której by on korzystał, choćbym nie wiem jak potrafił ograniczyć jego prawa. A jednak jest we mnie coś, co nie pozwala mi przyjąć tego majątku. Czy mógłbyś przyjąć darowiznę od kogoś, kto popełnił samobójstwo?

— Nie możesz nic na to poradzić. Majątek prawnie należy do ciebie.

— Oczywiście. Wiem, że tak jest. A skoro należy do mnie, to mogę z nim zrobić,

co mi się podoba. Tymczasem do widzenia! Jeżeli będę miał ci coś do powiedzenia, to napiszę.

Po czym Will zszedł na dół do czekającej na niego dorożki i kazał się zawieźć do Hotelu Dworcowego.

Więc kapitan Aylmer posłał swej narzeczonej siedemdziesiąt pięć funtów, czyli sumę stanowiącą dokładnie pięć procent od tysiąca pięciuset funtów zapisanych jej przez ciotkę. Była to pierwsza myśl, jaka przyszła do głowy Beltonowi, gdy znalazł się znów w wagonie — nie przestawał o tym myśleć aż do połowy drogi do Taunton. Siedemdziesiąt pięć funtów! Więc ten wybrany kochanek zamierzał dać jej dokładnie tyle, ile jej się należy, i nic więcej. Gdyby tak on sam, William Belton, znalazł się na jego miejscu, to jak by postąpił? Może nie potrzebowałaby aż tyle pieniędzy, gdyż on byłby ją zabrał do własnego domu i, gdyby tylko pozwoliła, przytuliłby ją do serca, i byłby dla niej pracował, starając się zdjąć z jej barków wszelkie kłopoty finansowe, i nie byłoby między nimi mowy o żadnych kapitałach czy procentach. W każdym razie nie ograniczyłby się do przesłania dokładnie takiej sumy, jaka jej się należała. Ale Aylmer był mężczyzną o zimnej krwi, podobnym raczej do ryby niż do człowieka. Belton nieustannie sobie powtarzał, że poznał się na nim od pierwszego wejrzenia, gdy się spotkali w kancelarii adwokata Greena. Siedemdziesiąt pięć funtów! Patrzcie państwo! Przecież on sam gotów był ofiarować jej cały swój majątek, gdyby dar ten przyjęła, choć nie godziła się zostać jego żoną, choć miała związać swój los z tą zimnokrwistą rybą. Wtedy wezbrało w nim uczucie podobne do tego, jakiego doznał Hamlet, kiedy rzucił się na Laertesę na grobie Ofelii. Więc tamten posłał jej siedemdziesiąt pięć funtów, podczas gdy on sam gotów był wypić dla niej rzekę do dna lub przekazać jej cały majątek Belton i w ten sposób wyrzec się na zawsze myśli, że zostanie panem Beltonem z Beltonu.

Przyjechał do Taunton po północy, w godzinach poprzedzających zimowy świt, ale nie mógł się zmusić do spania. Obudził stajennego w najbliższej gospodzie i wynajął wolancik. Pojedzie do wsi Redicote, leżącej przy drodze do Minehead, i tam zatrzyma się w gospodzie. Nie mógł pojechać wprost do Belton Castle, jak byłby zrobił za życia starego ziemianina. Zdawało mu się, że jego obecność tam byłaby teraz niepożądana. Stał więc w małej gospodzie w Redicote, dokąd przyjechał między czwartą i piątą rano i gdzie mu było bardzo niewygodnie. Był jednak w takim nastroju, że nawet wolał niewygodę. Cieszył się, że jest zmęczony i zmarznięty, a gdy go zaprowadzono do zimnego, nieopalonego pokoju z posypaną piaskiem podłogą, wydawało mu się, że tak być powinno.

Tak, po śniadaniu uda się do Belton Castle. Powziąwszy to postanowienie, kazał sobie podać na śniadanie jajka na boczku i poszedł na górę do małego, nędznego pokoiku, żeby się przebrać po nocnej podróży.



## ROZDZIAŁ XXI

### Wspaniałomyślność pani Askerton

Śmierć starego pana na zamku Belton nastąpiła zupełnie nagle. O trzeciej nad ranem wezwano Klarę do jego pokoju, a o piątej została na świecie sama. Nie miała już rodziców, brata ani domu, ani jednego szylinga, który mogła nazwać własnym; nie miała także żadnych widoków na przyszłość, o ile, jak przypuszczała, kapitan Aylmer uzna jej list za powód do zupełnego zerwania. Lecz w owej chwili tego smutnego ranka nie zależało Klarze na niczym w życiu. Sprawa lady Aylmer i jej gniewu stały się dla niej niemal obojętne. Im bardziej potrzebowała przyjaźni, tym bardziej skłonna była ją odrzucić i powiedzieć sobie, że jest przygotowana na to, iż zostanie sama na świecie.

W ostatnim tygodniu przed śmiercią ojca wywnioskowała z tego, co mówił lekarz, że ojciec umiera i nie ma nadziei, by mógł odzyskać zdrowie. Wobec tego była w pewnej mierze przygotowana na to, że czeka ją samotność, i z góry przewidywała, jak jej będzie ciężko. Gdy tylko stwierdzono, że stary pan umarł, jedna z kobiet znajdujących się w pokoju wzięła Klarę za rękę i zaprowadziła ją do jej sypialni.

— A teraz, panno Klaro, niech panienka lepiej położy się z powrotem do łóżka, koniecznie; czuwanie nie zda się na nic.

Klara posłuchała rady i pozwoliła, by kobiety zakrzętały się przy niej, jak chciały. To prawda, że nie miała już nic więcej do roboty w tym domu i, jak jej się zdawało, w żadnym innym również. Tak, położy się do łóżka i będzie myślała, jak by to było wygodnie dla wielu osób, gdyby i ją stąd zabrano na długi odpoczynek, tak jak zabiorą ojca, jak zabrano ciotkę i brata. Nazwisko, które nosiła jej rodzina, nie przyniosło nikomu szczęścia i byłoby lepiej, gdyby na świecie nie było już Amedrozów; nie sprawialiby kłopotów tym szczęśliwszym, którzy tu po nich przyjdą. W poczuciu żalu i goryczy zaliczyła obu, Willa i kapitana Aylmera, do tych szczęśliwszych, dla których byłoby lepiej, gdyby jej zabrakło na tej ziemi. Po wysłaniu odpowiedzi do kapitana Aylmera odczytywała raz po raz jego list jak również odpis własnego listu, napisanego w odpowiedzi; czytając te listy mówiła sobie, że on z pewnością jej nie przebaczy. Może byłby jej przebaczył, gdyby we wszystkim poddała się jego woli, ale ponieważ w sprawie pani Askerton postanowiła mu nie ustąpić — straciła wszelką nadzieję. Przypomniawszy sobie jednak, jak niedawno jej drogi ojciec wyzionął ducha, zaczęła sobie robić gorzkie wyrzuty, że mogła myśleć o czym innym niż o stracie, jaką poniosła.

Była jeszcze w sypialni, gdzie zapadła w półsen, jak się to nam często zdarza, gdy mamy duże zmartwienie, kiedy ją zawiadomiono, że przyszła pani Askerton. Dotychczas pani Askerton ani razu nie przekroczyła progu tego domu i Klara

natychmiast to sobie przypomniwała. Za życia ojca sąsiadka jak gdyby rozumiała, że nie ma wstępu do jego domu, ale teraz, teraz kiedy ojciec umarł, przeszkodę tę można było usunąć. Dlaczego nie? Dlaczego pani Askerton nie miałyby do niej przychodzić? Skoro okazała jej tyle życzliwości, dlaczego Klara nie miałyby rzucić się w jej ramiona? Obraziłaby w ten sposób poczucie moralne całej rodziny w Aylmer Parku, ale dlaczego miałyby teraz o tym myśleć? Przecież już postanowiła, że w tej sprawie nie ulegnie rozkazom Aylmer Parku.

Klara nie widziała się z panią Askerton od czasu ich rozmowy opisaney w jednym z poprzednich rozdziałów. Wtedy powiedziały sobie wzajemnie wszystko, nie pozostawiając jedna przed drugą żadnych tajemnic. Klara oświadczyła wówczas pani Askerton, że zachowuje dla niej nadal serdeczną przyjaźń, mimo nieprzychylnych wyroków, jakie mogą nadejść ze strony Aylmer Parku. Wobec tego, czy nie było zupełnie naturalne, że pani Askerton ją odwiedziła w tak bolesnej chwili?

— Ta pani powiada, że wejdzie, jeżeli panienka pozwoli — powiedziała służąca.

Ale Klara odpowiedziała odmownie i za chwilę zbiegła na dół do małego saloniku, gdzie zwykle przebywała i gdzie teraz zastała swego gościa.

— Moje biedactwo, to się stało tak nagle — rzekła pani Askerton.

— Tak, zupełnie nagle, a jednak, gdy go już nie ma, wiem, że się tego spodziewałam.

— Oczywiście przybiegłam, jak tylko się o tym dowiedziałam, przecież wiem, że jesteś zupełnie samotna. Nie przyszłabym, gdybym wiedziała, że masz kogoś przy sobie.

— To pięknie z twojej strony.

— Mój mąż zastanawiał się, czy raczej nie on powinien tu przyjść. Powiedziałam mu wszystko, o czym wtedy mówiłyśmy, bo z początku uważał, że byłoby może lepiej, gdybym do ciebie nie przychodziła.

— To bardzo ładnie z twojej strony, żeś przyszła — powtórzyła Klara; mówiąc to ujęła dłoń pani Askerton i przez chwilę zatrzymała ją w swojej. — Bardzo ładnie.

— Powiedziałam mu, że muszę pójść do ciebie i że gdybym nie przyszła, nie wiedziałybyś, dlaczego tak postąpiłam.

— W każdym razie to bardzo pięknie, żeś przyszła.

— Nie wierzę — rzekła pani Askerton — by to, co ludzie nazywają pocieszeniem, mogło się na coś przydać. Stracić ojca to rzecz straszna.

— Tak, to okropne. Dotychczas nie uświadamiałam sobie w pełni, jakie to smutne. A jednak myślałam tylko o sobie i żałowałam, że nie umarłam razem z nim.

— Nie mów tak, Klaro.

— Nie mogę się od tego powstrzymać. Co mam robić? Dokąd się udać? Na co

potrzebne jest życie takim istotom jak ja? A jeśli chodzi o ojca, to kto śmiałby mu życzyć powrotu na ziemię? Ludzie, którzy podupadli, którzy stracili stanowisko w świecie, nie powinni żyć. Cóż im wtedy pozostaje prócz trosk i zmartwienia?

— I ja, kochanie, tak właśnie cierpiałam.

— Ale ty masz kogoś, kto się tobą opiekuje, komu możesz ułać.

— Czy ty nie masz kogoś takiego?

— Nie, nie mam nikogo.

— Co chcesz przez to powiedzieć, Klaro?

— To, co mówię. Nie mam nikogo. Niepotrzebnie mnie o to pytasz. Przynajmniej nie teraz, nie w takiej chwili. Mówię to nie po to, by się skarżyć. Skarżą się tylko ludzie słabi i głupi. Postanawiałam sobie nieraz, że potrafię wszystko znieść. I zniosę. Jeżeli zdołam uświadomić sobie, czym jest dla mnie strata ojca, to stanę się przez to lepsza, mimo że będę więcej cierpiała, tymczasem jednak robię sobie gorzkie wyrzuty, że jestem taka egoistka.

— Czy pozwolisz, bym dzisiaj cały dzień została przy tobie?

— Nie, moja droga, nie dzisiaj.

— Dlaczego nie dzisiaj, Klaro?

— Wolę dziś zostać sama. Mam tyle spraw do przemyślenia.

— Uważam, że byłoby lepiej nie zostawiać cię dzisiaj samej; znacznie lepiej. Ale nie będę nalegała. Nie mogę się narzucać, jak zrobiłaby to każda inna kobieta.

— Mylisz się, zupełnie nie masz racji. Wolałabym raczej być z tobą niż z jakąkolwiek inną kobietą na świecie. Jakiej innej kobiety słuchałabym choć przez chwilę, tak jak słucham ciebie? — Mówiąc to, choć pogrążona w najgłębszym bólu, pomyślała o lady Aylmer i umocniła się w postanowieniu, że będzie się nadal opierała jej woli. Po chwili dodała: — Żałuję, że nie znam mojej kuzynki Mary, ale nigdy jej nie widziałam.

— Czy jest sympatyczna?

— Tak twierdzi Will, a to, co on mówi, jest zawsze prawdą, nawet kiedy mówi o siostrze.

— Will, Will, tak często go wspominasz. Gdyby był taki dobry, to by ci teraz okazał swą dobroć.

— W jaki sposób mógłby mi ją okazać? Co mógłby zrobić?

— Czy nie odziedziczył całego waszego majątku?

— Tak, to prawda. I cóż z tego? Mówiąc, że nie mam przyjaciół, nie miałam na myśli mojego ubóstwa.

— Jeżeli tak o ciebie dba, to może dużo zrobić, żeby przyjść ci z pomocą. Dlaczego nie miałyby tu natychmiast przyjechać?

— Nie daj Boże!

— Dlaczego? Dlaczego tak mówisz? Przecież jest twoim najbliższym krewnym.

— Jeżeli nie rozumiesz, nie mogę ci tego wytłumaczyć.

- Czy on wie, co się stało? — zapytała pani Askerton.
- Zdaje mi się, że pułkownik Askerton go zawiadomił.
- Czy zawiadomił także kapitana Aylmera?
- Tak, zawiadomił również i jego.
- A więc powinien tu zaraz przyjechać.
- Chyba nie. Dlaczego miałby tu przyjechać, przecież on nawet nie znał papy osobiście.
- A czy nie zna ciebie?
- Zobaczysz, że nie przyjedzie. I zapewniam cię z góry, że postąpiłby słusznie powstrzymując się od przyjazdu. Nie wiem doprawdy, jak mógłby tu przyjechać, zresztą bynajmniej tego nie pragnę.
- Nie rozumiem cię, Klaro.
- Nie dziwię się. Ja sama siebie nie rozumiem.
- A ja wcale bym się nie zdziwiła, gdyby przyjechała tu sama lady Aylmer.
- O Boże! Jak mało wiesz o stanowisku i charakterze lady Aylmer!
- Przecież ona ma zostać twoją świekrą.
- Nawet gdyby miała zostać moją świekrą. Czy można sobie wyobrazić, że lady Aylmer opuściłaby Aylmer Park i przebyła całą drogę z Yorkshire, by przyjechać do takiego domu jak ten? Gdyby mi powiedziano, że królowa ma mnie odwiedzić, wiadomość ta sprawiłaby mi mniej kłopotu. Ale to mi nie grozi.
- Nie wiem, co mogło zająć między nim a tobą, ale, o ile nie pogniewaliście się, to on tu przyjedzie. To znaczy przyjedzie, jeżeli jest taki jak większość mężczyzn, których znam.
- Nie przyjedzie.

Pani Askerton szepnęła jeszcze parę słów, proponując załatwienie kilku spraw, których podjąłby się jej mąż, i przed odejściem zapytała, czy może raz jeszcze przyjść dziś po południu, a otrzymawszy odpowiedź przeczącą, przyrzekła Klarze, że ją odwiedzi nazajutrz rano. Wracając do domu myślała więcej o zaręczynach Klary z kapitanem Aylmerem niż o śmierci starego pana Amedroza. Dla niej śmierć ta nie miała oczywiście znaczenia, a jeżeli chodziło o Klarę, to ojciec jej w ostatnich czasach stał się kimś tak mało znaczącym nawet we własnym domu, iż byłoby trudno twierdzić, że śmierć jego pozostawiła wielką pustkę. Ale co Klara miała na myśli, mówiąc z takim naciskiem, że kapitan Aylmer nie przyjedzie do Belton i że ona teraz nie ma już przyjaciół ani stanowiska w świecie? Gdyby się ze sobą posprzeczali, byłoby to zrozumiałe, ale jaki mógł być powód do sprzeczki? Myśląc o tym pani Askerton poczuła, że krew uderza jej do głowy, i powiedziała sobie, że powód mógł być tylko jeden. Wiedziała, że lady Aylmer poleciła Klarze zerwać wszelką znajomość właśnie z nią, i wobec tego nie ulegało wątpliwości, co było powodem sprzeczki. Więc doszło do tego, że Klara miała utracić męża, gdyż chciała pozostać wierną przyjaciółce, a raczej z tej przyczyny, że nie zgodziła się

dorzucić jeszcze jednego kamienia do licznych kamieni, które w ostatnich latach sypały się na jej przyjaciółkę.

Nie zamierzam twierdzić, że pani Askerton była kobietą wielkoduszną. Dotknął ją w życiu pewien rodzaj nieszczęść zdolny zgasić w kobiecie szlachetność ducha. Bywają klęski, których właściwości pogłębiają charakter kobiety i pomagają rozwojowi kobiecych cnót, bywają jednak i inne klęski, które mało kobiet może znieść bez pewnego upodlenia, bez szkody dla tkliwości i subtelnych uczuć, stanowiących największy urok kobiecości. Zdaje mi się, że w takich sytuacjach świat bywa bardziej twardy dla kobiet niż dla mężczyzn, gdyż kobieta traci wówczas dużo na skutek wrogich okoliczności, podczas gdy mężczyzna ponosi straty na skutek własnej winy. Bywają wprawdzie kobiety, których żadne nieszczęście nie zdoła upodlić, bywają także mężczyźni zdolni do bohaterstwa, ale tak wśród kobiet, jak wśród mężczyzn są to tylko wyjątki. Pani Askerton nie należała do tych wyjątków. Spadło na nią nieszczęście — wprawdzie po części z jej własnej winy, choć to można jej było wybaczyć — lecz ciężar owej niedoli przerastał jej siły, a to, co przecierpiała, uczyniła ją w pewnej mierze twardą i choć nie pozbawiło kobiecości, kobiecość ta stała się jakby pośledniejszego gatunku, a uczucia mniej szlachetne. Nauczyła się intrygować, nie pragnąc jednak osiągnąć jakichkolwiek korzyści za pomocą nieuczciwych intryg; zdawało się jej jednak, że może utrzymać się na powierzchni jedynie wówczas, gdy będzie nadal walczyła w taki sposób. Mówiąc o tym wszystkim, mam na myśli ogólny charakter tej kobiety i nie robię bynajmniej aluzji do tego jednego grzechu, jaki popełniła pani Askerton. Otóż gdy po raz pierwszy poznała pannę Amedroz, ze spokojnym sumieniem oszukała nową przyjaciółkę. Zapytana przez nią przypadkowo o panięńskie nazwisko, nie zaczerwieniła się wymieniając nazwisko fałszywe. Gdy Klara na nieszczęście dowiedziała się, jak nazywał się jej pierwszy mąż, pani Askerton uciekła się znów do jakiegoś zawczasu przygotowanego wykrętu. A gdy poznała Williama Beltona, zdawało się jej, że obecność w sąsiedztwie człowieka znającego jej przeszłość może być dla niej niebezpieczna i że niebezpieczeństwo to usprawiedliwia jej starania, by poróżnić Klarę z kuzynem. Instynkt samozachowawczy jest pierwszym prawem natury — powiedziałyby — lecz mówiąc to, jak zwykle nie pamiętałaby o tym, że żadne prawo natury nie wymaga, by instynkt samozachowawczy posługiwał się fałszem.

Aczkolwiek pani Askerton nie była kobietą wielkoduszną, nie można jej było nazwać nieszlachetną, a teraz gdy zaczęła rozumieć, że Klara dając jej owo przyrzeczenie — kiedy stały w saloniku przy oknie — poświęciła się dla niej, zaczęła myśleć o przyjaciółce więcej niż o sobie samej. Umiała się nawet zdobyć na stwierdzenie, że byłoby z jej strony okrucieństwem starać się o dalsze utrzymanie znajomości z Klarą.

„Jak kto sobie pościele, tak się wyśpi — mówiła stosując te słowa do siebie, toteż

postanowiła, że zamiast pójść do Klary nazajutrz, napisze tylko list i w ten sposób położy kres zażyłości, jaka nawiązała się między nimi. — Ludzie są twardzi, okrutni i niesprawiedliwi — rozmyślała dalej — ale nie Klara jest temu winna. Nie będę jej krzywdziła dlatego, że sama zostałam skrzywdzona.”

Tego samego dnia pułkownik Askerton był w Belton Castle, ale o pannę Amedroz nie pytał i nie widział jej. Oprócz niego nikt nie przyszedł nazajutrz rano ani po południu i Klara nie omieszkała sobie powiedzieć, że gdyby kapitan Aylmer zaraz po otrzymaniu wiadomości zdecydował się opuścić dom i wyruszyć w drogę, to byłby już przyjechał. To samo pomyślała o kuzynie Willu, ale, jak wiemy, tym razem myliła się. Przez te dwa dni czuła się bardzo samotna i opuszczona i zaczęła już z niecierpliwością oczekiwać przyjścia pani Askerton, lecz zamiast niej zjawił się posłaniec przynosząc list.

— Zrobisz, moja droga, jak będziesz uważała za stosowne — powiedział do żony pułkownik poprzedniego wieczoru.

Wysłuchał wszystkiego, co mu opowiedziała, nie odrywając oczu od gazety, mimo że mówiła z dużym przejęciem.

— Ale to mi nie wystarcza. Chciałabym, żebyś mi powiedział coś więcej — odrzekła.

— Jesteś nierozsądna. Co do mnie, nie dbam ani trochę, jak się ta sprawa ułoży; jest mi również obojętne, co ludzkie języki mogą powiedzieć. Nie może mnie to dotknąć, chyba ze względu na ciebie.

— Powinieneś mi jednak coś doradzić.

— Robię to, i nawet często, ale tylko wtedy, gdy jestem przekonany, że wiem coś lepiej od ciebie; ale w tej sprawie jestem pewny, że potrafisz sobie poradzić lepiej ode mnie, i dlatego nie chcę ci niczego podsuwać — znów zabrał się do gazety, a ona przez chwilę patrzyła na niego, jak gdyby spodziewała się, że powie jej coś więcej. Ale on nie dodał nic i cała decyzja została pozostawiona wyłącznie do jej własnego uznania.

Od czasu gdy panią Askerton dotknęła niedola, Klara Amedroz była pierwszą przyjaciółką, która zbliżyła się do niej, by ją pocieszyć, i pani Askerton z żalem wyrzekała się tej pociechy. Była to bowiem nie tylko pociecha, lecz coś więcej, coś, co graniczyło z triumfem, jakiego doznała, gdy Klara po wysłuchaniu historii jej życia przytuliła ją serdecznie do siebie. I choć sumienie jej nie dokuczało, gdy popełniała swe z góry uplanowane drobne oszustwa, nie sprawiały jej one też żadnej przyjemności. Jakże mógłby ktokolwiek znajdować w tym przyjemność? Wielu z nas tak często oszukuje swoich przyjaciół i jesteśmy do tego tak przyzwyczajeni, że przychodzi to nam bez trudności. Ale konieczność oszukania przyjaciela jest zawsze czymś przykrym. Zdradzać jest łatwo, ale zdradzić kogoś, kogo kochamy, nie jest rzeczą łatwą, niezależnie od tego, że zdradzamy tak często. Radość, jaką biedna kobieta czerpała z przyjaźni z bliską sąsiadką Klarą Amedroz,

wzrosła w dwójnasób od czasu, gdy już nie potrzebowała jej oszukiwać. Zanim jednak zdążyła się tym nacieszyć, niemal w chwili gdy zaczęła odczuwać całą rozkosz swego triumfu, stanęło przed nią zadanie; musiała uczynić to, czego Klara w swojej szlachetności nie chciała zrobić. „Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz” — powiedziała sobie raz jeszcze. I zamiast pójść do zamku, jak obiecała, napisała do Klary następujący list:

Willa.

Poniedziałek.

Najdroższa Klaro!

Nie potrzebuję Cię zapewniać, że słowa te piszę z rozdartym sercem. Jeszcze przed kilku dniami wyśmiałabym każdą kobietę, która z własnej woli napisałaby takie zdanie, i nazwałabym ją przesadną wariatką, lecz teraz wiem już, jakie to określenie jest prawdziwe. Mam serce rozdarte i czuję się głęboko upokorzona. Wczoraj powiedziałaś mi, że Cię nie rozumiałam. Rozumiałam Cię doskonale. Oczywiście zdaję sobie z wszystkiego sprawę i wiem, dlaczego tak się wyraziłaś o kapitanie Aylmerze. On z pewnością uważa, że znajomość ze mną jest dla Ciebie kompromitująca i że musisz wyrzec się albo mnie, albo jego. Aczkolwiek on mnie potępia, ja nie będę go potępiała. Świat stoi po jego stronie, i może słusznie. Nie znane mu są moje trudności i moje cierpienia, bo i skąd miałby o nich wiedzieć? Nie potępiam go za to, że nie życzy sobie, by jego przyszła żona żyła w przyjaźni z kobietą, o której mówi się, że nie jest odpowiednim towarzystwem dla innych kobiet.

W każdym razie, najdroższa moja, musisz mu być posłuszna i nie zobaczymy się już nigdy. Jestem przekonana, że byłoby z mojej strony nikczemnością pozwolić, byś przeze mnie naraziła na szwank własne stanowisko w świecie. Przecież kochasz go i będziesz z nim szczęśliwa, a ponieważ jesteś z nim zaręczona, nie powinnaś czuć do niego urazy za wtrącanie się do tej sprawy.

Sądzę, że teraz rozumiesz mnie nie gorzej, niż gdybym zapisała całe arkusze papieru tym, co mam Ci do powiedzenia. Wynika z tego, że musimy wzajemnie zapomnieć o sobie lub tylko pamiętać, że byliśmy kiedyś przyjaciółkami. Za kilka dni zorientujesz się co do swych dalszych planów. Jeżeli nadal będziesz mieszkała tutaj, my stąd wyjedziemy, jeżeli Ty wyjedziesz, my zostaniemy tutaj, o ile Twój kuzyn zgodzi się przedłużyć nam dzierżawę willi. Wprawdzie nie wiem, co mogłaś napisać do kapitana Aylmera po naszej rozmowie, ale proszę Cię, byś do niego napisała raz jeszcze i dała mu do zrozumienia, że o ile chodzi o mnie, nie potrzebuje się już niczego obawiać. Jeżeli chcesz, to możesz mu przesłać ten list. Och, droga moja, gdybyś wiedziała, jak bardzo cierpię pisząc Ci te słowa.

Powinnam Cię przeprosić, iż w takiej chwili niepokoję i Cię tego rodzaju sprawą,

nie wolno mi jednak zwlekać ani jednego dnia, gdyż chcę Cię zapewnić, że nigdy już i nie zobaczysz przyjaciółki, która Cię kochała.

Mary Askerton

Po otrzymaniu tego listu Klara pod wpływem pierwszego impulsu chciała natychmiast pośpieszyć do willi, by w ten sposób podkreślić swoje prawo do wyboru przyjaciół. Jeżeli wybrała panią Askerton, a nie kapitana, to jej rzecz. I byłaby tak zrobiła, gdyby nie obawiała się spotkania z pułkownikiem Askertonem. Nie wiedziałyby, jak z nim mówić o tej sprawie i jak się zachować w willi nie poruszając tego tematu. Po chwili namysłu jednak zorientowała się, że idąc tam byłaby się ostatecznie rzuciła w objęcia pani Askerton i jednocześnie musiałaby rozstać się z myślą, że kiedykolwiek zostanie żoną kapitana Aylmera. Zastanawiając się nad tym wszystkim zadała sobie kilka pytań dotyczących jego osoby, pytań, na które niełatwo jej było odpowiedzieć. Czy pragnęła zostać jego żoną? Czy mogła być pewna, że w razie gdyby się pobrali, potrafiliby dać sobie nawzajem szczęście? Czy kocha go? Na to ostatnie pytanie wciąż jeszcze mogła odpowiedzieć twierdząco, niemniej jednak czuła, że zerwanie z nim nie stałoby się dla niej wielkim nieszczęściem. A gdy zaczynała myśleć o lady Aylmer i przypominała sobie, że to stanowcze wezwanie Fryderyka, by podporządkowała się jego woli, było prawdopodobnie dyktowane przez jego matkę, wtedy ogarniała ją na nowo chęć, by pośpieszyć do willi i oświadczyć tam, że niczyja interwencja nie wpłynie na zmianę jej przekonań.

Nazajutrz rano listonosz doręczył Klarze list mający dla niej poważne znaczenie. Przyniósł także wiadomość, która poruszyła ją jeszcze bardziej niż list. List był od adwokata Greena i zawierał czek na siedemdziesiąt pięć funtów, stosownie do instrukcji danej mu przez kapitana Aylmera, co stanowiło całoroczny procent od sumy zapisanej jej przez ciotkę. Wiedziała dobrze, jak na ten list odpowiedzieć, i natychmiast odpowiedź tę napisała, odsyłając adwokatowi czek. Wiadomość przyniesiona przez listonosza była dla niej ważniejsza niż list: powiedział jej bowiem, że widział pana Williama Beltona w gospodzie w Redicote.

## ROZDZIAŁ XXII

### Namiętna prośba

Klara napisała do adwokata list odsyłając mu czek, zanim zaczęła zastanawiać się nad wiadomością o przyjeździe kuzyna. Czuła, że musi to zrobić, zanim go zobaczy: w ten sposób zabezpieczała się przed trudnościami, jakie mogły



wyniknąć, gdyby dał jej radę sprzeczną z jej postanowieniem; dlatego natychmiast po napisaniu listu posłała go do urzędu pocztowego znajdującego się we wsi. Była gotowa zrobić wszystko, co by jej kuzyn doradzał, ale pieniędzy od kapitana Aylmera nie przyjmie, nawet gdyby kuzyn radził inaczej. Powiedzą jej bez wątpienia, iż pieniądze te są jej własnością, że może je przyjąć i nie musi za nie dziękować kapitanowi Aylmerowi, ale ona wie lepiej, jak powinna postąpić, i powtarzała to sobie raz po raz. Ciotka nie zostawiła jej żadnego zapisu, a ona nie przyjmie od kapitana Aylmera nic, o ile nie otrzyma od niego wszystkiego, co miałby jej do ofiarowania w okolicznościach, w jakich kobiety najbardziej lubią otrzymywać dary.

Dopiero po napisaniu listu zdolna była zastanowić się nad przyjazdem kuzyna. „Wiedziałam, że przyjedzie” — powiedziała sobie usiadłszy w jednym ze starych foteli stojących w hallu, owinięta w duży ciepły szal. Po chwili wyszła na ganek rzekomo po to, by wysłać chłopca z listem na pocztę, lecz zatrzymała się na kilka minut patrząc w kierunku, skąd Belton mógł nadjechać z Redicote, oczekując, a raczej mając nadzieję, że zobaczy go albo usłyszy turkot wolantu. Nie zobaczyła jednak nikogo ani nic nie usłyszała. Wróciła więc do hallu zamykając cicho drzwi. „Wiedziałam, że przyjedzie” — powiedziała sobie, powtarzając wielokrotnie te same słowa. A jednak kiedy pani Askerton twierdziła, że Belton przyjedzie, jak to teraz uczynił, przypuszczenie to niemal ją przeraziło i wykrzyknęła: „Uchowaj Boże.” Niemniej jednak teraz, kiedy był już w Redicote, zapewniała siebie samą, że o przyjeździe jego była najzupełniej przekonana, i świadomość jego bliskości napełniła ją radością, której nie starała się sobie wytłumaczyć. Czyż nie przyrzekł, że będzie jej bratem, i czyż to nie braterski obowiązek pośpieszyć do siostry dotkniętej nieszczęściem? „Wiedziałam, że przyjedzie. Byłam tego pewna. Wiem, że na nim można polegać.” O tym, że kapitan Aylmer nie przyjedzie, nie wspomniała ani słowem nawet przed samą sobą, ale o tym również była przekonana. Oczywiście, że nie przyjedzie! Zamiast przyjechać przesłał jej siedemdziesiąt pięć funtów, a to, co zrobił, było zgodne z jego charakterem. Obaj mężczyźni postąpili tak, jak można się było po nich spodziewać. Tak przynajmniej Klara Amedroz zapewniała siebie samą. Nie zadała sobie pytania, jak się to stało, że wybór jej padł na tego, który był mniej wartościowy i słabszy. Wiedziała jednak, że tak chciało przeznaczenie.

Nagle wstała z fotela, jak gdyby przypomniałszy sobie o pewnym obowiązku do spełnienia, i poszła do kuchni, gdzie poleciła służbie przygotować śniadanie dla pana Beltona, który jechał przez całą noc i będzie głodny. Od śmierci starego pana nie podawano regularnych posiłków i Klara zadowalała się kilkoma kęsami stawy i filiżanką herbaty, przyniesionymi jej przez starą służącą. Teraz należało znów nakryć do stołu, do czego Klara zabrała się własnoręcznie i przypomniała sobie obiady, jakie po śmierci ciotki podawano w Perivale dla kapitana Aylmera. Wydało

się jej, że przywykła do przebywania w domu nawiedzonym przez śmierć oraz że smutek i uroczyste ceremonie ku czci zmarłych stały się dla niej czymś dobrze znanym. Ogarnęło ją uczucie, że tak już będzie zawsze. Życie pozostanie dla niej zawsze smutne. Czyż miała prawo spodziewać się innego losu po nieszczęściu, jakie z winy brata spadło na rodzinę? Stało się dla niej jasne, że myliła się przypuszczając, iż będzie mogła żyć szczęśliwie z takim zamożnym, światowym człowiekiem jak kapitan Aylmer. Z natury byli do siebie niepodobni i związek ten nie mógł doprowadzić do niczego dobrego. Tak rozmyślała w zupełnym upadku ducha, nakrywając stół do śniadania dla Williama Beltona.

Ale William Belton nie przyjechał na śniadanie. Zjadł, co mu podano w Redicote, i jeszcze potem wahał się i wałęsał po gospodzie, zanim zdecydował się wyjść. Co miał jej powiedzieć i jak zostanie przyjęty? Czy mimo wszystko nie postąpił źle przyjeżdżając do domu, gdzie nie był pożądanym gościem? Czy nie posądzą go o to, że podróż tę odbył wyłącznie ze względu na odziedziczony majątek? Czy nie będą go uważali za spadkobiercę wyciągającego drapieżnie ręce po spadek, zanim jeszcze stary właściciel spoczął pod ziemią? W każdym razie o tej porze było za wcześnie na składanie wizyt, toteż dla zabicia czasu poszedł do pewnego cieśli, którego niedawno zatrudniał w Belton. W rozmowie z nim spostrzegł, że cieśla uważa go za wyłącznego właściciela całego majątku i skwapliwie nalega na wprowadzenie różnych ulepszeń. To nappełniło Willa jeszcze większym niesmakiem do samego siebie i szczerze zapragnął znaleźć się z powrotem w Plaistow. Lecz skoro doznał już tak daleko, nie mógł wracać nie zobaczywszy się z kuzynką; w końcu wyruszył do niej i zajechał przed dom między godziną jedenastą a dwunastą.

Klara przywitała go w hallu i od razu zaprowadziła do przeznaczonego dlań pokoju. W hallu podał jej rękę, lecz nie odezwał się ani słowem, zanim po zamknięciu drzwi nie przemówiła do niego pierwsza.

— Wiedziałam, że przyjedziesz — powiedziała trzymając jeszcze rękę w jego dłoni.

— Nie wiedziałem, co mam zrobić — odpowiedział. — Nie mogłem się zdecydować, jak będzie lepiej. A teraz, kiedy już tu jestem, będę ci tylko zawadzał.

Nie śmiał uścisnąć jej dłoni, a jednocześnie nie mógł się zmusić do cofnięcia swojej.

— Będziesz mi zawadzał? Zjawileś się jak anioł, by mi poradzić, co mam robić w tym nieszczęściu. Wiedziałam, że przyjedziesz, bo jesteś bardzo dobry. Ale musisz zjeść śniadanie. Mam je dla ciebie gotowe.

— Dziękuję, zjadłem śniadanie w Redicote. Nie chciałbym sprawiać ci kłopotu.

— Sprawiać mi kłopot? Will, och, Will, gdybyś ty wiedział...

W oczach jej błysnęły łzy, a na ten widok i jego oczy nappełniły się łzami. Jakże miał to znieść? Mógł wziąć ją w ramiona, przytulić do piersi i zatrzymać tam na

zawsze, mógł osuszyć jej łzy tak, by już nigdy nie zapłakała, poświęcić całą swą energię, wszystko, co posiadał, by ją pocieszyć — to wszystko mógł zrobić, ale nie wiedział, co mógłby zrobić innego. Każde jej słowo zachęcało go, a jednak zdawał sobie sprawę, że to nie jest możliwe. Gdyby szepnął jej choć jedno miłosne słówko, gdyby choć wyrazem twarzy zdradził, jak bardzo ją kocha, postąpiłby nie po męsku. A jednak jak mógł zapanować nad wyrazem twarzy, jak powstrzymać się od mówienia jej słów miłości?

— To taka dla mnie pociecha, że możesz być tu przy mnie — rzekła Klara.

— Wobec tego rad jestem, że przyjechałem, choć nie wiem, co mógłbym dla ciebie zrobić. Czy on bardzo cierpiał, Klaro?

— Nie sądzę, chyba nie bardzo. Umarł spokojniej, niż się spodziewałam, choć przypuszczałam, że to wkrótce nastąpi. Często o tobie wspominał, a zawsze z sympatią i szacunkiem.

— Drogi staruszek!

— Tak, Will. Wprawdzie miał swoje słabostki, ale chyba żaden ojciec nie kochał córki więcej niż on mnie.

Po chwili służąca przyniosła herbatę, mówiąc Beltonowi, że panna Klara tego ranka nie miała nic w ustach.

— Nie chciała nic przełknąć, zanim pan nie przyjedzie — dodała.

Will zaczął teraz namawiać Klarę, by coś zjadła, aż wreszcie zgodziła się; stopniowo atmosfera między nimi stawała się coraz swobodniejsza i rozmowa potoczyła się łatwiej niż wtedy, gdy się po raz pierwszy widzieli. Tego ranka wyjaśniono kilka spraw, które Klara jeszcze parę godzin temu uważała za niemożliwe do poruszenia w rozmowie z kuzynem. Opowiedziała mu o zapisie ciotki i o tym, że tego samego ranka odesłała adwokatowi czeki, wspomniała mu także o poglądach lady Aylmer i o tym, co sama o nich sądzi. Temat ten okazał się najtrudniejszy do przedyskutowania z Willem. Czerwienił się, kręcił na krześle, spacerował po pokoju i słuchając nie śmiał spojrzeć jej w oczy. Mimo to mówiła dalej, drażniąc go wymienianiem nazwiska, które spośród wszystkich nazwisk w świecie było mu najbardziej nienawistne; wymieniała to nazwisko niemal z wyrzutem, a Will czuł, że wtórowanie temu byłoby z jego strony nieszlachetne, gdyż dając folgę swym myślom, mógłby wpaść w ton nieumiarkowanie obraźliwy.

— Czy zrobiłam słusznie odsyłając mu czek? Powiedz, że postąpiłam słusznie, proszę, powiedz, że i ty tak sądzisz.

— Nie rozumiem, o co tu chodzi. Wiesz, że nie jestem prawnikiem.

— Nie trzeba być prawnikiem, by wiedzieć, że nie mogłam przyjąć od niego tych pieniędzy. Jestem pewna, że i ty to czujesz.

— Jeśli mężczyzna winien jest komuś pieniądze, to powinien je oddać.

— Ale on nie jest mi nic winien, Will. To tylko chęć okazania się szczodrym.

— Nie potrzebujesz niczyjej szczodrości, Klaro, to oczywiste.

Belton pomyślał, że Klara, aż do wyjścia za mąż, musi być zależna od czyjejś szczodrości. Chciał jej wytłumaczyć, że wszystko, cokolwiek sam posiada, jest do jej dyspozycji i stanowi jej własność. Chciał jej także wytłumaczyć, ale nie wiedział jak, że nie pragnie korzystać z dziedzictwa i że majątek Belton powinien należeć do niej jako naturalnej spadkobierczyni ojca. Zorientował się jednak, że chwila, kiedy mógłby jej to wytłumaczyć, jeszcze nie nadeszła i że raczej powinien ograniczyć się do zapewnienia, że żadna obca pomoc nie jest jej potrzebna.

— W sprawach pieniężnych — powiedział — możesz zwracać się tylko do mnie. To zrozumiałe. W innych sprawach będę się radził Greena, który jest moim przyjacielem, i wszystko załatwimy.

— Ja bynajmniej nie chciałam tego, Will.

— Ale ja sobie tego życzę. W tego rodzaju sprawach decyzja powinna należeć do mężczyzny. Z twoim ojcem rozumieliśmy się doskonale.

— Ale chyba nie zdawał sobie sprawy, że będę musiała korzystać z twojej hojności.

— Hojność to brzydkie słowo, nie cierpię go. Zgodziłaś się, bym był twoim... bratem, więc jako brat przystępuję do działania. — Słowo brat niemal uwięzło mu w gardle, lecz wymówił je tonem podniesionym, którego intencję i znaczenie dokładnie rozumiała. — Wszystkie sprawy pieniężne muszą być załatwiane przeze mnie. Właśnie po to tu jestem.

— Czy tylko po to, Will?

— Wiedziałem, że w tych sprawach będę potrzebny, i dlatego przyjechałem.

— Przyjechałeś, żeby mnie zobaczyć, bo wiedziałeś, że tego pragnę. — Była to chyba z jej strony świadoma złośliwość. Znając jego pragnienia, jakże mogła podniecać je, mówiąc o własnych? — Co się tyczy spraw pieniężnych — dodała — nie mogę mieć o nie pretensji do nikogo. Jestem pod tym względem zupełnie opuszczona. Ale nie chcę już mówić o tych sprawach.

— Czy nie powiedziałaś, że będziesz mnie uważała za brata?

— Tak, ale nie miałam na myśli, żeby stać się dla ciebie ciężarem.

— Za to ja wiem, co miałem na myśli, i to powinno wystarczyć.

Upłynęło kilka godzin od przyjazdu Beltona, zanim wspomniał o wyjeździe, i mówiąc o tym wyjaśnił, jakie są jego dalsze plany. Otóż, jak powiedział, zamierza pozostać jeszcze około tygodnia w bliskim sąsiedztwie. Klara oczywiście zaczęła prosić, by zamieszkał w Belton, w domu, który teraz stał się jego własnością. Will prosto z mostu wyjaśnił jej przyczyny swej decyzji:

— Kapitan Aylmer byłby z tego niezadowolony, a sądzę, że musisz się liczyć z tym, co mu się podoba lub nie podoba.

— Nie wiem, jakim prawem miałby być z tego niezadowolony — odparła Klara, niemniej jednak, jak gdyby uznając ten powód za słuszny, nie nalegała już, by przyjął zaproszenie. Po czym Will oznajmił, że zatrzyma się w oberży w Redicote,

usiłując w trochę niezrozumiały sposób wytłumaczyć jej, że takie załatwienie sprawy będzie bardzo właściwe. Zatrzyma się więc w Redicote i podczas pobytu w tej okolicy będzie codziennie przyjeżdżał do Belton. Wreszcie szeptem zapytał ją o szczegóły smutnej ceremonii pogrzebu, a otrzymawszy informację wyjechał, powziąwszy postanowienie, że musi zobaczyć się z pułkownikiem Askertonem.

Kilka następnych, dni Will spędził dość niewygodnie. Zamieszkał w małej gospodzie w Redicote i codziennie krążył tam i z powrotem między tą wioską i majątkiem, który obecnie stał się jego własnością. Każdego dnia spotykał się z pułkownikiem Askertonem, miłym, uprzejmym człowiekiem, który choć rad byłby pozbyć się przykrego zadania, jakie wziął na siebie, niemniej jednak chętnie oddawał różne przysługi, gdy okazywały się one potrzebne. Widując się z pułkownikiem Will ani razu nie spotkał się z jego żoną ani nie rozmawiał z nią od czasu swojej pierwszej wizyty w Belton Castle. Nadszedł dzień pogrzebu i po zakończeniu uroczystości Will powrócił z kuzynką do Belton. Nie było żadnego testamentu, który by należało odczytać. Zmarły nie sporządził go, a umierając nie posiadał nic, co mógłby komukolwiek pozostawić w spadku. Umeblowanie domu, stare zniszczone dywany i staroświeckie fotele należały do Klary. Oprócz tych mebli Klara nie posiadała nic, a ojciec jej nie miał żadnych możliwości czymkolwiek ją obdarzyć. Została na świecie samotna, bez grosza, w głębokim przekonaniu, że jej zaręczyny z Fryderykiem Aylmerem z konieczności muszą ulec zerwaniu, przy czym nie umiała zanalizować swego uczucia do kuzyna, przewidywała jednak, że to, co do niego czuje, nie pozwoli jej zamieszkać w jego domu w Norfolk lub pozostać przy nim w Belton Castle ani też oddać mu się w opiekę, jak by to uczyniła, gdyby był jej prawdziwym bratem.

Po południu tego samego dnia, kiedy ojciec jej został pochowany, Klara przyniosła Willowi list prosząc, by go przeczytał i poradził, jak ma postąpić. Dostała jednocześnie od lady Aylmer zaproszenie do Aylmer Parku oraz, jak to czytelnik może pamiętać, list od kapitana Aylmera. Pokazała kuzynowi tylko zaproszenie uważając, że byłoby niezręcznie pokazywać jednemu rywalowi list drugiego rywala. Zaproszenie swoje lady Aylmer zredagowała w sposób chłodny, natomiast w tonie apodyktycznym wyrażała przekonanie, że Klara powinna koniecznie je przyjąć. „Sądzą, że Pani nie omieszka zgodzić się ze mną, droga panno Amedroz — brzmiały jej słowa — gdyż w takich wyjątkowych i przykrych okolicznościach dom nasz jest jedynym, w którym może Pani znaleźć właściwe schronienie.”

— A dlaczego nie przytułek dla ubogich? — zapytała Klara głośno, kiedy zauważyła, że oczy Willa właśnie w tym miejscu spoczęły na stronicy.

Potrząsnął gniewnie głową, lecz nic nie odpowiedział, tylko złożył z powrotem list i oddał go jej w milczeniu.

— Więc co mam zrobić? — zapytała. — Powiedziałeś mi, że we wszystkich

sprawach powinnam zasięgać twojej rady.

— W tym wypadku musisz decydować sama.

— Więc ty mi nic nie poradzisz? Nie chcesz mi powiedzieć, czy ona ma rację?

— Tak, przypuszczam, że ma rację.

— A więc będę musiała tam pojechać?

— Jeżeli zamierzasz wyjść za mąż za kapitana Aylmera, to lepiej będzie, gdy tam pojedziesz.

— Jestem z nim zaręczona.

— W takim razie pojedź.

— Ale nie myślę poddać się jej tyranii.

— Weźcie ślub zaraz, a wtedy będziesz zależała tylko od niego. Sądzę, że jesteś na to przygotowana.

— Nie wiem. Nie znoszę tyranii.

Przez chwilę patrzył na nią w milczeniu, zanim odpowiedział:

— Ja bym cię nie tyranizował, Klaro.

— Och, Will, Will, nie mów tak! Nie psuj mi wszystkiego.

— A cóż ci mam powiedzieć?

— To, co byś powiedział, gdyby twoja siostra, twoja prawdziwa siostra, będąc w takim kłopotcie, prosiła cię o radę. Gdyby twoja siostra przyszła do ciebie i opowiedziała, jakie ma trudności, to z pewnością byłbyś jej coś poradził, a nie mówił przykrych słów, które jeszcze pogarszałyby sytuację.

— To byłoby zupełnie co innego.

— Przecież przyrzekłeś, że będziesz mi bratem.

— Skąd mogę wiedzieć, co czujesz do tego człowieka? Mam wrażenie, że na pół go nienawidzisz, na pół się go boisz, a czasem pogardzasz nim.

— Ja miałabym go nienawidzić? Nie, nie czuję nigdy do niego nienawiści.

— A więc zwróć się do kapitana Aylmera i poproś go o radę, ale nie zwracaj się z tym do mnie. — To mówiąc wybiegł z pokoju zatrzasnąc za sobą drzwi. Nim zdążył jednak zbiec ze schodów, przypomniał sobie o pogrzebie, na którym był obecny, o jej rozpaczliwym położeniu, i wrócił. — Przepraszam cię, Klaro — rzekł. — Jestem zapalczywy. Ale to szkaradnie z mojej strony, że nie potrafię w takim dniu poskramiać swojej zapalczywości. Gdybym był na twoim miejscu, przyjąłbym zaproszenie lady Aylmer i podziękował za nie w zwykły sposób. Pojechałbym tam i zorientował się w sytuacji. Taką radę mógłbym dać własnej siostrze.

— Zrobię to, choćby dlatego że ty mi tak radzisz.

— Co się zaś tyczy własnego domu, powiedz jej, że posiadasz własny dom w Belton Castle, dom, z którego nikt nie może cię usunąć i gdzie nikt nie może cię niepokoić. Ten dom należy do ciebie.

Zanim zdążyła mu odpowiedzieć, wyszedł z pokoju; słyszała tylko jego szybkie,

ciężkie kroki, gdy przechodził przez hall i wyszedł frontowymi drzwiami.

Will przeciął park i wszedł furtką do ogrodu pułkownika Askertona, Jak gdyby miał zwyczaj odwiedzać willę bawiąc w Belton. Było wiele spraw, które łączyły obu mężczyzn w związku ze śmiercią starego ziemianina i dzierżawą willi, więc powstała między nimi pewna zażyłość. Belton nie miał nic ważnego do powiedzenia pułkownikowi, z którym niedawno widział się na pogrzebie, chciał jednak pomówić z kimś, aby się nieco odprężyć przed powrotem do samotności w Redicote. Nie zastał pułkownika, a pokojówka zapytała go, czy życzy sobie zobaczyć się z panią Askerton. Gdy tłumaczył się, że nie chciałby jej fatygować, dziewczyna powiedziała mu, że jej pani pragnęłaby z nim pomówić; nie mając więc innego wyjścia, pozwolił, by go zaprowadziła do salonu.

— Chciałam pana na chwilę zobaczyć — rzekła pani Askerton skłaniając lekko głowę i nie podając mu ręki — by się dowiedzieć, jak się miewa pańska kuzynka.

— Zdaje mi się, że ma się nieźle.

— Mój mąż, który po śmierci jej ojca widywał ją częściej niż ja, mówił mi, że stratę tę przeżywa dość ciężko i że jest chyba chora.

— Nie sądzę, by była chora. Oczywiście nie jest wesoła.

— Naturalnie. Jakże mogłoby być inaczej? Ale podobno wygląda na ogromnie przygnębioną. Proszę mi wybaczyć moje pytanie, panie Belton, ale jestem do niej tak szczerze przywiązana, że ciężko mi jest nic nie wiedzieć o tym, jak się teraz ułoży jej życie. Czy w tej sprawie zostało już coś ustalone?

— Klara jedzie do Aylmer Castle.

— Do Aylmer Castle? Doprawdy? Czy zaraz?

— Już wkrótce. Lady Aylmer ją zaprosiła.

— Lady Aylmer? A więc przypuszczam...

— Co pani przypuszcza? — zapytał Belton.

— Nie spodziewałam się, że pojedzie do Aylmer Castle, choć muszę przyznać, że to najlepsza rzecz, jaką może zrobić. Zdawało mi się, że ona nie lubi Aylmerów... to znaczy, w każdym razie nie lubi lady Aylmer. Sądzę jednak, że postępuje słusznie.

— Postępuje słusznie, o ile ma ochotę tam pojechać.

— Okoliczności złożyły się dla niej tak okrutnie, prawda? Bo i dokąd mogłaby pojechać, jeżeli nie tam? Szczerze jej współczuję. Nie potrzebuję pana zapewniać, panie Belton, że powitałabym ją tu z radością, jak kwiaty w maju, ale nie śmiem jej do nas zapraszać — powiedziała to głosem przyciszonym, odwracając od niego oczy, po chwili spuściła je i znów podniosła w stronę okna, nie śmiała jednak spotkać się z jego wzrokiem.

— Nie mam co do tego zdania — powiedział niezręcznie.

— Chyba pan wie, jak bardzo ją kocham?

— Kocha ją każdy, kto ją zna.

— I pan także, panie Belton?

— Tak, kocham ją tak... jak gdyby była moją siostrą.

— A gdyby była pańską siostrą, czy pozwoliliby pan jej u nas zamieszkać?

Przez chwilę zastanowił się nad odpowiedzią, na którą cierpliwie czekała, lecz zanim zdążył to zrobić, podjęła dalej:

— Zdaję sobie sprawę, panie Belton, że pan zna całą moją historię.

— Jeżeli pani o to chodzi, to gdyby była moją siostrą, nie powiedziałbym jej o tym, natomiast powiedziałbym, gdyby była moją żoną.

— Dlaczego?

— Bo wtedy z pewnością nic złego by z tego nie wynikło.

— A więc widzę, że potrafi pan być wspaniałomyślny, panie Belton. Ale ona zna moją historię równie dobrze jak pan.

— Jeżeli ją zna, to nie ode mnie.

— I nie ode mnie. Byłabym sama jej o tym opowiedziała, gdyby kapitan Aylmer mnie nie uprzedził. A teraz proszę mi powiedzieć, czy mogłabym ją do nas zaprosić.

— Byłoby to zbyt cenne wobec tego, że Klara ma pojechać do Aylmer Castle.

— Ale ona tam jedzie tylko dlatego, że nie ma własnego domu.

— Myli się pani. Klara posiada własny dom jak inne kobiety. Belton Castle należy do niej i ona może z nim zrobić, co się jej podoba. Jeżeli zechce, może tam zamieszkać i nikt jej tego nie zabroni. Nie potrzebuje szukać schronienia w Aylmer Castle.

— To znaczy, że pan wynajmie jej cały dom?

— Ten dom należy do niej.

— Nie rozumiem, panie Belton.

— To nie ma znaczenia. Nie będziemy już o tym mówili.

— Czy pan sądzi, że ona z przyjemnością pojedzie do lady Aylmer?

— Skąd mogę wiedzieć, co ona robi z przyjemnością. Zapadło znów milczenie.

Po chwili pani Askerton raz jeszcze zabrała głos:

— Mogę panu powiedzieć tylko jedno: ona go nie lubi.

— To jej sprawa.

— Należałoby jednak pomóc jej w rozeznaniu się we własnych uczuciach, zanim nie będzie za późno. Chyba pan nie chce, żeby pańska kuzynka wyszła za mąż za człowieka niekochanego, ponieważ kiedyś zdawało się jej, że go kocha. To, co mówię, jest szczerą prawdą, panie Belton. Jeżeli ona pojedzie do Aylmer Castle, to wyjdzie za niego za mąż, a potem będzie przez całe życie nieszczęśliwa. Natomiast, gdyby się tu sprowadziła choć na kilka dni, to chyba wszystko można by jeszcze naprawić. Gdyby pan jej tak poradził, sprowadziłaby się tu natychmiast.

Odszedł powstrzymując się na razie od dania jakiegokolwiek odpowiedzi i w powrotnej drodze do Redicote przedyskutował sam ze sobą całą sprawę,



rozmyślając nad nią z nateżeniem wszystkich sił serca i umysłu. Podczas tych rozmyślań zaczął padać ulewny deszcz, zimny, przenikliwy, lutowy deszcz i ogarnęła go ciemna noc. A on brnął dalej przez gęste somersetshirskie błoto nie zdając sobie sprawy z pogody ani z otaczającej go ciemności. Oto otwierała się przed nim droga, na której nawet jeszcze teraz mógł zdobyć to, czego tak pragnął. Zrozumiał, że droga to otwarła się przed nim dzięki dyplomacji kobiety, która, jak zauważył, stała się dla niego życzliwa. Zrozumiał teraz wszystko albo zdawało mu się, że rozumiał. Dzień wyjazdu Klary do Yorkshire nie został jeszcze ustalony, a jeżeli Klara zdecyduje się wprowadzić do willi i pozostać przez pewien czas u pani Askerton, to podróż taka może w ogóle nie dojść do skutku. Rozumiał doskonale, że to byłoby dla wszystkich Aylmerów śmiertelną obrazą. Tyranię, o jakiej Klara mówiła mu z takim przerażeniem, zastosowano by z jeszcze większą bezwzględnością, co spowodowałoby ostateczne zerwanie wszelkich stosunków z tą rodziną. Gdyby jednak pojechała do Aylmer Parku, to wyjazd jej położyłby kres wszelkim jego nadziejom. Wtedy los jej zostałby przesądzony, a więc i jego los także. O ile się orientował, o ile mógł się orientować, w planie tym nie było nic nieuczciwego. Dlaczego Klara nie miałaby się przenieść do pani Askerton? Cóż bardziej naturalnego w takiej chwili? Gdyby była naprawdę jego siostrą, nie starałby się temu przeszkodzić. Jego zdaniem należało tej kobiecie przebaczyć jej błąd, a przebaczenie to winno być zupełne. Jeżeli Aylmerowie są tak nierozsądni, że z tego powodu gniewają się na Klarę, to niech się gniewają. Pani Askerton powiedziała mu, że Klara w gruncie rzeczy nie lubi kapitana Aylmera. Może to i prawda, a jeżeli prawda, to czy mógłby wyświadczyć Klarze większą przysługę niż dać jej sposobność uniknięcia tego związku?

Przez cały następny dzień pozostał w Redicote, rozmyślając nad swoimi wątpliwościami i starając się pogodzić własne pragnienia z uczciwością. Padał nieustanny deszcz, Will siedział samotnie w pozbawionej wygod oberży, palił papierosy i starał się w siebie wmówić, że zatrzymał go tu deszcz. W gruncie rzeczy jednak nie deszcz go tu zatrzymywał. Gdyby postanowił, że zrobi wszystko, by przeszkodzić temu wyjazdowi, czy też, że poprze ten plan, sądzę, że pojechałby do Belton bez względu na deszcz. Nazajutrz po pogrzebie pojechał tam, powziąwszy ostateczne postanowienie. Jego zdaniem Klara powinna była okazać lady Aylmer swoją niezależność zatrzymując się przez kilka dni u państwa Askertonów przed wyjazdem do Yorkshire oraz zawiadamiając lady Aylmer o swoim zamiarze. „Jeżeli naprawdę kocha tego człowieka — mówił do siebie — pojedzie tam natychmiast bez względu na to, co jej poradzę. Jeżeli go nie kocha, to będę mógł ją uratować.”

— Jak to nieładnie z twojej strony, żeś wczoraj nie przyjechał — rzekła Klara na przywitanie.

— Padał ulewny deszcz — odpowiedział.

— Mężczyzna tego rodzaju co ty nie zwraca uwagi na deszcz. Wychodzi, kiedy ma coś do załatwienia albo gdy czeka go jakaś przyjemność.

— Nie bądź taka surowa. Prawdę mówiąc pewne sprawy niepokoiły mnie.

— Jakie sprawy, Will? Sądziłam, że to ja mam powody do niepokoju.

— Moim zdaniem, każdy uważa, że cudza bieda ludziom śmiech.

— Z twojej biedy nikt się nie śmieje. Czasem, gdy myślę o tobie, wydaje mi się, że jesteś uosobieniem powodzenia i szczęścia.

— Ja tak bynajmniej nie uważam. Czy napisałaś do lady Aylmer?

— Tak, napisałam, jednak listu nie wysłałam. Nie chciałam go wysłać przed pokazaniem go tobie, przecież jesteś moim spowiednikiem i doradcą. Oto masz, przeczytaj. Chyba trudno byłoby go utrzymać w tonie bardziej uprzejmym i mniej uniżonym.

Belton wziął list i zaczął go czytać. Klara po prostu wyrażała zgodę na zaproszenie lady Aylmer i prosiła jej lordowską mość o oznaczenie dnia przyjazdu. List nie zawierał żadnej wzmianki o kapitanie Aylmerze.

— A więc myślisz, że tak będzie najlepiej? — zapytał. Głos jego brzmiał inaczej niż zwykle: brakowało w nim tej nuty pewności siebie, z jaką mówił nawet to, czego bynajmniej nie był pewien.

— Zdawało mi się, że tak mi właśnie poradziłeś.

— No tak, choć nie jestem tego zupełnie pewny. Nie sądzę jednak, byś mogła wyjechać wcześniej niż za tydzień.

— Tak, mniej więcej za tydzień.

— A co będziesz robiła do tego czasu?

— Co będę robiła?

Tak, gdzie będziesz mieszkała przez ten czas?

— Myślałam, że pozwolisz mi zostać tutaj.

— Czy ja pozwolę! O Boże, posłuchaj mnie, Klaro.

— Co chcesz mi powiedzieć?

— Bóg mi świadkiem, że chcę zrobić to, co jest dla ciebie najlepsze, nie myśląc o sobie... nie myśląc o sobie... o ile potrafię się na to zdobyć.

— Nigdy w ciebie nie wątpiłam, Will, i nigdy nie stracę do ciebie zaufania. Po Bogu jesteś tym, w którego najbardziej wierzę. Naprawdę.

Zanim odpowiedział, przeszedł się kilka razy po pokoju tam i z powrotem, podczas gdy ona stała przy stole i nie spuszczała z niego oczu.

— Will — zapytała — powiedz mi, co cię tak niepokoi. Gdy wciąż nie odpowiadał i w dalszym ciągu chodził po pokoju, zbliżyła się do niego i kładąc mu obie ręce na ramieniu, powiedziała:

— Tak, Will, lepiej będzie, jeśli wyjadę, prawda? Przemów do mnie i przyznaj mi rację.

Przestał chodzić po pokoju i spojrzał na nią, na jej ręce spoczywające jeszcze na

jego ramieniu. Przez kilka sekund stał bez ruchu wpatrzony w nią, aż nagle otworzył ramiona, chwycił ją w objęcia, przycisnął z całej siły do piersi i zaczął całować jej czoło, policzki, usta i oczy. Wola jego była tak władcza, siła tak wielka, a ruchy tak szybkie, że nie była w stanie uwolnić się z jego objęć, zanim sam nie rozluźnił uścisku. Nie opierała się prawie, tak ją zaskoczył i tak szybko wypuścił z objęć. Gdy jednak spojrział na nią, spostrzegł, że policzki jej płoną, a z oczu płyną łzy.

Przez chwilę stała drżąca, zaciskając dłonie, z wyrazem pogardy, jakiego na jej twarzy nigdy dotąd nie widział; potem rzuciła się na kanapę, ukryła twarz w rękach i wybuchnęła głośnym płaczem, a łkania wstrząsały całym jej ciałem. Nachylił się nad nią pełen skruchy, nie wiedząc, co ma robić ani jak do niej przemówić. Wszystkie jego plany na przyszłość rozpierchły się. Obraził ją na zawsze i ona nigdy mu tego nie przebaczy. Na cóż przydałyby mu się teraz jakiegokolwiek plany? Zdjęła go rozpacz i wyrzuty sumienia, że myślał więcej o sobie niż o niej. Przecież przed chwilą powiedziała mu, że po Bogu najwięcej wierzy jemu, a on okazał się niegodny tej wiary i stracił jej zaufanie. Nie mógł jednak opuścić jej teraz bez słowa.

— Klaro — rzekł — Klaro — lecz nie otrzymał odpowiedzi. — Klaro, czy nie chcesz mi nic powiedzieć? Czy nie pozwolisz, bym prosił cię o przebaczenie? — Ona jednak nie przestawała płakać. Co prawda należy przyznać, że w takiej chwili łatwiej jej było płakać niż odpowiedzieć. Jakże mogła mu wybaczyć tak wielką zniewagę? Jak mogła żywić do niego urazę za tak namiętą miłość?

Nie mógł jednak stać tak dłużej bez ruchu i w zupełnym milczeniu, podczas gdy ona leżała odwracając od niego twarz. Trzeba było wreszcie w jakiś sposób wyjść z tego pokoju, a jednak nawet w tej sytuacji, wobec jej bezgranicznego oburzenia nie mógł wyjść bez słowa pożegnania.

— Może wolisz, bym cię zostawił samą? — zapytał.

— Och, Will, dlaczegoś to zrobił? — rozległ się w końcu jej głos. — Dlaczego potraktowałeś mnie w ten sposób? — Gdy przed chwilą patrzył na jej twarz, usta miała skrzywione pogardą, lecz teraz w jej głosie nie wyczuwało się pogardy. — Dlaczego — powtarzała — dlaczego, dlaczego?

Chyba dlatego jedynie, by wreszcie poznała całą głębię jego namiętnej miłości.

— Klaro — wyjąkał — jeśli możesz mi przebaczyć, nigdy już nie obrażę cię więcej.

— O tak, obraziłeś mnie. Cóż mam ci powiedzieć? Co teraz zrobię? Nie mam innych przyjaciół prócz ciebie.

— Jestem nędznikiem. Wiem, że jestem nędznikiem.

— Nie przypuszczałam, że możesz być tak okrutny. Och, Will...

Zanim jednak odszedł, Klara oświadczyła, że mu przebacza, i pouczyła go w uroczystych, ale pełnych wdzięku słowach, jak niedobrze jest postępować pod

wpływem chwilowego impulsu. Jej ciche, pełne powagi słowa brzmiały w jego uszach jak niebiańska muzyka, a gdy rumieniąc się wspomniała o jego grzesznej namiętności i o tym, jakby sama ciężko zgrzeszyła pozwalając mu na nią, zapłakał jak dziecko łzami, które niewątpliwie świadczyły o jego niewinności. Tak, Klara naprawdę bardzo się na niego gniewała, sądzą jednak, że w chwili gdy skończyła prawić mu owo kazanie, kochała go bardziej niż kiedykolwiek dotychczas.

Nie było już dalej mowy o wyjeździe do Aylmer Castle ani o zaproszeniu Klary przez panią Askerton do Willi. List do lady Aylmer został wysłany i za obopólną zgodą ustalono, że Will pozostanie w Redicote do nadejścia odpowiedzi z Yorkshire i że będzie Klarze towarzyszył w podróży aż do Londynu. A gdy tego popołudnia żegnał się z nią, Klara zdobyła się na podanie mu ręki równie szczerze i nazwała go Willem nie mniej serdecznie niż dawniej. On zaś potrafił przyjąć te dowody łaskawości jako oznaki przebaczenia, którego raczyła mu udzielić, a na które oczywiście bynajmniej nie zasługiwał. Powróciwszy do Redicote przysiągł sobie, że nigdy nie pokocha innej kobiety, nie bacząc na to, że ona musi zostać żoną kapitana Aylmera.

## ROZDZIAŁ XXIII

### Ostatni dzień w Belton

Niebawem poczta przyniosła odpowiedź lady Aylmer z oznaczeniem dnia przyjazdu Klary do Yorkshire oraz list od kapitana Aylmera, w którym donosił, że spotka ją w Londynie i odwiezie do Aylmer Parku.

Sesja parlamentu trwa obecnie — pisał — więc nie będę miał dużo czasu, nie mogę jednak pozwolić, by Twoje pierwsze spotkanie z matką odbyło się w mojej nieobecności. — List więc byłby dość przyjemny, gdyby przy końcu jego nie znalazło się kilka słów przestrogi, które bynajmniej przyjemne nie były. — Droga Klaro — pisał dalej — jestem pewny, że będziesz pamiętała, ile szacunku należy się mojej matce ze względu na jej wiek, charakter i stanowisko. W naszym małżeńskim pożyciu nie będzie nam nic brakowało do szczęścia, jeżeli zdołasz pozyskać sobie jej uczucie. Dlatego moją pierwszą prośbą, z jaką się do Ciebie zwracam, jest to, byś starała się zdobyć jej uznanie.

Może w słowach tych zwróconych przez przyszłego męża do przyszłej żony nie było nic obraźliwego ani, z pewnością, nic nierozsądnego, ale Klara czytając ten ustęp listu potrząsnęła głową i tupnęła z gniewem nogą. Nic z tego nie będzie. Z pewnością czekają ją przykrości, kłopoty i rozczarowania. Myśli tej nie ujęła w słowa nawet przed samą sobą, lecz choć nie wypowiedziane, zabrzmiały one w jej uszach dość wyraźnie. Nie mogła ani nie chciała ugiąć się przed lady Aylmer i

wiedziała z góry, że ta wizyta przyniesie jej dużo przykrości.

Obawiam się, że wiele kobiet będzie miało za złe pannie Amedroz, gdy im powiem, że list ten pokazała kuzynowi. Nie wróży to dobrze przyszłemu związkowi małżeńskiemu, jeżeli młoda panna, w której zakochani są dwaj mężczyźni, decyduje się pokazać list miłosny od tego, z którym jest zaręczona, temu, któremu ręki swej odmówiła. Staję tu jednak w obronie Klary z dwóch względów. Po pierwsze listy kapitana Aylmera nie były bynajmniej listami miłosnymi, były to po prostu listy pisane w interesie. Po drugie Klara usiłowała wytłumaczyć sobie, że Willa Beltona uważa za brata, i starała się zapomnieć, że był w niej zakochany.

Tak pouczała samą siebie, lecz nie mogę powiedzieć, by łatwo jej było w to uwierzyć. Nie przyczyniła się także do tego obraza, jakiej w stosunku do niej dopuścił się Will — co zostało opisane w poprzednim rozdziale. Ale mimo wszystko zdecydowała się pokazać mu list. Gdy myślała o Willu, serce jej pełne było tkliwości, natomiast gdy czasem myślała o kapitanie Aylmerze, serce jej pozostawało zimne. Uczucie niechęci względem narzeczonego wzrastało w niej coraz silniej, gdy odczytywała jego listy i gdy przypominała sobie, że nie przyjechał, a tylko na pociechę w jej zmartwieniu przysłał jej siedemdziesiąt pięć funtów.

Jednakże miał zostać jej mężem, więc ona musi spełnić swój obowiązek. O tym, co by się stało, gdyby Will przyjechał do Belton Castle, zanim poznała Fryderyka, postanowiła z całą stanowczością nie myśleć, i oczywiście myśl ta nie przestawała się jej narzucać.

— Będziesz musiała przenocować w Londynie — powiedział Will.

— Chyba tak. Ty lepiej się w tym orientujesz. Zrobię tak, jak mi poradzisz.

— Nie dojedziesz stąd do Yorkshire w jeden dzień. Gdzie byś się chciała zatrzymać w Londynie?

— Nie wiem. Przypuszczam, że w Londynie kobiety nocują czasem w hotelu.

— No tak. Mógłbym napisać i zamówić dla ciebie pokój.

— A więc ta trudność została już usunięta — rzekła Klara.

Zdaniem Beltona trudność ta nie została bynajmniej usunięta. Kapitan Aylmer miał być tej nocy w Londynie i w umyśle Willa powstało pytanie, czy Klara powinna powiedzieć temu „przekłętemu bydlakowi” (jak go w duchu nazywał), gdzie ma zamiar przenocować, czy też wystarczy, jeśli on sam przekaże ją nazajutrz rano wrogowi na dworcu. Wszystkie te drobne komplikacje nasunęły się Willowi na myśl. Z jaką troskliwością on sam starałby się zapewnić jej wszelkie wygody w hotelu! Z jaką przyjemnością zamówiłby dla nich obojga obiad, czyniąc z tej okazji małą uroczystość! Jak chętnie krzątałby się koło niej, wyświadczając jej drobne usługi z oddaniem graniczącym niemal z tego rodzaju czcią, z jaką mężczyźni typu Beltona skłonni są w wyjątkowych okolicznościach, gdy i zwykły

tryb ich życia zostaje zakłócony, traktować wszystkie niewiasty. Gdyby był tylko kuzynem Klary, a ją uważał jedynie za kuzynkę, z jaką przyjemnością robiłby to wszystko! Lecz w obecnej sytuacji, skoro już miał się nią opiekować, powinien wywiązać się z zadania z całą cierpliwością i uprzejmością, na jaką go stać, aczkolwiek w każdej chwili pamiętał, że niebawem czeka go gorzki obowiązek oddania jej innemu. Wahał się jednak, czy ze względu na Klarę nie byłoby lepiej, by chwila ta nastąpiła wieczorem, zaraz po przyjeździe. Odwiozłby ją do Londynu i w ten sposób pomógłby jej w podróży, a potem sam oddaliłby się i ukrył.

— Czy kapitan Aylmer zawiadomił cię, gdzie macie się spotkać?

— Naturalnie, mam do niego napisać i umówić się.

— A czy przyjdzie do ciebie zaraz po twoim przyjeździe do Londynu?

— Tego nie powiedział. On musi być w Izbie Gmin i prawdopodobnie będzie zbyt zajęty, by mógł do mnie zaraz przyjść. Ale dlaczego o to pytasz? Czy chcesz tak pośpiesznie wyjechać z Londynu?

— Ależ nie.

— A może masz tam przyjaciół, z którymi chciałbyś się spotkać? Proszę, nie krepuj się moją osobą. Dam sobie radę sama.

Belton spojrział na nią z wyrzutem.

— Zastanawiałem się tylko, jak będzie dla ciebie wygodniej. Nie mam się z nikim spotkać ani dokąd pójść, ani w ogóle nic do roboty.

Zrozumiawszy, o co mu chodzi, Klara oświadczyła, że napisze do kapitana Aylmera i poprosi go, by przyszedł do nich do hotelu.

Postanowiła przed wyjazdem zobaczyć się z panią Askerton, a ponieważ przyjaciółka nie przysłała do zamku, poszła do willi w przeddzień wyjazdu, zabierając z sobą kuzyna. Od dnia kiedy pani Askerton wyjaśniła mu, w jaki sposób małżeństwo Klary z Aylmerem mogłoby nie dojść do skutku, Belton odwiedził ją raz czy dwa, ale pułkownik Askerton był zawsze w domu i dlatego na ten temat nie mówiono już więcej. Tym razem jednak pułkownika nie było w domu i Belton obawiał się, by nie padły słowa, których trudno by mu było wysłuchać.

— Więc naprawdę wyjeżdżasz? — zapytała pani Askerton.

— Tak, jutro wyruszamy w drogę — odpowiedziała Klara.

— Nie mam na myśli podróży do Londynu — rzekła pani Askerton — myślę raczej o niebezpieczeństwie i niewygodach dalszej podróży, na północ.

— Dam sobie radę. Przecież nikt mnie nie pożre.

— Istnieje tyle różnych sposobów pożarcia człowieka. Prawda, panie Belton?

— Nie znam się na sposobach pożerania ludzi, wiem jednak, że istnieje wiele sposobów dokuczania im — odpowiedział.

— Sądzę, że w Aylmer Castle będą umieli zastosować wiele takich sposobów. Nigdy nie słyszy się nic o sir Anthonym, ale lady Aylmer musi być straszną kobietą.

— Chyba potrafię postawić na swoim — rzekła Klara.

— Mam nadzieję, że potrafisz; mam nadzieję — powtórzyła pani Askerton — ale nie wiem, czy ci się to uda. Wiem jednak, co z tego wyniknie, jeśli ci się powiedzie.

— W takim razie wiesz więcej niż ja.

— I ja tak myślę. Czy pojedziesz sama do Yorkshire?

— Nie. W Londynie mam się spotkać z kapitanem Aylmerem.

Pani Askerton spojrzała na Beltona i na razie nie odpowiedziała ani nie wspomniała więcej o wyjeździe Klary. Popatrzała na Beltona, a on pochwywszy jej spojrzenie zrozumiał, że kryje się w nim nagana za to, że nie urzeczywistnił planu, jaki dla niego przygotowała; ale plan ten stał mu się nienawistny i niemal znienawidził także panią Askerton, która mu go podsunęła. Powiedział sobie, że jedynie dobro Klary powinien mieć na względzie, powiedział sobie także, że sam nie jest dość pomysłowy ani sprytny, by obmyślać plany co do jej przyszłości. Jeżeli ona kocha tego „przekłętego bydlaka”, to niech go poślubi, ale tu nasunęła mu się nowa refleksja, gdyż nie mógł się zmusić do uwierzenia, że ona go naprawdę kocha.

— Przypuszczam, że już nigdy tu nie przyjedziesz — rzekła pani Askerton po dłuższym milczeniu.

— Mam nadzieję, że będę tu częstym gościem — odpowiedziała Klara. — Dlaczego nie miałabym tu przyjeżdżać? Przecież majątek zostaje w rodzinie.

— No, niezupełnie w rodzinie, gdyż teraz majątek będzie należał do twojego kuzyna.

— A czasem kuzyni bywają zupełnie sobie obcy, prawda? Ale Will i ja nie jesteśmy tacy, prawda, Will?

— Nie wiem doprawdy, jacy my jesteśmy — odpowiedział.

— Chyba to nie znaczy, że mnie porzucisz, co? Zapewniam cię, Mary, że nie dopuszczę do tego, by mnie porzucił. Uważam go za brata i będę zawsze lgnęła do niego jak siostra do brata.

— Pewnie nie przyjedziesz tu wcześniej niż po ślubie — rzekła pani Askerton. Powiedziała te słowa z wielką przykrością, lecz zdobyła się na nie sądząc, iż czyni to dla dobra tych dwojga, dla których były przeznaczone. — Teraz jedziesz na swój ślub, prawda?

— Nic podobnego — odrzekła Klara. — Jak możesz tak mówić wobec niedawnej śmierci mojego ojca? Czy ma to być z twojej strony nagana, że w ogóle przyszedłam tutaj?

— Wiesz dobrze, że nie była to żadna nagana. Miałam na myśli tylko to, że jeżeli nie pozostaniesz w Yorkshire aż do ślubu — niezależnie od tego, kiedy ślub się odbędzie — to gdzie zamierzasz ten czas przeczekać?

— To nie zostało jeszcze ustalone.

— Jeżeli Klara zechce, będzie mogła rozporządzać domem w Belton Castle — powiedział Will. — Prócz niej nikt tu nie zamieszka. Dom jest jej własnością i zrobi z nim, co się jej będzie podobało.

— Chyba nie zechce tu być zupełnie sama.

— Lepiej mnie o to nie pytaj, moja droga — rzekła Klara odzyskując dobry humor. — Jestem oczywiście słabą, bezbronną niewiastą, narażoną na różne przykrości. Może nie mam żadnych planów na przyszłość, a jeżeli je nawet mam, to nie chcę ich rozgłaszać.

— A więc przystąpię od razu do rzeczy — rzekła pani Askerton. — Jeżeli... jeżeli będzie ci to dogadzało, to bardzo proszę, przyjedź do nas. Kwiaty w maju nie są milej widziane niż ty u nas. Trudno mi o tym wszystkim mówić, aczkolwiek oboje rozumiecie to nie gorzej niż ja sama. Wiem, że nie mogę nalegać, jakby to zrobiła każda inna kobieta.

— Możesz — powiedziała Klara stanowczo — jasne, że możesz.

— Mogę? A więc proszę cię, droga Klaro, przyjedź do nas. — Mówiąc to pani Askerton uklękła u stóp przyjaciółki. — Panie Belton, niech pan jej powie, że kiedy ją zmęczy wspaniałość Aylmer Parku, niech przyjedzie do nas.

— Nie wiem nic o wspaniałości Aylmer Parku — powiedział niespodziewanie Will.

— Ale ona będzie mogła tu przyjechać, prawda?

— Nie będzie mnie prosiła o pozwolenie — odrzekł.

— Przecież ona sama mówi, że pan jest jej bratem. Kogoż więc innego miałyby prosić o pozwolenie?

— On wie, że jest jedynym człowiekiem na świecie, którego mogłabym o to prosić — rzekła Klara.

— A więc, panie Belton, teraz musi pan powiedzieć, czy Klara może do nas przyjechać, czy nie.

— Nie powiem nic. Ona sama wie lepiej, co ma zrobić, niż gdybym ja jej doradził.

Pani Askerton nie przestając klęczeć zwróciła się do Klary.

— Słyszysz, co on mówi? A co ty mi odpowiesz? Czy przyjedziesz do nas? Oczywiście, o ile będziesz uważała ten przyjazd za dogodny dla siebie i właściwy.

— Nie chcę ci nic przyrzekać, ale nie widzę racji, dlaczego nie miałabym tego zrobić.

— Muszę się tym zadowolić. Więc dobrze, to mi wystarcza. Dla takiej kobiety jak ja to i tak dużo. — Mówiąc to podniosła się z klęczek. — A panu, panie Belton, chcę powiedzieć, że potrafię być mu wdzięczna, aczkolwiek pan nie potrafi być dla mnie uprzejmy.

— Czy kiedykolwiek byłem dla pani nieuprzejmy?

— Doprawdy nie zasługuje pan na pochwałę pod tym względem, ale ponieważ



na świecie istnieje tyle zalet cenniejszych niż uprzejmość, więc panu przebaczam. W każdym razie proszę mi wierzyć, że bardzo szczerze życzę panu jak najlepiej.

Po tych słowach Klara wstała, by się pożegnać, a demonstracyjna wymiana uścisków między dwiema kobietami zdołała załagodzić kłopotliwy nastrój poprzedniej rozmowy.

— Niech Bóg ma cię w swojej opiece, najdroższa moja — rzekła pani Askerton.

— Czy mogę do ciebie pisywać?

— Naturalnie — odrzekła Klara.

— A ty będziesz mi odpowiadała?

— Oczywiście. Musisz mnie zawiadamiać o wszystkim, co się tutaj dzieje. A szczególnie donosić mi, jak się miewa Bessy. Nie wolno jej nikomu sprzedać, prawda, Will? — Bessy była krową, którą Klara otrzymała w podarunku od kuzyna.

— Nie będzie sprzedana, jeśli chcesz ją zatrzymać.

— Będę do niej chodziła i sama ją doglądała — powiedziała pani Askerton — a czasem nad jej rogami odmówię krótką modlitwę, żeby stało się coś, czego bardzo pragnę. Do widzenia, panie Belton, może pan być nieuprzejmy, jeśli tak się panu podoba, mnie to nie sprawia różnicy.

Wyszedszy od pani Askerton Klara i Will nie od razu powrócili do domu, ale okrążywszy park i zarośla dotarli do skał, gdzie niegdyś rozegrała się między nimi owa pamiętna scena. Podczas spaceru zamienili niewiele słów ani nie umawiali się, którą ścieżką pójść. Oboje świadomi byli ogarniającej ich melancholii i czuli, że milczenie wymowniejsze jest od słów. Gdy doszli do skał, Belton usiadł i poprosił Klarę, by zechciała zatrzymać się tu na chwilę.

— Nie przypuszczam — powiedział — bym kiedykolwiek miał tu jeszcze przyjść.

— Jesteś równie niedobry jak pani Askerton — zauważyła Klara.

— Nie przypuszczam, bym kiedykolwiek miał tu jeszcze przyjść — powtórzył Will uroczystym tonem. — W każdym razie nie przyjdę z własnej woli. Chyba że...

— Chyba że co?

— Chyba że albo będziesz moją żoną, albo mi przyrzekniesz, że nią zostaniesz.

— Och, Will, przecież wiesz, że to niemożliwe.

— W takim razie jest niemożliwe, bym tu jeszcze kiedy przyszedł.

— Przecież wiesz, że jestem zaręczona z innym.

— Wiem oczywiście i nie żądam, byś te zaręczyny zerwała. Chcę ci po prostu powiedzieć, że kocham cię nie mniej niż wtedy, gdy jeszcze nie byłaś zaręczona. Mam prawo powiedzieć ci prawdę. — Jak gdyby nie znała prawdy, zanim jej to teraz powiedział! — Tutaj powiedziałem ci po raz pierwszy, że cię kocham, i na tym samym miejscu powtarzam teraz, że cię kocham, i nigdy już tu nie powrócę, jeżeli nie będę mógł powtarzać ci tego ciągle i stale. To wszystko. A teraz możemy

stąd odejść. — Kiedy jednak wstał, Klara usiadła, jak gdyby niechętnie rozstawiała się z tym miejscem. Była jeszcze zima, skała była mokra od kropel ściekających z drzew, wszystko wokół przesiąkło wilgocią, a w płytkich kamiennych zagłębieniach utworzyły się drobne kałuże wody. Klara usiadła i nie przemówiła słowa i Will musiał zaczekać, aż będzie gotowa pójść dalej.

— Jest zbyt zimno, byś mogła tu siedzieć — powiedział.

— Chodź, Klaro, nie chcę zatrzymywać cię tu dłużej. Jest zimno i wilgotno.

— Mnie nie jest zimniej niż tobie.

— Ale ty nie jesteś do takiej pogody przyzwyczajona tak jak ja.

— Will — rzekła — nie powinieneś nigdy mówić do mnie tak jak przed chwilą.

Przyrzeknij mi, że to się więcej nie powtórzy.

— W tego rodzaju sprawie wszelkie przyrzeczenia bywają daremne.

— Ależ to niemal powtórzenie tego, coś wówczas zrobił, chociaż oczywiście tamto było gorsze.

— Cokolwiek robię, jest zawsze złe.

— Nie, Will. Nie, mój drogi. Prawie wszystko, co robisz, jest dobre, ale na cóż się nam przyda myślenie o tym, co się nie może stać. Czy nie możesz mnie uważać za siostrę? Tylko za siostrę?

— Nie, nie mogę.

— W takim razie nie powinniśmy przebywać razem.

— Nie wiem, co powinniśmy, a czego nie powinniśmy. Zadajesz mi pytanie, a chyba nie chciałabyś, bym ci odpowiedział kłamstwem.

— Oczywiście, że tego nie chcę.

— I dlatego mówię ci prawdę. Kocham cię. Kocham cię taką miłością, jaką mężczyzna zwykle czuje do wybranej dziewczyny i, o ile znam siebie, nigdy nie zaznam szczęścia, jeżeli nie będziesz moją żoną.

— Och, Will, jakże to się może stać, skoro jestem zaręczona z innym?

— Twoje zaręczyny nic mnie nie obchodzą. Czy on cię kocha tak, jak ja cię kocham? Jeżeli cię naprawdę kocha, to dlaczego tu nie przyjechał? Jeżeli cię kocha, to dlaczego pozwala, by jego matka traktowała cię z takim lekceważeniem? Jeżeli kocha cię tak, jak ja cię kocham, to dlaczego pisuje do ciebie w ten sposób? Czy ja napisałbym do ciebie podobny list? Czy zostawiłbym tu ciebie samotną, bez pomocy i pozwolił, by kto inny opiekował się tobą? Gdybyś zgodziła się zostać moją żoną, czy patrzyłbym obojętnie na twoją samotność i smutek? A wreszcie czy przysłałbym ci na pociechę siedemdziesiąt pięć funtów? Słuchaj, Klaro, jeżeli jemu się zdaje, że cię kocha...

— Uważał, że przysyłając mi te pieniądze postępuje słusznie.

— Ale nie powinien był uważać tego za słuszne. No, mniejsza z tym. Nie chcę go oskarżać, wiem jednak i ty wiesz, że on cię nie kocha jak ja.

— Cóż mogę ci na to odpowiedzieć?

— Powiedz, że zdecydujesz się dopiero po zobaczeniu się z nim. Powiedz, że mogę mieć nadzieję, że pozostawiasz mi pewną szansę; jeżeli on będzie dla ciebie chłodny i twardy, i... i... i taki, jakim wiemy, że jest naprawdę, to będę miał szansę.

— Jak ja ci mogę to powiedzieć, skoro jestem z nim zaręczona? Nie rozumiesz, że nie powinnam słuchać, kiedy o nim mówisz w podobny sposób?

— Jakże inaczej mogę o nim mówić? Słuchaj, Klaro, czy ty go kochasz?

— Tak... kocham go.

— Nie wierzę ci.

— Ależ, Will...

— Nie wierzę. Nic na świecie nie skłoni mnie do uwierzenia w to. To niemożliwe. Niemożliwe!

— Czy chcesz mnie obrazić, Will?

— Nie, nie chcę cię obrazić, chcę ci tylko powiedzieć prawdę. Widzę, że nie kochasz go tak, jak powinnaś kochać mężczyznę, który ma zostać twoim mężem. Powiedziałbym ci to samo, gdybym był naprawdę twoim bratem. Oczywiście nie przypuszczam, byś kochała kogo innego... na przykład mnie. Nie jestem do tego stopnia wariatem. Uważam jednak, że go nie kochasz, a to pewne, że i on ciebie nie kocha. Jestem przekonany, że tak jest istotnie, a skoro jestem przekonany, to jakże mogłem ci tego nie powiedzieć?

— Nie masz prawa być tego pewnym.

— Nic na to nie poradzę. Ale mniejsza o to. Nie pozwolę ci tu dłużej siedzieć. W każdym razie chyba teraz zrozumiałaś, dlaczego nigdy już tutaj nie przyjdę.

Klara posłusznie wstała, czując, że i ona również nigdy tego miejsca nie zobaczy. Nigdy! Chyba że... istotnie...

Wieczór spędzili razem nie wspominając jednak nic o scenie na skałach ani nie czyniąc żadnych aluzji do swoich trosk. Chociaż Klara nie zgodziła się z twierdzeniem pani Askerton, gdy ta jej przepowiadała, że nigdy już nie zobaczy Belton Castle, zdawała sobie jednak sprawę, że prawdopodobnie tak się stanie. Nie miała już żadnych praw do tego majątku, a to, co zaszło między nią i kuzynem, budziło w niej przekonanie, że okoliczności nigdy się tak nie złożą, by mogła tu kiedykolwiek zamieszkać. Było również mało prawdopodobne, by mogła przyjechać do pani Askerton. Gdyby lady Aylmer była mądra — myślała Klara — to w Aylmer Parka nie wspomniano by ani razu o pani Askerton, a ona nie obraziłaby przyszłego męża proponując, że odwiedzi kobietę, którą potępiał; gdyby zaś lady Aylmer okazała się tak niemądra, że pozwoliłaby sobie strofować Klarę za jej przyjaźń, to w tym wypadku odwiedzenie pani Askerton stałoby się możliwe.

Klara postanowiła opuścić dom, w którym się urodziła i spędziła tyle radosnych i smutnych chwil, jak gdyby nie miała go już nigdy zobaczyć. Spakowała wszystkie swoje rzeczy aż do ostatniej kartki starego listu, który utknął w szufladzie jej biurka; następnie ze świecą w ręku obeszła cały dom, jak gdyby chcąc sprawdzić,

czy czego nie zapomniała, a naprawdę serdecznie żegnając się z każdym, tak dobrze znanym jej kątem. Gdy wreszcie zeszła na dół, by podać smutnemu kuzynowi filiżankę herbaty, oświadczyła, że wszystko już zostało zrobione.

— Will — zwróciła się do kuzyna — teraz możesz już przystąpić do pracy i zrobić z tej starej siedziby, co ci się będzie podobało. Moje panowanie się skończyło.

— Niezupełnie — rzekł. Nie mówił już tego tonem zrozpaczonego kochanka. Dokoła ust jego igrał uśmiech, a głos brzmiał wesoło.

— Owszem, zupełnie. Od tej chwili zrzekam się mego królestwa; a bardzo to nędzne i zrujnowane królestwo.

— Łatwo ci tak mówić.

— I łatwo mi przychodzi to zrobić. Najwięcej cieszy mnie wyjazd do Aylmer Parku ze względu na to, że umożliwia mi zrobienie natychmiast czegoś, co w innym wypadku odłożyłabym na później, aż byłoby to dla mnie jeszcze bardziej przykre. Panie Belton, oto klucz od piwnicy, który dla mężczyzny jest symbolem objęcia w posiadanie domu. Nie radzę ci spodziewać się, że znajdziesz tam coś ciekawego.

Wziął od niej klucz i bez słowa cisnął go przez cały pokój na starą kanapę.

— Jeżeli nie chcesz go wziąć, to dołącz go chociaż do pęku innych kluczy — powiedziała.

— A ja myślę, że będziesz wiedziała, gdzie go szukać, kiedy będzie ci potrzebny.

— Nie będzie mi nigdy potrzebny.

— Wobec tego równie dobrze może leżeć tam jak gdziekolwiek indziej.

— Ale ty nie będziesz pamiętał, gdzie on jest.

— Nie sądzę, by mi to kiedykolwiek było potrzebne. — Po chwili milczenia ciągnął dalej: — Jak ci już mówiłem, nie zamierzam objąć majątku w posiadanie. Nie uważam go bynajmniej za swoją własność.

— Więc do kogo należy?

— Do ciebie.

— Nie, mój drogi, tak nie jest, i ty o tym dobrze wiesz.

— Postanowiłem, że tak będzie, i dlatego powinnaś chować klucze w taki sposób, abyś wiedziała, gdzie je znaleźć.

Po jego odejściu wzięła klucz i przywiązała go do pęku innych, zamierzając oddać je starej służącej, która miała zostać na miejscu i zaopiekować się domem. Po chwili zastanowienia odwiązała go od innych i położyła na kanapę w tym samym miejscu, gdzie go Will rzucił.

Nazajutrz rano oboje wyruszyli w drogę. Tym razem stara klacz z Redicote okazała się niepotrzebna, gdyż Belton zamówił w Taunton parę koni pocztowych i wygodną karecię.

— Jaka szkoda — rzekła Klara — że gdy wyjeżdżam stąd po raz ostatni, nie

odwozi mnie Jerry i jego stary siwek.

Jerry odwoził ją kiedyś do Taunton, a jego stara szkapa upadła na drodze przewracając karetkę z Klarą.

— Ale Jerry nie mógłby zabrać ciebie, mnie i wszystkich bagaży — odrzekł Will.

— Biedny Jerry! — westchnęła Klara. — A jednak uważam, że wyjeżdżając stąd bez niego wyrządzam mu krzywdę.

Przed domem zebrało się kilkoro służby, od dawna przywiązanej do jej rodziny, i każdego z nich Klara pożegnała serdecznym uściskiem dłoni. W ich mniemaniu odjazd jej zdawał się ostateczny. Istotnie był chyba ostateczny, a ona sama zeszłej nocy utwierdziła się w tym przekonaniu. Gdy mieli wyruszyć, przed domem zjawili się oboje państwo Askerton.

— Mój mąż chciał koniecznie złożyć ci przed wyjazdem życzenia szczęśliwej podróży — rzekła pani Askerton.

— Jestem rada, że mogę jeszcze zamienić z panem uścisk dłoni — odpowiedziała Klara.

Gdy pułkownik zaczął rozmawiać z Klarą, jego żonie udało się na chwilę odwołać na stronę Beltona i oboje stanęli za kareta.

— Niech się jej pan nie wyrzeka — powiedziała gorąco.

— Jeżeli okaże się pan wytrwały, zdobędzie pan Klarę.

— Obawiam się, że to niemożliwe — odpowiedział.

— Proszę być mężczyzną — mówiła dalej, ściskając go mocno za rękę. — Jeżeli pan nie ustąpi, przez całe życie będzie mi pan wdzięczny za tę radę.

Will nie znalazł słowa odpowiedzi, lecz pomyślał sobie, że nie wyrzeknie się Klary nigdy. Dał przecież dowody, że się jej nie wyrzekł.

W końcu wyruszyli w drogę i wkrótce pozostawili Belton Castle za sobą, a Will spojrzawszy na Klarę spostrzegł, że oczy jej napęłniły się łzami, więc powstrzymał się od rozmowy. Gdy mijali ceglany, brzydki budynek plebanii. Klara na chwilę przysunęła twarz do okna i natychmiast się cofnęła.

— Nikomu — rzekła — nie zależy tam na zobaczeniu mnie. Spędziłam tu całe życie, czy to nie dziwne, że tak mało osób mnie żegna?

— Ludzie nie lubią narzucać się w takich chwilach — zauważył Will.

— Ludzie! Jacy ludzie? Nie było dotąd na świecie człowieka, o którego by ludzie mniej dbali niż o mnie. A teraz... Ale mniejsza o to. Postanowiłam dać sobie radę, i dam sobie radę.

Belton nie chciał wykorzystywać tej smutnej chwili dla własnych celów, więc niemal w milczeniu dojechali do stacji w Taunton.

Naturalnie musieli czekać na pociąg z pół godziny, a czekanie to naturalnie było bardzo nudne. Dla Willa było szczególnie nudne, gdyż z natury nie lubił czekać. Klarze, która siedziała spokojnie w poczekalni, ze stopami opartymi o kratę

kominka, czekanie nie wydawało się tak uciążliwe.

— Woźnica twierdził, że przejazd musi trwać dwie godziny, choć zapewniałem go, że półtorej godziny wystarczy — narzekał Will.

— Ale mógł się nam zdarzyć jakiś wypadek.

— Wypadek? Jaki wypadek? Wypadki nie zdarzają się codziennie.

Wreszcie nadjechał pociąg i wyruszyli w dalszą drogę. Aczkolwiek Klara miała przy sobie swego najlepszego przyjaciela — powiedziałbym nawet przyjaciela, którego najbardziej kochała — podróż ta nie była dla niej przyjemna. Belton milczał, a ponieważ nie próbował zająć się czytaniem, Klara nie chciała korzystać z książki, którą wiozła w torbie podróżnej. Will siedział naprzeciw niej, otwierał lub zamykał okno, kiedy mu się zdawało, że ona sobie tego życzy, i miał minę smutną i strapioną. W Swindon nieco się ożywił, przynosząc jej coś do jedzenia, ale odprężenie to trwało zaledwie kilka minut, po czym nadal milczał aż do chwili, kiedy minęli stację Slough, i zorientował się, że za pół godziny staną w Londynie. Wtedy nachylił się do Klary i zaczął mówić:

— Jest to prawdopodobnie ostatnia sposobność, kiedy będę mógł ci coś powiedzieć... na osobności.

— Nie przypuszczam, aby to miała być ostatnia sposobność.

— W każdym razie nieprędko nam się ona nadarzy, a ponieważ mam ci coś do powiedzenia, powiem ci to teraz. Dużo myślałem o tym majątku, mam na myśli Belton, i bynajmniej nie zamierzam objąć go w posiadanie.

— Ależ to czysty nonsens, Will! Musisz to zrobić. Majątek jest twoją własnością i nie może należeć do nikogo innego.

— Zastanawiałem się nad tym gruntownie i przyszedłem do przekonania, że cała ta sprawa dziedziczenia jest od początku do końca niesprawiedliwa. Chciałbym cię zapewnić, że moje szczególne względy dla ciebie nie mają tu żadnego wpływu. Zrobiłbym to samo, nawet gdybym cię nienawidził.

— Ach, Will, nie chcę, żebyś mnie nienawidził!

— Chyba mnie zrozumiałeś! Uważam, że ta klauzula o dziedziczeniu jest niesłuszna, i nie zamierzam z niej korzystać. Nie ma żadnej racji, żebym ja wszystko dziedziczył na skutek nieszczęścia biednego Charleya.

— Zdaje mi się jednak, że to nie zależy od ciebie ani ode mnie, ani od nikogo. Prawnie majątek należy do ciebie, i ty dobrze o tym wiesz.

— I dlatego nie wystarczy się go zrzec, jeżeli jednocześnie nie przekażę go tobie zgodnie z prawem, co właśnie zamierzam przeprowadzić. Przez jutrzejszy dzień pozostanę w mieście i dam Greenowi odpowiednie instrukcje. Uważałem za właściwe powiedzieć ci to teraz, abyś mogła wspomnieć o tym kapitanowi Aylmerowi.

Siedzieli w wagonie nachyleni ku sobie, Klara miała twarz lekko odwróconą, ale w tej chwili podniosła wolno oczy, aż spotkały się z jego oczami, i spojrzawszy w

ich głębie, wyczytała w nich tyle miłości, bólu i wielkiej szlachetności, że serce jej napełniło się tkliwością. Stopniowo, gdy do oczu jej napływały łzy — a napływały mimo wysiłku, by je powstrzymać — odwróciła znów twarz do okna.

— Nie mogę teraz przemówić słowa — rzekła. — Doprawdy nie jestem w stanie.

— Nie trzeba, byśmy o tym więcej mówili — odpowiedział.

I nie rozmawiali już więcej na ten temat ani na żaden inny aż do chwili, gdy zabrano im bilety i pociąg ruszył dalej. Dopiero wówczas Will odezwał się znowu.

— Kochanie, powiedz o tym kapitanowi Aylmerowi.

— Powtórzę mu to, coś mi powiedział, po prostu dlatego, żeby wiedział, jaki jesteś szlachetny. Oczywiście zgodzi się ze mną, że taka propozycja jest nie do przyjęcia. O tym nie może być absolutnie, absolutnie żadnej mowy.

— Raczej powiedz mu tylko o tym nie dodając nic od siebie albo poproś go, by zobaczył się pojutrze z Greenem. On się zna na interesach i będzie wiedział, że skoro ja sobie tego życzę, to taki układ musi być załatwiony. Jesteśmy już na miejscu. Bagażowy, proszę nam sprowadzić czterokołową dorożkę. Idź za nim, Klara, a ja dopilnuję bagaży.

Wsiadając do dorożki Klara uświadomiła sobie, że powinna była bardziej stanowczo sprzeciwić się tej propozycji. Pomyślała jednak, że byłoby może lepiej napisać do niego z Aylmer Parku i poprosić Fryderyka, by również napisał.

## ROZDZIAŁ XXIV

### Hotel Dworcowy

Przed drzwiami Hotelu Dworcowego spotkali kapitana Aylmera. Zamówiono pokoje w tym hotelu, gdyż wczesnym rankiem mieli wyjechać z pobliskiego dworca. Kapitan Aylmer zajął się zamówieniem obiadu. W spotkaniu tym nie było nic szczególnego, co by mogło naszemu przyjacielowi sprawić przykrość. W hotelowym hallu szczęśliwy rywal nie mógł inaczej przywitać przyszłej oblubienicy jak przez podanie jej ręki, tak jakby się witał z każdą inną panią, po czym poradził jej, by obejrzała przeznaczony dla niej pokój. Przywitawszy się z Klarą wyciągnął rękę do Beltona, a Will, choć raczej wolałby, by mu rękę ucięto, był zmuszony podać mu swoją. Po chwili dwaj mężczyźni zostali w salonie sami.

— Zapewne w drodze zmarzli państwo — rzekł kapitan.

— Nie bardzo — odpowiedział Will.

— Podróż z Belton trwa jednak długo.

— Nie bardzo długo — odparł Will.

— Może nie dla pana, ale panna Amedroz musi być bardzo zmęczona.

Belton rozgniewał się, że kapitan nazywa jego kuzynkę panną Amedroz, czując,

że ta powściągliwość miała na celu zachowanie między nimi pewnego dystansu; byłby się jednak tak samo rozgniewał, gdyby Aylmer nazwał ją Klarą.

— Moja kuzynka — oświadczył zdecydowanie Will — znosi bez trudu tego rodzaju lekkie zmęczenie.

— Nie przypuszczam wcale, by miała je znosić z trudem, ale podróże zawsze bywają nudne, szczególnie jeżeli dużą część drogi odbywa się końmi. Zdaje mi się, że do stacji kolejowej jest tam ze dwadzieścia mil.

— Belton Castle jest oddalone od Taunton nieco ponad dwadzieścia mil.

— W Aylmer Parku mamy do stacji kolejowej tylko siedem mil, a i to wydaje mi się bardzo dużo.

— Plaistow jest nieco bardziej oddalone od stacji.

— Doprawdy? O ile wiem, Plaistow leży gdzieś w Norfolk.

— Tak. Plaistow leży w Norfolk.

— Sądzę, że teraz przeniesie się pan stamtąd do Somersetshire — powiedział kapitan Aylmer.

— Ależ bynajmniej. Po cóż miałbym się stamtąd przenosić?

— Przypuszczałem, że może... ponieważ obecnie Belton Castle należy do pana.

— Plaistow Hall należy do mnie bardziej niż Belton Castle. O ile to ma jakieś znaczenie, choć właściwie nie ma żadnego. — Powiedział to tonem zirytowanym, ale zdał sobie z tego sprawę i próbował poprawić sytuację. — W Plaistow mam tak dużo bydląt i w ogóle różnych spraw, że nie mógłbym stamtąd wyjechać, nawet gdybym sobie tego życzył.

— Pan zapewne dużo poluje? — zapytał Aylmer.

— Jeżeli chodzi o kuropatwy, to pod tym względem mógłbym z powodzeniem konkurować z każdym innym majątkiem tej wielkości w jakim bądź hrabstwie.

— Niestety, sam jestem człowiekiem zbyt zajęтым, bym miał polować na kuropatwy. W naszych stronach polujemy raczej na bażanty.

— Przypuszczam.

— Oczywiście pan jako mieszkaniec hrabstwa Norfolk żywo interesuje się polowaniem na ptactwo.

— Musimy zadowolić się tym, co mamy, prawda? Uważam jednak, że mamy w Norfolk pogłowie zwierzyny większe niż w innych hrabstwach Anglii.

— Ale polowania u was są raczej marne.

— Marne? Dlaczego miałyby być marne?

— Macie przecież wielu przeciwników ochrony lisów.

— Posłuchaj mnie pan, kapitanie Aylmer, nie wiem, w jakim towarzystwie pan zwykł polować, ale założę się z panem o pięć funtów, że polując trzy razy na tydzień ustrzeliliśmy więcej lisów niż wy. Dwadzieścia dziewięć i pół pary lisów w krótkim sezonie! Czyż to można nazwać marnym wynikiem?

Kapitan Aylmer spostrzegł, że jego rozmówca staje się coraz bardziej



rozdrażniony, i powstrzymał się od dalszych aluzji co do zalet lub braków hrabstwa Norfolk, a nie znajdując w tej chwili innego tematu do rozmowy, usiadł i wziął do ręki gazetę. Belton wziął inną gazetę i tak przesiadeli do powrotu Klary. Że kapitan Aylmer naprawdę przeczytał swoją gazetę, jest dość możliwe. Nie był człowiekiem dającym się łatwo wyprowadzić i równowagi, a w obecnej sytuacji nie było nic takiego, co mogłoby go z tej równowagi wyprowadzić. Natomiast jestem pewny, że Will Belton nie przeczytał ani jednego słowa. Był zły na rywala, którego nienawidził, i na samego siebie za to, że się nie mógł od gniewu powstrzymać. Chciał przedstawić się jak najkorzystniej rywalowi, a raczej Klarze w jego obecności. Tymczasem pod nieobecność Klary zachował się jak wariat i teraz nie zdoła już odzyskać straconego prestiżu. Zastanawiał się poważnie, czy nie zrobiłby lepiej, gdyby wstał z krzesła i spuścił kapitanowi porządne lanie. „Przyskoczyć do niego i dać mu w łeb” — jakby to sformułował. Taki rękoczyn byłby mu na chwilę sprawił olbrzymią ulgę, za to rezultat ostateczny okazałby się niewątpliwie katastrofalny. Ale, o ile mógł przewidzieć, wszystko w ostatecznym wyniku skończy się dla niego katastrofą. Tak myślał zerkając spod gazety na kapitana i mówiąc sobie, że podobny wyczyn byłby zbyt łatwy, by go naprawdę zadowolić, gdy do salonu powróciła Klara. Wtedy, działając pod wpływem chwili, wstał nagle i zaczął się z nią żegnać.

— Ależ, Will — rzekła — przecież miałeś z nami zostać na obiedzie.

— Chyba nie zostanę — odpowiedział.

— Obiecałeś mi, że zostaniesz. Sam mówiłeś, że dzisiejszy wieczór masz wolny.

— Klara zwróciła się do kapitana Aylmera. — Czy liczyłeś, że mój kuzyn zje z nami obiad?

— Zamówiłem obiad na trzy osoby — odpowiedział.

— A więc dobrze, wszystko mi jedno — zgodził się Will.

— I mnie również — oświadczył kapitan Aylmer.

— Ale mnie nie jest wszystko jedno — rzekła Klara.

— Nie wiem, kiedy będę mogła zobaczyć się znów z kuzynem. Byłoby brzydko z twojej strony, Will, gdybyś nie spędził z nami tego wieczoru.

— Wyjdę tylko na pół godziny — powiedział — i wrócę na obiad.

— Jemy obiad o siódmej — rzekł kapitan.

Belton wziął kapelusz i wyszedł zostawiając narzeczonych samych.

— Mam wrażenie, że twój kuzyn jest trochę zgryźliwym dżentelmenem.

Były to pierwsze słowa, jakie kapitan wymówił znalazłszy się sam na sam z panią swego serca. Nie okazał jej swego uczucia w sposób zwykle stosowany przez zakochanych narzeczonych. Nie próbował jej pocałować ani sięgnąć po jej dłoń, by ją gorąco uściskać. Prawdopodobnie byłby sobie na to pozwolił, gdyby spotkanie z Klarą odbyło się w okolicznościach bardziej sprzyjających takiej demonstracji uczuć, teraz jednak rozdrażnił go nieco brak wychowania Willa Beltona i może

zapomniał, że przysługują mu przywileje narzeczeństwa.

Nie wiem, czy w tej chwili przez myśl Klary nie przemknęło wspomnienie o wielkim przestępstwie, jakiego dopuścił się Will w salonie Belton Castle. Myślała o tym bardzo często, więc jest możliwe, że przypomniała je sobie i teraz.

— Nie uważam, Fryderyku, że Will jest zgryźliwy — rzekła Klara. — Może był po prostu w złym humorze.

— Ale dlaczego okazywał zły humor wobec mnie? Wspomniałem mu tylko, że byłoby mu wygodniej zamieszkać w Belton Castle niż w tej jego farmie, w Norfolk.

— Zdaje mi się, że on jest bardzo przywiązany do Plaistow.

— Ale to żaden powód, żeby miał być dla mnie opryskliwy. Nie zazdroszczę mu jego gustu, to wszystko. Jeżeli on nie rozumie, że nosząc takie nazwisko powinien osiedlić się w rodzinnym majątku, nie potrafię otworzyć mu na to oczu.

— Widzisz, Fryderyku, jego pogląd na sprawę majątku Belton jest cokolwiek romantyczny.

— Jak to romantyczny?

— On uważa, że majątek nie powinien należeć do niego.

— A więc do kogo? Do kogo innego miałby należeć?

— I tak nic z tego nie będzie, to przecież oczywisty nonsens.

— Ale kto, jego zdaniem, powinien zostać właścicielem?

— On uważa, że... że majątek powinien należeć do mnie. Oczywiście to nonsens, wiemy o tym oboje.

Nie wydaje się jasne, czy w tej chwili Fryderyk zorientował się dokładnie, o co tu chodzi. Gdy Klara oznajmia mu tę nowinę, na twarzy jego odmalował się wyraz dziwienia i powątpiewania, jak gdyby nie zrozumiał zagadnienia, które przed nim postawiono, jak gdyby musiał najpierw zastanowić się, przemyśleć tę sprawę, aby móc wyrazić swoje zdanie. Mogło w tym być coś, jakiś ukryty, sens, którego kobiecy umysł Klary nie zdołał należycie ogarnąć.

— Nie wiem właściwie, jaka była treść ślubnej intercyzy twoich rodziców — zauważył.

Tu Klara zaczęła mu tłumaczyć coraz goręcej, że intercyza sporządzona została w sposób należyty, a kwestia dziedziczenia załatwiona legalnie i że w ogóle o całej tej sprawie nie ma co mówić. Kuzyn Will to romantyk, i na tym koniec. Jest oczywiste, najzupełniej oczywiste, że cały ten romantyzm nie doprowadzi do niczego, a ona teraz wspomina o tym jedynie dlatego, by wyjaśnić, czemu kuzyn zdenerwował się, gdy poruszono temat jego przyszłej siedziby.

— Zgadzam się z tobą — dodała — że byłoby właściwiej, gdyby zamieszkał w naszym starym rodzinnym gnieździe, ale na razie nie chcę już o tym mówić.

— Jeżeli on nie myśli pretendować do własności majątku Belton, to całkiem inna sprawa — zauważył Aylmer.

— Majątek bez żadnego pretendowania do własności należy już do niego.

— Niebawem wszystko to zostanie ustalone — rzekł Aylmer.

— Wszystko już jest ustalone — odpowiedziała Klara.

O siódmej cała trójka zebrała się ponownie, a gdy podano do stołu, powstało kłopotliwe pytanie, który z panów powinien zająć się dzieleniem ryby. Klara rozstrzygnęła kwestię prosząc kuzyna, by się tego podjął. Bez wątpienia kapitan Aylmer z pewnością rozdzielałby kotlety baranie i z większą wprawą potrafiłby pokrajać pieczoną kurę, ale Klarze zależało na tym, by kuzynowi dać jakieś zajęcie, więc Will musiał się wziąć do roboty. Podczas obiadu kapitan Aylmer silił się na uprzejmość, a Klara starała się naprowadzić rozmowę na łatwe tematy. Will również zdobywał się z wysiłkiem na wtrącenie od czasu do czasu jakiegoś słowa i hamował się, by nie urazić czymś rywala, lecz wysiłek był widoczny i podczas całego obiadu wyczuwało się, że ten nieopanowany człowiek skoczyłby chętnie do gardła opanowanemu.

— Zapewne panowie oczekujecie, żebym się teraz na chwilę oddaliła — zaproponowała Klara, wypiwszy swój kieliszek wina.

— Ależ nie — odparł kapitan — dostaniemy jeszcze czarnej kawy, o ile pan Belton lubi kawę.

— Wszystko mi jedno — mruknął Will.

— A może panowie napiją się jeszcze wina? — zapytała Klara.

— Ja dziękuję — rzekł kapitan Aylmer. — A może pan Belton...

— Kto? Ja? Nie będę już więcej pił wina — powiedział Will. Zapadło milczenie.

Dla Klary była to przykra chwila. Niebawem podano kawę i to odprężyło nieco sytuację. Chociaż nikt nie potrzebował nalewać kawy ani nie miał żadnego związanego z tym zajęcia, samo rozstawianie filiżanek wносиło pewne urozmaicenie.

— Gdyby który z panów chciał zapalić, nie mam nic przeciwko temu — oznajmiła Klara.

Lecz okazało się, że żaden z panów nie chciał palić.

— O której godzinie przyjedziemy jutro do Aylmer Parku? — zapytała Klara.

— O pół do piątej — odpowiedział kapitan.

— Doprawdy, już tak wcześnie? — O czym miałyby jeszcze mówić?

Will, który nie dotknął kawy i siedział sztywno przy stole, jak gdyby z urzędu obowiązany był do trwania w bezruchu, stawał się z każdą chwilą bardziej ponury. Klara niemal żałowała, że go prosiła, żeby pozostał z nimi na obiedzie. To prawda, że wzajemne obcowanie nie sprawiało przyjemności ani im, ani jemu.

— Czy przed powrotem do Plaistow długo jeszcze zostaniesz w mieście? — zapytała kuzyna.

— Jeden dzień — odpowiedział.

— Proszę, byś przekazał Mary moje serdeczne, jak najbardziej serdeczne

pozdrowienia. Gorąco pragnęłabym ją poznać. Spodziewam się, że wkrótce to nastąpi.

— Nigdy jej nie poznasz — odparł Belton głosem tak pełnym irytacji, że Aylmer obrócił się na krześle i spojrzał na niego, a Klara nie śmiała nic odpowiedzieć. Will, zmuszony do mówienia, ciągnął dalej: — Jakże mogłabyś kiedykolwiek ją poznać? Ty nigdy nie przyjedziesz do Norfolk, a ona nigdy z Norfolk nie wyjedzie.

— Nie widzę powodu, dlaczego oba twoje twierdzenia miałyby być słuszne.

— A jednak są słuszne. Gdybyś naprawdę zamierzała przyjechać do Norfolk, to przyjechałabyś teraz.

Nigdy jej nie zaprosił, gdyż oboje z siostrą zgodzili się, że w obecnych warunkach zaproszenie nie byłoby wskazane, mimo to wymawiał jej, że nie przyjechała.

— Moja matka gorąco sobie życzy, żeby panna Amedroz złożyła jej wizytę w Aylmer Parku — powiedział kapitan.

— Przecież Klara jedzie do Aylmer Parku, a więc pańska matka może być spokojna, że jej życzenie zostanie spełnione.

— Słuchaj, Will, nie bądź dla nas taki opryskliwy — rzekła Klara. — To ostatni wieczór, jaki spędzamy razem. Jesteśmy sobie tak bliscy, że nie powinniśmy się sprzeczać.

— Ja nie sprzeczam się z tobą.

— Nie przypuszczam, by pan Belton chciał się kłócić ze mną — uśmiechnął się kapitan.

— Jestem pewna, że nie — rzekła Klara.

Belton siedział w milczeniu, z oczami utkwionymi w stół, z ponurą zmarszczką na czole. Rwał się do zwady z kapitanem Aylmerem, a jednocześnie pragnął — o ile to możliwe — powstrzymać się od tego, co w jego przekonaniu byłoby przestępstwem.

— Gdybym użył znanego w Yorkshire powiedzenia, rzekłbym, że pan Belton wstał dziś z łóżka lewą nogą.

— A cóż, u diabła, pana obchodzi, którą nogą wstałem dziś z łóżka? — zawołał Will zaciskając pięści. Ach, gdyby mu wolno było odbyć pięciominutową rundę z kapitanem Aylmerem, przywróciłoby mu to humor na cały wieczór bez względu na dalsze konsekwencje. Poruszył niecierpliwie nogą pod stołem, jak gdyby chciał kogoś kopnąć, potem gwałtownie odsunął filiżankę kawy, wylewając połowę zawartości na stół, przewracając i tłukąc kieliszek z winem.

— Will, Will — zawołała Klara, patrząc na niego błagalnie.

— On nie powinien był mówić, że wstałem dziś z łóżka lewą nogą. Ja mu nic nie powiedziałem.

— To niegrzecznie z twojej strony szukać zwady z kapitanem Aylmerem tylko dlatego, że jest moim przyjacielem.

— Nie chcę szukać z nim zwady, a raczej nie będę się z nim kłócił, ale tylko dlatego, że ty sobie tego nie życzysz. A teraz pójdę sobie stąd. Więcej zrobić nie mogę. Nie chciałem zostać z nim na obiedzie. Trzeba panu wiedzieć, panie kapitanie, że kocham moją kuzynkę jak nikogo na świecie. Tak, kocham ją! Dla mnie nie istnieje na świecie nikt prócz niej. W każdej chwili gotów jestem oddać za nią życie. Kocham ją. Nie przypuszczam, by pan potrafił zrozumieć, co czuję, gdy mówię, jak bardzo ją kocham! Klara powiada, że zostanie pańską żoną. Czyż wobec tego mogę zachować pogodę ducha? Czyż mógłbym pana polubić? Przyznaję, że nie lubię pana. A teraz odejdę już i nie będę wam więcej przeszkadzał. Ale słuchaj pan. Jeżeli kiedykolwiek miałbyś wyrządzić jej krzywdę, bez względu na to, czy się z nią ożenisz, czy też nie, połamałbym ci wszystkie kości. — Powiedziawszy to podeszedł do drzwi, ale na chwilę zatrzymał się. — Żegnaj, Klaro. Mam ci coś do powiedzenia, ale o tym napiszę ci, gdy zejdem na dół. Jeżeli zechcesz, pokażesz mu kartkę. Będzie w niej mowa tylko o interesach. Dobranoc.

Klara wstała, podeszła za nim do drzwi, a on uściśnął jej dłoń.

— Nie powinienesz w ten sposób tracić panowania nad sobą — powiedziała z wyrzutem, lecz głos jej brzmiał miękko, a spojrzenie było pełne miłości.

— Wiem, że nie powinienem — odpowiedział.

— Mogę mu przebaczyć — odezwał się kapitan Aylmer.

— Niech diabli wezmą pańskie przebaczenie! — zawołał Will Belton. Wtedy Klara cofnęła rękę i odsunęła się; drzwi zatrzasnęły się i Will Belton znikł.

— Ładny numer z tego twego kuzyna — zaopiniował kapitan Aylmer.

— Czy nie możesz zrozumieć, Fryderyku, i nie mieć do niego żalu?

— Mogę mu chętnie wybaczyć, nie lubię jednak, by ktoś pozwalał sobie względem mnie na pogroźki. Miałem o nim zupełnie inne pojęcie.

— Zapewniam cię, że jest to człowiek niemal doskonały.

— W takim razie lubisz mężczyzn, którzy klną w twojej obecności, przechwalają się jak Bobadill\* i zachowują tak, że człowiek musi się rumienić w obawie, by go służba nie usłyszała. Czy naprawdę uważasz, że on dziś zachował się, jak przystało na dżentelmena?

— A jednak wiem, że jest dżentelmenem — rzekła Klara.

— Muszę przyznać, że na potwierdzenie twoich słów nie widzę nic prócz twego zapewnienia.

— Powinno ci to wystarczyć, Fryderyku.

\* Żołnierz-samochwał z utworu Ben Jonsona pt.  
Every Man In his Humour

Na to kapitan Aylmer nic na razie nie odparł, lecz przez chwilę siedział w

milczeniu zastanawiając się, co ma powiedzieć. Klara rozumiała jego nastrój, wiedziała, że Aylmer nie jest człowiekiem, który, by łatwo przestał mówić na taki temat, i postanowiła walczyć w obronie kuzyna, gdyby dalej na niego napadał.

— Słowo daję — rzekł Aylmer — że po prostu nie wiem, co mam na to powiedzieć.

— A więc proponuję, byśmy przestali o tym mówić. Tak będzie najlepiej.

— Nie, Klaro. Teraz nie mogę pozwolić, by sprawa zakończyła się w ten sposób. Zapytałaś mnie, czy nie uważam pana Beltona za dżentelmena, i muszę powiedzieć, że wątpię, by nim był istotnie. Zanim mi odpowiesz, wysłuchaj mnie, proszę, do końca. Nie chcę być względem niego zbyt surowy, zniósłem - od niego niejedno, i zniósłem to w milczeniu. Ale on powiedział coś, czego nie mogę puścić mimo uszu.. Otóż dał dowód złego smaku, mówiąc o... swoim przywiązaniu do ciebie.

— Jestem zdania, że mówiąc to nie wyrządził krzywdy nikomu, tylko samemu sobie.

— A jednak przyjęte jest między dżentelmenami, że jeden drugiemu nie opowiada nigdy o kobiecie, z którą tamten zamierza się ożenić, chyba że są bliskimi przyjaciółmi. Otóż uważam, że gdyby pan Belton wiedział, jakie zwyczaje obowiązują dżentelmenów, nie wspomniałby mi ani słowem o swoim uczuciu dla ciebie, a w każdym razie powinien był przypuszczać, że ja nic o tym nie wiem. Już sam pomysł powiedzenia mi o tym świadczy, że jest w najwyższym stopniu niedelikatny. Dziwię się, Klaro, że sama tego nie widzisz.

— Uważam, że było to raczej nierozważne.

— Nierozważne! Ależ to słowo nie wystarcza na określenie jego sposobu zachowania i, o ile moje zdanie ma jakieś znaczenie, uważam, że postąpił nie po dżentelmeńsku.

— Jestem zdania, że w całym Londynie nie ma szlachetniejszego dżentelmena niż mój kuzyn Will.

— A może ci to pochlebia, gdy słyszysz, jak zapewnia cię o swojej miłości? — zapytał kapitan.

— Jeżeli chcesz mnie obrazić, Fryderyku, to będę musiała stąd odejść.

— Pragnę tylko, byś zrozumiała, że twój sąd o nim jest niesłuszny.

— To po prostu sprawa zapatrywań. Ale ponieważ nie życzę sobie kłótni z tobą na ten temat, będzie lepiej, jeśli stąd odejdę. Zresztą czuję się bardzo zmęczona. Dobranoc, Fryderyku.

Kapitan wyjaśnił jej plan jutrzejszej podróży, o której godzinie zgłosi się do niej, kiedy powinna zjeść śniadanie, i pozwolił, by odeszła, nie czyniąc już dalszych aluzji do Williama Beltona.

Należy przyznać, że spotkanie dwojga narzeczonych nie wróżyło nic dobrego, należy również zgodzić się, że Will Belton zachował się fatalnie. Wątpię, czy

naprawdę istnieje jakieś specjalne porozumienie między dżentelmenami na temat powstrzymania się od rozmów o przyszłych żonach, o którym to porozumieniu kapitan opowiadał Klarze z taką swadą, lecz mimo to szczerze przyznaję, że Belton zrobiłby lepiej, gdyby zachował swoje uczucia dla siebie, zaś mówiąc o pogruchotaniu kości rywalowi, zasłużył na surowe potępienie. Mimo wszystko jednak nie można go nazwać Bobadillem. Był rozdrażniony, boleśnie dotknięty i nieszczęśliwy, a w tym gniewie, bólu i rozdrażnieniu pozwolił sobie posunąć się za daleko. Zdawał sobie sprawę ze swego szaleństwa już w chwili, gdy opuszczał pokój, a wychodząc z hotelu nienawidził siebie za własną chępliwość.

„Chciałbym, żeby mi kto połamał kości — powiedział niemal głośno. — Nikt bardziej ode mnie nie zasłużył na porządne lanie.”

Gdy Klara znalazła się w swoim pokoju, ogarnął ją nastrój poważny i bardzo smutny. I cóż z tego wszystkiego wyniknie? Po śmierci ojca było to przecież jej pierwsze spotkanie z człowiekiem, którego przyrzekła poślubić. Tak, było to ich pierwsze spotkanie od chwili, gdy mu to przyrzekła, i zaledwie się zobaczyli, zaczęli się kłócić. Nie zamienili ze sobą ani jednego ciepłego słowa. Rozstała się z nim niemal w gniewie, nie okazali sobie nawzajem nawet cienia zaufania; rozstali się jak ludzie, którzy tylko na skutek okoliczności zmuszeni są do przebywania razem, lecz nienawidzą się i zdają sobie sprawę, że się nienawidzą. Czy naprawdę łączyła ich miłość? A jeżeli nie, to cóż dobrego, jaką korzyść mogła jej lub jemu przynieść ta podróż do Aylmer Parku? Czy nie byłoby lepiej posłać zaraz po niego i powiedzieć mu, że nie są dla siebie stworzeni? Uniknęłaby wtedy tyranii lady Aylmer. Myśląc o tym wszystkim nie mogła nie myśleć o Willu Beltonie. Nie był dżentelmenem! Jeżeli Will Belton nie był dżentelmenem, to ona nie ma pojęcia, co znaczy być dżentelmenem. Kobiety są na ogół tak dobre i łagodne, że gdy kochają — kochają goręcej wtedy, gdy kochany postępuje niewłaściwie, a może właśnie dlatego, że tak postępuje. Will Belton postąpił bardzo niewłaściwie, a wina jego była tak wielka, że gdyby kiedyś nadarzyła się sposobność, Klara gotowa była udzielić mu poważnej nauczki; zdaje mi się jednak, że ta obraza raczej spotęgowała jej uczucie, niż je osłabiła. Mimo wszystko nie zdecydowała się posłać po kapitana Aylmera, a leżąc już w łóżku doszła do przekonania, że jej wizyta w Yorkshire jest nieodzowna.

Nazajutrz rano, zanim opuściła pokój, doręczono jej list od kuzyna Willa napisany tegoż ranka. Próbowwała dowiedzieć się o niego od służącej i posłała mu przez nią parę słów, prosząc, by przyszedł, jeżeli jest jeszcze w hotelu, ponieważ zależy jej bardzo na zobaczeniu się z nim. Dowiedziała się jednak od portiera, że Will opuścił hotel bardzo wcześnie i oświadczył, że nie będzie na śniadaniu.

Treść listu była następująca:

Droga Klaro!

Chciałem wręczyć Ci osobiście to, co tu załączam, ale ponieważ taki dureń ze mnie, że wczoraj wieczorem straciłem panowanie nad sobą, więc nie mogłem tego uczynić. Nie powinnaś mieć żadnych skrupułów co do przyjęcia tych stu funtów, jakie Ci posyłam w dziesięciofuntowych banknotach, są to bowiem Twoje własne pieniądze należne Ci za dzierżawę po śmierci ojca i nie pokrywają nawet innych twych należności, co do których we właściwym czasie złożę Ci wyliczenie. Gdybyś potrzebowała więcej, to po prostu zwracaj się do mnie do czasu załatwienia sprawy majątku. Stanie się to w możliwie najkrótszym czasie. Byłoby Ci przykro wyjeżdżać nie posiadając własnych pieniędzy, a zapewne nie chciałabyś, by on ponosił koszty Twojej podróży i wszelkie inne, zanim odbędzie się wasz ślub.

Przyznaję, że wczoraj zachowałem się jak idiota, co zresztą często mi się zdarza. Nie proszę cię nawet, byś mi przebaczyła, gdyż nie zamierzam nigdy więcej Cię niepokoić. Żegnaj, i niech Bóg ma Cię w swojej opiece.

Twój kochający kuzyn  
William Belton

Dzień, w którym ubiegłego lata postanowiłem pojechać do Belton Castle, był dla mnie dniem fatalnym.

Przeczytawszy list Klara usiadła i rozplakała się, trzymając w ręku plik banknotów. Co ma z nimi zrobić? Czy powinna mu je odesłać? O nie, nie zrobi nic, co mogłoby go urazić lub co świadczyłoby, że się na niego gniewa. Zresztą przyjmując te pieniądze nie czuła bynajmniej takiej odrazy, jaką odczuwała biorąc pieniądze od kapitana Aylmera. Przecież powiedział, że będzie ją uważał za siostrę, więc przyjmie od niego wszelką pomoc, jaką siostra może przyjąć od brata.

Zeszła na dół i w salonie zastała kapitana Aylmera. Podszedł do niej natychmiast, gdy zamknęła za sobą drzwi, i Klara od razu zorientowała się, że postanowił zapomnieć o przykrościach wczorajszego wieczoru. Zbliżywszy się wziął ją delikatnie za rękę i objąwszy ramieniem jej kibić przywitał w stosowny i właściwy sposób. Sprawilo jej to przykrość — szczególną przykrość, gdyż w głębi duszy poczuła, że nigdy nie zostanie żoną tego człowieka, któremu wyznała, że go kocha, a którego może kiedyś naprawdę kochała. Musiała to jednak teraz znieść. Prawdę powiedziawszy nieczęsto musiała znosić podobne cierpienia.

Dalsza podróż do Yorkshire minęła bardzo pomyślnie. Kapitan przez cały dzień zachował dobry humor i ani słowem nie wspomniał o Willu Beltonie. Pomiął także milczeniem nazwisko pani Askerton.

— Zrób wszystko możliwe, by spodobać się mojej matce — powiedział, gdy przejechali już przez bramę parkową i zbliżali się do domu. Zachował się więc jak należy i Klara przyrzekła mu, że zrobi



wszystko, co będzie mogła.

## ROZDZIAŁ XXV

### Pannę Amedroz częstują faszerowanym kurczęciem

Gdy powóz wysłany po nią na stację zatrzymał się przed drzwiami domu sir Anthony'ego Aylmera, Klara poczuła, że ogarnia ją strach. Postanowiła, że nie ulegnie lady Aylmer, a jednak bała się tej kobiety. Wsiadłszy z powozu podniosła oczy, spodziewając się, że zobaczy ją w hallu, ale lady Aylmer zbyt dobrze znała miarę i wagę towarzyskich przepisów i wiedziała, jak należało postąpić w danej sytuacji. Gdyby syn przywiózł do rodzinnego domu lady Emily jako przyszłą żonę, lady Aylmer powitałaby ją w hallu; gdyby Klara posiadała w majątku dziesięć tysięcy funtów, zostałaby prawdopodobnie powitana przed drzwiami salonu; ale że nie posiadała ani tytułu, ani pieniędzy, ani w ogóle żadnych tego rodzaju zalet, więc zastała lady Aylmer zajętą zszywaniem kawałków grubego sukna, jak gdyby nie oczekiwała żadnej wizyty. Na wyraźny rozkaz matki Belinda również zajęta była szyciem. Tu należy czytelnikowi przypomnieć, że lady Aylmer miała niepłonną nadzieję, iż narzeczeństwo syna zostanie zerwane. Może lekceważenie — myślała — okaże się skutecznym środkiem dla osiągnięcia tego celu, więc Klara miała być traktowana w sposób lekceważący.

Klara, która przed chwilą przyrzekła zrobić wszystko, by pozyskać przychyłność tej damy, aczkolwiek przekonana, że jej starania będą daremne, wchodząc do pokoju zdobyła się na najbardziej uprzejmy uśmiech. Belinda, powodowana impulsem, zapominając o pouczeniach matki, żywo podbiegła do drzwi na przywitanie gościa. Lady Aylmer nie podniosła się z krzesła, nawet nie przestała szyc aż do chwili, kiedy Klara przeszła już przez pół pokoju; wtedy wstała i wspaniale opanowanym głosem wygłosiła krótkie przemówienie:

— Jesteśmy radzi, panno Amedroz, powitać panią w naszym domu — rzekła, wyciągając dłoń tak, że Klara poczuła tylko dotyk jej palców.

— Naprawdę jesteśmy bardzo radzi — powiedziała Belinda witając ją pełnym uściskiem dłoni.

Po czym nastąpiło serdeczne przywitanie Fryderyka z matką, a następnie z siostrą, podczas gdy Klara stała na uboczu czując się nieswojo. Kapitan Aylmer nie wspomniał ani słowem, dlaczego jego przyszła żona przybyła do ich rodzinnego domu. Nie prosił, by matka przyjęła ją jak córkę, a siostra jak własną siostrę. Nie było mowy o łączących ich serdecznych więzach. Klara wiedziała, że Aylmerowie są z natury chłodni. Domyślała się tego z jego opowiadań, a zresztą świadczył o tym sposób bycia narzeczonego. Nie oczekiwała jednak tak mroźnego przyjęcia, jakie ją spotkało dzisiaj. Uplęnęło już dziesięć minut, a ona siedziała jeszcze w

kapeluszu na głowie, podczas gdy lady Aylmer zabrała się znów do szycia.

— Czy mam pani pokazać jej pokój? — zapytała Belinda.

— Zaczekaj, moja droga, Fryderyk poszedł zobaczyć, czy sir Anthony jest w gabinecie.

Sir Anthony był istotnie u siebie w gabinecie i po chwili wszedł do pokoju.

— A więc to jest Klara Amedroz — powiedział. — Witam panią w Aylmer Parku.

Aczkolwiek w okazanej jej uprzejmości nie było nic szczególnego, Klarze napływały do oczu łzy i w chwili tej niemal pokochała sir Anthony'ego.

— Ale, ale, Anthony — zwróciła się lady Aylmer do męża — czy widziałeś się z Darvelem? Miał się z tobą zobaczyć w sprawie Nugginsa, który chciałby zabrać woły już dziś.

Był to zręczny manewr lady Aylmer, która w ten sposób chciała powstrzymać wszelkie objawy serdeczności ze strony męża. Klara została zaproszona do Aylmer Parku w gościnę, lecz nie powinno się jej zdawać, że ktokolwiek w tym domu jest szczególnie rad z jej przybycia lub że rodzina jest dumna z projektowanego związku. Po pięciu minutach Klara znalazła się na górze w swoim pokoju, gdzie Belinda ofiarowała jej pomoc panny służącej lady Aylmer. Obie i matką były ciekawe, czy Klara przywiezie ze sobą własną pannę służącą, a lady Aylmer w przypuszczeniu, że tak się stanie, już z góry miała jej za złe tę rozrzutność. „Przecież Fred będzie musiał ponosić koszty podróży i w ogóle będzie płacił za wszystko” — powiedziała. Dowiedziawszy się jednak, że Klara przyjechała bez służącej, stwierdziła, że młoda panna podróżująca bez panny służącej nie jest odpowiednią partią dla jej syna.

Klara, dość bystra w tych sprawach, zapewniła Belindę, że żadnej pomocy nie potrzebuje.

— Może wydaje się to pani dziwne — powiedziała do Belindy — ale doskonale potrafię ubrać się sama.

Gdy jednak zjawiała się służąca, by rozpakować jej rzeczy, Klara chciała ją odesłać, lecz daremnie — ta już niemłoda kobieta okazała się uparta.

— O nie, panienko, moja pani byłaby niezadowolona; panienka pozwoli, że jej pomogę.

I w ten sposób rzeczy Klary zostały rozpakowane. Powiadomiono Klarę, że obiad podają tu o godzinie pół do ósmej, i do tego czasu pozostawała sama w pokoju, chociaż jeszcze nie wybiła piąta, kiedy weszła do siebie na górę. Służąca przyniosła jej filiżankę herbaty, zasiadła więc przy kominku rozmyślając o ludziach, wśród których się znalazła. „Nic z tego nie będzie — powtarzała sobie raz po raz. — Ta kobieta nigdy nie zostanie moją świekrą ani ta druga moją szwagierką.” Było dla niej oczywiste, że nie wzbudziła w nich sympatii, i utwierdziła się w przekonaniu, że one również nie były jej miłe. Po co się wysilać

— nie żeby je polubić, to byłoby daremne, lecz żeby stworzyć pozory, że je polubiła. Cały dom i całe otoczenie wydały się jej antypatyczne. Czy nie postąpiłaby uczciwie w stosunku do kapitana Aylmera, gdyby mu to powiedziała od razu i wyjechała? Przypomniła sobie następnie, że Fryderyk nie przemówił do niej ani słowa, odkąd znaleźli się pod dachem jego ojca. Gdyby się była wybrała do Plaistow Hall, jakby ją tam przywitano?

O pół do ósmej zeszła sama na dół. Nie było to dla niej łatwe, gdyż nie zapamiętała rozkładu pokoi na dole, a nie było widać żadnego ze służących. W końcu zjawił się w hallu lokaj i zaprowadził ją do salonu. Tam przez kilka minut pozostawała sama. Rozejrzawszy się dokoła, pomyślała sobie, że nie zdarzyło jej się widzieć równie nieprzytulnego pokoju. Nie w tym salonie lady Aylmer powitała ją przed obiadem. W tamtym pokoju były przynajmniej jakieś przybory do szycia, jakieś ślady zamieszkania, ślady życia. Tu nie widać było żadnych śladów życia. Meble stały na swoim miejscu, a wszystko wydawało się chłodne, dostojne i niewygodne. Ależ ją przyjmowali w tym Aylmer Parku! Na takich rzeczach Klara znała się doskonale i potrafiła je trafnie ocenić.

Lady Aylmer była pierwszą osobą, która zeszła do salonu.

— Mam nadzieję, że moja służąca pomogła pani — rzekła, na co Klara wybąkała kilka słów mających oznaczać podziękowanie.

— Richards jest bardzo zręczna i na miejscu.

— Nie wątpię o tym.

— Jest u mnie od wielu lat i ma może swoje nawyki, ale stara się zawsze dogodzić.

— Nie będzie miała przy mnie dużo do roboty, lady Aylmer, gdyż zwykle ubieram się sama.

Nie odpowiadało to dokładnie prawdzie, jeżeli chodzi o dawne przyzwyczajenia Klary, potrafiła jednak ubrać się sama i w przyszłości zamierzała ubierać się bez pomocy. W ten sposób jej twierdzenie było do pewnego stopnia usprawiedliwione.

— Lepiej jednak zrobisz, moja droga, przyjmując pomoc Richards — rzekła lady Aylmer z lekkim uśmiechem, który dotknął Klarę bardziej niż słowa. — Lubimy tu, by młode panny ubierały się starannie.

A więc upomniano ją, że ma być starannie ubrana, bo znajduje się w Aylmer Parku! Czuła, że w sercu jej wzbiera bunt. Więc musi wszystko zrobić, by spodobać się lady Aylmer! Nie, to będzie absolutnie niemożliwe, nie zdobędzie się na jakikolwiek wysiłek w tym kierunku. Było coś w spojrzeniu lady Aylmer, jakieś połączenie chytrości, siły i nieugiętej woli w lekkim uśmieszku, który błąkał się dokoła jej ust, co wzburzyło Klarę. Poznała już poniekąd charakter lady Aylmer, myliła się tylko co do jednego. Sądziła, że lady Aylmer ma takie usposobienie, kiedy w istocie rzeczy dama ta specjalnie pragnęła wzbudzać niechęć, a nawet wrogość. Nie mówiły już nic więcej, gdyż kapitan Aylmer wszedł właśnie do

pokoju i jego matka natychmiast zaczęła mu coś opowiadać szeptem.

Pierwsze dwa dni pobytu Klary w Aylmer Parku upłynęły bez żadnego wydarzenia godnego uwagi. W jej obecnym położeniu najbardziej dziwny i przykry był chłód otaczających ją osób, które przecież wiedziały o jej zaręczynach. Sir Anthony był dla niej niezmiernie uprzejmy, dotychczas jednak nie zrobił żadnej aluzji do tego, że Klara ma wkrótce wejść do rodziny jako jego synowa. Lady Aylmer nazywała ją panną Amedroz, wymawiając to nazwisko ze szczególnym naciskiem, jak gdyby chciała podkreślić, że panna Amedroz ma dla wszystkich pozostać panną Amedroz, i traktowała ją tak, jak gdyby była w jej domu intruzem. Belinda w obecności matki była dla niej nie mniej chłodna niż matka, chociaż gdy była z Klarą sam na sam, chłód jej nieco topniał. Znalazła wyjście z trudnego położenia zwracając się do gościa bez wymieniania jej imienia. Jeżeli chodzi o kapitana Aylmera, było dla Klary widoczne, że cierpiał może nawet więcej niż ona. Znalazł się w tak przykrych sytuacji, że żałowała go, iż na skutek uległości wobec matki musiał odgrywać tak żalosną rolę. Mówili do siebie po imieniu, ale była to jedyna oznaka stosunku, jaki ich łączył. Klara, mimo współczucia, zaczynała odczuwać dla niego lekką pogardę. Dotychczas szanowała go za to, że okazywał własną wolę. Wierzyła, że był człowiekiem umiejącym postępować tak, jak mu nakazuje sumienie. Teraz jednak zauważyła, że do tego stopnia ulegał matce, iż nie odważył się słuchać głosu własnego serca. Jak się to wszystko skończy? A skoro mogło się skończyć tylko w jeden sposób, niechby raz już nastąpił ten koniec, i to jak najprędzej, żeby mogła wreszcie uciec z tego czyścica!

Jednak po południu trzeciego dnia pobytu Klary w zachowaniu lady Aylmer nastąpiła jak gdyby pewna zmiana. Podczas śniadania była uprzejma, uprzejma do tego stopnia, że własnym widelcem nałożyła jej na talerz ze stojącego przed nią półmiska pierś nadziewanego kurczęcia. Zrobiła to, można powiedzieć, ze szczególną starannością i następnie, choć nigdy nie zwracała się do Klary po imieniu, powiedziała do niej: „moja droga”. Klara zauważyła to wszystko i czuła, że monotonia dzisiejszego popołudnia zostanie zakłócona przez jakieś szczególne wydarzenie.

O trzeciej, gdy powóz jak zwykle zajechał przed dom, Belindy nie było w pobliżu i Klarze dano do zrozumienia, że ma pojechać na przejażdżkę tylko w towarzystwie lady Aylmer.

— Belinda jest dziś trochę zajęta, moja droga, więc pozwolisz, że pojedziemy same.

Klara oczywiście wyraziła zgodę i wsiadła do powozu w przekonaniu, że teraz rozstrzygną się jej losy. Spodziewała się usłyszeć od lady Aylmer, że nie zdobyła uznania w Aylmer Parku i że zostanie odesłana z powrotem niczym towar, który okazał się gorszej jakości, niż to zostało określone w obstalunku. Jeżeli tak było istotnie, ofiarowana jej przy śniadaniu pierś kurczęcia miała być dla niej

pocieszeniem. Od czasu przyjazdu do Aylmer Parku Klara starała się zanalizować głębiej własne uczucie do kapitana; nie udało jej się to i wiedziała, że jej się to nie udało. Usiłowała wmówić w siebie, że go kocha, gdyż nie mogła ścierpieć myśli, że zaręczyła się z człowiekiem nie kochanym. Powtarzała sobie, że przecież nie uczynił nic, by utracić jej wzajemność. Kobieta naprawdę zakochana nie przestaje kochać na skutek winy popełnionej przez ukochanego. Miłość zdolna jest przebaczyć wszelkie winy. Koniec końców co zawinił kapitan Aylmer? Chyba to, że dawał jej pouczenia wyjęte z ust matki. I nic więcej? Przecież ona najpierw go przyjęła, potem odrzuciła, w końcu znów go przyjęła — więc teraz będzie już stanowcza, o ile potrafi się na to zdobyć. W każdym razie, gdyby ją miano odesłać z powrotem niczym lichy towar, to postanowiła trzymać głowę wysoko i mimo wstydu nie pozwolić, by to, co usłyszy, miało złamać jej serce.

— Moja droga — rzekła lady Aylmer, gdy tylko tupot końskich kopyt i turkot powozu zagłuszyły jej słowa, tak że nie mogły dosięgnąć uszu stangreta i lokaja siedzących na koźle. — Pragnę ci coś powiedzieć i sądzę, że nadarza się do tego dobra sposobność.

— Doskonała sposobność — odrzekła Klara.

— Otóż, moja droga, zapewne nie wątpisz, że słyszałam coś niecoś od mojego syna Fryderyka o tym, co zaszło między wami. — Odkąd lady Aylmer nauczyła się mówić do Klary „moja droga”, zdawało się, że nigdy nie ma dosyć powtarzania tych słów.

— Oczywiście wiem, że kapitan Aylmer powiedział pani o naszych zaręczynach. Gdyby nie to, nie znalazłabym się tutaj.

— Nie wiem, jak by to było, moja droga, lecz w każdym razie powiedział mi, że po śmierci mojej siostry doszło między wami do... czegoś w rodzaju zaręczyn.

— Nie przypuszczam, by kapitan Aylmer mówił pani o tym w ten sposób.

— W jaki sposób? Oczywiście nie powiedział ani słowa które nie byłoby miłe lub nie świadczyło o jego przywiązaniu i tego rodzaju rzeczach... Jestem pewna, że byłby zrobił wszystko, co mu poleciła ciotka, a co do jego...

— Lady Aylmer — powiedziała Klara czując, że głos jej drży z gniewu — sądzę, że nie zamierzała pani być dla mnie nieuprzejma.

— Oczywiście, że nie.

— Ani mnie obrażać?

— Obrażać cię, moja droga! Nie powinnaś używać tak mocnych słów, moja droga, naprawdę nie powinnaś. Jestem daleka od tego.

— Jeżeli pani nie aprobuje mojego małżeństwa z jej synem, to proszę mi to od razu powiedzieć, a będę wiedziała, co mam robić.

— To zależy, moja droga, to zależy od okoliczności, i właśnie dlatego chciałam z tobą pomówić.

— Wobec tego proszę mi powiedzieć, jakie są te okoliczności, choć wolałabym

usłyszeć to z ust kapitana Aylmera.

— O tym, moja droga, pozwól decydować mnie. To całkiem naturalne, że jako matka troszcę się o syna. Widzisz, Fryderyk jest człowiekiem niezamożnym. Z uwagi na to, w jakim towarzystwie się obraca i ze względu na tryb życia, który powinien prowadzić jako poseł do parlamentu, jest człowiekiem po prostu ubogim.

Klara nie spodziewała się, by ktoś z rodziny Aylmerów mógł poniżyć się do użycia takiego argumentu. Uważała zawsze Fryderyka za człowieka bogatego, gdyż jeszcze przed otrzymaniem spadku po pani Winterfield stać go było na taki tryb życia w Londynie, na jaki tylko zamożni ludzie mogą sobie pozwolić.

— Naprawdę? — zapytała. — Może się to pani wydać dziwne, ale nigdy między nami nie było mowy o wysokości jego dochodów.

— Nie wydaje mi się to bynajmniej dziwne, moja droga. Młode panny zawsze bywają nieogłędne w takich sprawach, a kiedy poszukują męża, to zdaje im się, że pieniądze spadają z nieba.

— Jeżeli pani chce przez to powiedzieć, że to ja szukałam męża...

— A więc kiedy spodziewają się zamążpójścia, bo jak przypuszczam, spodziewałaś się, że wyjdiesz za męża. — Umilkła, a gdy Klara nic nie odpowiedziała, ciągnęła dalej. — Oczywiście Fryderyk otrzymał w spadku po ciotce połowę posiadłości w Perivale, co, odliczywszy różne koszty, przynosi rocznie około ośmiuset funtów dochodu, a po mojej śmierci otrzyma drugą połowę, jeżeli zaś oboje zadowolicie się tym do czasu, gdy to nastąpi... co może nie potrwa długo... — Tu nastąpiła druga pauza, mająca oznaczać naturalny smutek z powodu takiego przypuszczenia. Podczas tej przerwy Klara patrząc na lady Aylmer pomyślała, że jej lordowska mość zapewne pożyje jeszcze przynajmniej dwadzieścia pięć lat. — Jeżeli potraficie na to poczekać — mówiła lady Aylmer dalej — może wszystko ułoży się dobrze, aczkolwiek w stosunku do stanowiska zajmowanego przez Fryderyka będziecie ludźmi ubogimi, choć nie pozbawionymi środków do życia.

— Dobre i to — rzekła Klara.

— Ale będziecie musieli czekać — powiedziała lady Aylmer obracając się do swej towarzyszki niemal gwałtownie.

— Tak, będziecie zmuszeni na to czekać, o ile będziecie wyłącznie uzależnieni do dochodów Fryderyka.

— Ja nie posiadam nic własnego i on dobrze o tym wie, nie mam absolutnie nic.

— Zdaje mi się, że to nie jest takie jasne, moja droga — lady Aylmer mówiła teraz bardzo ostrożnym tonem albo raczej usiłowała być ostrożna. — Nie wydaje się to takie jasne. Fryderyk wspomniał mi, że istnieją pewne wątpliwości w sprawie dziedziczenia majątku Belton.

— W sprawie tej nie ma żadnych wątpliwości, ani cienia. Fryderyk się myli.

— Nie sądź tak pośpiesznie, moja droga. Nie wydaje mi się, żebyś była

doskonałym prawnikiem.

— Lady Aylmer, muszę mówić pośpiesznie, gdyż obawiam się, by tu nie zaszło jakieś nieporozumienie. Prawnicy nie mają tu nic do powiedzenia. Fryderyka wprowadziło w błąd kilka słów, które mu powiedziałam w zupełnie innym celu. Każdy znający tę sprawę wie, że majątek Belton przechodzi na własność mojego kuzyna Willa. Mój biedny ojciec zdawał sobie z tego sprawę.

— Wszystko to pięknie, moja droga, ale proszę, pamiętaj, że nie powinnaś w ten sposób na mnie napadać. Ja w miarę możliwości usiłuję załatwić tę sprawę zgodnie z twoim własnym życzeniem. Podobno sam pan Belton nie zgłasza pretensji do tego majątku.

— Tu nie ma mowy o zgłaszaniu pretensji. Jest on bowiem najbardziej wspaniałomyślnym człowiekiem na świecie — wspaniałomyślnym w sposób isticie romantyczny, ofiarował mi posiadłość, na której mój ojciec miał dożywocie. Nie sądzę jednak, by pani lub kapitan Aylmer mogli zgodzić się na przyjęcie podobnej propozycji.

Gdy to mówiła, w tonie jej głosu i błysku oczu skierowanych wprost w twarz towarzyszki było coś, co niemal zmogło siłę charakteru lady Aylmer.

— Już sama nie wiem, moja droga, jesteś taka gwałtowna.

— Ta sprawa głęboko mnie obchodzi. Żadne względy na świecie nie zmuszą mnie do odebrania kuzynowi jego własności.

— Wydawało mi się zawsze, że klauzula dotycząca sposobu dziedziczenia majątku Belton była jak najbardziej niesprawiedliwa.

— Jakie by to miało znaczenie, choćby naprawdę była niesprawiedliwa, a przecież tak nie jest? Na mocy tych warunków papa osiągał pewne korzyści. Ale co za różnica? Majątek należy do Willa Beltona.

Nastąpiła przerwa i Klara sądziła, że temat został już wyczerpany. Lady Aylmer jednak nie dopięła jeszcze celu.

— Czy mam ci powiedzieć, moja droga, jak, moim zdaniem, powinnaś postąpić?

— Naturalnie, lady Aylmer, skoro pani sobie tego życzy.

— Mogę ci przynajmniej powiedzieć, co w danych okolicznościach wypadałoby zrobić młodej kobiecie. Sądzę, że chociaż na tyle możesz mi zaufać. Każda młoda panna będąca na twoim miejscu polegałaby na swych przyjaciółach, o ile byliby odpowiedni i zdolni do służenia jej radą, i całą sprawę oddałaby w ręce tych przyjaciół oraz swego radcy prawnego. Proszę cię, moja droga, wysłuchaj mnie do końca. Możesz przynajmniej tyle dla mnie zrobić ze względu na to, że ponoszę dla ciebie niemało trudu. Powinnaś skłonić Fryderyka, by zwrócił się do pana Greena, który, o ile wiem, był adwokatem twojego ojca. Wtedy pan Green pomówi z panem Beltonem i sprawa zostanie załatwiona. Z tego, co wiem, sądzę, że w ten sposób, i tylko w ten sposób, można będzie doprowadzić wasze małżeństwo do skutku. Inaczej nic z tego nie będzie.

Skończywszy swoje przemówienie lady Aylmer zasiadła głębiej w powozie, dając tym do zrozumienia, że nie życzy sobie żadnej odpowiedzi. Była przekonana, i to głęboko przekonana, że Klara tak gorąco pragnie poślubić jej syna, iż podjęłaby się najcięższej walki, byle tylko dojść do upragnionego celu. Takie głębokie przekonanie było z jej strony naturalne. Matki zawsze tak myślą o pannach zaręczonych z ich synami, szczególnie wtedy, gdy te panny są bez grosza, zaś ich synowie — majątni. Takie przekonanie, aczkolwiek naturalne, bywa czasem mylne, a w tym wypadku było najzupełniej mylne.

— W takim razie — powiedziała szczerze Klara — nic się nie da zrobić.

— Jak wolisz, moja droga.

Obie panie nie zamieniły z sobą ani słowa do chwili, kiedy powóz znalazł się już w obrębie parku. Wtedy lady Aylmer ponownie zabrała głos:

— Sama widzisz zapewne, moja droga, iż myśl o małżeństwie z moim synem musi być poniekąd, w każdym razie na długie lata..

— Pomówię o tym z kapitanem, lady Aylmer.

— Oczywiście, moja droga. Pomów z nim. Naturalnie zrobi, jak zechce. Jednakże jest moim synem i nie mogę pozwolić, by się poświęcił, nie starając się go od tego ustrzec.

Kiedy Klara tego dnia zeszła na obiad, była znów panną Amedroz i mogła się domyślić z zachowania Belindy i jej lordowskiej mości, że nie będzie już częstowana smakowitymi kęskami kurczęcia, wybranymi z półmiska przez samą lady Aylmer.

Wieczór ten i następne dwa dni minęły podobnie jak pierwsze dni — wszystko było nudne, chłodne i nieprzyjemne. Dwa razy wychodziła z Fryderykiem na spacer i przy każdej sposobności oczekiwała, że on napomknie o tym, o czym mówiła jego matka, ale on nie odważył się poruszyć tego tematu. Klara niejednokrotnie zamierzała zrobić to sama, ale w ostatniej chwili milkła, czując, że się na to nie zdobędzie. Nie mogła się zdecydować na powiedzenie słów, które stwarzałyby pozór, że pragnie przyspieszyć ślub. Nie mogła mu powiedzieć: „Jeżeli jesteś za biedny, by się żenić, albo jeżeli nawet pragniesz wysunąć to jako argument, powiedz tak od razu.” Nazywał ją zawsze Klarą, nadal zapraszał na wspólne spacer, gdy byli sami, mówił chłodnym obojętnym tonem o ich przyszłym pożyciu. Czy zamieszkają w Perivale? Czy trzeba będzie przemeblować dom? Czy uprawą roli ma zająć się osobiście? Są to tematy interesujące dla narzeczonych. Ale jeżeli mężczyzna pragnie, by poruszenie tych tematów zrobiło narzeczonej prawdziwą przyjemność, powinien mówić z zapalem człowieka zmierzającego do jak najszybszego osiągnięcia konkretnego celu. Należy coś powiedzieć na temat przeznaczenia poszczególnych pokoi. Ustalić dzień, kiedy wybierze nowe meble. Przyszły pan domu powinien wyrazić chęć zakupienia bydła dla farmy. Ale wszelkie rozmowy z kapitanem Aylmerem zdawały się odnosić do



jakiejs odległej, mglistej przyszłości, o której Klara mogła myśleć, jak się myśli o rozkoszach czekających nas w niebie. Will Belton byłby już dawno kupił pierścionek, zamówił pastora, obmyślił szczegóły podróży poślubnej i prawdopodobnie zatrzymałby się przed wystawą kołysek, spoglądając na nie tęsknym wzrokiem.

W końcu szczerza rozmowa stała się nieodzowna. Kapitan Aylmer oznajmił, że musi wrócić do Londynu, dokąd wzywają go obowiązki poselskie. Zamierzał pozostać aż do świąt Wielkanocy, ale to okazało się niemożliwe.

— Widzę, że będę musiał wyjechać już jutro — oświadczył przy śniadaniu. — W parlamencie ma się odbyć debata nad zasiłkami dla ubogich, wobec czego już wieczorem muszę stawić się w Izbie.

Na te słowa Klarze zrobiło się zimno i poczuła się nieswojo. Sytuacja tak się ułożyła, że będzie musiała zostać w Aylmer Parku sama, bez przyjaznej duszy. Na jak długo? Termin jej pobytu nie został wcale określony. Trzeba będzie coś sobie wzajemnie powiedzieć i coś ustalić, zanim kapitan Aylmer wyjedzie.

— Naturalnie na Wielkanoc przyjedziesz do domu? — zapytała go matka.

— Tak, przyjadę na Wielkanoc, a w każdym razie na Zielone Świątki.

— Musisz przyjechać na Wielkanoc — rzekła matka.

— Bez wątpienia będę się starał przyjechać.

— Panna Amedroz powinna wydać mu swoje rozkazy — zauważył sir Anthony z galanterią.

— Nonsens! — burknęła lady Aylmer.

— A jednak wydam mu pewien rozkaz — powiedziała Klara — jeżeli zechce poświęcić mi dziś rano pół godziny.

Kapitan Aylmer oczywiście zgodził się, bo jakże mógł się nie zgodzić? Więc umówiono się, gdzie i kiedy to nastąpi. Kapitan Aylmer i Klara mieli się spotkać w małym saloniku zaraz po śniadaniu. Klara wolałaby uniknąć tej formalności, gdyby sytuacja tego nie wymagała. Kiedy lady Aylmer ofuknęła sir Anthony'ego, Klara musiała zaznaczyć swoją wolę i wówczas lady Aylmer zdecydowała się nadać całej sprawie charakter oficjalny. Klarę skierowano do saloniku, a za nią podążał narzeczony, jeszcze bardziej zalekziony niż ona sama; odczuła wówczas całą absurdalność i niezręczność sytuacji. Była jednak zdecydowana osiągnąć swój cel.

— Bardzo mi przykro, że muszę cię tak rychło pożegnać — rzekł kapitan, gdy tylko drzwi zamknęły się za nimi i pozostali sami.

— Może to i lepiej, Fryderyku, bo łatwiej będzie nam wszystkim się zrozumieć i coś postanowimy.

— Masz rację, może tak będzie i lepiej.

— Twoja matka oświadczyła mi, że nie aprobuje naszego małżeństwa.

— Chyba nie miała tego na myśli i nie przypuszczam, żeby się tak właśnie wyraziła.

— Powiedziała, że nie powinieneś się żenić, póki ona żyje, to znaczy, że nie możesz się ze mną ożenić, nie masz bowiem dostatecznych dochodów.

— Istotnie rozmawiałem z nią o moich dochodach.

— Oczywiście ja nie mam nic. — Klara na chwilę umilkła. — Nie posiadam ani pensa, który mogłabym nazwać własnym.

— Owszem, masz.

— Nie, nie mam nic.

— Masz przecież legat, zostawiony ci przez ciotkę.

— Bynajmniej, ciotka nie zostawiła mi żadnego legatu.

Skoro jednak jest to sprawa między tobą a mną, nie ma ona znaczenia, jeżeli zamierzamy się pobrać.

— Oczywiście żadnego.

— Ale prawdę mówiąc, ja nie mam nic. Twoja matka wspomniała mi coś o majątku Belton, jak gdyby istniała możliwość, że majątek ten mógłby przypaść mnie.

— Przecież twój kuzyn jest również tego zdania.

— Fryderyku, nie łudźmy się. Nie ma o tym mowy. Nie mogę przyjąć od kuzyna ani cząstki jego własności, nawet gdyby od tego zależało nasze małżeństwo.

— Ale bynajmniej nie zależy.

— Jeżeli jednak środki, jakie posiadasz, nie wystarczają na zaspokojenie twoich potrzeb, jestem gotowa uznać ten powód za wystarczający do zerwania naszych zaręczyn.

— Nie widzę potrzeby.

— Jeżeli chodzi o czekanie na czyjąś śmierć, mam na myśli twoją matkę, uważałabym to za coś bardzo złego. Oczywiście, o ile nasze narzeczeństwo ostoi się nadal, nie potrzebujemy się spieszyć, jednak kiedyś trzeba będzie ustalić datę ślubu.

Powiedziawszy to Klara czuła, że jej czoło i policzki oblewają się rumieńcem. Ale skoro się zdecydowała, musiała te słowa powiedzieć.

— Ja również jestem tego zdania — potwierdził Fryderyk.

— Cieszę się, że się zgadzamy. Wyznaczenie daty ślubu pozostawiam oczywiście tobie.

— Nie uważasz chyba, że to ma nastąpić zaraz? — zapytał kapitan Aylmer niemal przerażony.

— Ależ nie.

— Wiesz, co ci powiem? Zróbmy umowę. Przyjadę z całą pewnością na Wielkanoc. Nie byłem pewny, czy to mi się uda, ale teraz wiem, że przyjadę. A wtedy wszystko zostanie ustalone.

Taka była ich rozmowa i nazajutrz rano kapitan Aylmer wyruszył do Londynu. Klara zdawała sobie sprawę, że nie wszystko zrobiła i powiedziała, co powinna

była zrobić i powiedzieć, mimo to posunęła się o krok dalej we właściwym kierunku.

## ROZDZIAŁ XXVI

### W Aylmer Parku skończyły się nadziewane kurczęta

Wielkanoc przypadała w tym roku na połowę kwietnia, a kapitan Aylmer wyruszył do Londynu trzy tygodnie przed świętami. Klara doskonale zdawała sobie sprawę, że owe trzy tygodnie nie będą dla niej wesołe. W okresie tym spodziewała się tylu przykrości, że dni upłynęły jej nie tak źle, jak oczekiwała. Z początku lady Aylmer nie rozmawiała z nią wcale albo bardzo mało. Obie zdawały się myśleć, że wojna między nimi jest nieunikniona, ale że podczas nieobecności kapitana Aylmera nie należy rozpoczynać żadnych operacji wojennych. Klara stała się znów panną Amedroz i aczkolwiek co dzień proponowano jej przejażdżkę powozem, potrafiła jednak zawsze uniknąć tej wątpliwej przyjemności, aż wreszcie zrozumiano, że panna Amedroz nie lubi przejażdżek powozem.

— Ona nie jest do tego przyzwyczajona — mówiła lady Aylmer do córki.

— Oczywiście — potwierdziła Belinda — ale właśnie dlatego powinna je lubić, cóż kiedy ona zawsze jest taka skwaszona.

Klara czasem wychodziła z Belindą na dalsze spacer, lecz tych skąpych słów, jakie ze sobą zamieniały, nie można by nazwać rozmową, a imię Fryderyka nie bywało wcale wspominane.

Zaledwie kilka dni upłynęło od wyjazdu kapitana Aylmera, gdy Klara otrzymała od kuzyna list, w którym z absolutną stanowczością stwierdzał, że zamierza zrzec się majątku.

W sprawie tej — pisał — odbyłem naradę z Greenem i widzę, że będzie to można przeprowadzić. Byłoby jednak lepiej — pisał dalej — gdybym zarządzał majątkiem aż do waszego ślubu. Mówię po prostu to, co myślę. Bądź pewna, że później nie będę się wtrącał do waszych spraw. Oczywiście zostanie to formalnie załatwione i pozwolisz, mam nadzieję, że w Twoim imieniu naradzę się z adwokatem Greenem.

W pierwszej wersji listu umieścił zdanie, w którym wyrażał życzenie, by akt prawny ustalał, że cały majątek ma kiedyś przejść na własność kogoś noszącego nazwisko Belton, przeczytawszy jednak raz jeszcze ten warunek — gdyż i jego strony byłby to warunek — pomyślał, że to nieszlachetnie, i ustęp ten wykreślił.

„Co za różnica, kto to odziedziczy i jak się będzie nazywał — powiedział sobie i goryczą — przecież nie chcę widzieć na oczy jego dzieci ani ziemi, której on stanie się panem.”

W odpowiedzi na to Klara napisała dwa listy — jeden do kuzyna, drugi do adwokata — i w listach tych powtórzyła z całą gwałtownością — jakby się wyraziła lady Aylmer — że nie chce mieć nic wspólnego z majątkiem Belton. Do pana Greena napisała, że wszelkie jego poczynania w tej sprawie byłyby daremne.

„Majątek ten nigdy nie będzie należał do mnie, o ile się na to nie zgodzę, a ja się na to nie zgodzę.” Gdy to napisała, ogarnęło ją przerażenie. A co będzie, jeśli wyjdzie za kapitana Aylmera, a on jako mąż obejmie w jej imieniu majątek na własność? Należy koniecznie, jeszcze przed ślubem, przedsięwziąć coś, co by udaremniło podobny obrót rzeczy, coś, co z całą pewnością wykluczyłoby podobną możliwość.

Czy jednak będzie mogła w obecnym nastroju zdecydować się na poślubienie kapitana Aylmera? Podczas ostatnich trzech tygodni podświadomie podtrzymywała w sobie nadzieję, że będzie mogła zerwać narzeczeństwo. Nie kochała go. Zaczęła wątpić, czy kiedykolwiek go kochała. Jednocześnie jednak czuła, że nie zdoła uwolnić się od danego słowa, jeżeli on wykaże zamiar doprowadzenia do ślubu; nie mogła również zdobyć się na okazanie słabości wobec lady Aylmer, wyglądałoby to bowiem, że się przed nią ugięła. Stan wojenny, jaki jej narzucano, zmusił ją do noszenia wysoko swego sztandaru. Czuła się nieszczęśliwa widząc, że jej obecne położenie jest fatalne i niegodne jej. Mogłaby nawet zdobyć się na ucieczkę z Aylmer Parku niczym chłopiec wymykający się ze szkoły, gdyby nie to, że nie miała dokąd uciekać. Nie mogła przecież nagle zjawić się w Plaistow Hall i oznajmić, że przyszła, by znaleźć tu pomoc i schronienie. Mogła jednak pojechać na pewien czas do pani Askerton i im więcej zastanawiała się nad swym położeniem, tym bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że niebawem stanie się to jej przeznaczeniem. Tak, musi się to stać jej przeznaczeniem... chyba że kapitan Aylmer powróci na Wielkanoc z tak stanowczo ustalonym planem, że nawet jego matka nie zdoła mu się oprzeć.

Tymczasem w ostatnich dniach dzięki zbiegowi okoliczności zyskała nowego przyjaciela czy może raczej nowego znajomego, a znalazła go tam, gdzie się go znaleźć nie spodziewała. Jak już mówiłem, lady Aylmer, Belinda, powóz i konie wyjeżdżały nadal bez Klary. Przejazdzka ta odbywała się zwykle niedługo po lunchu. Niejeden z nas wie, jak nudno wloką się codzienne zdarzenia w wiejskich dworach takich jak Aylmer Park, w wiejskich dworach, gdzie mieszkańcy nie czytają książek, nie flirtują, nie grają w karty, nie palą ani nie doznają wrażeń, jakich mogłyby im dostarczyć różnego rodzaju rozrywki. Lunch podawano o pół do drugiej, a powóz zajeżdżał przed dom o trzeciej. Spożywanie posiłku i wkładanie kapotek zajmowało półtorej godziny. Czas pomiędzy śniadaniem a lunchem lady Aylmer, przystrojona w starą grzywkę, spędzała codziennie na prowadzeniu rachunków gospodarskich. Przez kilka dni po przyjeździe Klary pani domu nakładała nową grzywkę przed lunchem, ale później, od czasu drugiej

rozmowy w powozie, nowa grzywka zjawiała się na jej głowie dopiero przed samym zejściem do powozu. Zgodnie z zasadami, jakie stosowała w życiu, lady Aylmer dbała o to, by nikt prócz najbliższych członków rodziny nie zobaczył jej w starej grzywce. Przy śniadaniu zjawiała się zawsze w tak zadziwiająco wymyślnym rannym czepekku, że nie miało to żadnego znaczenia, czy wkładała pod czepek nową czy starą grzywkę. Zauważywszy tę zmianę i widząc, że Klara jest traktowana jak ktoś należący do rodziny, sir Anthony doszedł do wniosku, że małżeństwo syna z panną Amedroz zapewne dojdzie do skutku; a ponieważ panna Amedroz wydała mu się bardzo pociągającą kobietką, zaczął wymykać się ze swych pokojów na krótką pogawędkę z nią, gdy tylko powóz wyruszał z domu, po czym ostrożnie przemykał się z powrotem do siebie, zanim jej lordowska mość raczyła wrócić ze spaceru. I on to właśnie stał się nowym przyjacielem Klary.

— Czy miała pani jakieś wiadomości od Freda? — zapytał pewnego dnia wszedłszy do pokoju, gdzie Klara siedziała jeszcze po lunchu. Stary pan przed chwilą stał przed domem, wymyślając ogrodnikowi, ale ten zabrawszy taczkę pośpiesznie znikł mu z oczu, więc sir Anthony został sam bez zajęcia.

— Tylko parę słów; zawiadamia mnie, że przyjedzie szesnastego.

— Teraźniejsi młodzi ludzie nie pisują już tyle miłosnych listów jak za czasów mojej młodości — zauważył sir Anthony.

— Sądząc z powieści to prawda. Stare romanse są pełne miłosnych listów.

— Zdaje mi się, że Fred nigdy nie kwapił się do pisania.

— Posłowie do parlamentu mają pewnie zbyt wiele do roboty — rzekła Klara.

— Ale on zawsze chętnie pisze, gdy ma jakiś interes. Prawdziwy z niego człowiek interesu. Chciałbym móc powiedzieć to samo o jego starszym bracie albo o sobie samym.

— Zdaje mi się, że lady Aylmer bardzo lubi zajmować się podobnymi sprawami.

— A jakże, ona to bardzo lubi, a ja nie. Czasem myślę, że Fred ma to po niej. Gdzieście się poznali?

— W Perivale. Oboje jeździliśmy tam w odwiedziny do pani Winterfield.

— Ach, tak, tak, oczywiście. To najzupełniej naturalne.

No cóż, moja droga, proszę mi wierzyć, że jestem bardzo zadowolony.

— Dziękuję panu, sir Anthony. Rada jestem słyszeć od pana choćby tyle.

— Oczywiście dla człowieka na takim stanowisku jak Fred pieniądze są rzeczą nader pożądaną, ale będzie ich miał dosyć, a jeżeli on jest zadowolony, to i ja także. Co do mnie, jestem więcej niż zadowolony. Naprawdę.

— To bardzo miło z pańskiej strony, że mi pan to powiedział.

Sir Anthony spojrzął na Klarę i rozczulił się widząc w jej oczach łzy. Tylko mężczyzna o bardzo twardym sercu nie rozczuliłby się patrząc na cierpienie kobiety, z którą znalazł się sam na sam.

— Nie wiem, jak ułożyły się stosunki między panią i lady Aylmer, w każdym

razie nie z mojej winy nie zostaliśmy dotąd przyjaciółmi.

— Obawiam się, że lady Aylmer mnie nie lubi — rzekła Klara.

— Ja również obawiam się, że tak jest istotnie. Ale proszę pamiętać, że bardzo trudno ją zadowolić. Przekona się pani, że z czasem to się zmieni.

— Lady Aylmer uważa, że Fryderyk nie powinien żenić się z kobietą nie posiadającą majątku.

— Wszystko to bardzo pięknie, ale nie widzę racji, dlaczego Fred nie miałby postąpić tak, jak mu się podoba. Jest dość stary na to, by wiedzieć, czego chce.

— Doprawdy, sir Anthony? W tym właśnie sęk, że nie jestem pewna, czy on istotnie wie, czego chce.

— Pani uważa, że Fred tego nie wie?

— Tak mi się wydaje. A najgorsze, że sama mam co do tego wątpliwości.

— Wątpliwości, czy pani powinna za niego wyjść?

— Tak, wątpię, czy to małżeństwo okaże się dobre dla niego lub dla kogokolwiek z nas. Byłoby mi przykro wejść do rodziny, która sobie tego nie życzy.

— Moja droga, niech pani nie zwraca aż takiej uwagi na lady Aylmer!

— Tak, chodzi mi tu najwięcej o lady Aylmer.

— Co do mnie, byłbym rad widzieć w pani synową.

A jeżeli chodzi o lady Aylmer, to mówiąc między nami, moja droga, nie powinna pani tak brać do serca każdego jej słowa. To w gruncie rzeczy najlepsza kobieta pod słońcem, jestem o tym najgłębiej przekonany. Ona, jak pani wie, ma już takie usposobienie, i uważam, że nie powinna pani jej we wszystkim ustępować. Ale oto nadjechał powóz. Byłoby lepiej, gdyby nie zastała nas rozmawiających o tym wszystkim, prawda? — Po czym baron Aylmer wymknął się i lady Aylmer wszedłszy do pokoju zastała Klarę samą.

Nie zadawajmy sobie pytania, czy małżonka była dość sprytna, by wyciągnąć coś z męża na temat rozmowy, jaka odbyła się między nim i Klarą, czy miała jakieś inne źródło informacji, czy też kierowały nią uboczne pobudki — dość, że od tej chwili cały sposób jej bycia i słowa, w których zwracała się do Klary, stały się mniej uprzejme niż dotychczas. Odzywała się tak, jak gdyby popełniono jakąś wielką niegodziwość, i krążyła po domu ze złowieszczą zmarszczką na czole, jakby należało zastosować jakieś straszne środki w celu położenia kresu obecnej, tak wysoce niewłaściwej sytuacji. Wszystko to stało się dla Klary tak widoczne, że pewnego dnia powiedziała sir Anthony'emu, iż nie może już dłużej znosić objawów niełaski ze strony lady Aylmer i o ile ten złowieszczy nastrój nie zmieni się, będzie zmuszona opuścić Aylmer Park jeszcze przed powrotem Fryderyka. W tym samym okresie powiedziała mu także, że bardzo wątpi, czy to małżeństwo dojdzie do skutku, i jest naprawdę szczerze przekonana, że dla obu stron byłoby lepiej ten zamiar porzucić. Usłyszawszy to sir Anthony potrafił tylko potrząsnąć

głową i ulotnił się z pokoju. Kłopot ten był zbyt wielki, by mógł mu zaradzić.

Klara jednak trzymała się dzielnie nadal, gdy nagle, kiedy do przyjazdu kapitana brakowało tylko dwa dni, w Aylmer Parku rozpętała się straszna burza i między Klarą a lady Aylmer wybuchła wyraźna, prawdziwa kłótnia, wyraźna i prawdziwa, i ze strony obu pań niezmiernie gwałtowna.

Dotychczas w Aylmer Parku nie mówiono nic o pani Askerton, to znaczy nic od przyjazdu Klary, która była wdzięczna za to milczenie. Może czytelnik pamięta, co kapitan Aylmer napisał do narzeczonej o pani Askerton i co Klara mu na ten list odpowiedziała. Opinia Aylmer Parku o biednej pani Askerton oraz pogląd na przyszłe ustosunkowanie się Klary do tej biedaczki zostały wyrażone bardzo dokładnie. Ze swej strony Klara również wyraźnie postanowiła, że w sprawie tej bynajmniej nie zamierza liczyć się z tą opinią. Z góry przewidywała, że spotka ją z tego powodu wiele przykrości, i była niezmiernie rada, że temat ten nie został wcale poruszony. Lady Aylmer jednak trzymała sprawę pani Askerton w rezerwie jako zapasową broń, której miała użyć na wypadek, gdyby inne sposoby ataku zawiodły; broń skuteczną, gdyby inne rodzaje broni okazały się bezsilne. Przez pewien czas wierzyła, że Klara zostanie właścicielką majątku Belton, a wtedy troskliwa matka byłaby się zgodziła na przyjęcie tak posażnej synowej. Widzieliśmy już, jak w sprawie owej własności posłużyła się wymówką o ubóstwie, której to wymówki użyła w obronie interesów syna. Skoro jednak po jej rozmowie z Klarą Fryderyk oświadczył, że zamierza pannę poślubić, a Klara zdawała się również na to zdecydowana, lady Aylmer powiedziała do córki:

— Fryderyk okazał się takim głupcem, że dał jej słowo, a ona jest zdecydowana nie dopuścić, by słowa nie dotrzymał.

I wtedy to sprawa pani Askerton została użyta jako broń, i w dodatku nie bez powodzenia.

Trzy panie siedziały razem w salonie i przez pół godziny milczały jak ryby. Takie posiedzenia odbywały się zwykle w milczeniu, tylko od czasu do czasu zamieniano parę zdawkowych słów.

— Czy pani wybierze się dziś z nami na przejażdżkę, panno Amedroz?

— Dziękuję, lady Aylmer, chyba nie dzisiaj.

— Pani zapewne zajmie się czytaniem, więc nie weźmie nam pani za złe, że ją na krótko opuścimy.

— Ależ, panno Aylmer, proszę się o mnie nie kłopotać.

Takie i tym podobne toczyły się rozmowy, gdy nagle, po trwającym przez pełne pół godziny milczeniu, lady Aylmer rzuciła pytanie zupełnie innego rodzaju:

— Zdaje się, panno Amedroz, że syn mój pisał do pani w sprawie niejakiej pani Askerton?

Klara odłożyła robótkę i przez chwilę siedziała niemal zdziwiona. Nie tylko dlatego, że lady Aylmer zadała jej takie przykre pytanie, lecz że zadała je jakimś

szczególnym tonem — tonem rozkazu — zaś cała jej postawa świadczyła, że sprawę należy brać poważnie, a władczy błysk w oczach wyrażał przekonanie, że tą bronią zetrze wroga na proch. Belinda lekko podskoczyła na fotelu, utkwiała oczu w robótce i zaczęła szyć prędzej niż dotąd.

— Owszem, pisał — rzekła Klara widząc, że żąda się od niej bezzwłocznej odpowiedzi.

— Powinien był o tym koniecznie napisać, gdyż wiadomo mi, że pani Askerton nie jest bynajmniej taką... taką... osobą, jaką być powinna.

— Któż bywa taki, jakim być powinien? — odrzekła Klara.

— Panno Amedroz, w tego rodzaju sprawach nie jestem skłonna do żartów. Czyż nie jest prawdą, że pani Askerton...

— Proszę mi wybaczyć, lady Aylmer, ale to, co wiem o pani Askerton, zostało mi powierzone w zupełnym zaufaniu, wobec tego nie mogę nic powiedzieć o jej przeszłości.

— To pani, panno Amedroz, zechce mi wybaczyć, że muszę z panią o tym pomówić. Wobec tego, że pamiętam, w jakim charakterze zaszczyca nas pani swoją wizytą, czy mogłabym o tym nie mówić?

Belinda była pilnie zajęta szyciem i nawet nie oderwała oczu od robótki. Klara trzymając jeszcze igłę w ręku zabrała się znów do szycia i przez kilka minut nie dawała żadnej odpowiedzi. Ale lady Aylmer za wszelką ceną musiała doprowadzić do końca swoje zadanie.

— Panno Amedroz — rzekła — pani pozwoli, że w tej sprawie pozostanę przy własnym zdaniu. To temat tego rodzaju, że moim obowiązkiem jest go poruszyć.

— Ale ja nie mam tu nic do powiedzenia.

— Przecież pani sama przyznała, że prawdą jest to, co twierdziliśmy o tej kobiecie.

Klarę zaczął ogarniać gniew. Na policzkach jej wystąpiły dwie czerwone plamy, a czoło przecięła zmarszczka. Nie wiedziała jeszcze, co ma powiedzieć i jak się zachować. Starła się rozważyć, w jaki sposób potrafi najdobitniej okazać swoją niezależność. Była jednak w pełni zdecydowana, że nawet na cal nie ustąpi lady Aylmer.

— Więc możemy uważać, że pani sama to przyznała? — zapytała jej lordowska mość.

— Nie przypominam sobie, lady Aylmer, bym miała pani coś przyznawać ani bym miała powiedzieć coś, co by panią upoważniało do zadawania mi w tej sprawie pytań.

— Czyż potrzebne mi jest takie upoważnienie od młodej osoby, która powiada, że zostanie moją synową!

— Tego nie powiedziałam. Nie mówiłam nic podobnego!

— W takim razie, panno Amedroz, na jakiej podstawie czyni pani nam zaszczyt



przebywając w Aylmer Parku?

— Na bardzo nierozsądnej podstawie.

— Na nierozsądnej podstawie? Co to ma znaczyć?

— To znaczy, że postąpiłam nierozsądnie przybywając jako gość do domu, gdzie jestem narażona na podobne wypytywania.

— Belindo, czy słyszałeś kiedy coś podobnego? Panno Amedroz, muszę ciągnąć dalej tę rozmowę, bez względu na to, że się to pani nie podoba. Przeszłość tej kobiety, która nie wiem, czy istotnie jest panią Askerton...

— Ona jest panią Askerton — rzekła Klara.

— Nie jestem tego zupełnie pewna i nie sędzę, by w tej kwestii pani była lepiej poinformowana ode mnie. Natomiast wszystkim nam wiadomo, czym była. — Lady Aylmer podniosła głos i mówiła dalej z całą elokwencją, do jakiej pobudzało ją oburzenie. — Czym była, wiemy, a teraz zapytuję panią, spełniając w ten sposób obowiązek wobec syna, czy pani zerwała stosunki z osobą o tak złej reputacji, z osobą, z którą nawet daleka znajomość przynosi wstyd?

— Znam ją i uważam...

— Proszę chwilę poczekać. Moje pytania są następujące: Czy pani położyła kres tej znajomości? I czy pani jest gotowa przyrzec, że już nigdy jej nie wznowi?

— Nie, nie położyłam kresu tej znajomości albo raczej serdecznej przyjaźni i gotowa jestem przyrzec, że i nadal będę ją podtrzymywała całym sercem.

— Belindo, słyszysz?

— Tak, mam. — I Belinda wolno potrząsnęła głową, a potem opuściła ją jeszcze niżej niż przedtem.

— Więc takie jest pani postanowienie?

— Tak, lady Aylmer. Takie jest moje postanowienie.

— I uważa pani to za stosowne dla młodej panny?

— Tak jest. Uważam to za stosowne dla młodej panny.

— Więc niech pani pozwoli sobie powiedzieć, panno Amedroz, że różnimy się w tej sprawie najzupełniej, najzupełniej. — Powtórzywszy to ostatnie słowo lady Aylmer podniosła w górę obie ręce, jak gdyby wzywała niebiosa na świadka, do jakiego stopnia różni się od panny Amedroz.

— Niestety, lady Aylmer, nic na to nie poradzę, a nawet wydaje mi się, że różnimy się ze sobą co do wielu rzeczy.

— Ja również jestem tego zdania. Tak, jestem również tego zdania. I nie potrzebuję pani zapewniać, jak mało bym nad tym ubolewała, gdyby nie to, że pani opanowała mego nieszczęsnego syna...

— Ja opanowałam pani syna! Lady Aylmer, jak pani śmie obrażać mnie w taki sposób! — Belinda raz jeszcze podskoczyła na fotelu, ale lady Aylmer zdawała się delektować tą burzą.

— Nie ulega wątpliwości, że on ma zobowiązania wobec pani. I to jest

prawdziwym jego nieszczęściem. Rzecz prosta, skoro się dowie, jak pani się odnosi do tej... osoby, to sam się wyplącze z matni.

— Może się wyplątać z matni, kiedy tylko zechce — rzekła Klara wstając z krzesła. — Ja go z niej uwalniam. Zawiadomię kapitana Aylmera, że nasze narzeczeństwo musi ulec zerwaniu, o ile nie przyrzeknie mi, że w przyszłości nie będę już nigdy narażona na bezpodstawne impertynencje ze strony jego matki. — Po czym wyszła z pokoju nie słysząc ostatniego strzału, jaki został do niej wymierzony, i nie zwróciwszy nań uwagi.

Co miała teraz robić? Klara poszła do swego pokoju dodając sobie ducha, a nawet znajdując pociechę w wewnętrznym przekonaniu, że nic na świecie nie skłoni jej do tego, by raz jeszcze zasiadła do stołu razem z lady Aylmer, a także nigdy dobrowolnie nie wejdzie do pokoju, gdzie przebywa lady Aylmer, i do niej nie przemówi. Ale co powinna zrobić zaraz, teraz? Nie mogła wyjechać z Aylmer Parku, zanim nie postanowiła, dokąd pojedzie. Nie będzie mogła w żaden sposób opuścić tego domu jeszcze dzisiejszego popołudnia. Niemal zdecydowała się już, że pojedzie do pani Askerton. Między nią i kapitanem wszystko oczywiście było skończone, więc pod tym względem nic nie stało na przeszkodzie w wykonaniu tego planu. Ciekawe, czego w tym wypadku życzyłyby sobie kuzyn Will? Był teraz jedynym przyjacielem, do którego mogła zwrócić się po radę. I cóż by jej poradził? Czy powinna napisać do niego? Nie, tego zrobić nie mogła. Nie mogła zdobyć się na napisanie, że „uwikłanie w matni” Aylmerów już się skończyło. Gdyby mu to napisała, on przy swoim temperamentie nadałby temu listowi głębsze znaczenie, co bynajmniej nie było jej zamierzeniem. Mimo wszystko jednak napisze do kapitana Aylmera. Doszła do przekonania, że powinna to zrobić niezwłocznie, i zaczęła pisać. Zaledwie jednak napisała: „Drogi kapitanie”, zorientowała się, że niełatwo jej będzie taki list napisać. Zastanawiając się nad trudnością zredagowania listu przypomniawszy sobie, że gdyby nawet wysłała go zaraz, to i tak nie doszedłby do rąk adresata przed jego wyjazdem z Londynu. Jeżeli miała go w ogóle napisać, to tylko pod adresem Aylmer Parku, a wobec tego nie ma różnicy, czy go napisze dziś, czy jutro. Poniechała więc na razie wykonania tego zadania.

Napisała zatem list tylko do pani Askerton i miała go wysłać albo nie wysłać zależnie od tego, co jutro postanowi. W liście tym oznajmiła, że zamierza wyjechać stąd nazajutrz po powrocie kapitana Aylmera i prosi o udzielenie jej gościny w willi Belton. Oczekiwała odpowiedzi na adres Hotelu Dworcowego.

Przed wieczorem zjawiła się pokojówka Richards ofiarując swoją pomoc przy ubieraniu do obiadu. Powiedziała to tonem świadczącym niewątpliwie, że wie wszystko o dzisiejszej kłótni. Ale Klara oświadczyła, że nie zamierza przebierać się, gdyż nie zejdzie na obiad, i prosi tylko o przysłanie jej do pokoju herbaty. Nie tłumaczyła się nawet wymówką, że boli ją głowa. Na chwilę przed podaniem obiadu przysłała na górę Belinda i z podnieceniem, ale i z powagą, radziła, by panna

Amedroz zgodziła się zejść na dół.

— Mama uważa, że bez względu na to, jak się sprawa zakończy, będzie lepiej, jeśli pani ukaże się przy stole.

— Ale ja nie mam wcale zamiaru ukazać się przy stole.

— Wie pani, tu chodzi o służbę...

— Zapewniam panią, panno Aylmer, że służba mnie nic nie obchodzi. Doprawdy nic a nic.

— I papie będzie nieprzyjemnie.

— Niezmiernie żałuję, że sprawię przykrość sir Anthony'emu, ale nic na to nie poradzę. To nie moja wina.

— Mama powiada, że Fryderyk również by sobie tego życzył.

— Wobec tego, co matka pani zrobiła, jego życzenia nie miałyby chyba znaczenia, nawet gdyby ona wiedziała, czego on sobie życzy, w co wątpię.

— Gdyby pani zechciała się nad tym zastanowić, uznałaby pani za właściwe zejść na dół. Przede wszystkim należy unikać otwartej kłótni w obecności służby.

— Powtarzam pani, panno Aylmer, że służba mnie nie obchodzi. Po tym, co zaszło na dole, musiałam namyślić się, co mam dalej robić. Proszę powiedzieć matce, że jeżeli pozwoli, pozostanę jeszcze trochę w Aylmer Parku.

— Naturalnie. Będzie zachwycona.

— Jeżeli pozwoli, zostanę tu aż do następnego dnia po powrocie kapitana Aylmera. Potem wyjadę.

— Dokąd, panno Amedroz?

— Już napisałam do przyjaciółki prosząc o udzielenie mi gościny.

Przez chwilę panna Aylmer milczała, zanim zadała nowe pytanie, tym razem jednak ton jej głosu i całe zachowanie świadczyło, że zadając je, zdobyła się na całą odwagę, na jaką ją było stać.

— Do jakiej przyjaciółki, panno Amedroz? Mama byłaby rada to wiedzieć.

— Jest to pytanie, którego lady Aylmer nie ma prawa mi zadawać — odparła Klara.

— No cóż! Oczywiście, jeżeli pani nie życzy sobie na to odpowiedzieć, to nie ma już o czym mówić.

— Tak, panno Aylmer, nie życzę sobie odpowiadać na to pytanie.

Tego wieczoru podano Klarze herbatę do jej pokoju, gdzie pozostawała przez następny dzień. Cała rodzina na dole czuła się nieswojo. Sir Anthony nie mógł zrozumieć, dlaczego gość nie opuszcza swego pokoju; nie było w tym nic dziwnego, lady Aylmer bowiem udzieliła mu bardzo skąpych informacji, zaś Belinda nie potrafiła usiedzieć przy stole lub zamienić paru zdawkowych słów z ojcem czy matką nie okazując, że stało się coś niezwykłego. Nazajutrz odesłano korespondencję na pocztę i list do pani Askerton odszedł wraz z innymi, a w oznaczonym terminie przyjechał kapitan Aylmer. W godzinę po jego przybyciu

wysłano na górę Belinę z zapytaniem, czy panna Amedroz zechce go przyjąć. Panna Amedroz zgodziła się, ale pod warunkiem, że nie będą od niej wymagać, by widziała się z lady Aylmer.

— Może być o to spokojna — rzekła na to jej lordowska mość — nie zobaczy mnie już nigdy w życiu, o ile mnie nie przeprosi i nie przyrzeknie, że zerwie wszelką znajomość z tą kobietą.

Wobec tego spotkanie między Klarą i narzeczonym odbyło się w saloniku na górze.

— Co się stało, Klaro? — zapytał od razu kapitan.

— Stało się to, że twoja matka rozmyślnie mnie obraziła.

— Matka twierdzi, że ty byłaś dla niej niegrzeczna.

— Niech i tak będzie, możesz sobie wierzyć, w co ci się podoba, a zapewne wolisz wierzyć raczej jej niż mnie.

— Ale nie życzę sobie żadnych kłótni.

— A jednak to była kłótnia, panie kapitanie, i muszę opuścić pański dom rodzinny. Po tym, co zaszło, nie mogę tu dłużej zostać. Pańska matka powiedziała... Nie mogę powtórzyć, co mi powiedziała, ale wystąpiła przeciw mnie z zarzutami, o których wiedziała, że będą dla mnie najcięższe do zniesienia.

— Jestem pewien, że ją źle zrozumiałaś.

— Przeciwnie, doskonale ją zrozumiałam.

— A dokąd zamierzasz się udać?

— Do pani Askerton.

— Ależ, Klaro!

— Już do niej napisałam prosząc o gościnę na pewien czas. W gruncie rzeczy nie mam innego wyboru.

— Jeżeli do niej pojedziesz, to między nami wszystko skończone.

— Tak, między nami musi się skończyć to, co nazywasz „wszystkim” — rzekła z uśmiechem. — Nie byłoby dla ciebie dobrze, gdybyś miał wprowadzić do rodziny żonę, o której twoja matka ma tak fatalną opinię.

Niejedno sobie jeszcze powiedzieli, a kapitan Aylmer chodząc bezustannie po pokoju tam i z powrotem usiłował wymyślić coś, co do pewnego stopnia mogłoby matkę ułagodzić. Gdyby Klara zgodziła się choć na wysłanie do pani Askerton depeszy, w której zawiadomiłaby ją, że zmieniła swoje plany. Ale Klara nie zgodziła się na wysłanie takiej depeszy i tego samego wieczoru spakowała rzeczy. Kapitan Aylmer widział się z nią jeszcze kilkakrotnie, zmuszając Belinę do biegania tam i z powrotem i proponując coraz to nowe spotkania, co trwało aż do północy. Wszystko to jednak okazało się daremne i nazajutrz rano Klara opuściła Aylmer Park, udając się sama powozem państwa Aylmer na stację. Kapitan zaproponował, że ją odwiezie, ale Klara tak stanowczo odrzuciła jego propozycję, że przestał nalegać. Tego ranka nie zobaczyła się już z żadną z pań, tylko sir

Anthony zszedł do hallu, by ją pożegnać i życzyć szczęśliwej podróży.

— Jest mi bardzo przykro — powiedział jej — że tak się stało.

— Ja również żałuję — odrzekła — ale to się musiało stać. Żegnam pana, sir Anthony.

— Mam nadzieję, że kiedyś jeszcze spotkamy się w przyjemniejszych warunkach.

Na to Klara nie dała żadnej odpowiedzi i kapitan Aylmer pomógł jej wsiąść do powozu.

— Jestem taki oszołomiony — powiedział jej — że na razie nie mogę ci powiedzieć nic określonego, ale napiszę, a może nawet przyjadę do ciebie.

— Proszę cię, nie przyjeżdżaj do mnie — odrzekła.

Po czym powóz ruszył w kierunku stacji, a Klara mijając bramy parku wiedziała, że zgodnie z jej życzeniem jest to ostateczne pożegnanie z Aylmer Parkiem.

## ROZDZIAŁ XXVII

### Z powrotem w Belton

Po odjeździe powozu sir Anthony i kapitan Aylmer stali jeszcze przed drzwiami wiodącymi do hallu. Służba rozeszła się, a ojciec i syn spoglądając na siebie czuli, że i oni powinni się rozstać albo rozpocząć rozmowę na temat nagłego odjazdu gościa. Młodszy dżentelmen wolałby tej rozmowy uniknąć, ale sir Anthony był ciekaw dowiedzieć się, co zaszło w domu podczas kilku ostatnich dni.

— Mam wrażenie — rzekł — że sprawy ułożyły się niezupełnie pomyślnie.

— Zdaje mi się — odparł syn — że sprawy rzadko kiedy układają się zupełnie pomyślnie.

— Powiedz mi, Fred, o co tu chodzi? Matka twierdzi, że panna Amedroz zachowała się wobec niej bardzo brzydko.

— A panna Amedroz twierdzi, że to matka zachowała się wobec niej brzydko.

— Oczywiście. To zupełnie naturalne. Ale co ty o tym sądzisz?

— Na razie nic. Czego nie można poprawić, lepiej cicho w sobie strawić.

— To wszystko bardzo pięknie, ale wydaje mi się, że ty w twoim położeniu musisz się na coś zdecydować. Krótko mówiąc, czy ona ma zostać twoją żoną?

— Daję ci słowo, ojczu, że sam nie wiem.

Stali jeszcze pod portykiem, a ponieważ przez kilka minut sir Anthony nie zadawał dalszych pytań, kapitan Aylmer odwrócił się, jak gdyby chciał wejść do domu. Ale ojciec miał jeszcze kilka słów do powiedzenia.

— Nie odchodź, Fred, przecież nieczęsto nudzę cię swoimi radami.

— Zawsze chętnie gotów jestem ich wysłuchać, ojczu.

— Wiem, że w większości spraw twój sąd bywa trafniejszy od mojego. Korzystałeś z przywilejów, jakich ja nigdy nie miałem. Natomiast ja posiadam więcej doświadczenia niż ty, drogi chłopcze. Tak, samo się przez się rozumie, że w niektórych sprawach mam więcej doświadczenia niż ty.

W głosie ojca, gdy to mówił, zabrzmiała nuta melancholii, co wzruszyło syna i obaj panowie zbliżyli się do siebie i weszli na ganek.

— Słowo daję — mówił dalej sir Anthony — że lepiej ci jest teraz, niż gdybyś się ożenił.

— Czy to ma znaczyć, że żaden mężczyzna nie powinien się żenić?

— Nie, tego nie chciałem powiedzieć. Najstarszy syn powinien się ożenić, by mieć spadkobiercę, któremu przekaze majątek. Sądzę, że ludzie ubodzy także powinni się żenić, żeby ich żony dla nich pracowały. Zdarza się czasem, bez wątpienia, iż mężczyzna bardzo się w pannie zakocha, skompromituje się czy coś w tym rodzaju. I nigdy nie radziłbym, by splamił swój honor! — Sir Anthony uniósł się nieco na swoich dwóch laskach i powiedział to śmielszym tonem. Ściszył jednak głos, gdy z dziedziny honoru obniżył lot do dziedziny rozwagi. — Ale żadnego z tych przykładów nie da się zastosować do ciebie, Fred. Perivale przypadnie tobie, ale skoro to nie jest majątek rodzinny, korzystniej dla ciebie byłoby go sprzedać; jeżeli zaś chodzi o wygodę, to możesz sobie urządzić o wiele wygodniejsze życie nie mając żony, niż gdybyś się ożenił. Bo i po cóż ci żona? Jeżeli chodzi o pannę Amedroz, to muszę przyznać, że niezwykle mi się podobała, i w stosunku do mnie była bardzo miła. Ale tak czy inaczej, nie jesteś w niej do tego stopnia zakochany, byś nie mógł bez niej żyć.

Umilkł i spojrzał prosto w twarz syna. Fred również na swój sposób zastanawiał się już nad tą sprawą, zadając sobie pytanie, czy rzeczywiście tak bardzo kocha Klarę, że nie mógłby bez niej żyć.

— Rzecz prosta — mówił dalej sir Anthony — nie jest mi wiadomo, co teraz właśnie zaszło między nią i tobą albo między nią i twoją matką, przypuszczam jednak, że można by całą tę sprawę zakończyć bez dalszych dla ciebie przykrości i bez jakiegoś brzydkiego kroku z twojej strony.

Na to kapitan Aylmer nic nie odpowiedział. Nie ulegało wątpliwości, że całą tę sprawę można będzie zakończyć, ale nie chciał okazać się niesprawiedliwym ani nieszlachetnym, a szczególnie pragnął uniknąć jakiegoś brzydkiego kroku.

Po krótkiej przerwie sir Anthony mówił dalej, szafując słowami pełnymi doświadczenia.

— Oczywiście małżeństwo to dobra rzecz. Sam ożeniłem się wcześniej i zawsze uważałem twoją matkę za najzaczniejszą kobietę. Drugiej takiej nie ma na świecie. Jestem tego najzupełniej pewny. Ale Bóg mi świadkiem... Chyba sam widzisz... Nie mam tu nic własnego. Siedzę jak uwiązany i nie mogę się stąd ruszyć. Nie mogę wydać na siebie ani szylinga mając dokoła tylu rozleniwionych darmo-

zjadów, którzy mnie powoli zjadają. Nie ma w całym Londynie urzędniczyny zarabiającego sto funtów rocznie, który nie byłby ode mnie bogatszy w gotówkę. Jakież to życie mam w tym wielkim domu z niekończącymi się ogrodami i z całym tym majątkiem? Jaka mi to daje przyjemność? Oto do czego prowadzi małżeństwo i konieczność podtrzymywania w hrabstwie godności nazwiska! A cóż mnie obchodzi hrabstwo! Niech je diabli! Żałuję, że nie jestem tak jak ty młodszym synem.

Na to wszystko kapitan Aylmer nie znalazł odpowiedzi. Nie uległo wątpliwości, że podeszły wiek i dostatnie życie uczyniły ojca niezdolnym do pędzenia wymarzonej egzystencji i że zbyt obfity stół i nadmierne używanie trunków prawdopodobnie dawno wpędziłyby go do grobu, gdyby taki sposób życia był dla niego dostępny. Tego jednak syn nie mógł ojcu powiedzieć. Usiłując dostosować jego słowa do samego siebie, kapitan Aylmer doszedł do przekonania, że kawalerskie życie będzie mu może najbardziej odpowiadało. Z tym zastrzeżeniem jednak, że dążąc do tego nie pozwoli sobie na żaden brzydki postępek. Przynależał to sobie. Klara musi okazać, że jakoś pozwoli przywołać się do rozsądku i że będzie się stosowała do ogólnie przyjętych zasad. Jednocześnie zdając sobie sprawę z porywczego charakteru matki, zdobył się na wspaniałomyślne postanowienie: nawet teraz pozostawi pannie Amedroz jeszcze jedną szansę.

W Londynie Klara zastała w hotelu krótki liścik od pani Askerton, która w gorących słowach pisała, że zrobi wszystko, by zapewnić jej wygodny pobyt w willi na tak długo, jak będzie sobie tego życzyła. Może jednak właśnie ów nadmiar wyrażonego w ten sposób uczucia sprawił, że Klara niemal wzdrygnęła się przed spełnieniem swego zamiaru. Pani Askerton niewątpliwie gorąco pragnęła jej przyjazdu, ale czy Will Belton zaaprobowałby tę wizytę i co by na to powiedziała kuzynka Mary? Jeżeli jedzie tam wbrew woli, zmuszona do tego impertynencjami lady Aylmer, jeżeli zdecydowała się na ten krok dlatego, że lady Aylmer była temu przeciwna, jeżeli robiła to wbrew życzeniom przyszłego męża i własnemu rozsądkowi, to jakże mogła się nie wzdrygnąć? Mimo wszystko jednak wierzyła, że postępuje słusznie. Gdyby miała przyjaciela, który by jej doradził, kogoś, komu ufałaby bez zastrzeżeń, że potrafi ją pokierować! Dotychczas skwapliwie sprzeciwiała się wszelkim autorytetom. Buntowała się przeciw ciotce, ojcu i narzeczonemu. Teraz jednak z całego serca pragnęła mieć kogoś, komu mogłaby się poddać z całą ufnością. Gdyby wiedziała, co o tym wszystkim myśli kuzyn Will! Czują, że jemu mogłaby w zupełności zaufać, gdyby zechciał być naprawdę jej bratem.

Ale teraz było już za późno na wahanie. Toteż następnego dnia wysiadła ze starej dorożki przed drzwiami willi pułkownika Askertona. Pułkownik wyszedł na jej spotkanie i powitał ją z wielką serdecznością. Dotychczas łączył ich dość chłodny stosunek, wynikający raczej z trybu życia pułkownika niż z wzajemnej niechęci.

Od czasu przyjazdu do Belton pani Askerton pragnęła nawiązać stosunki towarzyskie, ale pułkownik bynajmniej nie był do tego skłonny. Zamieszkał tu w poszukiwaniu samotności i był rad, że tę samotność znalazł. Teraz Klara przybyła do jego domu jako gość, więc potraktował ją w zupełnie inny sposób.

— Jesteśmy niezmiernie radzi powitać panią w naszym domu — rzekł ujmując jej obie ręce.

Klara weszła do willi i za chwilę znalazła się w objęciach przyjaciółki.

— Droga Klaro, moja najdroższa, jestem taka szczęśliwa, żeś do nas przyjechała.

— Dziękuję, jesteś bardzo dobra.

— To raczej ty jesteś dobra, że zechciałaś do nas przyjechać. Zresztą nie będziemy się o to sprzeczać. Obie postaramy się być dobre. A on jest taki rad z twojego przyjazdu. Wkrótce sama się przekonasz. Ale chodźmy na górę. W twoim pokoju zapalono w kominku, a ja sama pomogę ci przy rozpakowaniu i będziemy mogły swobodnie porozmawiać.

Klara stosownie do zaproszenia poszła na górę, usiadła przy kominku, a pani Askerton uklękła przy niej — widocznie lubiła klękać — i wtedy Klara pomyślała, że willa w Belton jest znacznie przyjemniejsza niż dwór w Aylmer Parku. Podczas całego pobytu w Aylmer Parku w uszach jej nie zabrzmiało ani razu słowo prawdziwej przyjaźni. Wszystko tam było chłodne i oficjalne, aż wreszcie ten chłód i oficjalność ustąpiły miejsca gwałtownej impertynencji.

— A więc posprzeczałaś się z jej lordowską mością. Wiedziałam, że tak się stanie.

— Nie wspomniałam ci ani słowem o jakiejś sprzeczce z nią.

— Ależ tak, wspomniałaś. Nie bądź taka nieszczerą. Przecież stoczyłaś tam prawdziwą bitwę, nieprawdaż?

— Tak, coś w tym rodzaju.

— Bardzo mnie to cieszy — rzekła pani Askerton zacierając ręce.

— Nie bądź złośliwa.

— Dobrze, dobrze, niech sobie będę złośliwa. Człowiek nie zawsze może być dobrotliwy, bo i na cóż by mu się to przydało? Więc jaka jest ta kobieta?

— O Boże! Trudno mi ją opisać! Jest duża, nosi sztuczną grzywkę, wszystkim się osobiście zajmuje i nie wątpię, że na swój sposób jest bardzo zacna.

— Jakbym ją widziała. Prawdziwy filar cnoty, jeżeli idzie o moralność i chodzenie do kościoła. Biada mi! Czy ona wie, że tu przyjechałaś?

— Z pewnością. Nie powiedziałam o tym ani jej, ani jej córce. Powiedziałam tylko kapitanowi Aylmerowi.

— Słusznie. Zupełnie słusznie. Bardzo mnie to cieszy. Któż by wątpił, że potrafisz zachować się właściwie? A cóż on na to powiedział?

— Prawie nic.

— Nie chcę cię męczyć wypytywaniem o niego. Nie mam najmniejszej



wątpliwości, że wszystko obróci się na dobre. A sir Anthony, jakiego to rodzaju człowiek?

— Ot zwykły, przeciętny człowiek. Cierpi na podagrę i w niczym nie przypomina swojej energicznej żony. Z nich wszystkich jego polubiłam najwięcej.

— Może dlatego, że najmniej go widywałaś.

— Na swój sposób był dla mnie bardzo uprzejmy.

— A one zachowywały się jak jędze. Rozumiem to wszystko i widzę ich, jakbym tam była. Przeczynałam, że tak będzie, gdy mi powiedziałaś, że wybierasz się do Aylmer Parku. Mogłam to wszystko z góry przepowiedzieć.

— Szkoda, że tego nie zrobiłaś.

— Na nic by ci się to przydało, a twój wyjazd tam wyszedł ci tylko na dobre. Nie wątpię, że na niejedną rzecz otworzyły ci się oczy. Ale przyznaj się, czy powiedziałaś kuzynom w Norfolk, że wybierasz się do nas?

— Nie, nie pisałam do nich.

— Nie gniewaj się na mnie, jeżeli ci coś powiem. Ja...

— Co chciałaś powiedzieć?

— Zawiadomiłam pana Beltona, że masz do nas przyjechać. A było to tak: musiałam do niego napisać w sprawie przedłużenia dzierżawy willi. Mąż mój zwykle prosi mnie, bym za niego pisała, a przecież musieliśmy ustalić coś w tej sprawie.

— Niepotrzebnie mu o mnie wspomniałaś.

— Nie mogłam się od tego powstrzymać. Co byś sobie o mnie pomyślała i co by on o mnie pomyślał, gdybym pisząc do niego nie wspomniała o takim wydarzeniu jak twój przyjazd? Zresztą znacznie lepiej, by o tym wiedział.

— Niepotrzebnie mu o mnie wspomniałaś.

— Pewnie wstydzisz się, że dowiedział się o twoim przyjeździe do nas — powiedziała pani Askerton tonem wyrzutu.

— Ja miałabym się tego wstydzić? Nie, wcale się nie wstydzę. Ale wolałabym, żeby jeszcze teraz o tym nie wiedział. I tak wkrótce by mu o tym powiedziano.

— Ale nie gniewasz się na mnie?

— Jak mogłabym się gniewać na kogoś, kto jest dla mnie taki dobry?

Wieczór upłynął bardzo przyjemnie i znalazłszy się w swoim pokoju Klara niemal ze zdziwieniem stwierdziła, że czuje się tu zupełnie jak w domu. Nazajutrz obie z panią Askerton udały się do starego domu w Belton, gdzie obeszy wszystkie pokoje, a Klara siadała na fotelach, na których dawniej zwykła była siadywać. Na kanapie, w tym samym miejscu, gdzie go kiedyś Belton rzucił, Klara znalazła klucz od piwnicy. Wzięła go do ręki, zamierzając oddać służącej, ale po namyśle położyła z powrotem na kanapie. Był to jego klucz, zostawił go na kanapie, a jeśli kiedy nadarzy się sposobność, Klara przypomni mu, gdzie go ma szukać. Potem poszły zobaczyć krowę Bessy, która pasła się w niewielkim ogrodzeniu przy domu.

— Kochana Bessy — powiedziała Klara — patrz, jak ona mnie poznaje.

Autorowi zaś wydaje się, że obłaskawiona krówka poznałaby każdego, kto tak jak Klara przynosiłby jej przysmaki.

— Ona jest tutaj uważana za coś równie świętego jak w krainie czcicieli krów — powiedziała pani Askerton. — Doi się ją i sprzedaje masło, ale pod każdym innym względem nie uważa się jej za zwykłą krowę.

— Biedna Bessy — westchnęła Klara — żałuję, że się tu znalazła. Co teraz z nią zrobić?

— Co z nią zrobić? Ona tu zostanie, dopóki nie umrze naturalną śmiercią, a wtedy dwoje romantycznych żałobników odprowadzi ją do grobu, roniąc pokrzepiające łzy żalu i wspominając minione dni; z czasem Bessy wyrośnie do roli symbolu przeszłości, o którym nie wspomina się nigdy bez wzruszenia. Mogę bez najmniejszego trudu przepowiedzieć jej przyszłość i pośmiertną pamięć o niej.

Przez cały ranek obie panie krążyły po ogrodzie wśród folwarcznych zabudowań i po całym domu, wspominając na każdym kroku Willa Beltona. Klara nie chciała iść w kierunku skał, mimo iż pani Askerton kilka razy usiłowała ją tam zaprowadzić. On zapowiedział, że nigdy już tam nie przyjdzie, chyba w zupełnie innych okolicznościach. Klara wiedziała, że podobne okoliczności nigdy się nie zdarzą, a mimo tego i ona tam nie pójdzie. Nie pójdzie tam nigdy, dopóki Will się nie ożeni. Wtedy, jeżeli kiedykolwiek znajdzie się znów w Belton, będzie się tam wymykała samotnie i pozwoli sobie na wspomnianie dawnych dni.

Nazajutrz rano nadszedł do Klary list ze stemplem pocztowym z Downham — ale od pierwszego spojrzenia wiedziała, że to list nie od Willa. Gdy mu czas pozwalał, Will pisał wyraźnie, kaligraficznie, śmiałym rondem, szczególnie na początku listu, dalej litery stawały się coraz mniej wyraźne, aż wręcz nieczytelne, gdy, jak było w jego zwyczaju, pośpiesznie kończył swój list. Natomiast adres tego listu był napisany ładnym, drobnym, kobiecym pismem o starannym rysunku liter i nienagannej kaligrafii. List był od Mary Belton, która dotychczas nie miała sposobności do prowadzenia z Klarą korespondencji. Treść jego była następująca:

Plaistow Hall, kwiecień 186...

Droga kuzynko Klaro!

William otrzymał od Twoich przyjaciół, dzierżawiących dom w Belton, list z zapytaniem, czy będą mogli nadal dzierżawę tę utrzymać. Brat mój odpowiedział, że nie widzi w tej kwestii żadnych trudności, o ile pragną tam dalej pozostać. Jednocześnie pani Askerton doniosła mu, że oczekuje Twojego przyjazdu do willi, i dlatego list ten adresuję do Belton w przypuszczeniu, że Cię tam zastanie.

Dotychczas nie poznałyśmy się, czego bardzo żałuję, lecz mam nadzieję, że

niebawem będziemy mogły to sobie powetować. Jak Ci zapewne wiadomo, jestem tak niedołączną istotą, że nie mogę tak jak inni podróżować po świecie, by odwiedzać przyjaciół, w każdym razie przyszłoby mi to z trudnością, i dlatego piszę ten list z prośbą, byś zechciała do mnie przyjechać. Dom nasz jest stary i na swój sposób interesujący i choć nie będę przed Tobą ukrywała, że życie, jakie tu pędzimy, jest bardzo, ale to bardzo spokojne, postaram się uczynić wszystko, by Twój pobyt upłynął przyjemnie. Wiem, że byłaś w Aylmer Parku, gdyż William oczywiście mówił mi, że towarzyszył Ci do Londynu. Teraz dowiaduję się, że już opuściłaś Yorkshire, i przypuszczam, że nieprędko tam powrócisz. Jeżeli tak jest istotnie, to czy niedobrze by było, żebyś przyjechała do mnie choć na krótki czas?

Oboje z Willem przypuszczamy, że w chwili obecnej — choć na krótko — wolałabyś pozostać ze mną sama. William musi na pewien czas pojechać do Londynu, a potem do Belton, aby tam załatwić Twoje i swoje sprawy. Jego nieobecność ma trwać sześć tygodni. Jeżeli nie odstrasza Cię nuda w naszym domu, to bardzo proszę, byś do nas przyjechała. Zrobiłabyś mi wielką przyjemność i mam nadzieję, że i Ty także — choć może nie tak silnie jak ja — czujesz, że nie powinnyśmy dłużej pozostać dla siebie zupełnie obce. Możesz tutaj zastanowić się, co będziesz robiła potem. Przypuszczam, że pod koniec Twojego pobytu

— to znaczy, gdy do domu powróci William — przyjadą do nas nasi wujostwo ze Sleaford. Wuj jest pastorem, a gdybyś zechciała u nas dłużej pozostać, wujostwo byłoby bardzo radzi Cię poznać.

Samotna podróż z Belton do Plaistow Hall może się wydać za długa dla młodej panny, jednak w naszych czasach podróże są tak ułatwione, a młode panny stały się teraz tak niezależne, że na pewno potrafisz doskonale dać sobie radę. W nadziei, że niedługo Cię zobaczę, pozostaję

Twoją kochającą kuzynką  
Mary Belton

Klarze wręczono ten list przed śniadaniem, wobec czego mogła nie mówić pani Askerton, że go otrzymała. Od razu zrozumiała właściwą intencję tego listu: miał być wskazówką, że Plaistow Hall byłby dla niej bardziej odpowiednim miejscem odpoczynku niż willa pani Askerton, oraz zapewnieniem, że jeżeli pojedzie do Plaistow Hall, to uczyni to dla własnej wygody, a pan domu nie zamierza wykorzystać jej obecności dla swoich celów. Gdy się zastanawiała nad otrzymanym zaproszeniem, zdawało się jej, że widzi i słyszy kuzyna Willa, jak rozmawia z siostrą o jej przyjeździe i z pewną goryczą oznajmia, że zamierza na ten czas wyjechać. Po spotkaniu w Londynie kapitan Aylmer nazwał zachowanie Beltona niewybaczalnym, ale Klara nie tylko mu wybaczyła, lecz orzekła, iż zalety Willa o tyle górują nad jego wadami, że czynią z niego człowieka niemal

doskonalego.

„Nie chcę go wypędzać i własnego domu — powiedziała sobie. — Zresztą czy to nie wszystko jedno, dokąd pojedę?”

— Mój mąż otrzymał list od twojego kuzyna — oświadczyła pani Askerton, gdy obie panie zostały w pokoju same.

— Cóż on pisze?

— Ani słówka o tobie.

— To i lepiej. Sprawiałam mu już tyle kłopotów, więc jestem rada, że się ode mnie choć na pewien czas uwolni. Czy zostanieie dalej w tej willi?

— Ach, Klaro, jaka i ciebie hipokrytka! Chyba sama wiesz o tym, że jesteś hipokrytką.

— Możliwe. Ale nie wiem, dlaczego właśnie teraz mi to zarzucasz.

— Wiesz dobrze dlaczego. Czyż ty także nie otrzymałaś listu z Norfolk?

— Owszem, otrzymałam.

— Byłam tego pewna. Nie odpowiedziałby w ten sposób na mój list nie wspominając zupełnie o twoim przyjeździe, gdyby jednocześnie nie napisał do ciebie.

— Nie on do mnie napisał, ale jego siostra. Oto list. — Mówiąc to wręczyła list pani Askerton i cierpliwie czekała na przeczytanie go do końca. Przyjaciółka oddała go jej bez słowa i Klara pierwsza przerwała milczenie.

— Prawda, jaki to serdeczny list? A przecież nie znam jej wcale.

— Tak wynika z tego, co pisze.

— A mimo to list jest taki serdeczny.

— Widocznie chciała ci okazać serdeczność. Ale dla mnie ten list wcale nie jest pochlebny. Można z niego wnosić, że z taką osobą jak ja zupełnie nie trzeba się liczyć. Istotnie nie trzeba. Takie traktowanie słusznie mi się należy. Jeżeli chcesz posłuchać mojej rady, to radzę ci, byś stąd natychmiast wyjechała, tak, natychmiast.

— Ale ja nie prosiłam cię o radę, moja droga, ani nie zamierzam prosić.

— Gdybyś nie miała zamiaru stąd wyjechać, nie pokazałabyś mi tego listu.

— Jakaś ty nierozsądna! Przed chwilą nazwałaś mnie hipokrytką, dlatego że ci tego listu nie pokazałam, a teraz gniewasz się na mnie za to, że ci go pokazałam.

— Wcale się na ciebie nie gniewam. Zrobiłaś słusznie, żeś mi go pokazała. W jaki inny sposób mogłabyś postąpić stosownie do jego treści?

— Ależ ja nie zamierzam wcale tak postępować. Nie wybieram się do Plaistow Hall, a to z dwóch powodów, z których każdy w zupełności wystarczy. Właśnie teraz nie chcę się z tobą rozstać, o ile sama mnie stąd nie wygonisz, i nie chcę, by z mojego powodu kuzyn musiał opuścić własny dom.

— Po cóż musiałby go opuszczać? Dlaczego nie miałabyś do niego pojechać? Przecież go kochasz, a jeżeli chodzi o niego, to wiem, że kocha cię taką miłością,

do jakiej żaden inny mężczyzna na świecie nie jest zdolny. Jedź do Plaistow Hall i cała sprawa potoczy się gładko.

— Nie, moja droga, tego nie zrobię!

— Więc jesteś szalona. Muszę ci to powiedzieć, bo to ja skusiłam cię, byś tu przyjechała.

— Zdaje mi się, że sama się tu wprosiłam.

— Nie, to ja cię zaprosiłam i zapraszając wiedziałam, że robię źle. Chociaż miałam najlepsze intencje, postąpiłam źle. Wiedziałam, że mój mąż mnie nie pochwała, ale nie miał serca mi tego powiedzieć. Szkoda, że tego nie zrobił. Wielka szkoda.

— Droga moja, nie umiem ci wyrazić, jak bardzo krzywdzisz siebie samą i mnie także. Przecież jestem więcej niż rada, że tu przyjechałam.

— Ale nie powinnaś być rada. Gdy zaczęłaś mnie lubić, a może tylko żałować, poniżyłaś samą siebie. Czy myślisz, że ja tego nie widzę i nie rozumiem? Oczywiście przykro jest być samotną, ale ja nie mam prawa nie być samotną.

Klarze nie pozostało nic innego jak tylko przytulić do siebie biedną kobietę; uściskała ją i zapewniła o szczerym szacunku i przyjaźni. — Czy myślisz, że nie zrozumiałam tego listu? — mówiła dalej pani Askerton. — Gdyby ten list napisała lady Aylmer, byłabym go tylko wyśmiała, uważam bowiem, że jest to herod-baba, którą należy zwalczać w każdy możliwy sposób; ale list ten napisała kobieta szlachetna, nieskłonna do potępiania grzechów swych bliźnich, która we właściwy sobie mądry sposób wyraża swoje zdanie, że nie przystoi ci przebywać ze mną.

— Ona nie napisała nic podobnego.

— A czy tak nie myśli? Powiedz mi uczciwie, czy tak nie myśli?

— Nie potrzebuję się liczyć z tym, co ona myśli.

— Ale powinnaś się liczyć z tym, co myśli jej brat.

Tak już być musi, więc ukorz się od razu. Tak już być musi, i im wcześniej się poddasz, tym lepiej dla ciebie.

Z tego jasno wynika, że zrobiłaś zły wybór obierając mnie za przyjaciółkę. — Powiedziawszy to pani Askerton wstała i podeszła do drzwi. — Nie, Klaro, nie idź za mną, jeszcze nie teraz — rzekła do przyjaciółki, która również wstała, jak gdyby chcąc jej towarzyszyć. — Wrócę do ciebie, ale w tej chwili wolałabym zostać sama. I posłuchaj mnie, moja droga. Pamiętaj, że musisz odpowiedzieć kuzynce na jej list. Zrób to zaraz i napisz, że pojedziesz do Plaistow Hall. W każdym razie tak będzie lepiej dla ciebie.

Po odejściu pani Askerton Klara odpisała kuzynce, ale zaproszenia nie przyjęła. Zapewniła pannę Belton, że gorąco pragnęłaby ją poznać i ma nadzieję, iż to nastąpi niebawem w Plaistow albo w Belton, obecnie jednak czuje się zobowiązana pozostać przez pewien czas u swej przyjaciółki, pani Askerton. Po upływie godziny czy dwóch pani Askerton powróciła i Klara wręczyła jej list prosząc, by go

przeczytała.

— Mogę ci na to powiedzieć tylko to, że jesteś bardzo niemądra i nie wiesz, gdzie leży twoje szczęście. — Po głosie i zachowaniu pani Askerton można było poznać, że odzyskała równowagę. — Sądzę, że nie będzie to miało większego znaczenia, gdyż i tak wszystko zakończy się pomyślnie — powiedziała później.

Po śniadaniu pani Askerton poszła na chwilę do pokoju męża i powróciwszy oznajmiła Klarze, że pułkownik chciałby z nią pomówić.

— Ma minę poważną niczym stary sędzia — dodała — i pragnie ci zakomunikować coś bardzo ważnego. Nikt nie wygląda tak surowo jak on, kiedy nakłada na siebie sędziowską perukę i togę.

Klara udała się do gabinetu pułkownika i zasiadła we wskazanym jej fotelu. Pozostała tam dłużej niż godzinę i podczas tej godziny rozmowa toczyła się z coraz większym ożywieniem. Przybrana powaga pułkownika ustąpiła miejsca właściwemu mu zapałowi i przytaczając gorliwie argumenty chodził energicznie po pokoju, a Klara zbierała wszystkie siły, by mu dawać należyte odpowiedzi. Spodziewała się, że pułkownik także będzie ją przekonywał, jak właściwie postąpi jąc do Norfolk, ale on nie uczynił na ten temat żadnej aluzji, chociaż wszystko, co mówił, było oparte na liście, jaki otrzymał od Williama Beltona. W sprawie dzierżawy willi Belton pisał, że willa przechodzi na własność panny Amedroz i że on, Belton, postanowił unieważnić klauzulę o dziedziczeniu majątku, wobec czego posiadłość ojca przypadnie córce. „Ponieważ panna Amedroz bawi teraz u państwa — pisał dalej — proszę, by Pan zechciał pomówić z nią w tej sprawie i wytłumaczyć, że w chwili obecnej majątek należy do niej. Posiadanie go nie jest zależne od żadnego kroku z jej strony ani też od jej woli czy życzenia w tej sprawie.”

Dyskutując na temat tego punktu listu pułkownik z całą zręcznością, na jaką mógł się zdobyć, starał się Klarę przekonać, że jest spadkobierczynią ojca — niewątpliwie dzięki wspaniałomyślności kuzyna. Dodał przy tym, że ona nie ma innego wyjścia jak uznać swoje prawo do własności, którą jej w ten sposób narzucono.

Elokwencja pułkownika sprawiła, że Klara zaczęła się wahać, choć nie była jeszcze przekonana.

— To niemożliwe — powiedziała. — Skoro on ma prawo darować mi ten majątek, to i ja mam prawo oddać go z powrotem.

— O nie. W podobnych sprawach kobieta w pani położeniu może tylko zastosować się do decyzji radcy prawnego jej ojca lub przyjaciół rodziny.

— Nie widzę racji, dlaczego młoda panna miałaby mieć inne prawa niż jakiś starszy pan.

— Ale w takich warunkach starszy pan nie wahałby się ani chwili. Klauzula o dziedziczeniu była w samym założeniu okrucieństwem, a wprowadzenie jej w

życie, na skutek śmierci biednego brata pani, było dodatkowym okrucieństwem.

— To, że istnieją na świecie ludzie ubodzy, jest także okrucieństwem — dowodziła Klara — ale nie odbiera to bogaczowi prawa do posiadania majątku.

Zamienili wiele podobnych słów i argumentów, aż wreszcie Klara przekonała się, że zdaniem pułkownika Askertona, ona powinna zostać właścicielką majątku. W końcu pułkownik odważył się przytoczyć jeszcze jeden argument, co sprawiło, że Klara pośpiesznie wyszła z pokoju.

— Jestem zdania — powiedział — że istnieje sposób pomyślnego załatwienia tej sprawy.

— Jaki sposób? — zapytała Klara, zapominając w swej zapalczywości, jak oczywisty jest ów sposób, który miał jej wskazać pułkownik.

Ja sam nic o tym nie wiem — rzekł z uśmiechem — ale Mary jest zdania, że moglibyście załatwić tę sprawę między sobą... gdybyście byli razem.

— Niech pan nie słucha tego, co ona opowiada.

— Naprawdę? Postaram się ograniczyć to słuchanie, ale pani wie, jaka z niej uparta gaduła. W każdym razie wykonałem dane mi zlecenie.

Po tych słowach Klara pożegnała go i resztę popołudnia spędziła samotnie.

„To nieprawda — mówiła sobie — że majątek powinien należeć do mnie.” Już sama myśl o tym, że ona mogłaby się na to zgodzić, była dla niej przykra. Jakiś niewielki dochód z majątku, przyznany jej z braterskiej miłości przez kuzyna, jakąś pewną umiarkowaną pomoc wystarczającą jej do życia byłaby od niego przyjęła. Pomyślała, że przeznaczeniem jej jest być zależną od ludzkiego miłosierdzia, spożywać chleb ofiarowany jej z łaski przez przyjaciół; wiedziała także, że będzie jej łatwiej znieść tę łaskę od niego niż od kogokolwiek innego. Łaska ze strony Aylmer Parku czy Perivale byłaby dla niej po prostu nie do zniesienia.

Dlaczego jednak nie miałyby się stać tak, jak proponował pułkownik Askerton? Wiedziała, że kuzyn kocha ją całym sercem i że jest w tej miłości stały, w co z początku nie wierzyła. Jeżeli chodzi o nią, to i ona kocha go jak nikogo na świecie. Teraz wreszcie uświadomiła sobie, że wychodząc za mąż za kapitana Aylmera popełniłaby grzech, krzywoprzysięstwo, wyrządziłaby krzywdę jemu i samej sobie. Wszelkim widokom dojścia tego małżeństwa do skutku należało położyć kres, o ile kres, który już nastąpił, nie miał być traktowany jako ostateczny. Ale była z Aylmerem zaręczona i jeszcze jest zaręczona w chwili obecnej. Gdy ostatnio kuzyn wspomniał nazwisko kapitana, oznajmiła, że ciągle go kocha. Jakże mogła tak szybko się zmienić i przyjmując miłość innego mężczyzny? Jak mogła dopuścić, by kuzyn zawładnął jej sercem, skoro tak niedawno zgromiła go, gdy wspomniał, że nie traci jeszcze nadziei na zdobycie jej?

A jednak... jednak... Ale jeżeli chodzi o wyjazd do Plaistow, to nie ma o tym mowy!

— Widzę, że mimo wszystko zostaniesz dziedziczką — rzekła pani Askerton,

gdy tego wieczoru przysłała do pokoju Klary, by jej życzyć dobrej nocy.

— Nie, mimo wszystko nie zostanę dziedziczką — odpowiedziała Klara protestując gwałtownie.

— Tak czy inaczej, będziesz panią na Beltonie — orzekła pani Askerton.

## ROZDZIAŁ XXVIII

### Pogoń za panną Amedroz

— Możemy chyba uważać, mój drogi, iż między tobą i tą panną wszystko zostało skończone — rzekła do syna lady Aylmer tego dnia, gdy panna Amedroz opuściła Aylmer Park.

— Nic nie zostało skończone, madame — odrzekł kapitan.

— Chyba nie chcesz przez to powiedzieć, że po tym, co tu zaszło, zamierzasz nadal starać się o jej rękę.

— Z całą pewnością będę się starał z nią zobaczyć.

— W takim razie, Fryderyku, muszę ci powiedzieć, że postępujesz niesłusznie, gorzej niż niesłusznie, nawet powiedziałabym: niemoralnie, gdybym nie była pewna, że się rozmyślisz. Chyba nie chcesz mi oznajmić, że po tym, co tu zaszło, ożeniłbyś się i nią.

— Jeszcze pytanie, czy ona mnie zechce.

— Ależ to nonsens, Fryderyku. Dziwię się, że ty, który na ogół miewasz tak jasny pogląd na wszystko, w tym wypadku nie widzisz jasno. To jest wyrachowana, przebiegła dziewczyna, która prowadzi wyraźną grę w celu złapania sobie męża.

— Gdyby była taka naprawdę, starałaby się być pokorniejsza względem ciebie.

— Nic podobnego! To właśnie świadczy o jej sprycie. Na początku próbowała być pokorna, ale zorientowała się, że niełatwo jest mnie pozyskać. Proszę, nie daj się zwieść pozorom. Zresztą nie wiadomo, czy ona nie jest tak ściśle związana z tymi okropnymi ludźmi, że nie mogłaby się od nich odczepić, gdyby nawet chciała.

— Zdaje mi się, że jej nie rozumiesz.

— Być może, ale rozumiem jedno i ty również musisz to zrozumieć: że ona nigdy nie przekroczy progu domu, w którym ja jestem panią, ani ja nie przekroczę progu domu, w którym ją przyjmują. Jeżeli mimo to decydujesz się z nią ożenić, ja umywam ręce.

Lady Aylmer bynajmniej nie umyła w tej sprawie rąk, lecz czytelnik nie usłyszy już więcej nic o jej groźbach i prośbach. Syn wyjechał nazajutrz po niedzieli wielkanocnej, a po jego wyjeździe matka potrząsając głową oświadczyła córce, że małżeństwo to nigdy nie dojdzie do skutku, choćby Klara Amedroz była nie wiem jak przebiegła, a nawet mądra.



— Zastanów się, Fryderyku, nad tym, co ci powiedziałem — rzekł sir Anthony żegnając się z synem.

— Tak, ojcze, zastanowię się.

— Nie będzie ci nigdy lepiej niż teraz. Pamiętaj o tym.

Słowa te brzmiały w uszach kapitana Aylmera, gdy wyruszył do Londynu z zamiarem pojechania za Klarą do Belton. W sprawie małżeństwa nie zdobył się jeszcze na ostateczną decyzję. Był niemal skłonny zgodzić się z ojcem, że nigdy nie będzie mu tak dobrze jak teraz. Był również niemal skłonny przyznać rację matce, gdy potępiała zachowanie Klary. Był także niemal skłonny uważać, że zrobił dość dotrzymując przyrzeczenia danego ciotce na łożu śmierci, a jednak był z siebie niezupełnie zadowolony. Pragnął być uczciwy i wierny w granicach własnego pojęcia o uczciwości i wierności, a sumienie mówiło mu, że matka potraktowała Klarę w sposób okrutny. Mam wrażenie, że lady Aylmer, mimo dużego doświadczenia i mądrości, nie potrafiła prowadzić wojny dość mądrze. Żaden mężczyzna nie lubi, by matka odwodziła go od małżeństwa, szczególnie wtedy, gdy w takiej rozmowie matka używa tonu groźby. Kiedy lady Aylmer oświadczyła mu, że nigdy pod żadnym warunkiem nie uzna Klary za synową, syn, pod wpływem urażonego poczucia męskości, powiedział sobie, że groźba ta nie będzie miała na niego najmniejszego wpływu. Słowa, jakie usłyszał od ojca, bardziej go przekonały. Mimo wszystko w jego własnym wypadku byłoby może lepiej, gdyby pozostał kawalerem. Zaczął dochodzić do przekonania, że żona nie jest mu wcale potrzebna. Dotychczas nigdy tak dużo nie myślał o przykładzie, jaki dawało mu życie ojca. Było widoczne, że Klara miała charakter zapalczywy, nawet bardzo zapalczywy, zaś jego matka była również kobietą niezwykle zapalczywą, a teraz syn na przykładzie ojca widzi, jaki to dało rezultat. Kapitan Aylmer postanowił pojechać za Klarą do Belton, by tam mogli dojść do jakiegoś ostatecznego porozumienia, ale zdobywszy się na takie postanowienie, z góry powiedział sobie, że jeżeli Klara nie zgodzi się zostać jego żoną, to nie złamie mu to serca. Należało jednak dać jej jakąś szansę. Nie ulega wątpliwości, że szansę taką trzeba jej zapewnić.

Położenie, w jakim się znalazł, było tak trudne, że niemal uniemożliwiało mu powzięcie ostatecznej decyzji w stosunku do Klary. Przejeżdżając w drodze do Belton przez Londyn, wstąpił do kancelarii adwokata Greena w sprawie sumy tysiąca pięciuset funtów, które teraz należało koniecznie przekazać pannie Amedroz; tam dowiedział się od pana Greena, że William Belton dał mu wyraźne instrukcje w sprawie dalszego losu majątku Belton. Otóż Will Belton zrzekał się spadku i nie chciał mieć nic wspólnego z klauzulą o dziedziczeniu, od której skutków całkowicie pragnął się uwolnić. Adwokat Green wiedział, że kapitan Aylmer jest zaręczony z jego klientką, lecz nie wiedział, że narzeczeństwo to zostało zerwane, i bez wahania opowiedział mu całą tę sprawę.

— Przypuszczam, że pan już o tym wie — rzekł do kapitana.

Kapitan Aylmer oczywiście słyszał coś o tym i wiadomość ta zrobiła na nim duże wrażenie, lecz aż do tej chwili nie bardzo w nią wierzył. Propozycja zrzeczenia się spadku przez Williama Beltona na rzecz panny Amedroz mogła być jedynie silnym argumentem w staraniu się o nią. Znaczyło to: „Przyjmij majątek, lecz razem z nim przyjmij i mnie.” Tak właśnie kapitan mógł sobie tłumaczyć właściwe znaczenie romantycznego postępowania Williama Beltona. Musiał jednak spojrzeć na tę sprawę zupełnie inaczej, gdy dowiedział się, że została złożona w ręce adwokata.

— Tak — odparł — słyszałem. Pan Belton sam mi o tym wspomniał.

Nie odpowiadało to ściśle prawdzie. To Klara mu o tym wspomniała, ale wówczas, w tej samej chwili, do pokoju wszedł Belton i kapitan Aylmer mógł się omylić.

— Decyzja Beltona jest najzupełniej stanowcza — rzekł Green.

— Ja nie mam tu nic do powiedzenia, panie Green, gdyż sam jestem w tej sprawie do pewnego stopnia zainteresowany. Zachodzi tu jednak pytanie, do jakiego stopnia klauzula taka powinna być wykonana.

— Jestem zdania, że całkowicie — odparł adwokat. — Uważam, że Belton postępuje niesłusznie.

— A ja naturalnie nie mogę się w tej sprawie wypowiadać — odrzekł kapitan.

— Powiem panu, kapitanie, co, moim zdaniem, pan powinien zrobić. Może pan poradzić panie Amedroz, żeby zaproponowała kompromis. Należałoby majątek podzielić.

I on, i ona są moimi klientami, w ten sposób spełniłbym wobec obojga swój obowiązek. Niech podzielą majątek między siebie. Belton ma dość pieniędzy, by móc odkupić jej połowę, i w ten sposób będzie miał prawo do noszenia nazwiska Belton z Beltonu.

Kapitan Aylmer nie miał temu planowi nic a nic do zarzucenia. Uważał, że takie załatwienie sprawy będzie pod każdym względem rozsądne, a nawet zbawienne. Połowa majątku Belton warta jest przynajmniej dwadzieścia pięć tysięcy funtów, a dodanie takiej sumy do środków, jakimi sam rozporządzał, przyczyniłoby się doskonale do urzeczywistnienia jego małżeństwa. Wszelkie argumenty ojca rozsypią się w proch, jeżeli w ten sposób zdobędzie dwadzieścia pięć tysięcy funtów. Przy tym nie wątpił, że tego rodzaju zmiana sytuacji wpłynie łagodząco na gniew matki. On sam jednak nie był bynajmniej wyrachowany w swoich planach, tak mu się przynajmniej zdawało. Należało zapewnić jeszcze Klarze pewną szansę, niezależnie od tego, czy jest właścicielką majątku Belton, czy nie, i bez względu na to, czy jest właścicielką połowy, czy też nie. Tak, on sam nie był bynajmniej wyrachowany. Czyż nie oświadczył się jej, a nawet czy nie powtarzał z uporem swych oświadczeń wtedy, gdy Klara nie miała jeszcze żadnych widoków na

posiadanie majątku? Zawsze będzie o tym pamiętał, a pamiętając, że tak było istotnie, mógł delektować się myślą o widokach wielkiej zamożności nie oskarżając się bynajmniej o wyrachowanie. Fortuna ta była po prostu darem nieba, po który mógł sięgnąć czystymi rękami, o ile ostatecznie uda mu się zdobyć pannę, właścicielkę owej fortuny.

Z Londynu napisał do Klary, donosząc o swoim zamiarze odwiedzenia jej w Belton. List ten, napisany przed bytnością u adwokata Greena, nie wyrażał szczególnie serdecznych uczuć, lecz był to list uczciwy, napisany z zamiarem dania jej uczciwej szansy. Pisał, że „z wielkim bólem i serdeczną przykrością” dowiedział się o sprzeczce matki z jego kochaną Klarą. Ponieważ on sam nie może zmienić swego zdania o pani Askerton, musi przyznać, że matka miała słuszny powód, by się rozgniewać. Ale ponieważ nie uznaje przesądów, jest gotów, a nawet gorąco pragnie nie cofać danego jej słowa. Wyrazy „gorąco pragnie” były podkreślone. Sądzi, że krótka rozmowa załatwiłaby sprawę pomyślnie, i dlatego chciałby przyjechać do Belton Castle takiego to dnia i o takiej to godzinie. Po drodze zamierza wstąpić do Perivale i prosi Klarę, by tam skierowała swą odpowiedź. Taka była treść listu.

— Co o tym myślisz? — zapytała Klara panią Askerton, pokazując jej list w dniu, kiedy go otrzymała.

— A co ty o tym myślisz? — odpowiedziała pani Askerton. — Ja tylko mam nadzieję, że on nie będzie śmiał pokazać mi się na oczy.

— Czy nie gniewasz się na mnie, że ci ten list pokazałam?

— Nie, dlaczego miałabym się gniewać na ciebie? Przecież i bez pokazywania listu wiem, co on o mnie myśli. Nie mów o tym mojemu mężowi, bo gotowi się pozabijać.

— Oczywiście nie pokażę listu pułkownikowi, ale nie mogłam się powstrzymać, by go nie pokazać tobie.

— Więc chcesz się z nim zobaczyć?

— Tak, chcę się z nim zobaczyć. Nie pozostaje mi nic innego.

— Mogłabyś mu odpowiedzieć, że to na nic się nie przyda.

— Byłoby lepiej, gdyby tu przyjechał.

— Jeżeli dasz się przekonać, unieszczęśliwisz się na całe życie.

— Lepiej, żeby tu przyjechał — powtórzyła Klara. Odpisała więc kapitanowi, że będzie go oczekiwała w wyznaczonych przez niego dniu i godzinie.

Gdy dzień ten nadszedł, szła przez park przed ową godziną, bo nie chciała spotkać kapitana Aylmera, zanim nie dojdzie do domu. Była połowa kwietnia i ustaliła się ciepła i przyjemna pogoda. Mogło się zdawać, że zaczęło się już lato, i Klara pomyślawszy o tym przebiegła pamięcią wszystkie wydarzenia, jakie przytrafiły się od ubiegłego lata; smutek i rozpacz na skutek katastrofy, która zniszczyła życie jej brata, śmierć ciotki, wkrótce potem śmierć ojca, wreszcie dwie

propozycje małżeństwa, przy czym zdawała sobie sprawę, że odrzuciła tego, którego powinna była przyjąć, a przyjęła tego, którego powinna była odrzucić. W tej chwili była najzupełniej przekonana, że przed rozstaniem się z kapitanem Aylmerem powinna ostatecznie z nim zerwać. W każdym razie teraz, podczas oczekiwanego spotkania z nim, powinna to uczynić. Usiłowała dawniej wmówić w siebie, że czuła do niego to, co kobieta powinna czuć do mężczyzny, którego ma poślubić, jednak to się jej nie udało. Nie zdawała sobie sprawy, czy kiedykolwiek kochała go naprawdę, była jednak pewna, że teraz go nie kocha. Tak, z Aylmer Parkiem wszystko skończone, i mimo tylu przykrości była niezmiernie rada, że ten trudny problem nie będzie już dla niej dłużej udręką. Pokazując list kapitana Aylmera pani Askerton nie przyrzekała jej, że tak postąpi, ale postanowienie jej było stanowcze. „On z pewnością mnie nie przekona — powiedziała sobie idąc przez park.

Nie tak jasno jednak przedstawiał się jej sposób, w jaki załatwi dalsze trudności dotyczące kuzyna. Może względnie łatwo uda się jej pozbyć jednego wielbiciela, natomiast nie umiała zdobyć się na decyzję, czy powinna przyjąć drugiego. To prawda, że ten drugi marzył o niej, pragnął ją nazwać swoją jedyną, a pragnienie to było uporczywe, gorące, bolesne i ciążyło ołowiem na jego sercu, a Klara wiedziała, że tak jest istotnie. Prawdą było także, że mocą swego ducha zawładnął jej duszą, a jego wytrwałość przewyciężyła opór, z jakim broniła się przeciw własnym uczuciom. Pozostało w niej jednak poczucie kobiecego wstydu, dzięki któremu wydawało jej się niemożliwym, by mogła odrzucić kapitana Aylmera i w konsekwencji tego kroku przyjąć miłość Willa Beltona. Rozmyślając nad tym wszystkim nie widziała wyjścia ze swej trudnej sytuacji względem kuzyna z tą samą jasnością, z jaką widziała, jak ma postąpić w stosunku do kapitana Aylmera.

Weszła do domu na godzinę przed przyjazdem kapitana i żadnej godziny w życiu nie przeżyła tak ciężko. Nie miała teraz w tym domu żadnego zajęcia i mieszkająca tu obecnie stara pani Bunce nie mogła się nadziwić, dlaczego jej pani siedzi samotnie pośród nie używanych przez nikogo mebli. Klara oczywiście powiedziała, że oczekuje wizyty pewnego pana.

— Czy nie pana Willa? — zapytała kobieta.

— Nie — odrzekła Klara — czekam na kapitana Aylmera.

— Ach taki — I staruszka ze zdziwieniem spojrzała na nią. Dlaczegoż, u licha, ten pan nie składa wizyty pannie Amedroz w willi państwa Askertonów?

— Otworzę mu drzwi i wprowadzę go do panienki — powiedziała uroczyście, a Klara odczuła, że cała sytuacja jest nieprzyjemna.

Wreszcie gość przyjechał i pani Bunce wprowadziła go z zachowaniem całego ceremoniału, na jaki ją było stać.

— Oto ten pan, proszę panienki — rzekła, po czym przed odejściem zatrzymała się na chwilę chcąc się zorientować, czy nowo przybyły przychodzi jako przyjaciel

czy jako wróg. Sądząc po sposobie zachowania się kapitana doszła do wniosku, że jest bliskim i drogim przyjacielem panienki, i odeszła.

— Ufam, że mój przyjazd nie zdziwił cię, Klaro — powiedział kapitan nie wypuszczając z dłoni jej ręki.

— Trochę mnie zdziwił — odrzekła z uśmiechem.

— Ale nie sprawił ci przykrości?

— Nie, nie sprawił mi przykrości.

— Jak tylko wyjechałaś z Aylmer Parku, pomyślałem sobie, że muszę tu przyjechać, że to jedyny słuszny krok, jaki mi pozostaje do zrobienia. Powiedziałem to zresztą matce.

— Mam nadzieję, że nie zrobiłeś tego wbrew woli matki — odpowiedziała Klara nie mogąc się powstrzymać od lekko drwiącego tonu.

— W sprawie tej jestem zmuszony polegać jedynie na własnym zdaniu — odparł nie urażony jej sarkazmem.

— A więc lady Aylmer jest zapewne ogromnie zmartwiona twoim przyjazdem do mnie. Bardzo mi przykro, tym bardziej przykro, że nie wyniknie z tego nic dobrego.

— Nie jestem tego pewny. Moja matka jest niezmiernie zacną kobietą, a jej poglądy we wszystkich sprawach są dla mnie niesłychanie cenne, tak cenne, tak cenne, że...

— Że ty nie możesz nigdy postąpić wbrew jej woli. To właśnie chciałeś powiedzieć, i daję słowo, że masz chyba rację.

— Nie, Klaro, nie to chciałem powiedzieć, niezupełnie to, a nawet w tej chwili miałem na myśli coś wręcz przeciwnego. Istnieją sytuacje, w których mężczyzna powinien polegać jedynie na własnym zdaniu nie zwracając uwagi na zdanie innych.

— Nawet na zdanie matki?

— Tak, nawet na jej zdanie. To znaczy, że tak powinien postępować mężczyzna. Z kobietami rzecz ma się zupełnie inaczej. Było mi przykro, ale to bardzo przykro, że w Aylmer Parku wynikły takie nieporozumienia.

— Dla mnie również było to nieprzyjemne.

— I dla wszystkich nas, Klaro.

— W każdym razie to nie może się więcej powtórzyć,

— Mam nadzieję, że się nie powtórzy.

— Z pewnością się już nie powtórzy. Teraz widzę, że nie powinnam była pojechać do Aylmer Parku. Wiedziałam z góry, że tam wynikną różne kwestie, co do których nie będę mogła zgodzić się z lady Aylmer, i dlatego nie powinnam była tam pojechać.

— Wcale tego nie uważam, Klaro.

— Ale teraz ja tak uważam.

— Nie rozumiem cię. Jakie kwestie masz na myśli? Dlaczego wiedziałaś z góry, że nie będziesz mogła zgodzić się z moją matką? Powinnaś była raczej starać się być takiego zdania jak ona.

— Tego nie zrobię, panie kapitanie.

— Jest mi przykro, że mówisz do mnie w ten sposób. Przebyłem taki szmat drogi z Yorkshire po to, by dojść z tobą do jakiegoś porozumienia, a ty przyjmujesz mnie tak, jak gdybyś nie pamiętała o niczym poza tą przykrą sprzeczką.

— Bo to było przykre, tak niewypowiedzianie przykre! Wolę już powiedzieć ci całą prawdę. Uważam, że lady Aylmer skrzywdziła mnie w sposób okrutny. Nikt nie potrafi zachwiać we mnie tego przekonania. Oczywiście bardzo mi przykro, że zmuszasz mnie do powiedzenia ci tego, czego nie powiedziałabym nigdy, gdybyś tu nie przyjechał. Ale gdy mówisz jednocześnie o mnie i o swojej matce, muszę wyznać ci, co czuję. Twoja matka i ja do tego stopnia różnimy się nie tylko w uczuciach, ale i w poglądach, że nie mogłybyśmy nigdy zostać przyjaciółkami, a obcując z sobą musiałybyśmy się stać wrogami.

Powiedziała to gwałtownie, patrząc mu z ogniem w oczy. Kapitan siedział na krześle nieco nachylony ku niej, trzymając obiema rękami kapelusz. Słuchając, co Klara mówi, przysunął się z krzesłem bliżej, upuścił kapelusz, który potoczył się po dywanie, i patrzył w jej oczy jak urzeczony. Wreszcie powiedział:

Niezmiernie mi przykro, że mówisz do mnie w ten sposób.

— Najlepiej jest powiedzieć prawdę.

Ależ, Klaro, jeśli zamierzasz zostać moją żoną...

— O nie! Teraz to niemożliwe.

— Co jest niemożliwe?

— Niemożliwe, bym została twoją żoną. Doszłam do przekonania, że i ty sobie tego nie życzysz.

— Ale ja sobie tego życzę!

— Ach nie, nie! Gdybyś spokojnie zadał to pytanie własnemu sercu, przekonałbyś się, że sobie tego nie życzysz.

— Krzywdzisz mnie, Klaro.

— To się nie może stać.

— Nie przyjmę od ciebie takiej odpowiedzi — rzekł wstając z krzesła i chodząc tam i z powrotem po pokoju. Następnie wrócił na swoje miejsce i powtórzył raz jeszcze:

— Nie przyjmę od ciebie takiej odpowiedzi. Naszego narzeczeństwa nie można odrzucić jak starej rękawiczki. Chyba nie uważasz, że wszystko, co między nami było, nie ma żadnego znaczenia?

Było coś zbliżonego do uczucia w tonie jego głosu, było coś zbliżonego do namiętności w jego ruchach i aczkolwiek Klara nie zamierzała zmienić swego postanowienia, zrobiło się jej żal, że on czuje się nieszczęśliwy.

— Tak, to nie miało żadnego znaczenia — powtórzyła za nim. — Oboje zachowaliśmy się jak dzieci bawiące się w miłość. Była to zabawa, i której ty wyszedłeś bez szwanku, tylko ja się sparzyłam.

— Ty się sparzyłaś?

— Mniejsza o to! Nie chcę się skarżyć, zwłaszcza nie na ciebie.

— Przybyłem tu z Yorkshire taki szmat drogi, by dojść z tobą do porozumienia.

— To ładnie z twojej strony, żeś przyjechał, bardzo ładnie, i ja nie żałuję, żeś się fatygował. Stało się dobrze, że mogliśmy raz jeszcze się spotkać i porozumieć. Podczas tych strasznych dni w Aylmer Parku nikt mnie nie rozumiał. — Na chwilę umilkła, ale widząc, że on nic na to nie odpowiada, mówiła dalej: — Nie mam do ciebie żalu za to, co tam zaszło; jestem jednak pewna, że gdybyśmy się pobrali, nie byłibyśmy szczęśliwi.

— Nie wiem, dlaczego tak mówisz. Doprawdy nie wiem.

— Sprzeciwiałbyś się wszystkiemu, cokolwiek bym zrobiła. Teraz także jesteś przeciwny temu, co zrobiłam.

— Ja jestem przeciwny? Czemu?

— Temu, że zamieszkałam u mojej przyjaciółki, pani Askerton.

Słowa te uderzyły go boleśnie. Kiedy okazało się, że Klara dąży do zerwania z nim, tym goręcej zapragnął zdobyć ją i nie dopuścić do zerwania narzeczeństwa. Teraz już nie usiłował zapewnić jej jeszcze jednej szansy — jak to sobie projektował przed przyjazdem — lecz używał całej elokwencji, na jaką go było stać, by ową „szansę” zdobyć dla siebie. Lady Aylmer niemal przekonała go, że w sprawie tej Klara będzie suplikantką, tymczasem okazało się, że raczej on jest suplikantem. Tak bardzo obawiał się ją utracić, że gotów był nawet pominąć milczeniem wielkie przestępstwo, jakie popełniła w sprawie pani Askerton, ten ciężki grzech — przyczynę całego zamieszania. Kiedyś pisał do niej o pani Askerton, używając przy tym mocnych słów i grożąc jej pełną dezaprobatą swej matki. Wtedy pani Askerton była po prostu jej przyjaciółką. Wtedy nie było mowy, by miała znaleźć schronienie pod dachem tej kobiety. Teraz z pogardą odrzuciła rady lady Aylmer, przyjęła gościnę w domu państwa Askertonów, a mimo to gotów był nie sprzeciwiać się temu ani słowem. Gotów był nie tylko przebaczyć jej przeszłe winy, lecz potrafił nawet przymknąć oczy na jej obecną niegodziwość! Ale ona, ona, winowajczyni, nie pozwoliła mu na to! Przecież to ona zaczęła mówić o pani Askerton i zdawała się chlubić jej przyjaźnią.

— Ależ ja nie miałem zamiaru mówić o twojej przyjaciółce — powiedział tylko.

— Wymieniłam jej nazwisko jedynie po to, by ci dać dowód, że nie moglibyśmy zgodzić się w pewnych sprawach, w których mąż i żona powinni być jednego zdania.

Zrozumiałam to już w chwili, gdy otrzymałam twój list, i tylko moje tchórzostwo

nie pozwoliło mi wtedy powiedzieć ci tego.

— Więc chcesz się ze mną na dobre pokłócić?

— Nie, po cóż mielibyśmy się kłócić.

— To prawda, po cóż mielibyśmy się kłócić? — powtórzył.

— Chciałabym jednak ustalić, i to w sposób jak najbardziej stanowczy, że nie będziemy już podejmowali żadnej próby wznowienia naszych zaręczyn. Po tym, co zaszło, jakże mogłabym przestąpić próg domu twojej matki?

— Ależ nikt nie będzie tego od ciebie wymagał.

W obecnej sytuacji kapitan Aylmer gotów był wyrzec się wszystkiego, wszystkiego. Zdawało mu się, że potrafi ją namówić do pogodzenia się z jego matką, do przyznania, że zawiniły tu obie strony; myślał, że wystarczy, by zszedł ze swego piedestału i przedyskutował sprawę, jak gdyby stawiał matkę i Klarę na równym poziomie. Poznawszy bliżej nastrój damy swego serca, powiedział sobie, że taką dozę upokorzeń będzie musiał znieść. Teraz jednak tak dalece przekroczył te swoje zamierzenia, że w nagłym porywie gwałtownej miłości gotów był wyrzec się własnej matki i zgodzić na wszelkie warunki, jakie Klara mogłaby mu postawić.

— Pragnąłbym oczywiście, byście, ty i matka, stały się przyjaciółkami — powiedział tonem suplikanta — ale jeżeli będziesz uważała to za niemożliwe...

— Czy sądzisz, że chciałabym rozdzielić cię z matką?

— Co do tego nie powinno być żadnej kwestii.

— Mylisz się. Takie kwestie muszą powstać. Powinnam była pomyśleć o tym wcześniej.

— Klaro, ty znaczysz dla mnie więcej niż moja matka.

O wiele więcej — mówiąc to zbliżył się i ukląkł przed nią. — Jesteś dla mnie wszystkim. Nie możesz mnie odrzucić. — Błagał ją, a takie błagania robią na kobietach wielkie wrażenie. Mężczyznom często udaje się osiągnąć cel, gdy prośby swe wypowiadają gorąco i po prostu. Kobiety nie mogą odmówić tego, o co je proszą, gdy w prośbie dźwięczy siła prawdziwej namiętności. — Klaro — mówił dalej — przyrzekłaś przecież zostać moją żoną. Przyrzekłaś mi to dwukrotnie i teraz nie masz prawa cofać przyrzeczenia dlatego, że nie podobało ci się coś, co mówiła moja matka. Nie jestem odpowiedzialny za matkę. Klaro, powiedz, że zostaniesz moją żoną. — Mówiąc to chciał ująć jej rękę, a głos jego brzmiał tak, jak gdyby czuł coś bliskiego nieklamanej namiętności.



## Nie ma tu nic do opowiadania

Kapitan Aylmer nigdy dotąd nie klękał przed Klarą Amedroz. Takie klękanie bywało wśród zakochanych modne w owych czasach, bowiem zakochani bardziej niż dzisiaj cenili sobie to, o co proszą damy swego serca, lub udawali, że cenią. W każdym razie przy oświadczeniach zachowywano formę błagalnej prośby. A w naszych mądrzejszych czasach jakiś August proponuje jakiejś Karolinie, że może dobrze by było, gdyby spróbowali wspólnie zrobić z siebie parę wariatów, i w ten sposób sprawa jest załatwiona, a wszelkie błagania stają się niepotrzebne. Kapitan Aylmer pierwotnie oświadczył się Klarze mniej więcej w taki sposób. Oczywiście nie mówił o małżeństwie jak o jakimś szalonym kroku, był bowiem człowiekiem nieskłonny do żartów na ten temat; mówił spokojnie, bez entuzjazmu i rozsądnie. Nie usiłował okazać namiętności i byłby zadowolony, gdyby Klara uwierzyła, iż pragnie ją poślubić zarówno ze względu na posłuszeństwo wobec ciotki, jak i z miłości, ale zorientował się, że w takim wypadku Klara by go nie przyjęła. Aczkolwiek z tych powodów odmówiła mu już raz swej ręki, aczkolwiek zdobycie jej wymagało większego wysiłku, to przecież zdobył ją dość łatwo, wobec czego mniej ją sobie cenił. Zdaje mi się, że to samo powtarza się ze wszystkim, co cenimy: czy chodzi o konie, dom lub wina, a przede wszystkim o kobiety. Czy istnieje na świecie mężczyzna o tak szlachetnym sercu i duszy, który pokocha kobietę ze zdwojoną siłą, dlatego że owa kobieta od razu uznała go za szczyt swoich marzeń? Kapitan Aylmer, zdobywszy bez trudu swoje ostrogi, nie starał się ich należycie przymocować, a teraz ze zdziwieniem zauważył, że może je łatwo zgubić. Zdawało mu się, że byłby zadowolony mogąc uwolnić się od ich ciężaru, tymczasem obecnie, gdy mógł je zgubić, myślał, że są mu niezbędne w drodze, jaką sobie obrał.

— Klaro — zawołał klęcząc u jej boku — jesteś mi droższa niż moja matka, o wiele droższa!

Było to dla niej czymś zupełnie nowym. Dotychczas, choć nigdy nie pragnęła, by zachowywał się tak jak w tej chwili, jednak podświadomie ranił ją jego chłód, lodowata poprawność manier, niezachwiana pewność siebie. Teraz ta poprawność i niezachwiana pewność siebie znikły i oto klęczał u jej stóp. Gdyby tak się zachowywał w Aylmer Parku, byłby ją zdobył, byłby ją od razu zdobył wbrew jej woli. Ale teraz postanowiła być stanowcza. Przysięgła sobie, że nie zgubi ani siebie, ani jego, łącząc się z człowiekiem, którego nie kocha i który prawdopodobnie jej nie kocha. Ale jak miała odpowiedzieć na prośbę wyrażoną w ten sposób? Przecież ten, co zwraca się do niej, ma prawo włożyć w swoją prośbę cały żar kochanka, którego miłość została przyjęta. W tej chwili on błaga ją tylko o potwierdzenie tego, co mu już przyrzekła.

— Panie kapitanie... — zaczęła.

— Dlaczego nazywasz mnie panem kapitanem? Cóż ja zrobiłem, byś mnie mogła traktować w ten sposób? Przecież to... to... nie ja byłem dla ciebie tak przykry w Aylmer Parku.

— Nie chcę już powracać do tego tematu. To na nic się nie przyda. Proszę, niech pan wstanie. Pańskie zachowanie po prostu mnie obraża.

— Więc powiedz mi, że i tym razem pogodziliśmy się. Powiedz to, a będę się czuł szczęśliwy jak nigdy dotąd, Dopiero teraz widzę, jak bardzo cię kocham, jak byłoby mi boleśnie utracić cię. Bardzo zawiniłem. Dotychczas nie uświadamiałem sobie tego dostatecznie, ale teraz będę pamiętał.

Klara zrozumiała, że ma przed sobą bardzo trudne zadanie, tak trudne, iż po prostu zwątpiła, czy zdoła je wykonać. Tak łatwo, tak przyjemnie byłoby mu w tej chwili ustąpić. Kapitan trzymał dłoń na jej ramieniu, usiłując sięgnąć po rękę, przeszkodziła mu w tym, ale chcąc się od niego zupełnie uwolnić, musiałaby wstać. Przez chwilę milczała, jak gdyby gotowa mu ustąpić. Przez chwilę patrząc w jej oczy spodziewał się, że i tym razem odniesie zwycięstwo. Może dojrzała w jego spojrzeniu jakiś zbyt widoczny błysk przedwczesnego triumfu i to ostrzegło ją o niebezpieczeństwie.

— Nie! — powiedziała wstając i odchodząc w głąb pokoju. — Nie!

— Co oznacza twoje: „nie”, Klara? — zapytał wstając również i opierając się o stół. — Czy to, że chcesz wyprzeć się swego słowa?

— To oznacza, że nie chcę stanąć między panem i pańską matką, że nie życzę sobie wchodzić do rodziny, która mną pomiata, że nie pojedę nigdy do Aylmer Parku ani nie będę przeszkadzała, by pan tam pojechał.

— Nie musimy się oglądać na Aylmer Park.

— Nie ma o tym mowy.

— Ale jeżeli i na to się zgodzę, czy zostaniesz moją żoną?

— Nie! Panie kapitanie. Nie! Nie zostanę pańską żoną! Niech pan nie nalega więcej. Powinien pan wiedzieć, że długo o tym myślałam, zanim dałam tę odpowiedź. Dużo o tym myślałam i wiem, że postępuję słusznie.

— Więc słowo, jakie mi dałaś, nie ma żadnego znaczenia?

— Jeżeli to będzie dla pana pociechą, może pan tak mówić. Jeżeli pan nie uważa, że błąd, jaki popełniliśmy, jest zarówno moim, jak i pańskim błędem i że skrzywdził mnie on znacznie więcej niż pana, to nie będę już o tym nigdy wspominać.

— Nie było żadnego błędu i nie będzie żadnej krzywdy.

— Ach, panie kapitanie, pan tego nie rozumie i nie potrafi nigdy zrozumieć. Nie chciałabym za nic w świecie robić wyrzutów, ale czy pan sądzi, że mało wycierpiałam od pańskiej matki?

— Czy ja muszę za to pokutować?

— Nie będzie pokuty, kary ani wyrzutów. Przynajmniej z mojej strony. Proszę nie myśleć, że powoduje mną gniew albo duma, ale nie wejdę do rodziny lady Aylmer.

— To zbyt duża kara. W stosunku do tego, co się stało, to zbyt duża kara!

— Cóż mam na to powiedzieć? Czy radziłby mi pan zrobić to, co unieszczęśliwiłoby nas oboje?

— Dla mnie nie byłoby to nieszczęściem. Byłbym szczęśliwy, niewymownie szczęśliwy.

— To niemożliwe, panie kapitanie. To niemożliwe. Czy pan nie widzi, że to moja ostateczna decyzja?

Przez chwilę milczał, po czym zwrócił się do niej gwałtownie.

— Powiedz mi, Klara, czy ty mnie kochasz? Czyś mnie kiedykolwiek kochała?

— Nie odpowiedziała mu, lecz stała słuchając spokojnie jego oskarżenia. Nie kochałaś mnie — ciągnął dalej — a mimo to pozwoliłaś sobie powiedzieć, że mnie kochasz. Czy tak nie było naprawdę?

— Klara milczała dalej. — Więc raz jeszcze zapytuję, czy tak nie było naprawdę? — Lecz choć umilkł i czekał na odpowiedź, patrząc jej prosto w oczy, Klara znów nie dała żadnej odpowiedzi. — A teraz przypuszczam, że wyjdiesz za twego kuzyna — rzekł w końcu. — Taka zmiana będzie ci odpowiadała i z kolei jemu będziesz mogła powiedzieć, że go kochasz.

Wreszcie Klara przemówiła:

— Panie kapitanie, nie przypuszczałam, że potraktuje mnie pan w ten sposób. Nie spodziewałam się, że będzie mnie pan chciał obrazić.

— Nie obrażem cię!

— Sposób, w jaki pan zachowuje się wobec mnie, czyni moje zadanie łatwiejszym, niż się spodziewałam. Pyta mnie pan, czy ja pana kochałam. Kiedyś zdawało mi się, że pana kocham, i wyznałam to bez zastrzeżeń myśląc, że tak jest naprawdę. Gdy przekonałam się o mojej omyłce, uważałam, że dane słowo obowiązuje mnie do naprawienia mego błędu w sposób możliwie najlepszy, i postanowiłam — wprawdzie niesłusznie, dopiero teraz widzę, jak bardzo niesłusznie — że będę usiłowała pokochać pana po ślubie. Potem zaszły nowe okoliczności, które wyraźnie dowiodły mi, jak korzystne dla nas obojga będzie zerwanie naszego narzeczeństwa i że zrywając je jestem usprawiedliwiona. Żadna dziewczyna na świecie nie jest obowiązana dotrzymać słowa narzeczonemu, który patrzy spokojnie, jak jego narzeczona pomiatana jest przez jego własną matkę w jego własnym domu, jak to miało miejsce w Aylmer Parku.

A teraz domagam się zwolnienia mnie z danego słowa i jestem pewna, że to zwolnienie obróci się na korzyść zarówno dla mnie, jak i dla pana.

— W tej sprawie sam jestem najlepszym sędzią.

— W każdym razie ja również mam tu głos. Otóż jeżeli chodzi o mnie, już się

zdecydowałam. Teraz odpowiedziałam na pytanie, które mi pan zadał, chcąc się dowiedzieć, czy go kochałam. Na drugie pytanie, które pan uznał za stosowne mi zadać, dotyczące mego kuzyna, odmawiam jakiegokolwiek odpowiedzi.

Powiedziawszy to wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi i zostawiając go samego.

Nie potrzebujemy jej dalej towarzyszyć; niemal bezwiednie poszła na górę do swego pokoju, do pokoju, który do niedawna był jej własnym, i tam zamknęła się oczekując chwili, gdy najpierw ruch w domu, a potem zupełna cisza upewnią ją, że gość już wyjechał.

Że zostawszy sama zrezygnowała z majestatycznej powagi, jaką zachowała dotychczas, i stała się znów zwykłą skłopotaną kobietką, tego możemy być najzupełniej pewni. Ale dalszych trudności już przed nią nie było. Zadanie wyznaczone sobie na ten dzień wykonała. O właściwej godzinie powróci do willi i wszystko będzie dobrze, a w każdym razie zapanuje spokój.

Ale co on miał dalej robić? Jak miał się wydostać z tego domu i powrócić do Londynu? Gdy w pogoni za Klarą wysiadał z powozu przed oberżą we wsi Belton, to — podobnie jak inni generałowie-najeźdźcy — nie myślał o zapewnieniu sobie wygodnego odwrotu. Zostawszy sam, kręcił się jakiś czas po pokoju, nie tracąc jeszcze nadziei, że Klara do niego powróci. Przecież nie mogła zostawić go samego w obcym domu, jego — który jak jej to dwa razy wypominał — przebył taki szmat drogi z Yorkshire, aby się z nią zobaczyć! Ale Klara nie wracała i kapitan powoli zrozumiał, że musi sam zapewnić sobie odwrót bez niczyjej pomocy. Nie zdawał sobie sprawy nawet i teraz, jak dalece przekroczył swój zwykły sposób mówienia i zachowania zarówno wtedy, gdy w zapale błagał ją, jak i wtedy, gdy robił jej gwałtowne wyrzuty. Na chwilę się zapomniał podniecony sytuacją, w jakiej się znalazł, ale teraz, już uspokojony, nie wiedział nawet, że wzniosł się prawie na wyżyny namiętności i że mówiąc o miłości stał się niemal wymowny. Zrozumiał jednak, że Klara nie zostanie jego żoną i że powinien możliwie najprędzej wydostać się z Belton i powrócić do Londynu. Najlepiej będzie, gdy nauczy się patrzeć na wszystko, co się stało wskutek przedśmiertnej prośby ciotki, jak na epizod, który zakończył się dla niego w sposób zadowolający. Matka miała bez wątpienia rację. Klara — teraz widział to jasno — stworzyłaby mu piekło na ziemi. I gdyby nawet wychodząc za niego była właścicielką połowy majątku — w co bardzo wątpił — to posiadanie tego majątku mogło go drogo kosztować.

„Ona jest pozbawiona wszelkich uczuć — mówił do siebie, chodząc po pokoju — tak, wszelkich uczuć, przy tym brak jej zupełnie delikatności.” A jednak było mu przykro, że został odrzucony, i dlatego starał się w sobie wmówić, że mimo wszystko mógłby ją jeszcze zdobyć okazując więcej wytrwałości. „Lecz nie! — mówił sobie nie przestając spacerować po pokoju. — Zrobiłem wszystko, więcej niż wszystko, czego wymagał honor. Nie będę jej już prosił. Ona jest winna

wszystkiemu. To despotka, i matka trafnie oceniła jej charakter.”

Gdy tak się pocieszał, rozmyślając nad tym, co stracił, nie przyszło mu na myśl, że matka stawiała Klarze zupełnie innego rodzaju zarzuty. Kiedy pocieszamy się własnymi argumentami, nie umiemy osądzić, czy argumenty te są słuszne.

Bez względu jednak na to, czy zdołał się pocieszyć, czy nie, należało koniecznie stąd wyjechać; czuł przy tym, że w chwili odjazdu został potraktowany w sposób nieuprzejmy. Wyszedł z pokoju, lecz przy schodzeniu ze schodów przeszkadzało mu i dręczyło go skrzywienie własnych butów. Idąc przez hall starał się utrzymać postawę pełną godności, lecz to mu się nie udawało, mimo że nie czuł, by ktokolwiek na niego patrzył. Sprawilo mu także dotkliwą przykrość, że musiał otworzyć frontowe drzwi bez niczyjej pomocy. Kiedy indziej, jak większość mężczyzn, nie zwracał uwagi na podobne drobnostki, a może nawet nie zdawał sobie sprawy, czy sam otwiera sobie drzwi, czy też otwiera mu je kto inny; teraz jednak musiał wyjść z domu nie będąc odprowadzany przez nikogo, i to stawiało go w niezmiernie kłopotliwym położeniu. Nie wiedział zresztą, w którą stronę obraca się klamka i jak należy otworzyć drzwi. Tak, został tu potraktowany w sposób niegodny i zanim opuścił dom, doszedł do przekonania, że rodziny Amedrozów i Beltonów nie dorównują jego rodzinie. Usiłował wymknąć się cichaczem, lecz przeszkodziło mu w tym trzaśnięcie drzwi, których nie mógł za sobą zamknąć bez hałasu, a Klara w swoim pokoju na piętrze dobrze się orientowała w tym, co się na dole dzieje.

— Powóz! Tak, rzecz prosta muszę mieć powóz — powiedział do Bogu ducha winnego posługacza w zajeździe. — Czy nie słyszałeś, że zamówiłem powóz?

Jadąc do zamku Belton zamówił parę koni, a teraz widząc, że je zaprzęgają do powozu, pomyślał, że wystarczyłby mu jeden. Kiedy tak stał czekając na powóz, minął go jakiś elegancki jeździec, a gdy zapytał chłopca o jego nazwisko, usłyszał, że to pułkownik Askerton. Zanim skończy się dzień, pułkownik Askerton zapewne będzie wiedział wszystko, co mu się przydarzyło.

— Ruszajcie się prędzej, słyszycie? — zawołał do chłopca i do staruszka, który miał go odwieźć. Po czym wsiadł do powozu i wyjechał z Belton, przysięgając sobie święcie, że nigdy już tu nie powróci, i po drodze do Perivale pomyślał o niejkiej lady Emily, która według jego przekonania byłaby zachowała się znacznie lepiej niż Klara Amedroz podczas sceny, jaka rozegrała się przed chwilą.

Tymczasem Klara upewniwszy się, że kapitana Aylmera nie było już w pobliżu, zeszła na dół, lecz nie zaraz opuściła dom. Zadzwoiła na staruszkę i wydała jej kilka poleceń, na których wykonaniu niewiele jej zależało, oraz dała pani Bunce do zrozumienia, że między nią i tym przyjezdnym panem nie zaszło nic takiego, co mogłoby ją ucieszyć czy też zmartwić.

— Przypuszczam, pani Bunce, że kapitan Aylmer już wyjechał, prawda?

— O tak, proszę panienki, już całkiem wyjechał. Stałam na szczycie kuchennych

schodów i dobrze go widziałam.

— Trzeba było otworzyć mu drzwi, pani Bunce.

— To prawda, panienko, ale jakoś nie przyszło mi to do głowy, dom jest taki pusty i w ogóle...

Klara odpowiedziała, że to nie ma znaczenia, i po godzinie, odzyskawszy równowagę, przeszła z powrotem przez park udając się do willi.

— No i cóż? — zapytała pani Askerton, zaledwie Klara weszła do salonu. — Co masz mi do powiedzenia? No co, mów.

— Nie mam ci nic do powiedzenia.

— Klaro, to niemożliwe! Widziałas się z nim? Wiem, że tak, bo po wyjściu z domu, przechodził tędy mniej więcej godzinę temu.

— A więc tak, widziałam go.

— No i co mu powiedziałaś?

— Proszę, nie zadawaj mi takich pytań, przynajmniej nie w tej chwili. Muszę się nad tym wszystkim zastanowić: nad tym, co on mówił i co ja mu powiedziałam.

— Ale później powiesz mi, prawda?

— Chyba tak.

Pani Askerton nie poruszyła tego tematu aż do końca dnia, a nawet pozwoliła Klarze pójść spać nie zadając jej dalszych pytań; nazajutrz rano również o nic nie pytała i tak trwało aż do godziny przeznaczonej zwykle na pisanie listów.

— Czy wysyłasz dziś jaki list? — zapytała pani Askerton.

— Mam jeszcze mnóstwo czasu.

— Niewiele, jeżeli zamierzasz jeszcze się przejść. Słuchaj, Klaro, lepiej napisz do niego zaraz.

— Do kogo? Nie wiem, do kogo miałabym pisać? — Na chwilę zapadło milczenie. — A zresztą — ciągnęła dalej — o ile się orientuję, w przyszłości będę mogła zaniechać prowadzenia wszelkiej korespondencji, chyba że od czasu do czasu będziesz chciała dowiedzieć się, co u mnie słychać.

— Czy zamierzasz stąd wyjechać?

— Jeszcze nie teraz, o ile zgodzisz się mnie zatrzymać. Prawdę powiedziawszy, moja droga, w ogóle nie wiem, gdzie się mam podziąć.

— Zostań tu, dopóki cię nie wyrzucimy.

— Muszę zaprowadzić w moim domu porządek. Wiesz, co mam na myśli. Zadanie to nie będzie zbyt uciążliwe, gdyż dom mój jest niewielki.

— Zdaje mi się, że wiem, co chcesz przez to powiedzieć.

— Nie będzie to bardzo wytworny przybytek, a jednak muszę spojrzeć rzeczywistości w oczy. Choćbym nie miała żadnego domu, nie mogłabym zostać tu do końca życia.

— Owszem, możesz. Straciłaś Aylmer Park dlatego, że byłaś zbyt szlachetna, żeby do nas nie przyjechać.

— Nie — odpowiedziała Klara głośno, przy czym oczy jej zabłyśły, a dłonie niemal zacisnęły się. — Nie! Zaprzeczam temu!

— Ale mnie wolno tak myśleć. Jesteś wobec mnie taka okrutna, Klaro, prawie zawsze okrutna, ale prócz mego męża ciebie kocham najwięcej na świecie, i on także.

„Ona jest taka dzielna — powiedział do mnie któregoś dnia. — To jeszcze nic, że odważa się postępować tu, jak jej się podoba, ale że odważyła się wytrwać tak długo w paszczęce tego starego smoka — tak właśnie ją nazwał — to naprawdę godne podziwu.”

— Skończyłam już ze starym smokiem.

— Naturalnie, i z młodym smokiem również. Nie miałabyś serca trzymać mnie tak długo w niepewności, gdybyś go znów przyjęła, no i nie byłabyś wczoraj wieczorem taka miła.

— Nie wiedziałam, że byłam miła.

— O tak, byłaś łagodna i przystępna, to znaczy przystępna jak na ciebie. A teraz, kochanie, opowiedz mi wszystko, przecież widzisz, że umieram z ciekawości.

— Nie ma tu nic do opowiadania.

— Co też ty mówisz! Masz z pewnością mnóstwo rzeczy do opowiedzenia. W każdym razie to zostało stanowczo postanowione, tak?

— Tak, zostało stanowczo postanowione.

— A oba smoki — starego i młodego — wygnałaś z powrotem w mroki piekieł.

— Tam czy gdzie indziej, i mogą sobie zatrzymać cały blask dla siebie.

— Tyle blasku, ile żarzy się w mroku Aylmer Parku. Czy się tym zadowolił? Z pewnością nie. Mam nadzieję, że przed odejściem klęczał u twoich stóp.

— Dlaczego miałby klękać? Jak możesz mówić podobne bzdury!

— Dlatego, że chciałabym, by zrozumiał, co utracił; powinien wiedzieć, jakim był głupcem... nikczemnym głupcem.

— Nie życzę sobie, byś się o nim wyrażała w ten sposób. Uważam, że jest to człowiek godny szacunku i że posiada cenne zalety.

— Zawracanie głowy! To po prostu kukła-małpa, która tańczy tak, jak mu matka zagra na swojej katarynce, a jego jedyną zaletą jest to, że tańczyłby tak, jakbyś ty mu zagrała. Powiem ci tylko jedno: nie ma na świecie kobiety, która zmusiłaby Williama Beltona, by tańczył tak, jak mu żona zagra. Jakakolwiek będzie jego żona, będzie musiała tańczyć tak, jak on zagra.

— Życzą mu tego z całego serca i mam nadzieję, że melodie, jakie jej zagra, będą przyjemne.

— A swoją drogą chciałabym była słyszeć, co między wami zaszło — słuchać ukryta za firanką. Więc nic mi nie opowiesz?

— Nie powiem ci ani słowa więcej.

— No to dowiem się wszystkiego od pani Bunce. Jestem pewna, że was

podśluchiwała.

— Pani Bunce nie będzie miała ci nic do opowiedzenia. Nie rozumiem, jak można być tak ciekawą.

— Odpowiedz mi przynajmniej na jedno pytanie: czy, gdy już przyszło do ostatecznej decyzji, on pragnął jeszcze przedłużyć rozmowę? Kto z was odniósł ostateczny triumf, ty, czy on?

— Nie było żadnego ostatecznego triumfu. Tego rodzaju sprawy nie kończą się triumfalnie dla nikogo.

— Więc to wszystko?

— Tak, to wszystko.

— I powiadasz, że nie masz żadnych listów do napisania?

— Nie, nie mam na razie żadnych. Żadnych w tej sprawie. Oczywiście kapitan Aylmer napisze o tym do matki, a wtedy ci, których to obchodzi, dowiedzą się o wszystkim.

Klara Amedroz dotrzymała słowa i nie napisała do nikogo, natomiast pani Askerton nie była tak dyskretna, a raczej była tak niedyskretna, jak tego wymagała sprawa. Napisała list, wprawdzie nie tego samego dnia ani nazajutrz, lecz zanim upłynął tydzień. Napisała do Norfolk, nie wspominając o tym ani słowa Klarze, a odwrotną pocztą nadeszła odpowiedź. Odpowiedź ta nadeszła jednak nie do pani Askerton, lecz do Klary, i treść jej była następująca:

Plaistow Hall, kwiecień, 186...

Kochana Klaro!

Nie wiem, czy powinienem Ci o tym powiedzieć, ale sądzę, że raczej tak: otóż Mary otrzymała list od pani Askerton. List był bardzo miły i uprzejmy i jestem jej zań niezmiernie wdzięczny. Pani Askerton doniosła nam o Twoim ostatecznym zerwaniu z Aylmerami. Zapewne nie przypuszczasz, bym miał się martwić z tego powodu. Nie zmartwiło mnie to, mimo że wiem, jak wiele przez to straciłaś ze światowego punktu widzenia. Nie mogłem polubić kapitana Aylmera, choć bardzo się o to starałem. „Och, panie Belton! panie Belton!” Ja i on nie stalibyśmy się nigdy przyjaciółmi i niepotrzebnie udawałbym żal z tej przyczyny, żeś się z nim poróżniła. Sądzę jednak, że między wami wszystko się skończyło, i nie powiem już o Aylmerach ani słowa więcej.

Piszę to głównie za radą Mary, która jest zdania, że należy wreszcie załatwić sprawę majątku, abyś wiedziała, że posiadasz własne dochody i dokładnie poznała swoje położenie. Mary uważa, że należy załatwić to od razu, byś mogła postanowić, jak i gdzie masz zamieszkać. Piszę więc, by Ci powiedzieć, że nie chcę mieć nic wspólnego z majątkiem Twojego ojca, to znaczy, że nie chcę mieć z tego



nic dla siebie. Napisałem do adwokata Greena, oświadczając mu, że powinien uważać Ciebie za jedyną spadkobierczynię. Byłbym niezmiernie rad, gdybyś mi pozwoliła zająć się zarządem majątku w charakterze Twojego plenipotenty. Sądzę, że mógłbym to wykonać równie dobrze jak ktokolwiek inny, a ponieważ zgodziliśmy się już, że zostaniemy zawsze szczerymi przyjaciółmi, myślę, że nie odmówisz mi przyjemności służenia Ci w ten sposób.

A teraz Mary zamierza przedstawić Ci pewną propozycję, o której jutro sama Ci napisze, ale pozwoliła mi donieść Ci o niej już teraz. Jeżeli zechcesz udzielić jej u siebie gościny, Mary wybierze się do Belton. Oboje jesteśmy zdania, że powinniście się wzajemnie poznać. Przypuszczam, że w tej chwili nie zgodziłabyś się przyjechać do nas, i wobec tego ona musi pojechać do Ciebie.

Mary sądzi, że sprawę majątku załatwi się pomyślniej, jeżeli wspólnie się nad tym naradzicie. W każdym razie będzie rada Cię poznać, a mam nadzieję, że ją polubisz. Mary zamierza wyruszyć stąd około dziesiątego maja; odwiozę ją do Londynu, tam ją pożegnaj i oddam pod opiekę służącej, która będzie jej towarzyszyła. W ten sposób dojedzie wygodnie do Taunton. Byłoby może lepiej, żeby tam przenocowała, ale to wszystko zdecydujemy później, gdy nam odpowiesz, czy zechcesz ją u siebie przyjąć.

Nie mógłbym zakończyć tego listu nie wspominając nic o własnej sprawie. Znasz dobrze moje uczucie dla Ciebie, na pewno wiesz, że się nie zmieniło i że zawsze pozostanie takie samo. Pokochałem Cię niemal od pierwszego wejrzenia. Kiedy mnie odrzuciłaś, czułem się bardzo nieszczęśliwy, nie straciłem jednak nadziei i dlatego ponowiłem oświadczenia. Ale kiedy dowiedziałem się, że jesteś zaręczona z kapitanem Aylmerem, ogarnęła mnie rozpacz. Nie mogłem mieć o to do Ciebie urazy, toteż nie miałem jej, ale byłem po prostu zrozpaczony. Zrozumiałem, jak bardzo Cię kocham i że bez Ciebie nie mógłbym być nigdy szczęśliwy. Nic mi to nie pomogło, wiedziałem bowiem, że masz poślubić kapitana Aylmera. Wiedziałem albo zdawało mi się, że tak musi się stać. Nie mogłem nic na to poradzić, wiedziałem tylko, że jestem bardzo nieszczęśliwy. Może to z mojej strony egoizm, czułem jednak i teraz czuję, że jeżeli nie zostaniesz moją żoną, nie będę nigdy szczęśliwy i nic na świecie nie będzie mnie obchodziło. Obecnie jesteś znów wolna, to znaczy uwolniłaś się od kapitana Aylmera. Wobec tego, czy nie mógłbym odzyskać znów trochę nadziei? Tylko Twoje małżeństwo lub śmierć mogłyby mnie tej nadziei pozbawić.

Niewiele wiem o Aylmerach, nie wiem w ogóle, co cię skłoniło do zerwania z tą rodziną, i nawet nie chcę wiedzieć. Dla mnie jesteś znów tą samą Klarą Amedroz, z którą przechadzałem się po parku w Belton, tą samą, która była wolna i mogła oddać rękę i serce temu, kogo pokocha. Skoro serce masz wolne, będę Cię zawsze prosił, byś mi je ofiarowała. Wiem, że pod niejednym względem

stoisz wyżej ode mnie, wiem dobrze, że jeśli chodzi o umysł i wykształcenie —

znacznie mnie przewyższasz. Nikt jednak nie mógłby kochać Cię goręcej niż ja. Mary powiada, że powinienem pozwolić, by upłynął pewien czas, zanim wyznam Ci to wszystko raz jeszcze, ale po cóż miałbym się od tego powstrzymać? Zdaje mi się, że zrobię uczciwiej mówiąc Ci od razu, że jedyną rzeczą, której pragnę w świecie, jest, byś została moją żoną.

Twój bardzo kochający kuzyn  
William Belton

— Panna Belton przyjedzie tu, do zamku, za dwa tygodnie — oznajmiła Klara nazajutrz rano przy śniadaniu. Oboje państwo Askerton byli obecni w pokoju, ale Klara zwróciła się z tym głównie do pułkownika.

— Doprawdy? — zapytał pan Askerton. — A czy pan Belton także z nią przyjedzie?

— A więc otrzymałaś wiadomość z Plaistow Hall? — powiedziała pani Askerton.

— Tak, w odpowiedzi na twój list. Nie, panie pułkowniku, mój kuzyn z nią nie przyjedzie, ale jego siostra chciałaby tu przyjechać, więc będę musiała pójść do domu i przygotować wszystko na jej przyjęcie.

— Masz na to jeszcze dużo czasu — rzekła pani Askerton.

— Toteż nie wybieram się tam zaraz.

— A czy pani będzie wtedy jej gościem, czy też ona będzie gościem pani? — zapytał pułkownik.

— Dom ten należy do jej brata i dlatego raczej ja będę jej gościem. Tak właściwie musi być, gdyż ja nie posiadam żadnych środków na przyjmowanie gości.

— Coś trzeba będzie ustalić — powiedział pułkownik.

— Jakież to przykre słowa, szczególnie dla uszu kobiecych — westchnęła Klara. — Dźwięk ich przywodzi na myśl ubóstwo i zależność, i niezliczone kłopoty, jakie sprawiamy innym, i w ogóle całą udrękę kobiecej zależności. Gdybym była mężczyzną, mogłabym ustalić swój własny los.

— W takim wypadku nie istniałby problem tego majątku — zauważył pułkownik.

— A i teraz nie powinien istnieć — rzekła pani Askerton.

Gdy panie zostały same, Klara wyłajała przyjaciółkę za to, że bez jej wiedzy napisała list do Norfolk, wyłajała ją dodając, że niepotrzebnie się trudziła dla osiągnięcia nieosiągalnego celu; ale pani Askerton potrafiła zawsze wykręcić się od podobnych zarzutów, nie twierdząc, że postąpiła słusznie ani nie przyznając się do winy.

— Będziesz musiała mu odpowiedzieć — oświadczyła w końcu.

- Naturalnie, zrobię to zaraz.
- Jestem ciekawa, co on ci napisał.
- Chciałabyś pewnie przeczytać jego list, ale ci go nie pokażę.
- A jednak chciałabym wiedzieć, co napisał.

Klara naturalnie odpisała, ale list wysłała nie do niego, lecz do Mary, dołączając jednak małą kartkę dla jej brata. Napisała do Mary, starając się wyjaśnić za pomocą długich i mozolnych argumentów, że jest wykluczone, by miała przyjąć od kuzyna majątek Belton. Zagadnienie to, jak również sprawę swej przyszłości omówi z kochaną kuzynką Mary, gdy ta do niej przybędzie. Pisała, że wyjedzie na jej spotkanie do Taunton, że przygotowuje dom Williama na przyjęcie jego siostry oraz że na pewno serdecznie ją pokocha. Wszystko to było wypowiedziane w sposób niezmiernie wdzięczny i właściwy. Przy końcu listu widniało krótkie postscriptum: „Proszę, oddaj załączoną kartkę Williamowi.”

A oto treść owej kartki:

Drogi Williamie!

Czyż nie przyrzekłeś mi, że będziesz dla mnie bratem? Pozostań nim zawsze. Przyjmę z rąk Twoich wszystko, co brat może ofiarować, a gdy te sprawy zostaną między nami ostatecznie ułożone, będę Cię kochała nie mniej niż Mary, zaufam Ci w zupełności i będę Ci posłuszna, jak przystało młodszej siostrze.

Twoja kochająca siostra  
Klara Amedroz

— Więc wszystko na nic! — zawołał William Belton, mnąc w rękę przeczytaną kartkę. — Właściwie powinienem sobie w łeb pałać! Czego mi stoisz na drodze, gamoni! Zmykaj! — Wyłajał stajennego, który pomknął przez podwórze, przekonany, że jego panu przytrafiło się coś niedobrego.

## ROZDZIAŁ XXX

Mary Belton

Mniej więcej w połowie rozkosznego miesiąca maja Klara wyruszyła w tak dawniej często odbywaną drogę do Taunton na spotkanie kuzynki Mary Belton. Przeniosła się wraz z całym bagażem osobistym z willi do domu i zamieszkała tam z powrotem, aby móc przyjąć nową przyjaciółkę. Uważając, że nie wystarczy przyjąć gościa w Belton, wyruszyła do Taunton, gdzie na noc zatrzymała się w

gospodzie. Tam z całą troskliwością wynajęła dla „pewnej ułomnej damy” sypialnię przylegającą do saloniku i przed udaniem się na stację dopilnowała, by nakryto stół do herbaty i by salonik wyglądał tak ładnie i przytulnie, jak tylko to było możliwe w wiejskiej gospodzie.

Stała na peronie w oczekiwaniu gościa i czuła się bardzo zdenerwowana. Wiedziała, że kuzynka jest kaleką, nie wiedziała jednak, do jakiego stopnia kalectwo zniekształciło jej figurę. Toteż przyjemnie się zdziwiła ujrawszy małą kobietkę o bladej, melancholijnej, ale ładnej twarzy i łagodnych jasnych oczach; lekkie pochylenie postaci tylko wzruszało tych, co na nią patrzyli, a Klara ujrawszy ją poczuła ulgę, jakby jej ciężar spadł z serca.

Przecież z tą kobietą będzie mogła rozmawiać jak z każdą inną, nie będąc zmuszona do traktowania jej jak kaleki.

— Pani jest panną Belton, prawda? — rzekła Klara wyciągając do niej rękę. Podobieństwo między Mary i jej bratem było zbyt duże, by Klara mogła się omylić.

— A ty jesteś Klara Amedroz, prawda? Jak to ładnie z twojej strony, że wyjechałaś na moje spotkanie.

— Pomyślałam sobie, że byłoby ci smutno samej w obcym mieście.

— Będzie mi o wiele przyjemniej z tobą.

Obie panie udały się do gospody, a kiedy zdjęły kapotki, Mary Belton ucałowała kuzynkę.

— Wyglądasz prawie tak, jak sobie wyobrażałam — rzekła.

— Doprawdy? Mam nadzieję, że wyobrażałaś sobie mnie taką, jaką będziesz mogła polubić.

— Raczej taką, jaką będę mogła serdecznie pokochać. Jesteś trochę wyższa, niż Will cię opisał, ale panowie nie potrafią nigdy określić wzrostu kobiety. Przy tym powiedział, że jesteś szczupłą.

— Nie jestem przecież tęgą.

— Nie jesteś może tęgą, ale i nie szczupłą. Wiesz oczywiście, że dużo o tobie myślałam. Stałaś się nam bardzo bliska. Przywiązanie do własnej krwi dużo znaczy, prawda? Któż miałby żyć w szczerzej przyjaźni jak nie krewni?

Tego wieczoru obie panie bardzo się ze sobą zbliżyły, a Klara czuła, że będzie mogła pokochać kuzynkę więcej niż jakąkolwiek inną kobietę na świecie. Oczywiście obie mówiły często o Williamie i Klara obawiała się, by nie padło jakieś słowo na temat jego miłości do niej, jakieś słowo, które zmusiłoby ją do oświadczenia, że miłość tę odrzuciła. Ale Mary starannie i z wielkim taktem omijała ten temat. Aczkolwiek przez cały wieczór wspominała o bracie, mówiła o nim tak, jak gdyby dawała Klarze do zrozumienia, że ten epizod jego życia jest jej nie znany. Pani Askerton byłaby od razu poruszyła ten temat, ale Klara powiedziała sobie, że Mary Belton jest znacznie taktowniejsza.

Zamieniły kilka słów o majątku i Klara oświadczyła, że Mary będzie musiała

objąć rolę pani domu w Belton.

— Nie mogę się na to zgodzić — powiedziała panna Belton.

— Wiesz dobrze, że ten dom należy do Williama — odrzekła Klara.

— Will twierdzi, że tak nie jest.

— Ależ, Mary, przecież to nonsens!

— Widocznie nie znasz zwyczajów panujących u nas w Plaistow Hall, nie nazwałabyś bowiem nonsensem niczego, co Will robi lub mówi. Przywykliśmy do tego, że każde jego słowo jest dla nas prawem. Kiedy on mówi, że coś musi tak być, to z pewnością tak jest.

— A więc jest w domu tyranem?

— Dobrotliwym despota. Niektórzy despoci robili nieraz dużo dobrego.

— W tej sprawie nie będzie mógł stosować swoich zwyczajów.

— Walkę o to będziecie musieli rozegrać sami. Ja do tego stopnia jestem pod jego pantoflem, że bywam mu we wszystkim posłuszna. Dlatego nie spodziewaj się, bym stanęła po twojej stronie.

Nazajutrz przybyły do Belton Castle i Klara wkrótce poczuła, jak bardzo zżyła się już z kuzynką. W dwa dni później pani Askerton złożyła im wizytę, a uczyniła to na skutek umowy zawartej z Klarą.

— Jeżeli zechcesz — rzekła do niej — będę się trzymała od was z daleka. — Lecz Klara zaczęła nalegać, mówiąc, że niepotrzebnie myśli ciągle o swojej przeszłości.

— Naturalnie nigdy o niej nie zapominam — odparła na to pani Askerton — i zawsze zdaje mi się, że wszyscy o tym pamiętają. Twoja kuzynka, panna Belton, na pewno zna moją historię. Lecz cóż z tego? Czasem zdaje mi się, że byłoby lepiej, żeby wszyscy o tym wiedzieli. Przypuszczam, że ona jest pruderyjna purytanka.

— Nie jest wcale pruderyjna — powiedziała Klara.

— No to przyjdę — zdecydowała się pani Askerton — ale nie zdziwię się usłyszawszy, że następnego dnia wyjechała z powrotem do Norfolk.

Więc pani Askerton przyszła z wizytą, a panna Belton nie wyjechała z powrotem do Norfolk. Pod koniec wizyty pani Askerton niemal uwierzyła, że William Belton ukrył swoją tajemnicę nawet przed siostrą.

— Jakaż to miła kobietka — rzekła o niej później do Klary.

— Prawda?

— I zachowuje się jak prawdziwa dama.

— Bo też jest damą.

— A nawet księżniczką wśród dam. I jak ślicznie potrafi obstawać przy własnym zdaniu. Nie spotkałam dotąd kobiety, która potrafiłaby czerpać tyle siły z własnej słabości. Któż by się ośmielił jej sprzeciwić?

— Bo też ona wszystko tak dobrze rozumie.

— A jaka jest podobna do brata!

— Tak, między nimi istnieje duże podobieństwo rodzinne.

— Charaktery też mają podobne. Gdyby nadarzyła się sposobność, przekonałabyś się, że posiada tyleż stanowczości co brat, choć nie może jej okazać jak on tupnięciem nogą i zaciskaniem pięści.

— Cieszy mnie, że ci się podobała — rzekła Klara.

— O tak, bardzo ją polubiłam.

— Jakie to dziwne, że w stosunku do nich tak się zmieniłaś. Dawniej mówiłaś o nim, jak gdyby był nieokrzesanym farmerem, a o niej jak o głupiej starej pannie. A teraz cokolwiek mówi się o nich dobrego, jeszcze ci nie wystarcza.

— Masz rację, moja droga, a jeżeli nie rozumiesz, dlaczego tak się zmieniłam, to nie jesteś wcale taka bystra, za jaką cię uważałam.

Przez kilka tygodni życie w Belton Castle płynęło bardzo przyjemnie, miało jednak dla Klary tę stronę ujemną, że nie wiedziała, jak ułoży się jej przyszła egzystencja. Podczas tych paru tygodni otrzymała dwa listy od kuzyna Willa i na oba odpowiedziała. Ale w listach tych była mowa tylko o interesach, nie wymagających z jej strony sprzeciwu, gdyż chodziło o pewną sumę, należną majątkowi jeszcze przed śmiercią starego ziemianina. Drugi list poruszał przykrą sprawę zapisu ciotki Winterfield, która to sprawa w tym czasie trafiła do rąk Beltona; Belton w tym wypadku zamierzał zastosować się do życzenia kuzynki, mimo zapewnienia Greena, że legat jest najzupełniej prawomocny. „Uważam — pisał w swym ostatnim liście — że możemy nie liczyć się z życzeniem kapitana Aylmera, choć Green jest odmiennego zdania.”

Przeczytawszy to Klara pomyślała, że człowiek, z którego życzeniem nie chciała się liczyć, był kiedyś jej narzeczonym, przypomniawszy sobie też wszystkie okoliczności, w jakich ciotka powzięła zamiar zapisania jej legatu, przypomniawszy sobie jej śmierć oraz scenę, jaka rozegrała się bezpośrednio po tej śmierci. Jakże dziwnym wydało się jej to, że właśnie William Belton naradzał się z nią nad sposobem pominięcia życzeń ciotki i że w dodatku zajmował się tym nie w charakterze przyjętego konkurenta. Wprawdzie nazywał siebie jej bratem, naprawdę jednak był odrzuconym konkurentem.

W ciągu tych tygodni pani Askerton od czasu do czasu zadawała jej pytanie, czy pan William ma przyjechać do Belton, a Klara nie kłamała odpowiadając, że wątpi, by miał taki zamiar.

— Ależ on musi tu niebawem przyjechać — twierdziła pani Askerton, na co Klara odpowiadała, że nic o tym nie wie.

Wobec tego pani Askerton kierowała rozmowę na Mary Belton.

— Przecież twoja kuzynka powinna wiedzieć, czy jej brat przyjedzie, żeby zająć się gospodarstwem.

Ale panna Belton, mimo stałej korespondencji z bratem, nigdy o tym nie wspominała. Jeżeli nawet miał ten zamiar, nic o tym nie mówiła. Przez cały ten

okres ani słowem nie wspomniała o miłości brata. Aczkolwiek imię jego miała codziennie na ustach, a Klara też ostatnio często je powtarzała, żadna z nich nie robiła aluzji do jego niewygasłej nadziei, o której sam Belton stale mówił, ilekroć miał do tego sposobność. W końcu Klara zaczęła przypuszczać, iż Mary naprawdę nic nie wie o miłości brata.

Ale pewnego dnia nastąpiła zmiana w zachowaniu kuzynki; zmiana, która zrobiła na Klarze równie wielkie wrażenie, jak owo odkrycie, że zachwycający kuzyn nie może się powstrzymać od zalotów. Doszła do przekonania, że siostra nie zamierza popierać sprawy brata, że prawdopodobnie nie wie, iż brat potrzebuje jej poparcia, i że teraz poparcie to jest mu już niepotrzebne! Przypominając sobie jego namiętne słowa, zaczęła obwiniać siebie o hipokryzję. Przecież mówił z taką powagą! Był z natury człowiekiem tak uczciwym i szczerym! Ale mimo wszystko, co mówił, mimo ognia w oczach, mimo żaru słów i energii w działaniu, musiał przekonać się wreszcie, że jego nadzieje były szalone, a pragnienia bezowocne. Gdyby tak nie było, to czyż ona i Mary mogłyby spędzać czas w takim spokoju, nie czyniąc żadnej aluzji do tego niebezpiecznego tematu? Na takich rozmyślaniach upłynęły jej ostatnie tygodnie, gdy nagle wszystko się zmieniło.

— Dziś rano miałam list od Williama — oznajmiła Mary.

— A ja nie miałam — rzekła Klara — choć spodziewałam się, że nadejdzie.

— Wkrótce tu przyjedzie — powiedziała Mary.

— Doprawdy?

— Pisz, że będzie tu już w przyszłym tygodniu.

Przez chwilę Klara dała się ogarnąć podnieceniu wywołanemu wiadomością, której jej udzieliła kuzynka, lecz siłą woli zdołała szybko odzyskać równowagę i potrafiła odpowiedzieć z domniemaną poprawnością właściwą niewiastom :

— Bardzo mnie to cieszy. Powinien tu przyjechać.

— Prosił mnie, bym ci powiedziała parę słów, które wyjaśnią ci cel jego przyjazdu.

I znów odwaga i hipokryzja Klary zawiodły ją i nie pozwoliły zachować postawy odpowiedniej dla danej sytuacji.

— A więc — zapytała śmiejąc się — co masz mi powiedzieć? Chyba nie każe mi spakować manatków i wynieść się dokądkolwiek. Kuzyn Will należy do tych ludzi, którzy gotowi są zrobić wszystko prócz tego, o co są proszeni. Przyjedzie tu, by dalej mówić o ofiarowaniu mi majątku, a tymczasem ja chciałabym tylko wiedzieć, że będę miała dwanaście szylingów tygodniowo na utrzymanie.

— Will prosi, żebym ci powiedziała o tym... o tym, jak bardzo on cię kocha.

— O Boże, słuchaj, Mary, czy nie sądzisz, że w tej sprawie wszystko zostało już powiedziane? To dawna historia i nie należy do niej powracać.

— Nie — odparła Mary — nie sądzę, że wszystko zostało już powiedziane.

Klara, spojrzawszy na kuzynkę i słysząc jej głos, zdziwiła się: jaki ogień zapalił

się w oczach tej drobnej kobietki i z jaką siłą zabrzmiały jej słowa!

— Nie chcę tak źle myśleć o tobie — mówiła dalej Mary — bym mogła przypuszczać, że słowa takiego jak on człowieka są dla ciebie bez znaczenia. Nie mówię, że twoim obowiązkiem jest go pokochać, gdyż trudno jest władać własnym sercem, ale jeżeli nie jesteś zdolna do tej miłości, to brak takiego uczucia powinien być dla ciebie źródłem cierpienia — wielkiego cierpienia i smutku.

— Nie mogę zgodzić się z tobą, Mary.

— A więc jego życie nic cię nie obchodzi? Czyż nie zdajesz sobie sprawy, czym jest dla niego miłość? Ta miłość, którą czuje dla ciebie? Czy nie rozumiesz, że jesteś dla niego wszystkim? Że od chwili, gdy oddał ci swe serce, nie zdołał już przenieść tej miłości na nic innego? Może nigdy tego nie rozumiałaś i nie umiałaś dostrzec, do jakiego stopnia uczucie jego jest poważne, że jest ono dla niego czymś więcej niż pieniądź, niż własna ziemia, czymś więcej niż zdrowie, ba, czymś więcej nawet niż życie, bo kocha cię tak, że gotów oddać swej ukochanej wszystko, co posiada! Czy wiesz o tym?

Przez chwilę Klara nie odpowiadała na te pytania. Cóż z tego, że o tym wszystkim wiedziała? Czy dlatego była obowiązana się poświęcić? Czy obowiązkiem kobiety jest oddać się mężczyźnie tylko dlatego, że on tego pragnie? Takim to argumentem odpowiedziała na pytania Mary Belton.

— Droga, najdroższa Klaro — Mary przechyliła się na krześle i wyciągnęła szczupłą, niemal przezroczystą dłoń. — Zdaje mi się, że niedostatecznie to przemyślałaś albo też nie wiedziałaś o tym, ale jego miłość dla ciebie jest właśnie taka i stanowi dla niego wszystko w świecie, przenika na wskroś każdą godzinę dnia i każdy odcinek życia! Prócz tej miłości nic dla niego nie istnieje.

— Jakież on dobry... więcej niż dobry.

— Tak, jest bardzo dobry.

— Nie sądzę jednak, by... by... Wiem oczywiście, jak bardzo jest bezinteresowny.

— Bezinteresowny to mało! Słowo to pozwala przypuszczać, że w podobnej sprawie mogłaby być mowa o tym, co ludzie nazywają korzyścią.

— Wiem także, jak mnie poważa.

— Poważanie to zbyt chłodne słowo. To nie poważanie, lecz miłość, po prostu uczciwa, szlachetna miłość. Wierzę, że jednocześnie cię poważa. Wierzę, że jesteś zacną, uczciwą kobietą, a że i on wie o tym, więc prawdopodobnie cię poważa. Ale ja mówię o miłości.

Klara zachowała milczenie. Wiedziała, jakiego argumentu powinna użyć, gdyby była zdecydowana sprzeciwić się wywodom kuzynki, wiedziała także — przynajmniej tak się jej zdawało — że się przeciwstawi temu potokowi wymowy, lecz użycie takiego argumentu nappełniało ją odrazą.

— Na taką miłość nie możesz pozostać nieczuła — rzekła jeszcze Mary, broniąc



dalej powierzonej sobie sprawy.

— Więc powiadasz, że on mnie lubi?

— Lubi? Nie użyłam tak bagatelnego określenia.

— Że mnie kocha?

— Wiesz przecie, że cię kocha. Czy kiedy zwątpiłaś w prawdę jego słów, bez względu na to, o czym ci mówił?

— Wierzę, że zawsze mówi prawdę.

— Ty wiesz, że on zawsze mówi prawdę, że nie znane mu jest kłamstwo.

— Ale, Mary...

— Słuchaj, Klaro, pamiętaj, że nie wolno ci odpowiadać zbyt lekkomyślnie. Nie igraj z sercem mężczyzny, gdy masz je w swojej mocy.

— Jesteś dla mnie niesprawiedliwa. Nie pozwoliłabym sobie nigdy na coś podobnego. Twierdzisz, że on mnie kocha. Cóż z tego, jeżeli ja go nie Kocham? Czy mam powiedzieć, że go Kocham, ponieważ wiem, że on mnie kocha?

Ten właśnie argument wysunęła Klara, uważając, że jest do tego zmuszona i stosując go nie tyle do samej siebie, ile do owego zagadnienia w ogóle. W tej chwili nie miała czasu się zastanowić, czy argument ten stosuje wyraźnie do siebie, czuła jednak, że żaden mężczyzna nie ma prawa ubiegać się o rękę kobiety wiedząc, że ona go nie kocha, chyba że ma jeszcze nadzieję pozyskać jej wzajemność. W tym wypadku Klara miała na myśli raczej kobiety w ogóle niż siebie samą.

— Jeżeli chcesz przez to powiedzieć, że nie możesz go pokochać, to będę zmuszona dać za wygraną — rzekła Mary, która w tej chwili nie myślała o kobietach i mężczyznach w ogóle, a tylko pełna była niepokoju o brata.

— Czy myślisz, że nigdy nie zdołasz go pokochać?

Sądząc z wyrazu jej twarzy można było przypuszczać, że gotowa jest rozgniewać się na kuzynkę, rozgniewać się i natychmiast wyjechać, jeżeli nie otrzyma zadowolającej odpowiedzi.

— Droga Mary, nie nalegaj tak na mnie.

— Muszę mocno nalegać. Byłoby okrutne pozwolić mu żeby zmarnował życie na tęsknocie i próżnej nadziei.

— Z pewnością nie zmarnuje sobie życia.

— Ufam, że nie, o ile potrafię temu zapobiec. Wierzę, że będzie miał dość siły, by zrzucić z siebie brzemień tego nieszczęścia, zrzucić je i podeptać. — Klara, słysząc to, zaczęła się zastanawiać, co to takiego Will ma podeptać. —

Mam nadzieję, że okaże się prawdziwym mężczyzną i zdoła zapanować nad swoją namiętnością, a wtedy może będziesz żałowała widząc, co straciłaś.

— Zaczynasz być dla mnie niedobra.

— A cóż chciałabyś, bym ci powiedziała? Czyż nie wiem, że ofiarował ci najpiękniejszy dar, jaki miał do ofiarowania? Czyż nie przysięgałam ci, że

pokochoł cię całą potęgą miłości, co nie może być dla ciebie niepochlebne? Jeżeli okaże się, że miłość ta jest daremna, będzie to dla niego wielkim nieszczęściem. A jednak słysząc, iż on może się z tej miłości otrząsnie, mówisz, że jestem dla ciebie niedobra.

— Nie, nie o to mi chodziło.

— Czy mogę mu napisać, żeby tu przyjechał i sam z tobą pomówił?

I znów Klara umilkła, nie wiedząc, co odpowiedzieć na to ostatnie pytanie. Wreszcie odparła nań bez zastanowienia:

— On wie dobrze, że może tu przyjechać.

— Will twierdzi, że mu zabroniłaś przyjechać.

— Ach, Mary, cóż mam ci na to odpowiedzieć? Przecież wiesz już wszystko i dziwię się, że możesz dalej zadawać mi takie pytania.

— Co znaczy: wszystko?

— Że byłam zaręczona z kapitanem Aylmerem.

— Ale teraz już nie jesteś zaręczona.

— Nie, już nie jestem.

— Chyba nie zaręczysz się z nim po raz drugi?

— Ach, nie!

— Nie powiedziałabym ci ani słowa w sprawie brata, gdybym przypuszczała, że...

— Nie, to jest już zupełnie skończone, ale... Jeżeli nie możesz tego zrozumieć, ja nie potrafię ci wytłumaczyć.

Klarze zdawało się, że kuzynka, przejęta gorącą troską o brata, nie może zrozumieć, że jeżeli kobieta nieoczekiwanie przeniesie swe uczucie z jednego mężczyzny na innego, nieskłonna jest do tego się przyznać.

— Muszę dziś do niego napisać — rzekła Mary — muszę mu dać jakąś odpowiedź. Czy mam mu powiedzieć, żeby tu nie przyjeżdżał aż do czasu, kiedy ty stąd wyjedziesz?

— Tak będzie może lepiej — zgodziła się Klara.

— W takim razie on tu już nigdy nie przyjedzie.

— Przecież ja mogę stąd wyjechać. Mogę zrobić to natychmiast. Nigdy nie będziesz mogła powiedzieć, że moja obecność nie pozwala mu przyjechać do własnego domu. Wiem, że nie powinnam tu dłużej być. Teraz już wiem, że nie powinnam. Wyjadę, a ty możesz go zawiadomić, że już wyjechałam.

— Nie, moja droga, nie wyjedziesz.

— Wyjadę, muszę wyjechać. Wyobrażałam sobie, że inaczej wszystko się ułoży, bo przecież on... on kiedyś przyrzekł, że będzie dla mnie bratem, a ja wtedy prosiłam, by dotrzymał słowa; nie tylko dlatego, że tak potrzebuję brata, ale dlatego, że go serdecznie pokochałam. Tak jednak stać się nie mogło.

— Chyba nie przypuszczasz, że on cię kiedykolwiek opuści?

— Muszę jednak stąd wyjechać, żeby mu umożliwić przyjazd do własnego domu. Nie powinnam tu zostać, nie powinnam zostawać w Belton, ani w tym domu, ani w żadnym innym. Powiedz mu, że wyjadę, zanim on zdąży tu przyjechać. Powiedz mu także, że nie będę zbyt dumna i przyjmę od niego wszystko, co okaże się słuszne. Nie mam na świecie nikogo prócz niego, nikogo... nikogo... tylko jego. — Tu Klara wybuchnęła płaczem i odrzuciwszy w tył głowę zakryła twarz rękami.

Mary Belton wstała wolno z krzesła, podeszła do Klary i nachyliła się nad płaczącą dziewczyną.

— Nie — rzekła — dopóki ja tu jestem, nie wyjedziesz stąd.

— Owszem, wyjadę. On nie może przyjechać, dopóki ja tu jestem.

— Klaro, raz jeszcze pomyśl nad tym wszystkim. Czy nie mogłabym mu napisać, żeby przyjechał, a ty tymczasem zastanowisz się, czy naprawdę nie potrafisz być dla niego bardziej kochająca.

— Bardziej kochająca? Ach, gdybym potrafiła być mniej kochająca!

— On będzie czekał. Jeśli mu na to pozwolisz, będzie czuł się szczęśliwy mogąc czekać.

— Tak, do jutra rana. Znam go dobrze. Wystarczy wyciągnąć do niego mały paluszek, żeby on od razu chwycił całą rękę, a nawet ramię.

— Powiedz mi tylko, że postarasz się go pokochać. Prawdę mówiąc Klara właśnie starała się go nie kochać.

W głębi duszy było jej wstyd, że zaledwie przed paru tygodniami wyznała miłość jednemu, a oto już pokochała innego. Pomyliła się co do własnych uczuć nie w stosunku do kuzyna, lecz kiedy myślała, że może pokochać takiego człowieka jak kapitan Aylmer. Ze względu na szacunek do samej siebie powinna ponieść karę za swój błąd. Nie może umknąć potępienia siebie, nie może sobie pozwolić na unieważnienie wyroku, choć czyniąc tak uszczęśliwiłaby drugiego człowieka. Gdyby kapitan Aylmer nie stanął na jej drodze, oddałaby całe serce kuzynowi. Ale przecież i tak mu je oddała, chociaż kapitan Aylmer stanął na jej drodze i pokrzyżował jej ścieżki. Ogarnął ją wstyd na myśl, że tak mogło się stać, a nie chciała się przyznać, że zrobiła coś, czego musiała się wstydzić.

Wreszcie rozmowa zakończyła się tak, jak zawsze kończą się podobne rozmowy: bez żadnej pozytywnej decyzji. Mary naturalnie napisała do brata, nie mówiąc Klarze nic o treści listu. My jednak możemy się z tą treścią zapoznać nie czytając więcej niż dwa wiersze.

„Jeżeli zgodzisz się trochę poczekać, to możesz wygrać sprawę — pisała Mary. — Ale czy ty kiedykolwiek potrafiłeś na coś czekać?” „Nie ma rzeczy na świecie, której bym tak nienawidził jak czekania” — powiedział sobie Will przeczytawszy list siostry. Niemniej jednak wiadomość ta napełniła go radością i z lekkim sercem zabrał się do zajęć gospodarskich przygotowując się do nowego wyjazdu.

— Na jak długo wyjeżdżam? — rzekł w odpowiedzi na pytanie, jakie zadał mu rządcą. — Skąd, u licha, mogę wiedzieć, jak długo to potrwa? Sądzę, że tym razem będziecie mogli doskonale obejść się beze mnie. Musicie przyzwyczać się do tego, że nie wiadomo, jak często będę wyjeżdżał i jak długo mnie tu nie będzie.

Gdy Mary powiedziała kuzynce, że list wysłała, Klara zaczęła znów mówić o wyjeździe.

— A dokąd się wybierasz? — zapytała ją Mary.

— Wynajmę mieszkanie w Taunton.

— On tam za tobą pojedzie i powstaną nowe kłopoty. Tyle na tym wygrasz. Przecież on musi działać jako twój opiekun prawny i jako takiemu musisz mu podlegać.

Wobec tego Klara zgodziła się pozostać w Belton, lecz przed samym przyjazdem Willa przeniosła się z powrotem do Askertonów.

— Tak, rozumiem sytuację — rzekła do niej pani Askerton — ale pozwól sobie powiedzieć, że jeżeli w tydzień po jego przyjeździe wszystko się nie ułoży, to dojdę do przekonania, że nie masz serca. Przecież on się zamęczy, będzie miał ręce związane, uniemożliwi mu to pracę i będzie musiał krążyć między Belton i Norfolk, a to wszystko dlatego, że nie potrafisz się przyznać, że byłaś szalona.

— Nigdy nie mówiłam, że nie byłam szalona — odpowiedziała Klara.

— Popeliłaś błąd, jak to się czasem zdarza młodym pannom, nawet wtedy, gdy są tak ostrożne i przewidujące jak ty, a teraz byłoby ci przykro ten błąd naprawić.

Wszystko to było prawdą i Klara wiedziała, że tak jest istotnie. Naprawiać błędy nie jest nigdy przyjemnie, a w tym wypadku było tak przykre, że nie mogła się zdobyć na przyznanie, iż błąd ten powinna naprawić. A jednak teraz zdawała już sobie chyba sprawę z tej konieczności.

## ROZDZIAŁ XXXI

### Will obejmuje majątek na własność

— Chcę, żeby wszystko należało tylko do niej — rzekł William do adwokata Greena, gdy doszło do rozmowy o uregulowaniu sprawy majątku Belton.

— Ależ to byłby absurd!

— To mnie nic nie obchodzi. Takie jest moje życzenie. Chyba każdy ma prawo rozporządzać swoją własnością tak, jak mu się podoba.

— Ona tego nie przyjmie — rzekł adwokat.

— Będzie musiała przyjąć, jeżeli potrafisz załatwić wszystko, jak należy — odpowiedział Will.

— Nie przypuszczam — rzekł adwokat — by to miało zasadnicze znaczenie,

odkąd kapitan Aylmer nie odgrywa tu już żadnej roli.

— Nic o tym nie wiem. Oczywiście rad jestem, że on — jak powiadasz — nie odgrywa tu już żadnej roli. To niedobry człowiek i nie chciałbym, żeby majątek dostał się w jego ręce. Ale wszystko to nie ma żadnego związku z naszą sprawą. Robię to nie dlatego, że ona kiedyś miałaby zostać moją żoną.

Z powyższej rozmowy czytelnik zrozumie, że William będąc przejazdem w Londynie nadal zamęczał siebie i adwokata sprawą majątku. Powaga zagadnienia skłoniła go do zasięgnięcia rady u innych prawników prócz adwokata Greena i w końcu przyszedł do przekonania, że przede wszystkim obowiązkiem jego jest stać się panem na Beltonie.

Wszyscy ci radcowie uparcie obstawali przy twierdzeniu, jakby idąc za bezspornym i kategorycznym nakazem myśli, że ziemia powinna przypaść z powrotem temu, kto nosi nazwisko Belton. Skoro jednak w rodzinie nie było nikogo innego odpowiadającego tym warunkom, William nie miał innego wyjścia jak zostać panem Beltonem z Beltonu. Zamierzał sprzedać farmę w Norfolk, by zdobyć odpowiednią sumę, i obdarzyć Klarę stosowną fortuną. Taki był jego własny plan, lecz dostawszy się między prawników nie mógł go ściśle wykonać i w końcu przystał na układ, zgodnie z którym Klara miała otrzymywać osiemset funtów rocznie, a suma ta miała obciążyć hipotekę majątku w Norfolk.

— Suma ta wydaje mi się bardzo mizerna — rzekł William.

— A ja uważam ją za zbyt wygórowaną — zauważył główny doradca. — Przecież nie należy się jej ani grosz.

Wreszcie wyżej opisany układ okazał się jedynym, na jaki wszyscy się zgodzili.

Gdy Belton znalazł się w domu, który teraz stał się już jego własnością, nie zastał tam nikogo prócz siostry. Klara była w willi. Powiadomiono go, że się tam przeniesie, nie miał więc powodu do rozdrażnienia, a jednak rozdrażniło go to, a może raczej sprawiło mu przykrość. Zaledwie upłynęło piętnaście minut od jego przyjazdu, gdy oświadczył, że zamierza pójść po nią.

— Proszę, nie rób tego — rzekła siostra.

— Dlaczego?

— Bo lepiej będzie, żebyś zaczekał. Przez swoją porywczosć zaszкодziłbyś tylko jej i sobie.

— Ona musi wreszcie poznać swoją sytuację. Byłoby okrucieństwem trzymać ją w nieświadomości, chociaż w gruncie rzeczy będę się wstydział jej to powiedzieć. Tak, będę się wstydział spojrzeć jej w oczy. Co ona sobie pomyśli, po moich zapewnieniach, że powinna otrzymać wszystko?

— Ależ ona by tego nie przyjęła, Will. A gdyby przyjęła, postąpiłaby bardzo źle. Teraz robi się jej lekko na sercu.

— Chciałbym, aby i mnie zrobiło się lekko na sercu — odpowiedział.

— I to nastąpi, o ile tylko potrafisz czekać.

— Nie znoszę czekania. Nie widzę, co dobrego mogłoby mi dać czekanie. Zresztą nie będę z nią mówił o... w każdym razie jeszcze nie dzisiaj. Naprawdę nie będę. Ale skoro tu jestem, muszę ją zobaczyć. Inaczej pomyślałaby, że się na nią pogniewałem i że korzystając z moich praw, chcę zagarnąć wszystko dla siebie.

— Nie będzie cię posądzała, że chcesz się z nią pogniewać.

— Zrobiłbym to na jej miejscu. Nie ma mowy, żebym miał siedzieć tutaj i nie iść do niej. To byłoby potworne. Zaczekam, aż oni zjedzą lunch, i pójdę.

W końcu postanowili, że Will pójdzie złożyć wizytę pułkownikowi Askertonowi i poprosi, by Klara go przyjęła w obecności pułkownika. Plan taki powzięli w przekonaniu, że łatwiej będzie Willowi złożyć oświadczenie w sprawie majątku w obecności osoby trzeciej pozostającej w przyjaźni z Klarą, niż gdyby miał oznajmić to jej samej. Poszedł więc do willi, gdzie został wprowadzony do gabinetu pana domu.

— Otóż i on — rzekła pani Askerton usłyszawszy dzwonek — wiedziałam, że od razu tu przybiegnie.

Przez cały ranek pani Askerton uparcie twierdziła, że kuzyn Klary zjawi się w willi jeszcze dziś, w dniu swego przyjazdu do Belton, aczkolwiek Klara zapewniała, że dziś nie przyjdzie.

— Po cóż miałby tu przychodzić? — pytała.

— Po prostu po to, by cię zabrać do swojego domu, tak jak inne własne dobro i ruchomości.

— Nie jestem jego dobrem ani ruchomością.

— Ale wkrótce będziesz. Dlaczego nie miałabyś spokojnie przyjąć swego losu? On jest teraz panem Beltonem z Beltonu i wszystko, co się tu znajduje, należy do niego.

— Ja do niego nie należę!

— Nie mów nonsensów! Gdy mężczyzna staje się panem sytuacji, tak jak on teraz, może zrobić wszystko, co mu się podoba. Gdyby zechciał zjawić się tu i porwać cię siłą, nie wątpię, że tutejsi ludzie by mu pomogli i przyznali, że postąpił słusznie. A ty z pewnością byś mu przebaczyła. Pan Belten z Beltonu może sobie na wszystko pozwolić.

— Teraz ty mówisz nonsensy.

— Oczywiście gdybyś miała choć trochę właściwego poczucia kobiecej niższości, jakie powinno cechować niewiasty, usiadłabyś na progu jego domu i czekałabyś na niego.

Tak rozmawiały wczesnym rankiem, gdy dowiedziały się, że przyjechał, i pod naciskiem pani Askerton nie przestawały mówić o nim dalej. Wreszcie Klara zapragnęła, by jej dano wytchnąć.

— Jeżeli postanowił tu przyjść, to z pewnością przyjdzie — rzekła w końcu.

— Przyjdzie, oczywiście że przyjdzie — odpowiedziała pani Askerton... i w tej

samej chwili usłyszały dzwonek.

— Oto i on. Mogłabym przysiąc, że to jego kroki. Czyż nie stąpa tak, jak gdyby był panem Beltonem z Beltonu, świadomym, że wszystko dokoła do niego należy?

— Zapadło krótkie milczenie. — Słysząc, że wszedł do gabinetu pułkownika. Czegóż, na Boga, może od niego chcieć?

— Zapewne przyszedł, by pomówić o dzierżawie willi

— rzekła Klara starając się mówić tak, jak gdyby zachowała spokój.

— Willi! A właśnie! Co za pomysł wyobrażać sobie, że ktoś w pierwszym dniu objęcia majątku na własność będzie się troszczył o jakąś głupią willę! Może się domaga, by mu ciebie wydano? Jeżeli tak, to ja głosuję za posłuszeństwem.

— A ja za nieposłuszeństwem, i to bardzo głośno!

Trwały tak w niepewności jeszcze przez następne dziesięć minut, aż wreszcie zjawiała się służąca i zapytała, czy panna Amedroz zechce udać się do gabinetu pana pułkownika.

— Fanny — zawołała pani Askerton — czy pan Belton jest tam jeszcze? — Dziewczyna odpowiedziała twierdząco, a Klara bez słowa wstała i wyszła z pokoju.

Zanim otworzyła drzwi, z trudem zdołała odzyskać spokój, i wysiłek ten nie okazał się daremny. Za chwilę ręka jej znalazła się w dłoni kuzyna, a jasne oczy ogarnęły ją tym ciepłym życzliwym spojrzeniem, które czyniło twarz jego tak miłą dla tych, których kochał.

— Kuzyn pani powiedział mi o układzie, jaki zawarł dla pani po naradzie z prawnikami — rzekł pułkownik Askerton. — Mogę tylko dodać, że życzyłbym wszystkim kobietom takich hojnych kuzynów.

— Wobec tego, że mieszkasz w domu pułkownika, uważałem, że wypadało mi najpierw pomówić z nim, ale nie może być mowy o żadnej hojności. Powinnaś zrozumieć, Klaro, że w naszym kraju człowiek nie ma prawa rozporządzać swoją własnością według swego widzimisie. Ostatnio prawnicy i różni doradcy tak mnie osaczyli, że musiałem im ustąpić. Chciałem, by to wasze stare gniazdo stało się twoją wyłączną własnością, z którą mogłabyś zrobić, co ci się podoba.

— Nie mogło być o tym mowy, Will.

— Oczywiście! — zauważył pułkownik, a ponieważ Belton milczał, sam wytłumaczył Klarze, jaki dochód przypada jej w udziale.

— Ależ o tym również nie może być mowy — powtórzyła Klara. — Nie mogę cię w ten sposób okradać! Nie mogę i nie zgodzę się na to! Dlaczego miałabym to zrobić? Na co mi taki dochód? Mogłabym przyjąć coś, co by mi przyznano ze względów rodzinnych i dzięki twojej życzliwości...

— Wszystko to zostało już postanowione, Klaro.

— Panno Amedroz — rzekł pułkownik — wobec tego, co zostało ustalone w Londynie, nie może pani zmniejszyć przyznanej jej sumy.

— Gdybyś powiedział jakieś sto funtów...

— Na tej naradzie nie pozwolono mi słowa powiedzieć

— odparł Belton — ci panowie orzekli, że należy ci się osiemset funtów, i w ten sposób sprawa została załatwiona. Kiedy zamierzasz wrócić do Mary?

Na to pytanie nie otrzymał jasnej odpowiedzi, a ponieważ natychmiast wyszedł, zdawało się, że nie oczekiwał żadnej. Nawet nie zapytał o panią domu i pani Askerton powiedziała do Klary, że zachował się jak niedźwiedź.

— Ale jaki hojny niedźwiedź! — dodała. — Pomyśl tylko, osiemset funtów własnego dochodu! Zaczynam wątpić, czy w ogóle warto wychodzić za męża, gdy ma się taki dochód i można z nim robić, co się podoba! Ale to nie ma żadnego znaczenia. Wszystko powróci znów do niego, zanim zdążysz coś uszczknąć.

— Proszę cię, przestań o tym mówić — rzekła Klara poważnie.

— Dlaczego?

— Dlatego, że nie chcę już o tym więcej słyszeć. Wszystko się skończyło i powinno się było skończyć.

— Dlaczego skończyło? Nie widzę tu żadnego zakończenia. Nic tu się nie skończy, dopóki pan Belton z Beltonu nie zabierze ciebie razem z ośmioma setkami funtów rocznego dochodu i ze wszystkim innym również.

— Przekonasz się, że on... że on... nie będzie żądał nic więcej — powiedziała Klara.

— Tak myślisz?

— Jestem tego pewna. — Głos jej się nieco załamał, jak gdyby coś jej uwięzło w gardle, lecz szybko się opanowała i mówiła dalej wyraźnie. — A teraz o jedno cię tylko proszę: nigdy już o nim nie wspominaj. Rozmyślił się. Widocznie zmienił zdanie. Gdyby tak nie było, nie przyszedłby tu w ten sposób i nie odszedł bez słowa.

— Bez słowa? Ofiarowuje ci osiemset funtów rocznie, a ty to nazywasz „bez słowa”?

— Bez słowa, to znaczy mówił tylko o pieniądzach. I uważam, że postąpił słusznie. Po tym, co zaszło, byłoby niewłaściwe, gdyby... gdyby myślał o czymś więcej. Żartujesz z tego, że został panem Beltonem z Beltonu. Lecz na tym właśnie polega cała różnica.

— Doprawdy? Jaka różnica?

— Różnica ta istnieje. Teraz widzę to i czuję. Nigdy już... nigdy nie zapyta mnie więcej... czy...

— A jeżeli cię zapyta, co mu odpowiesz?

— Nie wiem.

— Otóż to właśnie! Bywają kobiety tak przewrotne, że dziwię się, jak mężczyźni mogą z nimi dojść do ładu. Mają one jakieś wariackie mrzonki, które zaszczycają mianem kobiecej dumy, i pod pozorem tej dumy uważają za słuszne zadreć na



śmierć swoich ukochanych. Jedyną pociechą jest to, że jednocześnie zatruwają sobie własne życie. Czyż można być bardziej przekorną niż ty w tej chwili! Przecież dopiero co stwierdziłaś, że postąpiłby najwłaściwiej w świecie, gdyby przed upływem dwunastu miesięcy zaczął ci znów mówić o swojej miłości.

— Nie wspomniałam nic o dwunastu miesiącach.

— A teraz jesteś zrozpaczona, że nie wyrwał się z tym wszystkim w obecności pułkownika podczas rozmowy o interesach, którą bardzo właściwie przeprowadził natychmiast; świadczy to tylko o jego dużym poczuciu taktu, że w rozmowie ograniczył się do poruszenia tego jednego tematu.

— Przecież ja się nie skarzę.

— Tak, świadczy to o tym, że jest taktowny, chociaż gdyby nie był takim niedźwiedziem, mógł był zapytać o mnie, która dniem i nocą nie przestaje walczyć w jego sprawie.

— Ale co zrobi dalej?

— Przypuszczam, że zje obiad, gdyż zbliża się już piąta. Twój ojciec jadał zawsze o piątej.

— Nie mogę pójść do Mary — rzekła Klara — dopóki on tu nie wróci.

— Zjawi się niebawem. Nie dziwiłabym się, gdyby przyszedł jeszcze dziś wieczorem.

I rzeczywiście przyszedł tego samego wieczoru.

Po skończonej rozmowie w gabinecie pułkownika Belton opuścił willę nie pytając nawet o panią domu — co pułkownikowa skwapliwie zauważyła — i zaczął błąkać się po majątku, który teraz należał do niego. Była to piękna posiadłość, a poczucie, że jest jej właścicielem, sprawiało mu wielką przyjemność. Uczucie posiadania napęła dumą — dumą z posiadania ziemi, domów, bydła i wełnistych trzód, rozległych pól i gęstych lasów — nawet wtedy, gdy wszystko to posiada się od niedawna i gdy dla właściciela przedstawia to tylko wartość włożonych w ziemię pieniędzy; wszystko nabiera jednak o wiele większego znaczenia, jeśli własność związana jest z pamięcią zamierzchłej przeszłości, gdy świadczy o dawności rodu, jego potędze i zamożności. Tutaj od wielu wieków żył ród Beltonów z Beltonu, a teraz on jest ostatnim z nich, stoi na własnej ziemi, jest jedynym potomkiem i przedstawicielem starej rodziny

Beltonów z Beltonu, której rodowód nie został splamiony żadną skazą. Nowy właściciel poczuł się tego wieczoru dumny ze swego stanowiska, bardziej dumny niż z jakiegokolwiek innego, które mogłoby mu przypaść w udziale. Lecz podczas tych rozmyślań zawstydził się nieco swojej dumy. „Mimo wszystko — powiedział sobie — tylko ten, kto sam zdobył sobie stanowisko, jest prawdziwym mężczyzną. A ja zdobyłem je przypadkiem, i w dodatku na skutek tak smutnego zdarzenia.” Zatoniony w myślach wędrował dalej zastanawiając się nad okolicznościami, dzięki którym majątek dostał się w jego ręce. Przypominał sobie, jak, kiedy i gdzie

powziął myśl zaślubienia Klary Amedroz. Zrozumiał wtedy, że tylko małżeństwo z nią pozwoliłoby mu z czystym sumieniem przyjąć spadek. Myśl ta powstała w nim nagle i przerodziła się w namiętność dzięki entuzjadowi, z jakim ją przywitał. Od tamtego dnia aż po dzień dzisiejszy nie przestawał sobie powtarzać, że ta niespodziewana łaskawość losu mogłaby go uszczęśliwić tylko wtedy, gdyby z niej korzystał razem z Klarą. Na drodze jego stanęła straszna przeszkoda — bariera, którą pech zdawał się wznosić po to, by zniweczyć dary ofiarowane mu przez dobry los — barierą tą był kapitan Aylmer. Belton w gruncie rzeczy mało znał swego rywala, lecz poznał go dostatecznie, by zadawać sobie pytanie, jak Klara mogła się przywiązać do takiego człowieka. On sam głęboko pogardzał kapitanem Aylmerem i miał szczerą ochotę okazać mu lekceważenie wyrzucając go za drzwi hotelu w Londynie. Wówczas świat cały wydawał mu się nędzny i niesprawiedliwy.

Teraz jednak zdawało mu się, że świat mógłby się dać naprostować. Przeszkoda sama się usunęła. Dotychczas jeszcze nie wiedział, w jaki sposób Klara wymknęła się z sieci zastawionej na nią przez rodzinę Aylmerów, wiedział tylko, że się wymknęła. Oczy jej otworzyły się, zanim było za późno, i teraz stała się już kobietą wolną, którą można by zdobyć — gdyby się ją zdobyć potrafiło. Jako narzeczona Aylmera była dla niego niedostępna. Wówczas, w tej fatalnej chwili kiedy nie mogąc zapanować nad sobą chwycił ją w ramiona i ucałował, wiedział, że jest zaręczona z kim innym i nie mógł nie obrażając jej nalegać, by została jego żoną. Teraz jednak sytuacja zmieniła się. Mógł mówić na ten temat, co mu się podoba, a Klara teraz nie miałaby powodu rozgniewać się na niego. Teraz stała się dostępna, a skoro tak, czy byłoby w tym coś złego, gdyby on od razu przystąpił do dzieła? Siostra prosiła go, żeby czekał. Dlaczego miałby czekać, skoro jedno pomyślne słowo mogłoby wszystko rozwiązać? Czekać! On czekać nie może. Jakże można namawiać zgłodniałego na czekanie, gdy ma przed sobą obficie zastawiony stół? Oto chodzi po parku Belton, tam właśnie, gdzie zwykle przechadzał się razem z nią, ona zaś znajduje się w willi nie dalej niż o pół godziny drogi stąd, a Mary namawia go, żeby czekał! Nie! Nie będzie czekał! Nie ma żadnego powodu do czekania! Czekać, aż jakiś inny kapitan Aylmer stanie mu na drodze i spowoduje nowe trudności?

Błąkał się po parku postanawiając, że zobaczy się z nią dziś jeszcze. Takie spotkanie dwojga serdecznych przyjaciół, jakie dopiero co miało miejsce, było nienaturalne, po prostu nie do zniesienia! Co Klara mogła o nim pomyśleć! Zobaczyć się po raz pierwszy od ucieczki jej z Aylmer Parku i mówić wyłącznie o sprawach pieniężnych! A więc powróci do niej jeszcze dziś po południu! Wędrując tak doszedł do miejsca, gdzie wznosił się pagórek ze skałą, na której dwukrotnie siedzieli z Klarą. Zawrócił jednak i nie zapuścił się dalej. Miał nadzieję, że wkrótce będzie mógł wspiąć się wyżej, chyba że zajdą okoliczności, które nie pozwolą mu

tu nigdy powrócić..

— Pójdę do willi natychmiast po obiedzie — rzekł do siostry.

— Czy umówiłeś się?

— Nie, z nikim się nie umówiłem. Chyba na wsi człowiek nie potrzebuje się z góry umawiać, kiedy chce odwiedzić kuzynkę.

— Nie wiem, jakie tu panują zwyczaje.

— Nie będę wchodził do mieszkania, ale chcę się z nią zobaczyć.

Mary spojrzała na brata wzrokiem pełnym miłości i smutku, lecz nie powiedziała nic więcej. Kochała go tak gorąco, że ucięłaby sobie prawą rękę, by zdobyć dla niego to, czego pragnął, ale było jej przykro, że mógł tak rozpaczliwie pragnąć tego rodzaju rzeczy. Natychmiast po obiedzie wziął kapelusz i bez słowa wyszedł, kierując się przez park w stronę furtki wiodącej do willi. Był uroczy letni wieczór; o tej porze roku letnie wieczory dopiero się rozpoczynają, a powietrze jest słodsze, kwiaty mocniej pachną i liście mają piękniejszy kształt niż w innych porach roku. Była godzina ósma, ale jeszcze nie nastał wieczór, gdyż mimo iż słońce opuściło się nisko na niebie, zmierzch jeszcze nie zapadł. W willi wszyscy siedzieli przed domem na trawniku i gdy Belton podszedł bliżej, zobaczyli go.

— Widzisz, mówiłam ci, że tak będzie — szepnęła pani Askerton do Klary.

— On tutaj nie wstąpi, tylko pójdzie dalej — odpowiedziała Klara.

Gdy jednak Belton podszedł jeszcze bliżej, pułkownik Askerton zawołał na niego poprzez ogrodzenie, zapraszając, by się do nich przyłączył. Belton stał już nie dalej niż o kilkanaście jardów i dzieliło ich tylko ogrodzenie.

— Przyszedłem poprosić, by kuzynka Klara zechciała pójść ze mną na przechadzkę. Będzie z powrotem na wieczorną herbatę. — Powiedział to wszystko bardzo spokojnie i nie wyglądał bynajmniej na zakochanego.

— Jestem pewna, że ona chętnie się z panem przejdzie — rzekła pani Askerton, ale Klara nic nie odpowiedziała.

— Jeżeli nie jesteś zmęczona, Klaro, to proszę, byś się ze mną trochę przeszła — dodał Will.

— Nie wychodziła przez cały dzień i nie może być zmęczona — rzekła pani Askerton podchodząc do ogrodzenia.

— Klaro, włoż kapelusz. Ale, panie Belton, czy zrobiłam co złego, że pan traktuje mnie w ten sposób? Chyba pan zapomniał, że od przyjazdu nie odezwał się pan do mnie ani słowem.

— Ach, przepraszam panią — zawołał usiłując przepchać rękę przez krzaki. — Zupełnie zapomniałem, że dziś rano pani nie widziałem.

— Nie mogę się na pana gniewać; przecież pan obejmuje dziś majątek w posiadanie. Ale chciałabym, żeby właśnie w takim dniu pan o mnie nie zapominał.

— Ależ ja nie zapomniałem o pani, doprawdy nie zapomniałem; a jeżeli chodzi o ten szczególny dzień, to nie ma o czym mówić. O ile wiem, nie objąłem dziś w

posiadanie niczego godnego uwagi.

— Mam jednak nadzieję, że to jeszcze nastąpi, zanim dzień się skończy.

Klara powoli wstała i weszła do pokoju po kapelusz. Nie odezwała się dotąd ani razu i kuzyn nie był pewny, czy z nim pójdzie.

— Mam nadzieję — dodała pani Askerton — że dzisiaj jeszcze obejmie pan w posiadanie coś bardzo cennego. Klara poszła po kapelusz.

— Czy pani sądzi, że ona ze mną pójdzie? — zapytał.

— Sądzę, że tak, panie Belton. O, stoi już w drzwiach. A proszę wrócić z nią na herbatę.

Klara podchodząc czuła, że trudno jej chodzić, mówić i wyglądać jak zwykle. Czuła się do tego stopnia ofiarą, że nie mogła już dłużej kierować swym losem. W każdym razie nigdy w niczym nie ulegała kapitanowi Aylmerowi i walczyła z nim jak równy z równym. Nie była nigdy zmuszona uznać się za pokonaną. Teraz jednak musi stwierdzić, że się poddaje, oraz przyznać, że dotychczas nie szła właściwą drogą. Wiedziała, że teraz musi ulec. Powinna była wiedzieć, ile szczęścia da jej ta możliwość okazania uległości, a jednak... a jednak, gdyby miała prawo wyboru, to może tego wieczoru powstrzymałaby się od przechadzki z kuzynem. Jeszcze dziś po południu płakała myśląc, że on już więcej do niej nie przyjdzie. Teraz zaś, kiedy przyszedł, wykorzystując pierwszą sposobność, niemal pragnęła, by go tu nie było.

— Chyba rozumiesz, że dziś rano przyszedłem tylko po to, by pomówić o interesie — powiedział Belton, gdy ruszyli.

— To było ładnie z twojej strony, żeś przyszedł zaraz po przyjeździe.

— Powiedziałem tym swoim doradcom w Londynie, że chciałbym ustalić wszystko od razu, żebym już mógł więcej o tym nie myśleć.

— Nie wiem, co ci mam na to odpowiedzieć. Oczywiście nie potrzebuję tyle pieniędzy.

— Nie będziemy już mówić o sprawach pieniężnych. Nie cierpię rozmów o pieniądzach.

— Tak, nie jest to najprzyjemniejszy temat do rozmowy.

— Nie — odpowiedział — to prawda, szczególnie między przyjaciółmi. A więc twoja przyjaźń z Aylmerami źle się skończyła?

— Mam nadzieję, że się źle nie skończyła; zresztą Aylmerowie nie byli nigdy moimi przyjaciółmi. Widzisz, że muszę ci zaprzeczać punkt po punkcie.

— Nie lubię kapitana Aylmera — rzekł Will po chwili milczenia.

— Zauważyłam to, Will, i muszę przyznać, że on również nie bardzo cię polubił.

— Nie polubił mnie! Wcale sobie nie życzyłem, by mnie polubił! On na pewno niewiele o mnie myślał. Ja zaś musiałem o nim myśleć. — Klara nie znalazła na to odpowiedzi i w milczeniu szła obok niego. — Mam nadzieję — mówił dalej — że on nie zamierza więcej tu przyjeżdżać.

- Co? Do Belton? Nie sędzę.
- Ani ty nie wybierasz się do Aylmer Parku?
- Nie, z pewnością nie. Ze wszystkich miejsc na ziemi, do których mógłbyś mnie wysłać, Aylmer Park byłoby jedynym, dokąd nie zgodziłabym się pojechać.
- Ja wcale nie chcę cię tam wysłać.
- Nie możesz sobie wyobrazić, Will, co to za kobieta ta jego matka: przykra, okrutna, a jaka despotka i impertynentka!
- Czy naprawdę była aż taka niedobra?
- Tak, Will, nie umiem przed tobą kłamać.
- A on był niemal równie przykry jak ona.
- Nie, Will, nie mów o nim źle.
- To kłótniwy jegomość. Mało nie rzucił się na mnie, gdy mu powiedziałem, że w Norfolk mamy dobre polowanie.
- Nie potrzebujemy już o tym wszystkim mówić, Will.
- Oczywiście; wszystko już minęło i przeszło, prawda?
- Tak, minęło i przeszło. Szkoda, że nie znałeś mojej ciotki, pani Winterfield, byłbyś łatwiej zrozumiał, co było powodem, że go polubiłam.
- Tak — odrzekł Will — nigdy jej nie widziałem. Przez pewien czas szli obok siebie nie mówiąc nic i Klara z początku zaczęła odczuwać pewną ulgę, lecz wraz z poczuciem ulgi serce jej przytłoczyło z powrotem brzemieniem smutku i beznadziejności, które tak ją przygnębiło po rannej wizycie kuzyna. Więc ona miała rację, a pani Askerton myliła się. Will powrócił do niej po prostu jako kuzyn, a teraz podczas wspólnej przechadzki rozmawiał z nią w ten sposób, by dać jej do zrozumienia, że tak było istotnie. Nagle znaleźli się w miejscu, gdzie rozchodziły się dwie ścieżki. Wtedy zwrócił się do niej i prędko zapytał, którą ścieżkę powinni obrać.
- Słuchaj, Klaro — powiedział — czy chcesz wejść ze mną tędy, na górę?
- Wszystko mi jedno, którą ścieżką pójdziemy — odpowiedziała cicho.
- Wszystko ci jedno? Ale mnie nie wszystko jedno. Bardzo, bardzo mi na tym zależy. Czy pamiętasz, dokąd ta ścieżka prowadzi?
- Nie znalazła na to odpowiedzi. Pamiętała to dobrze i pamiętała jego słowa, iż nigdy tu więcej nie przyjdzie, chyba wtedy, gdy ona zgodzi się zostać jego żoną. Zadała sobie teraz kilka różnych pytań. Czy on ze względu na nią wyrzeknie się odwiedzania tego najpiękniejszego zakątka w całym majątku? Czy nadal będzie uważał to miejsce za poświęcone wspomnieniem o niej?
- Którą ścieżką pójdziemy? — zapytał znów.
- Zdaje mi się, że to nie ma żadnego znaczenia — odpowiedziała drżąc.
- Owszem, ma. Dla mnie to ma wielkie znaczenie. Więc pójdiesz ze mną na skały?
- Moglibyśmy się spóźnić, to zabierze nam sporo czasu. — Cóż z tego, że się

spóznimy! Więc pójdziesz?

— Chyba tak, jeżeli sobie tego życzysz, Will.

Klara przewidywała, że skała stanie się ołtarzem, na którym ofiara zostanie złożona, lecz teraz on już nie potrzebował czekać, aż zaprowadzi ją na to święte miejsce. Oczywiście tam zamierzał powtórzyć oświadczyzny, lecz spostrzegł się, że już je powtórzył, a ona je przyjęła podczas krótkiej rozmowy o wyborze ścieżki. Dalsze słowa byłyby zbyteczne. Widocznie Will był tego zdania, gdyż z szybkością błyskawicy chwycił ją w ramiona i zaczął całować tak, jak już kiedyś całował przy innej, jakże przykrej sposobności, gdy nie spodziewał się uzyskać od niej przebaczenia.

— Will, Will — szepnęła — jak możesz...

On jednak miał już teraz pełne zrozumienie własnych przywilejów i świadomość swoich praw, tak jak wówczas miał poczucie, że popełnia występki wkraczając w cudze prawa.

— Dlaczego jesteś taki gwałtowny? — zapytała.

— Klaro, powiedz, że mnie kochasz!

— Nie powiem ci nic, bo jesteś taki gwałtowny.

Wolno zaczęli się wspinać w kierunku skały, a że mógł ją objąć ramieniem, pozwolił jej iść przez chwilę w milczeniu. Gdy jednak znaleźli się na szczycie, zapragnął otrzymać od niej słowo ostatecznego zapewnienia.

— Klaro, powiedz, że mnie kochasz! — prosił.

— Czyż nie kochałam cię zawsze, Will? Przecież pokochałam cię od pierwszej chwili, gdy cię ujrzałam.

— Ale to mi nie wystarcza. To nieładnie z twojej strony, Klaro. Przeżyłem tyle trosk i niepokojów. Byłem tak zrozpaczony. Muszę mieć twoje ostateczne słowo, o ile możesz je dać.

— Jakie znaczenie może mieć dziś moje słowo? Przecież zdobyłeś już wszystko.

— Ale czy zdobyłem cię? — I znów milczała. — Musisz mi odpowiedzieć, czy zdobyłem cię. Czy jesteś moja?

— Chyba tak, Will. Nie nalegaj już. Nie będę ci tego powtarzała. Czy to ci nie wystarczy?

— Powiedz, że mnie kochasz!

— Przecież wiesz, że cię kocham.

— Czy kochasz mnie więcej niż kogokolwiek na świecie?

— Tak, kocham cię więcej niż kogokolwiek na świecie.

— I czy wobec tego zostaniesz moją żoną?

— Ach, Will, nie zasypuj mnie pytaniami.

— Musisz mi na to odpowiedzieć, a wszystko stanie się jasne i uczciwe.

— Cóż mam ci więcej powiedzieć. Czy nie powiedziałam już wszystkiego?

— Powiedz, że zgadzasz się zostać moją żoną!

— Chyba tak, Will, skoro sobie tego życzysz.

— Czy ja sobie życzę! — zawołał zrywając się z miejsca i rzucając kapelusz w krzaki. — Czy ja sobie tego życzę! Chyba nie zrozumiesz nigdy, jak bardzo sobie tego życzyłem! Słuchaj, Klaro, kiedy powróciłem wtedy do Norfolk, przekonałem się, że bez ciebie nie mogę żyć. Przysięgam ci, że to prawda. Obawiam się, że mi nie uwierzysz.

— Czy to nie przesada, Will?

— Zdaje się, że kobiety nie są zdolne do uwierzenia w taką miłość. Mnie samemu trudno było uwierzyć. Nienawidziłem siebie za to. Słowo ci daję, że gdy zaczynałem o tym myśleć, byłem bliski utraty zmysłów.

— Ach, Will...

— Postanowiłem stanowczo wyjechać do Nowej Zelandii. Naprawdę, nie mógłbym się powstrzymać od przetrącenia kości temu człowiekowi, gdybyśmy mieli nadal żyć w tym samym kraju. Byłbym mu skrzył kark.

— Will, jak możesz mówić coś podobnego!

— Nikt tego nie zrozumie, jeżeli sam nie przeżył czegoś podobnego. Ale mniejsza o to. Teraz wszystko już jest dobrze, prawda, Klaro?

— Jeżeli tak uważasz...

— Czy ja tak uważam? Ach, Klaro, jestem taki szczęśliwy. Pocałuj mnie. Jeszcze nigdy mnie nie pocałowałaś.

— Co za nonsens! Nie wiedziałam, że taki dzieciak z ciebie.

— Na Boga! Musisz mnie pocałować! Bez tego nie pozwolę ci wrócić do domu. Może drogie, najdroższe kochanie... Ach, Klaro, gdy zaczynam o tym myśleć, to zdaje mi się, że zwariuję!

— Już zupełnie zwariowałaś, Will.

— W tej chwili nie. Zaczynam wariować, dopiero gdy jestem sam. Cóż mógłbym ci powiedzieć, byś uwierzyła, jak bardzo cię kocham? Czy pamiętasz tę piosenkę: „Dla pięknej Annie Laurie nie wahałbym się umrzeć!” To przecież nonsens, by mężczyzna miał umrzeć dla kobiety, jego obowiązkiem jest nie umierać, ale żyć dla niej. Ale ja właśnie tak czuję. Jestem naprawdę gotów oddać za ciebie życie. Gdyby należało coś zrobić dla ciebie, zrobiłbym to bez względu na wszelkie trudności. Czyś mnie zrozumiała?

— Drogi Will, mój najdroższy!

— Więc jestem twoim najdroższym?

— Nie jesteś tego pewny?

— Owszem, ale lubię, gdy mi to mówisz. Lubię czuć, że nie wstydzisz się do tego przyznać. Powinnaś to powtórzyć kilka razy, choćby dlatego, że ja tak często mówiłem ci podobne słowa.

— Będziesz je słyszał dość często, dopóki ci się nie znudzą.

— Nie będę ich miał nigdy dość. O Boże, pomyśl tylko... Przecież kiedy wczoraj

wysiadłem z pociągu, byłem w takim okropnym nastroju.

— A czy teraz jesteś w dobrym nastroju?

— W doskonałym! A kiedy wrócę do domu, będę się naigrawał z Mary.

— Biedna Mary, cóż ona takiego zrobiła?

— Mniejsza o to.

— Zdaje mi się, że Mary wie lepiej niż ty sam, co jest dla ciebie dobre. Zapewne mówiła, że byłoby dla ciebie znacznie lepiej nie żenić się i nie mieć kłopotów z żoną.

— Mniejsza o to, co mówiła, skoro sprawa została już załatwiona, prawda?

— Sądzę, że tak, Will.

— Ale nie jest jeszcze załatwiona dokładnie. Kiedy ma się to stać? Oto następne pytanie.

Na to pytanie Klara nie chciała dać żadnej odpowiedzi, która mogłaby ukochanego zadowolić. Przez pewien czas nie przestawał nalegać, aż wreszcie zmuszona była mu przypomnieć, że tak niedawno ojciec jej odszedł od niej na zawsze. Więc zawstydzził się i przyznał, że okazał się brutalem.

— Ależ nic podobnego — odpowiedziała — jesteś najdelikatniejszym człowiekiem na świecie, ale jednocześnie najbardziej niecierpliwym.

— Mary mówi o mnie to samo. Ale co dobrego w czekaniu? Ona dziś także radziła mi czekać.

— A ty nie chciałeś czekać i wpadłeś w pułapkę, z której nigdy nie będziesz mógł się wydostać. Proszę cię, wracajmy już. Co oni sobie o nas pomyślą?

— Dziwiłbym się, gdyby nie pomyśleli czegoś bardzo zbliżonego do prawdy.

— Niech myślą, co chcą, ale musimy już wracać. Jest już dawno po dziewiątej.

— Zanim wyruszymy stąd, Klaro, powiedz mi jedno. Czy jesteś naprawdę szczęśliwa?

— Bardzo.

— I jesteś zadowolona z tego, co się stało?

— Bardzo zadowolona, Will. Czy to ci wystarcza?

— I kochasz mnie?

— Kocham... kocham... kocham! Cóż mogę ci więcej powiedzieć?

— Więcej niż kogokolwiek na świecie?

— Więcej niż cały świat!

— A więc — rzekł ogarniając ją mocno ramieniem — pokaż teraz, że mnie kochasz.

Powiedziawszy to natychmiast przystąpił do zademonstrowania jej sposobu, w jaki, jego zdaniem, kochankowie mogą najwymowniej okazać sobie, że się kochają. Nie wiem, czy tego wieczoru przed pójściem spać Klara rozmyślając nad tym wszystkim przyszła do przekonania, że sposób zachowania kapitana Aylmera i Williama Beltona jest najzupełniej różny. A jeżeli tak, to ciekaw jestem, który z



tych sposobów przypadł jej więcej do gustu: człowieka cierpliwego czy tego, któremu brak było cierpliwości.

## ROZDZIAŁ XXXII

### Zakończenie

Mniej więcej w dwa miesiące po scenie opisanej w poprzednim rozdziale, w pełni lata, Klara otrzymała dwa listy od swych dwóch wielbicieli; dzieje ich miłości zostały opisane wyżej, a ich dwa listy przedstawiam czytelnikowi, by mu posłużyły za dowód, w jak odmienny sposób obaj panowie załatwiali swoje sprawy. Podajemy w odpowiedniej kolejności list kapitana Aylmera, który Klara przeczytała pierwszy, zachowując drugi list na później, tak jak dzieci zachowują na deser najśłodszy kąsek.

Aylmer Park, 186...

Droga panno Amedroz!

Przed wyjazdem z Londynu dowiedziałem się, że Pani zaręczyła się z kuzynem, panem Williamem Beltonem, i pomyślałem, że może będzie Pani rada z otrzymania ode mnie tych paru słów, w których najzupełniej to małżeństwo pochwalam. — „Jest mi całkiem obojętne, czy je pochwalasz, czy nie” — powiedziała sobie Klara, przeczytawszy te słowa. — Bez wątpienia nic lepszego nie mogła Pani zrobić, szczególnie ze względu na to, że małżeństwo zaleczy wszelkie zadrażnienia, jakie wynikły z powodu klauzuli o dziedziczeniu. — „Nie było nigdy żadnych zadrażnień” — pomyślała sobie Klara. — Proszę przekazać panu Beltonowi pozdrowienia oraz najlepsze powinszowania i powiedzieć mu, że życzę mu szczęścia w małżeńskim stanie.

„Cóż to za oklepane bzdury” — zauważyła znów Klara. Uwaga ta była niesłuszna, ale banalne frazesy kapitana Aylmera były tak niepodobne do gwałtownych zapewnień Beltona, że należy ją usprawiedliwić, jeżeli w tym okresie żywiła niesłuszną odrazę do pierwszego narzeczonego.

Mam nadzieję, że nie odniesie się Pani z całkowitą obojętnością do wiadomości, że ja również zamierzam się ożenić. Narzeczoną moją znam od wielu lat i zawsze cenilem ją wysoko. Jest to lady Emily Tagmaggert, najmłodsza córka hrabiego na Mullu.

Nie umiem wytłumaczyć, dlaczego Klara natychmiast powzięła dla lady Emily Tagmaggert uczucie zupełnego lekceważenia i wyobraziła ją sobie jako wysoką, chudą, skrzywioną starą pannę z czerwonym nosem, wiem jednak, że tak właśnie wyobrażała sobie przyszłą żonę kapitana Aylmera.

Lady Emily — pisał dalej — jest najbliższą przyjaciółką mojej siostry, a Pani, która zna solidarność naszej rodziny, zrozumie, jak bardzo jestem rad, że moja matka w zupełności pochwała moje małżeństwo. Przypuszczam, że ślub nasz odbędzie się wczesną wiosną. Prawdopodobnie będziemy spędzali kilka miesięcy w roku w Perivale i mam nadzieję, że nie odmówi nam Pani przyjemności goszczenia jej czasem pod naszym dachem.

Przeczytawszy to Klara mimo woli wzdrygnęła się, a w duszy jej powstał gwałtowny protest, co świadczyło o tym, że nie pragnęła już nigdy oglądać nudnych ulic małego miasteczka, które niegdyś tak dobrze знаła. „Mam nadzieję — powiedziała sobie — że ona będzie łaskawa dla biednego pastora Possitta i w niedzielę poczęstuje go kieliszkiem portwajnu.”

Muszę Pani powiedzieć jeszcze jedno. Zapewne pamięta Pani, że zamierzałem Jej wypłacić legat mojej ciotki natychmiast po śmierci tejże, lecz powstały okoliczności, które mi w tym przeszkodziły. Otóż teraz wpłaciłem tą sumę panu Greenowi na Pani rachunek, dołączając pięćdziesiąt dziewięć funtów osiemnaście szylingów i trzy pensy jako pięć procent od całej sumy. Mam nadzieję, że sprawę tę załatwiłem w sposób zadowalający.

„Wcale a wcale nie zadowalający” — orzekła Klara odkładając list na stronę i postanawiając, że poprosi Williama, by natychmiast odesłał te pieniądze z powrotem. Należy tu dodać, że w tym wypadku Klara doznała rozczarowania i że argumenty adwokata Greena zmusiły ją do przyjęcia tej sumy. — W takim razie sumę tę proszę przekazać na użytek szpitala w Perivale — oświadczyła adwokatowi. Oświadczenie to adwokat przyjął zupełnie obojętnie, lecz nie wydaje mi się, by ów legat, który tak dręczył biedną ciotkę na łożu śmierci, został ostatecznie użyty na ów chwalebny cel.

A teraz, droga Panno Amedroz — pisał dalej kapitan — żegnam Panią łącząc

zapewnienia o moim niezmiennym poważaniu i serdeczne życzenia szczęścia.

Pozostaję zawsze szczerze oddany  
Fryderyk F. Aylmer

„Poważanie! — mruknęła Klara, skończywszy czytać list. — Ciekawa jestem, którą z nas więcej poważa, mnie czy lady Emily Tagmaggert. On niezdolny jest do innych uczuć prócz poważania.”

List, który przeczytała po tamtym, brzmiał jak następuje:

Plaistow, sierpień 186...

Najdroższa Klaro!

Zdaje mi się, że chyba nigdy nie zdołam uporać się z robotą, i zaczynam nienawidzić gospodarki na roli. Okropnie tu pusto, wszystkie wieczory spędzam samotnie, rozmyślając, dlaczego zostałem na to skazany, podczas gdy Ty i Mary przyjemnie spędzacie czas razem. Przystąpiliśmy już do żęcia pszenicy i jak tylko z nią skończę, uciekam stąd. Jęczmień zostawiam Bunce'owi: on zna się na wszystkim nie gorzej ode mnie, a o tym, żebym miał tu pozostać przez całe lato, nie może być mowy.

Moje najdroższe, jedyne Kochanie, wprawdzie nie będę nalegał, byś zrobiła coś, czego sobie nie życzysz, lecz zapewniam Cię słowem, że tym razem nie masz racji. Wiesz przecież, że pamięć Twego ojca szanuję nie mniej niż wszyscy ci, co go znali, ale czyż przyniosłoby to ujmę jego pamięci, gdybyśmy od razu wzięli ślub? Czy nie sądzisz, że on sam by sobie tego życzył? Przecież ślub może być zupełnie cichy. Niechby się już tylko odbył, a w jaki sposób się odbędzie, jest mi najzupełniej obojętne. Jeżeli już o tym mowa, najlepiej byłoby pójść po prostu do kościoła i wrócić do domu także piechotą, o niczym nikomu nie wspominając. Nie cierpię zamieszania ani różnych nonsensów i doprawdy uważam, że nikt nie miałby prawa cokolwiek powiedzieć, gdybyśmy wzięli ślub zaraz, właśnie w ten sposób. Przez cały ubiegły rok tyle się wycierpiałem, że teraz należy mi się nagroda.

W kwestii, gdzie mamy zamieszkać, pozostawiam Ci prawo wyboru: zamieszkamy, gdzie Ci się będzie podobało, nawet w Timbuktu, gdybyś sobie tego życzyła. Nie chciałbym rozstawać się z Plaistow, gdzie mój ojciec i dziadek uprawiali ziemię, postanowiłem jednak, że tu nie zamieszkamy — nie byłoby to dla Ciebie odpowiednie miejsce, Plaistow Hall bowiem jest po prostu skromną farmą. Chciałbym tylko, żebyś tu czasem przyjeżdżała i popatrzyła, jak ta farma wygląda. Pragnąłbym raczej zburzyć stary dom w Belton i na jego miejscu wybudować inny. Nie proponuję jednak odłożenia ślubu, aż dom będzie gotów, gdyż nie miałbym

serca zabrać się do tego. Jeśli Ci to będzie odpowiadało, zamieszkamy na stałe w Belton. Zaprowadzę hodowlę bydła na wielką skalę i nie wątpię, że zrobię na tym majątek. Już mi obrzydło patrzeć przez całe życie na grobelki przecinające rozległe kwadratowe pola.

Pozdrów ode mnie Mary. Mam nadzieję, że dzielnie walczy w mojej sprawie. Zastanów się nad tym wszystkim i o ile możesz, nie bądź taka nieustępliwa. Marzę już o tym, by ten czyścicowy okres wreszcie się zakończył. Gdyby ta zwłoka była potrzebna, nie sprzeciwiałbym się jej ani słowem, ale nie należy się dać zadreczać bez potrzeby. Polecam Cię Bogu, moje najdroższe Kochanie. Strasznie Cię kocham.

Twój kochający  
W. Belton

Klara dwa razy list ucałowała, przytuliła go do piersi i usiadła rozmyślając w milczeniu o jego treści... o jego treści i o tym, kto go napisał, oraz o tym drugim, którego list przeczytała najpierw. Nie mogła zapomnieć, jak ten drugi zamierzał ją traktować, gdy oboje zdecydowali się połączyć swoje losy: jaki był dla niej chłodny, jaki ostrożny i oficjalny, jakie dawał jej nauczki i jak powtarzał kazania matki, jak ostentacyjnie żądał, by swoją egzystencję poświęciła jemu, jak zamierzał uwięzić ją w Perivale, podczas gdy sam pędziłby kawalerskie życie w Londynie! Poglądy Willa Beltona na małżeńskie życie były całkiem odmienne. „Połącz się ze mną od razu... teraz... natychmiast, a wszystko urządzimy tak, jak ci się będzie podobało.” Ileż miał jej do zaoferowania! Miłe jej było to, co chciał jej dać, a raczej skwapliwość, z jaką chciał okazać się dla niej szczodrym, lecz nade wszystko miła jej była niecierpliwość, z jaką domagał się od niej nagrody. Jakże go do szaleństwa kochała za to, że nazywał obecnie przeżywany okres czyścicowym! Jakże mogła czegokolwiek odmówić temu, kto tak gorąco pragnął jej darów?

Jeżeli chodziło o wybór ich przyszłej rezydencji, było jej obojętne, gdzie zamieszka, byle tylko mogła mieszkać razem z nim — lecz dla niego jedynym właściwym miejscem na świecie, gdzie powinien się osiedlić, był Belton Castle. Przecież był panem Beltonem z Beltonu i byłoby niewłaściwe, gdyby miał zamieszkać gdzie indziej. Oczywiście pojedzie z nim do Plaistow Hall tak często, jak będzie sobie tego życzył, lecz stałą jego rezydencją powinien być Belton Castle. Musi być dumna w jego imieniu — to jej obowiązek — i ze względu na jego dobro będzie go prosiła, by mogli na stałe osiedlić się w Somersetshire.

— Mary — zwróciła się do kuzynki — Will przesyła ci pozdrowienia.

— A co jeszcze pisze?

— Nie powiem ci wszystkiego. Nie możesz się tego spodziewać.

— Toteż się tego nie spodziewam. Ale może mogłabyś mi jeszcze coś

powiedzieć.

— Nic specjalnego, o czym musiałybyś wiedzieć. Znasz go tak dobrze, że możesz sobie łatwo wyobrazić, co ma mi do powiedzenia.

— Drogi Will! Jestem pewna, że napisał ci coś przyjemnego. — Na tym temat zostałyby wyczerpany, gdyby Klara sobie tego życzyła, chciała jednak, by ją zmuszono do mówienia dalej o liście. Pragnęła, by Mary namawiała ją do wyrażenia zgody na to, o co prosił ją Will, a przynajmniej chciała się dowiedzieć, czy Mary uważa, że w zadośćuczynieniu prośbie brata nie ma nic niewłaściwego.

— Czy nie uważasz, że powinniśmy zamieszkać tutaj? — zapytała.

— Ależ tak, o ile oboje sobie tego życzycie.

— On jest taki dobry, taki niesamolubny, że mnie tylko pyta, czego najbardziej sobie życzę.

— A czego byś sobie życzyła?

— Zdaje mi się, że powinien osiedlić się tutaj, bo to rodzinny majątek. Muszę przyznać, że nazwisko ma dla mnie pewne znaczenie. Will powiada, że chciałby wybudować tu nowy dom.

— Czy on myśli, że dom zostanie skończony przed waszym ślubem?

— W tym właśnie cała trudność. Może by jednak było lepiej, żebyś przeczytała jego list. Nie widzę powodu, dla którego nie miałabym ci go pokazać. List ten powie ci tylko o tym, o czym sama wiesz, że Will jest najszlachetniejszym człowiekiem w świecie.

I Mary przeczytała list.

— Co mu odpowiedzieć? — zapytała Klara. — To okrutne odmawiać, gdy ten, co prosi, jest taki szlachetny, dobry i wierny.

— O tak, to okrutne.

— No, ale mój biedny ojciec umarł tak niedawno.

— Nie mam pojęcia — rzekła Mary — jak świat zapatruje się na takie sprawy.

— Zdaje mi się, że powinniśmy czekać przynajmniej cały rok — westchnęła smutnie Klara.

— Biedny Will! Zanim ten okres minie, będzie co chwila wpadał w rozpacz. Za to kiedy już osiągnie swe szczęście, tym bardziej będzie się cieszył.

Słyszając to Klara omal nie znenawidziła kuzynki, nie tyle ze względu na siebie, ile ze względu na Willa. Will tak bezgranicznie ufał siostrze, a jednak ona nie potrafiła bronić lepiej jego sprawy. Mogłoby się zdawać, że szczęście brata jest jej obojętne. „Gdybym była siostrą Willa — pomyślała Klara — i gdyby jakaś dziewczyna w podobnych okolicznościach pytała mnie o radę, z pewnością odpowiedziałabym jej inaczej niż Mary. Powiedziałabym tej dziewczynie, że obowiązkiem jej jest liczyć się przede wszystkim z życzeniem tego, który ma zostać jej mężem, natomiast nie wspomniałabym ani słowem o tym, jak zapatruje się na to świat. Czy zapatrywanie świata ma jakieś znaczenie dla dwojga ludzi

będących dla siebie całym światem?”

Tego samego dnia po południu Klara odwiedziła panią Askerton i udało się jej otrzymać od niej radę, aczkolwiek nie pokazała jej listu Willa.

— Wiem, naturalnie, co ci napisał — rzekła pani Askerton. — O ile go znam, prosi, żebyście się pobrali bodaj jutro.

— Nie przesadzaj — uśmiechnęła się Klara.

— No to pojutrze albo dzień później. Oczywiście jest niecierpliwy i nie widzi żadnej słusznej racji, dlaczego jego niecierpliwość nie miałaby zostać zaspokojona.

— O tak, jest niecierpliwy.

— A ty zapewne wahasz się ze względu na niedawną śmierć ojca.

— Czy nie wydaje ci się, że to było wczoraj? — zapytała Klara.

— Mnie się wszystko wydaje, jakby było wczoraj. Jak bym dopiero wczoraj sama brała ślub.

— Chociaż zrobiłabym wszystko, o co mnie prosi...

— Czy naprawdę zrobiłabyś dla niego wszystko?

— Tak, zrobiłabym dla niego wszystko, o ile nie byłoby w tym nic złego. Przecież on jest dla mnie taki dobry.

— A więc, moja droga, napisz do niego i powiedz, że zgadzasz się spełnić jego życzenie. Wierzaj mi, że czasy biblijnego Jakuba dawno już minęły. Mężczyźni nie umieją czekać, a zawsze lepiej jest kuć żelazo, póki gorące.

— Chyba nie przypuszczasz, że coś podobnego przyszło mi do głowy.

— Jestem pewna, że nie, i jestem pewna, że on na taką myśl nie zasłużył; lecz im większe są jego zalety, tym lepsza winna być nagroda. Na twoim miejscu nie myślałabym o nikim prócz niego i zrobiłabym dokładnie tak jak on sobie życzy.

Żegnając się z przyjaciółką Klara ucałowała ją i raz jeszcze pomyślała, że powinno się wybaczyć tej kobiecie wszystkie jej grzechy. Kobieta, którą potrafiła dać tak doskonałą radę, zasługuje w zupełności na rozgrzeszenie.

— Zobaczysz, że oni się pobiorą, zanim upłynie lato — powiedziała do męża pani Askerton tegoż popołudnia. — Zaczynam wierzyć, że mężczyzna może zdobyć wszystko, czego pragnie, o ile potrafi dość wytrwale się tego domagać.

Pobrali się wprawdzie nie latem, lecz na jesieni. Nie będę tu powtarzał, jakimi słowami Klara odpowiedziała na list ukochanego, lecz odpowiedź ta była tego rodzaju, że Will pośpiesznie opuścił Plaistow, zanim sprzątnięto z pola pszenicę. Przy tej sposobności okazał rządcy, panu Bunce, wielkie zaufanie, i wierzę, że zaufanie to było w zupełności usprawiedliwione.

Pobrali, się więc we wrześniu; tak, już we wrześniu, chociaż Will napisał do Klary w sierpniu, a na początku października oboje powrócili z podróży poślubnej do Plaistow. Klara bardzo nalegała, żeby mąż zabrał ją do Plaistow, i po przyjeździe pragnęła poznać różne szczegóły gospodarstwa na farmie. Zapisała sobie w notatniku, ile akrów liczy każde pole i jaki bywa przeciętny plon z tej

ziemi; dopytywała się, co to jest płodozmian cztero-polowy, i w rozmowie z Bunce'em usiłowała poważnie poruszyć zagadnienie tuczenia bydła w oborach. Ale Belton nie zachęcał jej zbyt do rozmów na ten temat.

— Przyjedziemy tu za rok na polowanie — mówił do niej — o ile coś nie stanie nam na przeszkodzie.

— Mam nadzieję, że nic nam w tym nie przeszkodzi.

— A może jednak... Gdyby tak nie było, przyjedziemy. Wszystkie kłopoty gospodarskie zostawiam na głowie Bunce'a, a sam będę tu wpadał raz lub dwa razy do roku. Plaistow Hall nie jest dla ciebie odpowiednim miejscem stałego zamieszkania.

— Lubię Plaistow nade wszystko. Wiejskie gospodarstwo niezmiernie mnie interesuje.

— Gdybyś tu mieszkała w zimie, szybko by ci się to znudziło. Wiesz o tym, że kto chce gospodarować dobrze, ten nie może liczyć się z tym, co jest piękne, a co nie. Malownicze ustronia i zakątki nie mają wtedy znaczenia, a zielone żywopłoty musimy usuwać, gdyż rolnikowi potrzebne jest słońce. Natomiast w Belton, przynajmniej w pobliżu domu, będziemy wprawdzie dobrze gospodarowali, ale położymy nacisk na stronę malowniczą otoczenia.

Przystąpiono natychmiast do budowy nowego domu i budowano go z możliwie największą szybkością. Na razie przypuszczano — przynajmniej tak przypuszczał sam Belton — że dom będzie gotów pod koniec następnego lata, lecz to okazało się niemożliwe.

— Tak czy inaczej, będziemy musieli odłożyć to do maja — mówił Belton chodząc z pułkownikiem Askertonem dokoła nie dokończonego domu. — Mam z tym kłopot nie lada, ale w tej okolicy ludzie nie są skłonni do pośpiechu.

— Mnie się zdaje, że się jednak nieźle uwinęli, ale przecież nie zechciałby pan wprowadzić się w zimie do wilgotnego domu.

— Gdzie indziej robotnicy potrafią wybudować dom w ciągu roku. Na przykład w Londynie.

— Ale na skutek tego pośpiechu nowi mieszkańcy wraz z żonami i dziećmi umierają na różne przeziębienia. Nie wprowadziłbym się nigdy do nowego domu, zanim nie byłbym pewny, że jest zupełnie suchy.

Ponieważ Will był żonaty dopiero od dziesięciu miesięcy, więc nie potrzebował jeszcze kłopotać się o wygodę żony i dzieci, mimo to musiał już poczynić na jesień pewne przygotowania, które przeszkodziły im odbyć projektowaną przez Klarę wycieczkę do Plaistow; zresztą Will z właściwą sobie przezornością przewidywał, że taka przeszkoda może się zdarzyć. Sam musiał wyjechać i być nieobecny przez pierwszy tydzień września, miał jednak natychmiast powrócić. Toteż powrócił, a zanim skończył się wrzesień, miał już prawo nazwać się ojcem rodziny.

— Nie zdaje mi się, byśmy mogli ze względu na obecne okoliczności

wprowadzić się do nowego domu już teraz — mówił do swojej przyjaciółki, pani Askerton, nie przestając zrędnąć, że dom jest jeszcze nie wykończony.

— Rzeczywiście — ze względu na obecne okoliczności nie byłoby to wcale wskazane — odpowiedziała pani Askerton.

Wreszcie następnej wiosny czy też wczesnym latem przenieśli się do nowego domu, a był to piękny dom, w co nie wątpi nikt, kto zna pana Williama Beltona. A gdy się tam na dobre urządzili, mały Will Belton miał już siedem czy osiem miesięcy; mały Will, na którego cześć zapalono wielkie ogniska, jakby faktu jego urodzenia w tej okolicy nie należało lekceważyć, bo czyż nie był on pierwszym Beltonem w Beltonie urodzonym tu po przeszło stu latach?

W tym czasie w nowym Belton Castle zjawili się goście, i to nie byle jacy, którzy zostali przyjęci z należnymi im względami. Byli to ni mniej, ni więcej tylko kapitan Aylmer, poseł do parlamentu z okręgu Perivale, i jego świeżo poślubiona małżonka, lady Emily Aylmer z domu Tagmaggert, którzy zaraz po powrocie z podróży poślubnej złożyli wizytę w Belton Castle. Opowiadać o tym, jak ta przyjaźń powstała, a raczej jak została odnowiona, byłoby zupełnie bezcelowe. Lecz takie związki, jakie łączyły rodziny Aylmerów i Amedrozów, niełatwo wygasają i byłoby pożądane, by były długotrwałe. A więc kapitan Aylmer przywiózł do Belton Castle swą nowo zaślubioną małżonkę, na przyjęcie ich zarznięto tuczego cielaka, zaś państwo Askerton przyszli na obiad, przy której to sposobności kapitan Aylmer zachował się bez zarzutu, aczkolwiek odczuwał prawdopodobnie pewien niepokój z powodu obecności młodej małżonki. Na obiad przybył także stary pastor i pewien ziemianin z sąsiedniego majątku, wszystko odbyło się bardzo pięknie i było bardzo nudno. Kapitan Aylmer był niezmiernie rad z wizyty i oświadczył lady Emily, że małżeństwo wpłynęło dodatnio na poprawę manier pana Williama Beltona. Will był przez cały wieczór małowówny i w niczym nie przypominał dzikiego, gwałtownego i nierozsądnego człowieka, którego kapitan poznał w Hotelu Dworcowym w Londynie.

— Byłam tego pewna — oznajmiła Klara mężowi wieczorem.

— Czego byłaś pewna, kochanie?

— Że ona ma czerwony nos.

— Że kto ma czerwony nos?

— Nie udawaj głupiego, Will. Kto miałby mieć czerwony nos, jak nie lady Emily?

— Daję ci słowo, że nie zauważyłem tego.

— Ty nigdy niczego nie potrafisz zauważyć, Will. A czy nie uważasz, że ona jest bardzo brzydka?

— Dalibóg nie wiem. Nie jest taka ładna jak niektóre inne kobiety.

— Nie mów głupstw, Will. A jak myślisz, ile może mieć lat?

— He ma lat? Czeka... może około trzydziestu.



— Co? Raczej powyżej czterdziestu! Nie chciałabym zamienić się z nią na nosy.

— Nie, tego nie zrobimy, nie pozwoliłbym ci na to.

— Pojęcia nie mam, jak mężczyzna może się żenić z taką kobietą. Jest może zresztą bardzo dobrą osobą, ale co jej mąż ma z tego? Pewnie pociągnął go jej tytuł, jeśli to ma jakieś znaczenie.

Ale Will Belton nie okazywał nigdy o tej porze skłonności do rozmowy i był zbyt śpiący, by odpowiedzieć na tę ostatnią uwagę.

